BRENT WEEKS

NA KRAWĘDZI CIENIA

PRZEŁOŻYŁA MAŁGORZATA STRZELEC

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2010

Tytuł oryginału:
Shadows Edge

Copyright © 2008 by Brent Weeks

Copyright for the Polish translation
© 2010 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Projekt okładki:
Peter Cotton

Ilustracja na okładce:
Calvin Chu

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978–83–7480–160–7

Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04–082 Warszawa
tel. (22) 813–47–43, fax (22) 813–47–60
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05–850 Ożarów Maz.
tel. (22) 721–30–00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:
drukarnia@dd-w.pl

Dla Kristi –
za to, że nigdy nie wątpiła.
Nawet kiedy ja sam wątpiłem.

Oraz

dla Kevina,
bo to zadanie starszego brata
zrobić z młodszego twardziela.
Było mi potrzebne to, czego mnie nauczyłeś.
(Ale nigdy nie doszedłem do siebie
po tym incydencie z grudką ziemi).

1

Mamy dla ciebie zlecenie – powiedziała Mama K. Jak zawsze rozsiadła się niczym królowa, wyprostowana, we wspaniałej, idealnie leżącej sukni, z nienagannie ułożonymi włosami, chociaż już siwiejącymi przy skórze. Dziś rano miała pod oczami ciemne sińce. Kylar domyślał się, że żaden z przywódców Sa'kagé – z tych nielicznych, którzy przeżyli – nie spał za wiele od czasu khalidorskiej napaści.

– Dzień dobry, też życzę ci miłego dnia – odpowiedział Kylar, sadowiąc się w głębokim fotelu w gabinecie.

Mama K nie odwróciła się, tylko dalej wyglądała przez okno. Zeszłej nocy deszcze zgasiły większość pożarów w mieście, ale nadal wiele domów tliło się i miasto było skąpane w szkarłatnym świcie. Plith, która oddzielała bogatą, wschodnią Cenarię od Nor, wyglądała jak rzeka krwi. Kylar nie był pewien, czy tylko z powodu przesłoniętego dymem słońca. W ciągu tygodnia od przewrotu khalidorscy najeźdźcy wyrżnęli tysiące ludzi.

– Szkopuł w tym, że truposz wie, co się kroi.

– Skąd?

Zwykle Sa'kagé działało o wiele sprawniej.

– Powiedzieliśmy mu.

Kylar potarł skronie. Sa'kagé uprzedziłoby truposza tylko po to, żeby w razie nieudanego zamachu nikt nie podejrzewał organizacji.

To oznaczało, że truposzem mógł być tylko jeden człowiek:

zdobywca Cenarii, Król-Bóg Khalidoru, Garoth Ursuul.

– Ja tylko przyszedłem po swoje pieniądze – powiedział Kylar. – Wszystkie kryjówki Durzo... wszystkie moje kryjówki spłonęły. Potrzebuję pieniędzy na łapówkę dla straży przy bramie miejskiej.

Od zawsze systematycznie oddawał Mamie K część zarobków, żeby je inwestowała w jego imieniu. Powinna mieć dość pieniędzy nawet na kilka łapówek.

Mama K w milczeniu przerzucała kartki ryżowego papieru leżące na biurku. W końcu podała jedną Kylarowi. W pierwszej chwili cyfry go oszołomiły. Inwestował w nielegalny import ziela lubieżnicy i kilku innych uzależniających roślin, miał konia wyścigowego, udziały w browarze i paru innych interesach, pożyczał pieniądze na lichwę, był współwłaścicielem ładunków, między innymi z jedwabiem i klejnotami – z całkiem legalnymi towarami, jeśli pominąć fakt, że Sa'kagé płaciło za nie dwadzieścia procent w formie łapówek zamiast pięćdziesięciu według taryfy celnej. Już sama liczba informacji zawartych na tej stronicy przyprawiała o zawrót głowy. A połowy z nich w ogóle nie rozumiał.

– Mam dom? – zdziwił się Kylar.

– Miałeś. W tej kolumnie zaznaczono towary stracone w wyniku pożarów i łupieży. – Krzyżyki znajdowały się przy wszystkich pozycjach poza jedną wysyłką po jedwab i jedną po lubieżnicę. Stracił w zasadzie wszystko, co miał. – Żadna z tych dwóch wypraw nie wróci w ciągu najbliższych miesięcy, o ile w ogóle ma szansę. Jeśli Król-Bóg nadal będzie przechwytywał statki cywilne, możesz o nich

zapomnieć. Oczywiście, gdyby nie żył...

Widział, do czego to zmierza.

– Według tych rachunków moja część nadal jest warta dziesięć do piętnastu tysięcy. Sprzedam ci je za tysiąc. Tylko tyle potrzebuję.

Zignorowała go.

– Potrzebuję trzeciego siepacza, żeby robota na pewno wypaliła. Piętnaście tysięcy gunderów za jedną śmierć. Mając tyle, możesz zabrać Elene i Uly, dokąd zechcesz. Wyświadczysz światu przysługę i nigdy więcej nie będziesz musiał pracować. To naprawdę ostatnia robota.

Wahał się tylko chwilę.

– Zawsze tak się mówi. Już z tym skończyłem.

– To z powodu Elene, prawda? – zapytała Mama K.

– Myślisz, że człowiek może się zmienić? Spojrzała na niego z głębokim smutkiem.

– Nie. I ostatecznie znienawidzi wszystkich, którzy go o to proszą. Kylar wstał i wyszedł. W korytarzu wpadł na Jarla. Przyjaciel szczerzył zęby, jak kiedyś, gdy byli dzieciakami dorastającymi na ulicy i zamierzał wykręcić jakiś numer. Był ubrany według najnowszej mody: w długą tunikę z przesadnie podkreślonymi ramionami, a do tego w wąskie spodnie wpuszczone w wysokie buty. Prezentował się nieco z khalidorska. Włosy miał zaplecione w cieniutkie warkoczyki ze złotymi paciorkami, które podkreślały jego ciemną karnację.

– Mam dla ciebie idealną robotę – powiedział ściszonym głosem

Jarl, wcale nie wstydząc się tego, że podsłuchiwał.

– Bez zabijania?

– Nie całkiem.

***

– Wasza Świątobliwość, tchórze są gotowi zmazać swoją winę – ogłosił Vürdmeister Neph Dada głosem niosącym się ponad tłumem.

Był starym człowiekiem, żylastym, o skórze pokrytej starczymi plamami, zgarbionym i śmierdzącym śmiercią, którą trzymał na dystans za pomocą magii. Oddech grał mu w piersi po wysiłku, jakim było wspinanie się na platformę na głównym dziedzińcu Zamku Cenaria. Dwanaście sznurów z węzłami zwisało mu z ramion okrytych czarnymi szatami, na znak dwunastu shu'ra, które opanował. Neph z trudem ukląkł i podał garść słomek Królowi-Bogu.

Król-Bóg Garoth Ursuul stał na platformie i przeprowadzał inspekcję wojsk. Z przodu, na środku stało blisko dwustu graavarskich górali – wysokich, barczystych błękitnookich dzikusów, z krótkimi ciemnymi włosami i długimi wąsami. Po obu ich stronach stały rekrutujące się z innych górskich plemion elitarne oddziały, które zajęły zamek. Za nimi czekała reszta wojsk, które wmaszerowały do Cenarii już po jej wyzwoleniu.

Znad Plith, opływającej zamek z obu stron, podnosiła się mgła i przesączała pod zardzewiałymi kratami w bramach, przynosząc ze sobą chłód. Graavarowie zostali podzieleni na piętnaście grup po

trzynastu. Tylko oni nie mieli żadnej broni, zbroi czy choćby tunik. Stali w samych spodniach, z nieruchomymi, bladymi twarzami, ale zamiast drżeć w chłodzie jesiennego poranka, pocili się.

Kiedy Król-Bóg dokonywał inspekcji wojsk, nigdy nie było przy tym wrzawy, ale dzisiaj – chociaż zgromadziły się tysiące gapiów – panowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach. Garoth zebrał wszystkich żołnierzy i pozwolił przyglądać się inspekcji także cenaryjskim służącym, arystokratom i pospólstwu. Meisterowie w czarno-czerwonych krótkich pelerynach stali ramię w ramię z Vürdmeisterami w długich szatach, żołnierzami, wieśniakami, bednarzami, arystokratami, parobkami, pokojówkami, żeglarzami i cenaryjskimi szpiegami.

Król-Bóg miał na sobie szeroki biały płaszcz obszyty gronostajami, w którym jego szerokie ramiona wydawały się wręcz ogromne. Pod spodem nosił białą tunikę bez rękawów i szerokie białe spodnie. W białym stroju jego blada, khalidorska cera wydawała się wręcz widmowa, a ponadto biel przyciągała wzrok gapiów do virów wijących się na jego skórze. Czarne pędy mocy wypłynęły na powierzchnię rąk Ursuula. Potężne węzły wnosiły się i opadały; sploty obrębione cierniami poruszały się nie tylko w przód i w tył, ale też w górę i w dół, jak fale, przeciskając się przez skórę – jakby od środka szarpały ją szpony. Viry nie ograniczały się tylko do rąk. Okalały twarz Króla-Boga. Wspięły się na jego łysą czaszkę i przebiły skórę, tworząc ciernistą, drżącą czarną koronę. Garothowi spływała Krew po skroniach.

Wielu Cenaryjczyków dziś po raz pierwszy zobaczyło Króla-Boga. Rozdziawili usta. Drżeli, kiedy padał na nich jego wzrok. Dokładnie taki był jego zamiar.

Wreszcie Garoth wziął jedną słomkę od Nepha Dady i przełamał ją. Odrzucił jedną połówkę i wziął pozostałe dwanaście całych słomek.

– Niech więc Khali przemówi – powiedział głosem buzującym mocą.

Dał znać Graavarom, żeby weszli na podwyższenie. Podczas akcji wyzwolenia dostali rozkaz utrzymania tego dziedzińca razem z uwięzionymi na nim cenaryjskimi arystokratami, którzy później mieli zostać zgładzeni. Zamiast tego Graavarowie dali się rozgromić, a Terah Graesin i jej arystokraci uciekli. To było niedopuszczalne, niepojęte i całkiem niepodobne do zaciekłych Graavarów. Garoth nie pojmował, co sprawiło, że jednego dnia walczyli, a drugiego uciekli.

Za to doskonale rozumiał hańbę. Przez ostatni tydzień Graavarowie wywozili gnój ze stajni, opróżniali nocniki, szorowali podłogi. Nie pozwalano im spać; zamiast tego całymi nocami polerowali broń i zbroje lepszych od siebie. Dzisiaj odpokutują swoją winę i przez następny rok będą się rwali, żeby udowodnić swoją odwagę. Podchodząc do pierwszej grupy z Nephem u boku, Garoth uspokoił vir na rękach. Kiedy mężczyźni ciągnęli słomki, nie mogli myśleć, że to za sprawą magii albo dla osobistej przyjemności Króla-Boga jeden został ocalony, podczas gdy inny skazany. Musieli wiedzieć, że to po prostu los, nieuchronny skutek ich własnego

tchórzostwa.

Garoth uniósł ręce i wszyscy Khalidorczycy wspólnie się pomodlili:

– *Khali vas, Khalivos ras en me, Khali mevirtu rapt, recu virtum defite.*

Kiedy słowa wybrzmiały, podszedł pierwszy żołnierz. Miał niecałe szesnaście lat, nad ustami rysował mu się ledwie cień wąsów.

Wyglądał, jakby miał zaraz upaść, kiedy oderwał wzrok od lodowatej twarzy Garotha i spojrzał na słomki. Jego naga pierś błyszczała od potu w świetle poranka, a wszystkie mięśnie drżały. Wyciągnął słomkę. Długą.

Połowa napięcia spłynęła z jego ciała, ale tylko połowa. Młody mężczyzna, który stał obok młodzika, był do niego bardzo podobny – pewnie starszy brat. Oblizał usta i wyciągnął słomkę.

Krótką.

Przyprawiająca o mdłości ulga ogarnęła resztę oddziału. Widząc ich reakcję, tysiące obserwatorów, niemogących zobaczyć krótkiej słomki, wiedziało, że została wyciągnięta. Mężczyzna, który ją wylosował, spojrzał na młodszego brata. Chłopak odwrócił wzrok. Skazany spojrzał z niedowierzaniem na Króla-Boga i oddał mu krótką słomkę.

Garoth się odsunął.

– Khali przemówiła – oznajmił.

Wszyscy wzięli wdech, a on skinął na oddział.

Górale otoczyli młodego człowieka – wszyscy co do jednego,

nawet jego brat – i zaczęli go bić.

Trwałoby to krócej, gdyby Garoth pozwolił żołnierzom włożyć kolcze rękawice, posłużyć się drzewcami włóczni albo płazem mieczy, ale uważał, że tak będzie lepiej. Kiedy zacznie płynąć krew i polecą kawałki obitego ciała, nie powinny pobrudzić mundurów. Powinny dotknąć bezpośrednio ich skóry. Niech poczują ciepło krwi umierającego mężczyzny. Niech poznają cenę tchórzostwa. Khalidorczycy nie uciekają.

Oddział bił z werwą. Krąg się zacieśniał, a krzyk narastał. Było coś intymnego w nagim ciele uderzającym w nagie ciało. Młody mężczyzna zniknął i było widać tylko łokcie, unoszące się i znikające przy każdym ciosie, stopy biorące zamach do kolejnego kopniaka. Po chwili pokazała się również krew. Wyciągnąwszy krótką słomkę, ten młody człowiek stał się ich słabością. Tak postanowiła Khali. Nie był już bratem czy przyjacielem – był wszystkim tym, co zrobili źle.

Po dwóch minutach nie żył.

Żołnierze, zbryzgani krwią i dyszący z wysiłku i emocji, ustawili się z powrotem w szyku. Nie patrzyli na trupa pod nogami. Garoth przyjrzał się każdemu z osobna, patrząc im w oczy; najdłużej zatrzymał się przy bracie. Potem stanął nad trupem i wyciągnął rękę. Vir przebił się przez nadgarstek, wysunął się niczym szpony i złapał głowę trupa. Szpony zadrgały konwulsyjne i oderwały głowę z wilgotnym odgłosem, który przyprawił o mdłości dziesiątki Cenaryjczyków.

– Wasza ofiara została przyjęta. Jesteście oczyszczeni – ogłosił i

zasalutował.

Z dumą odpowiedzieli na salut i zajęli swoje miejsce na dziedzińcu, podczas gdy ciało odciągano na bok.

Garoth skinął na następny oddział. Każde z kolejnych czternastu powtórzeń będzie dokładnie takie samo. Chociaż napięcie wśród żołnierzy nie opadło – nawet w oddziałach, które już skończyły, ktoś mógł jeszcze stracić przyjaciela lub krewniaka w innym oddziale – Garoth stracił zainteresowanie.

– Neph, powiedz mi, czego się dowiedziałeś o tym człowieku, o tym „Aniele Nocy", który zabił mojego syna.

***

Zamek Cenaria nie znajdował się wysoko na liście miejsc, które Kylar chciałby odwiedzić. Przebrał się za garbarza – zmywalną farbą pobrudził dłonie i przedramiona, poplamił wełnianą, rzemieślniczą tunikę i spryskał się kilkoma kroplami specjalnego pachnidła, którego recepturę obmyślił jego nieżyjący mistrz, Durzo Blint. Śmierdział tylko odrobinę mniej niż prawdziwy garbarz. Durzo zawsze chętnie przebierał się za garbarzy, hodowców świń, żebraków i tego typu osobników, których szanowani obywatele starali się nie zauważać, bo nie mogli znieść ich odoru. Perfumy nakładało się tylko na wierzchnią odzież, którą w razie potrzeby można było szybko zrzucić. Część smrodu nadal zostawała na skórze, ale każde przebranie ma swoje wady. Sztuka polegała na tym, żeby dopasować wady do zlecenia.

Wschodni Most Królewski spłonął w czasie przewrotu i chociaż meisterowie naprawili go na trzech czwartych długości, nadal był zamknięty, więc Kylar przekroczył rzekę Zachodnim Mostem Królewskim. Khalidorscy strażnicy ledwo na niego zerknęli, gdy ich mijał. Uwaga wszystkich, nawet meisterów, skupiała się na podwyższeniu pośrodku centralnego dziedzińca zamkowego i grupie górali, półnagich mimo chłodu. Kylar zignorował oddział na platformie i rozejrzał się, sprawdzając, czy nic mu nie grozi. Nadal nie był pewien, czy meisterowie nie widzą jego Talentu, ale podejrzewał, że nie, dopóki z niego nie korzystał. Prawdopodobnie, ich zdolności wiązały się głównie z powonieniem – i właśnie z tego powodu zjawił się jako garbarz. Gdyby jakiś meister podszedł blisko, Kylar mógł mieć tylko nadzieję, że przyziemne zapachy stłumią woń magii.

Po czterech strażników czuwało po obu stronach bramy, po sześciu na każdym odcinku tworzących romb murów zamkowych, a jakiś tysiąc stał w szyku na dziedzińcu – nie licząc około dwustu graavarskich górali. W kilkutysięcznym tłumie rozmieszczono w regularnych odstępach pięćdziesięciu meisterów. Na samym środku, na prowizorycznym podwyższeniu znajdowało się kilkunastu cenaryjskich arystokratów, parę okaleczonych trupów i sam Król-Bóg Garoth Ursuul, który rozmawiał z Vürdmeisterem. To mogłoby się wydawać idiotyczne, ale nawet przy takiej liczbie żołnierzy i meisterów, prawdopodobnie był to najlepszy moment dla siepacza, żeby spróbować zabić Ursuula.

Kylar jednak nie zjawił się tutaj, żeby zabijać. Przyszedł

poobserwować człowieka, z myślą o najdziwniejszym zleceniu, jakie kiedykolwiek przyjął. Rozejrzał się w tłumie za osobą, o której opowiedział mu Jarl, i szybko ją odnalazł. Baron Kirof był wasalem Gyre'ów. Ponieważ jego pan lenny nie żył, a ziemie barona znajdowały się blisko miasta, jako jeden z pierwszych cenaryjskich arystokratów ugiął kolana przed Garothem Ursuulem. Był grubym mężczyzną o rudej brodzie przyciętej kanciasto na modłę Khalidorczyków z nizin, wielkim garbatym nosie, małym podbródku i krzaczastych brwiach.

Kylar podszedł bliżej. Baron Kirof pocił się, ocierał dłonie o tunikę i nerwowo zagadywał khalidorskich arystokratów, z którymi stał. Kylar właśnie obchodził wysokiego, śmierdzącego kowala, kiedy ten nagle zdzielił go łokciem w splot słoneczny.

Kylarowi zaparło dech, a kiedy się złożył wpół, ka'kari spłynęło mu do ręki i zamieniło się w sztylet naręczny.

– Chcesz mieć lepszy widok, to przychodź wcześniej, jak reszta – powiedział kowal.

Skrzyżował ręce, podciągając rękawy i popisując się potężnymi bicepsami.

Z pewnym wysiłkiem Kylar wymógł na ka'kari, żeby z powrotem wpłynęło w skórę, i przeprosił kowala, nie podnosząc wzroku. Kowal mruknął coś drwiącym tonem i wrócił do oglądania zabawy.

Kylar zadowolił się przyzwoitym widokiem na barona Kirofa. Król-Bóg przeszedł już między połową oddziałów, a bukmacherzy przyjmowali zakłady, który numer z każdej trzynastki umrze.

Khalidorscy żołnierze to zauważyli. Kylar zastanawiał się, ilu Cenaryjczyków umrze z powodu bezduszności bukmacherów, gdy khalidorscy żołnierze ruszą wieczorem w miasto pełni żalu po zmarłych i złości na Sa'kagé, plugawiące wszystko, czego się tknie.

Muszę uciec z tego przeklętego miasta.

Przy następnym oddziale już dziesięciu mężczyzn wzięło udział w losowaniu i żaden nie wyciągnął krótkiej słomki. Warto było popatrzeć, jak narasta w nich desperacja, kiedy kolejny sąsiad zostaje oszczędzony, a ich własne szanse coraz bardziej maleją. Jedenasty żołnierz, mężczyzna około czterdziestki, żylasty i chudy, wyciągnął krótką słomkę. Zagryzł koniec wąsa, oddając słomkę Królowi-Bogu, nie okazując emocji w żaden inny sposób.

Neph zerknął na duchessę Jadwin i jej męża siedzących na podwyższeniu.

– Zbadałem salę tronową i wyczułem coś, z czym nigdy wcześniej się nie zetknąłem. Cały zamek cuchnie magią, która zabiła wielu naszych meisterów, ale niektóre miejsca w sali tronowej zwyczajnie... nie pachną. Zupełnie, jakby wejść do domu po pożarze i trafić do jednego pokoju, w którym w ogóle nie czuć dymu.

Krew już bryzgała na wszystkie strony i Garoth był pewien, że mężczyzna nie żyje, oddział jednak nadal go bił, bił, bił...

– To nie pasuje do tego, co wiemy o srebrnym ka'kari – powiedział Garoth.

– Owszem, Wasza Świątobliwość. Myślę, że istnieje siódme ka'kari, sekretne. Podejrzewam, że neguje magię, i myślę, że ma je

Anioł Nocy.

Garoth rozważał te słowa, kiedy oddział ustawiał się ponownie w szyku, zostawiając przed sobą trupa. Twarz mężczyzny była zmasakrowana; a właściwie, trup nie miał twarzy... Imponująca robota. Oddział albo bardzo się starał, żeby udowodnić swoje oddanie, albo zwyczajnie nie lubił tego biednego łajdaka. Garoth z zadowoleniem skinął głową. Znowu wyciągnął pazur viru i zmiażdżył głowę trupa.

– Wasza ofiara została przyjęta. Jesteście oczyszczeni.

Dwóch jego osobistych strażników przeniosło trupa bliżej brzegu platformy. Ciała składano tam na krwawym stosie, więc nawet jeśli Cenaryjczycy nie widzieli samej śmierci, mogli zobaczyć jej owoce.

Kiedy następny oddział zaczął losować, Garoth powiedział:

– Ka'kari ukryte od siedmiuset lat? Czym ono obdarza? Umiejętnością chowania się? Jaka w tym korzyść dla mnie?

– Wasza Świątobliwość, mając takie ka'kari, ty albo twój człowiek moglibyście wejść do samego serca Oratorium i zabrać każdy skarb, jaki tam ukryto. Niezauważeni. Możliwe, że twój agent mógłby wkroczyć nawet do Lasu Ezry i zebrać dla ciebie artefakty mające siedemset lat. Niepotrzebne byłoby już wojsko i subtelność. Za jednym zamachem chwyciłbyś za gardło całe Midcyru.

Mój agent. Niewątpliwie Neph zgłosiłby się na ochotnika do wykonania tego niebezpiecznego zadania.

Sama myśl o istnieniu takiego ka'kari zaabsorbowała Garotha na dłuższą chwilę, podczas której zginęli dwaj mężczyźni w kwiecie

wieku, kolejny nastolatek i zaprawiony w boju żołnierz, odznaczony jednym z najwyższych orderów za zasługi, jakie przyznawał Król-Bóg. Jedynie w oczach ostatniego zabłysło coś pokrewnego zdradzie.

– Zbadaj to – powiedział Garoth.

Zastanawiał się, czy Khali wiedziała o tym siódmym ka'kari. Zastanawiał się, czy Dorian o nim wiedział. Dorian, jego pierwszy uznany syn. Dorian, który miał być jego następcą. Dorian prorok. Dorian zdrajca. Dorian zjawił się tutaj, Garoth był tego pewien. Tylko Dorian mógł przywieźć Curocha, potężny miecz Jorsina Alkestesa. Jakiś mag pojawił się z mieczem na jedną chwilę, unicestwił pięćdziesięciu meisterów i trzech Vürdmeisterów, a potem zniknął. Neph oczywiście czekał, aż Garoth go o to zapyta, ale Król-Bóg darował sobie poszukiwanie Curocha. Dorian nie był głupcem. Nie zbliżyłby się z Curochem tak bardzo, gdyby podejrzewał, że może go stracić. Jak można przechytrzyć człowieka, który widzi przyszłość?

Król-Bóg zmrużył oczy, miażdżąc kolejną głowę. Za każdym razem, gdy to robił, krew obryzgiwała jego śnieżnobiałe ubranie. To było celowe, ale mimo wszystko denerwujące; poza tym nie ma nic dostojnego w kroplach krwi lecących człowiekowi do oczu.

– Wasza ofiara została przyjęta – powiedział żołnierzom. – Jesteście oczyszczeni.

Stał na przodzie podwyższenia, kiedy mężczyźni zajmowali z powrotem swoje miejsce na dziedzińcu. Przez cały ten czas ani razu nie odwrócił się do Cenaryjczyków siedzących za nim na podwyższeniu. Zrobił to teraz.

Kiedy Król-Bóg się obrócił, vir ożył. Czarne pędy podpełzły do jego twarzy, wiły się na jego rękach, nogach, a nawet w źrenicach. Pozwalał im przez chwilę zasysać światło, stojąc spowity nienaturalną ciemnością mimo blasku jutrzenki. A potem przerwał to. Chciał, żeby arystokraci go widzieli.

Nie było osoby, która nie wytrzeszczałaby oczu. Nie tylko vir i majestat przynależny Garothowi tak ich oszołomiły. To trupy zrzucone na stos jak drewno na opał za jego plecami i po obu stronach podwyższenia, okalającego go jak rama. To jego szaty obryzgane krwią i mózgiem. Prezentował się wspaniale w swoim dostojeństwie i przerażająco w swym majestacie.

Być może, jeśli duchessa Trudana Jadwin przeżyje, każe namalować jej tę scenę.

Król-Bóg przyjrzał się arystokratom, a arystokraci na platformie przyglądali się jemu. Zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich policzył już, ilu ich zasiadło na podwyższeniu. Trzynaścioro.

Wyciągnął do nich dłoń ze słomkami.

– Śmiało – powiedział. – Khali was oczyści.

Tym razem nie zamierzał pozwolić, żeby to los zdecydował, kto umrze.

Komendant Gher spojrzał na Króla-Boga.

– Wasza Świątobliwość to musi być jakaś... – Urwał. Król-Bóg nie popełniał błędów. Z twarzy Ghera odpłynęła cała krew. Wyciągnął długą słomkę. Minęło kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że nie powinien zbyt wylewnie okazywać ulgi.

Większość pozostałych to byli pomniejsi arystokraci – mężczyźni i kobiety, którzy pełnili różne obowiązki w rządzie nieżyjącego króla Aleine'a Gundera IX. Łatwo było ich przekupić. Szantaż był banalnie prosty. Ale Garoth nic by nie zyskał, zabijając wyrobników, nawet jeśli go zawiedli.

To go doprowadziło do zlanej potem Trudany Jadwin. Była dwunasta w kolejce, a jej mąż był ostatni.

Garoth się zatrzymał. Mężczyzna i kobieta spojrzeli po sobie. Wiedzieli i każdy, kto na nich patrzył, wiedział, że jedno z nich umrze i wszystko zależy od losowania Trudany. Diuk nerwowo przełykał ślinę.

– Ze wszystkich zgromadzonych tu arystokratów ty, diuku Jadwinie, jesteś jedynym, który nigdy dla mnie nie pracował – powiedział Garoth. – Zatem to jasne, że mnie nie zawiodłeś. W przeciwieństwie do twojej żony.

– Co takiego? – zdumiał się diuk. Spojrzał na Trudanę.

– Nie wiedziałeś, że zdradzała cię z księciem? Zamordowała go na mój rozkaz – wyjaśnił Garoth.

Było coś pięknego w uczestniczeniu w scenie, która zdecydowanie powinna rozgrywać się bez świadków. Blada twarz diuka poszarzała. Najwidoczniej był jeszcze mniej spostrzegawczy niż większość rogaczy. Garoth obserwował, jak zrozumienie uderza w biednego mężczyznę. Każde mgliste podejrzenie, które odepchnął od siebie, każda nędzna wymówka, jaką usłyszał, waliły w niego teraz z całą siłą.

Co ciekawe, Trudana Jadwin również wyglądała na wstrząśniętą. Garoth spodziewał się, że Trudana wyceluje w męża palcem i powie mu, dlaczego to wszystko jest jego winą. Zamiast tego w jej oczach malowało się poczucie winy. Garoth domyślał się, że diuk był przyzwoitym mężem, i duchessa sama to wiedziała. Zdradzała go, bo tak chciała, a teraz dwadzieścia lat kłamstw spadło jej na głowę.

– Trudano – powiedział Król-Bóg, zanim któreś z nich się odezwało – dobrze mi służyłaś, ale mogłaś lepiej. Więc oto twoja nagroda i kara. – Wyciągnął do niej dłoń ze słomkami. – Krótsza słomka jest po twojej lewej.

Spojrzała w ciemne od viru oczy Garotha, na słomki i w końcu na męża. To była nieśmiertelna chwila. Garoth wiedział, że żałosne spojrzenie diuka będzie prześladować Trudanę Jadwin do końca jej życia. Król-Bóg nie miał wątpliwości, co duchessa wybierze, ale najwyraźniej Trudana uważała, że stać ją na poświęcenie się.

Zebrała się w sobie i sięgnęła po krótką słomkę, ale nagle jej ręka znieruchomiała. Spojrzała na męża, odwróciła wzrok i wyciągnęła długą słomkę.

Diuk zawył. To było cudne. Ten dźwięk przeszył serce każdego Cenaryjczyka na dziedzińcu. Idealnie poniósł przesłanie Króla-Boga: to mogłeś być ty.

Arystokraci – łącznie z Trudaną – otoczyli diuka. Każdy czuł się przeklęty, uczestnicząc w tym, ale mimo to uczestniczył.

– Kocham cię, Trudano – powiedział do żony diuk. – Zawsze cię kochałem.

A potem naciągnął płaszcz na twarz i zniknął wśród uderzających go kończyn.

Król-Bóg tylko się uśmiechnął.

***

Kiedy Trudana Jadwin wahała się, dokonując wyboru, Kylar pomyślał, że gdyby przyjął zlecenie Mamy K, teraz miałby doskonały moment na atak. Wszyscy patrzyli na podwyższenie.

Kylar odwrócił się do barona Kirofa. Obserwując szok i przerażenie na jego twarzy, zauważył, że na murach za baronem stoi tylko pięciu strażników. Szybko policzył raz jeszcze: sześciu, ale jeden z nich trzymał łuk i pęk strzał w ręku.

Pośrodku dziedzińca rozległ się przeraźliwy trzask i Kylar dostrzegł kątem oka, że tylna część prowizorycznego podwyższenia rozpadła się w drzazgi i załamała. Coś rozbłyskującego migoczącymi kolorami wzleciało w powietrze. Kiedy wszyscy spojrzeli w tę stronę, Kylar zerknął w przeciwną. Migocząca bomba wybuchła, wywołując niewielki wstrząs i rozbłyskując potwornym, oślepiającym białym światłem. Gdy setki oślepionych cywili i żołnierzy krzyczały, Kylar zobaczył, że szósty żołnierz z murów naciąga cięciwę. To był Jonus Brzytwa, siepacz, któremu przypisywano pięćdziesiąt ofiar. Strzała o złotym grocie poleciała w kierunku Króla-Boga.

Król-Bóg zasłaniał oczy rękami, ale już tarcze nadymały się wokół niego niczym bańki mydlane. Strzała uderzyła w jedną z nich,

ugrzęzła i wybuchła płomieniem, kiedy osłona się rozprysła. Już leciała następna strzała, minęła rozpadającą się zewnętrzną tarczę i uderzyła w kolejną. Rozprysła się następna tarcza i jeszcze jedna – Jonus Brzytwa strzelał z zadziwiającą szybkością. Korzystał z Talentu, podtrzymując kolejne strzały w powietrzu, więc kiedy tylko puszczał cięciwę, następna strzała już była pod ręką do założenia. Tarcze rozpadały się szybciej, niż Król-Bóg był w stanie je odnawiać.

Ludzie krzyczeli oślepieni. Pięćdziesięciu meisterów wokół dziedzińca ustawiało tarcze wokół siebie, ścinając z nóg wszystkich wokół.

Siepacz, który chował się pod podwyższeniem, wskoczył na platformę, zachodząc Króla-Boga od tyłu. Zawahał się, kiedy ostatnia falująca tarcza rozkwitła kilka cali od skóry Ursuula, a Kylar zobaczył, że to wcale nie był siepacz, tylko dzieciak. Może czternastoletni, uczeń Jonusa Brzytwy. Chłopak był tak skupiony na Królu-Bogu, że nawet się nie trzymał nisko i znieruchomiał. Kylar usłyszał brzęk cięciwy w pobliżu i zobaczył, że chłopak pada, właśnie kiedy rozprysła się ostatnia tarcza Króla-Boga.

Ludzie rzucili się do bram, tratując sąsiadów. Kilku meisterów, nadal oślepionych i spanikowanych, wystrzeliło zielone pociski w tłum i otaczających go żołnierzy. Jeden z osobistych gwardzistów Króla-Boga próbował go złapać i osłonić. Oszołomiony monarcha źle zinterpretował ten ruch i potężne uderzenie virem cisnęło ogromnym góralem prosto w arystokratów na platformie.

Kylar odwrócił się, żeby sprawdzić, kto zabił ucznia siepacza.

Raptem sto koków od niego stał Hu Szubienicznik, rzeźnik, który wyrżnął całą rodzinę Logana Gyrea, najlepszy siepacz w mieście od śmierci Durzo Blinta.

Jonus Brzytwa już uciekał, nie tracąc ani chwili na rozpacz z powodu śmierci ucznia. Hu wypuścił drugą strzałę i Kylar zobaczył, jak wbiła się w plecy Jonusa. Siepacz spadł z murów i zniknął im z oczu, ale Kylar nie wątpił, że nie żyje.

Hu Szubienicznik zdradził Sa'kagé, a teraz uratował Króla-Boga. Ka'kari pojawiło się w dłoni Kylara, zanim nawet zdał sobie z tego sprawę. Nie chciałem zabić architekta zniszczenia Cenarii, a teraz gotowy jestem zabić jego ochroniarza? Oczywiście nazwanie Hu Szubienicznika ochroniarzem to jak nazwanie niedźwiedzia zwierzęciem futerkowym, ale fakt pozostawał faktem. Kylar wciągnął ka'kari z powrotem w skórę.

Kryjąc się, żeby Hu nie zobaczył jego twarzy, Kylar dołączył do strumienia spanikowanych Cenaryjczyków wylewających się przez zamkową bramę.

2

Posiadłość Jadwinów przetrwała pożary, które zamieniły tak znaczną część miasta w pogorzelisko. Kylar przyszedł pod pilnie strzeżoną główną bramę, a strażnicy bez słowa otworzyli mu boczną furtkę. Po drodze do posiadłości zatrzymał się tylko, żeby zrzucić przebranie garbarza i pozbyć się smrodu, szorując ciało alkoholem. Był pewien, że zjawił się przed duchessą, ale wieść o śmierci diuka dotarła szybciej. Strażnicy mieli ręce przewiązane czarnymi pasami materiału.

– To prawda? – zapytał jeden z nich.

Kylar skinął głową i ruszył do chatki za rezydencją, gdzie mieszkali Cromwyllowie. Elene była ostatnią sierotą, jaką Cromwyllowie przygarnęli. Jej rodzeństwo dawno temu wyprowadziło się, znajdując sobie inną pracę albo idąc na służbę do innych domów. Tylko jej przybrana matka nadal pracowała dla Jadwinów. Od czasu przewrotu Kylar, Elene i Uly zamieszkali tu razem. Nie mieli wyboru, ponieważ wszystkie kryjówki Kylara spłonęły albo znalazły się poza ich zasięgiem. A że wszyscy myśleli, że Kylar nie żyje, nie chciał zatrzymać się w żadnej kryjówce Sakage, gdzie ktoś mógłby go rozpoznać. Zresztą, wszystkie kryjówki pękały w szwach. Nikt nie chciał zostać na ulicach, na których grasowali Khalidorczycy.

Nikogo nie było w chatce, więc Kylar poszedł do kuchni w rezydencji. Jedenastoletnia Uly stała na stołku i pochylała się nad

wodą z mydlinami, zmywając rondle. Kylar wszedł, złapał ją pod ramię, zakręcił nią, aż zapiszczała, i postawił na stole. Srogo spojrzał na dziewczynkę.

– Pilnowałaś, żeby Elene nie wpakowała się w żadne kłopoty, jak ci kazałem?

– Próbowałam, ale obawiam się, że to beznadziejny przypadek. – Uly westchnęła.

Kylar zaśmiał się, a dziewczynka mu zawtórowała. Wychowywali ją służący na Zamku Cenaria, utrzymując ją dla jej własnego bezpieczeństwa w przeświadczeniu, że jest sierotą. Tak naprawdę była córką Mamy K i Durzo Blinta. Durzo dowiedział się o jej istnieniu w ostatnich dniach życia i Kylar obiecał mu, że zaopiekuje się dziewczynką. Po początkowych trudnościach związanych z wytłumaczeniu małej, że nie jest jej ojcem, sprawy ułożyły się lepiej, niż Kylar się spodziewał.

– Beznadziejny? Już ja ci pokażę beznadziejny przypadek – odezwał się ktoś.

Elene wniosła wielki sagan z warstwą tłuszczu na ściankach po wczorajszym gulaszu i wstawiła go do wody, w której Uly myła naczynia.

Dziewczynka jęknęła, a Elene się zaśmiała. Kylar nie mógł wyjść z podziwu, jak się zmieniła w ciągu raptem tygodnia – a może zmienił się sposób, w jaki ją postrzegał? Elene nadal miała grube blizny, które zafundował jej w dzieciństwie Szczur: jeden krzyż przez usta i drugi na policzku oraz łuk od brwi do kącika ust. Ale Kylar ledwo je

zauważał. Teraz dostrzegał tylko promienną cerę, oczy błyszczące inteligencją i szczęściem, krzywy uśmieszek, ale nie z powodu szramy, tylko dlatego, że celowo był szelmowski. A to, jakim cudem kobieta mogła wyglądać tak wspaniale w skromnej, wełnianej sukience dla służącej i w fartuchu, było dla niego jedną z największych zagadek wszechświata.

Elene zdjęła fartuch z haka i spojrzała na Kylara z niebezpiecznym błyskiem w oku.

– Och, nie. Nie ja – zaprotestował.

Zarzuciła mu pętlę od fartucha przez głowę i przyciągnęła go do siebie powoli i uwodzicielsko. Patrzyła się na jego wargi, a on nie mógł oderwać oczu od jej ust, kiedy zwilżyła je językiem.

– Myślę... – zaczęła niskim głosem, przesuwając rękoma po jego bokach – że...

Uly odkaszlnęła głośno, ale żadne z nich nie zwróciło na nią uwagi.

Elene przyciągnęła go do siebie, kładąc mu ręce na krzyżu, odchylając głowę lekko do tyłu i podsuwając usta. Słodki zapach wypełnił mu nozdrza...

– ...że tak jest o wiele lepiej.

Mocno zawiązała troczki od fartucha na jego krzyżu, natychmiast go wypuściła z objęć i odsunęła się.

– Teraz możesz mi pomóc. Wolisz kroić ziemniaki czy cebulę?

Obie z Uly zaśmiały się, widząc jego oburzenie.

Kylar skoczył naprzód, a Elene próbowała zrobić unik, on jednak

złapał ją za pomocą Talentu. Ćwiczył w ciągu ostatniego tygodnia i chociaż jak do tej pory był w stanie przedłużyć zasięg rąk tylko o mniej więcej długość kroku, tym razem tyle wystarczyło. Przyciągnął Elene i pocałował ją. Nie broniła się zbytnio i odwzajemniła pocałunek z zapałem. Przez chwilę cały świat sprowadzał się do miękkości jej ust i bliskości ciała.

Gdzieś obok nich Uly zaczęła wydawać dźwięki jakby wymiotowała.

Kylar sięgnął ręką i chlapnął mydlinami w stronę irytujących dźwięków. Odgłos wymiotów nagle się urwał, ustępując miejsca piskowi. Elene wyplątała się z objęć i zasłoniła usta, powstrzymując śmiech.

Kylarowi udało się zmoczyć twarz Uly. Uniosła rękę i chlapnęła wodą w niego, a on się nie uchylił. Potargał jej wilgotne włosy, chociaż wiedział, że tego nie znosiła, i powiedział:

– No dobra, smarkulo, należało mi się. A teraz rozejm. Gdzie te ziemniaki?

Gładko przeszli do prostej, kuchennej rutyny. Elene zapytała go, co widział i czego się dowiedział. Cały czas sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje, opowiedział jej, jak obserwował barona i bezradnie patrzył na próbę zamachu. Takie rozmowy to pewnie najnudniejsza rzecz w życiu par, ale Kylarowi odmawiano takich nudnych luksusów codziennej miłości przez całe życie. Dzielenie się, zwyczajne mówienie prawdy osobie, którą się kocha, okazało się niezmiernie cenne. Siepacz, jak uczył go Durzo, musi umieć porzucić wszystko w

jednej chwili. Siepacz jest zawsze sam.

I właśnie taka chwila, ta prosta bliskość była powodem, dla którego Kylar skończył z drogą cienia. Spędził ponad połowę życia, niezmordowanie trenując, żeby zostać idealnym zabójcą. Już nie chciał zabijać.

– Potrzebowali trzeciej osoby do tej roboty – powiedział Kylar. – Czujki i wsparcia dla scyzoryka. Dalibyśmy radę. Idealnie wybrali moment. Jedna sekunda różnicy, a udałoby im się we dwóch. Gdybym był tam z nimi, Hu Szubienicznik i Król-Bóg już by nie żyli. Mielibyśmy pięćdziesiąt tysięcy gunderów. – Urwał, gdy naszła go ponura myśl. – Gunderów. Chyba już nie będą tak ich nazywać, skoro wszyscy Gunderowie nie żyją. – Westchnął.

– Chcesz wiedzieć, czy podjąłeś właściwą decyzję – powiedziała Elene.

– Tak.

– Kylar, zawsze i wszędzie znajdą się ludzie tak źli, że naszym zdaniem będą zasługiwać tylko na śmierć. W zamku, kiedy Roth... ranił cię, niewiele brakowało, a sama spróbowałabym go zabić. Jeszcze jedna chwila dłużej, a... sama nie wiem. Wiem jednak, co mi powiedziałeś na temat zabijania i tego, jak wpływa na twoją duszę. Niezależnie od tego, ile dobra przynosi to światu, ciebie to niszczy. Nie mogę na to patrzeć. Nie będę. Za bardzo mi na tobie zależy.

To był jedyny warunek, jaki postawiła, zgadzając się opuścić miasto z Kylarem – że porzuci zabijanie i przemoc. Nadal czuł się zagubiony. Nie miał pewności, czy podejście Elene jest słuszne, ale

zobaczył wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że podejście Durzo i Mamy K nie było.

– Naprawdę wierzysz, że przemoc rodzi przemoc? Że ostatecznie mniej niewinnych ludzi zginie, jeśli ja przestanę zabijać?

– Naprawdę.

– W porządku. Zatem muszę dzisiejszego wieczoru załatwić pewną sprawę. Rano będziemy mogli wyjechać.

3

Dno Piekła to nie było miejsce dla króla. Stosownie do nazwy Dno znajdowało się na najniższym krańcu cenaryjskiego więzienia nazywanego Paszczą. Wejście do Paszczy było demonicznym obliczem wyrzeźbionym w czarnym szkle wulkanicznym. Więźniów prowadzano rampą prosto do otwartych ust, która często była śliska, gdy ze strachu więźniowie tracili kontrolę nad zwieraczami. Na samym Dnie zaniechano popisów w sztuce kamieniarskiej, stawiając zamiast tego na zwykły, instynktowny strach, jaki budzą ciasne przestrzenie, ciemność, przepaści, upiorne wycie wiatru wznoszącego się z głębin oraz świadomość, że każdego więźnia, z którym będzie się dzielić Dno, uznano za niegodnego czystej śmierci. Na Dnie panował nieubłagany upał i cuchnęło siarką oraz ludzkimi nieczystościami w trzech postaciach: gówna, trupów i brudnych ciał. Paliła się tylko jedna pochodnia umieszczona wysoko w górze po drugiej stronie kraty, która oddzielała te dwunożne zwierzęta od reszty więźniów w Paszczy.

Jedenastu mężczyzn i jedna kobieta dzielili Dno razem z Loganem Gyre. Nienawidzili go z powodu jego noża, mocnego ciała i akcentu człowieka wykształconego. Jakimś cudem nawet wśród tej koszmarnej menażerii składającej się z dziwadeł i zwyrodnialców Logan się wyróżniał.

Siedział zwrócony plecami do ściany. Była tam tylko jedna ściana, bo Dno miało kształt koła. Pośrodku znajdowała się dziura

szeroka na pięć kroków, która prowadziła w otchłań. Ściany przepaści były idealnie pionowe, idealnie gładkie, ze szkliwa wulkanicznego. Nie sposób zgadnąć, jak głęboko sięgała. Kiedy więźniowie zrzucali kopniakami nieczystości do dziury, nie było słychać żadnego dźwięku. Jedynym, co wydostawało się z tej dziury, był duszący smród siarczanego piekła, a sporadycznie wycie wiatru... A może duchów? Albo udręczonych dusz zmarłych...?

Początkowo Logan zastanawiał się, dlaczego współwięźniowie załatwiają się pod ścianą i dopiero później – o ile w ogóle – skopują nieczystości do dziury. Za pierwszym razem, kiedy musiał iść za potrzebą, zrozumiał: tylko wariat przykucnąłby przy dziurze. Tu na dole nie można było w żaden sposób narażać się na atak. Kiedy jeden więzień musiał przejść obok drugiego, przesuwał się szybko i nieufnie, warcząc, sycząc i wyrzucając z siebie przekleństwa takim strumieniem, że słowa traciły wszelkie znaczenie. Zepchnięcie drugiego więźnia do dziury to był najprostszy sposób zabicia go.

Co gorsza, skalny pierścień, który otaczał przepaść, miał tylko trzy kroki szerokości i dodatkowo opadał lekko ku dziurze. Ten skrawek skały to był cały świat Mętów. Wąski, śliski przedsionek śmierci. Logan nie spał od siedmiu dni – od przewrotu. Zamrugał. Siedem dni. Zaczynał słabnąć. Nawet Piątak, który zdobył większość z ostatniego posiłku, nie jadł od czterech dni.

– Przynosisz pecha, Trzynasty – powiedział Piątak, piorunując go wzrokiem. – Nie karmili nas, odkąd się zjawiłeś.

Piątak był jedynym, który nazywał go Trzynastym. Reszta

zaakceptowała imię, które sam sobie nadal w chwili szaleństwa: Król.

– Chciałeś powiedzieć: odkąd pożarłeś ostatniego strażnika? – zapytał Logan. – Nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z obecnym stanem rzeczy?

Wszyscy się zaśmiali oprócz przygłupa Zgrzytacza, który tylko uśmiechnął się bezmyślnie, odsłaniając spiłowane na ostro zęby. Piątak nic nie powiedział, tylko dalej przeżuwał i rozciągał w rękach linę. Już nosił na sobie zwój tak gruby, że niemal przesłaniał jego równie żylastą jak sam sznur sylwetkę. Piątak wzbudzał największy strach spośród wszystkich więźniów. Logan nie nazwałby go przywódcą, bo to sugerowałoby, że wśród więźniów panuje jakiś porządek społeczny. Ci ludzie byli jak zwierzęta: zarośnięci, tak brudni, że nie sposób powiedzieć, jakiego koloru była ich skóra przed uwięzieniem, patrzący dziko i strzygący uszami na najlżejszy odgłos. Wszyscy spali czujnie. I, odkąd Logan się tu zjawił, zjedli dwóch ludzi.

„Zjawił”? Po prostu tu wskoczyłem. A mogłem po prostu szybko umrzeć. Teraz będę siedział tu wieczność, a przynajmniej do chwili, kiedy mnie pożrą. Na bogów, oni mnie zjedzą!

Od narastającego przerażenia i rozpaczy jego uwagę oderwał ruch po drugiej stronie Dna. To była Lilly. Ona jedna nie przywierała do ściany. Nie zważała na dziurę, nie bała się. Jakiś mężczyzna złapał ją za sukienkę.

– Nie teraz, Jake – powiedziała do jednookiego mężczyzny. Jake trzymał ją jeszcze chwilę, ale kiedy poruszyła znacząco brwią, puścił

jej sukienkę, klnąc przy tym. Lilly usiadła obok Logana. To była prosta kobieta w nieokreślonym wieku. Mogła mieć około pięćdziesiątki, ale Logan domyślał się, że bliżej jej do dwudziestki – nadal miała większość zębów.

Nie odzywała się przez dłuższy czas. A potem, kiedy już zainteresowanie jej zmianą miejsca osłabło, podrapała się z roztargnieniem w krocze i powiedziała:

– Co zamierzasz? Głos miała młody.

– Zamierzam wyjść stąd i zamierzam odzyskać królestwo.

– Trzymasz się tej gadki o Królu. Będą myśleli, że zwariowałeś. Widzę, że rozglądasz się jak zagubiony dzieciak. Żyjesz ze zwierzętami. Jeśli chcesz przeżyć, musisz być potworem. Chcesz się czegoś trzymać, schowaj to głęboko. A potem rób co trzeba. – Klepnęła się w kolano i poszła do Jake'a.

Po kilku chwilach Jake się z nią parzył. Zwierzęta w ogóle się tym nie przejęły. Nawet nie patrzyły.

***

Szaleństwo już go dopadało. Dorian trzymał się w siodle tylko dzięki instynktowi. Świat zewnętrzny wydawał się daleki, nieważny, ukryty za mgłą, podczas gdy wizje były bliskie, żywe, intensywne. Gra trwała i pionki się przesuwały, a wizja Doriana rozrosła się jak nigdy dotąd. Anioł Nocy ucieknie do Caernarvon; jego moce rosły, ale on ich nie używał.

Co ty wyprawiasz, chłopcze? Dorian chwycił się tego życia i zaczął je badać wstecz. Rozmawiał z Kylarem raz i przepowiedział mu śmierć. Teraz już wiedział, dlaczego nie przewidział też tego, że Anioł Nocy umrze, a zarazem nie umrze. Durzo go zmylił. Dorian widział, że życie Durzo przeplata się z wieloma innymi żywotami. Widział to, ale nie rozumiał.

Kusiło go, żeby spróbować wyśledzić wstecz wszystkie żywoty Durzo aż do pierwszego, kiedy Durzo otrzymał ka'kari, które teraz miał Kylar. Kusiło go, żeby sprawdzić, czy zdołałby odnaleźć życie Ezry Szalonego – z pewnością takie życie płonęłoby tak jasno, że nie sposób je przeoczyć. Może wtedy mógłby podążyć za Ezrą, dowiedzieć się, co wielki mag wiedział, dowiedzieć się, jak tę wiedzę zdobył. Ezra stworzył ka'kari siedem wieków temu, a ka'kari uczyniło Kylara nieśmiertelnym. Tylko trzy kroki do jednego z najbardziej szanowanych i potępianych magów w historii. Trzy kroki! Trzy kroki do odnalezienia kogoś tak sławnego, kto nie żył od tak dawna. To było kuszące, ale zajęłoby sporo czasu. Może wiele miesięcy. Ale, och, jakich rzeczy mógłby się dowiedzieć!

Dowiedziałbym się wiele o przeszłości, podczas gdy teraźniejszość się rozpada. Skup się, Dorianie, skup.

Czepiając się z powrotem życia Kylara, Dorian prześledził je od dzieciństwa w Norach, przyjaźni z Elene i Jarlem, poprzez gwałt na Jarlu, okaleczenie Elene, do pierwszego zabójstwa jedenastoletniego Kylara, terminowania u Durzo i nauki u Mamy K, kojącego wpływu hrabiego Drake’a, przyjaźni z Loganem, ponownego spotkania z

Elene, kradzieży ka'kari, przewrotu na zamku, zabicia mistrza i odszukania Rotha Ursuula.

Mojego młodszego brata, pomyślał Dorian, i potwora, jakim kiedyś sam byłem.

Skup się, Dorianie. Wydawało mu się, że coś usłyszał, krzyk, jakieś poruszenie w przyziemnym świecie, ale nie pozwolił, żeby znowu coś go rozproszyło. Tu! Patrzył, jak Kylar w imię sprawiedliwości otruł Mamę K i jak w imię miłosierdzia dał jej antidotum.

Dorian wiedział, jakich wyborów dokonał ten młody człowiek, ale nie wiedząc dlaczego, nie był w stanie zgadnąć, jaką drogę obierze w przyszłości Kylar. Chłopak już nie raz obrał mniej oczywistą ścieżkę, albo wręcz niemożliwą drogę. Mając wybór między odebraniem życia swojej miłości a odebraniem go swojemu mentorowi, zdecydował się oddać własne. Byk podsunął oba rogi, a Kylar przeskoczył nad głową byka. To Kylar się liczył. W tej chwili Dorian widział nagą duszę młodzieńca.

Teraz cię mam, Kylarze. Teraz cię znam.

Dorian poczuł nagły ból w ręce, ale teraz, kiedy mocno złapał Kylara, nie zamierzał puścić. Kylar gorąco pragnął pogodzić brutalną rzeczywistość ulicy z pobożnymi impulsami hrabiego Drake’a, którymi się zaraził. Zaraził? To słowo przyszło od Kylara. Zatem, tak jak Durzo, widział w miłosierdziu słabość.

Będziesz piekielnie trudny, co?

Dorian zaśmiał się, obserwując, jak Kylar radzi sobie z

niekompetentnym Sa'kagé w Caernarvon, jak wybiera zioła, jak płaci podatki, jak się kłóci z Elene, jak stara się być normalnym człowiekiem. Jednakże nie radzi sobie za dobrze, presja narasta. Kylar wyjmuje szary strój siepacza, wychodzi na dachy – zabawne, że robi to niezależnie od wyborów, których dokonał do tej chwili – i pewnej nocy ktoś puka do drzwi i pojawia się Jarl, znowu stawiając Kylara między kobietą, którą kocha, i życiem, którego nienawidzi, a przyjaciółmi, których kocha, i życiem, którego powinien nienawidzić, między jednym obowiązkiem a drugim, między honorem a zdradą. Kylar to Cień o Zmierzchu, rosnący kolos, który jedną stopę postawił pośród dnia, a drugą w mrokach nocy. Jednakże cień to efemeryczne stworzenie i pomroka musi albo pociemnieć, przechodząc w noc, albo pojaśnieć, zamieniając się w dzień. Kylar otwiera drzwi dla Jarla i przyszłość się rozpada...

– Do diabła, Dorianie! – Feir uderza go.

Dorian nagle zdał sobie sprawę, że Feir musiał go spoliczkować już kilka razy, bo szczęka bolała go po obu stronach. Z jego lewą ręką będzie naprawdę źle. Patrzy, gorączkowo zbierając myśli i próbując odnaleźć właściwą szybkość czasu.

Zobaczył, że z ręki wystaje mu strzała. Czarna strzała khalidorskich górali. Zatruta.

Feir znowu go spoliczkował.

– Przestań! Przestań! – zawołał Dorian, wymachując rękami; natychmiast poczuł ból w lewej. Jęknął i zacisnął powieki, ale powrócił. Odzyskał zdrowe zmysły.

– Co się stało? – zapytał.

– Jeźdźcy – powiedział Feir.

– Banda idiotów, którzy chcieli zabrać coś do domu, żeby mieć się czym przechwalać – wyjaśnił Solon.

Rzecz jasna, tym czymś byłyby uszy Solona, Feira i Doriana. Jeden z czterech trupów już nosił naszyjnik z dwojga uszu. Wyglądały na świeże.

– Wszyscy nie żyją? – spytał Dorian. Był najwyższy czas zająć się strzałą.

Solon smętnie pokiwał głową, a Dorian wyczytał ze śladów historię krótkiej bitwy w ich obozie. Atak nastąpił, kiedy Feir i Dorian rozbijali obóz. Słońce właśnie wpadało w wąską przełęcz w paśmie gór Faltier i jeźdźcy nadjechali od zachodu, myśląc, że promienie oślepią przeciwnika. Dwóch łuczników próbowało osłaniać nadjeżdżających towarzyszy, ale strzelali ze wzniesienia ostro w dół i pierwszymi strzałami nie trafili.

Dalszy ciąg był z góry przesądzony. Solon niezgorzej władał mieczem, a Feir – niebosiężny, monstrualnie silny i szybki Feir – był Arcyszermierzem drugiego stopnia. Solon pozwolił Feirowi zająć się jeźdźcami. Nie zdążył uratować Doriana przed strzałą, ale za pomocą magii zabił obydwu łuczników. Cała walka zajęła pewnie mniej niż dwie minuty.

– Szkoda, bo są z klanu Churaq – powiedział Solon, szturchając jednego z wytatuowanych na czarno młodzików. – Z radością zabiliby tych łajdaków z klanu Hraagl, strzegących khalidorskiego taboru,

który ścigamy.

– Myślałem, że Wyjące Wichry są nie do zdobycia – odezwał się Feir. – Skąd jeźdźcy po tej stronie granicy?

Solon pokręcił głową. To przyciągnęło uwagę Doriana do jego włosów, które były całkiem czarne i tylko przy samej skórze pobielały. Odkąd Solon uśmiercił pięćdziesięciu meisterów za pomocą Curocha – niewiele brakowało, a zabiłby i siebie samego ilością magii, jakiej wtedy użył – zaczęły mu rosnąć siwe włosy. Nie szpakowate jak u starszego mężczyzny, ale śnieżnobiałe. Ostro kontrastowały z jego twarzą – twarzą mężczyzny w kwiecie wieku, przystojnego Sethyjczyka o oliwkowej cerze i rysach wyrzeźbionych przez wojskowe życie. Solon początkowo narzekał, że po użyciu Curocha wszystko widzi albo w dziwacznych kolorach, albo w czerni i bieli, ale najwyraźniej to już minęło.

– Nie do zdobycia, owszem – powiedział Solon. – I nie do przejścia dla wojska, zgadza się. Jednakże o tej porze roku, pod koniec lata, ci młodzi ludzie potrafią przejść przez góry. Mnóstwo ich ginie w trakcie wspinaczki, albo nadchodzi burza niewiadomo skąd i zmywa ich ze skały, ale jeśli mają szczęście i siłę, nic ich nie powstrzyma. Gotowy już jesteś z tą strzałą, Dorianie?

Chociaż wszyscy trzej mężczyźni byli magami, oczywiste było, że żaden przyjaciel mu nie pomoże, nie z tym. Dorian był Hoth'salarem, bratem Uzdrowicielem. Nadzieja, że uleczy własne nasilające się szaleństwo, sprawiła, że wspiął się na wyżyny kunsztu leczniczego.

Nagle z ręki Doriana, z ciała wokół grotu, pociekła woda.

– Co to było? – zapytał zielony na twarzy Feir.

– To był płyn z krwi, do której już przeniknęła trucizna. Cały jad powinien zostać na strzale, kiedy ją wyciągniesz – wyjaśnił Dorian.

– Ja? – zapytał Feir; niezdrowa bladość jego twarzy kłóciła się z potężną sylwetką.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Solon i sam wyrwał strzałę. Dorianowi zaparło dech. Feir musiał go złapać. Solon spojrzał na strzałę. Zadziory przygięto, żeby nie rozerwały ciała przy wyjmowaniu, ale drzewce było pokryte czarną skorupą krwi i trucizną, której Dorian nadał krystaliczną strukturę. To sprawiło, że drzewce zrobiło się trzy razy szersze.

Dorian jeszcze ciężko dyszał, ale fale magii już zaczęły tańczyć w powietrzu jak maleńkie świetliki, jak setka pajączków tkających lśniące pajęczyny, kobierce światła. Właśnie ta część robiła wrażenie na jego przyjaciołach. Teoretycznie każdy mag potrafił się uleczyć, ale z jakiegoś powodu nie tylko zwykle nie działało to najlepiej, ale też leczenie czegokolwiek poważniejszego niż niewielka rana było niesłychanie bolesne. Zupełnie jakby pacjent musiał poczuć każdy ból, podrażnienie i swędzenie, które wywołałaby rana w czasie całego okresu gojenia. Kiedy mag leczył kogoś innego, mógł znieczulić pacjenta. Gdy leczył siebie, znieczulenie groziło błędem i śmiercią. Z drugiej strony magi – kobiety magowie – nie miały takich problemów. Rutynowo leczyły same siebie.

– Jesteś niesamowity – powiedział Solon. – Jak ty to robisz?

– To kwestia koncentracji – odpowiedział Dorian. – Miałem sporo praktyki.

Uśmiechnął się, otrząsnął, jakby zrzucał z siebie zmęczenie, i w jednej chwili się ożywił. Był w pełni obecny duchem, co ostatnio zdarzało mu się coraz rzadziej.

Solon sposępniał. Szaleństwo Doriana było nieodwracalne. Będzie się nasilało, aż Dorian stanie się bełkocącym idiotą, sypiającym gdzieś przy drodze albo po stodołach. Nikt nie będzie go szanował i tylko raz, dwa razy do roku będą mu się przytrafiały chwile przytomności umysłu. Czasem te chwile będą przychodzić, kiedy w pobliżu nie znajdzie się nikt, kto by mu powiedział, jaką wiedzę kiedyś posiadł.

– Przestań – powiedział Solonowi Dorian. – Właśnie miałem objawienie. – Powiedział to ze znaczącym uśmieszkiem, dając do zrozumienia, że to było prawdziwe objawienie. – Idziemy złą drogą. A przynajmniej ty. – Dorian wskazał Feira. – Musisz podążać za Curochem na południe od Ceury.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Feir. – Myślałem, że jedziemy za mieczem. A poza tym moje miejsce jest przy tobie.

– Solonie, my dwaj musimy jechać na północ od Wyjących Wichrów.

–Chwileczkę... – zaczął Feir, ale oczy Doriana znowu się zaszkliły. Odpłynął. – Cudownie – mruknął Feir. – Po prostu cudownie. Przysięgam, że on to robi specjalnie.

4

Minęła północ, zanim Jarl zjawił się w małej chatce Cromwyllów. Spóźnił się ponad godzinę. Przybrana matka Elene spała we wspólnej sypialni, więc Kylar, Elene i Uly siedzieli w pokoju od frontu. Uly przysnęła oparta o Kylara, ale kiedy Jarl wszedł, poderwała się z przerażeniem.

W co ja wplątuję to dziecko? – pomyślał Kylar. Uścisnął ją, a kiedy dotarło do niej, gdzie jest, uspokoiła się zawstydzona.

– Przepraszam – powiedział Jarl. – Bladawcy... karzą Nory za próbę zamachu. Chciałem wrócić i sprawdzić parę rzeczy, ale zablokowali wszystkie mosty. Żadna łapówka dzisiaj nie wystarczy.

Kylar zorientował się, że Jarl nie wchodzi w szczegóły ze względu na Uly. Wiedząc jednak, jak źle wyglądała sytuacja w Norach przed próbą zamachu, Kylar z trudem sobie wyobrażał, co musiało się tam dziać tej nocy.

Zastanawiał się, o ile gorzej byłoby, gdyby Król-Bóg rzeczywiście zginął. Przemoc naprawdę rodzi przemoc.

– To oznacza, że robota jest odwołana? – rzucił, żeby Elene i Uly nie dopytywały się o Nory.

– Nadal aktualna. – Jarl podał mieszek Elene. Był podejrzanie lekki. – Pozwoliłem sobie od razu załatwić sprawę łapówki dla straży przy bramie. Cena już poszła w górę, a gwarantuję, że jutro będzie jeszcze wyższa. Macie listę godzin, w których przekupieni strażnicy pracują w tym tygodniu?

Jarl rozwiązał zawiniątko i wyjął kremową tunikę, spodnie i wysokie, ciemne buty.

– Znamy ją na pamięć – odpowiedział Kylar.

– Słuchaj – odezwała się Elene – wiem, że Kylar zwykł wykonywać zlecenia, nie rozumiejąc dlaczego coś robi i co właściwie robi, ale ja muszę to zrozumieć. Dlaczego ktoś płaci pięćset gunderów za to, żeby Kylar udał, że umiera? To fortuna!

– Nie dla khalidorskiego diuka. Powiem ci, co zdołałem sobie z tego wszystkiego poskładać – powiedział Jarl. – Diukowie w Khalidorze to nie to samo co nasi diukowie, ponieważ arystokracja w Khalidorze zawsze stoi niżej niż meisterowie. Ale meisterowie potrzebują ludzi, którzy będą pilnowali chłopów i tak dalej, więc diuk Vargun jest bogaty, ale musi walczyć o każdy ochłap władzy, jaki ma. Przybył do Cenarii, mając nadzieję na awans, jednak stanowisko, na które liczył: dowódcy królewskiej straży cenaryjskiej, powierzono porucznikowi Hurinowi Gherowi, nowemu komendantowi Gherowi.

– W ramach zapłaty za to, że poprowadził cenaryjskich arystokratów w zasadzkę w noc przewrotu. Zdrajca – powiedział Kylar.

– Zgadza się. Raz w tygodniu rankiem komendant Gher chodzi do portu z kilkoma najbardziej zaufanymi ludźmi po łapówkę od Sa'kagé, udając, że jest na patrolu. Tego ranka zobaczy swojego rywala, diuka Varguna, jak zabija pomniejszego cenaryjskiego arystokratę, barona Kirofa. Komendant Gher z radością aresztuje diuka. Po paru dniach albo tygodniach „zmarły" baron Kirof pojawi

się znowu. Komendant Gher będzie skompromitowany, bo aresztuje diuka bez powodu i diuk Vargun najprawdopodobniej przejmie jego robotę. Wiele rzeczy może się źle potoczyć i dlatego Kylar dostanie tylko pięćset gunderów.

– To wygląda na strasznie skomplikowane – zmartwiła się Elene.

– Zaufaj mi – odparł Jarl. – Jak na khalidorską politykę, to bardzo proste.

– A jakie korzyści będzie miało z tego Sa'kagé? – spytał Kylar. Jarl wyszczerzył zęby.

– Próbowaliśmy dorwać barona Kirofa, ale najwyraźniej diuk nie jest głupi. Kirof już zniknął.

– Sa'kagé chciało porwać barona Kirofa? Po co? – zdziwiła się Elene.

– Mając Kirofa, można by szantażować komendanta Ghera. Komendant wiedziałby, że w chwili, gdy Kirof się pojawi, on będzie skończony, więc Sakage miałoby go w kieszeni – odpowiedział Kylar.

– Wiesz, czasem próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałoby to miasto bez Sa'kagé, i nie potrafię – powiedziała Elene. – Chcę się stąd wynieść, Kylar. Mogę pójść z wami dziś wieczorem?

– Nie ma dość miejsca dla dorosłej osoby – odpowiedział za niego Jarl. – A poza tym wrócą przed świtem. Uly? Kylar? Jesteście gotowi?

Kylar skinął głową, a Uly z ponurą miną powtórzyła ten gest.

Dwie godziny później byli już w porcie gotowi się rozdzielić. Uly miała schować się poniżej nabrzeża na zakamuflowanej tratwie, która

wyglądała jak kupa drewna dryfującego na rzece. Kiedy Kylar wpadnie do wody, Uly poda mu żerdź, żeby miał się czego złapać i mógł wypłynąć poza widokiem. Na małej trawie było tylko miejsce dla Uly i dla Kylara – akurat tyle, żeby mógł wynurzyć głowę. Jak już się wynurzy, „kupa drewna" spłynie z prądem kilkaset kroków do drugiego nabrzeża, gdzie oboje wyjdą z wody.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? To znaczy naprawdę źle? – zapytała Uly. Zimna noc sprawiła, że Uly poczerwieniały policzki. Przez to wyglądała jeszcze młodziej.

– Wtedy powiedz Elene, że przepraszam.

Kylar wygładził przód kremowej tuniki. Ręce mu drżały.

– Kylar, boję się.

– Uly – powiedział, patrząc w jej wielkie piwne oczy – chciałem ci powiedzieć... to znaczy, wolałbym... – Odwrócił wzrok. – Wolałbym, żebyś nie nazywała mnie prawdziwym imieniem, kiedy jesteśmy na robocie. – Poklepał ją po głowie. Nie cierpiała tego. – Jak wyglądam?

– Zupełnie jak baron Kirof... jeśli naprawdę bardzo mocno zmrużę oczy.

Wiedział, że to odpłata za klepanie po głowie.

– Mówiłem ci już kiedyś, że jesteś jak wrzód na tyłku? Uly tylko wyszczerzyła zęby.

Za kilka godzin port zapełni się dokerami i żeglarzami, przygotowującymi ładunki przed wschodem słońca. Na razie jednak panowała cisza, jeśli nie liczyć chlupotania wody. Prywatna straż

nocna w porcie została opłacona, ale większe niebezpieczeństwo stanowiły grupki khalidorskich żołnierzy, którzy mogli tędy przechodzić, szukając okazji do rozróby. Na szczęście wyglądało na to, że większość wybrała się tej nocy do Nor.

– No dobrze, więc do zobaczenia po drugiej stronie – powiedział, uśmiechając się znacząco.

Nie powinien był tego mówić. Oczy Uli wypełniły się łzami.

– Nos do góry – dodał łagodniej. – Nic mi nie będzie. Odeszła, a kiedy zniknęła Kylarowi z oczu, jego twarz zaczęła migotać. W miejsce szczupłych, młodych rysów nagle pojawił się drugi podbródek i ruda broda przycięta na khalidorską modłę; nos urósł i zrobił się garbaty, brwi stały się niezwykle krzaczaste. Teraz rzeczywiście wyglądał jak baron Kirof.

Zerknął do małego lusterka. Nachmurzył się. Iluzoryczny nos zmarszczył się nieco. Otworzył usta, uśmiechnął się, wykrzywił, mrugnął, obserwując mimikę. Nie było dobrze, ale musiało wystarczyć. Uly pomogłaby mu lepiej przygotować twarz, ale im mniej wiedziała o jego talentach, tym lepiej. Ruszył nabrzeżem.

– Dobrzy bogowie – powiedział diuk Tenser Vargun na widok Kylara. – To ty?

Twarz diuka była spocona i ziemista nawet w świetle pochodni na końcu portu.

– Diuku Vargun, mam dla pana wiadomość – powiedział Kylar, łapiąc Khalidorczyka za nadgarstek. Zniżył głos. – Nic panu nie będzie. Proszę robić wszystko zgodnie z planem.

– Baronie Kirof, dziękuję – odpowiedział diuk, odrobinę teatralnie. Znowu zniżył głos. – Więc jest pan aktorem.

– Tak. I postarajmy się, żebym nie wyleciał z roboty.

– Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem.

– Zadbajmy, żeby dziś w nocy nie zaliczył pan pierwszego razu – odpowiedział Kylar.

Spojrzał na ozdobny sztylet za pasem diuka. Był pamiątką rodową; jego niewyjaśniona strata będzie jednym z dowodów, że diuk naprawdę zabił barona Kirofa.

– Jeśli pan to zrobi, trafi pan do więzienia, i to niezbyt miłego. Możemy się jeszcze wycofać. – Kylar, mówiąc, wymachiwał rękami, tak jak robił to baron Kirof, kiedy się denerwował.

– Nie, nie. – Diuk powiedział to tak, jakby przekonywał samego siebie. – Robił pan już kiedyś coś takiego?

– Czy wrobiłem kogoś, udając kogoś innego? Pewnie. Czy udawałem, że ktoś mnie zabija? Raczej nie.

– Proszę się nie martwić – powiedział diuk. – Ja... – Zerknął za Kylara i jego głos zmienił się pod wpływem strachu. – Już tu są.

Kylar odskoczył od diuka, jakby się przeraził.

– To groźba? – warknął.

To była ledwie przyzwoita imitacja głosu barona, ale krew pokryje większość błędów aktorskich. Diuk złapał go za rękę.

– Zrobisz, co ci każę!

– Albo co? Król-Bóg o wszystkim się dowie.

Teraz z pewnością zwrócili na siebie uwagę strażników.

– Nic mu nie powiesz! Kylar wyrwał rękę.

– Nie jest pan wystarczająco sprytny, żeby przejąć tron, diuku Vargun. Jest pan tchórzem i ... – Zniżył głos. – Jedno pchnięcie. Pęcherz z krwią jest dokładnie na moim sercu. Ja zajmę się resztą. – Wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu i zaczął się odwracać.

Diuk złapał Kylara za rękę i szarpnął go z powrotem. Gwałtownym ruchem wbił sztylet – ale nie w owczy pęcherz z krwią, ale w brzuch Kylara. Dźgnął raz, drugi, potem znowu i znowu. Zataczając się do tyłu, Kylar spojrzał w dół. Jego kremowa jedwabna tunika ociekała czerwono-czarną krwią. Ręce Tensera były całe we krwi; szkarłatne plamki upstrzyły jego niebieski płaszcz.

– Co ty robisz? – wykrztusił Kylar, ledwo słysząc gwizdek na drugim końcu nabrzeża. Zatoczył się i złapał za poręcz, żeby nie stracić równowagi.

Zlany potem, z czarnymi włosami zwieszającymi się w strąkach, Tenser kompletnie go zignorował. Wszelki ślad po wahającym się, nieudolnym arystokracie, którym był jeszcze minutę temu, zniknął. Złapał Kylara za włosy. Miał szczęście – gdyby złapał cal dalej, zniszczyłby iluzoryczną twarz Kylara.

Kiedy kroki rozległy się na nabrzeżu, diuk Vargun pchnął Kylara na kolana. Chociaż oczy mu się zamgliły z bólu, Kylar zobaczył jeszcze komendanta Ghera pędzącego nabrzeżem z wyciągniętym mieczem. Tuż za nim biegło dwóch strażników. Diuk Vargun przeciągnął sztyletem po gardle Kylara i trysnęła krew. A potem, z takim samym przejęciem jak drwal, gdy po raz kolejny wbija siekierę

w pniak, żeby roztrzaskać go na szczapy, diuk wbił sztylet w ramię Kylara.

– Przestań! Przestań albo zginiesz! – ryczał komendant Gher. Diuk oparł stopę w bucie z cielęcej skórki o ramię Kylara i uśmiechnął się. Jednym pchnięciem zrzucił Kylara z nabrzeża do rzeki.

Woda była tak zimna, że Kylar stracił czucie. A może to od upływu krwi? Wziął wdech, zanim uderzył w wodę, ale płuca nie współpracowały. Po kilku chwilach powietrze zaczęło mu uciekać bąbelkami z ust i – co było naprawdę niepokojące – przez gardło.

Potem nadeszła agonia, kiedy wciągnął w płuca gęstą, brudną wodę Plith. Machał słabo rękami, ale tylko chwilę. Wreszcie nadszedł spokój. Obolałe ciało było tylko odległym pulsowaniem. Coś je szturchnęło, a Kylar odruchowo się tego chwycił. Przecież miał się złapać. Miał pamiętać coś o tyczce.

Nie miał pewności, czy poruszył ręką. Świat nie poczerniał, nie zginął w ciemnościach. Kylarowi zrobiło się przed oczami biało; jego mózg umierał z głodu, gdy krew wylewała się z szyi. Coś znowu go szturchnęło. Wolałby, żeby to sobie poszło. Woda otoczyła go jak ciepły, idealnie spokojny obłok.

***

Diuk Tenser Vargun oderwał wzrok od głodnej rzeki i uniósł ręce. Odwrócił się powoli i powiedział:

– Jestem nieuzbrojony. Poddaję się. – Uśmiechnął się. – Dobry wieczór panu, panie komendancie.

5

Ten Król-Bóg obedrze mnie ze skóry czy zerżnie? Vi Sovari siedziała w sali recepcyjnej przed salą tronową na Zamku Cenaria. Próbowała podsłuchać Króla-Boga, mimochodem prowokując strażnika, który nie mógł oderwać od niej oczu. Wszystko, czego zdoła się dowiedzieć na temat powodów wezwania, może uratować jej życie. Jej mistrz, Hu Szubienicznik, wprowadził właśnie diuka Tensera Varguna – jednego z khalidorskich arystokratów, którzy zjawili się, żeby pomóc we wcielaniu Cenarii do cesarstwa khalidorskiego. Podobno diuk zamordował cenaryjskiego arystokratę.

To musiało stanowić interesujący problem dla króla, który przedstawiał się jako bóg. Tenser Vargun był zaufanym wasalem, ale ulgowe potraktowanie go miałoby poważne konsekwencje. Ci z cenaryjskich arystokratów, którzy ukorzyli się przed Garothem i którym w zamian za to pozwolono zatrzymać przynajmniej część swoich ziem, mogliby uznać, że jednak mają kręgosłup moralny, i się zbuntować. Ci zaś, którzy się ukrywali, zyskaliby nowy dowód khalidorskiej brutalności i ściągnęliby jeszcze więcej ludzi pod swoje sztandary.

Ale co tu robi pan Szubienicznik? Hu promieniował zadowoleniem z siebie, które Vi znała aż za dobrze.

Skrzyżowała nogi, żeby znowu przyciągnąć uwagę strażnika. Używając terminologii walki – terminologii, której nauczył ją Hu Szubienicznik – to była finta. Ruch nogami przyciągnął uwagę

strażnika, odwrócenie głowy w bok zapewniło mu poczucie bezpieczeństwa, a pochylenie się zaoferowało widoki. Nie śmiała skorzystać z magicznego wdzięku tak blisko Króla-Boga, ale nie szkodzi. Jej dekolt sam potrafił czarować.

Miała na sobie dopasowaną niebieską suknię, tak zwiewną, że niemal prześwitującą. Jasno przedstawiła swoje intencje panu Piccunowi, więc krawiec trzymał się prostoty. Suknia została bardzo oszczędnie przyozdobiona haftami – wyłącznie starokhalidorskimi runami przy rąbku i mankietach, inskrypcjami ze starożytnego erotyka. Żadnych koronek, żadnych falbanek, tylko proste linie i krągłości. Pan Piccun, notoryczny zbereźnik, jedynie tę suknię uznał za stosowną na audiencję u Króla-Boga.

– Ten człowiek ma dziesiątki żon – prychnął krawiec. – Niech te krowy przemawiają do niego jedwabiem. Ty zaśpiewasz mu słodkimi tonami ciała.

Vi uniosła nagle wzrok i przyłapała strażnika na tym, że znowu się na nią gapi. Przyszpiliła go spojrzeniem do ściany. Poczucie winy rozbłysło na jego twarzy i zanim zdążył je pokryć zuchwałością albo odwrócić wzrok, Vi wstała i podeszła do niego.

Rzecz jasna był to Khalidorczyk, więc dostosowała się do tego. Poczucie przestrzeni osobistej u Khalidorczyków nie było tak rozwinięte jak u Cenaryjczyków. Przebicie bańki owej przestrzeni oznaczało – przy jednoczesnym pamiętaniu o wszystkich innych konotacjach tego faktu – podejście tak blisko, że strażnik musiał poczuć nie tylko perfumy, ale nawet zapach jej oddechu. Podeszła,

popatrzyła mu w oczy przez kolejną sekundę. Już miał się odezwać, ale go uprzedziła:

– Przepraszam – nadal patrzyła mu w oczy w wielkim skupieniu – mogę tu usiąść?

– Ja wcale nie patrzyłem... to znaczy...

Usiadła na jego krześle, krok od drzwi, z ramionami wysuniętymi do przodu i uniesioną twarzą, piękna jak anioł. Jasne włosy miała upięte do góry, więc sploty warkoczy nie zasłaniały widoku.

Pokusa była zbyt wielka. Spojrzenie strażnika przesunęło się odrobinę od jej oczu do dekoltu, a potem znowu przeskoczyło do twarzy.

– Proszę? – powiedziała z uśmieszkiem, który mówił, że owszem, zauważyła, i że nie, nie ma nic przeciwko.

Odchrząknął.

– Ehm, nie sądzę, żeby to był jakiś problem – powiedział.

– ...nie mogę iść prosto na Dno, to by nie posłużyło naszemu celowi – powiedział ktoś tenorem.

To musiał być diuk Vargun. Ale mówił z takim przekonaniem... Skąd u niego taka pewność siebie?

Vi słyszała, jak jej mistrz odpowiada, ale nie wiedziała co. Potem odezwał się Król-Bóg, nie wychwyciła jednak niczego poza:

– ...w celach dla pospólstwa aż do procesu... Potem na Dno...

– Tak jest, Wasza Świątobliwość – odpowiedział diuk Vargun. Vi miała mętlik w głowie. Cokolwiek planowali, w głosie khalidorskiego diuka nie pojawiło się nic, co kojarzyłoby się z więźniem błagającym

o łaskę. Mówił jak posłuszny wasal, który poświęca się dla wyższego celu, a na końcu drogi czeka na niego nagroda.

Nie miała czasu na poskładanie tego w całość, bo drzwi otworzyły się i jej mistrz wyprowadził diuka Varguna. Wbrew temu, co słyszała, diuk wyglądał na zmaltretowanego fizycznie i psychiczne, ubranie miał brudne i w nieładzie, a wzroku nie odrywał od posadzki.

Przechodząc, Hu Szubienicznik odwrócił się do niej. Siepacz miał tak delikatne rysy twarzy, że nie wystarczyłoby powiedzieć, że jest przystojny. Ze wspaniałymi jasnymi włosami do ramion i wyrzeźbioną sylwetką nadal był piękny, chociaż dawno skończył trzydziestkę. Posłał jej gadzi uśmiech i powiedział:

– Król-Bóg przyjmie cię teraz.

Vi przeszedł dreszcz, ale wstała i weszła do sali tronowej. W tej komnacie nieżyjący król Gunder wynajął ją, żeby zabiła Kylara Sterna. Ona terminowała u Hu Szubienicznika, a Kylar u drugiego najlepszego siepacza w mieście, Durzo Blinta, którego bardziej szanowano, równie się obawiano i o wiele mniej potępiano niż jej mistrza. Zabicie Kylara miało być jej majstersztykiem, ostatnią robotą w ramach terminu u siepacza. Dałoby jej wolność – uwolniłoby ją od Hu.

Spartoliła robotę i później tego samego dnia, w tej właśnie sali ktoś, kogo nazywano Aniołem Nocy, zabił trzydziestu Khalidorczyków, pięciu czarowników i syna samego Króla-Boga. Vi przypuszczała, że pewnie tylko ona podejrzewa, że to Kylar jest Aniołem Nocy. Na Nysosa! Kylar stał się legendą w tym samym dniu,

w którym miałam go pod nożem. Mogłam zabić legendę, zanim się stała legendą.

W sali nie zachowały się żadne ślady walki. Zmyto krew, ślady ognia i magii. Komnata wyglądała nieskazitelnie. Po obu stronach siedem kolumn podpierało łukowate sklepienie, a grube khalidorskie gobeliny udrapowane na ścianach chroniły przed jesiennym chłodem. Król-Bóg siedział na tronie w otoczeniu straży, Vürdmeisterów w czarno-czerwonych szatach, doradców i sług.

Vi spodziewała się, że zostanie wezwana, ale nie miała pojęcia po co. Król-Bóg wiedział, że Kylar jest Aniołem Nocy? Miała zostać ukarana za to, że pozwoliła umrzeć synowi Króla-Boga? Czyżby mężczyzna, który ma dziesiątki żon, chciał zerżnąć jeszcze jedną ładną dziewczynę? A może po prostu był ciekawy i chciał zobaczyć jedynego siepacza płci żeńskiej w mieście.

– Myślisz, że jesteś sprytna, Viridiano Sovari? – zapytał Król-Bóg.

Garoth Ursuul był młodszy niż się spodziewała; miał może z pięćdziesiąt lat, ale zachował wigor. Był potężnie zbudowany, łysy jak kolano, a jego spojrzenie ciążyło jej jak młyńskie kamienie.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Świątobliwość – zaczęła, zamierzając zadać pytanie, ale zmieniła zdanie. – Tak. I mówią na mnie Vi.

Przyzwał ją gestem, a ona weszła po czternastu schodkach i stanęła dokładnie przed tronem. Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, ale nie ukradkiem, jak to zwykle robili mężczyźni, ani

pożądliwie czy zuchwale. Garoth Ursuul popatrzył na nią, jakby była kopcem ziarna, a on próbował oszacować jego wagę.

– Zdejmij sukienkę – powiedział.

Modulacja jego głosu niczego jej nie podpowiadała. Równie dobrze mógłby skomentować pogodę. Chciał, żeby go uwiodła? Nie obchodziło jej, czy Garoth Ursuul ją przeleci, ale gdyby do tego doszło, zamierzała być beznadziejna. Rola kochanki Króla-Boga była zbyt niebezpieczna. Odkąd wkroczyła w wiek dorastania, grzała łóżko już jednemu potworowi i nie zamierzała zajmować się następnym. A jednak bóg, król czy potwór, Garoth Ursuul nie należał do tych, którym chciałaby się narazić.

Vi natychmiast posłuchała. W dwie sekundy suknia pana Piccuna zsunęła się na podłogę. Vi nie włożyła bielizny, nałożyła tylko trochę perfum między kolanami. Skrupulatnie wypełniła polecenie. Nie mógł mieć do niej o to pretensji, chociaż wiedziała, że nagła nagość nie była równie ponętna jak powolne rozbieranie się albo kusząca koronkowa bielizna. Niech Ursuul uzna ją za nieudolną uwodzicielkę, niech uzna ją za zdzirę, niech sobie myśli, co chce, dopóki trzyma ręce przy sobie. Poza tym nie będzie się kuliła – nie dałaby tej satysfakcji żadnemu mężczyźnie. Vi czuła na sobie spojrzenia wszystkich dworzan, doradców, Vürdmeisterów, służących i strażników na sali. Miała to w nosie. Nagość była jej zbroją. Oślepiała śliniących się głupców. Nie widzieli niczego innego, kiedy patrzyli na jej ciało.

Garoth Ursuul znowu obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, a wyraz jego oczu nie zmienił się ani na jotę.

– Nie byłoby z tobą żadnej zabawy – powiedział. – Już jesteś dziwką.

Z jakiegoś powodu słowa tego strasznego człowieka zabolały ją. Stała przed nim naga, a on całkowicie stracił zainteresowanie. Tego właśnie chciała, ale mimo wszystko zabolało.

– Wszystkie kobiety są dziwkami – powiedziała. – Niezależnie od tego, czy sprzedają ciało, czy uśmiech i wdzięk, albo lata macierzyństwa i posłuszeństwa wobec mężczyzny. Świat czyni z kobiety dziwkę, ale to kobieta ustala warunki. Wasza Świątobliwość. Rozbawiło go jej nagłe uniesienie, ale rozbawienie zaraz minęło.

– Myślałaś, że nie zobaczę, co zrobiłaś z moim strażnikiem? Myślałaś, że możesz mnie podsłuchiwać?

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała Vi, ale teraz jej nonszalancja była czystą grą.

Widział mnie? Przez ścianę?! Wiedziała, że musi się trzymać swojej brawury, albo równie dobrze może od razu zapaść się pod posadzkę. W przypadku Króla-Boga, jeśli chce się wygrać, trzeba grać tak, jakby się gardziło życiem. Słyszała jednak o graczach, którzy mimo to przegrywali.

Król-Bóg zaśmiał się, a dworzanie mu zawtórowali.

– Oczywiście, że tak – powtórzył. – Podobasz mi się, *moulina.* Nie zabiję cię dzisiaj. Niewiele kobiet stawiałoby się królowi, już nie wspominając o bogu.

– Nie jestem taka jak inne kobiety, które Wasza Wysokość spotkał – wyrwało się Vi, zanim ugryzła się w język.

Uśmiech Króla-Boga przygasł.

– Masz za wysokie mniemanie o sobie. Za to cię złamię. Ale nie dziś. Twoje Sa'kagé przysparza nam kłopotów. Idź do swoich przyjaciół z półświatka i dowiedz się, kto jest prawdziwym Shingą. Nie figurantem. Dowiedz się i zabij go.

Vi po raz pierwszy poczuła się naga. Jej zbroja osłabła. Czy był bogiem, czy człowiekiem, pewność siebie Garotha Ursuula była gigantyczna. Powiedział jej, że ją złamie, a potem nie okazał najmniejszej troski o to, że mogłaby go nie posłuchać. To nie był blef. To nie była arogancja. Po prostu korzystał z przywilejów, jakie daje nieograniczona władza. Dworzanie gapili się teraz na nią jak psy pod królewskim stołem, wpatrujące się w łakomy kąsek, który może spaść na podłogę. Vi zastanawiała się, czy Król-Bóg oddałby ją jednemu z nich... albo wszystkim.

– Czy wiesz – zagadnął Król-Bóg – że urodziłaś się czarownicą? Jak to mówicie wy, południowcy, jesteś Utalentowana. Zatem oto coś dla zachęty. Jeśli zabijesz Shingę, uznamy, że to twój majstersztyk, i nie tylko zostaniesz mistrzem w rzemiośle siepaczy, ale osobiście cię wyszkolę. Dam ci moc, o jakiej Hu Szubienicznik nawet nie śnił. Dam ci przewagę nad nim, jeśli tak wolisz. Jeżeli jednak mnie zawiedziesz... cóż. – Uśmiechnął się. – Nie zawiedź mnie. A teraz odejdź.

Wyszła z bijącym sercem. Sukces oznaczał zdradę własnego świata. Zdradę cenaryjskiego Sa'kagé, najgroźniejszego świata przestępczego w całym Midcyru! Oznaczał zabicie przywódcy tego

świata dla nagrody, co do której nawet nie była pewna, czy ją chciała. Szkolenie na czarownicę u samego Króla-Boga? Kiedy mówił, zobaczyła w wyobraźni jego słowa jako pajęczyny, wiążące ją z nim coraz ciaśniej i ciaśniej. Były prawie namacalne; czar spowijający ją jak sieć, prowokujący do walki. Zrobiło jej się niedobrze. Posłuszeństwo było jedyną możliwością. Niezależnie od tego, jak straszny mógł być sukces, porażka nie wchodziła w grę. Słyszała te wszystkie historie.

– Vi! – zawołał Król-Bóg.

Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi. Przeraziła się, słysząc swoje imię w jego ustach. Ale Król-Bóg się uśmiechał. Teraz patrzył na jej nagie ciało tak, jakby mógł popatrzeć na nie mężczyzna. Jakiś cień poleciał w jej kierunku, a ona odruchowo złapała lecący kłąb materiału.

– Zabierz sukienkę – powiedział Król-Bóg.

6

Czuję się, jakbym przez tydzień wdychał trociny – powiedział Kylar. – Tylko rzeczną wodę. I przez pięć minut – odpowiedziała Uly. Lapidarnie. Zadzierając nosa.

Kylar usiłował otworzyć oczy, a kiedy mu się udało, nadal nic nie widział.

– Więc mnie wyciągnęłaś. Gdzie jesteśmy, Uly?

– Powąchaj.

Odgrywała twardą, co znaczyło, że śmiertelnie ją przeraził. Tak właśnie zachowują się małe dziewczynki? – zastanawiał się.

Wziął ledwie pół wdechu i rozkaszlał się od smrodu. Byli na Plith, w szopie na łodzie Mamy K.

– Nie ma to jak ciepłe ścieki w chłodną noc, co? – powiedziała Uly.

Kylar przeturlał się na bok.

– Myślałem, że to twój oddech.

– Który pachnie równie ładnie jak ty wyglądasz – odgryzła się.

– Powinnaś być grzeczniejsza.

– Powinieneś być martwy. Idź spać.

– Myślisz, że takie dyrygowanie jest słodkie?

– Potrzebujesz snu. I nie wiem, co tu ma do rzeczy dogorywanie. Kylar zaśmiał się. To zabolało.

– Widzisz? – powiedziała Uly.

– Znalazłaś sztylet?

– Jaki sztylet?

Kylar złapał ją za tunikę.

– Ach, ten, który musiałam łomem wyważać z twojego ramienia?

Nic dziwnego, że ramię go bolało. Nigdy jeszcze nie widział Uly tak zgryźliwej i tak wygadanej. Jeśli nie będzie uważał, to dziewczynka zaraz zaleje się łzami. Jedna rzecz to czuć się jak dupek, a całkiem inna – czuć się jak bezradny dupek.

– Jak długo... mnie nie było?

– Dzień i noc.

Zaklął pod nosem. To już drugi raz Uly widziała, jak go mordują, jak okaleczają jego ciało. Cieszył się, że niewzruszenie wierzyła w jego powrót. Obiecał jej, że wróci, ale nigdy nic nie wiadomo. Wiedział tylko, że raz mu się udało. Wilk, dziwny mężczyzna o żółtych oczach, którego spotkał między życiem i śmiercią, nie dał mu żadnej gwarancji. Tym razem Kylar go nie spotkał. Miał nadzieję zadać mu kilka nowych pytań, na przykład ile ma żywotów. A co, jeśli tylko dwa?

– Gdzie jest Elene? – zapytał.

– Poszła po wóz. Strażnicy, których przekupił Jarl, będą na warcie jeszcze tylko godzinę.

Elene sama poszła po wóz? Kylar był straszliwie zmęczony. Widział, że Uly znowu jest o krok od łez. Jaki człowiek naraża na coś takiego małą dziewczynkę? Kiepska z niego namiastka ojca, ale nauczył się myśleć, że lepsze to niż nic.

– Powinieneś się przespać – powiedziała, znowu siląc się na

szorstki ton.

– Upewnij się...

Był tak obolały, że nie mógł dokończyć myśli, już nie mówiąc o zdaniu.

– Zaopiekuję się tobą, nie martw się. – Uly?

– Tak?

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Świetnej. Jestem twoim dłużnikiem. Dziękuję. I przepraszam.

Kylar niemal czuł na skórze, że powietrze w szopie robi się za ciepłe i za słodkie. Jęknął. Chciał powiedzieć coś błyskotliwego i uszczypliwego, coś w stylu Durzo, ale zasnął, nim znalazł właściwe słowa.

7

Kiedy Kaldrosa Wyn dołączyła w południe do kolejki za burdelem „Pod Kusą Spódniczką”, stało w niej już dwieście kobiet. Dwie godziny później, kiedy kolejka zaczęła się przesuwać, było ich trzy razy tyle. Kobiety stanowiły tak różnorodną grupę, jak to tylko możliwe w Norach: od szczurów z gildii, które miały raptem po dziesięć lat i wiedziały, że Mama K ich nie zatrudni, ale były tak zdesperowane, że mimo to przyszły, po kobiety, które jeszcze miesiąc temu mieszkały po bogatej, wschodniej stronie, ale straciły domy w pożarach, a potem zostały zapędzone do Nor. Niektóre z nich płakały. Inne tylko patrzyły nieobecnym wzrokiem, owijając się ciasno szalami. Część z nich od dawna była Królikami – te śmiały się i żartowały z przyjaciółkami.

Praca dla Mamy K to najbezpieczniejsza robota, jaką mogła dostać dziewczyna do towarzystwa. Kobiety wymieniały się anegdotami o tym, jak Pani Rozkoszy radziła sobie z jej nową, khalidorską klientelą. Twierdziły, że gdy któryś zwyrodnialec zrobił dziewczynie krzywdę, musiał zapłacić tyle srebra, żeby pokryć siniaki. Jedna wyrwała się nawet, że tyle koron, ale nikt jej nie uwierzył.

Kiedy duchessa Terah Graesin jej ojciec, stary diuk, zginął w czasie przewrotu – wyprowadziła z miasta grupę, która chciała stawić opór Khalidorowi, jej zwolennicy podpalili swoje warsztaty, sklepy i domy. Oczywiście pożary pochłonęły nie tylko nieruchomości, które

porzucono. Tysiące tych, którzy zostali, straciło domy. W Norach, gdzie biedacy żyli upchnięci jak bydło, było jeszcze gorzej. Zginęły setki ludzi. Ogień płonął kilka dni.

Khalidorczycy chcieli, żeby wschodnia strona jak najszybciej stała się produktywna. Bezdomnych uważano za obciążenie, więc żołnierze wypędzali ich do Nor. Wywłaszczonych arystokratów i rzemieślników ogarniała desperacja, ale rozpacz niczego nie zmieniała. Zesłanie do Nor było jak wyrok śmierci.

Przez ostatni miesiąc Król-Bóg pozwalał żołnierzom robić w Norach, co tylko zechcieli. Mężczyźni zjawiali się w grupach, żeby zaspokoić wszelkie pragnienia. Recytując modlitwy do przeklętej Khali, gwałcili, zabijali, okradali Króliki z ich skromnego dobytku, tylko po to, żeby ze śmiechem wrzucić łup do rzeki. Wydawało się, że gorzej już być nie może, ale po próbie zamachu okazało się, że owszem, może.

Khalidorczycy przeszukiwali Nory systematycznie, przecznica za przecznicą. Kazali wybierać matkom, które dziecko będzie żyło, a które pójdzie pod miecz. Kobiety gwałcono na oczach rodzin. Czarownicy zabawiali się w chory sposób, odstrzeliwując ludziom różne części ciała. Gdy ktoś stawiał opór, robiono obławę i publicznie tracono dziesiątki.

Krążyły plotki o bezpiecznych schronieniach głębiej w Norach, pod ziemią, tyle że mogli się tam dostać tylko ludzie mający znajomości w Sa'kagé. Każdy miał jakąś kryjówkę, ale żołnierze przychodzili każdej nocy i czasem za dnia. To była tylko kwestia

czasu, zanim człowieka złapali. Uroda stała się przekleństwem. Wiele kobiet, które miały kochanków, mężów czy choćby opiekuńczych braci, straciło ich. Opór oznaczał śmierć.

Kobiety przychodziły więc do burdeli Mamy K, bo to były jedyne bezpieczne miejsca w Norach. Wiele myślało: „Skoro już mają mnie zgwałcić, to lepiej niech mi za to zapłacą”. Burdele nadal nieźle prosperowały. Niektórzy Khalidorczycy nie chcieli ryzykować i wchodzić do Nor. Inni po prostu woleli mieć pewność, że wylądują w łóżku z czystą i piękną kobietą.

Ale w burdelach zostało już niewiele wolnych miejsc. I nikt nie chciał spekulować, dlaczego w ogóle jakieś zostały.

Kaldrosa odwlekała decyzję tak długo jak mogła. To nie tak miało być. Ten Vürdmeister, Neph Dada, zwerbował ją, bo kiedyś była sethyjską piratką, ale utknęła w Norach wiele lat temu. Nie żeglowała od dziesięciu lat i wbrew temu, co powiedziała Vürdmeisterowi, nigdy nie była kapitanem. Była jednak Sethyjką i przysięgła, że przeprowadzi khalidorski statek przez Archipelag Przemytników, w górę rzeki Plith aż do zamku. W zamian za to miała zatrzymać statek.

Wyglądało to na niezłą cenę za śmierdzącą robotę. Kaldrosa Wyn nie czuła się związana z Cenarią, ale już sama myśl o pracy dla Khalidorczyków wystarczała, żeby każdemu przeszły po plecach ciarki.

Może nawet dotrzymaliby warunków umowy i dali jej barkę, tę krową morską, która nie była warta gwoździ trzymających ją w kupie. Może Kaldrosie udałoby się uzbierać załogę... Ale jakiś skurkowaniec

zaatakował i zatopił jej statek.

Udało jej się dopłynąć do brzegu – to i tak więcej, niż mogła powiedzieć o dwustu góralach w zbrojach, których przewoziła, a którzy teraz robili za karmę dla rybek. Cztery gwałty i dwa pobicia później (Tommana prawie zatłukli na śmierć) wylądowała w burdelu.

– Imię? – zapytała dziewczyna przy drzwiach, z piórem i kartką w ręce.

Mogła mieć jakieś osiemnaście lat – była dziesięć lat młodsza od Kaldrosy – i wyglądała olśniewająco: idealne włosy, idealne zęby, długie nogi, szczupła talia, pełne usta i piżmowo-słodki zapach, który uświadomił Kaldrosie, jak bardzo sama musi śmierdzieć. Ogarnęła ją rozpacz.

– Kaldrosa Wyn.

– Zawód albo specjalne umiejętności?

– Byłam piratem.

To zaciekawiło dziewczynę.

– Sethyjką?

Kaldrosa skinęła głową, a dziewczyna odesłała ją na górę. Pół godziny później Kaldrosa Wyn weszła do jednej z małych sypialni.

Kobieta, którą tam zastała, też była młoda i piękna. Blondynka, drobna, ale mile zaokrąglona, o dużych oczach i w niesamowitej sukni.

– Jestem Daydra. Pracowałaś kiedyś w takim gniazdku?

– Z gniazdek to zaliczyłam tylko bocianie. Daydra zaśmiała się i nawet to było ładne.

– Prawdziwa piratka, co?

Kaldrosa dotknęła klanowych pierścieni, czterech kółek okalających w półkolu lewą kość policzkową.

– Klan Tetsu z wyspy Hokkai.

Wskazała na kapitański łańcuch; założyła go, gdy tylko dostała robotę dla Khalidoru. Wybrała srebrny, o płaskim splocie w jodełkę, najlepszy, na jaki było ją stać. Zwieszał się z jej lewego ucha do najniższego z klanowych pierścieni na policzku. To był łańcuszek kapitana żeglugi handlowej, kapitana niskiego pochodzenia. Kapitanowie żeglugi wojskowej i zuchwali kapitanowie piraccy nosili łańcuszki zwieszające się od jednego ucha do drugiego i przechodzące z tyłu głowy, co zmniejszało ryzyko, że zostaną wyrwane w walce.

– Byłam pirackim kapitanem – powiedziała – ale nigdy nie dałam się złapać. Jak cię złapią, to albo wieszają, albo wyrywają pierścienie i skazują na banicję. Trwają spory, która kara jest gorsza.

– Dlaczego to rzuciłaś?

– Wpakowałam się na królewskiego łowcę piratów z Seth na kilka godzin przed sztormem. Oberwali od nas nie gorzej niż my od nich, ale sztorm rzucił nas na skały w Archipelagu Przemytników. Od tego czasu zajmowałam się czym popadło. – Kaldrosa nie wspomniała, że owo „czym popadło” obejmowało też małżeństwo i pracę dla Khalidoru.

– Pokaż mi cycki.

Kaldrosa rozwiązała sznurówki i zdjęła bluzkę.

– Niech mnie szlag – mruknęła Daydra. – Bardzo dobrze. Myślę,

że świetnie się nadasz.

– Ale wy wszystkie jesteście takie ładne – zdziwiła się Kaldrosa. Chociaż głupio robiła, protestując, nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

Daydra się uśmiechnęła.

– Pięknych mamy mnóstwo. Każda dziewczyna u Mamy K musi być ładna i ty też jesteś. Ale oprócz tego jesteś egzotyczna. Spójrz na siebie. Pierścienie klanowe. Oliwkowa cera. Nawet piersi masz opalone!

Kaldrosa nagle ucieszyła się, że na swoim statku chodziła z odsłoniętymi piersiami, żeby gapili się na nią khalidorscy żołnierze. Solidnie poparzyła się od słońca, ale potem skóra pociemniała i do dziś nie straciła koloru.

– Nie wiem, jak udało ci się opalić – powiedziała Daydra – ale musisz to utrzymać i mówić jak pirat. Jeśli chcesz pracować dla Mamy K, będziesz robiła za sethyjską piratkę. Masz męża albo kochanka?

Kaldrosa się zawahała.

– Męża – przyznała. – Po ostatnim pobiciu prawie umarł. – Jak zaczniesz tu pracę, nigdy go nie odzyskasz. Mężczyzna może wybaczyć kobiecie, która dla niego porzuca pracę dziwki, ale nigdy nie wybaczy tej, która dla niego poszła na ulicę.

– I tak warto – powiedziała Kaldrosa. – Warto, jeśli w ten sposób uratuję mu życie.

– Jeszcze jedna sprawa. Bo prędzej czy później zapytasz. Nie

wiemy, dlaczego bladawcy to robią. W każdym kraju zdarzają się zwyrodnialcy, którzy lubią bić dziewczyny do towarzystwa, ale to jest coś innego. Niektórzy najpierw sobie ulżą, a dopiero potem biją, jakby się tego wstydzili. Niektórzy w ogóle cię nie uderzą, ale będą się potem przechwalać, że pobili, i bez skargi zapłacą za to Mamie K. Ale zawsze recytują te same słowa. Słyszałaś je?

Kaldrosa pokiwała głową.

– *Khali vas* czy coś takiego?

– To starokhalidorski. Jakieś zaklęcie albo modlitwa. Nie myśl o tym. I nie usprawiedliwiaj ich. To zwierzęta. W miarę możliwości będziemy cię chronić, a zarobki są przyzwoite. Tyle że będziesz musiała stawiać im czoło dzień w dzień. Dasz radę?

Słowa uwięzły Kaldrosie w gardle, więc tylko skinęła głową.

– Więc idź do pana Piccuna i powiedz mu, że chcesz trzy pirackie kostiumy. Dopilnuj, żeby skończył brać miarę, zanim cię przeleci:

Kaldrosa uniosła brwi.

– No, chyba że to jakiś kłopot.

***

– Myślisz, że nie będziemy mieli żadnych kłopotów? – zapytała Elene.

Leżeli na wozie – ich ostatnia noc pod gwiazdami po trzech tygodniach w drodze. Jutro wjadą do Caernarvon i zaczną nowe życie.

– Wszystkie kłopoty zostawiłem w Cenarii. Właściwie, z

wyjątkiem dwóch, które się mnie uczepiły – odpowiedział Kylar.

– Ej! – zaprotestowała Uly.

Chociaż była wręcz przerażająco bystra, jak jej prawdziwa matka, Mama K, nadal miała tylko jedenaście lat i łatwo dawała się podpuścić.

– Uczepiły? – zapytała Elene, podnosząc się na łokciu. – O ile sobie przypominam, to mój wóz.

To była prawda. Jarl dał im ten wóz, a Mama K załadowała go ziołami, które Kylar mógł wykorzystać do otwarcia zielarni. Najpewniej przez wzgląd na Elene większość z nich była legalna.

– Jeśli ktoś się tu uczepił, to ty.

– Ja? – zapytał Kylar.

– Robiłeś z siebie tak żałosne widowisko, że było mi za ciebie wstyd. Po prostu chciałam, żebyś już przestał błagać.

– Proszę, a ja myślałem, że to ty byłaś bezradną... – zaczął Kylar.

– Ale teraz już wiesz, jak jest – ucięła zadowolona z siebie Elene i ułożyła się z powrotem pod kocami.

– O, to szczera prawda. Masz tak rozbudowany system obronny, że facet byłby szczęściarzem, gdyby udałoby mu się z tobą chociaż raz na tysiąc lat. – Kylar westchnął.

Elene aż sapnęła i usiadła prosto.

– Kylarze Thaddeusie Stern! Kylar zachichotał.

– Thaddeus? A to dobre. Znałem kiedyś jednego Thaddeusa.

– Ja też. Skończony idiota.

– Serio? – odparł z szelmowskim błyskiem w oku Kylar. – Ten,

którego ja znałem, słynął z ogromnej...

– Kylar! – przerwała mu Elene wskazując na Uly.

– Z ogromnego czego? – zainteresowała się dziewczynka.

– No to teraz masz – powiedziała Elene. – Co miał ogromnego, Kylarze?

– Stopy. A wiesz, co mówią o wielkich stopach. – Mrugnął lubieżnie na Elene.

– Co takiego? – dopytywała się Uly.

– Że ma się wtedy wielkie buty – odparł Kylar.

Ułożył się pod swoimi kocami równie zadowolony z siebie, jak przed chwilą Elene.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Uly. – O co w tym chodzi, Elene? Kylar zachichotał mściwie.

– Wyjaśnię ci, jak będziesz starsza – odpowiedziała Elene.

– Nie chcę się dowiedzieć, jak będę starsza. Chcę wiedzieć teraz – upierała się Uly.

Elene nie odpowiedziała. Zamiast tego szturchnęła Kylara w rękę. Burknął.

– Teraz będziecie się siłować? – zapytała Uly. Wyplątała się z koców i usiadła między nimi. – Bo potem zawsze się całujecie. Ohyda. – Skrzywiła się i zaczęła cmokać i mlaskać.

– Nasz kochany środek antykoncepcyjny – mruknął Kylar. Chociaż kochał Uly, był przekonany, że to właśnie przez nią, po

trzech cudownych tygodniach na szlaku z kobietą, którą kochał, nadal był prawiczkiem.

– Zrobisz tak raz jeszcze? – poprosiła Uly Elene, śmiejąc się i sprytnie uprzedzając pytanie, co to jest antykoncepcja.

Uly skrzywiła się i znowu zacmokała. Po chwili cała trójka chichotała, co przerodziło się w bitwę na łaskotki.

Później, z brzuchem obolałym od śmiechu, Kylar leżał i słuchał, jak dziewczyny oddychają. Elene miała dar zasypiania, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, a Uly nie zostawała za nią daleko w tyle. Tej nocy bezsenność Kylara nie była przekleństwem. Czuł, że cały promienieje miłością – nawet jego skóra. Elene obróciła się i wtuliła w jego pierś. Zaciągnął się świeżym zapachem jej włosów. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu było mu tak dobrze, żeby czuł się tak akceptowany. Pewnie go obślini, ale to nieważne. Jakimś cudem nawet ślinienie się było słodkie, kiedy robiła to Elene.

Nic dziwnego, że Uly była zniesmaczona. Kylar naprawdę był żałosny. Ale po raz pierwszy w życiu czuł, że jest dobrym człowiekiem. Zawsze był dobry w różnych rzeczach – był dobry w otwieraniu zamków, wspinaniu się, chowaniu, walczeniu, truciu, przebieraniu się i zabijaniu. Ale dopiero przy Elene poczuł się po prostu dobry. Kiedy patrzyła na niego, widział swoje odbicie w jej oczach i nie budziło ono w nim odrazy. Nie był mordercą. Był przybranym ojcem, który wdawał się w bitwy na łaskotki z jedenastolatką. Był miłością, która oznajmiła Elene, że jest piękna, i sprawiła, że dziewczyna po raz pierwszy w życiu w to uwierzyła. Był człowiekiem, który mógł dać innym coś z siebie.

Takiego człowieka widziała Elene, kiedy patrzyła na niego.

Wierzyła w niego tak bardzo, że Kylar sam zaczynał wierzyć w siebie, choć chwilami dochodził do wniosku, że dziewczyna kompletnie oszalała. Ale cudownie było dawać się jej przekonać.

Jutro dojadą do Caernarvon i na pewien czas zatrzymają się u ciotki Elene, Mei. Z jej pomocą – była akuszerką, która znała się na ziołach – Kylar otworzy małą zielarnię. A potem przezwycięży słabnące obiekcje Elene odnośnie stosunków pozamałżeńskich i na zawsze porzuci drogę cienia.

8

Po jakichś dwunastu, może piętnastu dniach – a może tylko miał wrażenie, że upłynęło tyle czasu – Logan w końcu się poddał i zasnął. We śnie słyszał głosy. To były szepty, ale wśród kamiennych ścian Dna, każdy szept niósł się doskonale.

– On ma nóż.

– Jeśli wszyscy na niego skoczymy, to nie będzie miało znaczenia. Patrz, ile na nim mięsa.

– Cicho!

Logan wiedział, że powinien się ruszyć, sprawdzić nóż, obudzić się, ale był taki zmęczony. Nie mógł wiecznie czuwać. To za trudne.

Wydawało mu się, że słyszy kobiecy głos, krzyk, jakby zduszony dłonią zakrywającą usta. Potem ktoś kogoś uderzył i krzyk się urwał. Padł następny cios, jeszcze jeden i jeszcze.

– Spokojnie, Piątak. Jeśli zabijesz Lilly, to wszyscy będziemy rżnąć ciebie. To jedyna szparka, jaką mamy.

Piątak sklął Gluta, a potem powiedział:

– Krzyknij raz jeszcze, suko, a wyrwę ci włosy i paznokcie. Tego nie potrzebujesz, żeby cię dupczyć. Jasne?

Potem ucichł głos, ucichło wycie, osłabły upał i smród, i Logan naprawdę zaczął śnić. Śniła mu się jego noc poślubna. Ożeniono go z dziewczyną, którą ledwie znał. Kiedy jednak rozmawiali w sypialni – on równie zdenerwowany jak ta prześliczna, piętnastoletnia dziewczyna naprzeciwko niego – poczuł nagłą nadzieję rozkwitającą

w sercu. Ta dziewczyna była kobietą, którą mógł pokochać, a z niewyjaśnionych powodów należącą do niego. Jenine będzie jego żoną i pewnego dnia zostanie królową, a on wiedział, że może ją pokochać.

Jenine nie żyje. Przestań.

Wyczytał w jej wielkich oczach, że ona też może go pokochać, że ich małżeństwo będzie nie tylko obowiązkiem, ale i radością. Zarumieniła się, kiedy spojrzał na nią jak na swoją żonę. Patrzył na nią jak na swoją kobietę – nie arogancko, ale pewnie, łagodnie, akceptując ją i radując się jej urodą. A kiedy przyciągnął ją do siebie, poddała mu się. Jej usta były gorące.

Potem – miał wrażenie, że raptem sekundę później, kiedy jeszcze się całowali, zdejmowali z siebie ubrania – na schodach zadudniły kroki zbliżające się do ich pokoju. Logan odsunął się od niej, a wtedy drzwi otworzyły się raptownie i khalidorscy żołnierze wlali się do pokoju...

Logan gwałtownie otworzył oczy. Pięści poszły w ruch, gdy ciała zwaliły się na niego.

Jeśli oceniać to w kategoriach walki, prezentowało się żałośnie. Logan nie jadł od dwóch tygodni, więc był słaby jak szczeniak. Ale pozostali więźniowie, nie licząc mięsa, którym obżerali się kilka tygodni temu, żyli o chlebie i wodzie od miesięcy albo lat. Stali się cieniami ludzi, więc walka przebiegała powoli i niezgrabnie.

Logan odrzucił jednego mężczyznę, a drugiego uderzył w szczękę, jednak natychmiast dopadło go dwóch następnych. Ich ciała

były śliskie i lepkie od potu i brudu. Piątak dopadł do jego biodra, a Jake rozorał długimi paznokciami twarz Logana. Strząsając z siebie Piątaka, Logan zdołał stanąć i cisnąć Jakiem.

Mężczyzna wpadł do dziury i zniknął.

I tak walka się skończyła.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Glut. – To mięso przydałoby się nam. Ty zasrańcu, wyrzuciłeś mięso!

Złość więźniów osiągnęła szczyt i Logan myślał, że znowu go zaatakują. Sięgnął do biodra, żeby wyciągnąć nóż, ten jednak zniknął.

Siedzący na drugim końcu Dna Piątak patrzył na niego. Grzebał w przekrwionych, przeżartych szkorbutem dziąsłach czubkiem noża. Teraz czas był po jego stronie.

Logan myślał, że więźniowie z Dna – Męty – nie tworzą społeczności, ale się mylił. Tu na dole też powstały obozy. Męty dzieliły się na zwierzęta i potwory, na słabych i silnych. Piątak dowodził zwierzętami, których ranga zależała głównie od popełnionych zbrodni: najwyżej stali mordercy, potem gwałciciele, handlarze niewolników i na końcu pedofile. Potwory to był Yimbo, zwalisty rudy Ceuranin, któremu obcięto język; Dziara, blady Lodricarczyk pokryty tatuażami, który mógł mówić, ale nigdy tego nie robił, i Zgrzytacz, zdeformowany przygłup o potężnych ramionach, krzywym kręgosłupie i spiłowanych na ostro zębach. Potwory przetrwały tylko dzięki swojej gotowości do walki i dzięki temu, że pozostali więźniowie się ich bali.

Teraz, kiedy wszyscy przymierali głodem, luźna społeczność się

rozpadała. Logan nie miał przyjaciół, noża, swojego miejsca. Pośród zwierząt był wilkiem bez stada. Wśród potworów był psem bez stalowych zębów.

Próbował widzieć w więźniach ludzi. Ludzi poniżonych, upokorzonych, potępionych i złych, ale jednak ludzi. Próbował dostrzec w nich coś dobrego, obraz jakichś bogów lub Boga, który ich stworzył. Ale w mrokach Dna widział tylko zwierzęta i potwory.

Podszedł i usiadł obok Zgrzytacza. Mężczyzna uśmiechnął się do niego uśmiechem idioty, uśmiechem potwornym z powodu spiłowanych zębów.

A potem rozległ się dźwięk, z powodu którego wszyscy zamarli. W korytarzu ponad Dnem Piekła rozległy się kroki. Kiedy w górze pojawiła się oświetlona pochodnią twarz, Logan schował się pod wąski nawis.

– A niech mnie – powiedział strażnik.

Był blady i zwalisty, miał ciemne włosy i złamany nos – bez wątpienia Khalidorczyk.

Otworzył kratę, ale nie spuszczał wzroku z piętnastu więźniów poniżej. Piątak nawet nie szykował linki.

– Pomyślałem, że paru z was do tej pory już zdechło – powiedział strażnik. – I że musieliście porządnie zgłodnieć.

Sięgnął do worka i wyciągnął wielki bochen chleba. Wszyscy więźniowie spojrzeli na chleb z taką tęsknotą, że strażnik się zaśmiał.

– No dobra, macie.

Wrzucił bochenek, ale prosto do dziury.

Więźniowie krzyknęli, myśląc, że to pomyłka. Strażnik wyjął drugi bochenek i znowu wrzucił go do dziury w Dnie. Więźniowie stłoczyli się wokół przepaści, nawet Piątak i Lilly. Następny bochenek odbił się Glutowi od palców i mężczyzna omal nie poleciał za chlebem w otchłań.

Strażnik się zaśmiał. Zamknął kratę i odszedł, pogwizdując wesoło. Kilku więźniów zapłakało.

Nie wrócił. Dni mijały w agonii. Logan nigdy nie zaznał tak ogłupiającego osłabienia.

Cztery noce później – być może to określenie nie miało sensu, ale Logan myślał o tej porze jak o nocy, ponieważ większość mieszkańców Dna spała, a wyjące wiatry nasilały się najbardziej w czasie, który Męty nazywały południem – Piątak podciął gardło jednemu ze swoich pedofilów. W jednej chwili wszyscy się obudzili i zaczęli walczyć o ciało. Kiedy Glut uderzył Zgrzytacza, żeby puścił zakrwawiony strzęp, którego Logan wolał nie identyfikować, Zgrzytacz upuścił ochłap i odpowiedział atakiem. Glut próbował z nim walczyć, ale Zgrzytacz załatwił go, jakby tamten był dzieciakiem. Wygiął mu ręce i wbił spiłowane zęby w jego szyję.

W walce, która wywiązała się nad ciałem, odpadła cała noga, która wylądowała obok Logana. Kiedy Parch podbiegł do niej, Logan natychmiast ją porwał. Ku własnemu przerażeniu, spiorunował Parcha wzrokiem, a tamten odwrócił się i odszedł.

Logan zabrał nogę pod ścianę i zapłakał, bo niezależnie od tego, jak bardzo jej się przyglądał, widział tylko mięso.

9

W porównaniu z Cenarią, Caernarvon było rajem. Nie było tu Nor, jaskrawego podziału między tymi, którzy mają, i tymi, którzy nie mają, armii okupantów, smrodu popiołów i śmierci, ani martwego wzroku zrozpaczonych ludzi. Stolica Waeddrynu rozkwitała pod nieprzerwanymi rządami kolejnych dwudziestu jeden królowych.

Dwadzieścia jeden królowych – ta myśl wydawała się Kylarowi dziwna, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Mama K rządziła Sa kage i ulicami Cenarii przez ponad dwadzieścia lat.

– Co was sprowadza? – zapytał strażnik przy bramie, przyglądając się ich wozowi.

Tutejsi ludzie byli wyżsi niż Cenaryjczycy, a Kylar nigdy nie widział tylu ludzi z błękitnymi oczami albo z tak kolorowymi włosami – od prawie białych po ognisto rude.

– Kupuję i sprzedaję zioła lecznicze. Przyjechaliśmy otworzyć tu aptekę – odpowiedział Kylar.

– Skąd jesteście?

– Z Cenarii. Strażnik się zadumał.

– Słyszałem, że źle się tam mają sprawy. Jeżeli otwieracie sklep po południowej stronie, uważajcie. Sąsiedztwo bywa dość nieprzyjemne... – Urwał, kiedy zobaczył blizny na twarzy Elene.

Kylar się wściekł szybciej niż myślał, że to możliwe. Blizny to jedyna rzecz, która szpeciła poza tym nieskazitelna urodę Elene. Promienny uśmiech, wielkie piwne oczy, które zaprzeczały nudzie i

prostocie słowa „piwny”, oczy, które tylko poeta mógłby stosownie opisać i tylko legion bardów stosownie wychwalić, skóra, która błagała, żeby jej dotknąć, i krągłości, które tego wręcz żądały. Mając to wszystko, jak on mógł widzieć tylko blizny, wściekał się Kylar. Mimo to nie odezwał się, nie chcąc robić sceny. Strażnik zamrugał.

– Ehm, proszę jechać.

– Dziękujemy.

Kylar nie martwił się tutejszym Sa'kagé. Działało tylko na małą skalę: rozboje, drobne kradzieże, uliczna prostytucja, zakłady na walkach psów i byków. Niektóre burdele i domy gry utrzymywały się w biznesie w ogóle bez powiązań z Sa'kagé. Uliczne gangi z dzieciństwa Kylara były lepiej zorganizowane niż tutejsza przestępczość.

Jechali przez miasto, gapiąc się na ludzi i domy jak wieśniacy. Caernarvon leżało u zbiegu Ostrężyny, Wi i rzeki Czerwonej. Na ulicach kwitł handel i pełno tu było ludzi, którzy opływali w dostatki. Mijali Sethyjczyków o oliwkowej cerze i wyrazistych rysach, ubranych w luźne spodnie i białe tuniki, rudych Ceuran noszących po dwa miecze i hołdujących dziwnej modzie wplatania kolorowych pasemek cudzych włosów we własne; zobaczyli kilku Ladyjczyków i nawet jednego Ymmurczyka o oczach jak migdały. Świetnie się bawili, wskazując ukradkiem przechodniów i zgadując, skąd pochodzą.

– A on? – zapytała Uly, pokazując palcem nijakiego mężczyznę w prostym, wełnianym ubraniu.

Kylar się skrzywił.

– No właśnie, prosimy o odpowiedź, mądralo – judziła z psotnym uśmiechem Elene. – I nie pokazuj palcem, Uly.

Mężczyzna niczym się nie wyróżniał. Żadnych tatuaży, zwykłe, typowe dla Caernarvon tunika i spodnie, kasztanowe, krótko obcięte włosy, nie miał też patrycjuszowskiego nosa typowego dla Modaińczyków – nic charakterystycznego; nawet lekko opalona; skóra pasowała do kilku różnych narodowości.

– Ach – powiedział Kylar. – To Alitaeranin.

– Udowodnij – upierała się Elene.

– Tylko Alitaeranin może być taki zadowolony z siebie.

– Nie wierzę.

– Zapytaj go.

Elene pokręciła głową, nagle onieśmielona.

– Ej, proszę pana! – krzyknęła z wozu Uly, kiedy go mijali. – Skąd pan jest?

– Uly! – Elene była zażenowana. Mężczyzna obrócił się i wyprostował.

– Pochodzę z Alitaery, z łaski Boga najpotężniejszego kraju w całym Midcyru.

– Bogów, chciałeś powiedzieć – poprawił go Waeddryńczyk, z którym tamten się targował.

– Nie, w przeciwieństwie do was, psów z Waeddrynu, Alitaeranie mówią to, co myślą – odparł alitaerański kupiec i za chwilę już kłócili się na temat religii i polityki, zapominając o Uly.

– Jestem naprawdę niezły – uznał Kylar. Elene jęknęła.

– Pewnie sam jesteś z Alitaery.

Kylar zaśmiał się, ale to „pewnie” napełniło go goryczą. „Pewnie”, bo był szczurem z gildii, sierotą, może dzieckiem niewolników. Nie potrafił nawet zgadnąć, skąd pochodzili jego rodzice. Nie domyślał się, dlaczego go porzucili. Umarli? A może żyli? Byli kimś ważnym, jak to zwykle fantazjowały sieroty? Podczas gdy Jarl pracowicie zbierał grosz do grosza, żeby wykupić się z gildii, Kylar wyobrażał sobie, dlaczego jego arystokratyczni rodzice zostali zmuszeni do porzucenia go. To było bezsensowne, głupie i myślał, że już dawno z tym skończył.

Najbliższym odpowiednikiem ojca był dla niego Durzo – więc Kylar stał się tym, co przeklinają wszyscy ludzie: ojcobójcą. Teraz nie był z nikim związany, niczego za sobą nie zostawił, nic na niego nie czekało.

Nie, to nieprawda. Miał Elene i Uly. Był wolny i mógł kochać. Ta wolność sporo go kosztowała, ale było warto.

– Nic ci nie jest? – zapytała Elene, spoglądając na niego z troską.

– Nic. Dopóki jesteśmy razem, czuję się wspaniale.

Po kilku minutach opuścili północne targowiska i zagłębili się w dzielnicę portową. Nawet tutaj większość budynków wzniesiono z kamienia – wielka zmiana po Cenarii, gdzie kamień był tak drogi, że większość domów budowano z drewna i papieru ryżowego. Miejscowi chuligani siedzieli na schodkach przed domami, magazynami i młynami, ponuro obserwując przejeżdżający wóz, z

minami typowymi dla wszystkich wyrostków, którzy muszą coś udowodnić.

– Jesteś pewien, że to właściwa droga? – zapytał Kylar. Elene się skrzywiła.

– Nie?

Kylar jechał dalej, ale to już nie miało znaczenia. Sześciu nastolatków wstało i ruszyło w ich kierunku za mężczyzną o czarnych zębach i z szopą tłustych włosów. Młokosy wyjęły spod schodów albo zza stosów śmieci broń. To była broń uliczników: pałki i noże, długie ciężkie łańcuchy. Mężczyzna, który ich prowadził, stanął przed wozem i złapał konia za uzdę.

– Skarbie, czas zapoznać się z naszym przyjaznym sąsiadem, Sa'kagé – powiedział Kylar.

– Pamiętaj, co mi obiecałeś – powiedziała Elene, łapiąc go za rękę.

– Chyba nie spodziewasz się, że... – Nie dokończył pytania, widząc wyraz jej oczu.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna, uderzając pałką w dłoń. Uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa czarne zęby.

– Skarbie – powiedział Kylar, ignorując go – tym razem jest inaczej. Nie rozumiesz?

– Inni ludzie jakoś wychodzą z takich sytuacji, nikogo nie zabijając.

– Nikt nie umrze, jeśli załatwimy to po mojemu – powiedział Kylar.

Mężczyzna o czarnych zębach odchrząknął. Brud na trwałe wgryzł się w jego oblicze, a dwie wystające, krzywe i pociemniałe jedynki dominowały w jego twarzy.

– Przepraszam, gołąbeczki, nie chciałbym przeszkadzać...

– Proszę poczekać – rzucił Kylar tonem nieznoszącym sprzeciwu. Odwrócił się do Elene. – Skarbie.

– Albo zrobisz to, co obiecałeś, albo rób to co zawsze – powiedziała Elene.

– To nie jest pozwolenie.

– Nie. Nie jest.

– Przepraszam – odezwał się znowu mężczyzna. – To...

– Niech zgadnę – przerwał mu Kylar, parodiując butę i akcent rzezimieszka. – To płatna droga i musimy zapłacić myto.

– Zgadza się.

– Skąd ja to wiedziałem?

– Sam miałem o to zapytać... Ej, stul dziób! Jestem Tom Gray i to...

– Jest twoja droga. Pewnie. Ile? – zapytał Kylar. Tom Gray skrzywił się.

– Trzynaście srebrników.

Kylar odliczył na głos siedmiu ludzi.

– Chwileczkę, to znaczy, że rżniesz swoich mięśniaków? Każdy dostanie tylko jednego srebrnika, a ty aż sześć? – zdziwił się Kylar.

Tom Gray pobladł. Chłopcy spojrzeli na niego wściekli. Kylar oczywiście miał rację. Drobne rzezimieszki.

– Dam ci siedem.

Wyciągnął małą sakiewkę i zaczął rzucać chłopcom po monecie.

– Tyle dostajecie bez wysiłku. Po co ryzykować walkę? Tom i tak nie dałby wam więcej.

– Chwila! – zaprotestował Tom. – Skoro dał nam tyle bez problemu, to znaczy, że ma więcej. Brać go!

Ale chłopcy tego nie kupili. Wzruszyli ramionami, pokręcili głowami i szurając, wrócili na schody.

– Co robicie?! – wykrzykiwał Tom. – Ej!

Kylar strzelił lejcami i konie ruszyły. Tom musiał odskoczyć, żeby nie zostać przejechany. Skręcił sobie przy tym kostkę. Kylar podwinął górną wargę, usiłując wyglądać, jakby miał tak samo wystające zęby jak Tom, i uniósł bezradnie ręce. Chłopcy i Uly wybuchnęli śmiechem.

10

Noc spędzili w zajeździe, a następnego dnia wcześnie rano znalazła ich ciotka Mea i zaprowadziła labiryntem zaułków do swojego domu. Miała około czterdziestki, a wyglądała na dziesięć lat więcej. Owdowiała ponad dwadzieścia lat temu, wkrótce po narodzinach syna, Braena. Jej mąż dorobił się na handlu dywanami, więc dom miała wielki. Zapewniła Kylara i Elene, że mogą zostać tak długo, jak zechcą. Ciotka Mea była akuszerką i uzdrowicielką o prostej twarzy, błyszczących oczach i ramionach jak robotnik portowy.

– Więc – zaczęła ciotka Mea, kiedy już zjedli śniadanie, jajka z szynką – jak długo jesteście małżeństwem?

– Jakiś rok – powiedział Kylar.

Uznał, że jeśli to on zacznie kłamać, Elene jakoś sobie dalej poradzi, mimo że w ogóle nie umiała kłamać. Spojrzał na nią, a ona oczywiście się zarumieniła.

Ciotka Mea uznała, że to przejaw zakłopotania i zaśmiała się.

– Cóż, domyśliłam się, że jesteś trochę za młoda, żeby być matką tej młodej damy. Jak znalazłaś swoich nowych rodziców, Uly?

Kylar usiadł wygodniej, powstrzymując się przed udzieleniem odpowiedzi. Jeśli będzie odpowiadać za wszystkich, nie tylko wyjdzie na dupka, ale też wzbudzi podejrzenia. Czasem trzeba pozwolić, żeby sprawy potoczyły się własnym torem.

– Wojna – odpowiedziała Uly.

Przełknęła, patrząc w talerz i nie mówiąc nic więcej. To nawet nie było kłamstwo, a jej twarzy miała szczery wyraz. Opiekunka Uly zginęła w czasie walk. Dziewczynce nadal zdarzało się płakać z tego powodu.

– Była na zamku w czasie przewrotu – wyjaśniła Elene. Ciotka Mea odłożyła nóż i łyżkę – ku sporej irytacji Kylara, w Caernarvon nie używano widelców.

– Coś ci powiem, Uly. Dobrze się tobą zaopiekujemy. Będziesz bezpieczna i nawet dostaniesz własny pokój.

– I zabawki? – zapytała Uly.

Szczere, pełne nadziei spojrzenie Uly sprawiło Kylarowi ból. Małe dziewczynki powinny bawić się lalkami – dlaczego nigdy nie dał jej lalki? – a nie wyławiać ciała z rzeki.

Ciotka Mea zaśmiała się.

– I zabawki.

– Ciociu, tak bardzo nam pomagasz – powiedziała Elene. – Mamy pieniądze na zabawki, a Uly może zamieszkać z nami. Już...

– Nie chcę o tym słyszeć – przerwała jej ciotka Mea. – Poza tym, wy dwoje nadal jesteście nowożeńcami. Potrzebujecie jak najwięcej prywatności, chociaż niebiosa wiedzą, że nie raz udało nam się zaorać poletko, kiedy mieszkaliśmy w jednoizbowej chacie z rodzicami Gavina.

Elene poczerwieniała jak burak, ale ciotka Mea mówiła dalej.

– Tylko że jedenastolatka nie jest taka dobra w ignorowaniu hałasów, mam rację?

Teraz zarumienił się Kylar. Ciotka Mea spojrzała na niego, potem na Uly, która zerkała, nic nie rozumiejąc.

– Chcecie powiedzieć, że wy ani razu odkąd wyjechaliście z Cenarii? – spytała ciotka Mea. – Ale na pewno czasem wymykaliście się rano, kiedy Uly jeszcze spała? Nie? Ta podróż trwała, ile? Trzy tygodnie? To wieczność dla młodzików. Cóż. Tego popołudnia pójdziemy z Uly na porządny, długi spacer. Łóżko w waszym pokoju trochę skrzypi, ale jak będziecie się za bardzo martwili takimi rzeczami, to Uly nigdy nie będzie miała małego braciszka, nie?

– Błagam – poprosił Kylar, kręcąc głową. Elene była zażenowana.

– Hm – mruknęła ciotka patrząc na Elene. – Skoro skończyliście śniadanie, to może pójdziemy przywitać się z moim synem?

Braen Kowal pracował w kuźni przy domu. Miał szeroką twarz o prostych rysach i potężne ramiona, jak matka. Kiedy podeszli, właśnie skończył wyklepywać obręcz od beczki i rzucił ją na stos już gotowych. Zdjął rękawice.

– Dzień dobry – powiedział.

Od razu obrzucił spojrzeniem Elene. Szybko zerknął na jej pobliźnioną twarz, a potem ze zbyt dużym podziwem ocenił jej walory. To nie było szybkie spojrzenie od stóp do głów, jakim mężczyźni odruchowo obrzucają każdą kobietę. Kylar nie miałby nic przeciwko temu. To było coś innego. To było przeciągłe błądzenie wzrokiem, i to kiedy stał z Elene twarzą w twarz. A właściwie twarzą w jej piersi.

– Miło poznać – rzucił Braen, wyciągając rękę do Kylara. Zerknął na Kylara, mierząc go wzrokiem, oceniając. I, co dało się przewidzieć, spróbował zmiażdżyć mu dłoń.

Prosty trik z wykorzystaniem Talentu załatwił tę sprawę. Bez śladu wysiłku na twarzy, czy napięcia w ręce, Kylar zamknął wielką łapę w uścisku, którym omal nie połamał Braenowi kości. Odrobinę mocniej i pękłaby każda kostka w dłoni. Po chwili odpuścił i tylko ściskał z równą siłą co tamten – ręka w rękę, mięsień przy mięśniu, oko w oko – nawet jeśli musiał przy tym zadrzeć głowę, a Braen ważył o jedną trzecią więcej od niego. Panika zniknęła z oczu Braena i Kylar widział, że mężczyzna zastanawia się, czy nie wyobraził sobie siły, z jaką na początku Kylar uścisnął jego rękę.

– Kylar – syknęła przez zaciśnięte zęby Elene, jakby robił z siebie przedstawienie.

Ale Kylar nie oderwał wzroku od Braena. Coś tu trzeba było ustalić, i nawet jeśli to było barbarzyńskie i pierwotne, małostkowe i głupie, mimo to pozostawało ważne.

Elene nie lubiła, gdy ją ignorowano.

– Pewnie następnym razem zaczniecie porównywać wielkość swoich... – Urwała zakłopotana.

– Świetny pomysł – powiedział Kylar, gdy mężczyzna w końcu puścił jego rękę. – Co na to powiesz, Braen? – Poluzował pasek.

Na szczęście Braen się roześmiał. Reszta poszła za jego przykładem, ale Kylar nadal go nie lubił. A Braen nadal nie lubił jego. Kylar to wyczuwał.

– Cóż, miło poznać – powtórzył Braen. – Mam duże zamówienie do skończenia.

Skinął głową i podniósł młot, ukradkiem prostując obolałe palce.

Przez resztę popołudnia ciotka Mea oprowadzała ich po Caernarvon. Chociaż miasto było większe od Cenarii, panował tu znacznie mniejszy chaos. Większość ulic była wybrukowana i wystarczająco szeroka, żeby minęły się dwa wozy. Handlarzy, którzy rozstawiali stragany naruszając przestrzeń ulicy, karano tak szybko, że niewielu tego próbowało. Robił się ścisk, gdy przejeżdżały dwa wozy, ale wszyscy się do tego przyzwyczaili – trwało to od tak dawna, że wozy poruszały się w głębokich na sześć cali koleinach w bruku. Nawet ścieki płynęły wzdłuż ulic rurami ze studzienkami w regularnych odstępach, przez które wpływały nowe ścieki. To sprawiało, że miasto prawie nie pachniało miastem.

Na północnym krańcu dominował Zamek Caernarvon. Czasem nazywano go Błękitnym Olbrzymem, bo został zbudowany z niebieskawego granitu. Niebieskie mury nie miały żadnych spoin, były gładkie jak szkło, jeśli nie liczyć rozlicznych otworów strzelniczych i machikułów. Dwieście lat temu – jak powiedziała im ciotka Mea – osiemnastu ludzi utrzymywało zamek przez sześć dni, chociaż oblegało ich pięć tysięcy.

Oczywiście wokół zamku znajdowały się wspaniałe rezydencje. Im bliżej portu, tym brudniejsze i bardziej tłoczne stawało się miasto. Jak w większości miejsc, bogaci i szlachetnie urodzeni lubili mieszkać z dala od reszty, a reszta lubiła mieszkać tak blisko bogaczy, jak się

dało. Tutaj jednak linia podziału nie była uregulowana – w przeciwieństwie do Cenarii, gdzie biedota zgodnie z prawem musiała trzymać się zachodniej strony Plith. Tutaj ci, którzy się dorobili, mogli się przeprowadzić. Możliwość awansu napędzała to miasto.

Caernarvon błyszczało prawdziwym złotem i złotem głupców – nadzieją. Jego głównym grzechem była chciwość. W swojej wyobraźni każdy kupiec był tu cesarzem nowego imperium handlowego. Cenaria była śmierdzącym, przygniatającym kocem rozpaczy. Jej grzechem była zazdrość. Tam nikt nie budował imperiów. Tam każdy chciał wyrwać kawałek imperium temu drugiemu.

– Jesteś strasznie cichy – powiedziała Elene.

– Tutaj jest inaczej – powiedział Kylar. – Nawet przed przyjściem Khalidoru, Cenaria była chora. Tu jest lepiej. Myślę, że możemy tu stworzyć dom.

Na bogów, stanie się jednym z tych kupców, którymi pogardzał. Co prawda, nie miał większych ambicji. Jedyne, co potrafił poza zabijaniem, to zajmować się ziołami i po trosze aptekarstwem. Nigdy w życiu o czymś takim nie marzył. O czym będzie teraz marzył? O otwarciu drugiego sklepu? Zdominowaniu handlu ziołami w tym mieście? Kiedyś już trzymał w swoich dłoniach przyszłość kraju, mógł wszystko zmienić jedną zdradą, zabijając jednego człowieka – położyłby kres zabijaniu w ogóle.

Gdybym zabił, Logan by żył...

Kiedy ciotka Mea prowadziła ich do domu, spróbował pomyśleć

jak kupiec. Miał trochę złota schowanego w wozie i fortunę w ziołach. Gdyby napadnięto ich w drodze, bandyci nawet nie wiedzieliby co kraść.

– Dom jest na końcu tej ulicy – powiedziała ciotka Mea. – Braen pojechał uzupełnić zapasy. A my z Uly pójdziemy na coś słodkiego, żebyście mieli czas na ponowne zapoznanie się.

Mrugnęła do Kylara. Elene się zaczerwieniła. I nagle ciotka spochmurniała.

– Co to?

Kylar spojrzał w stronę domu. Smuga dymu wznosiła się i gwałtownie rzedła.

Dołączył do tłumu biegnącego do domu ciotki – w mieście pożar był takim zagrożeniem, że wszyscy łapali za wiadra i biegli na pomoc – ale zanim dobiegł na miejsce, spłonęła stajnia. Było za późno, żeby cokolwiek ratować. Tłum lał wodę na sąsiednie budynki, podczas gdy Kylar obejmował w milczeniu Elene i Uly.

Ze stajni nic nie zostało. Zamiast ich dwóch koni i starej szkapy ciotki zobaczyli tylko dymiące, śmierdzące kupy mięsa. Prawie nic nie zostało z wozu. Podpalacz znalazł ukrytą skrzynkę ze złotem. Fortuna w ziołach poszła z dymem.

Jedyną rzeczą, która ocalała, było długie wąskie pudło przymocowane do wygiętej osi wozu. Zamek był nienaruszony. Kylar otworzył pudełko i zobaczył szary strój siepacza i Sędziego. Nietknięte. Nawet nie śmierdziały dymem, kpiąc sobie z jego bezsilności.

11

Złe wieści, Wasza Świątobliwość – powiedział Neph Dada, i kiedy wszedł do sypialni Króla-Boga. Młoda cenaryjska arystokratka – Magdalyn Drake – leżała przywiązana do łóżka i jęczała przez knebel, ale i ona, i Król-Bóg nadal byli ubrani.

Garoth siedziała na łóżku obok dziewczyny. Pieścił jej nagą łydkę nożem.

– O co chodzi?

– Jeden z naszych szpiegów w Oratorium, Jessie al'Gwaydin, nie żyje. Ostatnio widziano ją w Zakolu Torras.

– Mroczny Łowca ją zabił?

–Tak zakładam. Nasz człowiek twierdzi, że Jessie zamierzała zbadać tę istotę – odpowiedział Neph.

– Więc weszła do lasu i nigdy nie wróciła.

– Tak, Wasza Świątobliwość.

Neph potarł zgarbione plecy. Przypominał w ten sposób Królowi-Bogu nie tylko o swoim wieku, ale też o ciężarze odpowiedzialności związanym z jego służbą.

Gwałtownym ruchem Król-Bóg dźgnął materac tak wysoko między nogami Magdalyn, że Neph myślał, że zranił dziewczynę. Pisnęła przez knebel i szarpnęła się, próbując się odsunąć. Nie zważając na to, Garoth ciął, przesuwając nóż ku jej stopom, rozcinając jej suknię aż do rąbka. Pierze wzbiło się w powietrze.

Król-Bóg zostawił nóż wbity w materac, odwinął rozciętą suknię i

delikatnie położył dłoń na nagim udzie dziewczyny. Trzęsła się jak osika.

– Werbowanie szpiegów w Oratorium jest takie trudne! Dlaczego upierają się, żeby narażać własne życie, Neph?

– Z tego samego powodu, dla którego przechodzą na naszą stronę, Wasza Świątobliwość: z ambicji.

Garoth spojrzał na Vurdmeistera zmęczonym wzrokiem.

– To było pytanie retoryczne.

– Ale mam też dobre wieści. – Neph wyprostował się nieco, zapominając o plecach. – Pojmaliśmy ladeskiego barda imieniem Aristarchos. Myślę, że Wasza Świątobliwość zechce go przesłuchać osobiście.

– Dlaczego?

– Bo skorzystałem ze Spojrzenia, i to, co ten człowiek widział, jest naprawdę niezwykłe.

Garoth zmrużył oczy.

– Gadaj.

– Wierzy, że widział dzierżyciela ka'kari. Czarnego ka'kari.

***

– Przestań się na mnie gapić! – rozkazał Stephan.

Był otyłym kupcem bławatnym, odtrąconym kochankiem, który żywił urazę i przysięgał, że może powiedzieć Vi, kim jest Shinga. Albo była kobietą, albo Stephan nie przejmował się, czyje pole orze –

bo właśnie taka była jego cena.

Vi leżała pod nim. Poruszała się ze zręcznością osoby wysportowanej i umiejętnie jak kurtyzana wyszkolona przez samą Mamę K, ale jej spojrzenie pozostało absolutnie obojętne. Nie jęczała, nie robiła min. Nie udawała rozkoszy i Stephanowi to przeszkadzało. Jak większość mężczyzn, Stephan to była w trzech czwartych gadanina i tylko w jednej czwartej kutas. W tej chwili nawet mniej niż w jednej czwartej.

Odsunął się, przeklinając swoją wiotkość. Spocił się i śmierdział mimo drogich olejków. Vi nie mogła się powstrzymać przed posłaniem mu protekcjonalnego uśmiechu.

– Myślałam, że zrobisz mi dobrze – powiedziała. Zaczerwienił się, a Vi zastanowiła się, dlaczego sabotuje jego wysiłki. Nie był ani lepszy, ani gorszy od innych mężczyzn, a ona potrzebowała tego, co mógł jej powiedzieć. Drwiny niepotrzebnie to przedłużą.

– Rozpuść włosy – powiedział.

– Zapomnij o włosach.

Na Nysosa, nie mogli zostawić w spokoju tej jednej rzeczy? Obróciła się i zakołysała biodrami, sięgając Talentem i łapiąc kupca. A potem zrobiła kilka rzeczy, żeby pomóc mu zapomnieć.

Kiedy miała piętnaście lat, Szubienicznik zabrał ją do Mamy K. Kurtyzana popatrzyła, jak siepacz ją bzyka, a potem powiedziała:

– Dziecko, pieprzysz się, jakbyś nic nie czuła. Naprawę niczego nie czujesz?

Nie było sensu okłamywać Mamy K, więc Vi się przyznała. Seks

nie dawał jej żadnych wrażeń.

– Cóż, nigdy nie będziesz najlepsza, ale to nie jest coś, czego nie dałoby się przeskoczyć – odpowiedziała Mama K. – Najstarsza magia to magia seksualna. Z twoimi cyckami i twoim Talentem, nadal mogę zrobić z ciebie kogoś nadzwyczajnego.

Vi wykorzystała teraz nabyte umiejętności, klnąc pod nosem na zniewieściałego dupka – słowa może nie pasowały do jej zamiarów, ale jak wszystkie kobiety obdarzone Talentem, musiała mówić, żeby korzystać ze swoich mocy.

Stephan jęknął jak ranione zwierzę i po chwili było po wszystkim. Kiedy nadal leżał odrętwiały, z czystej złośliwości wytarła się jego eleganckim płaszczem i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, w zbroi swojej nagości.

– Mów, tłuściochu – powiedziała, patrząc na blade wałki jego ciała z takim niesmakiem, że ze wstydu się przykrył. Odwrócił się.

– Na bogów, musisz...

– Mów.

Stephan zasłonił oczy.

– Często przysyłano mu gońców. Nauczyli się przychodzić do mnie do domu. Nieraz podsłuchałem jakiś kawałek rozmowy, ale on zawsze bardzo uważał. Palił przyniesione listy, zawsze wychodził na zewnątrz, żeby porozmawiać z gońcami. Ale w noc najaz... wyzwolenia, zjawił się goniec, a on od razu przy mnie odpisał.

Stephan złapał szlafrok, ubrał się i podszedł do biurka. Wyciągnął arkusz ceurańskiego papieru ryżowego i podał go Vi. Był pusty.

– Spójrz pod światło – powiedział jej.

Vi uniosła kartkę bliżej latarni i zobaczyła ślad po odciśniętych literach.

„Ocal Logana Gyre” – napisano drobnym, schludnym charakterem pisma – „a jeśli zdołasz, także dziewczynkę i kobietę z bliznami. Dostaniesz nagrodę, o jakiej ci się nawet nie śniło”. Zamiast imienia podpisano się dwoma symbolami. Jednym było oko z ciężką powieką opisane na gwieździe, narysowane bez odrywania pióra od papieru, a drugim gwiazda o dziewięciu wierzchołkach. Pierwszy znak to był symbol Sa'kagé, drugi to symbol Shingi. Oba razem oznaczały, że dana osoba dysponowała wszelkimi zasobami Sa'kagé.

– Potem wyszedł – powiedział Stephan. – I nigdy nie wrócił. Powiedziałem mu, że go kocham, a on nie chce mnie nawet widzieć.

– Jego imię, tłuściochu. Powiedz, jak się nazywa.

– Jarl. Bogowie, wybaczcie mi. Jarl jest Shingą.

W jednej z najnędzniejszych kryjówek, w ciemności, wśród szczurów i karaluchów – jak to w Norach – Jarl i Mama K mieli spotkanie z trupem. Uśmiechnął się, wchodząc do pomieszczenia. Prawą nogę miał w łupkach, więc nie mógł zgiąć kolana, a prawą rękę nosił na temblaku. Krew przesączyła się przez bandaże na łokciu. Szedł o kuli, ale zamiast wsunąć ją pod pachę, musiał po prostu trzymać ją w prawej ręce. Uszkodzony łokieć uniemożliwiał mu posługiwanie się kulą we właściwy sposób, tak jak wymagało tego kolano, więc bardziej podskakiwał niż kuśtykał. Miał krótko obcięte siwe włosy, był muskularny w sposób typowy dla żylastych i

twardych starszych ludzi, i chociaż twarz miał ściągniętą i szarą, uśmiechał się.

– Gwinvere – powiedział. – Dobrze widzieć, że przynajmniej z tobą lata obeszły się łaskawie.

Uśmiechnęła się i zamiast skomentować jego wygląd – wyglądał, jakby spał w rynsztoku, jego wspaniałe ubrania były brudne, a on sam śmierdział – powiedziała:

– Dobrze widzieć, że nie straciłeś nic z ogłady.

Brant Agon, podskakując, zbliżył się do krzesła i usiadł.

– Ach, te doniesienia o mojej śmierci i tak dalej.

– Brancie, to Jarl, nowy Shinga. Jarl, to baronet Brant Agon, niegdyś lord generał Cenarii.

– W czym mogę pomóc, lordzie generale? – zapytał Jarl.

– Jest pan zbyt uprzejmy. Przychodzę tu jako niewiele więcej niż to, co pan widzi: wyglądam jak żebrak i przyszedłem żebrać. Ale jestem więcej niż żebrakiem. Walczyłem na każdej granicy tego kraju. Walczyłem w pojedynkach. Dowodziłem dwuosobowymi drużynami i prowadziłem kampanie, mając pod sobą pięć tysięcy ludzi. Czeka was walka. Khalidor rozproszył nasze wojska, ale prawdziwa siła w Cenarii to Sa'kagé i Król-Bóg to wie. Zniszczy was, chyba że wy pierwsi go zniszczycie. Potrzebujecie wojowników, a ja jestem wojownikiem. Siepacze mają swoje miejsce i nie mogą zajmować się wszystkim. Zresztą sam pan widział kilka tygodni temu, że mogą wręcz pogorszyć sytuację. Ja z kolei mogę sprawić, że pańscy ludzie będą skuteczniejsi, bardziej zdyscyplinowani i lepsi w zabijaniu.

Proszę dać mi tylko miejsce i dowodzenie.

Jarl zakołysał się na krześle i złączył palce. Przyglądał się Brantowi Agonowi przez dłuższą chwilę. Mama K zmusiła się do milczenia. Była Shingą bardzo długo i z trudem godziła się na ryzyko, że Jarl popełnił błąd, ale podjęła decyzję. Niech Jarl przejmie to życie, władzę i siwe włosy. Będzie mu tylko pomagać, dopóki będzie jej potrzebował.

– Dlaczego zjawił się pan tutaj, lordzie Agonie? – zapytał Jarl. – Dlaczego ja? Terah Graesin ma swoją armię. Gdyby to zależało od pana, Sa'kagé zostałoby zniszczone lata temu.

– Słyszeliśmy, że zginął pan w zasadzce – odezwała się Mama K.

– Roth Ursuul mnie oszczędził – odparł z goryczą Brant. – W nagrodę za moją głupotę. To był mój pomysł, żeby Logan Gyre ożenił się z Jenine Gunder. Myślałem, że zapewniając ciągłość sukcesji, zapobiegnę zamachowi stanu. Zamiast tego ściągnąłem śmierć też na Logana i Jenine.

– Khalidor nigdy nie zostawiłby ich przy życiu – powiedziała Mama K. – Właściwie to Jenine miała szczęście. Ursuul wziąłby ją sobie do zabawy, a słyszałam takie historie...

– W każdym razie – przerwał jej Agon, nie zgadzając się na żadne rozgrzeszenie – uciekłem, odczołgałem się. Kiedy dotarłem do domu, moją żonę już zabrano. Nie wiem, czy nie żyje, czy właśnie dostarcza „rozrywki”.

– Och, Brant, tak mi przykro – powiedziała Mama K. Kontynuował, nie patrząc na nią, z nieruchomą twarzą.

– Postanowiłem żyć i zrobić użytek ze swojego życia, Shingo. Rody arystokratyczne chcą regularnej wojny. Duchessa Graesin spróbuje pochlebstwami i przymilaniem dopchać się do tronu. Ale nie mają dość woli, żeby wygrać. Ja mam, i myślę, że pan też. Chcę wygrać. A jeśli mi się nie uda, to przynajmniej zabiję tylu Khalidorczyków, ile się da.

– Proponujesz mi swoją służbę czy chcesz być moim partnerem? – zapytał Jarl.

– Pies to srał – warknął Brant i zamyślił się. – W życiu nie myślałem, że zobaczę tyle psiego gówna, co ostatnio.

– A co, jeśli wygramy? – zapytał Jarl. – Znowu będziesz próbował nas wyeliminować?

– Jeśli wygramy, to pewnie uznacie, że jestem zbyt niebezpieczny, i sami mnie zabijecie. – Brant uśmiechnął się blado. – W tej chwili niespecjalnie mnie to martwi.

– Rozumiem.

Jarl przesunął w zamyśleniu palcami po ciemnych warkoczykach.

– Nie zgadzam się na połowiczną lojalność. Będziesz służył mnie i tylko mnie. To dla ciebie jakiś kłopot?

– Wszyscy, którym składałem jakąkolwiek przysięgę, nie żyją – odparł Brant. Wzruszył ramionami. – Być może z wyjątkiem mojej żony. Ale mam kilka pytań. Jeśli pan jest nowym Shingą, to kto był poprzednim? Czy on żyje? Ile frontów będzie w tej wojnie?

Jarl milczał.

– To ja byłam Shingą – odezwała się Mama K. – Przeszłam na

emeryturę, i to nie dlatego, że Jarl mnie do tego zmusił. Przygotowywałam go do tego zadania całymi latami, ale wydarzenia zmusiły nas do szybszego działania. Nory są centrum naszej władzy, Brant, a one giną. Głód już się zaczyna, a zaraz po nim przyjdzie zaraza. Król-Bóg nie przejmuje się tym, co tu się stanie. Nie stworzył żadnej struktury władzy. Jeśli chcemy przetrwać, a mówiąc „my", mam na myśli Sa'kagé, ale też Cenarię i każdą nieszczęsną duszę w Norach, sytuacja musi się zmienić. Nadal jesteśmy w stanie przemycić do Nor wozy i łodzie. Żołnierze sprawdzają ładunek, szukają broni i żądają łapówek, ale z tym da się żyć. Gorzej, jeśli każdy wóz wjeżdżający z jedzeniem będzie rabowany. Ludzie umierają z głodu i nie ma straży, które powstrzymałyby kradzież, a jeśli jeden wóz zostanie ograbiony, to każdy następny też. Gdy to się zacznie, kupcy przestaną przysyłać wozy. I wtedy wszyscy umrą. Jeszcze do tego nie doszło, ale niewiele brakuje.

– Więc co zamierzacie? – zapytał Brant.

– Zamierzamy stworzyć podziemny rząd – powiedziała Mama K. – Wszyscy mnie znają, mogę wynająć mięśniaków i strzec wozów. Mogę rozstrzygać spory. Mogę kierować budowaniem schronień.

– Wtedy staniesz się celem.

– I tak jestem celem – odparła Mama K. – Straciliśmy część siepaczy i nie mam na myśli tego, że nie żyją. Siepacze składają Shindze magicznie gwarantowaną przysięgę posłuszeństwa. Król-Bóg złamał to wiązanie. Dowiedziałam się, że Hu Szubienicznik powiedział Królowi-Bogu, kim byłam. Garoth nie wierzy, że kobieta

mogła być Shingą, więc teraz szuka prawdziwego Shingi. Ale w każdej chwili może zmienić zdanie, niezależnie od tego, czy będę działać oficjalnie, czy trzymać się w cieniu. Nie mam na to wpływu, więc równie dobrze mogę zająć się tym co trzeba.

Mama K była równie spokojna jak weteran idący na bitwę. Widziała, że Brant Agon jest zdumiony.

– Powiedz, jakie jest moje zadanie – powiedział.

– Wybierzesz sobie ludzi i zrobisz z nich łowców czarowników – odpowiedział Jarl. – Potem przygotujesz obronę, na wypadek gdyby wojsko całą siłą uderzyło w Nory. Khalidorczycy mają czarowników, żołnierzy i część naszych najlepszych ludzi po swojej stronie. Żyję tylko dzięki temu, że nikt nie wie, kim jestem. Ale witaj na pokładzie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Brant Agon skłonił się niezgrabnie z powodu urazów i ruszył za zwalistym ochroniarzem do drzwi.

Kiedy wyszedł, Jarl odwrócił się do Mamy K.

– Nie mówiłaś, że się znacie.

– Nie sądzę, żebym znała tego Branta Agona – odparła.

– Odpowiedz mi.

Uśmiechnęła się delikatnie, rozbawiona i trochę dumna, że Jarl przejmował dowodzenie.

– Trzydzieści lat temu Brant zakochał się we mnie. Byłam naiwna. Myślałam, że też go kocham, i zniszczyłam go.

– Kochałaś go? – zapytał Jarl, zamiast drążyć, co się stało.

To pytanie było dowodem dla Mamy K, że wybrała właściwego

człowieka na swojego następcę. Jarl potrafił dostrzec szczeliny. Ale jedna rzecz podziwiać jego zdolności, a druga odczuć je na sobie.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne. Nie zwiodłaby Jarla tym uśmiechem nawet na sekundę, po prostu odruchowo nałożyła maskę.

– Nie wiem. Nie pamiętam. To ma jakieś znaczenie?

12

Mówi się, że Gaelan Gwiezdny Żar wrzucił błękitne ka'kari do morza, tworząc Wir Tlaxini – powiedział Neph. – Jeśli tak, to być może ka'kari leży tam do tej pory, ale nie mamy pojęcia, jak je odzyskać. Białe zniknęło sześć wieków temu. Kiedyś wierzyliśmy, że znajduje się w Oratorium, jednak babka Waszej Świątobliwości obaliła tę teorię. Zielone zabrał do Ladeshu Hrothan Żelaznoręki i tam zaginęło. Udało mi się potwierdzić fakt, że Hrothan zjawił się w Ladeshu jakieś dwieście dwadzieścia lat temu, ale niczego więcej się nie dowiedziałem. Srebrne zaginęło w czasie wojny stuletniej i może być wszędzie od Alitaery po Ceurę, chyba że Garric Mroczny jakoś je zniszczył. Czerwone wrzucił do Góry Popielistej, obecnej góry Tenji w granicach Ceury, Ferric Ogniste Serce. Brązowe według pogłosek znajduje się w szkole Tworzycieli w Osseinie, ale wątpię w to.

– Dlaczego? – zapytał Garoth Ursuul.

– Nie sądzę, żeby oparli się pokusie i nie skorzystali z niego. Mając panowanie nad ziemią, ci słabi magowie w jednej chwili staliby się setki razy potężniejsi. Prędzej czy później pojawiłoby się jakieś ich dzieło i stałoby się jasne, że ktoś Tworzy tak, jak potrafiono Tworzyć dawniej. Nic takiego się nie stało. Albo ludzie w tej szkole są niewiarygodnie mało ambitni, albo kakari tam nie ma. Inne plotki mówiły, że zostało związane przez Błękitnego Olbrzyma w Caernarvon, ten zamek. Moim zdaniem to tylko przechwałki niedouczonych. Nie jest to szczególnie zmyślna kryjówka dla ka'kari.

– Ale mamy sprawdzony trop, jeśli idzie o czerwone?

– Kiedy Vürdmeister Quintus przejeżdżał przez Ceurę, powiedział, że wybuchy góry Tenji są przynajmniej w części magiczne. Kłopot z czerwonym ka'kari jest taki jak z niebieskim: nawet gdybyśmy je wydostali, wątpliwe jest, by przetrwało nietknięte, skoro przez tak długi czas było wystawione na działanie takich żywiołów.

– Niewiele mi dajesz, Neph.

– Cóż, nie zbieramy morskich muszelek. – W jego głosie pobrzmiewała fałszywa nuta. Nie cierpiał tego.

– Co za przenikliwa uwaga. – Garoth westchnął. – A czarne?

– Nie ma słowa na jego temat. Nawet w najstarszych księgach. Jeśli Spojrzenie odsłoniło mi prawdę i Ladyjczyk nie ma po prostu urojeń, to jest to najlepiej strzeżony sekret, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

– Na tym polega dotrzymywanie sekretów, czyż nie? – Hę?

– Przyprowadź tego ladeskiego słowika. Będę potrzebował Pyłu.

***

Elene chciała, żeby sprzedał miecz. Przez ostatnie dziesięć nocy odgrywali swoje role, jakby byli drewnianymi kukiełkami. Tyle że kukiełki chociaż raz na jakiś czas mogą zagrać nową rolę.

– Nawet na niego nie patrzysz, Kylar. Tylko leży w skrzyni pod łóżkiem.

Ściągnęła ciemne brwi; robiły jej się wtedy na czole drobne zmarszczki, które znał aż za dobrze.

Siedział na łóżku, masując skronie. Miał już tego dość. Miał dość wszystkiego. Naprawdę spodziewała się, że jej odpowie? Dlaczego kobiety zawsze uważały, że rozmowa o problemie go rozwiąże? Niektóre sprawy były jak trupy. Gorące powietrze sprawiało tylko, że gniły, psuły się i zarażały swoją chorobą wszystko wokół. Lepiej je pochować i zostawić w spokoju.

Jak Durzo. Pokarm dla robaków.

– To był miecz mojego mistrza. Dał mi go – powiedział Kylar, tylko trochę spóźniając się ze swoją kwestią.

– Twój mistrz dawał ci mnóstwo rzeczy, a najczęściej cięgi. To był zły człowiek.

Ta uwaga rozwścieczyła Kylara.

– Nic nie wiesz o Durzo Blincie. To był wspaniały człowiek. Umarł, żeby dać mi szansę na...

– Dobrze, w porządku! Pomówmy o tym, o czym coś wiem – odparła Elene.

Znowu znalazła się o krok od łez, niech ją szlag. Była równie sfrustrowana jak on. Co gorsza, wcale nie próbowała nim manipulować za pomocą łez.

– Jesteśmy bez środków do życia. Wszystko straciliśmy, a przez nas ciotka Mea i Braen też dużo stracili. Możemy im to wynagrodzić, a oni na to zasługują. To nasza wina, że te rzezimieszki podpaliły im stajnię.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina – odparł Kylar. Zorientował się, że Uly płacze w swoim pokoju. Słyszała ich krzyki przez ścianę.

Gdyby załatwił sprawę z Tomem Grayem po swojemu, facet tak by się bał, że nie zbliżyłby się do domu ciotki Mei na odległość pięciu przecznic. Kylar znał muzykę ulicy, mówił językiem pięści, potrafił zagrać subtelne akordy zastraszania, wyśpiewać strach, sącząc go prosto do ludzkich serc. Znał tę muzykę i kochał ją. Ale nuty pieśni, których nauczył go Durzo, to nie logika klasyczna. Nie było tu tezy i antytezy, harmonijnie tworzących syntezę. To nie tego typu muzyka. Muzyka logiki była zbyt arystokratyczna dla ulicy, zbyt subtelna, a niuanse zwyczajnie nie trafiały.

Stałym motywem pieśni siepacza, za każdym razem gdy ją grał, było cierpienie, bo wszyscy rozumieją ból. To był motyw brutalny, ale nie pozbawiony niuansów. Nie zdradzając się Talentem, Kylar zająłby się wszystkimi sześcioma młodymi twardzielami i Tomem Grayem. Wyrostki wyszłyby z tego poobijane i zdumione. Tomowi Kylar zrobiłby krzywdę. Jak dużą, to już by zależało od Toma. Ale nawet gdyby Elene mu pozwoliła, to czy zrobiłby to na jej oczach? A jeśli zobaczyłaby jego radość?

Spojrzał na jej twarz. Była tak piękna, że musiał zamrugać, żeby powstrzymać łzy.

O co tu, do diabła, szło?

– Może odpuścimy sobie całe to pieprzenie, kiedy ja mówię, że miecz jest bezcenny, a ty odpowiadasz, że mielibyśmy za co otworzyć

sklep, a ja mówię, że nie mogę tego zrobić i nie potrafię wyjaśnić dlaczego, na co ty odpowiadasz, że tak naprawdę to chcę być siepaczem, a ty tylko mi to utrudniasz, a potem zaczynasz płakać. Może od razu zacznij płakać, a ja cię przytulę, będziemy się godzinę całować, a potem nie pozwolisz mi na nic więcej, zaśniesz, a ja będę leżał z obolałymi jądrami? Możemy przeskoczyć od razu do całowania? Bo jedyna część naszego pieprzonego życia, która sprawia mi przyjemność, to ta, kiedy myślę, że tobie jest równie dobrze jak mnie i myślę, że może dziś wieczorem wreszcie będziemy się rżnąć. Co ty na to?

Elene po prostu tego wysłuchała. Widział, że oczy jej się zaszkliły, ale nie zapłakała.

– Tylko tyle, że cię kocham, Kylarze – odpowiedziała cicho. Uspokoiła się i jej twarz się wygładziła. – Wierzę w ciebie i jestem z tobą, choćby nie wiadomo co. Kocham cię. Słyszysz? Kocham cię. I nie rozumiem, dlaczego nie sprzedasz miecza... – Wzięła wdech. – Ale godzę się z tym. W porządku? Nie wrócę już do tego.

Więc teraz wyszedł na prawdziwego skurwysyna. Siedział na fortunie, zamiast z niej skorzystać, żeby utrzymać żonę i córkę, i spłacić ludzi, którzy przez niego cierpieli. Ale ona się z tym pogodzi. Jakie to szlachetne. A najgorsze w tym wszystkim było to, że wiedział –niech to szlag, wiedział, bo zawsze potrafił ją przejrzeć – że nie próbowała grać lepszej od niego. Naprawdę chciała zrobić to co należy. Przez to różnica między nimi stawała się jeszcze bardziej rażąca.

Ona mnie nie zna. Myśli, że mnie zna, ale się myli. Zaakceptowała mnie, myśląc, że Kylar to tylko starsza, nieco brudniejsza wersja Merkuriusza. A ja nie jestem po prostu brudny, ja jestem brudem. Zabijam ludzi, bo to lubię.

– Chodź do łóżka, skarbie – powiedziała.

Rozbierała się, a krągłość jej piersi pod koszulką, zarys bioder i długie nogi wznieciły w nim ten sam ogień co zawsze. Jej skóra promieniała w świetle świecy. Zapatrzył się na jej sutek, kiedy gasiła świecę. On już był w bieliźnie i pragnął jej. Pragnął jej tak straszliwie, że to aż nim wstrząsnęło.

Położył się, ale jej nie dotknął. Ka'kari przeklęło go doskonałym wzrokiem w ciemnościach. Przeklęło, ponieważ nadal widział Elene. Widział ból na jej twarzy. Jego żądza była łańcuchem i czuł się jej niewolnikiem, a to go brzydziło, więc kiedy Elene obróciła się i dotknęła go, nie poruszył się. Położył się na plecach i zagapił na sufit.

Wygląda na to, że od razu przeskoczyłem do obolałych jąder.

Nie powinno mnie tu być. Co ja robię? Szczęście nie jest dla morderców. Nie mogę się zmienić. Jestem nic niewart. Jestem niczym. Zielarz bez ziół, ojciec, który nie jest ojcem, mąż, który nie jest mężem, zabójca, który nie zabija.

Ten miecz to ja. Dlatego nie mogę się go pozbyć. Oto kim jestem. Miecz w pochwie wart fortunę leżący na dnie skrzyni. Gorzej niż bezużyteczny. Marnotrawstwo.

Usiadł na łóżku, a potem wstał. Sięgnął pod łóżko i wyciągnął wąską skrzynkę.

Elene usiadła, kiedy zaczął wyjmować szary strój siepacza.

– Skarbie? – zapytała.

Ubrał się w kilka chwil. Blint kazał mu ćwiczyć nawet ubieranie. Przytroczył noże do rąk i nóg, przyczepił komplet wytrychów do nadgarstka i umieścił kotwiczkę na krzyżu, poprawiając szary materiał tak, żeby tłumił każdy dźwięk. Przewiesił Sędziego przez plecy i naciągnął czarną jedwabna maskę.

– Skarbie, co robisz? – zapytała nerwowo Elene.

Nie wyszedł drzwiami i po schodach. Nie, nie dziś. Zamiast tego otworzył okno. Powietrze pięknie pachniało. Wolnością. Wziął głęboki wdech i zatrzymał je w płucach, jakby mógł uwięzić w sobie wolność. Kiedy dotarła do niego ironia tej myśli, natychmiast wypuścił powietrze i spojrzał na Elene.

– To co zawsze, kochanie – odpowiedział. – Wszystko chrzanię.

Korzystając z Talentu, wyskoczył w noc.

***

Ferl Khalius znowu dostał gównianą służbę. Odkąd jego oddział zginął w czasie napaści, wybierano go do najgorszych zadań: musiał zrzucać ciała z tamtego rozklekotanego, do połowy spalonego mostu, pomagał kucharzom przenieść zapasy na zamek, pomagał meisterom zbudować nowe mury wokół miasta. Dostawał podwójne albo potrójne służby jako strażnik, ale nigdy w dobrym miejscu, takim jak na przykład most Vanden, gdzie na każdej zmianie straże dostawały

tygodniowe pobory w łapówkach za to, że przepuszczały czasem jakichś cwaniaczków. Nie, takich służb mu nie dawali.

Spojrzał z niesmakiem na swojego więźnia. Mężczyzna był gruby i miał miękkie ręce arystokraty z południa, chociaż brodę strzygł na khalidorską modłę. Nos miał garbaty, a brwi krzaczaste. Patrzył się na Ferla, nie kryjąc strachu.

Ferl miał z nim nie rozmawiać. Nie powinien wiedzieć, kim jest ten człowiek. Ale od początku miał złe przeczucia – odkąd kapitan powiedział mu, że Vürdmeister chce się z nim widzieć. Miał się zgłosić natychmiast.

Żaden Khalidorczyk nie chciał usłyszeć czegoś takiego. Ferl pomyślał o swojej małej pamiątce, mieczu z rękojeścią ze smokiem, który zabrał z mostu. Jednak to nie dlatego go wzywano, chociaż niemal się posikał, gdy zobaczył, że ma rozmawiać z samym lodricarskim Vürdmeisterem Nephem Dadą. Żaden Vürdmeister nie był normalny, ale Neph był upiorny nawet jak na Vürdmeistera. Kiedy Vürdmeister mówił, Ferl cały czas gapił się na dwanaście sznurów z węzłami, symbolizującymi dwanaście shu'ra, które Neph opanował. Patrzenie mu w twarz było zbyt przerażające.

Neph przydzielił to zadanie Ferlowi i tylko jemu. Zabronił mu rozmawiać o tym z innymi żołnierzami, zabronił mu w ogóle zadawać się z innymi żołnierzami na czas tego zadania. On i arystokrata zostali zamknięci w domu jakiegoś kupca po wschodniej stronie. Meisterowie pospiesznie przerobili część domu na więzienie. Meisterowie – nie kto inny! Powód mógł być tylko jeden: sprawa była tak ważna, że robotę

trzeba było wykonać błyskawicznie i bez niczyjej wiedzy. Potem zostawili go z jedzeniem na kilka miesięcy i zabronili mu opuszczać dom.

Ta sprawa śmierdziała. Ferl Khalius nie został drugim – teraz pierwszym – w swojej drużynie za głupotę. Porozmawiał z arystokratą i dowiedział się, że nazywa się baron Kirof. Baron twierdził, że nie wie dlaczego został uwięziony. Upierał się przy swojej niewinności i lojalności wobec Khalidoru. Fakt, że marnował siły, tłumacząc się przed zwykłym żołnierzem, podpowiedział Ferlowi, że baron Kirof nie jest zbyt bystry.

Łamiąc rozkazy, Ferl wykradł się z domu i dowiedział się, że baron Kirof rzekomo został zamordowany. Porządny khalidorski diuk, Tenser Vargun, gnił teraz w Paszczy za zabicie cenaryjskiego arystokraty, który nawet nie był martwy.

Wtedy Ferl zorientował się, że ma przegwizdane. Nie potrafił odmalować w wyobraźni żadnego obrazu, w którym obrót spraw okazywał się korzystny dla Ferla Khaliusa. Dlaczego przydzielili do tego zadania człowieka bez własnego oddziału? Bo można go zabić i nikt niczego nie zauważy. A kiedy nadejdzie czas, baron Kirof zostanie wypuszczony albo zabity – jedyny powód, dla którego warto go trzymać przy życiu, kiedy niby miał nie żyć, to żeby w jakimś momencie go pokazać. Ale Ferl? Ferl będzie tylko dowodem na to, że Vürdmeisterowie kłamali.

Powinien był wrócić do Khalidoru. Zaproponowano mu pracę przy wołach w wojskowym taborze. Mało brakowało, a by ją przyjął.

Gdyby tak zrobił, pewnie jechałby teraz do swojego klanu.

Jednakże wszyscy, którzy mieli eskortować skarby do Khalidoru, zostali dokładnie przeszukani przed wyjazdem – to oznaczałoby utratę cennego miecza. Został więc, przekonany, że zbije małą fortunę, kiedy będą łupić miasto. Jasne.

– Powinienem cię zabić – powiedział Ferl. – Powinienem cię zabić, żeby zagrać im na nosie.

Gruby mężczyzna pobladł. Widział, że Ferl mówi szczerze.

– Powiedz mi, stary baleronie, gdyby Vürdmeisterowie obiecali ci, że będziesz żył, o ile skłamiesz, kto cię porwał, zrobiłbyś to?

– A co to za głupie pytanie? – obruszył się baron Kirof. Zatem wiedzieli, że Kirof zatańczy jak mu zagrają.

– Jesteś odważnym człowiekiem, prawda, stary baleronie?

– Co? – zdziwił się baron Kirof. – Nie rozumiem cię przez ten akcent. Dlaczego cały czas nazywasz mnie starym baronem?

– Baleron! Stary baleron!

– Jestem baronem, ale nie starym. Mam dopiero trzydzieści sześć lat.

Ręka Ferla tylko śmignęła między pręty. Khalidorczyk złapał barona za tłuste fałdy i ścisnął z całej siły. Baron wytrzeszczył oczy, pisnął i próbował się wyrwać, ale Ferl przyciągnął go do prętów.

– Baleron! Baleron! – powtórzył.

Złapał barona za policzek drugą ręką i ścisnął. Mężczyzna wymachiwał rękami, próbując odepchnąć Ferla, ale był za słaby. Zaczął lamentować.

– Baleron! Tłusty baleron! – ryknął mu w twarz Ferl. I puścił go. Baron padł na łóżko w celi. Roztarł policzek i fałdki na brzuchu z oczami pełnymi łez.

– Baleron? – zapytał zraniony.

Ferl miał szczęście, że akurat nie trzymał w ręku włóczni.

– Rusz to tłuste dupsko. Wychodzimy.

13

Już sam ruch, przeskakiwanie z dachu na dach, przelatywanie nad światem poniżej, napełniło serce Kylara radością. Budynki w Cenarii stanowiły mieszankę domów w stylu ceurańskim – z ryżowych włókien i bambusa, ze spadzistymi, krytymi glinianym gontem dachami – oraz domów z czerwonej cegły i drewna, krytych strzechą. Rzadko kiedy można było tam biegać po dachach. Tutaj, setki mil od najbliższego ryżowiska i z dala od groźby śniegu, wszystkie dachy były płaskie i z solidnej gliny, wzmocnione porządnym drewnem. Dla człowieka z talentami Kylara stanowiły napowietrzną drogę.

Kylar się upajał. Upajał się siłą swoich mięśni, smakiem nocnego powietrza i tajemną mocą płynącą z faktu, że poruszał się wśród nocy jak cień. Wszystko było takie, jakie być powinno. Nic tak do niego nie pasowało, jak szary kostium siepacza. Zaprojektowany przez najlepszego krawca Cenarii, pana Piccuna, poruszał się wraz z Kylarem. Cętkowany deseń łamał zarys jego sylwetki i sprawiał, że nawet człowieka bez Talentu trudno byłoby dostrzec.

Zatrzymał się na krawędzi dachu. Pokręcił głową, żeby rozgrzać szyję i plecy, i pobiegł z powrotem. Od dachu magazynu dzieliło go bite dwadzieścia stóp. Odetchnął głęboko i pobiegł. Jego kroki rozległy się cichym zgrzytem, gdy popędził do krawędzi. Skoczył i dalej machał nogami, jakby biegł przez powietrze, gdy przelatywał nad zaułkiem. Z łatwością wylądował na dachu magazynu, sześć stóp od krawędzi.

Pognał prosto do ściany, w miejscu gdzie dach unosił się, tworząc niskie drugie pięterko. Była za wysoka dla niego, żeby mógł podskoczyć i złapać się krawędzi. Zamiast tego wbiegł po ścianie tak wysoko, jak zdołał, a potem odbił się od niej. Sięgnął do belek dachowych, które wychodziły poza budynek, ale nie trafił. Jego palce znalazły się pół stopy poniżej krawędzi belki.

Widmowa dłoń wystrzeliła z jego rąk, przedłużając jego zasięg, i dzięki temu podciągnął się na belkę. Zrobił w powietrzu salto i wylądował na szerokiej na trzy cale belce. Przez chwilę chwiał się, ale zaraz złapał równowagę i wszedł na dach.

Zamachał rękami dla rozgrzewki i krzyknął triumfalnie. Potrzebował tylko trzech prób. Nieźle. Całkiem nieźle. Następnym razem spróbuje, będąc niewidzialnym. Zaczynał rozumieć, co kiedyś powiedział mu mistrz – jak wiele będzie musiał się nauczyć, kiedy zacznie korzystać z Talentu. Już samo przejście od korzystania z Talentu przy skoku, do wypuszczenia z jego pomocą widmowych rąk, bez mała przekraczało możliwości Kylara. A robienie tego, będąc niewidzialnym i w pełnym biegu... cóż miał mnóstwo czasu na trening, prawda?

Po co? Czas na trening, ale do czego?

Ta myśl sprawiła, że powietrze znad rzeki wypełniło się goryczą. Wolność, którą poczuł, rozpłynęła się jak mgła. Trenował po nic. Trenował, bo nie mógł wytrzymać leżenia obok Elene z kłębiącymi się w nim myślami, uczuciami i żądzą. Wybierał między pragnieniem zerwania z niej ubrań i wzięcia jej siłą a pragnieniem potrząśnięcia nią

i nakrzyczenia na nią. Bał się intensywności tych uczuć, bał się tego, jak się na siebie nakładają. To nie było kochanie się. Fakt, że w ogóle o tym myślał, przyprawiał go o mdłości.

Skoczył ponad następnym szerokim odstępem między dachami i parą, która spacerowała, trzymając się za ręce. Usłyszał, jak zaskoczeni pytali się wzajem – coś właśnie nad nami przeleciało? – i zaśmiał się w głos. Wszystkie myśli rozpuściły się w makowej nalewce działania, ruchu, wolności.

Kiedy przemykał obok gangu, który czekał w zasadzce – a nuż jakiś pijak minie chwiejnym krokiem ich zaułek – poczuł się naprawdę żywy. Nie potrzebował nawet swoich mocy. Po prostu był tam, z każdym zmysłem dostrojonym, z każdym ścięgnem gotowym do działania. Gdyby któryś z tych zabijaków zauważył go, musiałby skorzystać z mocy, uciec, zaatakować, skoczyć, zrobić unik, schować się – cokolwiek. Kiedy mijał zbira z nożem w jednej ręce i bukłakiem w drugiej, był tak blisko, że poczuł jego zapach. Musiał dopasować rytm oddechu do oddechu tamtego – żeby nie było go słychać – uważać na każdy krok, obserwować zmieniające się światło, kiedy księżyc prześlizgiwał się za chmurami, zerkać na twarze pozostałych – czwórki młodych mężczyzn, którzy żartowali, rozmawiali i podawali sobie fajkę z lubieżnicą.

– Ej, przymknąć jadaczki! – powiedział mężczyzna stojący najbliżej Kylara. – Nigdy nikogo nie dorwiemy, jak będziecie tak nawijać.

Wszyscy ucichli. Wzrok zbira przesunął się po Kylarze, który

ledwo powstrzymał się od gwałtownego wdechu – zobaczył w oczach tego mężczyzny coś mrocznego. Na ten widok coś poruszyło się w głębi jego umysłu.

Kawałek od nich z zajazdu wytoczył się mężczyzna. Oparł się o ścianę, a potem odwrócił się i ruszył prosto w zasadzkę.

Co ja robię? Kylar zdał sobie sprawę, że nawet nie ma planu. Oszalałem. Muszę się stąd wynosić. Nie złamał obietnicy złożonej Elene. Jeszcze nie. W końcu nigdy nie obiecywał, że nie będzie wychodził nocą. Obiecał, że nie będzie zabijał.

Musiał odejść. Natychmiast. Jeśli zaczną bić pijanego, to nie wiedział, co zrobi. A może doskonale wiedział, co zrobi, i nie mógł sobie na to pozwolić.

Ka'kari wytrysnęło mu przez pory, połyskując jak opalizujący, czarny olej. W jednej chwili pokryło skórę i ubranie – pokryło go, migotało przez ułamek sekundy i zniknęło.

Jeden z opryszków po drugiej stronie zaułka zmarszczył brwi i otworzył usta, ale po chwili tylko pokręcił głową, uznając, że mu się przywidziało – cokolwiek wydawało mu się, że zobaczył.

Kylar skoczył pięć stóp w górę i złapał się krawędzi dachu. Podciągnął się i zaczął uciekać. Kiedy usłyszał krzyk – głuchy odgłos uderzenia pałką w ciało? – nie zatrzymał się. Nie spojrzał.

Znajdował się raptem cztery przecznice dalej – nadal biegł w stronę domu ciotki Mei – kiedy zobaczył dziewczynę. Śledziło ją trzech innych zbirów.

Co, u diabła, robiła tutaj tak późno? Każdy w tej części miasta

musiał wiedzieć, że to bardzo głupi pomysł, żeby dziewczyna –rzecz jasna, ładna i złotowłosa – kręciła się tu samotnie.

To nie jego sprawa. Złotowłosa zerknęła przez ramię i Kylar zobaczył ślady łez na jej twarzy. Cudownie. Jakaś głupia i afektowana dziewczyna, która zachowywała się w sposób głupi i afektowany. Zatrzymał się.

Niech to diabli, nie możesz ocalić całego świata, Kylar. Nie jesteś tak naprawdę Aniołem Nocy. Jesteś tylko cieniem, a cienie nie mogą niczego dotknąć.

Znowu zaklął, tym razem na głos. Na ulicy poniżej czwórka bohaterów małego melodramatu spojrzała w górę, ale oczywiście nikogo nie zobaczyła. Mężczyźni nie widzieli, jak zeskoczył na ulicę i ruszył za nimi.

Jeśli ją złapią, będzie musiał ich zabić. Musiał zaatakować, żeby odciągnąć ich od dziewczyny, ale co potem? Pobije ich jako niewidzialny człowiek? I pozwoli im o tym opowiadać? Prędzej czy później ktoś w końcu powiąże go z Aniołem Nocy, a wtedy wszystko pójdzie w diabły. Nie, jeśli ją złapią, będzie musiał złamać obietnicę złożoną Elene, będzie musiał iść na całość. Więc zostawała mu tylko jedna rzecz: zadbać, żeby jej nie złapali.

Złotowłosa zrobiła pierwszą rozsądną rzecz tej nocy: zaczęła uciekać. Bandyci rozdzielili się i ruszyli za nią. Kylar zdjął Sędziego z pleców, ale nie wyjął go z pochwy. Pobiegł za jednym opryszkiem, wszedł w rytm jego kroków i mieczem w pochwie uderzył go od tyłu w stopę, gdy oprych właśnie sadził susa. Mężczyzna poleciał prosto

na twarz, a jego towarzysz ledwo miał czas, żeby zerknąć przez ramię, zanim też zapoznał się z brukiem w sposób o wiele bardziej intymny, niż by sobie tego życzył.

Obaj zaklęli, ale nie byli zbyt bystrzy. Poderwali się i znowu pobiegli za dziewczyną. Szybko zaczęli ją doganiać. Tym razem Kylar sprawił, że jeden potknął się o drugiego. Mężczyźni padli, klnąc na siebie nawzajem i okładając się w plątaninie nóg i rąk. Zanim wstali, dziewczyna już zniknęła.

Kylar stracił ją z oczu razem z ostatnim opryszkiem. Wskoczył na dach i pobiegł jej śladem. Kiedy pędził, przestał być niewidzialny, wykorzystując Talent do przyspieszenia. Przeleciawszy przez kilka dachów, znowu dojrzał Złotowłosą. Znajdowała się przecznicę od jedynego domu w ciemnym zaułku, w oknie którego paliła się latarnia. Niewątpliwie to był jej dom.

Wtedy Kylar zobaczył oprycha zbliżającego się do skrzyżowania, obok którego Złotowłosa musiała przejść. Mężczyzna dostrzegł ją i schował się w cieniu.

Nie było czasu. Kylar nadal znajdował się ponad przecznicę za nimi. Podbiegł do krawędzi budynku i niezauważony przeskoczył nad Złotowłosą, wyciągając w locie Sędziego. Wylądował w małym zaułku tuż przed oprychem.

Mężczyzna wyciągnął nóż i w tej samej chwili Kylar zobaczył w mroku jego oczu głęboką, bezrozumną nienawiść, mającą początek w jakiejś rzekomej zniewadze. Ten człowiek już mordował i tego wieczoru planował zamordować Złotowłosą. Kylar nie wiedział, skąd

to wie – po prostu wiedział. A gdy zobaczył ten mrok żądający śmierci, dotarło do niego, że już coś takiego widział. To samo zobaczył w oczach księcia Ursuula. Tylko potem uznał, że coś mu się przywidziało.

Chwilę trwała pełna oszołomienia cisza, gdy bandzior i Anioł Nocy patrzyli na siebie.

– Matko?! Ojcze?! – zawołała dziewczyna, kiedy mijała zaułek.

Oprych zaatakował i Sędzia śmignął, uderzając w splot słoneczny, wybijając powietrze z płuc i przyszpilając mężczyznę do ściany.

Za rogiem otworzyły się drzwi i Złotowłosa weszła szybko do środka, pośród burzy przeprosin, słów wybaczenia i łez. Kylar zorientował się, że pokłóciła się z rodzicami o coś, o czym już nikt nie pamiętał, i wybiegła z domu.

Oprych szarpnął się. Walczył o oddech, ale nie mógł go złapać, bo miecz zmiażdżył mu żebra i dopchnął je mocno do przepony. Nogi bandyty zwiotczały. Kylar musiał mu uszkodzić kręgosłup, bo jedynym, co trzymało mężczyznę w pionie, był miecz przyszpilający go do muru.

Opryszek już nie żył, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

Niech mnie diabli, co ja zrobiłem?

Kylar wyciągnął Sędziego i oprych padł. Kylar wbił mu miecz w serce. Teraz już siedział w tym po uszy. Nie mógł zostawić ciała. To byłoby nieprofesjonalne, a znalezienie ciała z pewnością zniszczyłoby wątłą radość, którą słyszał przez otwarte okna. Na murze zostało

niewiele krwi, więc Kylar otarł ją opończą zbira, a potem wtarł ślady w ziemię.

W domu panowała radość i atmosfera pojednania. Matka podała imbryczek z ootai i paplała, jak to się z ojcem denerwowali. Dziewczyna opowiadała, że ktoś za nią szedł, że zaczęła uciekać i tak okropnie się bała, a tamci mężczyźni cały czas się przewracali.

Kylar poczuł przypływ dumy, a potem ogarnął go niesmak – to było takie słodkie i mieszczańskie.

Nieprawda. Wcale nie był zniesmaczony. Był wzruszony. Wzruszony i do głębi samotny. Został na zewnątrz, na ulicy z trupem, sam. Zasypał ziemią krew w zaułku i okutał szmatami rany trupa.

– Bogu niech będą dzięki – powiedziała matka. – Przez cały czas modliliśmy się z ojcem za ciebie.

Oto ja – pomyślał Kylar, zarzucając ciało na ramię – odpowiedź na modlitwy wszystkich ludzi. Wszystkich prócz Elene.

***

– Dlaczego ktoś chciałby zniszczyć ka'kari, Neph? – zapytał Król-Bóg, krążąc po jednej ze swoich królewskich komnat.

– Południowcy rzadko kiedy postępują logicznie, Wasza Świątobliwość.

– Ale z pewnością ci bohaterowie, którzy rzekomo zniszczyli ka'kari: Garric Mroczny, Gaelan Gwiezdny Żar, Ferric Ogniste Serce, oni z pewności urodzili się czarownikami. Nie zostali wytrenowani na

meisterów, to jasne, ale byli Utalentowani. Tacy wojownicy sami mogli związać ka'kari. I nie zrobili tego? Mówimy o co najmniej trzech wojownikach, którzy zdecydowali się zniszczyć artefakty mogące uczynić ich dziesięć razy potężniejszymi! Wielcy ludzie nie są tak bezinteresowni.

– Wasza Świątobliwość próbuje odtworzyć proces myślowy ludzi, którzy byli obdarzeni cnotami słabości – powiedział Neph. –To są ludzie, którzy wychwalali miłosierdzie wyżej niż sprawiedliwość, litość ponad siłę. To chora filozofia, filozofia szaleńców. Oczywiście, że postępowali w sposób niewytłumaczalny. Proszę spojrzeć, z jakim zapałem Terah Graesin dąży ku własnej zgubie.

Król-Bóg zbył to machnięciem ręki.

– Terah Graesin jest głupia, ale nie wszyscy południowcy są tacy. Gdyby tak było, moi przodkowie najechaliby ich już wieki temu.

– Oczywiście, że by najechali – zgodził się Neph Dada – gdyby nie ataki ze Zmarzliny.

Garoth skwitował to milczeniem. Przeciętny meister zawsze był mocniejszy od przeciętnego maga i często miał więcej towarzyszy biegłych w tej samej sztuce, a ci nie dzielili się na skłócone szkoły rozrzucone po połowie Midcyru. Wojska Khalidoru nie ustępowały armiom innych krajów, a w wielu wypadkach je przewyższały. Mimo tej przewagi raz za razem Królom-Bogom nie udawało się zaspokoić swoich ambicji.

– Wyczuwam... opór – powiedział Garoth.

– Opór, Wasza Świątobliwość? – zdziwił się Neph. Zakaszlał i aż

mu zagrało w piersiach.

– Może ci południowcy naprawdę wierzą w to, co mówią o litości i obronie słabych, chociaż nasze doświadczenia w Cenarii są dowodem na to, że nie. Jednak niełatwo zignorować zew potęgi. Być może jeden święty ich wiary mógłby zniszczyć ka kari, zamiast się nim posłużyć. Ale jak to możliwe, że wszystkie sześć ka'kari zniknęło albo pozostało w ukryciu na tak długo? Mówimy tu o całych pokoleniach świętych, a każdy kolejny strażnik musiał być równie szlachetny jak poprzedni. To nie ma sensu. Któryś z nich musiałby zawieść.

– Ka'kari pojawiały się raz na jakiś czas.

– Tak, ale w miarę upływu wieków coraz rzadziej. Ostatnim razem to było pięćdziesiąt lat temu – powiedział Garoth. – Ktoś próbował zniszczyć, a przynajmniej ukryć ka'kari. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

– Zatem ktoś tam chomikuje ka'kari od siedmiu wieków? – zapytał śmiertelnie poważnie Neph.

– Oczywiście, że nie ktoś, tylko jakaś... grupa. O wiele łatwiej przełknąć pomysł z małą grupą spiskowców niż ze zmową wszystkich południowych świętych, jacy kiedykolwiek żyli. – Przez chwilę rozważał tę myśl. – Pomyśl o tych imionach: Mroczny, Ogniste Serce, Gwiezdny Żar. To nie są nazwiska. To przydomki. Jeśli mam rację, to może Garric Mroczny, Ferric Ogniste Serce i Gaelan Gwiezdny Żar byli czempionami tej grupy, ich awatarami.

– A ich aktualny awatar...? – zapytał Neph. Garoth się

uśmiechnął.

– Ma teraz imię. Tego ranka mój ladeski bard wszystko wyśpiewał. Człowiek, który kroczył tymi korytarzami z ka'kari, który zabił mojego syna, był albo legendarnym Durzo Blintem albo jego uczniem Kylarem Sternem. Durzo Blint nie żyje. Jeśli więc Kylar Stern jest ich awatarem... – Garoth zamarł. – To by tłumaczyło, dlaczego ci bohaterowie byli gotowi zniszczyć ka'kari. Bo nie mogli ich użyć. Bo już jedno związali. Byli dzierżycielami czarnego ka'kari.

– Wasza Świątobliwość, a czy nie jest możliwe, że zamiast zniszczyć tamte ka'kari, zachowali je dla siebie?

Garoth rozważał to przez chwilę.

– To możliwe. I Kylar może wcale nie być z nimi sprzymierzony.

– A wtedy staraliby się dołączyć czarne ka'kari do swojej kolekcji.

– Tego nie wiemy. I niczego się nie dowiemy, dopóki nie złapiemy Kylara Sterna. Z mojego słowika będzie doskonały zabójca. A na razie skontaktuj się ze wszystkim meisterami i agentami, jakich mamy na ziemiach południowych, i każ im mieć oczy szeroko otwarte. Nie obchodzi mnie, czy będzie mnie to kosztować całe królestwo, ale znajdź mi Kylara Sterna. Żywego, martwego, nieważne, tylko przynieś mi to przeklęte ka'kari.

14

Pierwsze tygodnie na Dnie Piekła były najczarniejsze, a potem Logan został potworem. Zawarł pakt z diabłem i z własnym ciałem. Zjadł mięso, które wpadło mu w ręce tamtego strasznego dnia, i kiedy Piątak zabił Parcha, Logan znowu jadł ciało. Potem musiał zabić dla mięsa Długiego Toma, a ta śmierć uczyniła z niego potwora. Pozycja potwora zapewniła mu bezpieczeństwo. Jednakże bezpieczeństwo go nie zadowalało. Nie wystarczało mu to, że przetrwa. Logan żył dzięki dzikiej, prymitywnej części swojej osoby, ale nie pozwolił, aby zostało mu tylko to.

Podzielił się mięsem. Dał trochę Lilly, ale nie za seks, jak pozostałe Męty, tylko z przyzwoitości. Dała mu radę, dzięki której zachował człowieczeństwo. Podzielił się też z pozostałymi potworami: Dziarą, Yimbo i Zgrzytaczem. Najlepsze części zostawił sobie – najlepsze, czyli te, do których zjedzenia mógł się zmusić. Ręce i nogi to jedno, ale zjeść serce człowieka, jego mózg albo oczy i rozgryźć jego kości, żeby wyssać szpik, to co innego – tego Logan by nie zrobił. Wiedział, że dzieli go od tego cienka linia i że przekroczy ją, jeśli sprawy przybiorą znacznie gorszy obrót. Na razie jednak upadł wystarczająco nisko, więc podzielił się z przyzwoitości i podzielił się ze szlachetności.

To był pierwszy krok do odzyskania człowieczeństwa. Piątak zabije go przy pierwszej sposobności. Potwory miały wszystko w nosie, więc Logan miał jeszcze szansę przeciągnąć je na swoją stronę.

To nie będzie lojalność, ale każdy drobiazg mógł wiele zmienić.

Zgrzytacz to była całkiem inna historia. Logan trzymał się blisko niego. Uznał, że zdrada ze strony przygłupa jest najmniej prawdopodobna. Za to szybko się dowiedział, skąd się wzięło przezwisko Zgrzytacza. Każdej nocy zgrzytał zębami. Robił to tak głośno, że Logan dziwił się, że mężczyźnie zostały jeszcze jakieś trzonowce.

Trzeciego tygodnia Logan obudził się z powodu nagłej ciszy – zgrzytanie się urwało – i zaczął nasłuchiwać w ciemnościach. Zgrzytacz też nadstawił uszu i musiał mieć lepszy słuch od Logana, bo dopiero chwilę potem Logan usłyszał kroki.

Dwóch khalidorskich strażników pojawiło się nad kratą i spojrzało z odrazą w dół. Pierwszym z nich był ten, którego nienawidzili. Jak zawsze otworzył kratę i jak zawsze wrzucił chleb do dziury. Chociaż wiedzieli, że tak zrobi, i potwory, i zwierzęta, i nawet Logan stanęli wokół dziury, mając nadzieję, że strażnikowi nie uda się rzut. To się zdarzyło tylko raz, może dwa, ale wystarczało, żeby utrzymać ich przy życiu.

– Popatrz – powiedział strażnik.

Wyjął ostatni bochenek i obsikał go. Potem nasączony uryną chleb rzucił na Dno.

Logan, jako najwyższy, dorwał największy kawał. Natychmiast go pożarł, ignorując smród, ignorując ciepłą wilgoć spływającą po brodzie, ignorując poniżenie.

Khalidorczyk ryknął śmiechem. Drugi strażnik zaśmiał się

niepewnie.

Następnego dnia drugi strażnik wrócił sam. Miał chleb – czysty – i rzucił po jednym bochenku każdemu więźniowi. Z fatalnym akcentem i nie patrząc im w oczy, obiecał, że będzie przynosił chleb na każdej swojej służbie, jeśli nie będzie razem z Gorkhym.

To im dodało sił i nadziei. I poznali imię człowieka, którego nienawidzili ponad wszystko.

Powoli społeczność odzyskiwała swój kształt. Pierwszej nocy każdy był tak przytłoczony faktem, że ma chleb, że nawet nikt nikomu nie próbował ukraść bochenka. Kiedy więźniowie odzyskali siły, zaczęły się walki. W ciągu kilku dni niemowa Yimbo ściął się z Piątakiem i zginął. Logan obserwował ich, mając nadzieję, że będzie mógł dopaść Piątaka, ale walka skończyła się za szybko. Nóż dawał Piątakowi sporą przewagę.

Kiedy zrzucano chleb, Logan dbał, żeby dostać najwięcej – nie tylko dla utrzymania statusu, ale też dla zachowania siły. Już stracił cały tłuszcz i teraz zaczynał tracić mięśnie. Jego ciało to nadal były same ścięgna i smukłe, twarde muskuły, ale był duży i potrzebował całej swojej siły. Mimo to dzielił się czym mógł z Lilly, Zgrzytaczem i Dziarą.

Po ponad dwóch miesiącach na Dnie dokonał przełomu. Denerwował się; coraz bardziej wyprowadzał go z równowagi Piątak i te jego przeklęte sznury, które cały czas wydłużał. Logan zasypiał i budził się przy wyciu demonów, które – jak sobie teraz czasem wyobrażał – wydawały z siebie te upiorne dźwięki. Bo tego, że to nie

wiatr, był już pewien. To były albo demony, albo duchy tych wszystkich biedny sukinsynów, którzy w ciągu wieków zostali wrzuceni do dziury na Dnie. Głowa mu pulsowała w rytm tego wycia. Bolały go szczęki. Przez całą noc zgrzytał zębami.

I wtedy odnalazł swoje człowieczeństwo.

– Zgrzyt, Zgrzytacz, chodź no tu.

Wielki mężczyzna spojrzał na niego bezmyślnie.

Logan przysunął się szybko i bardzo ostrożnie położył ręce na szczękach Zgrzytacza. Bał się, że Zgrzytacz rzuci się na niego – gdyby Zgrzytacz go ugryzł, tu, na dole, zakażenie i śmierć były praktycznie pewne – ale mimo to dotknął go. Zgrzytacz patrzył, nic nie rozumiejąc, ale pozwolił, żeby Logan powoli rozmasował mu szczęki. W ciągu kilku chwil wyraz twarzy prostaczka zmienił się. Napięcie rysów, które Logan zakładał, że stanowi część deformacji, zniknęło.

Kiedy Logan przestał masować, Zgrzytacz ryknął i złapał go wpół. Logan myślał, że zaraz umrze, ale Zgrzytacz tylko go przytulił. A kiedy go puścił, Logan wiedział, że ma przyjaciela na całe życie, i nieważne, że życie na Dnie było ohydne, brutalne i krótkie. Zapłakałby, ale nie potrafił już ronić łez.

***

Musiała zabić Jarla.

Vi stanęła przed kryjówką Hu Szubienicznika i oparła głowę o

framugę. Musiała wejść, stawić czoło Hu, przygotować się i pójść zabić Jarla. A wtedy, tak po prostu, jej terminowanie się skończy i już nigdy więcej nie będzie musiała patrzeć na Hu. Król-Bóg nawet jej obiecał, że będzie mogła zabić Hu, jeśli zechce.

Podczas roku, w którym Vi uczyła się fachu pod okiem Mamy K, Jarl był jej jedynym przyjacielem. Wychodził z siebie, żeby jej pomóc, zwłaszcza w pierwszych tygodniach, kiedy okazała się beznadziejna. Dzięki jego egzotycznym, przystojnym rysom Ladyjczyka, wygadaniu, inteligencji i ciepłu wszyscy lubili Jarla, nie tylko mężczyźni i kobiety, którzy stawali w kolejce do jego usług. (Oczywiście ta kolejka to tylko metafora. Mama K nigdy w życiu nie ścierpiałaby czegoś tak prostackiego jak kolejka przed Błękitnym Odyńcem). Vi jednak zawsze czuła, że wytworzyła się między nimi specyficzna więź.

Dość tych myśli, miała robotę do wykonania. Sprawdziła raz jeszcze, czy na drzwiach nie ma pułapek. Żadnej nie znalazła. Hu stawał się nieostrożny, kiedy miał towarzystwo. Powoli otworzyła drzwi, stając z boku i pokazując puste ręce w szparze. Czasem, kiedy Hu nawalił się grzybkami, atakował bez pytania. Tym razem nic się nie wydarzyło i Vi weszła.

Rozebrany do pasa Hu siedział na bujanym krześle w kącie zaśmieconego pokoju, ale krzesło stało nieruchomo, a Hu miał zamknięte oczy. Jednak nie spał. Vi doskonale odczytywała każdy niuans zachowania swojego mistrza. Wiedziała, jak oddycha, gdy naprawdę śpi. Trzymał w rękach szydełko i maleńką, prawie

skończoną, białą wełnianą czapeczkę. Tym razem czapeczka dla dziecka, chory pojeb.

Udając, że uwierzyła, że Hu śpi, zerknęła do sypialni. Na łóżku leżały dwie kobiety. Zignorowała je i zaczęła zbierać swój sprzęt.

Odnalezienie Jarla nie będzie stanowić problemu. Musi tylko dać znać, że chce się z nim spotkać, a on z radością ją powita. Strażnicy upewnią się, że Vi nie ma żadnej broni, ale po jakimś czasie rozluźnią się, albo Jarl w ogóle ich odeśle, i wtedy będzie mogła go zabić gołymi rękami. Kłopot polegał na tym, jak go nie zabić.

Nie zamierzała go zabijać. Pieprzyć Króla-Boga. Ale Garoth tylko wtedy przełknie jej nieposłuszeństwo, jeśli Vi zrobi coś, co zadowoli go bardziej niż śmierć Jarla.

Vi otworzyła szeroką szafkę i wysunęła szufladę. Trzymała tam kolekcję peruk, najlepszych na rynku. Vi stała się specjalistką w dbaniu o nie, układaniu z nich fryzur, nakładaniu ich tak mocno, jak wymagało w danej chwili zadanie. Było coś uspokajającego w napięciu skóry głowy, gdy wiązała włosy w ciasny kucyk, czasem tak mocno ściągnięty pod peruką, że dostawała migreny. U Mamy K Vi przedstawiono Utalentowanej kurtyzanie, która powiedziała jej, że może ją nauczyć, jak zmieniać kolor albo ułożenie włosów z pomocą Talentu. Vi jednak nie była zainteresowana. Mogła dzielić się ciałem, albo Hu mógł brać jej ciało, ale włosy należały tylko do niej i były jej najdroższe. Nie lubiła, kiedy mężczyźni dotykali nawet peruk, ale jakoś to znosiła. Kiedy się sprzedawała, nosiła perukę, bo w chociaż minimalnym stopniu pozwalała jej ukryć prawdziwą Vi – ognistorude

włosy nie były zbyt powszechne poza Ceurą. Kiedy pracowała jako siepacz, wiązała włosy w taki sam ciasny kucyk. To było uczesanie rozsądne, powściągliwe i wydajne – jak ona sama. Rozpuszczała włosy tylko na kilka minut przed pójściem spać i tylko wtedy, gdy była sama i bezpieczna.

Wybrała wspaniałą czarną perukę z prostymi włosami do podbródka i treskę z długich, falistych, ciemnych włosów, zgarnęła kilka kremów, których potrzebowała do ufarbowania brwi i pudrów do przyciemnienia cery, a potem spakowała broń.

Właśnie zawiązywała juki, kiedy czyjaś dłoń wylądowała na jej piersi i ścisnęła brutalnie. Vi gwałtownie złapała powietrze, wzdrygając się z bólu i zaskoczenia. Zaraz potem wściekła się na siebie. Hu zaśmiał się gardłowo, przywierając do jej pleców.

– Witaj, ślicznotko, gdzie byłaś? – zapytał, przesuwając rękami po biodrach Vi.

– W pracy. Zapomniałeś? – zapytała, odwracając się z trudem. Kiedy pozwolił jej się obrócić, zorientowała się, że nadal jest nawalony.

Przez chwilę odraza i nienawiść walczyły w niej ze znajomą pasywnością, ale przegrały. Pozwoliła, by Hu przechylił jej głowę i wtulił twarz w jej szyję. Całował ją delikatnie... i nagle przestał.

– Nie użyłaś perfum, które lubię – powiedział łagodnie, ale z nutką zdziwienia w głosie, że mogła zachować się tak głupio.

Vi znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że Hu jest o włos od użycia siły.

– Pracowałam. Dla Króla-Boga.

Vi nie pozwoliła, żeby do jej głosu wkradła się najmniejsza odrobina strachu. Okazać strach w przypadku Hu to jak rzucić stadu dzikich psów krwawy ochłap.

– Aaach – odparł Hu nagle znowu łagodny. Źrenice miał nienaturalnie rozszerzone. – A ja miałem małe przyjęcie. Świętowałem. – Machnął w stronę sypialni. – Mam hrabinę i... eee... niech to szlag, nie pamiętam, ale ta druga to dzika kocica. Chcesz się przyłączyć?

– Co świętujesz? – zapytała Vi.

– Durzo! – odpowiedział Hu.

Puścił Vi i zatańczył w kółeczku, porywając ze stołu kolejnego grzybka i wrzucając go do ust. Chciał złapać jeszcze jednego, ale mu się nie udało.

– Durzo Blint nie żyje! – Zaśmiał się.

Vi zgarnęła grzybka, którego nie udało mu się złapać.

– Serio? Słyszałam tę plotkę, ale jesteś pewien?

Hu nienawidził Durzo Blinta. Obydwu wymieniano jednym tchem jako najlepszych siepaczy w mieście, ale zwykle imię Durzo padało pierwsze. Hu zabijał ludzi za takie słowa, ale nigdy nie zaatakował samego Durzo. Vi wiedziała, że zabiłby Durzo, gdyby wierzył, że ma szansę.

– Mama K przyjaźniła się z nim i nie uwierzyła w jego śmierć, więc zabrała kilku ludzi na miejsce pochówku i... zgadza się! Martwy, martwy, martwy! – Hu znowu się zaśmiał. Zabrał grzybka od Vi i

przestał tańczyć. – W przeciwieństwie do jego ucznia; roboty, którą spieprzyłaś. – Wziął butelkę z makową nalewką i napił się. – Zamierzałem go zabić. Wiesz, tylko po to, żeby wkurzyć ducha Blinta. Zmarnowałem sto koron na łapówki i okazało się, że wyjechał z miasta. Rety! – Zachwiał się. – Naprawdę mocna rzecz. Pomóż mi usiąść.

Vi zacisnęło się serce. To była odpowiedź, której szukała. Kylar Stern był Aniołem Nocy. To on zabił syna Króla-Boga. Zabicie Kylara to jedyna rzecz, która może sprawić wystarczająco dużą przyjemność Królowi-Bogu, żeby wybaczył jej oszczędzenie Jarla. Złapała Hu za rękę i poprowadziła go do krzesła, pilnując, żeby nie usiadł na obrębiony brzytwami niemowlęcy czepek.

– Gdzie on jest, mistrzu? Dokąd pojechał?

– Wiesz, za rzadko tu zaglądasz. I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, ty szmato! – Wykrzywił się paskudnie i brutalnie pociągnął ją, sadzając sobie na kolanach.

Tuż przed tym, jak tracił przytomność, Hu bywał niebezpieczny: gdy był pijany, potrafił macać bezładnie, słabymi rękami i nagle wykorzystać miażdżącą siłę Talentu, żeby zrekompensować osłabienie. Mógł ją wtedy niechcący zranić albo nawet zabić. Dlatego spokojnie wsunęła mu się w ramiona, zapadając w odrętwienie. Hu skupił się na jej ciele. Próbował ją pieścić, ale tylko przesuwał dłonią po fałdach jej tuniki.

– Gdzie jest uczeń Blinta, mistrzu? – dopytywała się. – Dokąd pojechał?

– Przeprowadził się do Caernarvon, porzucił drogę cienia. I kto teraz jest najlepszy, hę?

– Ty jesteś najlepszy – odpowiedziała Vi, wstając mu z kolan. – Zawsze byłeś najlepszy.

– Viridiano – powiedział Hu.

Zamarła. Nigdy nie zwracał się do niej pełnym imieniem. Odwróciła się ostrożnie, zastanawiając się, czy grzybki tak naprawdę nie były nieszkodliwe i czy zamiast makowego wina nie pił zwykłej wody. Nie pierwszy raz udawałby pijanego, żeby sprawdzić jej lojalność. Ale Hu miał oczy na wpół przymknięte i siedział całkiem rozluźniony na krześle.

– Kocham cię – powiedział. – Te dziwki nic nie mają... – Urwał i zaczął oddychać miarowo. Zasnął.

Vi nagle zapragnęła się wykąpać. Złapała sakwy i miecz. A potem się zatrzymała.

Był nieprzytomny. Tego była pewna. Mogła wyciągnąć ostrze i zatopić je w jego sercu w niecałą sekundę. Zasłużył sobie na to setkę razy. Zasłużył na coś sto razy gorszego. Zacisnęła dłoń na rękojeści i wyciągnęła ostrze powoli, cicho. Odwróciła się i spojrzała na mistrza, przypominając sobie tysiące upokorzeń. Tysiące razy, kiedy ją zbezcześcił, aż w końcu ją złamał. Aż trudno jej było złapać oddech.

Vi odwróciła się na pięcie, schowała miecz do pochwy i zarzuciła sakwy na ramię. Doszła do drzwi i znowu się zatrzymała. Wróciła do sypialni. Kobiety już nie spały; jedna była wyraźnie zalana i patrzyła szklistym wzrokiem, druga miała wystające zęby i wielki biust.

– Hu szybko się nudzi – powiedziała. – Można rzucić monetą za każdy dzień, który przy nim przeżyjecie. Jeśli chcecie odejść, to teraz śpi.

– Po prostu jesteś zazdrosna – powiedziała piersiasta wiewióra. – Chcesz go dla siebie.

– To twój pogrzeb – odparła Vi i wyszła.

15

Czy Sa'kagé jest w stanie wojny, czy nie? – zapytał Brant. Jarl poprawił się na krześle. Mama K nic nie powiedziała. Dopóki sobie radził, nie wtrącała się. Jedno było pewne – kryjówka zaczęła wyglądać jak siedziba sztabu. Brant przyniósł mapy. Gromadził dane na temat siły oddziałów khalidorskich, notował, gdzie każdy stacjonuje, jak są rozprowadzane jedzenie i reszta zaopatrzenia, przygotował tabelę khalidorskiej hierarchii wojskowej, zestawiał to z danymi od informatorów Sa'kagé, uwzględniając ocenę wiarygodności i dojść każdego ze szpiegów. –To pytanie, na które trudno odpowiedzieć... – powiedział Jarl.

– Nie – sprzeciwił się Brant. – Nieprawda.

– Mam wrażenie, że jesteśmy w stanie pewnego rodzaju wojny...

– Masz wrażenie? Jesteś przywódcą czy poetą, maminsynku?

– Maminsynku? – oburzył się Jarl – Co masz na myśli? Mama K wstała.

– Usiądź – rzucili obaj mężczyźni jednocześnie.

Spojrzeli na siebie i skrzywili się. Mama K pociągnęła nosem i usiadła. Po chwili Jarl odezwał się:

– Czekam na odpowiedź.

– Masz kutasa czy tylko je obciągasz? – zapytał Brant.

– A co, chciałbyś się załapać?

– Zła odpowiedź. – Brant pokręcił głową. – Dobry przywódca nigdy nie drwi...

Jarl uderzył go w twarz. Generał się przewrócił. Jarl stanął nad nim i wyciągnął miecz.

– Takim właśnie jestem przywódcą, Brant. Moi wrogowie nie doceniają mnie i uderzam w nich, kiedy się tego najmniej spodziewają. Słucham cię, ale to ty mi służysz. Następnym razem, kiedy usłyszę od ciebie jakiś komentarz na temat kutasów, każę ci zeżreć własnego. – Mówił to chłodnym tonem. Wbił miecz między nogi Branta. – To nie jest czcza pogróżka.

Brant wymacał kulę i wstał z pomocą Jarla, a potem otrzepał nowe ubranie.

– No to właśnie zaliczyliśmy lekcję. Jestem wzruszony. Chyba napiszę wiersz. A twoja odpowiedź brzmi...?

Komentarz z wierszem prawie sprowokował Jarla. Już miał coś powiedzieć, kiedy zobaczył drgnienie ust Mamy K. To był żart. Więc na tym polega wojskowy humor, pomyślał. Pokręcił głową. To będzie prawdziwe wyzwanie.

Dobrzy bogowie, ten człowiek był jak buldog.

– Jesteśmy w stanie wojny – odpowiedział Jarl, chociaż nie podobało mu się wrażenie, że uległ.

– Na ile mocno trzymasz Sa'kagé w garści? – zapytał Brant. – Bo mam tu poważny problem. A raczej ty masz.

– Nie dość mocno – przyznał Jarl. – Khalidorczycy pobudzili nas do działania, ale dochody gwałtownie spadły i tracimy kontrolę: ludzie nie składają raportów przełożonym, tego typu rzeczy. Wielu uważa, że okupanci muszą wreszcie trochę odpuścić. Chcą prowadzić

interesy jak zawsze.

– Spryciarze. Jaki masz plan? Jak zamierzasz im się przeciwstawić?

Jarl zmarszczył brwi. Nie miał żadnego planu, a Brant sprawił, że wydało się to niewiarygodnie głupie.

– My... ja... planowałem poczekać i zobaczyć, co zrobią. Zamierzałem dowiedzieć się więcej na ich temat, a potem przeciwstawić się im tak, jak będę musiał.

– Uważasz, że to dobry pomysł, pozwolić wrogowi, żeby zaatakował cię z w pełni wypracowaną taktyką i zmusił do reagowania z pozycji słabszego?

– To raczej retoryczny cios niż pytanie, generale – powiedział Jarl.

– Dziękuję – odparł generał. Mama K zdusiła uśmiech.

– Co proponujesz? – spytał Jarl.

– Gwinvere rządziła Sa'kagé w tajemnicy, mając marionetkowych Shingów, zgadza się?

Jarl pokiwał głową.

– Więc kto był marionetkowym Shingą od napaści Khalidoru? Jarl skrzywił się.

– Właściwie, ehm, nie zainstalowałem nikogo takiego.

– Właściwie? – Brant uniósł siwe, krzaczaste brwi.

– Brant, trochę delikatniej – odezwała się Mama K. Generał poprawił rękę na temblaku, krzywiąc się.

– Spójrz na to z perspektywy ulicy, Jarl. Przez ponad miesiąc nie

mieli przywódcy. Nie chodzi o to, że mieli złego przywódcę. Nie mieli żadnego. Cichy rząd Gwinvere pomaga wszystkim i jak na razie sprawy idą dobrze, ale twoje zbiry z Sa'kagé... przepraszam, twoi ludzie... jadą na tym samym wózku, co reszta. Więc po co dalej się opłacać? Gwinvere zdołała utrzymać się jako Shinga w ukryciu, bo nigdy nie było takiego zagrożenia. To jest wojna. Potrzebujesz wojska. Wojsko potrzebuje dowódcy. Musisz być tym dowódcą, a do tego nie możesz trzymać się w cieniu.

– Jeśli ogłoszę, kim jestem, zabiją mnie.

– Spróbują – powiedział Brant. – I uda im się, jeśli nie zbierzesz grupy kompetentnych ludzi, którzy będą absolutnie lojalni wobec ciebie. Ludzi gotowych zabić i umrzeć dla ciebie.

– To nie są żołnierze z dobrych rodzin, których wychowano w kulcie lojalności, obowiązku i odwagi – odpowiedział Jarl. – Mówimy o złodziejach, prostytutkach i kieszonkowcach, ludziach, którzy myślą tylko o sobie i własnym przetrwaniu.

– I sami to powiedzą – odezwała się Mama K, tak cicho, że Jarl ledwo ją usłyszał – chyba że dostrzeżesz w nich to, czym mogą się stać, i sprawisz, że sami to zobaczą.

– Kiedy byłem generałem, moi najlepsi żołnierze pochodzili z Nor – dodał Brant. – Stali się najlepsi, bo mogli zyskać wszystko.

– Co więc proponujesz? – spytał Jarl.

– Proponuję, żebyś stał się kimś więcej niż Shingą – odpowiedział Brant. – Daj swoim oszustom marzenie o lepszym życiu, lepszych warunkach dla ich dzieci i szansę zobaczenia w sobie bohaterów, a

będziesz miał swoją armię.

Zamilkł. Jego słowa dotarły do Jarla, któremu serce waliło jak oszalałe i myśli kłębiły się w głowie. To było coś śmiałego. To było coś wielkiego. To była szansa na wykorzystanie władzy do czegoś więcej niż tylko utrzymanie władzy. Zaczynał widzieć, jak pomału kształtuje się zarys planu. W myślach już wybierał, których ludzi na jakich pozycjach umieści. Fragmenty przemowy pojawiały mu się w głowie. Och, to było kuszące. Brant nie mówił Jarlowi tylko o tym, żeby dać rzezimieszkom marzenie; Brant sam dawał marzenie Jarlowi. Mógłby być całkiem innym Shingą. Szlachetnym. Szanowanym. Gdyby mu się udało, może nawet mógłby stać się prawowitym przywódcą, otrzymać prawdziwe tytuły od tego rodu arystokratycznego, który przywróciłby do władzy. Na bogów, to naprawdę było kuszące!

Ale to oznaczało odsłonięcie się. Zdeklarowanie się. Teraz jego rola była tajemnicą. Wszyscy myśleli, że jest chłopcem do towarzystwa, który rzucił stary fach. Mniej niż tuzin ludzi wiedziało, że jest Shingą. Gdyby zechciał, mógłby po prostu przestać się z nimi komunikować.

– Jarl – odezwała się łagodnie Mama K – tylko dlatego, że to jest marzenie, nie znaczy, że jest kłamstwem.

Jarl zerkał to na generała, to na Mamę K, zastanawiając się, jak głęboko w nim czytali. Mama K pewnie sięgała aż do samego rdzenia. To było przerażające. Powinien coś podejrzewać, choćby przez jej milczenie, ale nie potrafił się na nią złościć. Miała do niego więcej

cierpliwości, niż sobie na to zasłużył.

„Stać się kimś więcej niż Shingą”. Elene powiedziała, że nie wyobraża sobie Cenarii bez plugawiącego wszystko Sa'kagé, ale Jarl sobie wyobrażał. To byłoby miasto, gdzie narodziny po zachodniej stronie nie oznaczałyby beznadziei, wyzysku, pracy w gildiach, nędzy i śmierci. Miał szczęście, że zdobył pracę u Mamy K. Nory nie oferowały żadnej uczciwiej roboty, a już na pewno nie sierotom. Sa'kagé żywiło się wprost z samoodnawiającego się źródła, jakim były dziwki i złodzieje, którzy porzucali własne dzieci, tak samo jak wcześniej ich porzucono. Ale mogło być inaczej, prawda?

„Tylko dlatego, że to jest marzenie nie znaczy, że jest kłamstwem”. Sugerowali, żeby zaszczepił nadzieję w Norach.

– W porządku – powiedział Jarl. – Pod jednym warunkiem, Brant: jeśli mnie zabiją, kimkolwiek oni będą, chcę, żebyś napisał wiersz na mój pogrzeb.

– Zgoda – powiedział generał, szczerząc zęby. – Będzie naprawdę wzruszający.

16

Kylar usiadł na łóżku, patrząc w ciemnościach na śpiącą Elene. Należała do tych dziewczyn, które nie potrafiły siedzieć do późna, choćby nie wiadomo jak się starały. Jej widok napełnił go taką czułością i rozpaczą, że ledwo mógł to znieść. Obiecała mu nie prosić go o sprzedanie Sędziego i dotrzymywała słowa. To akurat żadna niespodzianka, ale Elene nie pozwalała sobie nawet na aluzje.

Kochał ją. I nie był dla niej dość dobry.

Zawsze wierzył, że człowiek staje się taki, jak ludzie z którymi przestaje. Może właśnie o to chodziło? Kochał w niej wszystko to, czego sam nie miał. Otwartość, czystość, współczucie. Ona była blaskiem słońca i uśmiechem, a on należał do nocy. Chciał być dobrym człowiekiem, marzył o tym, ale niektórzy urodzili się lepsi od reszty.

Po tamtej pierwszej nocy przysiągł sobie, że nie zabije nigdy więcej . Będzie wychodził i trenował, ale nie będzie zabijał. I tak trenował na próżno i szlifował umiejętności, których przysiągł nie używać. Trening był nędzną imitacją walki, ale to musiało mu wystarczyć.

Wytrzymał w swoim postanowieniu sześć dni, a potem zjawił się w porcie i natknął na pirata, który okrutnie bił chłopca okrętowego. Kylar zamierzał ich tylko rozdzielić, ale oczy pirata pałały żądzą śmierci. Sędzia jej dostarczył. Siódmej nocy ćwiczył po prostu ukrywanie się; trenował w pobliżu tawerny, starając się unikać miejsc,

w którym mógłby się natknąć na alfonsów, złodziei, gwałcicieli albo morderców. Minął go mężczyzna, który kierował gangiem małych kieszonkowców – tyran, trzymający dzieciaki w ryzach przy użyciu siły. Sędzia odnalazł serce tego człowieka, zanim Kylar zdążył się powstrzymać. Ósmej nocy znajdował się w dzielnicy arystokratów, mając nadzieję, że tam będzie mniej przemocy, i usłyszał arystokratę bijącego swoją kochankę. Anioł Nocy stał się niewidzialny i połamał mężczyźnie ręce.

Kylar trzymał miecz na kolanach, patrząc na Elene. Każdego dnia obiecywał sobie, że nie zabije, już nigdy więcej, i nie zabijał przez sześć nocy. Ale w głębi duszy wiedział, że po prostu miał szczęście. Najgorsze w tym wszystkim było to, że w ogóle nie czuł wyrzutów sumienia z powodu morderstw. Czuł się potwornie za każdym razem, gdy zabijał dla Durzo. To nie morderstwa tak na niego wpływały. Miał wyrzuty sumienia tylko z powodu kłamstw. Może stawał się Hu Szubienicznikiem. Może teraz już potrzebował zabijania. Może zamieniał się w potwora.

Każdego dnia pracował z ciotką Meą. Durzo rzadko go chwalił, więc Kylar nawet nie zdawał sobie sprawy, ile się nauczył od starego siepacza. Jednakże w trakcie długich godzin z ciotką Meą, kiedy katalogował jej zioła, przepakowywał część z nich, żeby dłużej wytrzymały, wyrzucał te, które już straciły moc, i wypisywał dla pozostałych etykiety z datami i informacjami na temat ich pochodzenia, zaczął dostrzegać, ile wie. Daleko mu było do biegłości Durzo, ale tamten miał kilka wieków przewagi.

Musiał jednak zachować ostrożność. Ciotka Mea używała do leczenia wielu ziół, które on stosował do trucizn. Raz odłożyła na bok korzenie srebrnoliścia, mówiąc, że są zbyt niebezpieczne i że może używać tylko liści. Bez zastanowienia narysował tabelę ze śmiertelnymi dawkami liści, korzeni i nasion tej rośliny zależnie od sposobu podania – w nalewce, proszku, paście czy naparze – ciężaru ciała, płci i wieku – prawie napisał „truposza" i w ostatniej chwili poprawił się na „pacjenta". Kiedy podniósł wzrok, ciotka Mea gapiła się na niego.

– Nigdy nie widziałam tak szczegółowej tabeli – powiedziała. – To... naprawdę godne podziwu, Kylarze.

Potem starał się być ostrożniejszy, ale ciągle borykali się z tymi samymi problemami. W czasie swojej kariery Durzo eksperymentował tysiące razy z wszelkimi rodzajami ziół. Kiedy miał truposza, którego nie musiał zabić w konkretnym terminie, wypróbowywał pięć albo sześć różnych ziół. Kylar zaczynał doceniać fakt, że Durzo prawdopodobnie znał się na ziołach jak nikt inny w dzisiejszych czasach. Tyle że zwykle wynajmowano go do zabicia zdrowych ludzi, więc czasem wiedza Kylara okazywała się bezużyteczna.

Pewnego dnia do sklepu ciotki Mei przyszedł człowiek desperacko szukający pomocy. Jego pan umierał, a kilkunastu medykusów nie zdołało mu pomóc. Ciotka Mea czasem pomagała nie tylko jako akuszerka, więc sługa przyszedł do niej, widząc w tym ostatnią deskę ratunku. Niestety, ciotka Mea wyszła. Kylar czuł się

zbyt niezręcznie, żeby pójść do domu chorego człowieka, ale po wypytaniu sługi, przygotował napar. Usłyszał później, że mężczyzna wyzdrowiał. Poczuł wtedy dziwne ciepło. Ocalił życie, tak po prostu.

Nadal jednak wyrzucał sobie, że żyje na koszt ciotki Mei. Spędził kilka tygodni na porządkach w jej sklepie, bo chociaż miała dar do pracy z ludźmi, jej zdolności organizacyjne były nędzne. To jednak nie była konkretna pomoc. Nie zarobił dla niej żadnych pieniędzy. Elene znalazła pracę jako pokojówka, ale z jej pensji ledwo wystarczało im na jedzenie. Braen stawał się coraz bardziej opryskliwy, mruczał coś pod nosem o darmozjadach, a Kylar nie mógł mieć o to do niego pretensji.

Kylar starł odciski palców z Sędziego. Za każdym razem, gdy przypasywał ostrze, zachowywał się jak sędzia i kat. Ostrze stało się symbolem jego złamanej przysięgi.

Nie tej nocy. Kylar odłożył miecz do skrzynki i zebrawszy w sobie Talent, wyskoczył przez okno. Przebiegł po dachach, żeby odnaleźć dom Złotowłosej i oderwać myśli od problemów. Zamartwiał się całymi dniami; nie chciał psuć sobie też nocy.

Zastał całą rodzinę. Spali w małej jednoizbowej chacie. Kylar odwrócił się, żeby odejść, ale coś go zatrzymało. Dziewczyna i ojciec spali. Usta matki się poruszały. Początkowo Kylar myślał, że coś jej się śni, ale potem otworzyła oczy i wstała z łóżka.

Nie zapaliła świecy. Szybko wyjrzała przez wąskie okno, gdzie stał niewidzialny Kylar. Przestraszyła się tak bardzo, że Kylar sprawdził, czy na pewno jest niewidzialny. Kobieta jednak nie

patrzyła na niego. Zerknął za siebie, ale nikogo nie zauważył na ulicy. Matka Złotowłosej zadrżała i uklękła przy łóżku.

Modliła się! Ożeż w mordę. Kylar w jednej chwili poczuł zażenowanie i gniew, że jest świadkiem czegoś tak osobistego. Nie bardzo wiedział czemu. Zaklął cicho i odwrócił się, żeby odejść.

Ulicą nadchodziło trzech uzbrojonych mężczyzn. Kylar rozpoznał dwóch – to oni gonili Złotowłosą kilka nocy temu.

– Ona jest czarownicą, mówię wam – powiedział jeden ze zbirów do mężczyzny, którego Kylar nie rozpoznał.

– To prawda, Shingo, przysięgam – przytaknął drugi.

Jaja sobie robicie, pomyślał Kylar. Shiriga Caernarvon osobiście sprawdzał historyjkę jakiegoś opryszka, któremu zwidziała się czarownica? Czarownica! Bo czarownica na pewno bawiłaby się w przewracanie ludzi, zamiast ich po prostu zabić.

Kylar usłyszał coś i znowu zajrzał do domu. Kobieta obudziła męża i teraz oboje się modlili. To było dziwne, bo z łóżka w żaden sposób nie mogli widzieć zbirów z Sa'kagé. Może kobieta miała trochę Talentu.

Modlą się o obronę, zadrwił w duchu Kylar i jakaś mała, podła część jego duszy chciała odejść. Niech ten ich Bóg rozwiąże ich problemy. Już się odwrócił, nie mógł jednak tak postąpić.

– Barush – powiedział do Shingi jeden z bandziorów. – Co robimy?

Shinga go spoliczkował.

– Przepraszam! Przepraszam! – zaskomlał uderzony. –To znaczy

Shingo Błystka, co robimy?

– Zabijemy ich.

Dobrzy bogowie. To było wręcz szokujące. Tutejsze Sa'kagé było tak nędzną parodią prawdziwego Sa'kagé, że Kylara ogarnął śmiech. Tylko że sytuacja nie była zabawna. Shinga bił swoich ludzi, żeby wymusić szacunek? W Cenarii, kiedy Pon Dradin spojrzał na swoich ludzi z mniej niż pełną aprobatą, uginały się pod nimi nogi. A nawet nie był prawdziwym Shingą!

Niewiele brakowało, a Kylar odszedłby z powodu samego niesmaku. Co za indolencja!

Z drugiej strony, niewiele trzeba, żeby kogoś zabić. Siepacz to wie.

Och, co za piękny dylemat, prawda? Oto on, być może jeden z najbardziej uzdolnionych zabójców na świecie. Zabiłby tamtych trzech, zanim zdążyliby wydać z siebie jeden dźwięk. A jednak nie mógł zrobić im krzywdy. Przed nim stały najgorsze męty półświatka, i oni zabiją, podczas gdy on nie może. Cudownie.

Znajdowali się raptem dwadzieścia kroków od niego.

– A co jeśli... a co jeśli ona znowu posłuży się czarami, Shingo? No pewnie, że nie przygotowali planu przed uderzeniem w cel.

To by mogło, nie daj bóg, wyglądać profesjonalne. Barush Błystka parsknął, zbliżając się do drzwi.

– Nie boję się tego gówna.

Kiedy Kylar zobaczył oczy mężczyzny, odruchowo sięgnął za plecy – ale nie zabrał Sędziego. Chwilowe zaskoczenie wystarczyło,

żeby powstrzymać odruch zabicia. Przysiągł, niech to szlag. Musi być jakiś inny sposób. Dzisiejszego wieczoru musi poradzić sobie inaczej.

Kylar zmaterializował się przed Shingą. Czy raczej jego część. Pozwolił, żeby światło prześwieciło częściowo przez pokrywające go ka'kari, więc pojawił się na wpół przezroczysty, jak dym. Z niewidzialności wyłonił się połyskujący oleiście i tęczowo zarys czarnego bicepsa, a potem zarys szerokich ramion, klatka piersiowa, zarysy mięśni torsu – wszystkie przesadzone, żeby wydawały się większe niż w rzeczywistości. Pojawiły się i zniknęły jak duch.

Barush Błystka zamarł, a wtedy Kylar załatwił go swoim mistrzowskim ciosem. Ka'kari zestaliło się na jego oczach, sprawiając, że zabłysły jak metaliczne czarne klejnoty, unoszące się w powietrzu. A potem pojawiła się reszta twarzy Kylara, zakryta czarną maską z migoczącego metalu. Wyglądała groźnie. Więcej niż groźnie. To było oblicze Sprawiedliwości, ucieleśnienie Kary, a kiedy Kylar spojrzał w oczy Shingi – pełne nienawiści-zawiści-chciwości-morderstwa-zdrady – maska stała się straszliwa. Kylar musiał wbić paznokcie w dłonie, żeby powstrzymać się przed zabiciem mężczyzny.

Shinga upuścił pałkę. Kylar nie był zdziwiony – wiedział, co mężczyzna zobaczył, bo... no cóż, bo ćwiczył przed lustrem.

– Ta rodzina – powiedział Kylar głosem jedwabiście miękkim jak stąpanie skradającego się kota – jest pod moją ochroną.

Uniósł lewą rękę i poruszył palcami. Kakari wysunęło się z sykiem, przybierając kształt długiego, dymiącego sztyletu. Przytłumiony błękitny płomień zabłysł w oczach Kylara. Z tym lekko

przesadził – płomień odbierał mu widzenie w ciemnościach, nie mówiąc o tym że wrażenie było nieprzyjemne, ale efekt był tego wart.

Shinga trząsł się z rozdziawionymi ustami, stał skamieniały ze strachu, a Kylar zobaczył plamę rozlewającą się po spodniach mężczyzny i kałużę zbierającą się u jego stóp.

– Uciekajcie – powiedział Kylar, pozwalając, żeby błękitny płomień rozbłysnął mu w ustach.

Przez tydzień nie będę czuł żadnego smaku.

Zbiry uciekły pędem, porzucając broń, ale Kylar nie czuł satysfakcji. Już myślał, że nie może się bardziej zapędzić w ślepą uliczkę, a tu proszę – udało mu się to wręcz doskonale. Co kiedyś powiedział Durzo Blint, dobrze ponad dziesięć lat temu? „Groźba to obietnica, chłopcze. Na ulicy możesz kłamać na każdy temat poza pogróżkami. Czcze pogróżki to koniec”.

Czując mdłości, Kylar spojrzał na dom. Kobieta i jej mąż nadal klęczeli obok łóżka, trzymając się za ręce. Niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Ale kiedy Kylar zajrzał do środka, kobieta ścisnęła rękę męża.

– Nic nam nie będzie – powiedziała. – Wiem to. Już czuję się lepiej.

Cieszę się, że chociaż jedno z nas.

***

– Nie tak dawno temu, wy, zgromadzeni w tym pokoju, byliście

kimś innym: żonami, matkami, garncarzem, piwowarem, szwaczką, kapitanem statku, szklarzem, kupcem i właścicielem kantoru – powiedział Jarl.

Już po raz szósty nauczał, ale nic a nic nie stało się to łatwiejsze. Kiedy rozejrzał się po dziewczynach do towarzystwa i mięśniakach w Tchórzliwym Smoku zebranych przed swoją zmianą, dostrzegł zakłopotanie. Teraz kobiety były dziwkami – nie z własnego wyboru. Większość nie lubiła, żeby przypominać im, że kiedyś były kimś innym. To było zbyt trudne.

– Nie tak dawno temu – powiedział Jarl – sam byłem kurwą. Zgromadzeni unieśli brwi, chociaż Jarl założyłby się, że już wcześniej wiedzieli, że był chłopcem do towarzystwa. Specjalnie użył wulgaryzmu, żeby pokazać, że nie ma na niego żadnego wpływu. Nawet wśród dziwek, chłopcy do towarzystwa plasowali się niżej. Dziewczyny mogły ich uwielbiać, ale klientela traktowała męskie prostytutki jak śmiecie. Dziwka – mimo że dziwka – nadal była kobietą, ale męska dziwka to coś mniej niż mężczyzna. Nie spodziewali się, że nowy Shinga w ogóle przyzna, że był kimś takim, już nie wspominając, że powie o tym na głos.

– Nie tak dawno temu Sa'kagé zajmowało się głównie szmuglowaniem lubieżnicy, tytoniu i whisky – powiedział.

Od czasu najazdu Mama K i Jarl wspólnie założyli wiele nowych burdeli. Większość ledwo wychodziła na czysto, ale nie w tym rzecz. Otwarto je, żeby chronić jak najwięcej kobiet i mężczyzn. Jednak Tchórzliwy Smok przynosił zyski, bo bazował na egzotyce. Pracowała

tu dziewczyna imieniem Daydra, która mogłaby być siostrą bliźniaczką Elene Cromwyll, tyle że bez blizn. Specjalizowała się w graniu roli dziewicy. Jej koleżanka z pokoju, Kaldrosa Wyn, grała sethyjską piratkę. Były tu też spowite w jedwab Ladyjki, Modainki o oczach mocno podkreślonych czernidłem i noszące dzwonki tancerki z Ymmuru.

– Teraz – powiedział Jarl – wy jesteście dziwkami, ja jestem Shingą, a Sa'kagé nadal szmugluje te same towary. Jakby nic się nie zmieniło. Ale coś wam powiem: ja się zmieniłem. Wyrwałem się. Jestem inny. Wykorzystałem swoją drugą szansę. Wy też możecie.

Zdaniem Jarla to była jedyna część kazania, która mogła okazać się kłamstwem.

Zapytał o to Mamę K.

– Dlaczego ludzie nie spierają się o to, czy ziemia jest płaska? – zapytała.

– Bo to powszechnie wiadomo – odparł Jarl, wzruszając ramionami.

– No właśnie. Prawdziwą namiętność budzą rzeczy, których nie jesteśmy do końca pewni.

– Ach, jak bogowie.

– To nieważne, czy masz pewność, że wszystko, co mówisz, to prawda. Liczy się to, że gorąco chcesz wierzyć, że to prawda, bo wtedy do nich dotrzesz. I ostatecznie nie będzie się liczyło to, czy dziewczyny uwierzą w twoje argumenty. Ważne, że uwierzą w ciebie.

Coś takiego powiedziałaby dawna Mama K. Jarl trochę się

rozczarował. Miał wrażenie, że się zmieniła od czasu przewrotu, po tym jak Kylar ją otruł i zostawił antidotum. Być może w obliczu nieubłaganego zła jej nadzieje zaczęły się rozwiewać. Ale w jej pragmatyzmie kryła się prawda, więc Jarl dalej nauczał.

Nie bzykał się, odkąd został Shingą. Nie spał z żadnym mężczyzną, odkąd opuścił dom Stephana w noc napaści, ale nie spał też z żadną kobietą. Przetrwał w życiu, robiąc to, co umiał, cały czas tkając sieć przyjaciół i wpływów, zawsze spoglądając w przyszłość, gdy nie będzie już musiał się sprzedawać.

Ta przyszłość nadeszła tak nagle, a on nie wiedział, co z nią zrobić. Nie korzystał ze swojej wolności. Nie wiedział, jak powinien się czuć. To mu przypomniało harańskie żelazne byki. Rzecz jasna nigdy żadnego nie widział, ale mówiono, że łapie się młode cielaki i przywiązuje do słupa grubym łańcuchem. Zanim dorastały do pełnych rozmiarów – ponad piętnastu stóp w kłębie – mogły zerwać łańcuch, ale tego nie robiły. Ich treserzy wiązali je cienkim sznurem. Żelazne byki były tak pewne, że nie zdołają się uwolnić, że nigdy nie próbowały.

Jarl był przykuty łańcuchem do seksu i zaspokajania klientów od tak dawna, że czuł się aseksualny. Nigdy wcześniej nie miał wyboru. Większość jego klientów stanowili mężczyźni, ale były też kobiety, wśród których zdarzały się piękne, brzydkie i wszystkie typy pomiędzy. Teraz, kiedy miał wybór, nie potrafił się zdecydować. Nie potrafił powiedzieć z całą pewnością, czy, gdyby nie musiał żyć jako chłopak do towarzystwa, wolałby mężczyzn czy kobiety.

Dziewczyny w burdelach traktowały go teraz inaczej. Inaczej na niego patrzyły. Flirtowały z nim.

To było przerażające. Flirt miał swoje wymagania. Istniały stosowne i niestosowne reakcje, których Jarl musiał się nauczyć, a nie znał zasad seksu poza burdelem. Jego stali klienci zawsze wytykali mu to jako wadę, ale z drugiej strony, ich doświadczenia nie były do końca reprezentatywne, bo w przeciwnym wypadku wszyscy byliby stałymi klientami burdeli, prawda?

Za daleko odpłynął myślami. Nie mógł teraz zastanawiać się nad tym. Musiał sprzedać nadzieję, i to w całym pakiecie.

– Ze wszystkich kobiet w Norach, wy macie najwięcej szczęścia. Miałyście szczęście, bo zostałyście dziwkami w tym burdelu. – Pokręcił głową. – Miałyście szczęście, że zostałyście dziwkami. Pół roku temu prędzej przeszłybyście na drugą stronę ulicy, niż przeszły obok dziwki. Teraz wy jesteście dziwkami, ja Shingą, a Sa'kagé nadal robi to samo co zawsze. Król Ursuul myśli, że jesteście skończeni. Zamierza pozwolić zimie zabić większość ludzi w Norach. Pomyślał, że nim zaczną się zamieszki z powodu braku żywności, wszyscy będziemy już tak słabi, że jego żołnierze poradzą sobie z nami bez kłopotu. Uznał, że Sa'kagé jest zbyt bierne i zbyt chciwe, żeby go powstrzymać. A najzabawniejsze jest to, że ma rację. Dowiedzieliśmy się, że wiosną sprowadzi kolejne wojska i kilka tysięcy kolonistów, samych mężczyzn. Zamierza zabić w Norach wszystkich poza wami. Znowu będziecie miały szczęście. Każda poślubi tego Khalidorczyka, który ją kupi. Być może Khalidorczycy zmienią się i skończą z biciem

i poniżaniem w sypialni, kiedy już będziecie ich żonami. Ursuul spodziewa się, że jesteście tchórzami i chwycicie się tej chorej nadziei. Spodziewa się, że chora nadzieja sparaliżuje was, aż będzie za późno, aż wasi mężczyźni będą martwi, przyjaciele rozproszeni, a Sa'kagé złamane. W ciągu roku zaczniecie rodzić synów waszym nowym khalidorskim mężom i żyć radością obserwowania, jak zamieniają się w potwory, które traktują swoje żony tak, jak ich ojcowie traktowali was. To będzie normalne. Będziecie wychowywać córki, które będą wierzyły, że to normalne, że się je kopie, opluwa i zmusza do... cóż, same najlepiej wiecie, do czego będą zmuszane. Wasze córki nie będą stawiać oporu. Będą patrzeć na wasze tchórzostwo i wierzyć, że taki jest los kobiety. To będzie normalne. Takiego rozwoju sytuacji spodziewa się król i na razie ma całkowitą rację.

Jarl przyciągnął uwagę kobiet. Widział przerażenie w ich oczach. Większość dziewczyn do towarzystwa myślała tylko o dniu dzisiejszym. Nie były głupie. Wiedziały, że nie mogą zarabiać ciałem przez całe życie, ale ponieważ przyszłość nie oferowała im niczego lepszego, postanowiły w ogóle o niej nie myśleć. To było zbyt przygnębiające.

Te kobiety nastawiły się na przetrwanie. Przywołanie wizji wychowywania własnych córek, które prowadziłby takie samo życie jak one, zmusiło je do pomyślenie o kimś więcej niż tylko one same, do pomyślenia o czymś więcej niż tylko dzień dzisiejszy. A Jarl nie kłamał – to były kobiety, którym powiodło się najlepiej. Jeśli zdoła

przekonać te, które mają najwięcej do stracenia, wygra połowę bitwy.

– W ostatnich kilku miesiącach sytuacja zmieniła się dla nas wszystkich, dla was i dla mnie. Teraz mówię: czas, żeby sytuacja zmieniła się dla nas wszystkich razem. Mówię, czas, żeby Sa'kagé się zmieniło. Trwa wojna, a my przegrywamy. Wiecie dlaczego? Bo nie walczymy. Khalidorczycy chcą, żebyśmy umarli po cichu? Pieprzyć ich! Będziemy walczyć sposobami, o jakich nie słyszeli. Khalidorczycy chcą nas zagłodzić? Pieprzyć ich! Skoro możemy szmuglować lubieżnicę, to możemy i zboże. Chcą pozabijać naszych mężczyzn? Ukryjemy ich. Chcą urządzać wypady do Nor? Jeszcze przed nimi będziemy wiedzieć, gdzie się pojawią. Chcą sobie pograć? Będziemy oszukiwać. Chcą sobie wypić? Naszczamy im do piwa.

– Co możemy zrobić? – zapytała jedna z dziewczyn. Uśmiechnął się.

– W tej chwili? Chcę, żebyście marzyły. Chcę, żebyście myślały... ale nie o powrocie do tego, co było przed nadejściem Khalidoru. Chcę, żebyście marzyły o czymś lepszym. Chcę, żebyście marzyły o czasach, w których urodzenie się w Norach nie będzie oznaczać, że umrze się w Norach. Chcę, żebyście marzyły o drugiej szansie i o tym, co mogłoby zmienić się w tym mieście i kraju, gdyby każdy dostawał drugą szansę. Żebyście marzyły o wychowywaniu dzieci w mieście, w którym nie muszą żyć w strachu. W mieście bez skorumpowanych sędziów i wymuszeń ze strony Sa'kagé. W mieście z wieloma mostami na Plith, na których nie będzie strażników. W mieście, gdzie sprawy będą wyglądały inaczej. Dzięki nam. Wiem, że teraz się

boicie. Za kilka minut zaczyna się wasza zmiana i znowu będziecie musiały stawić czoło tym popapranym zwyrodnialcom. Wiem. To nic złego bać się, ale mówię wam: w głębi ducha bądźcie odważne. Nadejdzie czas, kiedy to będzie potrzebne. Jeśli arystokraci chcą wygrać tę wojnę i przejąć z powrotem kraj, to będą nas potrzebowali, a nasza pomoc będzie miała swoją cenę. Naszą ceną będzie inne miasto, i to wy zdecydujecie, czym się będzie różnić od obecnego. My, wy i ja, mamy taką władzę. Więc na razie możemy działać jak zawsze, albo marzyć i się szykować. Ze wszystkich w Norach, wy, drogie panie, macie najwięcej do stracenia.

Podszedł do piratki, Kaldrosy Wyn i dotknął jej policzka pod podbitym okiem.

– Powiedz mi, czy po to właśnie pogodziłaś się z utratą męża? Dla korony za podbite oko, dla dwóch, gdy tak cię pobiją, że nie możesz pracować następnego dnia? Na to sobie zasłużyłaś?

Łzy popłynęły z oczu Kaldrosy.

– A ja mówię: do diabła, nie! Przyszłaś tu, bo nic lepszego nie mogłaś zrobić. Dostajesz koronę za podbite oko, bo to najwięcej, ile może wynegocjować Mama K. Jako twój Shinga mówię ci, że to ciągle za mało. Nie myśleliśmy na odpowiednio dużą skalę. Chcieliśmy tylko przetrwać, i jeśli chodzi o mnie, mam już tego dość. Kiedy następnym razem usłyszę okrzyk bólu, to chcę, żeby się dobywał z khalidorskiego gardła.

– Do diabła, tak właśnie – mruknęła jedna z dziewczyn. Widział teraz żar płonący w ich oczach. Na bogów, wyglądały groźnie!

Uniósł rękę.

– Na razie tylko obserwujcie, tylko czekajcie. Bądźcie gotowe. Bądźcie odważne. Bo kiedy nadejdzie nasza szansa, żeby rzucić kości, będziemy oszukiwać i wyrzucimy trzy szóstki.

***

– Skarbie – powiedziała Elene, szturchając delikatnie Kylara. – Skarbie, wstawaj.

– Dupa. – Co?

– Duuupaaa. Elene się zaśmiała.

– Rzeczywiście, wyglądasz, jakby ktoś na tobie siedział – odpowiedziała, obejmując go. Pociągnęła nosem i skrzywiła się. – I cuchniesz...

– Dupa – odparł urażony.

– Skarbie. Musimy iść dzisiaj na zakupy, zapomniałeś? Złapał poduszkę i zarzucił ją sobie na głowę. Elene pochyliła się, żeby mu ją zabrać, ale Kylar nie chciał puścić. Zaśpiewała mu poranna piosenkę. Składała się z dwóch słów „dzień" i „dobry" powtarzanych trzydzieści siedem razy. To była jedna z ulubionych Kylara.

– DZIEŃ dobry, dzień DOBRY, dzień dobry, DZIEŃ dobry, dzień dobry...

– DUPA dupiasta, dupa DUpiasta, dupiasta dupa... – zamruczał w poduszkę Kylar.

Ściągnęła poduszkę, a Kylar złapał Elene i rzucił ją na łóżko obok

siebie. Był tak silny i szybki, że nie miała szansy się obronić. Odrzucił poduszkę i przeturlał się na Elene, całując ją.

Mruknęła coś. Och, jej usta cudownie smakowały.

– Co? – zapytał trzydzieści sekund później.

– Poranny oddech – powtórzyła, krzywiąc się.

Oczywiście kłamała. Sądząc po pocałunkach, nie miała nic przeciwko, nawet gdyby rzeczywiście miał nieświeży oddech. A nie miał. Nigdy nie pachniało mu z ust. Nie tylko brzydko. W ogóle. Mógłby żuć listki mięty albo zjeść zatęchły ser, a to i tak nie zmieniłoby jego oddechu. Tak samo było z resztą jego ciała. Nawet gdyby się wyperfumował, zapach by zniknął. To pewnie miało coś wspólnego z ka'kari.

Uśmiechnął się teraz, parodiując drapieżny uśmiech.

– Już ja ci pokażę poranny oddech. – Pogroził jej.

Chociaż młóciła rękami, pocałował ją w szyję, a potem niżej, naciągnął dekolt jej szlafroka i Elene już nie odpychała go rękami, a jego usta...

– Aj! Zakupy! – Wyturlała się z jego ramion.

Położył się na plecach, a ona udawała, że poprawia szlafrok, chociaż tak naprawdę podziwiała mięśnie jego torsu. Ciotka Mea zabrała Uly na cały dzień. Dom był pusty. Kylar wyglądał tak słodko ze zmierzwionymi od snu włosami, był taki cudny, a jego usta były najbardziej niesamowitą rzeczą na świecie. Nie wspominając o dłoniach. Chciała czuć jego skórę na swojej. Chciała położyć ręce na jego piersi. I wzajemnie.

Czasem rano tulili się, kiedy Kylar był jeszcze ledwo przytomny, i poranki stały się jej ulubioną częścią dnia. Raz albo dwa jej koszula podjechała do góry w czasie snu i łapała się na tym, że leży przytulona do niego, skóra przy skórze. No może ta koszula nie podjeżdżała tak całkiem sama z siebie, ale Elene nie ośmieliłaby się na nic takiego, gdyby nie wiedziała, że Kylar znika na całe godziny nocami i na pewno się nie obudzi.

Na samą myśl o tym robiło jej się ciepło. Czemu nie? – zapytała jakaś jej część. No dobrze, istniały powody natury religijnej. Czy można zaprząc razem wołu i wilka? Nie wiedziała nawet, czy Kylar wierzył w Boga. Zawsze był skrępowany, kiedy zaczynała rozmowę na ten temat. Przybrana matka powiedziała jej, żeby podejmowała decyzje, nim zaangażuje się sercem, ale teraz to już musztarda po obiedzie, a nawet po kolacji i śniadaniu na drugi dzień. Uly potrzebowała jej. Kylar jej potrzebował, a ona nigdy wcześniej nie była nikomu tak potrzebna. Przy Kylarze czuła się piękna i dobra. Czuła się jak dama. Jak księżniczka. Kochał ją.

I właściwie był jej mężem. Powiedzieli, że są małżeństwem, mieszkali razem, spali w tym samym łóżku, byli rodzicami dla Uly. Prawdopodobnie nie kochała się jeszcze z Kylarem tylko dlatego, że zanim nadszedł wieczór i Kylar zdążył jej dotknąć, była tak zmęczona, że ledwo mogła się ruszyć. Gdyby spróbował rano tego, czego próbował nocą, przestałby bronić dziewictwa w jakieś pięć sekund. Prawie czuła jego oddech na uchu. Wyobraziła sobie robienie niektórych z tych rzeczy, o których ciotka Mea mówiła tak beztrosko

– rzeczy, które rozpalały rumieńce na jej twarzy, ale brzmiały tak cudownie. Była tak bezwstydna, że nawet wiedziała, czego chciałaby spróbować na początku.

Czy święte księgi nie mówiły „niech twoje tak będzie tak, a twoje nie będzie nie”? I powiedziała, że jest żoną Kylara. On powiedział, że jest jej mężem. Zabierze go do kołozłotnika, o którym wspominała jej ciotka Mea i sformalizują później sprawę po waeddryńsku. Już po.

Kylar usiadł na łóżku, a ona przysunęła się do niego blisko, przesuwając rękami po wiązaniu szlafroka. Rozwiązywała je.

– Na bogów – powiedział Kylar, cmokając ją szybko w policzek, nie odwracając się na tyle, żeby zobaczyć ją całą. – Lać mi się chce jak koniowi.

Wstał i zaczął się ubierać. Na chwilę Elene zamarła. Szlafrok rozchylił się, jej ciało było w pełni widoczne.

– Co będziemy kupować? – zapytał Kylar, wciągając tunikę przez głowę.

Ledwo zdążyła zawiązać szlafrok, zanim wysunął głowę z tuniki.

– No? – dopytywał się.

– Co? – Miała wrażenie, jakby wylano jej na głowę kubeł zimnej wody.

– Ach, to urodziny Uly, zgadza się? Kupimy jej lalkę, czy coś takiego?

– Tak właśnie – powiedziała. Co ona sobie myślała?

17

Tenser całkiem sprawnie poradził sobie z robotą, pomyślał Vürdmeister Neph Dada. W pewnym momencie zdołał nawet zakaszleć krwią. Na razie przedstawienie, które odegrał, zostanie zapamiętane jako zacięty opór. Kiedy go oczyszczą z zarzutów, zostanie to zinterpretowane jako dzielny opór.

Człowieka, którego Tenser rzekomo zamordował, cenaryjskiego barona Kirofa, nigdy nie odnaleziono. Zawierzono jednak słowom cenaryjskiego kapitana straży, który twierdził, że był świadkiem morderstwa, i Tensera szybko uznano winnym. Gdy Król-Bóg osobiście ogłosił karę, ludziom zaparło dech. Cenaryjska arystokracja spodziewała się grzywny, może więzienia z odliczeniem czasu spędzonego w areszcie, może deportacji do Khalidoru. Zrzucenie go na Dno uznano za gorsze od kary śmierci. Oczywiście o to właśnie chodziło.

Tenser nie mógłby przeniknąć do Sa'kagé, gdyby był martwy albo deportowany. Odsiadując wyrok w najgorszym więzieniu w kraju, stanie się wiarygodny dla Sa'kagé. Kiedy baron Kirof pojawi się z powrotem – żywy – Tenser zostanie oczyszczony i będzie miał wszystkie dojścia khalidorskiego diuka, ale co ważniejsze, będzie udawał, że żywi zaciekłą nienawiść do Króla-Boga za skazanie go pod fałszywym zarzutem. Diuk Tenser Vargun będzie mógł zaoferować Sa'kagé wszystko, czego tylko zechce organizacja. I będzie mógł zniszczyć ją od środka.

Król-Bóg jak zawsze realizował więcej niż jeden cel naraz. Karząc tak surowo khalidorskiego diuka, pokazał, że jest sprawiedliwym władcą. Cenaryjczycy, którzy się wahali, będą mieli kolejny pretekst, żeby się podporządkować. Wrócą do swojego życia, a pętla mocniej zaciśnie się na szyjach buntowników, kiedy przyjaciele ich opuszczą.

Jednocześnie wieść o uwięzieniu Tensera przyćmi wszystko inne, więc dzisiaj uwolnił kilkudziesięciu przestępców z Paszczy, a uwięził setki podejrzanych o bunt. Szokująca wiadomość o Tenserze sprawi, że ludzie ledwo cokolwiek zauważą.

Kiedy ogłoszono wyrok, Neph odprowadził Tensera ze strażnikami do Paszczy. Tenser spojrzał na niego podejrzliwie. Wielu Khalidorczyków nie miało dobrego mniemania o dawno temu rozgromionych sąsiadach, Lodricarczykach, ale w przypadku Tensera niechęć wydawała się jednocześnie uogólniona i osobista.

– Czego chcesz?

– Chciałem się tylko podzielić informacją, która może być pomocna – powiedział Neph. Nie potrafił ukryć przyjemności, z jaką to mówił. – Baron Kirof zniknął. Najwyraźniej ktoś go porwał.

Krew odpłynęła z twarzy Tensera. Jeśli baron zniknął, on może nigdy nie opuścić Dna.

– Znajdziemy go – powiedział Neph. – Oczywiście, jeśli znajdziemy go martwego... – Zachichotał.

Gdyby Kirof nie żył, Vargun byłby bezużyteczny. A bezużyteczność oznaczała porażkę. A porażka śmierć. Za pomocą

magii Neph otworzył żelazną bramę oddzielającą tunele pod zamkiem od Paszczy.

– Mój panie? Cela już czeka.

***

Jarl rozmasował skronie. Przez cały dzień przesłuchiwali więźniów wypuszczonych z Paszczy. Więźniowie dowiedzieli się o przewrocie już po fakcie, kiedy w Paszczy pojawili się czarownicy. Czegoś szukali. Wrócili z pustymi rękami, więc wydawało się, że to nie było nic ważnego.

Istotny zaś był fakt, że były szef burdelu, znany jako Białas, nie spał, kiedy dwóch strażników prowadziło więźnia na Dno. Nie spał i nie zasnął. Przysięgał, że ani ci dwaj strażnicy, ani ich więzień – wielki, nagi blondyn – nie wyszli.

Co więcej, Białas rozpoznał jednego ze strażników, odrażającego człowieka, który pracował dla Jarla. Jarl wysłał go do zamku z bardzo konkretnym zadaniem. Czarownicy, którzy zjawili się po nich, doszli aż do końca Paszczy, ale nie było słychać odgłosów walki i nic nie wskazywało, żeby kogokolwiek zobaczyli. To było niemożliwe i Białas nie potrafił dojść z tym do ładu.

Jarl odesłał Białasa.

– Czy to możliwe? – zapytał Mamę K.

– A jak myślisz. – Jak zwykle wypowiedziała pytanie jakby to było stwierdzenie.

– O czym wy mówicie? – dopytywał się Brant Agon.

– To oznacza, że żył dłużej, niż myśleliśmy – powiedział Jarl.

– I wiemy, że głowa, którą zatknęli, nie należała do niego – dodała Mama K. – To wiele mówi.

– Bogowie – jęknął Jarl.

– Co? Co? – pytał Brant.

– Logan Gyre – odpowiedział Jarl.

– Ale co? Został zabity w północnej wieży – powiedział Brant.

– Co byś zrobił, gdybyś właśnie zabił strażnika głęboko w Paszczy, przebierał się w jego ubranie i w tej samej chwili zobaczył nadchodzących sześciu czarowników? – zapytał Jarl. – Masz jedną drogę ucieczki i właśnie blokują ją czarownicy.

Brant zamilkł jak rażony gromem.

– Chyba nie mówisz, że Logan wskoczył na Dno? – spytał w końcu; widział raz Dno.

– Mówię, że Logan Gyre może nadal żyć – odpowiedział Jarl.

– Chwileczkę – przerwała im Mama K. Wstała i zaczęła przeglądać stos papierów. – O ile dobrze sobie przypominam... ach, jest.

Przypomnijcie mi, że musimy dać tej dziewczynie premię. Ma stałego klienta, który lubi się przechwalać. „Gorkhy wrzuca im chleb do dziury na Dnie i patrzy, jak próbują go złapać i nie wpaść przy tym do przepaści. Mówi, że przynajmniej trzech więźniów...”. – Mama K odchrząknęła, ale kiedy podjęła czytanie, głos miała spokojny. – „Trzech więźniów zostało zjedzonych w czasie, kiedy Gorkhy ich

głodził”. Dziewczyna opisuje „olbrzyma o prawie siedmiu stopach wzrostu. Kilka razy zdołał złapać chleb, który Gorkhy wrzucał na Dno. Gorkhy szczególnie nienawidzi tego człowieka, którego pozostali nazywają Królem”. – Mama K uniosła wzrok. – To jest raport raptem sprzed trzech dni.

– Nikogo takiego nie zrzucono na Dno od co najmniej dziesięciu lat – powiedział cicho Brant.

Milczeli przez chwilę.

– Jeśli Gorkhy powie zwierzchnikom o olbrzymie nazywanym Królem... – zaczęła Mama K.

– Logan umrze jeszcze tego samego dnia – dokończył Jarl.

– Musimy go ratować – powiedział Brant. Jarl i Mama K spojrzeli po sobie.

– Musimy zastanowić się, jak to pasuje do naszej strategii – powiedziała Mama K.

– Chyba go tam nie zostawicie! – oburzył się Brant.

Mama K obejrzała pomalowane na krwistą czerwień paznokcie.

– Bo to w ogóle nie wchodzi w grę – ciągnął Brant. – To jedyny człowiek, za którym może stanąć cały kraj. Jarl, jeśli naprawdę chcesz dokonać tego, o czym mówiłeś, to jest twoja szansa. Jeśli uratujemy Logana, on da ci ziemie, tytuły i ułaskawienie. Więc nie mówcie mi, że choćby rozważacie zostawienie naszego króla w tym piekle.

– Skończyłeś? – spytała Mama K.

Nic nie odpowiedział, ale zacisnął zęby.

– Rozważamy to. Rozważamy to, bo rozważamy wszelkie

możliwości. Dlatego wygrywamy. W tej chwili rozważam też, jak możemy go uratować, jeśli się zdecydujemy. Zacząłeś się już nad tym zastanawiać, czy nadal się nakręcasz tym, jaki to będziesz szlachetny i dobry?

– Do diabła, nadal się nakręcam – odpowiedział, ale pozwolił sobie na uśmieszek.

Mama K pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Jak tam twoi ludzie, Brant? – zapytał Jarl.

– Zrobię z nich dobrych żołnierzy, dajcie mi tylko dziesięć, dwadzieścia lat.

– Ilu masz?

– Nie, nie – wtrąciła się Mama K.

– Setkę – odpowiedział Jarlowi Agon. – Jakichś trzydziestu poradziłoby sobie w walce. Dziesięciu może kiedyś robić wrażenie. Kilku świetnych łuczników. Jeden, z którego byłby trzeciorzędny siepacz. Wszyscy niezdyscyplinowani. I nadal nie ufają sobie nawzajem. Walczą jak indywidualiści.

– Jeszcze tego nie omówiliśmy – wtrąciła się znowu Mama K.

– Możesz uznać, że omówiliśmy – powiedział Jarl. – Zrobimy to.

Mama K otworzyła usta. Jarl popatrzył na nią i spuściła wzrok.

– Jak sobie życzysz, Shingo – ustąpiła w końcu.

– Zakładam, że nasze źródło nie nakłoni Gorkhy'ego do współpracy z nami?

Mama K zerknęła na kartkę.

– Nie w tej sprawie.

Kiedy Brant i Mama K debatowali nad różnymi sposobami dostania się do Paszczy, Jarl się zastanawiał. Ujawnił się dwa tygodnie temu i przemawiał do zapalonych słuchaczy. Ludzie z Nor – Króliki, jak szyderczo nazywali samych siebie z powodu liczby, płochliwości i zamieszkiwanego labiryntu zaułków – pragnęli nadziei. Jego słowa były jak woda dla spieczonych ust. Bunt brzmiał kusząco dla ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia. Ale, przemawiając, mówił też do szpiegów Króla-Boga.

Przeżył już jedną próbę zamachu. Na pewno dojdzie do następnych. Jeśli nie znajdzie jakichś siepaczy, którzy by go chronili, prędzej czy później Khalidorczycy go załatwią.

– Jadę do Caernarvon – oznajmił.

– Uciekasz? – zapytał Brant.

– Jeśli pojadę na lekko, wrócę w ciągu miesiąca.

– Pewnie, ale co na tym zyskasz?

– Kolejny miesiąc życia? – odparł z uśmiechem Jarl.

– Myślisz, że wróci? – spytała Mama K. Brant spojrzał na nich, nic nie rozumiejąc.

– Dla Logana? W oka mgnieniu – odpowiedział Jarl.

– Jeśli ktokolwiek może uratować Logana, to na pewno on – zgodziła się Mama K.

– Kto? – zdziwił się Brant.

– A kiedy Hu Szubienicznik i inni siepacze usłyszą, że cię chroni, nie zdziwiłabym się, gdyby się wycofali – dodała Mama K.

– Kto? Kto taki?

– Od śmierci Durzo Blinta to pewnie najlepszy siepacz w mieście – powiedział Jarl.

– Tylko że już nie ma go w mieście – przypomniała mu Mama K.

– No dobra, najlepszy w tym fachu.

– Tylko że on już nie pracuje w tym fachu.

– To się zmieni – odparł Jarl.

– Zabierzesz kogoś ze sobą? – spytała Mama K.

– Robicie mi na złość, prawda? – denerwował się Brant.

– Nie. – Jarl odpowiedział Mamie K, nie zwracając uwagi na Agona. – Samemu łatwiej będzie mi się wymknąć. – Odwrócił się do Agona. – Brant, mam dla ciebie zadanie na czas mojej nieobecności.

– Mówicie o Kylarze Sternie, tak? Jarl się uśmiechnął.

– Tak. Jest pan uczciwym człowiekiem, generale? Brant westchnął.

– Wszędzie poza polem bitwy.

Jarl poklepał go w ramię.

– Więc chcę, żeby pan rozgryzł, jak armia Logana Gyre ma rozgromić wojska Króla-Boga.

– Logan nie ma armii – zdziwił się Brant.

– To już problem Mamy K – odpowiedział Jarl.

– Słucham? – Teraz Mama K się zdziwiła.

– Terah Graesin ma armię. Chcę, żebyś obmyśliła, jak sprawić, żeby to było armia Logana.

– Co takiego? – jeszcze bardziej zdumiała się Mama K.

– A teraz, wybaczcie moi drodzy – powiedział Jarl. – Mam

randkę w Caernarvon.

18

Umarłem i tego nie zauważyłem? – spytał Kylar. Znowu szedł przez mgły śmierci i powróciło znajome wrażenie poruszania się bez poruszania. Za granicą mgły stała postać w płaszczu, równie eteryczna jak sama mgła. Kylar był pewien, że to Wilk, ale przecież nie umarł. Prawda? Ktoś go zabił we śnie? Dopiero co się położył...

– Co to jest? Sen? – zapytał znowu.

Postać w pelerynie obróciła się i Kylar się rozluźnił. To nie był Wilk. To był Dorian Ursuul.

– Sen? – zdziwił się Dorian. Mrużąc oczy, spojrzał na Kylara poprzez mgłę. – Chyba tak, chociaż dość dziwnego rodzaju.

Uśmiechnął się. Był przystojnym mężczyzną, mimo że surowym. Miał czarne, zmierzwione włosy, jego niebieskie oczy zdradzały inteligencję, a rysy twarzy były regularne.

– Jak to jest, mój kroczący w cieniu przyjacielu, że nie obawiamy się snów? Tracimy przytomność, tracimy kontrolę, dzieją się rzeczy, do których nie stosuje się żadna logika ani oczywiste zasady. Pojawiają się przyjaciele i zamieniają się w obcych. Otoczenie przekształca się nagle, a my rzadko to kwestionujemy. Nie boimy się snów, ale boimy się szaleństwa, a śmierć nas przeraża.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – zapytał Kylar.

Dorian uśmiechnął się zadowolony z siebie. Obrzucił Kylara spojrzeniem od stóp do głów.

– Niesamowite. Wyglądasz dokładnie tak samo, ale jesteś całkiem

inny, prawda?

Bogowie, minęły tylko dwa miesiące, odkąd poznał Doriana?

– Stałeś się potężny, Kylarze. Robisz wrażenie. Stanowisz siłę, z którą trzeba się liczyć, ale umysł jeszcze nie nadąża za twoją mocą, prawda? Zmiana tożsamości chwilę potrwa. To zrozumiałe. Niewielu ludzi musi zabić odpowiednik ojca i stać się nieśmiertelnymi tego samego dnia.

– Do rzeczy.

Dorian zawsze za dużo wiedział. To działało Kylarowi na nerwy.

– To jest sen, jak sam powiedziałeś. I owszem, wezwałem cię. To ciekawy czar, który dopiero co odkryłem. Mam nadzieję, że będę go pamiętał, kiedy się obudzę. O ile się obudzę. Znowu wpadłem w trans. Już od dłuższego czasu w nim trwam. Moje ciało znajduje się w Wyjących Wichrach. Khali nadchodzi. Garnizon padnie. Przeżyję, ale nadejdą dla mnie gorsze czasy. Sprawdzałem własną przyszłość, a to bardzo niebezpieczna rzecz. Dowiedziałem się kilku nowych rzeczy, które sprawiły, że straciłem odwagę i przestałem patrzeć. Więc, zbierając się na odwagę, zacząłem śledzić twoje losy. I zobaczyłem, że potrzebujesz kogoś, kto byłby z tobą szczery. Hrabia Drakę albo Durzo byliby w tym lepsi, ale najwyraźniej nie mogą być przy tobie, więc oto jestem. Nawet zabójcy potrzebują przyjaciół.

– Już nie jestem zabójcą. Rzuciłem to.

– W moich wizjach – ciągnął Dorian, ignorując słowa Kylara – widzę, jak wracam do miejsca, w którym kiedyś znajdowało się moje szczęście. Spojrzę w oczy kobiety, którą kocham i która kocha mnie, i

wiem, że niezależnie od tego, czy powiem prawdę, czy skłamię, ona będzie zdruzgotana. W tym jesteśmy braćmi, Kylarze. Bóg daje prostsze problemy mniejszym ludziom. Jestem tu, bo mnie potrzebujesz.

Zniknęła irytacja Kylara. Spojrzał w mgłę. Całe to miejsce wydawało się metaforą jego życia – utknął w półmroku, gdzie nic nie jest określone, nie ma niczego trwałego, żadnej prostej ścieżki.

– Próbuję się zmienić – powiedział – ale mi się nie udaje. Myślałem, że mogę po prostu oderwać się od przeszłości, pójść naprzód i mieć to z głowy. Wchodzę do pokoju i odruchowo robię rekonesans. Sprawdzam wyjścia, jak wysoko znajduje się sufit, sprawdzam źródła potencjalnego zagrożenia, jaka jest przyczepność podłogi. A jeśli jakiś człowiek gapi się na mnie w zaułku, od razu się zastanawiam, jak go zabiję. I dobrze mi z tym. Czuję, że panuję nad sytuacją.

– Aż?

Kylar się zawahał.

– Aż sobie przypomnę. Zmuszam się do myślenia, że moje odruchy są złe. A potem nienawidzę siebie za to, czym się stałem.

– A czym się stałeś?

– Mordercą.

– Jesteś kłamcą i zabójcą, ale nie mordercą.

– Wielkie dzięki.

– Czym jest Anioł Nocy, Kylarze?

– Nie wiem. Durzo nigdy mi nie powiedział.

– Chrzanisz. Dlaczego nie zaufasz sobie? Dlaczego nie poprosisz Elene, żeby zaufała tobie? Dlaczego nie zaufasz jej i nie powiesz prawdy?

– Ona nigdy tego nie zrozumie.

– Skąd wiesz?

A gdyby zrozumiała? Co, gdyby naprawdę poznała go i odrzuciła? Jak by się wtedy poczuł?

– Wy dwoje jesteście tak młodzi, że nie odróżniacie własnego tyłka od łokcia – powiedział Dorian. – Ale ty pomału zaczynasz rozumieć siebie. Elene zaakceptowała ciasną klatkę jako swoją wiarę, a ty wykraczasz daleko poza jej wiedzę o Bogu. Z arogancją typową dla młodości myśli, że to, co wie o Bogu, to już cała wiedza na jego temat. Kocha cię, więc chce, żebyś siedział razem z nią w tej klace. Ale ta klatka jest dla ciebie za mała. Nie potrafisz zrozumieć Boga, który jest tylko miłosierdziem, a w którym nie ma sprawiedliwości. Ten słodki, milusi Bóg nie przetrwałby w Norach dwóch minut, prawda? Przykro mi to mówić, ale Elene ma osiemnaście lat. Cała jej wiedza o Bogu to wcale nie tak dużo. Kylarze, nie sądzę, żebyś był dla Boga wstrętny. To potworność mieć z jednej strony wielką moc, a z drugiej wysokie standardy moralne, kiedy nie ma się na czym pewnie stanąć. Przez ostatnie dwa miesiące próbowałeś zaakceptować moralne wybory Elene, odrzucając jej założenia. I ty jej zarzucasz brak logiki? W którym miejscu stoisz, Cieniu w Półmroku? Masz decyzję do podjęcia, ale oto kolejna trudna prawda: nie możesz być wszystkim, czym zapragniesz. Lista rzeczy, którymi nigdy się nie

staniesz, jest długa, nawet jeśli będziesz żył wiecznie. Wiesz, co jest na pierwszym miejscu tej listy? Dobroduszny zielarz. Tyle w tobie potulności, co w wilku. I to właśnie Elene w tobie kocha i tego się w tobie boi. Nie możesz jej ciągle mówić, że wszystko będzie dobrze, że to tylko maska, pod którą ukrywasz się prawdziwy ty. To nieprawda. Dlaczego nie zaufasz jej na tyle, żeby poprosić, by pokochała takiego człowieka, jakim jesteś naprawdę?

– Bo go nienawidzę! – ryknął Kylar. – Bo on kocha zabijać! Bo ona nie rozumie zła, a on tak. Bo on nigdy nie czuje się równie żywy jak wtedy, gdy kąpie się we krwi. Bo jest wirtuozem miecza, i uwielbiam to, co on potrafi. Bo on jest Aniołem Nocy i anioł jest w nocy, a noc jest we mnie! Bo on jest Cieniem Który Kroczy. Bo wierzy, że niektórych ludzi nie da się zbawić, można ich tylko powstrzymać. Bo kiedy on zabija złego człowieka, czuję nie tylko radość z jego biegłości, ogarnia mnie bezbrzeżna radość z wymierzonej kary: zły człowiek to zniewaga, a ja usuwam tę plamę. Przywracam równowagę. On to kocha, a Elene straciłaby niewinność, którą w niej kocham, żeby zrozumieć tego człowieka.

– Ten człowiek – powiedział Dorian, szturchając Kylara w pierś – i ten – dodał, pukając go w czoło – jest na drodze do szaleństwa. Uwierz, ja akurat wiem, co mówię.

– Mogę się zmienić – upierał się Kylar, ale w jego głosie nie było nadziei.

– Synu, z wilka można zrobić wilczarza, ale nie salonowego pieska.

***

– Jesteśmy w stanie wojny – powiedziała Mówczyni Istariel Wyant.

Miała nosowy głos i mówiła z akcentem wysoko-alitaerańskim. Lubiła wygłaszać oświadczenia.

Ariel wcisnęła zwaliste ciało w za małe krzesło w gabinecie Mówczyni, wysoko w Alabastrowym Serafinie. Zasapała się po wspinaczce schodami. Jeden posiłek dziennie, aż będę w stanie wejść po schodach bez sapania, obiecała sobie. Jeden.

Czasem Ariel nienawidziła ciała, nienawidziła tego, że jest przykuta do czegoś tak słabego i domagającego się uwagi. Wymagało tyle troski, tyle niewolniczego oddania i ciągle oczekiwało rozpieszczania. Nieustannie odciągało uwagę od rzeczy ważniejszych, na przykład teraz – od tego, czego chciała od niej Mówczyni.

Istariel Wyant była wysoką, władczą kobietą o patrycjuszowskim nosie i brwiach wyskubanych w cienką linię. Miała guzowate stawy, przez co wyglądała raczej tykowato niż wysmukle. Miała ściągniętą twarz kobiety w średnim wieku, ale też przepiękne długie blond włosy, jakich Ariel nie widziała u żadnej innej kobiety. Istariel uwielbiała swoje włosy. Niejedna siostra szeptała, że musiała odnaleźć jakiś zaginiony splot, który sprawiał, że były takie gęste i lśniące. Oczywiście to nie była prawda, matka Istariel miała takie same włosy. To był jeden z powodów, dla których ojciec poślubił ją

po śmierci matki Ariel. Poza tym Istariel nie była aż tak Utalentowana.

– Ta wojna nie dotyczy tylko tego, co to znaczy być magą, ale też co to znaczy być kobietą.

Widząc nieskrywaną ironię w spojrzeniu Ariel, Istariel zmieniła temat.

– Jak się miewasz, siostro?

Oczywiście do każdej prawdziwej magi mówiło się „siostro”, ale Istariel wypowiedziała to słowo czule. W przypadku Ariel słowo „siostra” miało przywoływać rzekomo cudowne dni ich wspólnej młodości, jakieś pięćdziesiąt lat temu. Istariel zdecydowanie czegoś chciała.

– Dobrze – odpowiedziała Ariel. Istariel mężnie spróbowała raz jeszcze:

– A jak tam postępy w studiach?

– Prawdopodobnie ostatnie dwa lata to zmarnowany czas.

– Nadal ta sama, stara Ariel.

Istariel starała się powiedzieć to lekko, jakby z rozbawieniem, ale nie wysiliła się dostatecznie i nie zabrzmiało to przekonująco. Pewnie myślała, że skoro Ariel nie bawi się w niuanse i towarzyskie afronty, sama nie jest ich świadoma.

Kiedy Ariel była młodsza i bardziej przejmowała się tym, co sobie o niej myśli jej młodsza, arystokratyczna siostra, być może dostrzegłaby w tym gorzką ironię. Ariel zawsze lokowała się prosto w ślepej plamce siostry. Istariel potrafiła w lot zrozumieć mężczyzn i

kobiety w swoim otoczeniu, ale nigdy Ariel, chociaż spędziła z nią tyle czasu. Kiedy Istariel na nią patrzyła, widziała szeroką twarz chłopki i grube członki wieśniaczki, brak towarzyskiej ogłady i brak zainteresowania ważnymi rzeczami: przywilejami, władzą, pozycją – po prostu widziała prostaczkę. Istariel myślała, że rozumie Ariel, więc w ogóle przestała o niej myśleć. Teraz pozwoliła sobie nawet na obrzucenie jej spojrzeniem.

– Owszem, roztyłam się – powiedziała Ariel.

Istariel się zarumieniła. Musi nie cierpieć tego, że przy mnie nadal czuje się jak dziecko, pomyślała Ariel.

– Cóż – zaczęła Istariel – chyba rzeczywiście trochę...

– A jak ty się miewasz, Mówczyni? – zapytała Ariel.

Dlaczego potrafiła opanować osiemdziesiąt cztery wariacje splotu Symbeline z idealnym wyczuciem czasu, struktury i intonacji, a nie radziła sobie z rozmową? Z pewnością towarzyska rozmowa sprowadzała się do kilkuset typowych pytań, które dałoby się rozpisać w postaci grafu z uwzględnieniem odpowiedzi rozmówcy, stopnia znajomości, bieżących wydarzeń i pozycji rozmówców względem siebie.

Moment zadania pytania i długość odpowiedzi też należałoby przestudiować, ale wiele splotów wymagało także idealnego wyczucia czasu, a Ariel radziła sobie z tym doskonale. Można by wziąć pod uwagę otoczenie: inaczej rozmawia się w gabinecie Mówczyni, a inaczej w tawernie. Temat studiów mógłby obejmować też to, jak unikać rzeczy rozpraszających uwagę oraz stosowną ilość kontaktu

wzrokowego lub fizycznego z uwzględnieniem różnic kulturowych i oczywiście różnic w rozmowie z mężczyznami i kobietami w zależności od płci badacza. Ariel uznała, że pewnie musiałaby uwzględnić w swoich badaniach także dzieci. I zapewne warto byłoby wziąć pod uwagę to, jak należy rozmawiać z tymi, z którymi w różnym stopniu jest się zaprzyjaźnionym i wobec których żywi się pewne uczucia, także natury romantycznej. Ale czy na pewno? Czy niezobowiązującą pogawędkę należy prowadzić inaczej z kobietą, z którą chciałoby się zaprzyjaźnić, niż z kobietą, która w ogóle nie wzbudza zainteresowania? Czy istniały przyjęte społecznie formy ucinania nudnych rozmów?

Na tę myśl Ariel się uśmiechnęła. Jej zdaniem takie ucinanie nudnych rozmów to czysta korzyść.

Jednakże całe to przedsięwzięcie miało niewiele wspólnego z magią. Być może nic a nic. W rzeczy samej, gdyby zdecydowała się na takie badania, chociaż niewątpliwie byłyby użyteczne, nie spożytkowałaby należycie swoich talentów.

– Ale ty mnie nie słuchasz, prawda? – zapytała Istariel.

Ariel zdała sobie sprawę, że siostra mówi już od jakiegoś czasu. To była pozbawiona sensu paplanina, ale Ariel zapomniała udawać, że słucha.

– Przepraszam.

Istariel machnęła ręką. Ariel zdała sobie sprawę, że Istariel niemalże ulżyło, że siostra znowu zachowuje się zgodnie z oczekiwaniami: Ariel, rozkojarzony geniusz, wielki mózg i jeszcze

większy Talent, ale nic ponadto. Dzięki temu Istariel czuła się lepsza.

– Zmusiłam cię do myślenia, co? – spytała Istariel. Ariel pokiwała głową.

– Na jaki temat?

Pokręciła głową, ale Istariel uniosła brew. To było spojrzenie pod tytułem „jestem Mówczynią”. Ariel się skrzywiła.

– Myślałam o tym, jak beznadziejna jestem w rozmowach towarzyskich, i zastanawiałam się czemu.

Istariel wyszczerzyła zęby w uśmiechu – jakby obie znowu były nastolatkami.

– Planowałaś ciąg badań na ten temat? Ariel się zafrasowała.

– Uznałam, że nie byłabym właściwą osobą do takich badań. Istariel zaśmiała się z tego w głos. To było irytujące. Zupełnie jakby zarżał koń.

– O czym mówiłaś? – spytała Ariel.

Starała się wyglądać na zainteresowaną. Istariel, chociaż się puszyła i rżała, była Mówczynią.

– Och, Ariel, masz to w nosie i nie umiesz udawać, że jest inaczej.

– Masz rację. Ale ciebie to obchodzi, więc mogę uprzejmie posłuchać.

Istariel pokręciła głową, jakby nie wierzyła siostrze, ale usiadła i – na całe szczęście – przestała rżeć.

– Zapomnij. Ta wojna, o której wspomniałam? Niektóre z naszych młodszych sióstr chcą założyć nowy zakon.

– Kolejna grupa, która chce zerwać z Alitaerańskim Porozumieniem i zająć się magią bojową?

Co za strata. Traciły czas na próbę zmiany reguł, zamiast je po prostu ignorować albo poddać pod dyskusję.

– To nie takie proste. Te damy zaproponowały, żeby nazwać je Inwentarzem.

– O rety.

Nowicjuszkom nie wolno było wychodzić za mąż, ale wiele sióstr ostatecznie decydowało się na małżeństwo. Te udawały się tam, skąd pochodziły, albo gdzie mieszkał mąż. Niektóre zostawały w Oratorium, ale niewiele z nich awansowało na wyższe szczeble.

Często to była po prostu kwestia wyboru: kobiety uznawały, że mając dzieci, mężów i dom, wolą raczej spędzać cały swój czas z rodzinami.

Czasem jednak ambitne siostry chciały mieć wszystko. Chciały poślubić i Oratorium, i mężczyznę. Te nigdy nie awansowały tak wysoko, jak swoim zdaniem na to zasługiwały, bo powyżej pewnego poziomu pozostałe siostry wolały przywódczynie, dla których Oratorium było wszystkim. Kobiety, które poświęciły rodziny dla Serafina, uważały, że mają prawo, zajmować wyższe szczeble niż te, które poświęcały się pracy tylko częściowo, niezależnie od tego, jak znakomicie pracowały. Takie podejście dotyczyło nawet zamężnych sióstr, które nie miały dzieci – pozostałe siostry zakładały, że tamte w końcu rzucą wszystko, co warte zachodu, żeby jak zwykłe wieśniaczki zajmować się swoim mężczyzną i bachorami. Siostry po cichu

przezywały je żywym inwentarzem, kurami domowymi i klaczami zarodowymi z własnej woli. Mówiły, że inwentarz marnotrawi czas i pieniądze Oratorium, a co gorsza, własne talenty.

Zwykle tego typu komentarze przechodziły bez echa, bo znakomita większość sióstr w Oratorium była niezamężna. To były albo nauczycielki, albo uczennice. Uważano za niegrzeczne powiedzenie zamężnej siostrze prosto w twarz, że jest inwentarzem, ale takie rzeczy się zdarzały.

Jeśli zamężne siostry zechcą stworzyć zakon – a Ariel nie widziała powodu, dla którego można by im tego odmówić – zyskają ogromną siłę. W ich szeregach znajdowała się ponad połowa sióstr. Gdyby stworzyły jednolity blok, sprawy zmieniłyby się radykalnie.

– To oczywiście sztuczka – powiedziała Mówczyni. – Większość... zamężnych sióstr nie jest na tyle wojownicza, żeby zrzeszyć się pod taką nazwą. To tylko kolejny strzał ostrzegawczy, żebyśmy wiedziały, że traktują sprawę poważnie.

– Czego chcą? – zapytała Ariel.

Istariel zadrgała nerwowo powieka, więc potarła oko.

– Wielu rzeczy, ale jedno z najważniejszych żądań, to żebyśmy otworzyły tu nową szkołę magii. Szkołę, która zerwałaby z naszymi tradycjami.

– Jak bardzo?

– To byłaby szkoła dla mężczyzn.

To było więcej niż zerwanie z tradycją. To było trzęsienie ziemi.

– Podejrzewamy, że część z nich już poślubiła magów.

– Czego oczekujesz ode mnie? – natychmiast zapytała Ariel.

– W związku z tym? Niczego. Na miłość boską, skąd. Wybacz mi, ale jesteś ostatnią osobą, która mogłaby mi w tym pomóc. To wymaga dużego wyczucia. Mam dla ciebie coś innego. Przywódczynią zamężnych sióstr jest Eris Buel. Nie mogę otwarcie jej się przeciwstawić. Potrzebuję kogoś ambitnego, szanowanego i młodego, kto trzymałby się naszych wzorców.

Co oczywiście wykluczało Ariel.

– To pasuje do jakiejś jednej trzeciej naszych sióstr, a właściwie pasowałoby, gdybyś dodała też „pozbawiona skrupułów".

Oczy Istariel zapłonęły, a zaraz potem stały się zimne. Ariel wiedziała, że się zagalopowała, ale Istariel nic z tym nie zrobi. Potrzebowała jej. Poza tym Ariel powiedziała to nie dlatego, że taka była prawda, ale po to, żeby się przekonać, czy Istariel zdradzi się z poczuciem winy, czy nie.

Zdradziła się.

– Ariel, nawet tobie nie wolno zwracać się do mnie w ten sposób.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś sprowadziła Jessie al'Gwaydin z powrotem do Oratorium.

Ariel zastanowiła się nad tym. Jessie al'Gwaydin byłaby idealną skałą, o którą rozbiłaby się Eris Buel. Ucieleśniała wszystko, co Oratorium kochało: złotousta, piękna, inteligentna, szlachetnie urodzona i gotowa zapłacić ile trzeba, żeby wspiąć się na sam szczyt. Nie była zbytnio Utalentowana, ale pewnego dnia mogła stać się

dobrą przywódczynią – gdyby nabrała trochę rozumu.

– Studiuje Mrocznego Łowcę w Zakolu Torras – powiedziała Istariel. – Wiem, że to niebezpieczne, ale ostrzegłam ją należycie i jestem pewna, że nie zrobi niczego pochopnego. – Istariel zachichotała. – Właściwie to zagroziłam jej, że poślę po nią ciebie, jeśli nie okaże się wystarczająco dobra. Jestem pewna, że ogromnie się ucieszy na twój widok.

– A jeśli nie żyje? Istariel zrzedła mina.

– Znajdź mi kogoś, kogo Inwentarz nie będzie mógł zignorować. Kogoś, kto zrobi co trzeba.

Ta dwuznaczność pozostawiała przerażającą swobodę działania. Ale tą swobodą można posłużyć się dwojako, a prawdę mówiąc, Ariel wolała mieć w tym swój udział. Och, siostrzyczko, igrasz z ogniem. Dlaczego wykorzystujesz mnie do tego?

– Załatwione – odpowiedziała na głos Ariel.

Istariel dała znać, że może odejść, i Ariel podeszła do drzwi.

– Och – rzuciła jeszcze Istariel, jakby zapomniała o tym drobiazgu – kogokolwiek przyprowadzisz, pamiętaj, żeby była mężatką.

19

Kylar stał przed sklepem i właśnie go zamykał, gdy poczuł, że ktoś go obserwuje. Odruchowo zgiął palce, sprawdzając noże przymocowane do przedramion, ale przecież nie miał przy sobie żadnej broni. Zamknął potężne okiennice na oknie, w którym wywieszali cennik opłat, i zamknął kłódkę. Czuł się bezbronny, ale nie z powodu braku broni. Sam siepacz był bronią. Czuł się bezbronny z powodu swojej przysięgi. Żadnego zabijania, żadnej przemocy. Więc co mu zostawało?

Ktokolwiek to był, stał w cieniu, w zaułku obok sklepu. Kylar nie miał wątpliwości, że ten ktoś czeka, aż on podejdzie do frontowych drzwi, które znajdowały się raptem kilka kroków od zaułka. Za pomocą Talentu mógł sięgnąć do drzwi i zamknąć je – i zdradzić się z mocami. Albo mógł uciec – i zostawić Uly bez opieki.

Słowo honoru, zanim w jego życiu pojawiła się kobieta, wszystko było takie proste.

Kylar podszedł do drzwi. Mężczyzna wyglądał niechlujnie i był odziany w łachmany. Miał nabiegłe krwią oczy i brakowało mu zębów jak to u palacza uzależnionego od lubieżnicy. Mimo to, noże, które Ladyjczyk trzymał, prezentowały się wystarczająco groźnie. Mężczyzna wyskoczył z zaułka. Kylar spodziewał się, że zażąda pieniędzy, ale nic z tych rzeczy.

Zamiast tego natychmiast zaatakował, krzycząc jak szaleniec. Brzmiało to tak, jakby wołał: „Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj mnie!”.

Kylar tylko odsunął się i palacz wyłożył się jak długi. Kylar oparł się o mur, zdziwiony. Mężczyzna pozbierał się i znowu zaszarżował. Kylar czekał. Czekał. I nagle odskoczył. Nałogowy palacz uderzył w mur.

Kylar kopniakiem wytrącił krwawiącemu mężczyźnie noże i obrócił go nogą.

– Nie zabijaj mnie jeszcze – powiedział mężczyzna, charcząc z powodu krwi lejącej się z nosa. – Błagam, nieśmiertelny. Nie zabijaj mnie jeszcze.

***

– Przyniosłam ci prezent – powiedziała Gwinvere.

Agon uniósł wzrok znad kartki, na której pisał. To była lista mocnych i słabych stron ich sytuacji taktycznej w Norach. Jak na razie wyglądała przygnębiająco. Wstał od stołu i poszedł za Gwinvere do drugiego pokoju w jej domu, starając się nie myśleć o tym, jak cudownie pachniała. To go przyprawiało o ból w sercu.

Stół w jadalni przykryto materiałem, pod którym rysowało się dziesięć wypukłości.

– Nie otworzysz? – zapytała Gwinvere.

Agon uniósł brew, patrząc na nią. Zaśmiała się. Ściągnął materiał ze stołu i aż go zatkało.

Na stole leżały łuki, zdobione prostymi, niemalże niezdarnymi kościanymi ornamentami w kształcie mężczyzn i zwierząt, głównie

koni.

– Gwinvere, nie powinnaś była.

– To samo mówią mi moi księgowi. Wziął jeden i spróbował wygiąć.

– Ostrożnie – powiedziała. – Człowiek, który... wystarał się o te łuki, powiedział, że musisz je pogrzać przy ogniu przez pół godziny, zanim założysz cięciwy. W przeciwnym wypadku złamią się.

– To prawdziwe ymmurskie łuki – powiedział Agon. – Pierwszy raz widzę takie na własne oczy.

Te łuki były jednym z cudów świata. Nikt poza Ymmurczykami nie znał sekretu ich wytwarzania. Agon widział jednak teraz, że jakimś cudem prócz drewna wykorzystywali też kość i klej ze stopionych końskich kopyt. Strzała z takiego łuku potrafiła wbić się w ciężką zbroję z odległości dwustu kroków – temu wyczynowi sprostać mógł tylko długi łuk alitaerański. A ymmurskie łuki były wystarczająco krótkie, żeby można ich używać, jadąc konno. Agon słyszał historie o władcach koni w lekkich zbrojach krążących wokół oddziałów w ciężkich zbrojach; trzymali się poza zasięgiem tradycyjnych łuków, ale sami byli w stanie wystrzelać cały oddział, wszystkich co do jednego. Za każdym razem, kiedy lansjer szarżował, leciutcy Ymmurczycy na swoich drobnych kucach błyskawicznie uciekali, cały czas strzelając. Nikt jeszcze nie wymyślił, jak poradzić sobie z takim atakiem. Bogom dzięki, nikt jeszcze nie zjednoczył Ymmurczyków, bo inaczej opanowaliby cały Midcyru.

Łuki idealnie nadadzą się dla Agonowych łowców czarowników.

Pogłaskał łęczysko jednego.

– Wiesz, jak podbić serce mężczyzny, Gwinvere – powiedział, zachwycony jak dziecko nową zabawką.

Uśmiechnęła się i przez jedną, promienną chwilę on też się uśmiechał. Gwinvere była piękna, taka mądra, taka kompetentna, onieśmielająca, a teraz kiedy spojrzała mu w oczy, wydawała się też krucha, osłabiona po śmierci Durzo, człowieka, którego kochała przez piętnaście lat. Gwinvere zawsze stanowiła dlań tajemnicę; poza tym, chociaż Agon uważał, że jest za stary, by poruszały go takie rzeczy, to jednak wstrząsnęła nim jej uroda. I jej zapach – bogowie, czy tych samych perfum używała lata temu? To wstrząsnęło nim do głębi... ale właśnie w głębi duszy nadal widział swoją żonę. Może nigdy się nie dowie, czy nadal żyje, czy nie. Być może nigdy nie zacznie żałoby, nigdy nie zacznie żyć dalej, nigdy nie porzuci nadziei, bo wtedy poddałby się i w pewnym sensie zdradził żonę.

Jego uśmiech zrzedł odrobinę, a Gwinvere to dostrzegła. Dotknęła jego ręki.

– Cieszę się, że ci się podobają.

Podeszła do drzwi i odwróciła się.

– Powiedz tylko swoim ludziom, że każdy z tych łuków kosztował więcej, niż zarobią w całym swoim życiu – rzekła z uśmiechem.

Ten uśmiech miał przywrócić im beztroskę. Ten uśmiech mówił mu, że dostrzegła, że rozumiała i że chociaż nie odwzajemniał jej zainteresowania, nie miała mu tego za złe.

Agon parsknął śmiechem, odczytując jej sygnał.

– Wbiję im to do łbów.

***

Bardziej szokująca od słów bandyty była jego twarz. Kylar mógłby przysiąc, że to ten sam człowiek, którego widział przez chwilę z okna domu hrabiego Drake'a tego dnia, kiedy Vi próbowała go zabić.

Kylar spił go makowym winem i zabrał do lecznicy dla uzależnionych. Oczywiście dla uzależnionych z bogatych rodzin. Samo leczenie było bardzo proste – głównie czasem. Opiekunowie podawali herbatki i inne ziółka o wątpliwej skuteczności, krępowali uzależnionych, sprzątali wymiociny i skutki biegunek, i czekali. Mury były grube, cele odseparowane i jednoosobowe. Kylar nie miał żadnych problemów ze strażnikami, którzy obrzucili go jednym spojrzeniem, zobaczyli nałogowego palacza i wpuścili ich obu.

– Proszę, zwiąż mnie – powiedział Ladyjczyk, kiedy weszli do maleńkiej celi.

Stało tam biurko, krzesło, misa, dzbanek, łóżko, ale ściany były ze zwykłej cegły. Celowo pomieszczenie urządzono po spartańsku. Im mniej przedmiotów, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że próba samobójcza okaże się skuteczna.

– Nie sądzę, żebyś zdołał cokolwiek zrobić przez co najmniej kilka najbliższych godzin – powiedział Kylar.

– Nie bądź taki pewny.

Po tym stwierdzeniu Kylar przywiązał go do łóżka grubymi, skórzanymi pasami. Mężczyźnie wyraźnie ulżyło. Uśmiechnął się szczerbatym uśmiechem uzależnionego palacza. Kylarowi przewróciło się wszystko w żołądku. Czy ten człowiek nie miał kiedyś olśniewającego uśmiechu?

– Kim jesteś? – zapytał Kylar. – I dlaczego uważasz, że coś o mnie wiesz?

– Wiem, że masz ka'kari, Kylarze Stern. Znałem Durzo Blinta, wiem, że byłeś jego uczniem, i wiem, że to jest twoje drugie wcielenie. Kiedyś nazywałeś się Merkuriusz.

Kylarowi zacisnął się żołądek.

– Kim jesteś?

Mężczyzna znowu się uśmiechnął, szeroko, jakby został mu nawyk popisywania się idealnymi białymi zębami i jeszcze nie przyzwyczaił się do swojego nowego, szczerbatego uśmiechu nałogowca. Co dziwne teraz, kiedy był związany, robił wrażenie aroganckiego.

– Jestem Aristarchos ban Ebron, shalakroi z Benyurien w prowincji Jedwabno w Ladeshu.

– Czy shalakroi po ladesku znaczy uzależniony od lubieżnicy? Maska arogancji spadła z twarzy mężczyzny, z takim hukiem jak ładunek cegieł.

– Nie. Przepraszam. I przepraszam za to, że nastawałem na twoje życie. Nie panowałem nad sobą.

– Zorientowałem się.

– Nie sądzę, żebyś rozumiał – odparł Aristarchos.

– Widziałem już nałogowców.

– Nie jestem po prostu uzależniony, Kylarze. – Uśmiechnął się cierpko i krzywo, odsłaniając jeszcze więcej gnijących zębów. – Każdy nałogowiec tak mówi, prawda? Próbowałem wydostać się z Cenarii, kiedy miasto upadło, ale moja ladeska skóra mnie zdradziła. Khalidorczycy zatrzymali mnie i wypytywali o handel jedwabiem. Nienawidzę monopolu na jedwab, tak samo jak reszta mieszkańców Midcyru. Przesłuchanie nie byłoby takie straszne, gdyby nie zobaczył mnie Vürdmeister imieniem Neph Dada. On ma Spojrzenie. Nie wiem, co zobaczył, ale zaczęli mnie torturować. – Zapatrzył się w dal. – Było źle. Najgorzej, że systematycznie wmuszali we mnie jakieś nasiona. Po nich ból mijał. Wszystko wydawało się lepsze. Nawet się nie zorientowałem, co to było. Khalidorczycy nie dawali mi spać. Tylko torturowali mnie, karmili nasionami i znowu torturowali. Nawet nie zadawali pytań, dopóki on się nie zjawił.

– On? – Kylarowi zrobiło się niedobrze.

– Boję się... boję się wymówić jego imię – powiedział Aristarchos, zawstydzony własnym strachem, a mimo to zbyt przerażony, żeby wypowiedzieć słowo. Zaczął bębnić palcami.

– Król-Bóg? Skinął głową.

– To trwało tak długo, że potem nie musieli już wmuszać we mnie nasion. Sam zacząłem o nie błagać. Za drugim razem, kiedy przyszedł, potraktował mnie magią... Jest zafascynowany przymusem.

Magicznym, chemicznym i połączeniem obu, tak powiedział. Byłem kolejnym eksperymentem. Po jakimś czasie... zdradziłem im twoje imię, Kylarze. Nałożył na mnie przymus, żebym cię zabił. Miałem ze sobą pudełko z nasionami, które otworzy się tylko wtedy, gdy będę posłuszny. – Zadrżał. – Rozumiesz? Próbowałem palić lubieżnicę, żeby jakoś przetrwać. Próbowałem makowego wina. Nic nie działało. Pomyślałem, że jeśli dotrę tu dostatecznie szybko, zdołam cię ostrzec. Udało mi się ukryć pewne rzeczy. Oni nie wiedzą, że powracasz z martwych. Nie wiedzą o stowarzyszeniu ani o twoich wcieleniach.

To wszystko działo się zbyt szybko dla Kylara. Implikacje eksplodowały w stu różnych kierunkach naraz.

– Jakie stowarzyszenie?

Aristarchos spojrzał z niedowierzaniem i nawet przestał bębnić palcami.

– Durzo nigdy ci nie powiedział?

– Ani słowa.

– Stowarzyszenie Drugiego Świtu.

– Nigdy nie słyszałem.

– „Stowarzyszenie Drugiego Świtu poświęca się studiom nad domniemanymi nieśmiertelnymi, zajmuje się badaniem ich zdolności i powierzaniem wyżej wspomnianych mocy tym, którzy ich nie nadużyją”. Tworzymy tajne stowarzyszenie rozrzucone po całym świecie. To dzięki temu mogłem cię odnaleźć. Zrzeszyliśmy się wieki temu. Kiedy jeszcze myśleliśmy, że jest kilkudziesięciu nieśmiertelnych. Z biegiem lat doszliśmy do wniosku, że było ich co

najwyżej siedmiu, o ile nie po prostu jeden. Człowiek, którego znałeś pod imieniem Durzo Blint, był też Ferrikiem Ogniste Serce, Vinem Craysinem, Tal Drakkanem, Yrikiem Czarnym, Hrothanem Żelaznorękim, Żakiem Eurthkinem, Rebusem Zwinnym, Qosem Delanoeshem, X!ruticem Urem, Mirem Graggorem, Pipsem McClawskim, Garnkiem Mrocznym, Davem Bezszelestnym i pewnie kilkunastoma innymi, o których nie wiemy.

– To połowa historii z Midcyru.

Aristarchos zaczął się trząść i pocić, ale nadal mówił spokojnym głosem:

– Z powodzeniem udawał krajana w co najmniej kilkunastu różnych państwach, jeśli nie w kilkudziesięciu. Nawet nie słyszałem o tylu językach, w ilu on mówił – znał ich co najmniej trzydzieści, nie licząc dialektów. I wszystkimi posługiwał się płynnie, bez śladu obcego akcentu. Zdarzało się, że znikał na dwadzieścia, a nawet pięćdziesiąt lat – nie wiem, czy mieszkał wtedy samotnie, czy żenił się i osiedlał gdzieś na odległych terenach. Ale brał udział we wszystkich większych konfliktach w ciągu sześciu stuleci i nie zawsze po tej stronie, po której można by się go spodziewać. Dwieście lat temu jako Hrothan Zelaznoręki walczył w podbojach alitaerańskich przez pierwsze trzydzieści lat wojny stuletniej, a potem „zginął” i walczył razem z Ceuranami przeciwko Alitaeranom jako ich święty wojownik Oturo Kenji.

Teraz Kylar zaczął się trząść. Przypomniał sobie, jak jego gildia próbowała obrobić Durzo. A kiedy zobaczyli, kim jest, przerazili się

legendarnego siepacza. Legendarnego siepacza! Jak niewiele wiedzieli. Jak mało wiedział Kylar. Poczuł irracjonalną urazę.

Dlaczego Durzo nic mu nie powiedział? Kylar był dla niego jak syn. Był mu bliski jak nikt inny – a mimo to Durzo nic mu nie powiedział. Kylar widział tylko zgorzkniałą, przesądną skorupę człowieka i myślał, że jest kimś lepszym od niego.

Kylar w ogóle nie znał Durzo Blinta. A teraz bohater z legend – z dziesiątek legend – nie żył. Zginął z jego ręki. Kylar zniszczył coś, o wartości czego nie miał najmniejszego pojęcia. Nie znał człowieka, którego nazywał swoim mistrzem, i teraz już nigdy nie pozna. Czuł się, jakby wyrwano mu dziurę w piersi. Był odrętwiały, zły i jednocześnie bliski łez. Durzo nie żył i Kylarowi brakowało go bardziej, niż to sobie potrafił wyobrazić.

Teraz po twarzy Aristarchosa spływały perełki potu. Miął w dłoniach pościel.

– Jeśli masz jakieś pytania, które chciałbyś mi zadać odnośnie do jego wcieleń, albo twoich, albo czegokolwiek takiego, to zadaj je szybko, proszę. Nie czuję się... dobrze.

– Dlaczego mówisz o wcieleniach, jakbym był jakimś bogiem? Nie było to najlepsze pytanie, ale te prawdziwe wydawały się tak ogromne, że Kylar nawet nie wiedział, jak je zadać.

– Rzeczywiście jesteście czczeni w paru odległych krainach, gdzie twój mistrz nie był wystarczająco ostrożny i popisał się swoimi mocami w całej ich okazałości.

– Co?!

– Stowarzyszenie mówi „wcielenia”, bo „życia” za bardzo mieszają w głowach i nie wiemy, czy ma się ich tyle, ile się chce, czy tylko skończoną liczbę, czy też po prostu jedno, które się nie kończy. Nikt z nas nie był tak naprawdę świadkiem waszej śmierci. Pojęcie „wcielenia” też ma swoich krytyków, ale głównie pośród modaińskich separatystów, którzy wierzą w reinkarnację. Powiem ci jedno, wasze istnienie dało im niezłą teologiczną zagwozdkę. –Nogi Aristarchosa drgały konwulsyjnie. – Przepraszam, jest tyle spraw, o których chciałbym ci powiedzieć. I tyle, o które chciałbym zapytać.

Nagle pośród wszystkich wielkich pytań o Durzo, moce Kylara, o Króla-Boga i tego, co Ursuul wiedział albo myślał, że wie, Kylar zobaczył zlanego potem człowieka. Człowieka, który stracił zęby i urodę dla Kylara. Człowieka, którego torturowano i zamieniono w nałogowca, którego zmuszono do zabicia Kylara i który walczył z tym przymusem ze wszystkich sił. Aristarchos zrobił to wszystko dla kogoś, kogo nawet nie znał.

Więc Kylar nie zapytał o stowarzyszenie, ani o magię, ani o to, co Aristarchos mógł dla niego zrobić. Na to jeszcze przyjdzie czas, jeśli obaj tej chwili dożyją.

– Aristarchosie, co to jest shalakroi? Zaskoczył go tym pytaniem.

– To... to tytuł trochę poniżej diuka Midcyru, ale nie jest dziedziczny. Zdałem egzaminy do Służby Cywilnej lepiej niż dziesięć tysięcy pozostałych uczniów. Tylko setka w całym Ladeshu zdała lepiej. Władałem terytorium z grubsza wielkości Cenarii.

– Jak miasto Cenaria?

Aristarchos uśmiechnął się pomimo potu i napiętych mięśni.

– Jak państwo Cenaria.

– To zaszczyt poznać ciebie, Aristarchosie ban Ebron, shalakroi Benyurien.

– To dla mnie zaszczyt, Kylarze ban Durzo. Czy mógłbyś mnie zabić?

Kylar odwrócił się do niego plecami.

Duma i nadzieja uszły z Aristarchosa z jednym wydechem. Ciało mężczyzny zwiotczało na łóżku i nagle wydał się mniejszy.

– To nie jest dobroć, panie mój.

Znowu zadrżał konwulsyjnie i szarpnął się w skórzanych pasach. Żyły mu nabrzmiały na czole i wychudzonych rękach.

– Błagam! – poprosił, gdy konwulsje minęły. – Proszę, skoro mnie nie zabijesz, to może dasz mi pudełko? Tylko jedno ziarno? Proszę?

Kylar wyszedł. Wziął pudełko i spalił je. Jeśli nie liczyć pułapki z zatrutą igłą, było puste.

20

Wasza Świątobliwość, nasz skrytobójca nie żyje – powiedział Neph Dada, wychodząc na balkon Króla-Boga. – Proszę o wybaczenie, że przynoszę wieści o tym niepowodzeniu, chociaż chciałby zauważyć, że sam doradzałem...

– On nie zawiódł – powiedział Garoth Ursuul, nie odrywając wzroku od miasta.

Neph otworzył usta i przypomniawszy sobie, z kim rozmawia, zaraz je zamknął. Zgarbił się nieco mocniej.

– Dałem mu zadanie, którego mógł nie wykonać, żeby wypełnił to, na którym mi zależało – wyjaśnił Król-Bóg. Nadal patrząc na miasto, pomasował skronie. – Odnalazł Kylara Sterna. Nasz ka'karifer jest w Caernarvon.

Wyjął z kieszeni liścik.

– Przekaż tę wiadomość naszemu agentowi, żeby dał to Vi Sovari. Powinna zjawić się lada dzień.

Neph zamrugał nerwowo. Myślał, że wie o wszystkim, co robi Król-Bóg. Myślał, że osiągnął biegłość w virze niemalże dorównującą biegłości Króla-Boga, ale teraz jednym beztroskim gestem ten człowiek daje mu coś takiego. To wstrzymywało zaspokojenie ambicji Nepha o całe miesiące. Miesiące! Jak bardzo nienawidził tego człowieka. Garoth za pomocą magii potrafił dokładnie określić lokalizację człowieka? Neph nigdy nie słyszał o czymś takim. Co to mogło znaczyć? Czy Garoth wiedział o obozie na Czarnym Wzgórzu?

Meisterowie uprowadzali wieśniaków do eksperymentów Nepha, ale to było tak daleko, a Neph zachował wielką ostrożność. Nie, to nie mogło być to.

Ale Król-Bóg uprzedzał Nepha. Mówił mu, że ma na niego oko – ma oko na wszystko, że zawsze wie więcej, niż mówi Nephowi, i że jego moce zawsze będą wykraczały poza wyobrażenie Vürdmeistera. Jak na ostrzeżenie od Króla-Boga, było bardzo subtelne.

– Masz dla mnie coś jeszcze? – zapytał Król-Bóg.

– Nie, Wasza Świątobliwość. – Neph zdołał odpowiedzieć całkiem spokojnym głosem.

– Więc odejdź.

***

Chociaż miał wiele powodów do złego humoru, to, kiedy Elene była w dobrym nastroju, nie potrafił się naburmuszyć. Po szybkim śniadaniu i filiżance ootai na odegnanie wszelkiego zmęczenia, Kylar i Elene ruszyli ulicami, trzymając się za ręce. Elene miała na sobie kremową sukienkę ze stanikiem z brązowej tafty, pod kolor oczu. Sukienka prezentowała się wspaniale dzięki swojej prostocie. Oczywiście Kylar nigdy nie widział Elene w niczym, w czym jego zdaniem wyglądała gorzej niż wyśmienicie, ale kiedy była szczęśliwa, jeszcze bardziej.

– Ładna, prawda? – zapytał, biorąc lalkę z kramu kupca. Dlaczego Elene była szczęśliwa? Nie przypominał sobie, żeby zrobił

cokolwiek dobrego.

Odkąd zaczął wychodzić wieczorami, spodziewał się Poważnej Rozmowy. Zamiast tego pewnej nocy złapała go za rękę – prawie wtedy wyskoczył ze skóry; tyle jeśli idzie o bycie niewzruszonym siepaczem – i powiedziała:

– Kylarze, kocham cię i ufam ci.

Od tamtego czasu nic więcej nie powiedziała. On tym bardziej. Bo co miał powiedzieć? „A wiesz co, zabiłem parę osób, ale zawsze przypadkiem, i to byli bardzo źli ludzie”?.

– Nie sądzę, żeby było nas na wiele stać – powiedziała Elene. – Po prostu chciałam spędzić z tobą dzień. – Uśmiechnęła się.

Może to było po prostu wahanie nastroju? Przy wahaniach musi czasem być też lepiej, prawda?

– Och.

Czuł się trochę niezręcznie, trzymając Elene za rękę. Na początku miał wrażenie, że wszyscy się na nich gapią. Teraz jednak zauważył, że tylko czasem ktoś zerka na nich drugi raz, a ci w większości wypadków patrzyli raczej z aprobatą.

– Aha! – ryknął krągły, mały człowieczek. – Wspaniale, wspaniale. Po prostu cudownie. Jesteście cudni. Tak, tak, wchodźcie.

Kylar był tak zaskoczony, że w ostatniej chwili powstrzymał się przed szybkim zamalowaniem mu w gębę. Elene zaśmiała się i szturchnęła go w napięte mięśnie ręki.

– No chodź, to zakupy. Zabawa.

– Zabawa? – zdziwił się, kiedy zaciągnęła go do małego, jasnego

sklepiku.

Mały gruby człowieczek szybko przekazał ich ładnej dziewczynie, która miała jakieś siedemnaście lat i uśmiechnęła się do nich promiennie. Była drobna, smukła, miała olśniewające, niebieskie oczy i duże usta, przez które jej uśmiech wydawał się wręcz ogromny. To była Złotowłosa. Kylar wytrzeszczył oczy, kiedy światy dzienny i nocny nagle się przecięły.

– Witam – powiedziała Złotowłosa. Zerknęła w dół, na ich obrączki. – Jestem Capricia. Byliście już kiedyś u kołozłotnika?

Kiedy Kylar nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, Elene szturchnęła go łokciem pod żebra.

– Nie – odpowiedział.

Zamrugał. Elene pokręciła głową, patrząc na niego. Najwyraźniej pomyślała, że pożera wzrokiem Capricię, ale nie była wściekła, tylko rozbawiona. Pokręcił głową: „Nie, to nie tak”.

Uniosła brew, patrząc na niego: „Jasne”.

– Więc zacznijmy od początku – powiedziała Capricia, wysuwając szufladę wyłożoną czarnym aksamitem i kładąc ją na ladzie.

Kaseta była wypełniona parami maleńkich kółek ze złota, srebra i brązu; niektóre ozdobiono rubinami, granatami, ametystami, diamentami albo opalami, inne były proste, a jeszcze inne miały wzór na powierzchni.

– Widzieliście ludzi noszących takie rzeczy w całym mieście, prawda?

Elene pokiwała głową. Kylar spojrzał, nic nie rozumiejąc. Spojrzał na Capricię. Ona nie nosiła żadnego kółka, a przynajmniej nie było tego widać. Nosiło się je na palcach stóp? Wspiął się na palce, żeby ponad kontuarem zerknąć na stopy dziewczyny.

Capricia zauważyła jego spojrzenie i zaśmiała się. Śmiała się tak, że człowiek od razu chciał jej zawtórować, nawet jeżeli śmiała się z niego.

– Nie, nie – powiedziała. – Ja żadnego nie noszę! Jeszcze nie wyszłam za mąż. Dlaczego patrzysz na moje stopy?

Elene uderzyła się w czoło.

– Mężczyźni!

– Och, to kolczyki! – zrozumiał Kylar. Capricia znowu się zaśmiała.

– No co? Tam, skąd pochodzę, kobiety noszą kolczyki do pary. Te mają rozmiary nie do pary.

Dziewczyny zaśmiały się jeszcze głośniej i wtedy go olśniło. Kolczyki nie były dla kobiet, były dla par. Jeden dla mężczyzny, jeden dla kobiety.

– Och.

To by tłumaczyło, dlaczego widział tylu mężczyzn noszących kolczyki. Skrzywił się. Potrafił powiedzieć, gdzie mężczyźni chowają broń i zorientować się, jak dobrze sobie z nią radzą; co go obchodziło, co noszą w uszach?

– Rety. Popatrz na te – powiedziała Elene, wskazując na parę srebrno-złotych, błyszczących kółek, które wyglądały na dość

kosztowne. – Prawda, że piękne? Opowiesz nam wszystko o kółkach? –poprosiła Capricię. – Jeśli idzie o tę tradycję, to jesteśmy... słabo zorientowani.

Ostentacyjnie nie zwracały uwagi na Kylara.

– W Waeddrynie, kiedy mężczyzna pragnie poślubić kobietę, kupuje parę kółek, które jej ofiarowuje. Oczywiście organizuje się oficjalną uroczystość, ale sam ślub odbywa się na osobności. Wy dwoje już jesteście małżeństwem, prawda?

– Zgadza się – powiedział Kylar. – Po prostu jesteśmy nowi w tym mieście.

– Cóż, jeśli chcecie wziąć ślub po waeddryńsku, ale na przykład nie macie pieniędzy albo ochoty na wielką ceremonię, sprawa jest prosta. Nie musicie w ogóle zawracać sobie głowy ceremonią. Ślub jest uznawany, jeśli zostaliście przyszpileni.

– Przyszpileni? – zdziwił się Kylar, wytrzeszczając oczy. Capricia się zarumieniła.

– Chciałam powiedzieć, jeżeli złożyliście pieczęć miłości czyli założyliście kółka. Ale cóż, ludzie po prostu mówią na to „przyszpilenie”.

– Domyślam się, że zwykle nie mówisz takich rzeczy klientom – odparł Kylar.

– Kylarze – upomniała go Elene, szturchając łokciem, i Capricia znowu się zarumieniła. – Możemy zobaczyć ślubne noże? – zapytała słodko.

Capricia wyjęła drugą szufladę wyłożoną czarnym aksamitem.

Pełno tam było ozdobnych sztyletów z cieniutkimi czubkami. Kylar się wzdrygnął. Capricia i Elene zachichotały.

– Potem robi się jeszcze straszniej – powiedziała Capricia. Uśmiechnęła się szeroko. – Powszechnie tuż przed... ach, tuż przed tym, jak małżeństwo zostanie skonsumowane... – Starała się mówić jak zawodowy sprzedawca, ale uszy jej się zaróżowiły. – Przepraszam, nigdy nie musiałam tego tłumaczyć. Ja... pan Bourary zwykle... nieważne. Kiedy mężczyzna poślubia kobietę, kobieta traci sporo ze swojej wolności.

– Kobieta? – zdziwił się Kylar.

Tym razem Elene posłała mu zdecydowanie mniej rozbawione spojrzenie. Przełknął śmiech.

– Więc przyszpilenie... to znaczy założenie kółka albo złożenie pieczęci...

– Mów po prostu przyszpilenie – zaproponował Kylar.

– Wyrwało mi się, naprawdę nie powinnam tak tego nazywać... – Zauważyła minę Kylara. – Jasne. Kiedy panna młoda i pan młody udają się do sypialni, mężczyzna daje oblubienicy kółka i ślubny nóż. Musi jej się podporządkować. Zwykle kobieta... – Capricia zamrugała i uszy znowu jej poczerwieniały. Odchrząknęła. – Zwykle przez chwilę uwodzi pana młodego. Potem przekłuwa sobie lewe ucho w miejscu, które wybierze, i zakłada kółko. A później siada okrakiem na mężu na łożu ślubnym i przekłuwa jemu lewe ucho.

Kylar rozdziawił usta.

– To nie jest takie straszne. Zależy od tego, w którym miejscu

żona zdecyduje się... – Capricia spojrzała na pana Bourary, który właśnie wszedł do sklepu – ...złożyć pieczęć. Jeśli w płatku ucha, to nie jest źle, ale niektóre kobiety przekłuwają ucho na przykład w takim miejscu, no cóż, jak na przykład żona pana Bourary.

Kylar spojrzał na krągłego, szczerzącego zęby małego człowieczka. Nosił lśniące złote kółko rozbłyskujące rubinami. Znajdowało się na samym czubku ucha.

– Bolało jak diabli – powiedział pan Bourary. – Nazywają to rozdziewiczeniem.

Kylar skrzywił się.

– Że co?

Elene zarumieniła się, ale oczy jej zabłysły. Przez sekundę mógłby przysiąc, że wyobrażała sobie przyszpilanie go.

– Cóż, to sprawiedliwy układ, prawda? – powiedział pan Bourary. – Skoro kobieta musi znieść ból i krew w noc poślubną, to dlaczego nie mężczyzna? Powiem ci jedno, potem jest się delikatniejszym. Zwłaszcza jeśli żona złapie cię za ucho dla przypomnienia! – Zarechotał. – Oto co masz po dwudziestu pokoleniach królowych. – Uśmiechał się smutno, ale nie wyglądał na naprawdę niezadowolonego.

Kylar zdał sobie sprawę, że ci ludzie są stuknięci.

– Ale jeszcze nie było o magii – odezwała się Capricia, widząc, że Kylar traci zainteresowanie. – Kiedy żona zakłada kółko w uchu męża, musi skupić całą swoją miłość, oddanie i pragnienie bycia poślubioną w tym kolczyku, bo tylko wtedy on się zamknie. Jeśli

kobieta nie chce tak naprawdę wyjść za mąż, kółko nie zamknie się nigdy.

– Ale raz zamkniętego kółka – dodał pan Bourary – ani niebo, ani piekło nie zdoła otworzyć. Proszę spojrzeć. – Sięgnął i zsunął obrączkę z palca lewej dłoni Kylara. – Ledwo widać różnicę w opaleniźnie, prawda? Pobraliście się niedawno?

– Moglibyście zrobić z tego niezłą kolczugę – stwierdził Kylar.

– Och, skarbie, przestań, bo zemdleję – powiedziała Elene, łapiąc się za stanik sukni, jakby zrobiło jej się gorąco. – Jesteś taki romantyczny.

– Rzeczywiście, pierwsi adepci naszej sztuki byli zbrojmistrzami – przyznał pan Bourary. – Ale proszę spojrzeć – powiedział, skupiając się na Elene i bez wątpienia dostrzegając, że jest o wiele wdzięczniejszym celem dla sprzedawcy. – Taką obrączkę mąż może zdjąć, albo kto wie, może sama się zsunie? Mężczyzna idzie do tawerny, wpada na jakąś dziewkę i skąd ona ma wiedzieć, że kłusuje na terenie innej kobiety? Oczywiście, pan by czegoś takiego nie zrobił, ale dzięki naszym kółkom po żonatym mężczyźnie zawsze widać, że jest zajęty. To tak naprawdę ochrona dla wszystkich kobiet, które inaczej mogłyby flirtować z mężczyzną nie zdając sobie sprawy, że jest żonaty. A jeśli... mężczyzna albo kobieta chcą się rozwieść, cóż, wtedy trzeba wyrwać z ucha przeklęty kolczyk. To ogranicza liczbę rozwodów, zaręczam. Ale pieczęć miłości składa się nie ze strachu, nie po to, by żadne z małżonków nie zdradziło. To coś głębszego. Kiedy związek mężczyzny i kobiety jest

przypieczętowany, zaczyna działać starożytna magia zamknięta w kółkach. Magia, która wzrasta wraz z pogłębianiem się miłości. To magia, która pomaga odczuwać to, co czuje małżonek, pogłębia miłość i wzajemne zrozumienie, pomaga jaśniej się porozumiewać, która...

– Niech zgadnę – przerwał mu Kylar. – I te droższe kolczyki mają więcej magii.

Elene szturchnęła go łokciem, tym razem wcale nie delikatnie.

– Kylar – warknęła przez zęby. Pan Bourary zamrugał.

– Zapewniam pana, młodzieńcze, że każde kółko, które wyrabiam, jest wypełnione magią. Nawet najprostsze i najtańsze, zrobione z miedzi, nie pękną. Ale owszem, zdecydowanie więcej czasu i energii poświęcam złotym i mistarillowym. Nie tylko dlatego, że ludzie, którzy je kupują, więcej płacą, ale także dlatego, że te metale o wiele lepiej zatrzymują czar niż miedziane, srebrne czy brązowe.

– Jasne – odpowiedział Kylar. – Dziękuję za pański czas. I wyciągnął Elene ze sklepu.

Nie była zadowolona. Stanęła na ulicy.

– Kylar, zachowujesz się jak skończony dupek.

– Skarbie, nie słyszałaś, co właśnie powiedział? Jakiś zbrojmistrz dawno temu miał Talent, który pozwalał mu zamykać metalowe kółka raz na zawsze. Dobry talent dla zbrojmistrza; dzięki temu wyrabiał kolczugi w kilka dni zamiast w kilka miesięcy. A potem wycwanił się i doszedł do wniosku, że o wiele więcej pieniędzy zarobi, sprzedając

każde kółko za kilkaset sztuk złota, zamiast sprzedawać całą kolczugę za jakieś pięćdziesiąt. I wtem, bach, narodził się nowy przemysł. To wszystko bzdura. Całe to chrzanienie „o coraz lepszym rozumieniu się”. To dotyczy wszystkich małżeństw. I, ach, złote mają więcej magii... Przecież to już nie może być bardziej oczywiste! Pewnie dziewięćdziesiąt procent biednych idiotów w tym mieście oszczędza na złote kółka, na które ich nie stać, bo jaka kobieta byłaby szczęśliwa, gdyby dostała miedziane „które ledwo trzyma czar”?

– Ja bym była – odpowiedziała cicho. To mu zamknęło usta.

Zakryła twarz.

– Pomyślałam, że gdybyś kiedyś chciał się naprawdę ożenić, to, no wiesz... To byłby sposób, żeby zrobić to oficjalnie. Gdybyśmy kiedyś chcieli. To znaczy, wiem, że jeszcze nie jesteśmy na to gotowi. Nie sugeruję, że mamy to zrobić teraz, zaraz, ani nic takiego.

Dlaczego zawsze zachowujesz się jak dupek? – zapytał siebie Kylar.

Bo ona jest za dobra dla ciebie.

– Więc wiedziałaś, co to za miejsce? – zapytał delikatniej. Nadal był wściekły, ale teraz już nie wiedział, czy bardziej na nią, czy na siebie.

– Ciotka Mea powiedziała mi o nim.

– To dlatego skubałaś moje uszy przez całą noc?

– Kylar!

– Dlatego?

– Ciotka Mea powiedziała, że to potrafi zdziałać cuda. – Elene nie

potrafiła spojrzeć mu w oczy. Potwornie się zawstydziła.

– Może dla tych czubków!

– Kylar! – Elene uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć „Jesteśmy pośrodku tłocznego targu, może byś się przymknął?”.

Rozejrzał się. W życiu nie widział tylu kolczyków. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył? I miał rację, prawie każdy kolczyk był złoty. Wszyscy nosili włosy tak, żeby odsłonić lewe ucho.

– Widziałem już wcześniej tę dziewczynę – powiedział.

– Capricię?

– Wyszedłem którejś nocy i jakieś zbiry chciały ją skrzywdzić. Wcześniej bym ich zabił. Zamiast tego nastraszyłem ich.

Spojrzała niepewnie, nie rozumiejąc, dlaczego mówi jej o tym w tej chwili.

–To świetnie. Widzisz? Przemoc nie rozwiązuje...

– Kochanie, jeden z nich to był Shinga. Doprowadziłem mściwego człowieka do tego, że się zmoczył na oczach swoich podwładnych. Przemoc to było jedyne rozwiązanie. Ta dziewczyna jest teraz w gorszych kłopotach, niż wtedy, zanim jej pomogłem. – Zaklął pod nosem. – Dlaczego w ogóle mnie tam zaciągnęłaś? Nie mamy nawet pieniędzy na urodzinowy prezent dla Uly. Jakim cudem moglibyśmy pozwolić sobie na coś takiego?

– Przepraszam. W porządku? Chciałam tylko zobaczyć, jak to wygląda.

– Chodzi o miecz, prawda? Nadal chcesz, żebym go sprzedał.

– Przestań! Nikt nic nie powiedział o mieczu. Przepraszam.

Pomyślałam, że mógłbyś się tym zainteresować. Nie proszę, żebyś mi cokolwiek kupował. – Nie patrzyła już na niego i zdecydowanie nie trzymała go za rękę.

Cóż, lepsze to niż płacz. Prawda?

Szedł przez chwilę obok, podczas gdy Elene udawała, że patrzy na kramy na świeżym powietrzu, wybiera warzywa, ogląda materiały, zerka na lalki, na które nie było ich stać.

– Więc... – zaczął w końcu – skoro już się kłócimy... Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Nie chcę rozmawiać o seksie.

Uniósł ręce w geście poddania. Nadal starał się być zabawny. I nadal nic mu z tego nie wychodziło.

– Kylar, pamiętasz, jakie to uczucie zabić?

Nie musiał aż tak bardzo cofać się w myślach. To było uczucie triumfu, niesamowita przyjemność płynąca z biegłości, po której następowało przygnębienie, chorobliwe wrażenie pustki w piersi, świadomość, że nawet najbardziej zatwardziały przestępca mógłby się zmienić i teraz nigdy nie będzie miał tej szansy. Czy rozumiała, że jakaś część jego to uwielbiała?

– Skarbie, każdy z nas dostaje określoną ilość czasu i darów. Ty masz więcej talentów niż ktokolwiek inny i wiem, że chcesz czynić dobro. Wiem, że podchodzisz do tego z pasją i kocham to w tobie. Ale patrz, co się dzieje, kiedy próbujesz ratować świat mieczem. Twój mistrz próbował i zobacz, jakim zgorzkniałym, smutnym, starym człowiekiem się stał. Nie chcę patrzeć, jak to samo dzieje się z tobą.

Wiem, że po bogactwie, które miałeś, i rzeczach, których dokonałeś, życie aptekarza wydaje się skromnym wyborem. Ale to nie jest małe. To naprawdę coś wielkiego. Możesz dać światu tyle dobra, będąc dobrym ojcem, dobrym mężem i uzdrowicielem, o wiele więcej niż będąc zabójcą. Myślisz, że to przypadek, że Bóg dał ci zdolność leczenia? To boska ekonomia. Stara się wyrównać straty po tym, co zniszczyliśmy, dając nam nowe, piękne rzeczy. Popatrz na nas. Kto by pomyślał, że ty i ja zdołamy bezpiecznie zakończyć życie na ulicy i odnaleźć się ponownie? Kto by pomyślał, że adoptujemy Uly? Ma teraz szansę, chociaż jej rodzice to zabójca i kurtyzana. Tylko Bóg mógł tego dokonać. Wiem, że jeszcze w niego nie wierzysz, ale to jego działanie tu widać. Daje nam szansę, a ja chcę się jej chwycić. Zostań ze mną. Porzuć tamto życie. Nie byłeś tam szczęśliwy. Dlaczego miałbyś chcieć tam wracać?

– Nie chcę – odpowiedział.

Ale to była półprawda. Elene przytuliła się do niego, a on ją objął. Wiedział jednak, że skłamał.

21

W popołudniowym skwarze Kylar zatrzymał się przed warsztatem w dzielnicy arystokratów. Wyszedł z zaułka i trzydzieści sekund później nosił maskę stanowiącą całkiem udatną kopię twarzy barona Kirofa. Żałował, że nie przebrał się w ładniejszą tunikę. Oczywiście, po pożarze została mu tylko jedna tunika na zmianę, ale wyglądała jeszcze gorzej od tej, którą miał na sobie. Pewnie można było nosić iluzję ładniejszych ubrań, tak jak nosił iluzoryczną twarz, ale taka żonglerka przerastała Kylara. Wyobraził sobie tylko, jak stara się, żeby iluzoryczne ubranie poruszało się wraz z nim w realistyczny sposób, i szybko uznał, że własne ubranie musi mu wystarczyć. Wsunął pudło pod pachę i wszedł do warsztatu.

Warsztat arcymistrza Haylina był ogromnym, niskim, kwadratowym pomieszczeniem. Wnętrze dobrze oświetlono i wystawnie urządzono – czegoś takiego Kylar jeszcze nie widział u żadnego kowala. Rzędy zbroi ciągnęły się pod ścianami, a przed nimi stały szeregi stojaków z bronią. Było tu czysto i prawie w ogóle nie czuło się dymu. Arcymistrz Haylin musiał wymyślić jakiś sprytny system wentylacji, ponieważ część sklepowa i kuźnia nie były oddzielone. Kylar widział dwóch młodszych zbrojmistrzów, pomagających wybrać arystokracie rudę, która zamieni się w jego miecz. Inny arystokrata patrzył, jak dwóch uczniów wali młotami w stal, która stanie się jego kirysem. Klienci przechadzali się po kuźni, trzymając się specjalnych, niebieskich chodników, żeby nie wchodzić

pod nogi uczniom i czeladnikom. To był niezły chwyt i niewątpliwie wart swojej wagi w złocie. Chociaż Kylar nie był pewien, czy arystokraci płacili za wspaniałą broń i zbroje, czy po prostu za ciekawe doświadczenie.

Stojaki z bronią i zbrojami przy drzwiach to nie było nic specjalnego, niewątpliwie robota czeladników i młodszych zbrojmistrzów. Kylar jednak nie tego szukał. Zerknął na zaplecze i wreszcie znalazł właściwego człowieka.

Arcymistrz Haylin był niemal całkowicie łysy, został mu tylko wianuszek siwych włosów wokół guzowatej łysiny. Był szczupły, zgarbiony i robił wrażenie krótkowidza, ale miał muskularne ramiona i ręce znacznie młodszego człowieka. Miał na sobie skórzany fartuch, osmolony i poplamiony od pracy. Kierował ręką ucznia, pokazując chłopakowi, pod jakim dokładnie kątem ma uderzać w metal. Kylar ruszył ku nim.

– Przepraszam? Halo, mój panie, w czym mogę pomóc? – zapytał młody człowiek, zastępując mu drogę. Cały był w uśmiechach, zdecydowanie przesłodzonych.

– Muszę porozmawiać z arcymistrzem – powiedział Kylar. Żołądek mu się zacisnął, bo czuł, że zaraz się okaże, że Haylin znajduje się o wiele dalej niż tylko na drugim końcu kuźni.

– Obawiam się, że pracuje, ale ja z przyjemnością panu pomogę. Cukiereczek obrzucił szybkim spojrzeniem ubranie Kylara i uznał, że nie może chodzić o nic ważnego. Właśnie tego Kylar potrzebował – jakiegoś upierdliwego dupka.

Spojrzał Cukiereczkowi nad ramieniem i rozdziawił usta. Nigdy nie próbował takiej miny z twarzą barona Kirofa, ale chyba wyszło przyzwoicie, bo Cukiereczek odwrócił się sprawdzić, co jest nie tak.

Kylar stał się niewidzialny. Poczuł się jak psotny dzieciak, kiedy Cukiereczek odwrócił się i nikogo nie zobaczył.

– Co u...? – zdziwił się. Potarł oczy. – Ej! – zawołał do współpracownika za ladą. – Widziałeś jak przed chwilą rozmawiałem z grubym gościem z rudą brodą?

Mężczyzna za ladą pokręcił głową.

– Znowu masz zwidy, Wood?

Cukiereczek pokręcił głową i wrócił do lady, klnąc pod nosem.

Kylar przeszedł przez sklep i kuźnię niewidzialny. Uskakując pędzącym uczniom z drogi, dotarł wreszcie do arcymistrza Haylina i stanął obok niego. Mężczyzna oglądał właśnie kilkanaście mieczy swoich młodszych zbrojmistrzów, które wyłożono na stół, żeby mistrz je sprawdził.

– Trzeci nie został odpowiednio wyżarzony – powiedział Kylar, pojawiając się za kowalem. – Słaby punkt jest tuż nad rękojeścią. Następny jest kiepsko zahartowany.

Arcymistrz Haylin odwrócił się i spojrzał na stopy Kylara – dwa kroki poza niebieskim chodnikiem, a potem spojrzał na sfuszerowany miecz. Rzucił go do pustej czerwonej skrzynki.

– Werner – powiedział do młodego człowieka, który sklął ucznia. – To trzeci odrzucony w tym miesiącu. Jeszcze jeden i po tobie.

Werner pobladł.

– A co do tego – powiedział arcymistrz Haylin do Kylara, wskazując na słabo zahartowany miecz. – Wiesz, synu, co się otrzymuje, rzucając perły przed wieprze?

– Twardą wieprzowinę?

– Cenne gówno. Zwykłe marnotrawstwo, synu. To robota na zamówienie dla wojska. Dwieście pięćdziesiąt królowych za setkę mieczy. Za taką cenę niech jakiś kmiotek pomęczy się trochę dłużej z osełką. Znasz się na mieczach, ale ja jestem zajętym człowiekiem. Czego chcesz?

– Pięciu minut. Na osobności. Nie będzie pan żałował. Arcymistrz uniósł brew, ale się zgodził. Zaprowadził Kylara na górę do specjalnego pokoju. Kiedy mijali Cukiereczka, młody człowiek wyjąkał:

– Nie możesz... nie...

Arcymistrz uniósł brew. Uśmiech Cukiereczka przygasł.

– Proszę się nim nie przejmować – powiedział Haylin. – To mój piąty syn. Trochę sfuszerowany, co?

Kylar nie wiedział, co to miało znaczyć, ale skinął głową.

– Wrzuciłbym go do tej skrzynki z odrzutami. – Haylin się zaśmiał. – Szkoda, że nie mogę tego samego zrobić z jego matką. Moja trzecia żona jest odpowiedzią na modlitwy pierwszych dwóch.

Widać było, że ze specjalnego pokoju korzystano bardzo rzadko. Wspaniały stół z orzecha z kilkoma krzesłami stał pośrodku pomieszczenia, ale większość miejsca zajmowały gabloty. Wspaniałe miecze i drogie zbroje stały w pokoju na baczność jak elitarna

gwardia. Kylar przyjrzał im się uważnie. Parę egzemplarzy wyglądało na robotę arcymistrza: dzieła sztuki, ukazujące, na co go stać, ale pozostałe to była stara broń z różnych okresów, wykonana w różnych stylach. Egzemplarze pokazowe. Idealne.

– Zostały ci, synu, trzy minuty – powiedział Haylin, patrząc na Kylara spod zmrużonych powiek.

– Jestem człowiekiem o nadzwyczajnych talentach – odpowiedział Kylar, siadając naprzeciwko kowala.

Arcymistrz znowu uniósł brew. Miał niezwykle wymowne brwi.

Kylar przeczesał palcami rude włosy, które w tym momencie zmieniły kolor na ciemny blond. Przesunął dłonią po twarzy i jego nos stał się wyrazistszy, dłuższy. Potarł skórę, jakby ją mył, i broda zniknęła, odsłaniając lekko dziobate policzki. Oczywiście to było przedstawienie. Nie musiał dotykać twarzy.

Mimo to, Haylin docenił pokaz. Arcymistrz śmiertelnie pobladł i rozdziawił usta. Zamrugał gwałtownie i z gardła wyrwał mu się chrapliwy skrzek. Odchrząknął.

– Pan Gaelan? Gaelan Gwiezdny Żar?

– Pan mnie zna? – zdziwił się Kylar.

Gaelan Gwiezdny Żar był bohaterem kilkudziesięciu opowieści bardów. Ale Kylar nosił twarz Durzo Blinta.

– Byłem... byłem małym chłopcem, kiedy zjawił się pan w kuźni mojego dziadka. Powiedział pan... powiedział pan, że może pan powrócić, i to długo po tym, jak już stracimy wszelką nadzieję na ponowne ujrzenie pana. Och, panie! Mój dziadek powiedział wtedy,

że to może się zdarzyć za życia mojego ojca albo nawet mojego, ale nie uwierzyliśmy mu.

Zdezorientowany Kylar próbował zebrać myśli. Durzo był Gaelanem? Kylar oczywiście wiedział, że Durzo nie występował przez siedemset lat pod tym samym imieniem... Ale Gaelan Gwiezdny Żar?! Aristarchos nie wymienił tego imienia wśród wszystkich innych, które jego zdaniem miały należeć do mistrza Kylara.

Znowu poczuł głęboki smutek. On nie miał pojęcia, a jakiś kowal w Caernarvon owszem. Jak mało wiedział o człowieku, który go wychował, który dla niego zginął. Durzo zgorzkniał, zanim Kylar go poznał. Jaki był, będąc Gaelanem pięćdziesiąt lat temu? Kylar podejrzewał, że mógłby się zaprzyjaźnić z tamtym człowiekiem.

– Dochowaliśmy tajemnicy, przysięgam – powiedział arcymistrz Haylin.

Kylar nadal nic nie rozumiał. Ten człowiek, który był tak stary, że mógłby być jego dziadkiem, który stał u szczyty sławy, traktował Kylara jak... jakby był nieśmiertelny, jakby był niemalże bogiem.

– Czym mogę panu służyć, panie mój?

– Ja nie, nie... – zająknął się Kylar. – Proszę mnie nie traktować inaczej z powodu dziadka. Chciałem tylko, żeby potraktował mnie pan poważnie. Nie sądziłem, że będzie pan pamiętał. Sam pana nie pamiętałem. Trochę się pan zmienił. – Uśmiechnął się znacząco, żeby ukryć kłamstwo.

– A pan w ogóle – odpowiedział oszołomiony Haylin. – Hm, dobrze więc – powiedział, poruszając nerwowo brwiami, kiedy

próbował wziąć się w garść. – Hm. Tak. Zatem czego pan szuka?

– Szukam... możliwości sprzedania miecza. Zdjął Sędziego z pleców i położył na stole.

Haylin wziął z szacunkiem wielki miecz w potężne, poznaczone odciskami ręce i natychmiast go odłożył. Spojrzał na rękojeść, mrugając ze zdumienia. Przesunął po niej palcami i oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

– Nigdy nie upuścił pan tego miecza, prawda? Kylar wzruszył ramionami. Oczywiście, że nie.

Nadal patrząc tak, jakby nie był pewien, czy nie śni, arcymistrz splunął w dłonie i znowu chwycił miecz.

– Co pan...

Kropla wilgoci spłynęła z rękojeści na stół. Arcymistrz wypuścił miecz i otworzył dłoń. Była sucha. Wykrzyknął cicho, ale nie potrafił oderwać oczu od miecza. Pochylał się coraz bardziej, aż prawie uderzył w miecz nosem. Obrócił broń i spojrzał na ostrze.

– Na bogów, to prawda.

– Co takiego? – zapytał Kylar.

– Matryce węglowe. Są idealne. Założę się o prawą rękę, że każda jedna ma cztery wiązania, prawda? Mój panie, to ostrze to idealny diament. Tak cienki, że ledwo to widać, ale jest nie do złamania. Większość diamentów można zarysować innym diamentem, ponieważ nie są idealne, ale jeśli nigdzie nie ma skazy... wtedy ostrze jest niezniszczalne, i nie tylko ostrze, rękojeść też. Tylko że, panie mój, jeśli to jest... myślałem, że pański miecz jest czarny.

Kylar dotknął ostrza i pozwolił, żeby ka'kari wyciekło przez skórę i pokryło miecz. Słowo ŁASKA zapisane na ostrzu zostało pokryte przez SPRAWIEDLIWOŚĆ w czarnym ka'kari.

Arcymistrz Haylin patrzył na to z malującym się na jego twarzy bólem.

– Och, panie mój... Dziadek mówił nam... ale nigdy nie zrozumiałem. Czuję się jak ślepiec, ale niemalże cieszę się ze swojej ślepoty.

– O czym pan mówi?

– Nie mam Talentu, lordzie Gaelanie. Nie potrafię nawet w małym stopniu dostrzec, jaka to nadzwyczajna broń. Mój dziadek potrafił i mówił, że to go prześladowało do końca jego dni. Wiedział, jaki Talent przelano w to ostrze, zobaczył to, ale nigdy nie mógł mu dorównać. Mówił, że przy nim dzieła jego rąk wydawały się tanie i jarmarczne, a przecież słynął ze swojej pracy. Ale nigdy nie sądziłem, że zobaczę Sędziego na własne oczy. Panie mój, nie możesz go sprzedać.

– Cóż, nie będzie czarny – rzucił niedbale Kylar, wciągając z powrotem ka'kari w dłoń. – To pewnie trochę obniży cenę.

– Panie mój, nie rozumiesz. Nawet gdybym był w stanie zapłacić tyle, ile jest wart, nawet gdybym jakimś cudem zdołał go wycenić, jest wart więcej niż zdołam zarobić przez całe swoje życie. Nawet gdybym mógł go kupić, nigdy bym go nie sprzedał, jest zbyt cenny. Może jeden, dwóch kolekcjonerów na całym świecie dysponuje stosownym majątkiem i wiedzą, żeby kupić taki miecz. A jeśli nawet, panie, to nie

jest miecz, któremu pisane jest leżeć w gablocie. Jego miejsce to dłoń bohatera. Pańska dłoń. Proszę spojrzeć, rękojeść, która nie wyślizgnie się z dłoni, nawet kiedy skóra jest zlana krwią albo mokra. Wilgoć od razu spływa. To nie jest po prostu genialne, to praktyczne. To nie jest egzemplarz pokazowy. To sztuka. Sztuka zabijania. Jak pan. – Uniósł ręce i zgarbił się w krześle, jakby był wyczerpany widokiem Sędziego. – Chociaż mój dziadek mówił, że inskrypcja była w hyrylicy... och!

Słowo ŁASKA na ostrzu zmieniło się na ich oczach na słowo w języku, którego Kylar nie potrafił odczytać. Kylar oniemiał. Sędzia nigdy wcześniej tego nie robił.

Wąż zaczął wić się w jego żołądku i zaciskać na wnętrznościach – Kylar miał stracić coś, czego wartości nie potrafił nawet ocenić. To samo czuł, kiedy myślał o swoim martwym mistrzu, człowieku, którego ledwo znał.

– Niemniej – powiedział przez zaciśnięte gardło – muszę go sprzedać.

Jeśli go zatrzyma, znowu będzie zabijał. Nie wątpił w to. W jego rękach miecz stanowił bezlitosną sprawiedliwość. Musiał go sprzedać, jeśli miał być uczciwy wobec Elene. Dopóki trzymał się miecza, trzymał się swojego starego życia.

– Panie mój, potrzebujesz pieniędzy? Dam ci, ile zechcesz. Mała, podła część Kylara rozważyła propozycję. Z pewnością ten człowiek mógł mu dać więcej, niż Kylar potrzebował.

– Nie, muszę go sprzedać. Chodzi o... kobietę.

– Panie, sprzedajesz artefakt wart królestwa, żeby być z kobietą? Jesteś nieśmiertelny! Nawet najdłuższe małżeństwo to ledwie maleńki ułamek twojego życia!

Kylar się skrzywił.

– Zgadza się.

– Nie sprzedaje pan miecza tak po prostu, prawda? Pan to zarzuca. Zarzuca drogę miecza.

Patrząc na blat, Kylar pokiwał głową.

– To musi być niezwykła kobieta.

– Zgadza się. Ile może mi pan dać za ten miecz?

– To zależy, jak szybko pan ich potrzebuje.

Kylar nie wiedział, na jak długo wystarczy mu odwagi. Wiedział, że to, co pewnie za chwilę powie, będzie go kosztowało tysiące, ale utrata Elene byłaby gorsza. A poza tym nigdy tak naprawdę nie zależało mu na bogactwie.

– Niech będzie tyle, ile może mi pan dać, zanim opuszczę to miejsce.

– Zanim wyjedzie pan z miasta?

– Zanim wyjdę z tego warsztatu.

Kylar przełknął ślinę, ale gula w gardle nie zniknęła. Arcymistrz otworzył usta, żeby zaprotestować, zorientował się jednak, że Kylar podjął decyzję.

– Trzydzieści jeden tysięcy królowych – powiedział. – Może paręset więcej, zależy, ile dziś zarobiliśmy na sprzedaży. Sześć tysięcy w złocie, reszta w wekslach własnych do wykupienia w

większości kantorów, chociaż przy takiej sumie będzie pan musiał obejść połowę kantorów w mieście. Musi pan pójść prosto do Błękitnego Olbrzyma, jeśli chce pan wymienić wszystko od ręki.

Kylar wybałuszył oczy, słysząc sumę. Wystarczyłoby, żeby kupić dom, spłacić ciotkę Meę, otworzyć zielarnię z ogromnym zapasem towarów, kupić Elene całą garderobę i nadal jeszcze mógłby trochę odłożyć, a do tego kupić najwspanialsze kółka ślubne, jakie można dostać. A ten człowiek tłumaczył, że to nie dość pieniędzy?

„Dobra cena za dziedzictwo, hę?”.

Ta myśl prawie pozbawiła go tchu. Wstał gwałtownie.

– Załatwione – powiedział. Podszedł do drzwi.

– Ehm... mój panie – powiedział arcymistrz Haylin. Wskazał na swoją twarz.

– Och.

Kylar skupił się i rysy jego twarzy spłaszczyły się, a włosy z powrotem zrudziały.

Pięć minut później nadal osłupiały Cukiereczek pomagał załadować skrzynię z suwerenami – każdy wart dwudziestu królowych – i patrzył, jak jego ojciec dokłada do tego gruby plik weksli. W sumie trzydzieści jeden tysięcy czterysta królowych. Skrzynka nie była duża, ale ważyła tyle co dwóch zwalistych mężczyzn. Arcymistrz kazał przyprowadzić konia, ale Kylar poprosił, żeby zamiast tego przymocowali do skrzyni dwa szerokie skórzane pasy. Czeladnicy i uczniowie zatrzymali się, żeby popatrzeć, ale Kylar miał to w nosie. Uśmiechając się znacząco, Haylin dołączył do nich.

– Mój panie – powiedział, kończąc mocowanie pasów – jeśli kiedykolwiek będziesz chciał go z powrotem, jest tutaj.

– Być może. Za życia twojego wnuka. Arcymistrz uśmiechnął się szeroko.

Kylar wiedział, że nie powinien był mówić tego tak głośno. I nie powinien rezygnować z konia. Ale nie dbał o to. Z jakiegoś powodu dobrze było rozmawiać z człowiekiem, który coś wiedział na jego temat i nie bał się go ani nie był zniesmaczony. Nawet jeśli ten człowiek brał go za mistrza Kylara. Ale z drugiej strony Kylar pewnie miał w sobie więcej z Gaelana niż Durzo Blint. Tak dobrze było poczuć, że ktoś go zna i akceptuje, że nie przejmował się swoją lekkomyślnością.

Z pomocą Talentu Kylar dźwignął skrzynkę na plecy. Wszyscy w kuźni wstrzymali oddech. Prawdę mówiąc, nawet mimo Talentu ledwo ją uniósł. Skinął głową do arcymistrza i odszedł.

– Co to, u diabła, było? – usłyszał na odchodnym głos zdumionego Cukiereczka.

– Pewnego dnia, jak będziesz gotowy, być może ci powiem – odpowiedział arcymistrz.

22

Dobry wieczór – powiedział Kylar do Capricii, kiedy wrócił do kołozłotnika. – Witam – odpowiedziała zaskoczona dziewczyna. Była sama, zamykała już sklep.

– Dupek wrócił. – Skrzywił się. – Przepraszam za... wcześniej.

– Co? Nie, nic się nie stało. Rozumiem, że dla przybysza to wszystko może się wydawać bardzo dziwne. Mężczyźni nigdy nie lubili tego zwyczaju, chociaż kobiety też muszą przekłuć sobie ucho i jakoś nie narzekają. – Wzruszyła ramionami.

– No tak, cóż... – powiedział Kylar i zdał sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia. Co takiego było w biżuterii, co sprawiało, że czuł się taki nieporadny? – Jasne – skończył bez przekonania.

– Szczerze mówiąc, większość mężczyzn ledwie zauważa ból. To znaczy, w obecności panny młodej każdy skupia się na czymś innym. Teoretycznie konsumuje się małżeństwo dopiero po przyszpileniu, ale w większości wypadków to tylko teoria.

Kylar odkaszlnął. Myślał już o tym.

– Pamiętasz, które kółka jej się spodobały? – zapytał Kylar.

– Oczywiście. – Capricia się zaśmiała. – Obawiam się, że te naprawdę trzymają czar.

Jej oczy zabłysły, a Kylar się zarumienił.

– Spotkało mnie to nieszczęście, że mam żonę o doskonałym guście.

– To się odzwierciedla także w jej innych wyborach –

powiedziała Capricia, uśmiechając się szeroko.

Niezależnie od tego, jakie skutki przyniesie potyczka z Shingą, Kylar cieszył się, że uratował Capricię. Wysunęła szufladę i położyła ją przed nim. Skrzywiła się i od razu wyjęła z niej parę kółek.

– Chwileczkę – powiedziała, przyklękła za kontuarem, odłożyła kółka i wstała z powrotem. – Myślę, że to były te – powiedziała, wskazując na kilka par w górnym rzędzie ze splecionego złota i mistarillu.

– Ile kosztują?

– Dwa tysiące czterysta, dwa tysiące osiemset i trzy tysiące dwieście.

Kylar gwizdnął cicho.

– Mamy kółka w podobnym stylu z białego i żółtego złota za rozsądniejszą cenę – powiedziała Capricia. – Przez mistarill te kosztują absurdalnie dużo.

Miecz Jorsina Alkestesa był z mistarillu z rdzeniem z utwardzanego złota, powiedział Durzo. Potrzebna była specjalna kuźnia, żeby stopić mistarill, ponieważ topi się dopiero w temperaturze trzykrotnie wyższej niż stal. Kiedy już osiągnie konieczną do pracy temperaturę, zachowuje ją na długie godziny, w przeciwieństwie do innych metali, które trzeba podgrzewać raz za razem. Dla kowali praca przy nim to czysta radość i czysty horror, ponieważ po pierwszym podgrzaniu i pierwszych kilku godzinach pracy nad nim drugi raz już się nie stopi. Mieli tylko jedną szansę, żeby zrobić wszystko jak trzeba. Tylko kowal z niebagatelnym

Talentem mógł pokusić się o pracę nad mistarillem na większą skalę.

– Czy ktokolwiek nosi kółka z czystego mistarillu? – zapytał, oglądając biżuterię.

Mógłby przysiąc, że Elene zabłysły oczy, kiedy zobaczyła jedną z tych par. Która to była? Capricia pokręciła głową.

– Nawet gdyby było cię na to stać, nie chciałbyś, tak mówi pan Bourary. Mówi, że niektóre z prostszych czarów lepiej się zapisują w złocie. Nawet najstarsze sztuki łączą dwa metale. Pan Bourary ma parę, którą wykonał jego praprapradziadek, czy jakoś tak, która wygląda jak z czystego mistarillu, ale ma rdzeń z żółtego złota i brylantów. To naprawdę niesamowita rzecz. W mistarillu są maleńkie dziurki, przez które widać złoto i brylanty rozbłyskujące w środku, jeśli światło padnie pod odpowiednim kątem.

Kylar prawie zaczynał wierzyć w tę gadkę o czarach. Albo pan Bourary naprawdę znał się na rzeczy, albo bardzo pilnie nauczył się, jak mówić o magii, i to od ludzi, którzy się na tym znali.

Nadal miał wrażenie, że to szaleństwo, oglądać kolczyki, które kosztowały dwa albo trzy tysiące w złocie. Powinien był zapytać o kółka arcymistrza Haylina. Mistrz kowalstwa wiedziałby, czy to coś prawdziwego. Ale Kylarowi było lekko na sercu. Już sprzedał swoje dziedzictwo. Zobowiązał się. Teraz musiał tylko znaleźć idealne kółka, które zadowolą kobietę, którą kochał, kobietę, która ratowała go przed losem zgorzkniałego wraka, jakim stał się Durzo Blint.

Tak naprawdę to magia w kółkach wcale się nie liczyła. Liczyło się tylko to, żeby Elene zrozumiała, ile dla niego znaczy.

– Był tu taki komplet, przysięgam, że leżał w tej szufladzie – powiedział do Capricii. – Co to za para, którą odłożyłaś na bok?

– To tylko egzemplarz pokazowy. Znaczy nie całkiem. Królowa rozgniewała się na kupca kamieniami szlachetnymi, który nie chciał jej sprzedać jakiegoś klejnotu dziesięć lat temu i wyjęła spod prawa egzemplarze pokazowe. Więc teoretyczne to nie jest egzemplarz pokazowy, ale tak naprawdę nie jest na sprzedaż. Mamy inne szuflady, może to któraś z nich.

– Po prostu pokaż mi te, o które zapytałem – powiedział Kylar. Nagle stał się sceptyczny. Czy to była sztuczka handlowa? Już to kiedyś widział: ładna dziewczyna mówi facetowi: „O, te są bardzo ładne”, odkładając coś absurdalnie drogiego i wyciągając coś taniego, a mężczyzna od razu pyta: „A co z tamtymi?”, żeby udowodnić swoją męskość.

Ale Capricia nie zachowywała się w ten sposób. Wydawała się szczera. Wyjęła kółka i położyła je przed nim. Już patrząc na nie, Kylar widział, że zasób jego przyszłej zielarnii znacząco się kurczy.

– To te – powiedział.

Wzór był uwodzicielsko prosty i elegancki, prosty półsplot ze srebrnego metalu, który jakimś cudem rozbłysnął w świetle złotem, kiedy podniósł większe kółko.

Capricia wstrzymała oddech, kiedy uniósł rękę, jakby miał zamiar zniszczyć kółko. Spojrzał w jedno ze sklepowych luster, przykładając kolczyk do lewego ucha. Poczuł się trochę zniewieściale, ale z drugiej strony widział w mieście tysiące mężczyzn, którzy w ogóle się tym

nie przejmowali.

– Hm – mruknął.

Przesunął kolczyk wyżej wzdłuż ucha. Od razy wyglądało to nieco bardziej męsko.

– Jakie jest najbardziej bolesne miejsce, w którym kobieta może przyszpilić mężczyznę?

– O, tu. – Capricia pochyliła się i wskazała, ale nie zobaczył w lustrze, co pokazała. Przesunął się i wtedy dotknęła palcem jego ucha. – Och! Strasznie przepraszam. Nie chciałam...

– Co? – I wtedy sobie przypomniał. – Nie, to moja wina. Serio, tam skąd pochodzę, uszy to nic ważnego. Powiedziałaś, tutaj? Kółko przechodzi przez czubek ucha?

Zerknął do lustra. Tak, zdecydowanie bardziej męsko i będzie bolało jak diabli. Z jakiegoś powodu od razu poczuł się lepiej.

Wziął mniejsze kółko i bardzo uważając, żeby jej nie dotknąć, przyłożył je do ucha Capricii. Kółko wyglądało przepięknie.

– Wezmę je.

– Naprawdę strasznie mi przykro – powiedziała. – Nie mam takich na sprzedaż, ale pan Bourary może zrobić coś, co będzie wyglądało niemal identycznie.

– Powiedziałaś, że tu nie ma egzemplarzy pokazowych – zauważył Kylar.

– Teoretycznie. Po wprowadzeniu nowego prawa przez królową... cóż, wszystko jest na sprzedaż. Po prostu wyznacza się zaporową cenę na to, czego nie chce się sprzedać.

– I tak jest w wypadku tych kolczyków? – zapytał Kylar, czując już, że przyszły dom staje się znacznie mniejszy.

– To są te kółka, o których mówiłam ci wcześniej. Te, które wykonał praprapraprapradziadek pana Bourary z mistarillu ze złotem i brylantami. – Uśmiechnęła się słabo. – Przykro mi. Nie próbuję wprawić cię w zakłopotanie. Nawet nie powinny leżeć w tej kasecie.

– O jak absurdalnej cenie mówimy? – spytał Kylar.

– Absurdalnej.

– Jak absurdalnej?

– Absurdalnie absurdalnej. – Skrzywiła się. Kylar westchnął.

– Po prostu powiedz.

– Trzydzieści jeden tysięcy czterysta królowych. Przykro mi. Poczuł się tak, jakby go ktoś zdzielił w żołądek. To oczywiście był zbieg okoliczności, ale... Elene nazwałaby to boską ekonomią. Sprzedał Sędziego za dokładnie tyle, ile będzie go kosztowało jej poślubienie.

I nic mu nie zostanie? Elene, jeśli to jest ekonomia twojego Boga, to służysz pazernemu Bogu. Nie zostanie mi nawet na ślubny nóż.

– Na pocieszenie mogę powiedzieć, że nóż ślubny dodajemy gratis – powiedziała Capricia, zmuszając się do uśmiechu.

Kawał lodu wpadł Kylarowi do żołądka.

– Przepraszam – powiedziała, omyłkowo rozumiejąc jego wyraz twarzy. – Mamy naprawdę piękne...

– Dostajesz prowizję od sprzedaży? – spytał.

– Jedną dziesiątą ze sprzedaży powyżej tysiąca dziennie.

– Więc jeśli mi je sprzedasz, co zrobisz z... iloma? Ponad trzema tysiącami królowych?

– Nie wiem... Dlaczego...

– Co zrobisz?

Wzruszyła ramionami i już chciała odpowiedzieć, ale zawahała się i w końcu powiedziała:

– Przeniosę się z rodziną. Mieszkamy w naprawdę nieprzyjemnej okolicy i cały czas mamy kłopoty z... Och, jakie to ma znaczenie? Uwierz mi, marzyłam o tym, odkąd zaczęłam tu pracować. Myślałam o sprzedaniu tych kółek i o tym, jakby to zmieniło nasze życie. Kiedyś modliłam się o to codziennie, ale moja matka mówi, że jesteśmy bezpieczni. A poza tym Bóg nie odpowiada na takie pazerne modlitwy.

Serce mu zamarło. Przeprowadziliby się z dala od tego mściwego, aroganckiego Shingi. Kylar nie musiałby zabijać, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

– Nie – powiedział Kylar, chowając do kieszeni kółka i łapiąc ślubny nóż. – Odpowiada na nie właśnie w taki sposób.

Dźwignął skrzynkę na ladę i otworzył ją. Capricia wybałuszyła oczy. Ręce jej się trzęsły, kiedy rozwijała weksel po wekslu. Spojrzała na Kylara i łzy napłynęły jej do oczu.

– Powiedz rodzicom, że wasz Anioł Stróż kazał wam się przeprowadzić. Nie w przyszłym tygodniu. Nie jutro. Dzisiaj. Kiedy cię uratowałem, upokorzyłem Shingę. Przysiągł się zemścić.

Nadal wytrzeszczała oczy, ale ledwo dostrzegalnie pokiwała

głową. Automatycznie wyciągnęła rękę.

– Pudełeczko? – zapytała zduszonym głosem. – Darmowe. Wziął z jej ręki pudełeczko i wyszedł ze sklepu, zamykając za sobą drzwi. Schował kółeczka do ozdobnego pudełka i wrzucił do kieszeni. Nagle znowu był biedny jak nędzarz. Sprzedał swoje dziedzictwo. Oddał ostatnią pamiątkę po Durzo. Oddał magiczny miecz dla dwóch metalowych kółek. I teraz nie miał nawet miedziaka przy duszy. Trzydzieści jeden tysięcy czterysta królowych i nie zostało mu nawet na urodzinowy prezent dla Uly.

Koniec z nami, Boże. Niech to szlag, od dziś sam odpowiadaj na modlitwy do Ciebie.

23

Czy z tobą i Elene wszystko będzie dobrze? – zapytała Uly. Pracowali razem tego wieczoru. Uly przynosiła składniki, a Kylar gotował wywar na obniżenie gorączki. – Oczywiście, że tak. Dlaczego pytasz?

– Ciotka Mea mówi, że to dobrze, że się tyle kłócicie. Mówi, że jeśli się boję, to muszę tylko posłuchać, i jeśli usłyszę po kłótni, że łóżko trzeszczy, to wiadomo, że wszystko będzie dobrze. Mówi, że to znaczy, że się pogodziliście. Ale nigdy nie słyszałam, żeby łóżko trzeszczało.

Krew napłynęła mu do policzków.

– Myślę, że... Wiesz co? Powinnaś o to zapytać Elene.

– Powiedziała, żebym zapytała ciebie, i też się zawstydziła.

– Nie wstydzę się! Podaj mi ostrężnice.

– Ciotka Mea mówi, że to źle kłamać. Widziałam konie, które parzyły się na zamku, ale ciotka Mea mówi, że to nie jest takie straszne.

– Nie – odpowiedział cicho Kylar, ucierając owoce na pastę. – Jest straszne na swój sposób.

– Co?

– Uly, jesteś zdecydowanie za młoda, żebyśmy o tym rozmawiali. Korzeń krwawnika.

– Ciotka Mea powiedziała, że pewnie tak odpowiesz. Powiedziała, że może porozmawiać o tym ze mną, jeśli wy będziecie

za bardzo zakłopotani. Kazała mi tylko obiecać, że najpierw zapytam was. – Uly podała mu splątany brązowy korzeń.

– Ciotka Mea za dużo myśli o seksie.

– Ehem – odezwał się ktoś za Kylarem. Wzdrygnął się.

– Idę zajrzeć do pani Vatsen – powiedziała ciotka Mea. – Potrzebujesz czegoś?

– Eee, ehm, nie.

Z pewnością nie patrzyłaby tak spokojnie, gdyby słyszała, co właśnie powiedział.

– Kylar, nic ci nie jest? – zapytała. Dotknęła jego gorącego policzka. – Masz dziwne rumieńce.

Przegrzebała świeżo uporządkowane półki – wydawało się, że teraz prowadzi poszukiwania dłużej, niż kiedy panował na nich bałagan – i wrzuciła kilka rzeczy do koszyka. Kiedy minęła Kylara, który pochylił się nad wywarem, jakby warzenie wymagało nadzwyczajnego skupienia, uszczypnęła go w pośladek.

Podskoczył tak wysoko, że prawie uderzył głową w sufit, ale zdołał zdusić okrzyk. Uly spojrzała na niego zdziwiona.

– Masz rację – powiedziała ciotka Mea już przy drzwiach. – Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Jestem dla ciebie za stara.

Kylar zaczerwienił się jeszcze bardziej, a ona się zaśmiała. Słyszał, jak śmiała się serdecznie, jeszcze idąc ulicą.

– Stara wariatka – powiedział. – Nasiona norantonu.

Uly podała mi fiolkę z płaskimi, fioletowawymi nasionami i zacisnęła usta w prostą linię.

– Kylar, a jak nie ułoży ci się z Elene, ożenisz się ze mną? Upuścił całą fiolkę do wywaru.

– CO?!

– Zapytałam Elene, ile masz lat, i powiedziała, że dwadzieścia. A ciotka Mea powiedziała, że jej mąż był od niej dziewięć lat starszy, a to jeszcze więcej niż różnica między nami. I ja cię kocham, ty kochasz mnie, i cały czas kłócicie się z Elene, a my dwoje nigdy się nie kłócimy...

Kylar w pierwszej chwili zgłupiał. Nie kłócili się z Elene od ponad tygodnia. A potem zdał sobie sprawę, że Uly nocowała ostatnio u swojej nowej przyjaciółki – pewnie dlatego, że kłótnie Kylara i Elene tak ją martwiły. Teraz dziewczynka patrzyła na niego z gorliwą i przestraszoną miną, która mu mówiła, że jego reakcja może jej złamać serce. A szczególnie pierwsza odpowiedź, która przyszła mu do głowy – „nie kocham cię w taki sposób" – nie była najlepszym wyborem.

Jak się w to wszystko wpakowałem? Będę pierwszym ojcem w Midcyru, któremu przyjdzie tłumaczyć córce, co to jest seks, samemu będąc jeszcze prawiczkiem.

Co miał powiedzieć? „Na razie nie jestem naprawdę mężem Elene, więc kiedy się pokłócimy, nie możemy się pogodzić w taki sposób, w jaki bym chciał. Właściwie, gdybyśmy mogli pogodzić się tak, jak tego chcę, to pewnie w ogóle byśmy się nie kłócili"? Kylar nie mógł się doczekać, kiedy naprawdę poślubi Elene. Wreszcie mieliby za sobą wszystkie spory o seks. Co za ulga!

A tymczasem Uly patrzyła na niego wyczekująco z szeroko otwartymi oczami. O nie, już drżały jej usta.

Otworzyły się drzwi, i to go uratowało. Do sklepu wszedł zamożnie ubrany mężczyzna z herbem rodowym wyszytym na piersi tuniki. Był wysoki i szczupły, ale twarz miał ściągniętą, przez co wyglądał jak gryzoń.

– To sklep ciotki Mei? – zapytał.

– Zgadza się – odpowiedział Kylar. – Ale niestety, ciotka Mea właśnie wyszła na chwilę.

– Och, nie szkodzi. Pan jest jej pomocnikiem, Kylem?

– Kylar.

– Ach, tak. Jest pan młodszy niż się spodziewałem. Przyszedłem po pańską pomoc.

– Moją?

– To pan uratował lorda Aevana, prawda? Opowiadał wszystkim chętnym słuchaczom, że jedną miksturą dokonał pan tego, czego nie zdołał tuzin medykusów przez kilka miesięcy leczenia. Jestem głównym rządcą najwyższego lorda Garazula. Lord cierpi na podagrę.

Kylar potarł szczękę. Spojrzał na butelki stojące wzdłuż ścian.

– Mogę wrócić później, jeśli pan sobie życzy – zaproponował rządca.

– Nie trzeba, to potrwa nie dłużej niż minutę – odparł Kylar.

Zaczął zdejmować butelki i wydawać polecenia Uly. Była idealną pomocnicą, szybką i cichą. Wkrótce już mieszał w czterech misach, w dwóch na ogniu, w dwóch na zimno. Po kolejnych dwóch minutach

skończył pracę. Rządca był absolutnie zafascynowany całym procesem. Kylar pomyślał, że arcymistrz Haylin naprawdę wiedział, co robi, pokazując klientom proces twórczy. W jednej chwili uznał, że jeśli kiedykolwiek będzie miał duży sklep, urządzi go dokładnie w taki sam sposób: dając ludziom widowisko razem z miksturami. To było dziwnie przyjemne małe marzenie.

– Oto co ma pan zrobić – powiedział Kylar. – Proszę podawać lordowi dwie łyżki tego co cztery godziny. Domyślam się, że pański lord jest otyły i mało się rusza? Lubi wypić?

– Ma parę zbędnych... – zaczął rządca. – No dobrze, jest wielki jak lewiatan. I pije jak smok.

– Ta mikstura przyniesie ulgę w bólu stóp i stawów. To trochę pomoże na podagrę, ale dopóki będzie gruby i będzie pił dużo wina, nigdy mu się nie poprawi. Do końca życia będzie musiał kupować taką samą miksturę za każdym razem, kiedy podagra się zaogni. Proszę mu powiedzieć, że jeśli chce się wyleczyć, musi skończyć z piciem. Jeśli nie przestanie, a założę się, że tak będzie, proszę zacząć podawać mu po dwie krople tego – Kylar podał mu drugą fiolkę – w każdym kieliszku wina. Dostanie od tego strasznej migreny. Proszę pilnować tego za każdym razem, gdy będzie pił wino. A skoro już przy tym jesteśmy: tę mieszankę może pan zacząć mu podawać każdego ranka i wieczoru. Na kłopoty z żołądkiem. I proszę mniej go karmić. Proszę podawać trochę tej ostatniej mikstury przy każdym posiłku, szybciej poczuje sytość.

– Skąd pan wie, że ma kłopoty z żołądkiem?

Kylar uśmiechnął się tajemniczo.

– I proszę odstawić wszystko, co przepisali inny medykusi, zwłaszcza puszczanie krwi i pijawki. W sześć tygodni powinien stać się innym człowiekiem, jeśli pomoże mu pan zrzucić wagę.

– Ile? – zapytał rządca.

– To zależy, jak bardzo się roztył. Rządca się roześmiał.

– Nie, ile jestem panu winny?

Kylar zastanowił się. Policzył koszt składników i podwoił sumę. Podał cenę rzadcy.

Mężczyzna o szczurzej twarzy spojrzał na niego oniemiały.

– Dwa słowa rady, młody człowieku. Powinien pan otworzyć sklep po północnej stronie, bo jeśli leczenie zadziała, będzie miał pan dużo klientów wśród arystokratów. I druga rzecz: jeśli to chociaż trochę pomoże, powinien pan wziąć dwa razy tyle. Jeśli to rzeczywiście podziała tak, jak pan mówi, to powinien pan wziąć dziesięć razy tyle. W przeciwnym wypadku arystokraci nie uwierzą w skuteczność leków.

Kylar się uśmiechnął. Zrobiło mu się przyjemnie, że ktoś zwraca się do niego, jakby Kylar wiedział co robi – a rzeczywiście wiedział.

– Zatem jest mi pan winien dziesięciokrotność sumy, którą przed chwilą podałem.

Rządca zaśmiał się.

– Jeśli lordowi Garazulowi się poprawi, odwdzięczę się lepiej. A na razie to wszystko, co mam przy sobie. – Rzucił Kylarowi dwie nowiutkie srebrne monety. – Miłego dnia, młodzieńcze.

Patrząc, jak wychodzi, Kylar dziwił się, jak miło mu się zrobiło. Może lepiej było leczyć niż zabijać? A może po prostu miło było być docenianym. Jak Durzo to robił? Był tuzinem różnych bohaterów w ciągu wieków – może dziesiątkami różnych bohaterów. Nie chciał się nigdy ujawnić? Powiedzieć wszystkim, kim był i pozwolić, żeby okazali mu stosowny podziw? Oto ja, uwielbiajcie mnie.

Durzo jednak nigdy czegoś takiego nie zrobił. Kylar dorastał przy nim i nigdy nie przyszło mu na myśl, że jego mistrz jest Aniołem Nocy, już nie wspominając o innych jego tożsamościach. Dlaczego nie? W pewnych okresach życia Durzo wydawał się arogancki. Okazywał ogromną pogardę dla większości siepaczy i większości Sa'kagé, ale nigdy nie przyrównywał się do wielkich bohaterów historii.

Znowu przeszył go ból z powodu straty. Na bogów, Durzo nie żył już od trzech miesięcy, a mimo upływu czasu, Kylarowi nie zrobiło się lżej na duszy.

Pomacał małe pudełeczko w kieszeni. Durzo umarł, żeby on mógł mieć Elene. Kylar spróbował pozbyć się Durzo z głowy za pomocą tej myśli. Urządzimy Uly urodziny, a potem poproszę Elene o rękę. I Uly nasłucha się trzeszczenia za wszystkie czasy.

– Kylar – odezwała się Uly, wyrywając go z zamyślenia. – Odpowiesz mi na moje pytanie?

Ożeż w mordę.

– Uly – zaczął delikatnie. – Wiem, że nie odbierasz tego w ten sposób i z pewnością jesteś wyjątkowo mądra jak na swój wiek, ale

nadal... – Zmarszczył brwi, wiedząc, że następna część nie zostanie dobrze przyjęta. – Nadal jesteś dzieckiem.

Niech to diabli, taka była prawda.

– Nie, nie jestem.

– Owszem, jesteś.

– W tym tygodniu miałam pierwszą krew miesięczną. Ciotka Mea mówi, że to znaczy, że teraz jestem kobietą. Naprawdę bolało i w pierwszej chwili się przestraszyłam. Strasznie mnie bolał brzuch i krzyż, a potem...

– Aj! – Kylar zamachał rękami, chcąc ją uciszyć.

– Co? Ciotka Mea powiedziała, że nie ma się czego wstydzić.

– Ciotka Mea nie jest twoim ojcem!

– A kto jest? – natychmiast zapytała Uly. Kylar nie odpowiedział.

– I kto jest moją matką? Wiesz, prawda? Moje opiekunki zawsze traktowały mnie inaczej niż resztę dzieci. Ostatnia zawsze była przerażona, kiedy tylko coś mi się stało. Raz skaleczyłam się w twarz, a ona tak się bała, że będę miała bliznę, że nie spała tygodniami. Czasem jakaś pani przyglądała się nam, jak bawimy się w ogrodach, ale zawsze nosiła opończę z kapturem. Czy to była moja matka?

Kylar bez słowa skinął głową. To było dokładnie w stylu Mamy K. Bez wątpienia ze względu na bezpieczeństwo Uly trzymała się z dala, na ile tylko zdołała. Jednakże od czasu do czasu bariery musiały słabnąć.

– To ktoś ważny? – zapytała Uly. Marzenie każdej sieroty. Kylar to znał. Znowu skinął głową.

– Dlaczego mnie zostawiła? Odetchnął głęboko.

– Zasługujesz na odpowiedzi na te pytania, ale nie mogę ci powiedzieć. To jeden z sekretów, który nie należy do mnie. Przysięgam, powiem ci, kiedy będę mógł.

– Zostawisz mnie? Gdybyśmy się pobrali, mogłabym z tobą wyjechać.

Jeśli ktokolwiek myślał, że dzieci nie przeżywają bólu tak jak dorośli, to powinien zobaczyć oczy Uly w tej chwili. Mimo całej miłości, Kylar traktował ją przede wszystkim jak dziecko. Całe krótkie życie Uly sprowadzało się do bycia porzucaną: opuścili ją ojciec i matka, opuszczała ją jedna opiekunka po drugiej. Dziewczynka chciała czegoś stałego w swoim życiu.

Kylar objął ją.

– Nie porzucę cię – obiecał. – Nigdy, przenigdy.

24

Vi wjechała do Caernarvon o zachodzie słońca. Podczas tygodni na szlaku obmyśliła strategię działania. Z pewnością miejscowe Sa'kagé będzie wiedziało o Kylarze. Jeśli chociaż trochę przypominał Hu Szubienicznika, to nie wytrzymał długo bez zabijania. A jeżeli przyjął jakąś robotę, Shinga będzie coś o nim wiedział. Taki uzdolniony siepacz nie umknąłby niczyjej uwagi.

Z drugiej strony, jeśli Kylar nie przyjął żadnego zlecenia, nadal istniała spora szansa, że uszy i oczy Sa'kagé w Caernarvon zarejestrowały jego zjawienie się w mieście. Vi słyszała bardzo niewiele pochwał pod adresem tamtejszego Sa'kagé i jeżeli Kylar naprawdę postanowił się ukryć, to Vi może go nigdy nie znaleźć, ale, z drugiej strony, minęły trzy miesiące. Przestępcy zawsze wracają do swoich przestępstw, nawet jeśli mają mnóstwo pieniędzy, chociażby dlatego, że nie wiedzą co innego zrobić ze swoim życiem. Czym był siepacz bez zabijania?

Sklepy już pozamykano. Przyzwoici ludzie wrócili do domów przed nocą, a zajazdy i burdele dopiero zaczynały się ożywiać, w miarę jak Vi wjeżdżała coraz głębiej w południową część miasta. Miała na sobie jasnobrązowe, skórzane spodnie do jazdy konnej i luźną męską tunikę z bawełny. Rude włosy związała w ciasny koński ogon. W Cenarii właśnie zaczynała się pora deszczowa, ale tutaj lato jeszcze zwlekało z odejściem, Vi zaś preferowała wygodę w podróży, pal diabli elegancję. Zawracała sobie głowę szykiem tylko wtedy,

kiedy to było jej do czegoś potrzebne. Mimo wszystko po dwóch tygodniach w siodle nie miałaby nic przeciwko kąpieli.

Przejechała już cztery kolejne podejrzane ulice i zastanawiała się, czemu jeszcze nikt na nią nie napadł. Ukryła całą broń i postarała się, żeby wyglądać całkiem bezbronnie. Co z tymi ludźmi?

Dwadzieścia minut później wreszcie ktoś wyszedł z cienia.

– Piękny wieczór nam się kroi, nie? – zagadnął ją mężczyzna. Był niechlujnie ubrany, brudny i pijany. Idealnie. W jednej ręce trzymał pałkę, a w drugiej bukłak.

– To napad? – zapytała Vi.

Z cieni wyszło sześciu nastolatków i otoczyło ją.

– Cóż... – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwie czarne jedynki. – To płatna droga, a ty będziesz musiała...

– Jeśli to nie napad, to zjeżdżaj stąd i nie wchodź mi drogę. Chyba że jesteś durniem... Uśmiech zniknął.

– No dobrze, to napad – przyznał w końcu mężczyzna. – Napadam na ciebie, zgadza się. Tom Gray nie schodzi z drogi żadnej suce.

Omal nie rozpłatał sobie łba, kiedy spróbował się napić z pałki zamiast z bukłaka. Chłopcy zaśmiali się, ale jeden z nich złapał za cugle czarnej klaczy.

– Muszę zobaczyć się z Shingą – powiedziała Vi. – Możesz mnie zabrać do niego czy muszę poszukać kogoś innego, kto na mnie napadnie?

– Nigdzie się stąd nie ruszysz, dopóki nie zapłacisz mi trzynastu...

Jeden z chłopców zakaszlał.

– ...ehm, czternastu srebrników. – Tom zerknął na jej biust i dodał: – I nie dorzucisz może jeszcze czegoś...

– A może umówmy się tak: ty zabierzesz mnie do Shingi, a ja zostawię twoje żałosne poczucie męskości nietknięte? – zaproponowała Vi.

Twarz Toma pociemniała. Rzucił bukłak jednemu z chłopców i podszedł do Vi, unosząc pałkę. Złapał ją za rękaw i szarpnięciem ściągnął z siodła.

Wykorzystując moment pędu, gdy Tom ją pociągnął, Vi zeskoczyła z siodła, robiąc salto, i kopnęła go w twarz. Wylądowała zgrabnie, a Tom Gray wyciągnął się jak długi.

– Czy ktoś z was może zabrać mnie do Shingi? – spytała pozostałych, ignorując Toma.

Chłopcy patrzyli, dziwiąc się, jakim cudem Tom wylądował po drugiej stronie uliczki z rozkwaszonym nosem, ale po chwili mizerny wyrostek z wielkim nochalem powiedział:

– Shinga Błystka nie pozwala nam przychodzić do siebie o dowolnej porze. Ale Tom się z nim kumpluje.

– Błystka? – Vi uśmiechnęła się krzywo. – To nie jest jego prawdziwe nazwisko, co?

Tom pozbierał się wreszcie i wstał. Z rykiem rzucił się na Vi.

Nawet na niego nie patrząc, zaczekała, aż znajdzie się dwa kroki od niej, i wtedy – kiedy był w pół kroku – wbiła mu stopę w biodro. Jego noga zamiast znaleźć się z przodu przy następnym kroku, została

z tyłu, Tom poślizgnął się na bruku i padł u stóp Vi. A ona nawet nie oderwała wzroku od chłopaka.

– Ja... ehm, no tak, Barush Błystka – powiedział chłopak, zerkając na Toma. Nie widział niczego śmiesznego w nazwisku Shingi. – Kim jesteś?

Wykręciła palce w złodziejskim sygnale.

– Trochę inny niż nasz – powiedział młodzieniec. – Skąd jesteś?

– Z Cenarii.

Wszyscy cofnęli się o krok.

– Bez jaj? Z cenaryjskiego Sa'kagé?

– No dobrze – powiedziała Vi, łapiąc Toma Graya za tłuste włosy. – Zabierzesz mnie do Shingi? Czy muszę ci coś złamać?

Sklął ją.

Złamała mu nos.

Zacharczał, plując krwią, i znowu zaklął.

– Wolno się uczysz, hę?

Uderzyła go w złamany nos i złapała za głowę. Wbijając palce głęboko we wrażliwe miejsca za uszami, podniosła go. Wrzasnął z zaskakującą ikrą. Szkoda, że zaczęła od złamania mu nosa, bo teraz całą ją obryzgał krwią. Ale Vi nie miała nic przeciwko. Nysos był bogiem życiodajnych płynów: krwi, wina i nasienia. Minęły tygodnie, odkąd złożyła mu ofiarę. Może to go ułagodzi do czasu, kiedy Vi znajdzie Kylara.

Mocno wbijała palce w czułe punkty, pozwalając, żeby Tom wrzeszczał i zbryzgał krwią jej tunikę i twarz. Chłopcy cofali się,

gotowi w każdej chwili uciec.

– Dość tego! – rozległ się w ciemności czyjś głos. Vi puściła Toma, który padł na ziemię.

Niska, przysadzista postać wyszła z cienia.

– Ja jestem Shingą.

– Barush Błystka? – zapytała.

Shinga Barush Błystka miał wielki brzuch, malutkie oczka pod rzadkimi jasnymi włosami i zacięte usta. Szedł dumnym krokiem mimo niskiego wzrostu. Może pomagała mu obecność zwalistego ochroniarza.

– Czego chcesz, wywłoko? – ostro zapytał Shinga.

– Poluję. Mój truposz to lord Kylar Stern. Jest mniej więcej mojego wzrostu, ma jasnoniebieskie oczy, ciemne włosy, muskularny, około dwudziestki.

– Truposz? – zdziwił się Błystka. – Znaczy, jesteś coś jak siepacz? Siepaczka?

– A ten gościu, co ze dwa tygodnie temu rozwalił Tomowi ryj, to nie nazywał się czasem Kylar? – zapytał chłopak z wielkim nosem jednego ze swoich kumpli.

– Tak mi się zdaje – odpowiedział kumpel. – Chyba dalej mieszka u ciotki Mei. Ale to żaden lord.

– Mordy w kubeł – rzucił Barush Błystka. – Ani słowa więcej, jasne? Tom, zbieraj tyłek z ziemi i przyprowadź mi tę sukę.

Niesamowite. Kylar tak jej ułatwił zadanie. Myślał, że znalazł się wystarczająco daleko, był pewny, że wszyscy wierzą, że nie żyje.

Teraz miała wszystko, czego potrzebowała. Wystarczy po prostu go znaleźć, a zabicie go będzie już proste. Przeszedł ją dreszcz podniecenia.

Nadal miała przez niego długą na dwa cale bliznę na ramieniu, chociaż pozwoliła, żeby leczył ją jeden z tych obrzydłych czarowników.

– Obawiam się, że będę musiał zabrać cię do siebie – powiedział Barush Błystka. – Sprawdzimy, czy rzeczywiście jest z ciebie dziewczyna od mokrej roboty.

– W życiu nikt mi tak nie przygadał – zadrwiła. Ochroniarz złapał ją za jedną rękę, a triumfujący Tom Gray za drugą.

– Niezła sztuka, co? – powiedział Tom Gray, łapiąc ją za pierś. Zignorowała go.

– Nie każ mi robić niczego, czego pożałujesz – uprzedziła Shingę.

– Mogę ją mieć, jak już z nią skończysz? – spytał Tom. Znowu złapał ją za pierś, a potem pogłaskał po włosach.

– NIE DOTYKAJ MOICH WŁOSÓW! – wrzasnęła.

Ochroniarz i Tom wzdrygnęli się zaskoczeni jej nagłym wybuchem. Barush Błystka zmusił się do nieszczerego śmiechu chwilę potem.

– Ty mały wypierdku, ty nędzna szumowino z rynsztoka, dotknij moich włosów, a przysięgam, że rozewrę ci gardło – powiedziała Vi, drżąc.

Sklął ją i zdarł rzemyk, którym związała kucyk. Włosy rozsypały jej się na ramiona po raz pierwszy od lat. Stała odsłonięta, naga, a

mężczyźni się śmiali.

Dostała białej gorączki. Klęła, a Talent przepływał przez nią z taką mocą, że to aż bolało. Wyrwała ręce z dłoni mężczyzn, jednocześnie łamiąc im żebra pięściami. Zanim Tom zgiął się wpół, złapała go za włosy jedną ręką. Wbiła palce w kąciki jego oczu, wsunęła je w oczodoły i wyrwała gałki oczne. Obróciła się błyskawicznie, a napastnicy rozbiegli się z wrzaskiem. Ona sama we wściekłości i pomieszaniu nie wiedziała, którego ścigać.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim wyładowała wstyd i złość na obu mężczyznach.

Kiedy doszła do siebie, jej włosy wyglądały jak przesiąknięta krwią szmata, a ona sama siedziała na ganku. Shinga i wyrostki uciekli. Na ulicy nie było nikogo, oprócz niewzruszonego konia, stojącego nieruchomo, dopóki go nie zawołała – bo tak go wyćwiczyła – i dwóch bezwładnych kształtów na bruku z grubsza przypominających mężczyzn.

Podchodząc chwiejnym krokiem do konia, minęła to, co kiedyś było Tomem Grayem i ochroniarzem Shingi. Trupy były zmasakrowane. Na Nysosa, Vi nawet nie wyciągnęła broni, a i tak ich zmasakrowała. Żołądek jej się zacisnął i dziewczyna zwymiotowała.

To tylko prosta robota. Król-Bóg wybaczy mi, że nie zabiłam Jarla. Zostanę mistrzem. Nigdy więcej nie będę musiała służyć Hu Szubienicznikowi – ani w łóżku, ani nigdzie indziej. Nigdy więcej. Zabiję Kylara i będę wolna. Już niedługo, Vi. Już za chwilę. Uda ci się, Vi.

***

Siostra Jessie al'Gwaydin nie żyła. Ariel była tego pewna. Wieśniacy nie widzieli jej od dwóch miesięcy, a jej koń nadal stał w stajni karczmarza. To nie było w stylu Jessie, w przeciwieństwie do podejmowania ryzyka. Głupia dziewczyna.

Siostra Ariel uklękła przed wejściem do dębowego zagajnika – nie po to, żeby się modlić, ale by rozpostrzeć zmysły. Zagajnik ciągnął się tak daleko w stronę Puszczy Iaosian, jak miejscowi gotowi byli się zapuścić. Wieśniacy z Zakola Torras szczycili się swoim praktycyzmem. Nie widzieli niczego przesadnego czy głupiego w omijaniu Łowcy równie szerokim łukiem, jak ich przodkowie. Opowieści, którymi się z nią podzielili, nie były niestworzonymi bredniami. Przeciwnie, łatwo było w nie uwierzyć, bo brakowało w nich dramatycznych szczegółów.

Ci, którzy weszli do puszczy, nie wracali. Po prostu.

Wobec tego wieśniacy łowili ryby w płynącej zakolami Czerwonej Rzece, zbierali drewno aż do skraju zagajnika, ale dalej nie szli. Granica odznaczała się wyraźnie. Wielowiekowe dęby graniczyły z pustymi polami. W pewnych miejscach młodsze dęby wycinano, ale kiedy drzewa osiągały pewien wiek, wieśniacy ich nie tykali. Z upływem stuleci dębowy zagajnik powoli się rozrastał.

Nie wyczuła tu niczego poza chłodem lasu, żadnego zapachu poza aromatem czystego, wilgotnego powietrza. Kiedy wstała i

powoli ruszyła przez niskie poszycie, pamiętała o dostrojeniu zmysłów, zatrzymywała się często, za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że wyczuwa najlżejsze drżenie w powietrzu. Posuwała się powoli, ale Ariel Wyant Sa'fastae słynęła z cierpliwości, nawet wśród sióstr. Poza tym to właśnie pochopność zabiła Jessie al'Gwaydin. Prawdopodobnie.

Chociaż dębowy zagajnik miał raptem milę szerokości, potrzebowała wiele czasu, by go przebyć. Każdego popołudnia, zaznaczywszy miejsce, do którego doszła, wracała do zajazdu, spała i jadła tylko jeden posiłek dziennie – traciła wagę, chociaż, niech to diabli, niezbyt szybko. Każdego wieczoru wracała do zagajnika, bo istniała szansa, że, jakikolwiek czar rzucono na las, działał tylko za dnia.

Trzeciego dnia w zasięgu wzroku Ariel pojawił się las. Granica między zagajnikiem dębowym a właściwym lasem była wyraźna – niewątpliwie magiczna. Mimo to Ariel się nie spieszyła. Przeciwnie – poruszała się jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej. Piątego dnia cierpliwość się opłaciła.

Ariel znajdowała się trzydzieści kroków od linii między zagajnikiem a lasem, kiedy poczuła barierę. Zatrzymała się gwałtownie, omal się nie przewracając. Na nic nie zważając, usiadła na ziemi i skrzyżowała nogi. Następną godzinę spędziła na badaniu bariery. Próbowała wyczuć jej fakturę i siłę bez używania magii.

Potem zaczęła cicho nucić. Chociaż pracowała do późnej nocy, sprawdzając raz, sprawdzając po raz drugi i po raz trzeci, czy ma rację

i niczego nie ominęła, wyglądało na to, że sploty były proste. Jeden zwyczajnie rejestrował, czy człowiek przekroczył granicę. Drugi, nieco bardziej skomplikowany, oznaczał intruza. To był słaby splot, który czepiał się ubrania lub skóry i znikał po kilku godzinach. Ezra – Ariel zakładała, że to on – sprytnie umieścił splot tak nisko nad ziemią, że znaczył buty intruza i krył się pod poszyciem.

Jednakże naprawdę sprytne było umieszczenie całości. Ile mag, widząc oczywistą granicę trzydzieści kroków dalej, wchodziło prosto w pułapkę, zanim wzniosło obrony?

Łatwo było ominąć pułapkę teraz, kiedy ją widziała, ale siostra Ariel nie zrobiła tego. Zamiast tego opisała swoje odkrycie w dzienniku i wróciła do Zakola Torras. Wiedziała, że jeśli popełniła błąd, zginie, zanim dotrze z powrotem do zajazdu. Dlatego powrót był nerwowy. Z całej duszy marzyła, żeby rozwiązać sploty starożytnej magii Ezry, ale nie dała się ponieść arogancji.

Listy od Mówczyni stawały się coraz bardziej nieprzyjemne, z żądaniami, by Ariel znalazła Jessie, żeby zrobiła coś, co pomoże zażegnać narastający kryzys w Oratorium. Ariel miała oczy otwarte, w nadziei że natrafi na kobietę, która odpowiadałaby celom jej siostry, ale wieśniacy z Zakola Torras skrupulatnie odsyłali każde dziecko, które miało chociaż odrobinę Talentu. Ariel nie znajdzie tu tego, czego potrzebowała Istariel.

Dlatego ignorowała listy. To był ostatnie miejsce i najmniej odpowiedni czas, żeby działać pospiesznie. To jeszcze nie tu i nie teraz.

25

Viridiana Sovari? Usłyszawszy swoje imię, Vi zatrzymała się gwałtownie na tłocznym targu. Drobny, brudny człowieczek skinął nerwowo głową. Podsunął jej list, ale go nie wzięła. Uważał, żeby nie stać za blisko niej, i nie pożerał jej wzrokiem, więc domyśliła się, że ma pewne pojęcie, kim jest Vi. Uśmiechnął się służalczo, zerknął na jej piersi, a potem uparcie gapił się pod nogi.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nikim ważnym, panienko. Tylko sługą nasze... wspólnego pana – odpowiedział, przyglądając się tłumowi wokół nich.

Jej serce ściął lód. Nie. Niemożliwe. Człowieczek znowu podał jej list i kiedy tylko go wzięła, zniknął w tłumie.

Moulina – napisano w liście – *w rzeczy samej ciekawi nas, skąd wiedziałaś, że Jarl jedzie do Caernarvon, ale to prawda, że wspomniałaś nam, że jesteś najlepsza. Pragniemy także, żebyś załatwiła sprawę z Kylarem Sternem. Wolelibyśmy, żeby pozostał przy życiu. Jeśli to okaże się niemożliwe, oczekujemy ciała i wszystkiego, co do niego należy, nieważne, jak trywialne wydadzą się te drobiazgi. Przywieź je natychmiast.*

Vi złożyła list. To niemożliwe, żeby Król-Bóg wiedział, że tu jest. Niemożliwe, że list od niego dotarł tu przed nią. Niemożliwe, że Jarl się tu znalazł – Jarl, którego tożsamość miała być sekretem. Jarl, od którego uciekała! Żądania Króla-Boga były niemożliwe do wykonania. Ale największą niemożliwością była jedyna naprawdę

niemożliwa rzecz w tej chwili: ucieczka. Vi była niewolnicą Króla-Boga. Nie miała żadnego wyjścia.

***

Jakoś tak się stało, że Kylara wrobiono w przygotowywanie obiadu na urodziny Uly. Ciotka Mea powiedziała, że żaden mężczyzna nie powinien bać się kuchni, Elene uznała, że w porównaniu z miksturami, które robił, obiad i deser to łatwizna, a Uly zachichotała, kiedy Kylar włożył falbaniasty, zdobiony koronką fartuch i umazał sobie nos mąką.

I tak Kylar wylądował z podwiniętymi rękawami w kuchni, gdzie próbował rozgryźć sekrety kucharskich terminów, takich jak blanszowanie, prażenie i karmelizowanie. Sądząc po chichotach Uly, dostał najtrudniejszy przepis, jaki zdołały znaleźć, ale postanowił nie psuć im zabawy.

– Co mam robić, jak już galaretka... zsiądzie się? – zapytał. Uly i Elene zachichotały. Kylar stanął z uniesioną łopatką, a dziewczyny zaśmiały się w głos.

Otworzyły się drzwi kuźni i wszedł brudny i śmierdzący Braen. Rzucił Kylarowi beznamiętne spojrzenie, po którym co prawda Kylarowi opadła ręka z łopatką, ale mąka na nosie dzielnie się trzymała. Braen spojrzał przeciągle na Elene.

– Kiedy obiad? – zapytał.

– Przyniesiemy ci do twojej jaskini, jak już będzie gotowy –

odpowiedział Kylar.

Braen burknął i powiedział do Elene:

– Powinnaś poszukać sobie prawdziwego mężczyzny.

– Wiesz co – powiedział Kylar, kiedy Braen, powłócząc nogami, wrócił do kuźni – znam jednego siepacza, który chętnie odwiedziłby tego buraka.

– Kylar – obruszyła się Elene.

– Nie podoba mi się to, jak na ciebie patrzy – odpowiedział. – Zaczepiał cię?

– Kylar, nie dziś, dobrze? – poprosiła Elene, kiwnąwszy głową do Uly.

Nagle przypomniał sobie o pudełeczku z kolczykami w kieszeni. Skinął głową. Przybierając poważny wyraz twarzy, zaatakował Uly, która pisnęła. Obrócił ją do góry nogami, przerzucił sobie przez ramię i udając, że jej nie zauważa, po prostu wrócił do gotowania.

Uly krzyczała, kopiąc i trzymając się kurczowo tyłu jego tuniki.

Ciotka Mea weszła do kuchni, pomrukując z troską:

– Nie mogę uwierzyć, że skończyły nam się mąka i miód.

– O, nie! – wykrzyknął Kylar. – To jak ja zrobię beszamel? Odłożył łopatkę i pochylił się, wyciągając ręce między nogami.

Na ten sygnał Uly ześlizgnęła się głową naprzód po jego plecach, złapała go za ręce, a on przeciągnął ją między nogami. Stanęła prosto, dysząc i śmiejąc się.

– Czy to dziś nie są czyjeś urodziny? – zapytał Kylar.

– Moje! Moje! – zawołała Uly.

Wyciągnął po srebrniku zza obu uszu dziewczynki. Dwie monety – napiwek od arystokraty. Znowu nie mieli z Elene żadnych pieniędzy, ale Uly była tego warta. Kiedy włożył srebrniki do jej dłoni, zrobiła ogromne oczy.

– Dla mnie? – zapytała, jakby nie mogła uwierzyć. Puścił do niej oko.

– Elene pomoże ci znaleźć coś ładnego, prawda?

– Możemy iść od razu? – zapytała Uly.

Kylar spojrzał na Elene, która wzruszyła ramionami.

– Możemy pójść z ciotką Meą.

– I tak muszę wyłuskać groszek – odpowiedział Kylar. Zachichotały. Uśmiechnął się do Elene i znowu nie mógł się nadziwić, jaka jest piękna. Był tak zakochany, że uczucie rozsadzało mu pierś.

Uly pobiegła w podskokach do drzwi i pokazała ciotce Mei monety. Elene dotknęła jego ramienia.

– Wszystko będzie w porządku? – zapytała.

– Po dzisiejszym wieczorze tak.

– Co masz na myśli?

– Zobaczysz.

Nie uśmiechnął się. Nie chciał się zdradzić. Gdyby się uśmiechnął, wyszczerzyłby zęby jak idiota. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy wyraz jej twarzy. Nie mógł się też doczekać innych rzeczy. Pokręcił głową i wrócił do gotowania. Wbrew temu, co mówił, przygotowanie posiłku nie było aż tak trudne. Tylko było z tym mnóstwo babrania. Zanim wziął surowe mięso, zdjął obrączkę i

odłożył na blat – nie było nic romantycznego w zapachu martwej krowy na rękach.

Pół minuty po tym, jak Elene, Uly i ciotka Mea wyszły, rozległo się pukanie do drzwi. Kylar znowu odłożył łopatkę i podszedł do drzwi.

– Czego zapomniałaś tym razem, Uly? – zapytał, łapiąc ścierkę i otwierając drzwi.

To był Jarl.

Kylarowi zaparło dech. Nie wierzył własnym oczom. Ale oto on: smukły, ładnie zbudowany, nieskazitelnie ubrany, tak piękny, jak tylko może być mężczyzna, z olśniewająco białymi zębami odsłoniętymi w niepewnym uśmiechu.

– Hejka, Merkur – powiedział.

Dlaczego przywitał się akurat w ten sposób? Silił się na dowcip czy odwoływał się do ich wspólnej historii? Z pewnością to drugie. Przez chwilę stali, patrząc ma siebie. Jarl nie zjawił się z wizytą. Jarl nikogo nie odwiedzał; na miłość boską, był Shingą. Prawdziwym Shingą, przywódcą najpotężniejszego Sa'kagé w Midcyru.

– Jak, u diabła, mnie znalazłeś, Jarl? – Teraz Kylar silił się na dowcip. Takich właśnie słów Jarl spodziewał się po Kylarze ostatnim razem, kiedy Jarl zjawił się u niego nieoczekiwanie.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Wejdź, proszę.

Zaparzył ootai i usiadł naprzeciwko Jarla, który usadowił się koło okna. Zapadła cisza. – Jest robota... – zaczął Jarl.

– Nie jestem zainteresowany.

Jarl nie przejął się tym. Zacisnął usta i obrzucił pytającym wzrokiem skromne pomieszczenie.

– Więc... co właściwie tak ci się podoba w tym miejscu?

– Mama K nie nauczyła cię taktu?

– Mówię poważnie.

– Ja też. Pojawiasz się po tym, jak ci powiedziałem, że rzucam ten fach, i na wstępie krytykujesz miejsce, w którym mieszkam?

– Logan żyje. Siedzi na Dnie.

Kylar popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Słowa zderzyły się ze sobą i roztrzaskały na podłodze, ich szczątki rozbłyskiwały w świetle prawdy, ale całość nie była niczym więcej niż skorupami i odłamkami zbyt ostrymi, by móc ich dotknąć.

– Wszyscy siepacze pracują dla Khalidoru. Zbuntowani arystokraci wycofali się do posiadłości Gyre'ów. Kilka przygranicznych garnizonów nadal jest obsadzonych, ale nie mamy przywódcy, który by nas zjednoczył. Coś się dzieje na Zmarzlinie, czym Król-Bóg się martwi, więc jeszcze niczego nie zrobił, żeby utrwalić swoją władzę. Myśli, że rody arystokratyczne nawzajem się pozagryzają. I jeśli nie wydostaniemy Logana, to będzie miał rację.

– Logan żyje? – zapytał jak ogłupiały Kylar.

– Król-Bóg kazał odnaleźć mnie naszym byłym siepaczom. Po części dlatego tu przyjechałem. Musiałem wynieść się z Cenarii, dopóki nie rozejdzie się fama, że chroni mnie sam Kage.

– Nie.

– Z każdym dniem rośnie ryzyko, że Logan zostanie odkryty. Najwyraźniej żaden z więźniów na Dnie nie rozpoznał go, ale trafia tam coraz więcej ludzi. Może ucieszysz się, słysząc, że diuk Vargun jest jednym z nich. Potraktuj to jak małą premię. Kiedy uratujesz Logana, możesz przy okazji zabić tego zwyrodnialca.

– Co? – Tryby obracały się zbyt szybko, żeby Kylar za tym wszystkim nadążył. – Jarl, Tenser nie jest Tenserem Vargunem. Nie rozumiesz? Dał się zrzucić na Dno, żeby przejść najgorsze możliwe więzienie. Potem pokażą prawdziwego barona, żywego, i Tenser zostanie zwolniony. Miesiąc później przyjdzie do Sa'kagé z żalem z powodu fałszywego oskarżenia i ze wszystkimi koneksjami diuka. I co wtedy?

– Przyjmiemy go – przyznał cicho Jarl. – Jak moglibyśmy oprzeć się takiej pokusie?

– A on was zniszczy, ponieważ nie jest Tenserem Vargunem – dodał Kylar. – To Tenser Ursuul.

Jarl siedział chwilę jak rażony gromem. A po dłuższej chwili odezwał się:

– Widzisz, Kylar, dlatego właśnie cię potrzebuję. Nie tylko ze względu na umiejętności, ale też dla twojego umysłu. Jeśli Tenser już tam wylądował, to posiedzi tylko tyle, żeby jego pobyt na Dnie był wiarygodny, a potem powie ojcu o Loganie. Musimy jechać. Natychmiast!

Pudełko z kółkami paliło Kylara w nogę. Wyglądał przez otwarte okno, kiedy Jarl mówił, patrząc na miasto, które miało się stać jego

domem do końca życia. Kochał to miasto, kochał żyjącą tu nadzieję, kochał leczenie i niesienie pomocy, kochał proste przyjemności, jak na przykład uznanie dla jego mikstur. Kochał Elene. Udowodniła mu, że więcej dobrego może dokonać, lecząc niż zabijając. To wszystko miało sens... a jednak... a jednak...

– Nie mogę – powiedział. – Przykro mi. Elene nie zrozumiałaby tego.

Jarl zakołysał się na tylnych nogach krzesła.

– Nie zrozum mnie źle, Merkur, bo też dorastałem z Elene i kocham tę dziewczynę. Ale co cię, do diabła, obchodzi, co ona sobie pomyśli?

– Odpierdol się, Jarl.

– Ej, tylko pytam.

I zostawił pytanie zawieszone między nimi, nawet na chwilę nie odrywając oczu od twarzy Kylara. Przez te wszystkie lata ten łajdak naprawdę dużo się nauczył od Mamy K.

– Kocham ją.

– Pewnie, to po części tłumaczy sprawę. I znowu to wyczekujące spojrzenie.

– Ona jest dobra, Jarl. No wiesz, w taki sposób, w jaki ludzie nie są tam, skąd pochodzimy. Jest dobra nie dla korzyści. Nie dlatego, że inni patrzą. Po prostu jest dobra. Na początku myślałem, że taka się urodziła, no wiesz, tak jak ty masz ciemną skórą, a ja jestem porażająco przystojny.

Jarl uniósł brew. Nie roześmiał się.

– Ale teraz widzę, że musi nad tym pracować. I rzeczywiście pracuje i pracowała nad tym równie długo, jak ja uczyłem się zabijać ludzi.

– Zatem jest święta. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Kylar milczał dobrą minutę. Drapał paznokciem nierówności drewnianego stołu.

– Mama K mawiała, że stajemy się maskami, które nosimy. Co kryje się pod naszymi maskami? Elene zna mnie jak nikt inny. Zmieniłem imię, zmieniłem swoją tożsamość, porzuciłem wszystko i wszystkich, których znałem. Cały jestem kłamstwem, ale dopóki Elene mnie zna, może istnieje we mnie coś prawdziwego. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiesz co, myliłem się co do ciebie. Kiedy dałeś się zabić, ratując Elene i Uly, myślałem, że jesteś bohaterem. Ale żaden z ciebie bohater. Ty siebie, kurwa, zwyczajnie nienawidzisz.

– Słucham?

– Jesteś tchórzem. No dobra, robiłeś złe rzeczy. Witam w klubie. I wiesz co? Cieszę się, że je robiłeś. Dzięki temu jesteś kimś lepszym niż święty.

– Zabójca jest lepszy od świętego? Popierdolona logika prosto z Sa'kagé...

– Dzięki temu jesteś użyteczny. Wiesz, jak teraz wygląda Cenaria? Nie uwierzyłbyś. Nie przyjechałem po zabójcę. Przyjechałem po Tego Zabójcę, po Anioła Nocy, człowieka, który jest więcej niż siepaczem, ponieważ mamy kłopoty większe niż to, z czym

poradziłby sobie siepacz. Tylko jeden człowiek może nam pomóc, i to jesteś ty. Uwierz mi, nie byłeś pierwszym, który przyszedł mi na myśl... – Urwał nagle.

– Co to miało znaczyć?

Jarl nie potrafił spojrzeć mu w oczy. – Nie chciałem...

– Co chciałeś powiedzieć? – zapytał groźnym tonem Kylar.

– Musiałem mieć pewność. Zachowaliśmy pełen szacunek, chcę, żebyś to wiedział. To był pomysł Mamy K. Kiedyś był nieśmiertelny, musieliśmy się upewnić...

– Wykopałeś trupa mojego ojca?!

– Pochowaliśmy ciało... pochowaliśmy go tak, jak ty go pochowałeś. – Jarl się skrzywił. – To było jakiś tydzień po najeździe...

– Wykopałeś go, kiedy jeszcze byłem w mieście?

– Nie mogliśmy powiedzieć ci wcześniej, a potem nie było o czym. Mama K powiedziała, że ciało tam będzie, bo Durzo oddał swoją nieśmiertelność tobie, ale kiedy go zobaczyła... W życiu nie widziałem niczego bardziej przerażającego. Kylar, ta kobieta mnie wychowała, a nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Histeryzowała, płakała, krzyczała. My tu właśnie w pochmurną noc przypłynęliśmy na wyspę Vos łodzią z wiosłami owiniętymi wełną, a ona zaczyna wyć, jakby jej odjęło rozum. Byłem pewien, że zjawi się patrol, i natychmiast chciałem uciekać z wyspy, ale ona nie chciała wracać, dopóki nie leżał tak, jak ty go zostawiłeś.

Jakby Kylarowi zależało, żeby Durzo został na tej przeklętej skale. Skoro już go wykopali, to mogli przynajmniej zabrać go...

Gdzie? Do domu? Czy Durzo kiedykolwiek miał jakiś dom?

– Jak wyglądał? – zapytał cicho.

– W mordę, wyglądał, jakby leżał w ziemi tydzień, a coś ty niby myślał?

No pewnie. Niech to szlag, panie Blint, dlaczego dałeś mi swoją nieśmiertelność? Miałeś już dość życia? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Ale z drugiej strony, może i Durzo mu powiedział – w tym liście, który mu dał. W liście, który przesiąkł jego krwią i stał się nieczytelny.

– Chcesz, żebym dostał się do Paszczy i uratował Logana?

– Wiesz, kogo Król-Bógwziąłsobie nakonkubiny? Młode dziewczyny z arystokratycznych rodzin. Najchętniej dziewice. Zgaduję, ile upokorzeń i poniżenia może znieść każda z nich. Umieszcza je w pokojach na wieży, z balkonami, z których wyrwano barierki, więc skok kusi każdego dnia. To dla niego gra.

Kylar starał się mówić obojętnym tonem.

– Do rzeczy.

– Wziął Serah i Mags Drakę. Serah zabiła się pierwszego tygodnia. Mags nadal tam jest.

Serah i Mags Kylar traktował jak siostry. Mags zawsze była dobrym kumplem. Skora do śmiechu, zawsze uśmiechnięta. Kylar tak się skupił na sobie od czasu przewrotu, że prawie o nich nie myślał.

– Chcę, żebyś uratował Logana, a potem zabił Króla-Boga.

– To wszystko? – zapytał z lodowatym rozbawieniem Kylar.

Słyszał ten ton u Durzo setki razy. – Niech zgadnę, najpierw sprawa Logana, bo moje szanse z Królem-Bogiem nie są za duże?

– Zgadza się – odpowiedział ze złością Jarl. – Właśnie w taki sposób muszę myśleć, Kylar. Walczę w wojnie, w której codziennie umierają ludzie lepsi od nas. A ty siedzisz na tyłku, bo martwisz się, co sobie pomyśli jakaś dziewczyna?

– Nie waż się mówić o Elene.

– Bo co? Nachuchasz na mnie? Jesteś matołem, który przysiągł nie stosować przemocy. Tak, wiem o tym. Pozwól, że coś ci powiem. Roth przysporzył ludziom wiele cierpienia. Cieszę się, że go zabiłeś. W porządku? Spieprzył mi życie. Ale nawet do pięt nie dorasta ojcu. – Jarl zaklął. – Popatrz na siebie! Wiem, że ta robota jest niewykonalna. Każę ci zabić boga. Ale jeśli ktokolwiek na świecie jest w stanie to zrobić, to właśnie ty. Zostałeś do tego stworzony. Myślisz, że przeszedłeś przez całe to szambo, żeby sprzedawać napary na kaca? Są rzeczy większe od twojego szczęścia. Możesz dać nadzieję całemu krajowi.

– A sam stracę wszystko – szepnął Kylar. Poszarzał na twarzy.

– Jesteś nieśmiertelny. Będą inne dziewczyny. Kylar spojrzał na niego z odrazą.

Wyraz twarzy Jarla natychmiast się zmienił.

– Przepraszam. Właściwie, będą też inni Królowie-Bogowie i inni Shingowie. Po prostu potrzebuję... potrzebujemy cię. Logan umrze, jeśli nie przyjedziesz. Tak samo jak Mags i mnóstwo innych ludzi, których nigdy nie poznasz.

Łatwiej byłoby, gdyby nie zgadzał się z chociaż jedną rzeczą, o której powiedział Jarl. Kylar zapytał Mamę K, czy człowiek może się zmienić. Teraz otrzymał odpowiedź. I wyssała z niego całe życie.

– W porządku. Przyjmę to zlecenie. Jarl się uśmiechnął.

– Dobrze, że wracasz, przyjacielu.

– Źle, że wracam.

– Nie chciałem wcześniej tego mówić, ale zrobiłeś coś, żeby wkurzyć miejscowego Shingę? – zapytał Jarl. Minę Kylara uznał za potwierdzenie. – Bo jeden z moich informatorów powiedział mi, że Shinga złożył zlecenie na cenaryjskiego siepacza. Informator nie znał żadnych szczegółów, ale, cóż, nie sądzę, żeby kręciło się tu wielu siepaczy z Cenarii. Im dłużej tu jesteś, tym bardziej narażasz Elene i Uly.

Durzo powiedział kiedyś Kylarowi, że najlepszą metodą likwidacji zlecenia jest zlikwidowanie zleceniodawcy. Dla bezpieczeństwa Elene, Uly, ciotki Mei i nawet Braena Barush Błystka musiał umrzeć.

Kylar wstał odrętwiały i poszedł na górę. Wrócił minutę później z obliczem równie ponurym jak szary strój siepacza, który ponownie wdział.

***

Vi wzięła łuk do ręki, próbując zmusić się do naciągnięcia go i przyłożenia czerwono-czarnej strzały. Siedziała na dachu i zaglądała

do domu akuszerki. Spędziła już tak godzinę. Przywarła plecami do komina i otuliła się cieniem. W żadnym razie nie była niewidzialna, ale kiedy przykucnęła wśród zapadającego zmierzchu z zachodzącym słońcem za plecami, niewiele jej brakowało do niewidzialności.

Przyjechała do Caernairon, żeby właśnie tego uniknąć. Myślała, że jedynym sposobem na to, by nie zabijać Jarla i uniknąć gniewu Króla-Boga, będzie załatwienie Kylara. A w czasie, kiedy ona będzie poza miastem, Jarl ucieknie albo zginie z ręki innego siepacza.

Skąd się tu wziął?

Chciała strzelić obok niego prosto w Kylara i udawać, że Jarla tam nie było, udawać, że nigdy nie dostała listu. Ale nie miała możliwości strzelić tak, żeby zdjąć Kylara, a na kłamstwach daleko nie zajedzie u Króla-Boga. Jarl usiadł idealnie we frontowym oknie. Okno było otwarte. Vi używała specjalnego łuku, który tylko osoba z Talentem miała siłę naciągnąć, więc czerwono-czarna strzała zdrajcy przebiłaby się przez okno, a nawet przez okiennice, gwoli ścisłości.

Jarl siedział całkowicie odsłonięty. Nigdy nie popełniłby takiego błędu w Cenarii, ale tutaj poczuł się bezpiecznie. Uciekł prosto w ramiona śmierci.

Mimo to czekała. Niech szlag trafi Jarla za jego głupotę. Jeśli Vi go nie zabije, Król-Bóg dowie się o tym. Odnajdzie ją. Niech cię szlag, Jarl, za tę twoją dobroć.

Dokończ robotę. Hu Szubienicznik lubił najpierw torturować truposzy, ale tylko wtedy, kiedy miał pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Hu zawsze kończył robotę. Idealny strzał nigdy nie

nadejdzie. Po prostu wybierz dowolny strzał, który zabije.

Klnąc pod nosem, żeby uruchomić Talent, wstała i przyciągnęła strzałę do policzka. Oderwała się od zarysu komina i stanęła w umierającym świetle. Drżała, ale do celu miała ledwie trzydzieści kroków.

– Niech cię szlag, Jarl, rusz się!

Mogła uciec. Na Gandu albo w Ymmurze Król-Bóg nigdy jej nie znajdzie. Czyżby? Nie wierzyła w to. Nikomu nie powiedziała, że tu jedzie, nie zostawiła żadnego śladu, a jednak wiedział. Jeśli ucieknie, Król-Bóg pośle za nią jej mistrza, a Hu Szubienicznik nigdy nie zawodzi. Uroda wiele dała Vi, ale także skutecznie uniemożliwiała jej ukrycie się. Nigdy nie zawracała sobie głowy przebieraniem. Nigdy nie uważała tego za słabość. Aż do dzisiaj.

– No, Kylar – szepnęła. – Po prostu przejdź przed oknem. Tylko raz.

Teraz już cała się trzęsła, ale nie tylko z powodu płonącego w niej Talentu i nie tylko z powodu naciągniętego od dłuższej chwili łuku. Dlaczego tak bardzo życzyła śmierci Kylarowi?

Zobaczyła nogę, nogę odzianą w szary strój siepacza, ale nic więcej. Do diabła. Jeśli Kylar wychodził, miała poważne kłopoty. Słyszała, że potrafi stać się całkiem niewidzialny, ale to były typowe przechwałki siepaczy. Wszyscy przesadzali, opisując swoje umiejętności, żeby zawyżać ceny za usługi. Każdy chciał być drugim Durzo Blintem.

Tyle że to był uczeń Durzo, człowiek, który go zabił. Vi ogarnął

strach.

Smutek i współczucie sprawiły, że twarz Jarla była ściągnięta. Na widok tego spojrzenia – widziała je już wcześniej, kiedy Jarl zaopiekował się nią, po tym jak Hu Szubienicznik przyszedł przetestować nowe umiejętności, których uczyła się u Mamy K, uznał, że niczego się nie nauczyła, zbił ją do nieprzytomności i zgwałcił w każdy możliwy sposób – na widok tego spojrzenia, wzrok jej się zamglił. Mrugała i mrugała, nie chcąc uwierzyć, że to łzy. Nie płakała od tamtej nocy, odkąd Jarl ją tulił, kołysał i pomagał poskładać popękane kawałki siebie z powrotem w całość.

Jarl wstał i podszedł do okna. Uniósł wzrok i zobaczył Vi, jej ciemną sylwetkę podświetloną słońcem. Zaskoczenie zapłonęło w jego oczach, a zaraz potem rozpoznanie – jaki inny siepacz miał kobiecą figurę? – i mogła przysiąc, że widziała, jak jego usta poruszają się, wypowiadając jej imię. Palce jej zdrętwiały i cięciwa wymknęła się z chwytu.

Czerwono-czarna strzała zdrajcy przeskoczyła najwęższą z przepaści – odległość między siepaczem a jego truposzem. Strzała zakreśliła czerwoną ścieżkę w powietrzu, jakby to sama noc krwawiła.

26

Elene, wybacz – pisał Kylar drżącą dłonią. – *Próbowałem. Przysięgam, że próbowałem. Niektóre rzeczy są warte więcej niż moje szczęście. Niektórych rzeczy tylko ja mogę dokonać. Odsprzedaj to panu Bourary i przeprowadź się z rodziną do lepszej części miasta. Zawsze będę Cię kochać.*

Wyjął z kieszeni pudełeczko z kółkami i położył je na kawałku pergaminu.

– Co jest w pudełku? – spytał Jarl. Kylar nie spojrzał na przyjaciela.

– Moje serce – szepnął i powoli wypuścił pudełko z dłoni. – Kolczyki – dodał.

Odwrócił się.

Jarl natychmiast go przejrzał.

– Zamierzałeś się z nią ożenić.

Gula narastała Kylarowi w gardle. Nie było żadnych słów. Musiał odwrócić się od Jarla.

– Słyszałeś kiedykolwiek o ukrzyżowaniu? – zapytał w końcu. Jarl pokręcił głową.

– Tak Alitaeranie dokonują egzekucji na buntownikach. Rozciągają ich na drewnianej ramie i wbijają gwoździe w nadgarstki i stopy. Żeby odetchnąć, skazaniec musi unieść swój ciężar na gwoździach. Czasem trzeba całego dnia, zanim człowiek umrze, uduszony własnym ciężarem.

Nie potrafił dokończyć metafory, ale czuł, że sam został ukrzyżowany, buntownik przeciwko losowi w złowrogim wszechświecie niszczącym wszystko co dobre. Ukrzyżowany, rozciągnięty pomiędzy Loganem i Elene, przygwożdżony do każdego lojalnością, którą był im winien, duszący się pod miażdżącym ciężarem własnego charakteru. Ale to nie tylko Logan i Elene ciągnęli go w dwie różne strony. To dwa życia, dwie ścieżki. Droga cienia i droga światła. Wilk i wilczarz. A może wilczarz i piesek salonowy?

Kylar myślał, że może się zmienić. Myślał, że może mieć wszystko. Rzucił się głową naprzód w albo-albo i wybrał obie możliwości. To go doprowadziło do ukrzyżowania – nie machinacje występnego boga ani nieustępliwy obrót koła Fortuny. Obie drogi Kylara oddalały się coraz bardziej i bardziej od siebie, a on trzymał się ich kurczowo, aż w końcu nie mógł oddychać. Liczyło się teraz tylko jedno pytanie: jakim jestem człowiekiem?

– Chodźmy – powiedział, stając się wilczarzem. Jarl stał zadumany w oknie.

– Byłem kiedyś zakochany – powiedział. – Albo coś w tym stylu. W pięknej dziewczynie prawie tak samo pochrzanionej jak ja.

– Kto to był?

– Nazywała się Viridiana. Vi. Piękna, piękna... – Jarl podniósł wzrok i zesztywniał. – Vi?

Padł w fontannie krwi, gdy strzała przebiła jego szyję. Ciało Jarla padło na drewnianą podłogę jak worek mąki. Jarl zamrugał raz. W jego oczach nie było ani strachu, ani złości. Twarz miała kpiący

wyraz. „Możesz w to uwierzyć?” – pytały jego oczy, kiedy Kylar wziął jego głowę na kolana.

A potem oczy Jarla zamilkły.

– Mogę ją pokazać Kylarowi? – zapytała Uly.

Ściskała w rękach tę samą lalkę, którą kilka dni temu wybrał Kylar.

Elene uśmiechnęła się. Radził sobie jako ojciec lepiej, niż podejrzewał.

– Tak – powiedziała Elene. – Ale biegnij prosto do domu, obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiedziała Uly i pobiegła.

Elene patrzyła z niepokojem, jak dziewczynka odbiega, ale cóż, zawsze się niepokoiła – nawet z powodu drobiazgów. Na szczęście Caernarvon nie przypominało Nor. Poza tym dom znajdował się raptem dwie przecznice dalej.

– Musimy porozmawiać, prawda? – zagadnęła ją ciotka Mea. Robiło się późno. Ukośne promienie słońca padały na kupców, którzy pakowali towary i ruszali do domów. Elene przełknęła ślinę.

– Obiecałam Kylarowi. Umówiliśmy się, że nikomu nie powiemy, ale...

– Więc nic nie mów. – Ciotka Mea uśmiechnęła się i wzięła Elene pod rękę, prowadząc do domu.

– Nie mogę – powiedziała Elene, zatrzymując ją. – Już dłużej tak nie mogę.

Opowiedziała ciotce Mei o wszystkim, od kłamstwa o ich

małżeństwie, przez kłótnie o seks, po fakt, że Kylar był siepaczem i próbował porzucić ten fach. Ciotka Mea nie wyglądała na zaskoczoną.

– Elene – powiedziała, biorąc ją za ręce. – Kochasz Kylara czy jesteś z nim tylko dlatego, że Uly potrzebuje matki?

Elene zamilkła, żeby z pokorą potraktować pytanie i mieć pewność, że odpowie całkiem szczerze:

– Kocham go – odpowiedziała. – Uly ma w tym swój udział, ale naprawdę go kocham.

– Więc dlaczego ustawiasz bariery? Elene podniosła wzrok.

– Nie robię tego...

– Nie możesz być szczera ze mną, dopóki nie będziesz szczera ze sobą.

Elene spojrzała na swoje dłonie. Wóz wieśniaka załadowany niesprzedanymi towarami przejechał obok nich z turkotem. Światło przygasało i na ulicy zapadał zmrok.

– Musimy wracać – powiedziała Elene. – Obiad pewnie już wystygł.

– Dziecko – powiedziała ciotka Mea. Elene zatrzymała się i powiedziała:

– On jest zabójcą. To znaczy, zabijał ludzi.

– Nie, masz rację. Jest zabójcą.

– Nie, to dobry człowiek. Może się zmienić. Wiem to.

– Dziecko, wiesz dlaczego rozmawiasz ze mną, chociaż obiecałaś Kylarowi, że tego nie zrobisz? Bo zgodziłaś się na coś, co jest niezgodne z twoją naturą. Za grosz nie potrafisz kłamać, ale

próbowałaś, bo obiecałaś. On zrobił to samo, prawda?

– Co masz na myśli?

– Jeśli nie możesz kochać Kylara takim, jaki jest, jeśli kochasz go tylko za to, czym twoim zdaniem mógłby być, okaleczasz go.

Kylar był nieszczęśliwy. Kiedy zaczął wychodzić nocą, o nic nie pytała, nie chciała wiedzieć, co robił.

– Co powinnam zrobić? – zapytała.

– Myślisz, że jesteś pierwszą kobietą, która bała się pokochać? Te słowa cięły do żywego. Rzuciły całkiem nowe światło na ich nocne pieszczoty i kłótnie. Myślała, że jest święta, bo nie kochała się z Kylarem, ale po prostu się bała. Czuła, że do tego stopnia straciła kontrolę nad życiem, że gdyby poddała się też w sypialni, stałaby się całkiem bezsilna.

– Mogę go kochać, jeśli go nie rozumiem? Mogę kochać, jeśli nienawidzę tego, co robi?

– Dziecko. – Ciotka Mea delikatnie położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. – Miłość jest takim samym aktem wiary jak wiara w Boga.

– On nie wierzy. Nie da się zaprzęgnąć razem wołu i wilka – odpowiedziała Elene, wiedząc, że chwyta się ostatniej deski ratunku.

– Myślisz, że jarzmo dotyczy tylko kółek ślubnych albo kochania się? Nie musisz go rozumieć, Elene, musisz go kochać, aż w końcu zrozumiesz. – Ciotka Mea wzięła Elene za rękę. – Chodź, zjedzmy wreszcie obiad.

Razem ruszyły do domu. Elene było lekko na sercu; nie czuła się

tak już od miesięcy. I nawet nie martwiła się, że będzie musiała porozmawiać poważnie z Kylarem. Poczuła przypływ nadziei.

Elene otworzyła drzwi, ale w domu panowała głucha cisza i było pusto.

– Kylar?! – zawołała. – Uly?!

Nie było odpowiedzi. Jedzenie stało zimne na blacie kuchennym; galaretka, którą robił Kylar, ścięła się i popękała. Serce podeszło Elene do gardła. Nawet wzięcie oddechu wymagało wysiłku. Ciotka Mea przeraziła się. Elene pobiegł na górę i wyciągnęła skrzynkę z ubraniami siepacza i wielkim mieczem Kylara. Była pusta. Ani śladu żadnej z tych rzeczy.

Zeszła na dół, a prawda docierała do niej powoli, jak słońce zapadające za horyzont.

„Wszystko będzie w porządku?”, zapytała go wcześniej.

„Po dzisiejszym wieczorze tak”, odpowiedział bez uśmiechu.

Obrączka Kylara leżała obok pieca. Nie było listu, niczego. Nawet Uly zniknęła. Kylar w końcu się poddał. Odszedł.

***

Vi zrzuciła z ramienia wiercące się dziecko, kiedy weszła do stajni obskurnego zajazdu, gdzie zostawiła konia. Stajenny leżał nieprzytomny przy drzwiach i krwawił. Pewnie przeżyje. To nieistotne; ogłuszyła go głowicą, zanim ją zobaczył.

Dziewczynka pisnęła przez knebel. Vi przyklękła i złapała

dzieciaka jedną ręką za gardło. Wyciągnęła knebel.

– Jak się nazywasz? – zapytała małą.

– Idź do diabła! – Oczy dziewczynki rozbłysły rezolutnie. Miała nie więcej niż dwanaście lat.

Vi spoliczkowała ją. Mocno. Potem znowu i znowu, i jeszcze raz, beznamiętnie, tak jak bił ją Hu. Kiedy dziewczynka próbowała się wyrwać, Vi złapała ją mocniej za gardło, jasno wyrażając groźbę: im bardziej będziesz się wyrywać, tym bardziej cię przyduszę.

– No dobrze, Idź Do Diabła. Chcesz, żebym tak cię nazywała, czy jednak inaczej?

Dziewczynka znowu zaklęła. Vi obróciła dziewczynkę, zaciskając rękę na jej ustach. Drugą ręką znalazła wrażliwe miejsce na łokciu dziecka i wbiła w nie palce.

Dziecko wrzasnęło prosto w dłoń.

Dlaczego jej jeszcze nie zabiłam?

Robota została wykonana bez zarzutu. Kylar zabrał ciało Jarla, kiedy już uzbroił się do polowania. Vi tylko mignęły ostrza chowane do pochew i... wszystko zniknęło – z pewnością to była gra światła i kwestia odległości, przecież Kylar nie mógł być naprawdę niewidzialny. Tak czy inaczej zabrał ciało Jarla, a Vi odczekała chwilę i poszła do jego domu.

Zamierzała założyć kilka pułapek. Miała idealną truciznę kontaktową, którą powinna rozsmarować na klamce drzwi do sypialni i pułapkę z igłą, która idealnie pasowałaby do skrzynki, którą trzymał pod łóżkiem. Ale nie potrafiła tego zrobić. Nadal wstrząśnięta

śmiercią Jarla, kręciła się po domu jak zwykły złodziej.

Znalazła liścik i parę kolczyków, które wyglądały na drogie – zresztą to wynikało z samego listu – chociaż były dziwnie nie do pary, jeden większy od drugiego. Schowała obie rzeczy, ale nie tknęła złotej obrączki przy piecu. Niech szczęśliwa rodzinka zachowa swoje pamiątki. Nie bardzo wiedziała, o co chodzi w liście. Kylar próbował? Próbował chronić Jarla?

Drzwi otworzyły się, zaskakując Vi. Do domu weszła mała dziewczynka. Vi związała ją, zakneblowała i stanęła, przyglądając się temu, w co się wpakowała.

Była skończona. Nie potrafiła zabić tego dzieciaka. Nie potrafiła nawet zabić Kylara. Nie, to nieprawda, była przekonana, że nadal potrafiłaby go zabić. Jedyny sposób, żeby ujść z życiem ze współpracy z Królem–Bogiem, to zadowolić go. Będzie bardziej zadowolony, jeśli Vi dostarczy Kylara żywego. Jeśli dostarczy go żywego, Król-Bóg nigdy nie dowie się o jej słabości. Vi zyska trochę na czasie i może dojdzie do siebie, bo coś w niej pękło, gdy patrzyła, jak Jarl umiera w fontannie krwi.

Z nową energią poszła do sypialni Kylara. Lekką, zręczną ręką wydrapała w stoliku obok łóżka symbol cenaryjskiej Sakage. Poniżej dopisała „Mamy dziewczynkę”. Kiedy Kylar wróci, odkryje, że jego córka zniknęła, i zacznie przeszukiwać cały dom. Znajdzie wiadomość i ruszy za Vi prosto w ręce Króla-Boga.

Teraz musiała tylko wymyślić, jak przemycić wyjącego dzieciaka z miasta.

– Spróbujmy raz jeszcze – powiedziała Vi. – Jak się nazywasz?

– Uly – odpowiedziała dziewczynka z twarzą czerwoną od płaczu.

– No dobrze, Ula-Brzydula, wyjeżdżamy. Pojedziesz ze mną żywa albo martwa. To nieistotne. I tak spełnisz swoją rolę. Przywiążę ci ręce do siodła, więc możesz zeskoczyć z konia, jeśli zechcesz, ale wtedy po prostu zarobisz kopytem i koń będzie cię wlókł, aż umrzesz. Twój wybór. Otwórz usta.

Uly otworzyła usta i Vi z powrotem ją zakneblowała.

– Bądź cicho – powiedziała. Skrzywiła się, patrząc na knebel. – Powiedz coś.

– Mmm?

– Cholera. – Vi skupiła całą wolę na kneblu. – Bądź cicho! – szepnęła. – Jeszcze raz.

Uly poruszyła ustami, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Vi wyciągnęła knebel. Już nie był potrzebny. To była drobna sztuczka, na którą wpadła przypadkiem kilka lat temu. Daleko było temu rozwiązaniu do doskonałości, ale ciche dziecko łatwiej wywieźć z miasta niż zakneblowane. Vi osiodłała swoją klacz i drugiego najlepszego konia w stajni.

Pół godziny później Caernarvon zanikało w oddali, za plecami Vi, ale wolność nadal znajdowała się daleko poza zasięgiem.

27

Zimna wściekłość rozpaliła świat do białości. Kylar pędził po dachach. Dobiegł do krawędzi i skoczył, szybując w powietrzu. Z łatwością przeskoczył odstęp dwudziestu stóp i wbiegł po ścianie. Odepchnął się od niej, złapał wystającą belkę dachową i wskoczył na nią bez najmniejszego zachwiania.

Robił to wszystko, będąc niewidzialnym, co jeszcze kilka dni temu niezmiernie by go ucieszyło. Dzisiaj nie potrafił odczuwać żadnej przyjemności. Przyglądał się ciemnym ulicom.

Przed wyjściem zmył krew Jarla z podłogi – nie zamierzał zostawiać tego Elene. Zabrał ciało przyjaciela na cmentarz. Jarl nie będzie gnił w rynsztoku jak jakieś ścierwo. Kylar nie miał pieniędzy nawet na to, żeby zapłacić grabarzowi za wykopanie dołu – wielkie dzięki, Boże – więc zostawił Jarla i przysiągł wrócić.

Jarl nie żył. Jakaś część Kylara nie mogła w to uwierzyć – ta część, która myślała, że spokojne życie waeddryńskiego uzdrowiciela może stać się jego życiem. Jak mógł w to uwierzyć? W życiu Anioła Nocy nie było żadnego spokoju. Żadnego. Był zabójcą. Śmierć unosiła się w ślad za nim, jak błoto kłębiące się w wodzie, gdy przeciągnąć kijem po dnie czystego, nieruchomego stawu.

Tam. Dwóch rzezimieszków dręczyło pijaka. Na bogów, to był ten sam pijak, którego tamtej nocy zostawił samemu sobie? Kylar zeskoczył z dachu, odbił się od niższego daszku i w dziesięć sekund znalazł się na ulicy.

Pijak już leżał na ulicy z rozbitym nosem. Jeden z rzezimieszków odrywał sakiewkę od pasa mężczyzny, a drugi stał z długim nożem w ręce i pilnował, czy nikt nie nadchodzi.

Kylar pojawił się częściowo – mięśnie zalśniły opalizującą czernią, oczy były jak czarne kule, twarz jak maska furii. Chciał tylko nastraszyć tego z nożem, ale na jego widok bandzior wytrzeszczył oczy i Kylar mógł przysiąc, że zobaczył w nich coś tak mrocznego, że zmusiło go to do działania.

Nim się zorientował, sztylet naręczny już pił krew z serca bandyty. Nóż uderzył o bruk.

– Co robisz, Terr?! – zawołał drugi napastnik, odwracając się. Chwilę potem Kylar przyszpilił bandytę do muru, trzymając go za gardło. Zwalczył pragnienie, żeby zabić, zabić, zabić.

– Gdzie jest Shinga? – zapytał.

Przerażony mężczyzna młócił rękami i krzyczał.

– Czym ty jesteś?

Kylar złapał mężczyznę za rękę i ścisnął ją. Kość pękła. Mężczyzna wrzasnął. Kylar poczekał i ścisnął jeszcze mocniej. Pękła kolejna kość.

Strumień przekleństw nie robił na nim wrażenia. Kylar zmiażdżył dłoń bandyty na miazgę i złapał go za drugą rękę. Mężczyzna zaczął bełkotać, patrząc na pogruchotaną dłoń.

– O, w mordę, o, w mordę! Moja ręka, ożeż w mordę.

– Gdzie jest Shinga? Nie będę się powtarzał.

– Ty pojeb... nie! Przestań! W trzecim magazynie przy trzecim

nabrzeżu. O, bogowie! Czym ty jesteś?

– Jestem sędzią – odpowiedział Kylar.

Podciął mężczyźnie gardło i puścił go. Pijak gapił się na niego. Sądząc po jego minie, myślał, że właśnie zwariował.

Magazyn bez wątpienia był kryjówką Shingi, ale Barusha Błystki tam nie było. Kylar uznał, że to już by było za dużo szczęścia. Za to za frontowymi drzwiami czekało dziesięciu strażników. Kylar przyjrzał im się z belek pod sufitem, patrząc, który wygląda na bardziej zorientowanego od reszty.

Obecność strażników była wystarczającym dowodem na to, że Barush Błystka wysłał siepacza, który zabił Jarla. Kylar nie miał pojęcia, jak Błystka się dowiedział, że to właśnie przez niego zmoczył się tamtej nocy, ale zabicie niewłaściwej osoby byłoby dokładnie w stylu tego Shingi.

Kylar wylądował za plecami mężczyzny, który wyglądał na przywódcę. Złapał go za prawą rękę i zabrał mu miecz.

Połowa zbirów leżała, zanim w ogóle dotarło do nich, że powinni walczyć z niewidzialnym człowiekiem, który właśnie ich zabija. Ci, którzy walczyli, walczyli nędznie. Ubierz zbira w zbroję i daj mu miecz zamiast pałki, a nie dostaniesz żołnierza, tylko zbira, który macha mieczem jak kawałkiem drewna. Pospiesznie wpadli w objęcia śmierci.

Kylar stanął nad przywódcą, ostatnią żywą osobą i znowu pozwolił, aby jego oczy i twarz stały się widoczne. Postawił jedną stopę na złamanej ręce mężczyzny i przytknął miecz do jego szyi.

– Jesteś siepaczem. – Mężczyzna zaklął. Pocił się ze strachu, a jego szeroka twarz pobladła. Dygotał tak, że trzęsła mu się nawet gęsta, czarna broda. – Mówił, że jesteś dziewczyną.

– Pomyłka. Gadaj dalej.

– Shinga powiedział, że wkurzył jakiegoś cenaryjskiego siepacza. Mieliśmy cię zabić, gdybyś się tu zjawił.

– Gdzie on jest?

– Jeśli ci powiem, to darujesz mi życie?

Kylar spojrzał mężczyźnie w oczy i, co ciekawe, nie zobaczył ani nie wyobraził sobie – czy co tam właściwie się działo kiedykolwiek dotąd – ciemności, która domagała się śmierci.

– Tak – odpowiedział, chociaż nadal działał w gorączce zabijania.

Mężczyzna zdradził mu kryjówkę i uprzedził o kolejnej pułapce – podziemnym pokoju, do którego jest tylko jedno wejście i w którym czeka kolejna dziesiątka strażników.

Zaciskając zęby z wściekłości, Kylar powiedział:

– Powiedz im, że Anioł Nocy się zbliża. Powiedz im, że nadeszła Sprawiedliwość.

28

Krata otworzyła się ze zgrzytem i w słabym świetle pochodni pojawiła się twarz Gorkhy'ego. Wyglądał na zadowolonego. Logan nienawidził tego człowieka z całego serca. – Świeże mięsko, dzieciaki – powiedział Gorkhy. – Słodziutkie, świeżutkie mięsko.

Więźniowie stojący za Gorkhym zaczęli szlochać. To było rozmyślne okrucieństwo przyprowadzić ich tutaj o tej porze dnia. Było południe. Wyjce wrzeszczały na całego, gorące, cuchnące powietrze dmuchało z dziury jak niekończące się pierdnięcie olbrzyma. Od podmuchu pochodnie migotały, a sylwetki Mętów wyglądały, jakby podskakiwały i skręcały się, a ich pot ślinił w drżącym świetle.

Odkąd Logan skoczył na Dno osiemdziesiąt dwa dni temu, zrzucono do nich tylko jednego więźnia. Gorkhy wrzucił mężczyznę na Dno prosto do dziury. Skazaniec wpadł do otchłani, po drodze uderzając z wilgotnym odgłosem twarzą w rant dziury. Więc teraz zwierzęta i potwory tłoczyły się wokół dziury jak wtedy, kiedy Gorkhy zrzucał chleb. Nie robili tego po to, żeby ratować więźniów. Chcieli ratować mięso.

– W porządku, moi złociutcy – powiedział Gorkhy. – Kto pierwszy?

Nie spuszczając oka z Piątaka, który z kolei obserwował jego, Logan trzymał się z dala od brzegu dziury. Miał największy zasięg rąk, ale łapanie upadającego ciała to nie to samo, co łapanie chleba, a

Piątak zdjął linę, którą zwykle owijał się w pasie.

Z góry dobiegały odgłosy przepychanki i przekleństwa. Jakaś kobieta rzuciła się na kratę. Gorkhy próbował ją przechwycić w locie, ale zanurkowała mu pod rękami. Skoczyła głową naprzód na Dno, ale zatrzymała się gwałtownie, kiedy Gorkhy złapał ją za sukienkę.

Krzyknęła i kopała, wisząc dokładnie nad głową Logana. Skoczył, złapał ją za rękę i szarpnął, ale dłoń mu się ześlizgnęła. Dziewczyna opadła parę stóp, więc teraz zwisała do góry nogami dziesięć stóp nad kamienną podłogą.

– Piątak! – krzyknęła Lilly. – Bierz go!

Gorkhy klęczał, jedną ręką trzymając dziewczynę za sukienkę, a drugą chwytając się kraty. Głowę miał odsłoniętą. Dla Piątaka, który bez ustanku ćwiczył ze swoim lasso, stanowił łatwy cel.

Gorkhy klął, ale był silny. Logan skoczył drugi raz, sięgając po rękę dziewczyny, ale chybił. Piątak nadbiegł z gotowym lassem. Pozostali więźniowie na Dnie wyli i obrzucali Gorkhy'ego fekaliami. Logan znowu podskoczył i złapał dziewczynę za rękę.

Sukienka rozdarła się i dziewczyna poleciała na Logana. Ledwo udało mu się wyhamować jej upadek, kiedy starał się zmienić kierunek jej lotu, żeby nie wpadła do otchłani.

Wstał, zataczając się, i zobaczył twarz Gorkhy ego, bladą w świetle pochodni, nadal odsłoniętą, tylko czekającą na pętlę, która owinęłaby się wokół jego szyi, proszącą się o to, żeby zaciągnąć go na dno i rozerwać na strzępy. Odwracając się, Logan zobaczył Piątaka raptem krok od siebie, ale tamten upuścił lasso. Logan ledwo zdążył

zauważyć lśniącą stal w dłoni Piątaka, zanim tamten go dźgnął.

Piątak rozciął mu ciało na żebrach i lewej ręce, kiedy Logan zrobił unik. Obracając się, Logan zablokował dłoń Piątaka między swoją ręką i ciałem i nóż z brzękiem upadł na kamienną podłogę. Logan zamachnął się pięścią, celując w głowę Piątaka, ale tamten zrobił unik, padł na ziemię i czmychnął do tyłu. Logan rzucił się za nim, zdecydowany zabić go, skoro miał szansę, ale kiedy ruszył naprzód, za jego plecami Męty otoczyły dziewczynę.

Nie mógł jej zostawić. Wiedział, co tamci widzą, patrząc na młodą, półnagą, oszołomioną upadkiem kobietę. Słyszał wspominki gwałcicieli, jak opowiadali, ile ślicznotek zerżnęli. Niektórzy nie mogli rżnąć Lilly – nie stawało im przy chętnej kobiecie.

Logan ryknął z bólu i frustracji. Zwierzęta się cofnęły.

Dziewczyna podniosła nóż i stanęła plecami do ściany. Oparła się, żeby się nie przewrócić. Ze sposobu, w jaki stała, było widać, że upadając, skręciła kostkę.

– Cofnąć się – powiedziała, nieudolnie wymachując nożem. – Cofnąć się!

Zerknęła na Logana, na przepaść, a potem na Zgrzytacza.

Cała się trzęsła. Była ładna, krucha, miała długie jasne włosy i delikatne rysy. Nie była bardzo brudna, więc nie siedziała w więzieniu długo. Ale wystarczająco długo dla Gorkhy ego, niech go diabli wezmą prosto do dziewiątego kręgu piekieł. Na rozdartej sukience między nogami widać było świeżą krew.

Logan uniósł ręce.

– Spokojnie – powiedział. – Nie skrzywdzę cię. Ale musimy się przesunąć, albo zaczną na nas spadać.

Zerknęła na kratę i zaczęła się przesuwać, nie odrywając pleców od ściany.

Gorkhy'ego odciągnęli inni strażnicy. Do kraty zagoniono pozostałych więźniów. Pierwszy nie chciał wskoczyć, więc go zepchnęli.

Upadek z wysokości piętnastu stóp na skałę zakończył się połamanymi nogami. Męty rzuciły się na niego w jednej chwili. Ku przerażeniu Logana, Zgrzytacz dołączył do nich, odpychając innych na bok i zatapiając spiłowane zęby w żywe ciało.

Drugi mężczyzna zamarł z powodu widowiska, którego odgłosy usłyszał, ale które ledwie widział. Strażnicy zepchnęli go i on też stał się mięsem. Potem już większość więźniów była gotowa zwiesić się z krat i samemu zeskoczyć.

Logana to nic nie obchodziło. Innego dnia pewnie sam walczyłby o mięso. Dzisiaj jednak nie mógł jeść, nie przy tej dziewczynie. Jej obecność sprawiła, że przypomniał sobie lepsze rzeczy. Chciało mu się płakać.

– Na bogów – powiedział. – Natassa Graesin.

Te słowa same wyrwały mu się z ust. Nie powinien był nic mówić, ale szok na widok drugiej szlachetnie urodzonej osoby był zbyt wielki. W wieku siedemnastu lat Natassa była drugą według starszeństwa córką diuka Graesina. Była kuzynką Logana.

Natassa Graesin spojrzała na niego, ogarniając spojrzeniem

wielkich, przerażonych oczu jego ogromne atletyczne ciało. Stał się cieniem tego, czym był kiedyś, ale chociaż wychudł, nadal był wysoki. Charakterystycznie wysoki.

Wyciągnął ręce, żeby ją uciszyć, ale za późno.

– Logan? Logan Gyre? – zapytała.

Poczuł, że świat się kończy. Przez cały czas tutaj był tylko Królem albo Trzynastym. W szaleństwie głodu w końcu dołączył do pozostałych, którzy stawali wokół dziury, żeby złapać chleb. Dzięki długim rękom zdobywał większość chleba, i chociaż Gorkhy wiedział, że na Dnie siedzi wysoki blondyn, to nigdy, nigdy, przenigdy nie użył prawdziwego imienia.

Zerkając przez ramię, zobaczył, że nowi więźniowie nadal spadają na Dno, wyciągając się jak dłudzy na ziemi. W niemal całkowitej ciemności byli ślepi i przerażeni, skomleli, wrzeszczeli, przeklinali i płakali, kiedy usłyszeli Męty rozrywające świeże mięso. Męty walczyły, Gorkhy śmiał się i judził, zakładając się, co czeka każdego kolejnego więźnia, a wyjce wyły. Mnóstwo hałasu, mnóstwo zamieszania. Może nikt nie usłyszał słów Natassy.

Ale jeden nowy więzień nie szlochał, nie był zagubiony ani oszołomiony. Tenser Vargun nie bał się mimo hałasu, żaru, smrodu, ciemności i przemocy. Przechylił głowę, patrząc spod zmrużonych powiek na Logana i Natassę. Wydawał się zamyślony.

29

Elene nie mogła oddychać. Kylar nie tylko ją opuścił, ale też zabrał Uly. Odrzucenie było całkowite. A wydawało się, że wszystko tak dobrze się układa. Nie, naprawdę dobrze im się układało. Elene nie mogła w to uwierzyć, nie wierzyła. Przeszukała kuchnię, szukając jakiegoś znaku. Znalazła plamę na podłodze, ciemniejszą na tle ciemnego drewna, pospiesznie zmytą. Nie widziała, niczego co by mogło rozlać się przy gotowaniu, i nie miała pojęcia, skąd się wzięła plama. Znalazła głębokie, wąskie wyżłobienie niedaleko w podłodze.

Poszła na górę. Szare ubranie Kylara zniknęło, tak samo jak Sędzia. Wsuwała skrzynkę pod łóżko, kiedy zobaczyła symbol Sakage nagryzmolony na stoliku obok. „Mamy dziewczynkę" napisano poniżej wyraźnym, schludnym pismem. Elene znowu zacisnęło się serce.

Ktoś porwał Uly i Kylar ruszył w pościg. To odkrycie przyniosło Elen strach pomieszany z radością. Kylar nie porzucił jej, tylko ktoś, kogo znał, porwał Uly. Ktoś próbował wciągnąć Kylara w pułapkę. Ale gdzie on był, kiedy zabrano Uly? Gdyby ktoś porwał ją z ulicy, zostawiłby list na progu. Elene wątpiła, żeby włamano się do domu, kiedy Kylar był na dole.

Na dole rozległy się krzyki i walenie do drzwi. – Otwierać! W imieniu królowej, otwierać!

Kiedy Elene zobaczyła, że ciotka Mea wpuściła straż miejską, znowu serce zamarło jej ze strachu. W Cenarii strażników uważano za

tak skorumpowanych, że nikt im nie ufał. Ale wtedy Elene dostrzegła, że ciotce Mei ewidentnie ulżyło.

Potrzebna była blisko godzina, żeby wszystko wyjaśnić. Sąsiad widział, jak Kylar wynosił ciało przerzucone przez ramię, przystojnego mężczyznę o ciemnej skórze i włosach zaplecionych w warkoczyki ozdobione złotymi paciorkami. Elene od razu wiedziała, że to musiał być Jarl. Kiedy Kylar wyszedł z ciałem, sąsiad popędził do straży. Strażnicy byli w połowie drogi do domu, kiedy spotkali żonę sąsiada, która widziała kobietę z łukiem, jak weszła do domu minutę przed powrotem Uly, a potem wyszła z dziewczynką. Strażnicy uznali, że najprawdopodobniej to kobieta była morderczynią – Bogu dzięki – ale mimo to chcieli porozmawiać z Kylarem.

Tej nocy Elene leżała w łóżku do późna, smucąc się po stracie Jarla i próbując poukładać sobie wszystko w głowie. Dlaczego Jarl tu przyjechał? Bo groziło mu niebezpieczeństwo? Bo chciał, żeby Kylar wykonał jakąś robotę? Z wizytą? Elene uznała, że musiało chodzić o zlecenie dla Kylara. Jarl był zbyt ważny, żeby opuścić Cenarię pod wpływem kaprysu, a gdyby wyjechał z powodu zagrożenia, zjawiłby się z obstawą. Zatem Jarla zabito – przypadkiem? – kiedy próbował wynająć Kylara. Kylar albo zgodził się na wykonanie roboty, ale ruszył szukać zemsty. Tak czy inaczej, wyszedł, zanim porwano Uly. Mógł o niczym nie wiedzieć.

Do południa następnego dnia Kylar nadal nie wrócił. Rozległo się pukanie do drzwi i Elene pobiegła otworzyć. To był jeden ze strażników, którzy odwiedzili ich poprzedniego dnia.

– Pomyślałem, że powinniście wiedzieć – powiedział młody mężczyzna. – Porozmawialiśmy ze strażami przy bramie najszybciej jak się dało, ale było już po zmianie i nie sposób było od razu wszystkim przekazać wieści. Młoda kobieta odpowiadająca opisowi zabójczyni wyjechała wczoraj z miasta i ruszyła na północ. Była z nią mała dziewczynka. Już posłaliśmy za nią ludzi, ale kobieta ma dużą przewagę. Przykro mi.

Kiedy strażnik wyszedł, Braen i ciotka Mea spojrzeli na Elene, jakby się spodziewali, że wybuchnie płaczem.

– Jadę za Uly – powiedziała zamiast tego.

– Ale... – zaczęła ciotka Mea.

– Wiem, uwierz mi, wiem, że jestem ostatnią osobą, która powinna jechać. Ale co innego mogę zrobić? Jeśli Kylar wróci, powiedzcie mu, dokąd pojechałam. Dogoni mnie, jestem pewna. Jeśli już pojechał za nimi, spotkam go, gdy będzie wracał. Ale jeśli nie wie, że Uly porwano, mogę być jej jedyną szansą na ratunek.

Ciotka Mea otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła.

– Rozumiem.

Rzeczy Elene zmieściły się w małym zawiniątku, a zanim zeszła na dół, ciotka zdążyła już spakować jej zapas jedzenia na tydzień.

– Braen się pożegna? – zapytała Elene. Ciotka Mea wyprowadziła ją przed dom.

– Braen żegna się na swój sposób.

Przed warsztatem stał osiodłany koń. Wyglądał na silnego i

łagodnego. Elene napłynęły do oczu łzy. Myślała, że będzie musiała iść piechotą.

– Mówi, że otrzymał ostatnio spore zamówienie – powiedziała ciotka nie kryjąc dumy z syna. – A teraz jedź, dziecko, i niech cię Bóg ma w opiece.

***

Kylar stał nad grobem, który sam wykopał, i robił co w jego mocy, żeby się upić. Do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin. Na cmentarzu panowała cisza. Było słychać tylko liście szeleszczące na wietrze i skargi nocnych owadów. Kylar wybrał ten cmentarz, bo był najzamożniejszy spośród tych, które mijał, wyjeżdżając z miasta. Zabił Shingę, a potem okradł go, więc teraz miał mnóstwo pieniędzy, a Jarl zasługiwał na najlepsze. Jeśli grabarz dotrzyma słowa, w ciągu tygodnia powinien pojawić się tu nagrobek.

Stanowili ciekawą parę. Jarl leżał na ziemi obok dziury, z czarną raną na tle ciemnej skóry i powoli sztywniejącymi kończynami. Kylar miał na sobie więcej krwi niż jego martwy przyjaciel, skrzepy zaschły na jego członkach, popękały, gdy pracował, i rozpływały się z powrotem pod wpływem potu. Przez to wyglądał, jakby pocił się krwią.

Grób był gotowy. Teraz Kylar powinien powiedzieć coś znaczącego.

Napił się jeszcze wina. Przyniósł cztery bukłaki i opróżnił już

dwa. Rok temu już po dwóch padłby na pysk. Teraz nie był nawet wstawiony. Skończył trzeci bukłak i obowiązkowo wyżłopał długimi łykami czwarty.

Co rusz patrzył na ciało Jarla. Próbował wyobrazić sobie zamykające się rany – jak jego własne tak dawno temu. Ale te się nie zamykały. Jarl nie żył. W jednej chwili był żywy, a w drugiej już nie. Kylar zrozumiał wreszcie kpiący wyraz oczu Jarla.

Cenaryjskim siepaczem, którego Shinga Błystka zlecił zabić, nie był Kylar. To była Vi Sovari, i to właśnie ona zabiła Jarla czerwono-czarną strzałą zdrajcy.

Zupełnie, jakby Jarl uznał to za zabawne. Przyznał, że kochał tę kobietę, a ona wypuściła strzałę, która go zabiła.

– Niech to szlag – zaklął Kylar.

Nie było słów, które wyraziłyby ogrom straty. Jarla już nie było. To, co leżało przed Kylarem, to był tylko kawał mięsa. Kylar żałował, że nie wierzy w Boga Elene. Chciał myśleć, że Jarl i Durzo znaleźli się w lepszym miejscu. Ale był wystarczająco uczciwy, żeby wiedzieć, że tak naprawdę chce tylko poprawić sobie samopoczucie. Nawet gdyby Bóg Elene rzeczywiście istniał, Jarl i Durzo go nie uznawali. To oznaczało, że poszliby prosto do piekła, prawda?

Wszedł do grobu i wciągnął ciało Jarla. Skóra przyjaciela była zimna i wilgotna. Skraplała się na niej poranna rosa. Nie taka powinna być w dotyku skóra. Kylar ułożył Jarla najdelikatniej jak zdołał i wyszedł z grobu. Nadal był trzeźwy.

Siedząc na kupie miękkiej ziemi obok grobu, zdał sobie sprawę,

że to wina ka'kari. Jego ciało traktowało alkohol jak truciznę i leczyło go z niej. Tak skutecznie, że potrzebował ogromnej ilości wina, żeby się upić. Zupełnie jak Durzo.

A ja zwyczajnie uważałem go za pijaka. Kolejny przejaw niezrozumienia dla mistrza, kolejny raz, kiedy niefrasobliwie potępił tego człowieka. To na nowo obudziło ból.

– Wybacz mi, bracie – powiedział i kiedy te słowa padły z jego ust, zrozumiał, że właśnie tym był dla niego Jarl: starszym bratem, który się nim opiekował.

Dlaczego Kylar był skazany na odkrywanie tego, co znaczyli dla niego ludzie, kiedy już nie żyli?

– Postaram się, żeby twoja śmierć nie poszła na marne.

Żeby ofiara Jarla miała sens, Kylar musiał opuścić Elene i Uly, odrzucić życie, które mógłby prowadzić w Caernarvon. Przysiągł Uly, że nie porzuci jej jak wszyscy inni dorośli w jej życiu. A teraz to robił.

Tak to było z tobą, mistrzu? Stąd się wziął ocean goryczy? Ceną za nieśmiertelność jest moje człowieczeństwo?

Nie mógł już nic więcej zrobić, nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Kylar nie potrafił nawet zapłakać. Kiedy pierwsze poranne ptaki zaczęły śpiewem wychwalać piękno wschodzącego słońca, zasypał grób.

30

Przez dwa dni Uly nic nie mówiła, nie jadła i nie piła. Vi narzuciła im mordercze tempo; jechały królewskim traktem na zachód, a potem na północ. Pierwszej nocy mijały wielkie posiadłości waeddryńskiej arystokracji. Kiedy się wreszcie zatrzymały, kilka godzin po świcie, znajdowały się już wśród pól uprawnych. Pola były puste; tylko zarost ściętej pszenicy orkiszowej pokrywał pofałdowane wzgórza.

Pierwszego dnia Uly poczekała, aż oddech Vi stanie się głębszy i po jakichś dziesięciu minutach rzuciła się pędem do swojego konia. Nawet nie zdążyła uwolnić wierzchowca, kiedy Vi ją dorwała. Drugiego dnia Uly odczekała godzinę. Wstała tak cicho, że Vi prawie tego nie zauważyła. Tym razem Uly zdążyła rozwiązać postronek i prawie wyskoczyła ze skóry, kiedy się odwróciła, żeby złapać konia za uzdę i zobaczyła, że Vi stoi za nią z rękoma na biodrach.

W obu przypadkach Vi spuściła jej lanie, ale uważała, żeby jej nie uszkodzić. Żadnych połamanych kości albo blizn. Zastanawiała się, czy nie traktowała dziewczynki zbyt łagodnie, ale nigdy wcześniej nie biła dziecka. Vi przywykła do zabijania, dodawała siłę Talentu do siły mięśni i niech ofiary radzą sobie z konsekwencjami. Gdyby postąpiła tak z Uly, dziecko by umarło. A to nie pasowało do planów Vi.

Trzeciego dnia Uly źle się czuła. Nadal niczego nie piła. Nie chciała niczego wziąć od Vi i traciła siły. Oczy miała zaczerwienione, a usta spękane i spierzchnięte. Vi wbrew sobie podziwiała

dziewczynkę.

Mała bez wątpienia była twarda. Vi znosiła ból lepiej niż większość ludzi, ale nie cierpiała głodować. Kiedy miała dwanaście lat, Hu rutynowo odmawiał jej jedzenia, podając tylko jeden posiłek dziennie „żeby się nie roztyła". Pozwolił jej normalnie jeść, kiedy uznał, że wszystko idzie jej w cycki. Ale gorsze od głodzenia były chwile, kiedy odmawiał jej wody, karząc za rzekome lenistwo.

Ten łajdak nigdy nie pojął, co to znaczy mieć kobiece dolegliwości.

Musiała udawać, że pragnienie jej nie przeszkadza, bo w przeciwnym wypadku stałoby się to ulubioną karą Hu.

– Słuchaj, Ula-Brzydula – powiedziała, kiedy o wschodzie słońca rozbiły obóz w małej dolinie. – Mam w nosie to, czy umrzesz. Bardziej mi się przydasz żywa niż martwa, ale różnica nie jest zbyt wielka. Kylar tak czy inaczej pojedzie za mną do Cenarii. Pewnie miałabyś ochotę zobaczyć się jeszcze z Kylarem, co?

Uly spojrzała na nią zapadniętymi oczami pełnymi nienawiści.

– I podejrzewam, że skopałby ci tyłek za to, że umarłaś bez powodu. Więc słuchaj, jeśli będziesz dalej głodować, to niedługo umrzesz. Jutro będę musiała cię przywiązać do siodła, a nocy możesz już nie przetrzymać. To będzie dla mnie pewna niedogodność, ale Kylara zranisz tym o wiele bardziej. Jeśli wolisz raczej zdechnąć jak kocię niż żyć i walczyć ze mną, śmiało. Ale nikomu tym nie zaimponujesz.

Vi położyła bukłak z wodą przed Uly i poszła związać konie. Nie

martwiła się już, że dziewczynka ucieknie – była za słaba. Mimo to, Vi i tak na wszelki wypadek zasupłała postronki z pomocą Talentu. Do diabła, dzisiaj zamierzała się wyspać.

Falujące wzgórza były porośnięte lasem z rzadka przerywanym wioseczkami pośród pól. Jednakże droga nadal była szeroka i uczęszczana. Podróżowały w nadzwyczajnym tempie. Nie sposób określić, jak dużą przewagę miały nad Kylarem. Vi omijała wioski i nie wątpiła, że w ten sposób traci cenne godziny na rzecz Kylara.

Wczoraj wieczorem wymieniła konie. Jeśli Kylar jakoś dzięki magii odgadł, które ślady pośród wielu należały do nich, to teraz się pogubi.

Mimo wszystko przy tempie, w jakim podróżowały, mijały wielu podróżnych i chociaż Vi mogła owinąć się bezkształtną peleryną, ukrywając swoją płeć i tożsamość, nie mogła ukryć faktu, że Uly to dziecko. Tak samo jak nie było sposobu, żeby przejechały przez nagie wzgórza niezauważone. Zwykle po prostu śmigały obok wozów kupieckich i furmanek wieśniaków. Coś za coś. Jadąc drogą, poruszały się szybciej, ale Vi ryzykowała, że zostaną rozpoznane.

Miała do czynienia z Kylarem tylko raz, kiedy próbowała go zabić w domu Drake'ów. Jak na ironię król Gunder wynajął Vi, która próbowała zabić jego syna, żeby zabiła Kylara, który starał się go ochronić.

Miała Kylara pod sobą i pod nożem jeszcze tego samego dnia, kiedy przyjęła zlecenie. Spodobał jej się. Był zaskakująco spokojny jak na człowieka w jego położeniu. Spokojny i nawet czarujący, jeśli

uznać, że nędzne poczucie humoru w obliczu śmierci jest słodkie.

Zabiłaby go, ale się zawahała. Nie, nie zawahała. To nie brak woli zatrzymał jej rękę tamtego dnia, ale raczej duma, że wykonała tak trudne zadanie tak szybko. Hu nigdy jej nie chwalił. Chociaż wymuszone sytuacją komplementy Kylara robiły wrażenie szczerych, a siepacz z niewidoma osobami może porozmawiać o pracy. Zatem Vi dała się zwieść Kylarowi, zwlekała, a on właśnie grał na zwłokę.

Potem świętoszkowaty hrabia włamał się do pokoju, a Kylar posłał nóż w jej ramię, kiedy uciekała. Minęło już kilka miesięcy, a ramię nadal czasem pobolewało. Chociaż natychmiast udała się do czarownika, u którego leczył się Hu, nie odzyskała pełnej sprawności w stawie.

Następnym razem się nie zawaha.

Wiedziała, że powinna szaleć z radości, bo zabiła Jarla. Teraz była wolna. Była mistrzem, nie uczniem. Hu nie będzie miał już nic do powiedzenia w jej życiu, a gdyby spróbował się wtrącić, mogła go zabić, nie martwiąc się reperkusjami ze strony Sa'kagé. O ile Sa'kagé w ogóle przetrwa to, co zaplanował Król-Bóg.

Zabiłam Jarla. Ta myśl nie opuszczała jej. Ciągle przy niej była przez te dwa dni. Zabiłam człowieka, który był dla mnie najbliższym odpowiednikiem przyjaciela.

Nie popisała się szczególnie. Nawet dziecko mogłoby wejść na dach i wystrzelić strzałę. Chciała chybić, prawda? Mogła chybić. Mogła po prostu nie strzelić. Mogła wejść do domu, dołączyć do Kylara i Jarla i walczyć z nimi przeciwko Królowi-Bogu. Ale nie

zrobiła tego.

Zabiła i teraz znowu była sama, jechała tam, dokąd wcale nie chciała jechać, wioząc ze sobą małą dziewczynkę wbrew jej woli, zmuszając człowieka, którego szanowała, żeby jechał za nią prosto w pułapkę.

Jesteś okrutnym bogiem, Nysosie. Nie mogłeś zostawić mi czegoś więcej niż proch i popiół? Mnie, która służyła ci tak wiernie? Z mojego noża i z moich lędźwi płyną rzeki krwi i nasienia. Nie zasługuję za to na honorowe miejsce? Nie zasługuję na jednego przyjaciela?

Zakaszlała i zamrugała gwałtownie. Zagryzła język niemal do krwi. Nie będę płakać. Nysos może dostać krew i nasienie, ale nigdy nie dostanie moich łez. Przeklinam cię, Nysosie. Nie powiedziała jednak tego na głos. Służyła swojemu bogu zbyt długo, żeby narażać się na jego gniew.

Nawet wybrała się na swego rodzaju pielgrzymkę – i tak jechała załatwić truposza, a miejsce było po drodze – do sethyjskiego miasteczka w okolicy pełnej winnic, świętego miasta Nysosa. Uroczystości w okresie zbiorów były poświęcone właśnie temu bogu. Wino płynęło strumieniami. Od kobiet oczekiwano, że zatracą się w namiętnościach takiego rodzaju, jaki każdej odpowiadał. Nawet mieli taki dziwny rodzaj gawęd, podczas których mężczyźni występowali na scenie, trzymając maski i odgrywając sceny, a widownia śledziła trzyczęściową opowieść o cierpiących śmiertelnikach, którzy nie poradziliby sobie bez boskiej interwencji. Zaraz potem oglądano

sprośną, zjadliwą komedię, w której żartowano sobie ze wszystkich, nawet autora sztuki. Mieszkańcy uwielbiali to. Klaskali, wyli, śpiewali do wtóru pijackimi głosami święte hymny i bzykali się jak króliki. Przez tydzień nikomu nie można było odrzucić niczyich zalotów. Dla Vi to był bardzo długi tydzień. Jedyny raz w życiu czuła, że ma prawo narzekać z powodu swojej urody. Zaczęła nosić workowate ubrania, mając nadzieję, że będzie mniej kusić mężczyzn.

Cała ta służba, Nysosie. I po co? Żeby żyć? Hu dobiega czterdziestki i chociaż ciągle mówi, że ci służy, imię boże na jego ustach pojawia się tylko wtedy, gdy przeklina.

Zanim Vi wróciła do obozu i posłań, Uly wypiła cały bukłak wody. Wyglądała, jakby miała zwymiotować.

– Jeśli porzygasz się na te koce, to będziesz spała w brudnych – ostrzegła ją Vi.

– Kylar cię zabije – odpowiedziała Uly. – Chociaż jesteś dziewczyną.

– Nie jestem dziewczyną. Jestem wredną suką i nie zapominaj o tym. – Vi rzuciła torbą z jedzeniem w Uly, ale dziewczynka ją upuściła. – Jedz powoli i nie za dużo, bo się porzygasz i umrzesz.

Uly posłuchała jej rady, a kiedy tylko padła na koc, zasnęła w kilka sekund. Vi nie położyła się. Była zmęczona, przeraźliwie, potwornie zmęczona. Kiedy była wyczerpana, o niczym więcej nie potrafiła myśleć. Nie było sensu rozmyślać. Strata czasu.

Zajęła się maskowaniem obozu. Był mglisty poranek. Znajdowały się niedaleko od drogi, ale w niewielkim zagłębieniu. Strumień,

szemrząc, spływał z Niedźwiedzich Wzgórz. Robił dość hałasu, żeby zagłuszyć parskanie koni, a ponieważ nie rozpaliły ogniska, ich obecność była ledwie zauważalna. Postarała się najlepiej jak umiała, ukrywając konie za zaroślami. Kucnęła zwrócona plecami do drzewa i próbowała przekonać umysł, jak bardzo zmęczone jest jej ciało.

W oddali usłyszała tętent. Odgłos był zduszony przez mgłę, ale oznaczał tylko jedno: konie. Wyciągnęła miecz i nóż. Krótsze ostrze zanurzyła w pochwie z trucizną. Spojrzała na Uly, zastanawiając się, czy nie uciszyć dziewczynki magicznie. Wtedy jednak zdradziłaby się, a nawet nie wiedziała, co by jej z tego wyszło. Przycisnęła więc plecy do drzewa i spojrzała w stronę, z której dobiegał tętent.

Chwilę potem pojawił się Kylar. Prowadził dwa konie. Przejechał dwadzieścia kroków od Vi. Musiał jechać bez przerwy, zmieniając tylko konie. Ledwo zwolnił, zbliżając się do brodu. Klacz Vi uderzyła kopytem i jeden z koni prowadzonych przez Kylara zarżał.

Kylar zaklął i szarpnął wodze. Uly obróciła się na bok, kiedy Kylar z pluskiem przejeżdżał przez strumień. Konie wspięły się na drugi brzeg i odjechały w dal. Kylar nawet się nie odwrócił.

Vi zachichotała i położyła się. Spała dobrze.

Kiedy obudziła się wieczorem, Uly nadal pochrapywała. Bardzo dobrze. Vi nie miała czasu, żeby ganiać za dzieciakiem. Każdy inny porywacz na jej miejscu związałby małą i miał sprawę z głowy. Ale najsilniejsze więzy to nie te, które krepują ręce. Bronią Vi był brak nadziei, nie sznury konopne. Więzy, które Uly sama sobie narzuci, spętają ją na zawsze.

Więzy, które sami sobie narzucamy. Coś na ten temat wiem, prawda?

Kopnęła Uly, żeby ją obudzić, ale nie tak mocno, jak zamierzała. Ocalenie było tak blisko, a dziewczynka nawet o tym nie wiedziała.

31

Najcenniejsze umiejętności, jakie Dorian zdobył w swoim życiu, okazały się tymi prostymi: odkrył, jak jeść i pić, nie przerywając transu. Solon nie musiał już obserwować, czy nie pojawiają się objawy odwodnienia, i budzić go. Dorian mógł trwać w transie tygodniami.

Chociaż wiedział, że robi wrażenie całkowicie oderwanego od rzeczywistości, było wręcz przeciwnie. Z małego pokoiku w garnizonie w Wyjących Wichrach Dorian widział wszystko. Khalidorska inwazja ominęła cenaryjski garnizon. Większość wrogich wojsk przeszła po prostu przełęczą Quoriga znajdującą się ponad tydzień drogi na wschód. Po śmierci ojca Logana, diuka Regnusa Gyre, garnizonem dowodził młody arystokrata, Lehros Vass. Miał dobre intencje, ale nie wiedział co robić, gdy zabrakło dowódcy.

Solon dawał mu rady, które z upływem dni coraz mniej brzmiały jak rady, a coraz bardziej przypominały rozkazy. Gdyby Khalidorczycy zaatakowali teraz Wyjące Wichry, nadeszliby od strony cenaryjskiej, przemieścił więc linie obrony, przeniósł ludzi i zapasy za mury. Nikt jednak nie spodziewał się ataku. Prawda była taka, że Wyjące Wichry już niczego nie chroniły. Garoth Ursuul mógłby pozwolić im umrzeć tutaj ze starości, a straciłby przy tym tylko szlak handlowy, z którego nie korzystano od setek lat.

Daleko na południu Feirowi wiodło się gorzej, chociaż tropił Curocha z godną podziwu wytrwałością. Miał przed sobą trudną

drogę, a Dorian w żaden sposób nie mógł mu jej ułatwić. Dorian nie raz pochorował się z tego powodu. Patrzył, jak przyjaciel umiera na dziesiątki sposobów, a niektóre z nich były tak potworne, że płakał nawet w transie. W najlepszym wypadku Feirowi zostanie jeszcze dwadzieścia lat życia, a zakończy się ono heroiczną śmiercią.

Jak zawsze Dorian błąkał się blisko wątków z własnej przyszłości. Znalazł na to sposób, nie ryzykując, że oszaleje. Po prostu oglądał przyszłość innych ludzi w miejscach, w których się z nim spotkają. Ale to nie działało najlepiej. Widział wiele sposobów, na jakie dana osoba może odnieść się do niego i jak jej wybory wpłyną na niego, ale nigdy nie widział własnych decyzji. Mógł więc dowiedzieć się co, ale nigdy dlaczego. Nie mógł prześledzić nawet jednego ciągu własnych decyzji, żeby zobaczyć, dokąd go doprowadzą. Od czasu do czasu oglądał własną twarz oczami innych ludzi i zgadywał, co sam myśli, ale to były rzadkie przebłyski. Poza tym, nawet kiedy wydłużył trans do ponad miesiąca, proces trwał zbyt długo i kiedy składał własne losy w całość, wszystko inne się zmieniało.

Zaczął więc badać je bezpośrednio. Natychmiast dowiedział się kilku rzeczy. Po pierwsze, w ciągu roku stanie się albo źródłem nadziei, albo przyczyną rozpaczy dziesiątek tysięcy.

Po drugie, w poprzek jego możliwych przyszłości ciągnęła się ziejąca przepaść. Zbadał jej przyczyny i odkrył, że na kilku potencjalnych ścieżkach postanowił wyrzec się daru wieszczenia. To go zaszokowało. Oczywiście myślał o tym już wcześniej. Mimo

żmudnych studiów u uzdrowicieli, odkrył tylko jeden lek na swoje pogłębiające się szaleństwo: zablokowanie daru. Jednakże jasnowidzenie Doriana było darem dla całego świata, a on z radością ponosił konsekwencje, ponieważ wiedział, że dzięki niemu pomoże innym uniknąć katastrofy.

Po trzecie, Khali we własnej osobie zbliżała się do Wyjących Wichrów.

Serce Doriana zamarło. Jeśli Khali pokona garnizon, to uda się do Cenarii i zamieszka w piekielnych lochach zwanych Paszczą.

Garoth Ursuul każe swoim dwóm synom stworzyć umory – jednego z nich użyje przeciwko armii rebeliantów. To będzie masakra.

Khali ze świtą była jeszcze daleko – dwa dni stąd. Dorian miał czas. Znowu spojrzał na swoją przyszłość, próbując zorientować się, jak uniknąć katastrofy. W jednej chwili uniósł go wartki nurt. Twarze przepływały, zamieniły się w wir, który go wciągnął. Łzy jego młodej żony. Powieszona dziewczyna. Mała wioska w północnym Waeddrynie, gdzie mogłaby mieszkać rodzina Feira. Rudowłosy chłopiec, który był dla niego jak syn, za piętnaście lat od tej chwili. Zabijanie braci. Zdradzenie własnej żony. Wyznanie jej prawdy i utracenie jej. Złota maska jego własnej twarzy płacząca złotymi łzami. Marsz na czele wojsk. Neph Dada. Porzucenie armii. Samotność, szaleństwo i śmierć na kilkanaście różnych sposobów. Na końcu każdej ścieżki widział tylko cierpienie. Za każdym razem, kiedy wybrał coś dobrego dla siebie, ci, których kochał, cierpieli.

– Wiedziałeś? – zapytała jego żona. – Wiedziałeś od samego

początku?

– Nie! – Dorian poderwał się z łóżka, przytomniejąc.

Solon się wzdrygnął. Siedział na krześle naprzeciwko przyjaciela. Machnął ręką i lampy w pokoju zapłonęły.

– Dorianie? Wróciłeś! Mam nadzieję, że cokolwiek robiłeś, było to ważne, bo już ze sto razy chciałem cię obudzić.

Doriana bolała głowa. Który to był dzień? Jak długo trwał w katatonii?

Odpowiedź wisiała w powietrzu. Khali była blisko. Wyczuwał ją.

– Potrzebuję złota – powiedział.

– Co? – Solon potarł oczy. Było już późno.

– Złota, człowieku! Potrzebuję złota!

Solon wskazał na sakiewkę na stole i wciągnął buty.

Dorian wysypał złote monety na dłonie. Ledwo dotknęły jego skóry, stopiły się w kulę, która natychmiast ostygła i otuliła mu nadgarstki.

– Więcej! Więcej! Nie ma czasu do stracenia, Solonie. – Ile?

– Ile zdołasz unieść. Spotkajmy się na dziedzińcu. I obudź żołnierzy. Wszystkich. Ale nie bij w dzwon alarmowy.

– Do diabła, co znowu? – dopytywał się Solon. Złapał miecz i przypasał go.

– Nie ma czasu! – Dorian już wybiegał z pokoju.

Mógłby przysiąc, że na dziedzińcu czuł zapach Khali jeszcze wyraźniej, chociaż był to aromat czysto magiczny. Znajdowała się jakieś dwie mile od garnizonu. Wybiła już północ, a Dorian podejrzał,

że Khali uderzy godzinę przed świtem, w godzinie czarownic, kiedy ludzie są najbardziej podatni na nocne koszmary i iluzje Khali.

Próbował rozwikłać to, co zobaczył. Nie wyobrażał sobie, że garnizon wytrzyma, a jeśli Khali go pojmie, skutki tego będą straszliwe dla całego świata i dla niego samego. Prorok w jej rękach? Dorian pomyślał o przyszłościach, jakie ujrzał przed sobą. Czy to takie wielkie poświęcenie porzucić dar i nie widzieć więcej, jak te straszne przyszłości pędzą ku niemu niepowstrzymanie? Ale jeśli zarzuci wizje, będzie ślepy, pozbawiony steru i bezużyteczny dla innych. Poza tym nie był to prosty zabieg. Opisał go Solonowi i Feirowi, porównując do roztrzaskania sobie głowy ostrym kamieniem w celu powstrzymania napadów epileptycznych. Najlepiej byłoby, gdyby udało mu się zniszczyć tylko część swojego Talentu, i to w taki sposób, żeby się zregenerował, ale dopiero po wielu latach. Jeśli Khali go schwyta, może uzna, że jego dar przepadł na zawsze, i po prostu go zabije.

Zaczął przygotowywać sploty, zanim zdał sobie sprawę, że podjął decyzję. Fakt, że było ciemno i nie mógł odnowić glore vyrden, nie stanowił problemu, ponieważ nie potrzebował dużo magii. Wprawnie przygotował sploty, zaostrzając niektóre z nich i odkładając na bok, gotowe do użycia. W miarę jak czar składał się w całość, Dorian zdał sobie sprawę, że czas poświęcony wizjom, kiedy żonglował różnymi strumieniami czasu i umieszczał punkty orientacyjne w miejscach kluczowych decyzji, zwrócił mu się – pomógł rozwinąć magiczne umiejętności. Jeszcze pięć lat temu, kiedy ćwiczył ten splot i

sprawdzał, czy zdoła jednocześnie utrzymać siedem pasm, nie dochodził tak daleko. To był potworny wysiłek, zwłaszcza gdy miało się świadomość, że jeśli wypuści choćby jedno pasmo, może doznać amnezji, stać się idiotą albo umrzeć. Teraz to było proste. Na dziedzińcu pojawił się Solon. Zobaczył, co Dorian robi, i śmiertelnie się przeraził, ale nawet to nie rozproszyło uwagi Doriana.

Ciął, wykręcał, ciągnął, przypalał i ukrywał część swojego Talentu.

Nagle dziedziniec stał się intrygująco cichy, dziwnie płaski i cudacznie ograniczony.

– Mój Boże – powiedział Dorian.

– Co? – spytał z troską Solon. – Co zrobiłeś?

Dorian był zdezorientowany, jak człowiek, który próbuje stanąć, a właśnie stracił nogę.

– Solon, nie ma go. Straciłem dar.

32

Po trzech dniach jazdy na północ od Niedźwiedzich Wzgórz Kylar dotarł do miasteczka Zakole Torras. Gnał od sześciu dni, zatrzymując się tylko po to, żeby konie odpoczęły. Po takim czasie spędzonym w siodle bolało go całe ciało. Zakole Torras znajdowało się w połowie drogi do Cenarii, u podnóży gór Fasmeru i przełęczy Forglina. Konie potrzebowały odpoczynku, on zresztą też. Na południe od miasteczka musiał odmeldować się w punkcie kontrolnym rycerzy Lae'knaught, którzy szukali mag. Najwyraźniej królowej Waeddrynu zabrakło albo woli, albo siły, by usunąć ze swoich ziem Lae'knaught.

Zapytał wieśniaka o drogę do zajazdu w miasteczku i wkrótce znalazł się w ciepłym budynku wypełnionym zapachami piekących się pasztetów i świeżego piwa. Większość zajazdów cuchnęła zwietrzałym piwem i potem, ale ludzie w północnym Waeddrynie byli pedantyczni. W ich ogrodach nie rosły chwasty, ich płoty nie próchniały, dzieci nie biegały umorusane. Szczycili się swoją pracowitością, a drobiazgowość tych prostych ludzi była wręcz niewiarygodna. Nawet Durzo byłby pod wrażeniem. Podsumowując, było to idealne miejsce do odpoczynku.

Wszedł do wspólnej izby i zamówił tyle jedzenia, że karczmarka uniosła brwi. Usiadł sam. Bolały go nogi i pośladki. Nie chciał mieć do czynienia z końmi już do końca życia. Zamknął oczy i westchnął; tylko niebiańskie zapachy z kuchni sprawiały, że nie poszedł

natychmiast do łóżka.

Pewnie to lokalny zwyczaj, pomyślał, gdy chyba połowa mężczyzn z miasteczka weszła przez wielkie, dębowe drzwi do zajazdu, by wypić pół kwarty piwa z przyjaciółmi przed powrotem do domu. Kylar zignorował mężczyzn i ich wścibskie spojrzenia. Otworzył oczy dopiero, kiedy tęga, prosta kobieta około pięćdziesiątki postawiła przed nim dwa ogromne pasztety i imponujący kufel piwa.

– Myślę, że uznasz, iż piwo pani Zoralat w niczym nie ustępuje jej pasztetom. Mogę się przysiąść?

Kylar ziewnął.

– Ach, proszę o wybaczenie. Oczywiście. Jestem Kylar Stern.

– Czym się pan zajmuje, panie Stern? –zapytała kobieta, siadając.

– Jestem, ehm, żołnierzem, skoro już pani pyta. – Znowu ziewnął. Robił się na to za stary. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć „jestem siepaczem”, tylko po to, żeby zobaczyć reakcję starej krowy.

– Czyim żołnierzem?

– Kim pani jest? – zapytał.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, a ja odpowiem na pana – powiedziała, jakby był krnąbrnym dzieckiem.

W porządku.

– Cenaryjskim.

– Odniosłam wrażenie, że to państwo już nie istnieje.

– Czyżby?

– Khalidorskie zbiry. Meisterowie. Król-Bóg. Podbój. Gwałt. Grabież. Rządy żelaznej ręki. Coś to panu mówi?

– Myślę, że niektórzy mogliby się tym zniechęcić – odpowiedział Kylar. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Przeraża pan wielu ludzi, prawda, panie Kylarze Stern?

– Mówiła pani, że jak się pani nazywa?

– Ariel Wyant Sa'fastae. Może mi pan mówić „siostro Ariel". Wszelkie ślady zmęczenia natychmiast zniknęły. Kylar dotknął ka'kari wewnątrz siebie, upewniając się, że jest gotowe pojawić się w jednej chwili.

Siostra Ariel zamrugała. Coś dostrzegła czy po prostu zdradził się napięciem mięśni?

– Myślałem, że to niebezpieczna część świata dla takich jak pani – odezwał się.

Nie pamiętał za dobrze opowieści, kojarzył tylko, że magowie umierają w Zakolu Torras.

– Tak – przyznała. – Jedna z naszych młodych i lekkomyślnych sióstr zaginęła tutaj. Przyjechałam jej szukać.

– Mroczny Łowca – powiedział w końcu, przypominając sobie.

Przy stolikach wokół nich rozmowy gwałtownie się urwały. Ponure twarze zwróciły się w stronę Kylara. Sądząc po minach ludzi, temat nie tyle stanowił tabu, ile raczej poruszanie go zdradzało brak obycia.

– Przepraszam – wymamrotał i zabrał się za pasztet.

Siostra Ariel w milczeniu obserwowała jedzącego Kylara. To obudziło w nim podejrzenia; zastanawiał się, co powiedziałby Durzo, gdyby wiedział, że Kylar je posiłek podany przez magę, ale umarł już

dwa razy – może nawet trzy – i znowu żył, więc chyba nie miał czym się przejmować? Poza tym pasztety były pyszne, a piwo jeszcze lepsze. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy dla Durzo wyglądało to podobnie. Żył wiele stuleci, ale czy jego też nie dało się zabić? Na pewno. Jednakże nigdy nie narażał życia. Czy to dlatego, że zanim Kylar go poznał, ka'kari już go opuściło? Kylar zastanawiał się czasem, czy jego moc miała jakieś złe strony. Mógł żyć setki lat. Nie można go było zabić. Ale nie czuł się nieśmiertelny. Właściwie to nie czuł nawet takiej mocy, jakiej spodziewał się jako chłopiec, gdy wyobrażał sobie jak to będzie, gdy zostanie siepaczem. Teraz ; już był siepaczem, więcej niż siepaczem, ale miał wrażenie, że nadal pozostał tylko Kylarem. Nadal był Merkuriuszem, przestraszonym dzieciakiem, który nie ma o niczym pojęcia.

– Widziała pani piękną kobietę przejeżdżającą tędy konno? – zapytał.

Vi zobaczyła, gdzie Kylar mieszkał. Może powiedzieć Królowi-Bogu, a on zniszczy wszystko i wszystkich, których Kylar kochał. Tak właśnie działał.

– Nie. Czemu?

– Gdyby ją pani zobaczyła, proszę ją zabić.

– Dlaczego? To pańska żona? – zapytała z krzywym uśmiechem siostra Ariel.

Spojrzał na nią beznamiętnie.

– Bóg aż tak mnie nie znienawidził. Jest zabójczynią.

– Więc pan nie jest żołnierzem, tylko łowcą zabójców.

– Nie próbuję jej schwytać. Żałuję, że nie mam na to czasu. Ale może się tu zjawić.

– Co jest tak ważnego, że zaniedbuje pan sprawiedliwość?

– Nic – odpowiedział bez zastanowienia. – Ale zbyt długo brakowało sprawiedliwości w innym miejscu.

– Gdzie?

– Wystarczy, że powiem, że mam misję do wykonania w imieniu króla.

– W Cenarii nie ma króla poza Królem-Bogiem.

– Na razie. Uniosła brew.

– Nie ma człowieka, który mógłby zjednoczyć Cenarię, nawet przeciwko Królowi-Bogu. Być może Terah Graesin zdołałaby, ale trudno ją uznać za mężczyznę, prawda?

Uśmiechnął się.

– Wy, siostry, myślicie, że zjadłyście wszystkie rozumy, co?

– Wie pan, że jest pan denerwującym młodym ignorantem?

– O tyle, o ile pani jest starym wymiętym babsztylem.

– Naprawdę myśli pan, że zabiłabym dla pana jakąś młodą kobietę?

– Nie sądzę. Proszę mi wybaczyć, jestem zmęczony. Zapomniałem, że dłoń Serafina sięga poza komnaty z kości słoniowej tylko po to, żeby zgarnąć coś dla siebie.

Zacisnęła usta.

– Młody człowieku, źle znoszę bezczelność.

– Uzależniła się pani od władzy, siostro. Lubi pani, kiedy ludzie

tańczą, jak im pani zagra. – Z rozbawieniem uniósł brew. – Więc niech sobie pani wyobrazi, że się przestraszyłem.

Znieruchomiała.

– Władza kusi jeszcze jedną rzeczą: żeby uderzyć w tych, którzy irytują. A pan, Kylarze Stern, naprawdę wodzi mnie na pokuszenie.

W tym momencie ziewnął. Nie udawał, ale mógł wybrać lepszą chwilę. Siostra poczerwieniała.

– Mówią, że starość to drugie dzieciństwo, siostro. Poza tym w tej samej chwili, w której sięgniesz po moc, zabiję cię.

Na bogów, nie potrafię przestać. Naprawdę zamierzam podpaść połowie magów tego świata, bo zirytowała mnie jedna starsza pani? Zamiast się rozzłościć, siostra Ariel popadła w zadumę.

– Potrafi pan zauważyć, kiedy sięgam po magię? Nie zamierzał angażować się w tę rozmowę.

– Jest jeden sposób, żeby się przekonać. Ale byłaby kupa zachodu z pozbyciem się pani ciała i zacieraniem śladów. Zwłaszcza że tylu tu świadków.

– Jak zatarłby pan ślady? – zapytała cicho.

– Proszę dać spokój. Jest pani w Zakolu Torras. Jak pani myśli, ilu magów, których tu „zabił Mroczny Łowca”, naprawdę zostało zabitych przez Mrocznego Łowcę? Proszę nie być naiwną. On pewnie nawet nie istnieje.

Skrzywiła się, a Kylar się zorientował, że nigdy nawet o tym nie pomyślała. Cóż, była magiem. To oczywiste, że nie myślała jak siepacz.

– Cóż, w jednej sprawie pan się myli – powiedziała. – Istnieje.

– Skoro każdy, kto poszedł do lasu, zginął, to skąd to wiadomo?

– Wiem pan co, młody człowieku? Istnieje sposób, żeby udowodnić, że wszyscy powariowaliśmy.

– Iść do lasu?

– Nie byłby pan pierwszy, który tego spróbował.

– Byłbym pierwszym, któremu się udało.

– Okropnie się pan przechwala na temat tego, czego by pan dokonał, gdyby tylko miał czas.

– W porządku, siostro Ariel. Zgadzam się z pani zastrzeżeniem... do dnia, kiedy Cenaria zyska króla. A teraz proszę o wybaczenie...

– Jedną chwilę – powiedziała, gdy wstał. – Zamierzam sięgnąć po moc, ale przysięgam na Białego Serafina, że nie tknę nią pana. Jeśli musi mnie pan zabić, nie będę próbowała pana powstrzymać.

Nie czekała na jego reakcję. Zobaczył wokół niej bladą opalizującą aureolę. Zamigotała szybko wszystkimi kolorami tęczy w przemyślanym porządku, chociaż pewne barwy wydawały się wyraźniejsze od innych. Czy to wskazywało na jej siłę w różnych rodzajach magii? Przygotował ka;kari, by pożarło wszelką magię, jakiej siostra użyje przeciwko niemu. Miał nadzieję, że pamięta, jak dokonał tego poprzednio, chociaż mocno w to powątpiewał... Ale tak czy inaczej nie uderzył.

Aureola się nie poruszyła. Siostra Ariel Wyant wzięła tylko głębszy wdech przez nos. Aureola zniknęła, a siostra skinęła głową, jakby zadowolona z siebie.

– Psy bardzo dziwnie na pana reagują, co?

– Co takiego?

To była prawda, ale nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Może mi pan powie, dlaczego po wielu dniach jazdy nie pachnie pan potem, brudem ani koniem? Właściwie w ogóle pan nie pachnie.

– Wydaje się pani – odpowiedział, cofając się. – Do widzenia, siostro.

– Do następnego spotkania, Kylarze Stern.

33

Mama K stała na podeście ponad podłogą magazynu. Mężczyźni – Psy Agona, jak zaczęli na siebie mówić – trenowali pod czujnym okiem generała. Ich liczba skurczyła się do setki i Mama K była przekonana, że teraz już powszechnie wiedziano o ich istnieniu.

– Myślisz, że są gotowi? – zapytała Agona, który z trudem wchodził o lasce po schodach.

– Dłuższy trening by nie zaszkodził, ale w prawdziwej walce szybciej wszystkiego się nauczą. Chociaż wielu zapłaci za to życiem.

– A łowcy czarowników?

– To nie Ymmurczycy. Ymmurczycy potrafią zrobić z człowieka sito z odległości stu kroków, uciekając od niego galopem. Ja najwyżej mogę liczyć na to, że dziesięciu mężczyzn znajdzie się w zasięgu, zatrzyma, strzeli i ruszy, zanim dopadną ich ogniste pociski. Moi łowcy nie są warci łuków, których używają, ale są o niebo lepsi od wszystkiego czym poza tym dysponujemy.

Mama K uśmiechnęła się. Umniejszał umiejętności swoich ludzi. Widziała, jak strzelali.

– A co z dziewczynami do towarzystwa? – zapytał Agon. – Wiele z nich przypłaci tę misję życiem. Są na to gotowe?

Stanął blisko niej i oboje obserwowali walczących mężczyzn.

– Zdumiałbyś się, widząc ich twarze. Zupełnie jakbym oddała im z powrotem dusze. Umierały w środku, a teraz nagle wszystkie wróciły do życia.

– Nadal żadnych wieści od Jarla?

W głosie Agona było słychać napięcie i Mama K wiedziała, że wbrew wszystkim utarczkom z Jarlem, generał martwił się o niego.

– Nie mogło żadnych być. Jeszcze nie.

Oparła dłonie o barierkę i niechcący musnęła jego palce.

Brant zerknął na jej dłoń, a potem spojrzał Mamie K w oczy i szybko odwrócił wzrok.

Skrzywiła się i zabrała rękę. Kilkadziesiąt lat temu Agon był arogancki, ale niepozbawiony przy tym uroku – po prostu z pewnością siebie typową dla młodości uważał, że wszystko potrafiłby zrobić lepiej niż inni. Teraz to zniknęło – arogancję zastąpiło trzeźwe rozumienie własnych zalet i słabości. Był mężczyzną utemperowanym przez czas. Gwinvere znała mężczyzn, których zniszczyły żony. Małostkowe kobiety do tego stopnia niepewne swego, że podcinały skrzydła mężom tak długo, aż przestawali w siebie wierzyć. Dzięki takim kobietom Mama K była bogata. Znała też mężczyzn, którzy mieli naprawdę dobre żony, a mimo to stanowili jej stałą klientelę, mężczyzn uzależnionych od burdeli, jak inni bywali uzależnieni od wina. Jednakże większość jej interesów opierała się na mężczyznach, którzy desperacko pragnęli, by uważać ich za męskich, silnych, szlachetnych i dobrych w łóżku.

To była jedna z wielu ironii w tym biznesie – że po to właśnie przychodzili do burdelu.

Mężczyźni, jak wierzyła Mama K, byli zbyt prości, żeby kiedykolwiek w pełni uodpornić się na pokusy domów rozkoszy. Jej

zadaniem było urozmaicanie tych pokus, a w swoim fachu była naprawdę dobra. Lokale Mamy K nie były zwyczajnymi burdelami. Znajdowały się w nich pokoje do spotkań, palarnie, dostojne salony, urządzano nawet pogadanki na tematy, które mężczyźni uwielbiali. Jedzenie i napitki podawano zawsze lepsze niż u konkurencji

i po niższych cenach. Do najelegantszych przybytków sprowadziła najlepszych szefów kuchni i znawców win z całego Midcyru. Jako restaurator przepadłaby z kretesem. Na jedzeniu każdego roku miała same straty. Ale mężczyźni, którzy przychodzili coś zjeść, zawsze zostawali w jej domach, żeby wydać resztę pieniędzy w inny sposób.

Nieliczni Agonowie tego świata nie bzykali jej dziewczyn z dwóch powodów: byli szczęśliwi w domu i w ogóle nie przestępowali progu takich przybytków. Była pewna, że Branta wyszydzano z tego powodu. Mężczyźni, którzy nie bywali w domach rozkoszy zawsze byli wyśmiewani przez stałych bywalców.

Brant trzymał się zasad, był prawym człowiekiem. Przypominał jej Durzo.

Ta myśl sprawiła, że poczuła się, jakby dostała lancą prosto w brzuch. Durzo nie żył od trzech miesięcy. Na bogów, jak bardzo za nim tęskniła! Była w nim beznadziejnie zakochana. Durzo był jedynym mężczyzną w jej życiu, który mógł ją zrozumieć. Tak ją to przerażało, że wzbraniała się przed tą miłością. Stchórzyła. Pozbawiła ich związek szczerości i jak roślina zasadzona w zbyt płytkiej donicy przestał się rozwijać. Durzo był ojcem jej dziecka. Dowiedział się o

tym raptem na kilka dni przed śmiercią.

Mama K miała teraz prawie pięćdziesiąt jeden lat. Czas obszedł się z nią łagodnie, a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie. Na ogół wyglądała na piętnaście lat mniej niż miała. A przynajmniej dziesięć. Pomyślała, że gdyby się postarała, nadal miała wszystko co trzeba, żeby uwieść Branta.

Jak już raz staniesz się kurwą, to zostajesz nią na całe życie, co, Gwin? Kiedyś pogardzała kobietami, które czepiały się utraconej młodości wylakierowanymi paznokciami. Teraz sama taka była. Jakaś część niej chciała uwieść Branta tylko po to, żeby udowodnić sobie, że nadal może. A jednak tak naprawdę nie chciała go uwieść. Od lat nie wpuściła żadnego mężczyzny do łóżka. W czasie tych tysięcy razy, kiedy pracowała, zdarzało się, że lubiła albo podziwiała przez chwilę swojego kochanka. No i był Durzo. Tej nocy, kiedy poczęli Uly, był tak nawalony grzybkami, że miała z niego niewielki pożytek, ale sam fakt, że dzieliła łoże z mężczyzną, którego kochała, napełnił ją uczuciami po brzegi. Miłość i rozpacz tak ją przepełniały, że szlochała, kiedy się kochali. Mimo grzybków Durzo przerwał i zapytał, czy nie robi jej krzywdy. Potem potrzebowała wszystkich swoich umiejętności, żeby doprowadzić go do spełnienia. Durzo był delikatnym człowiekiem, jeśli idzie o szukanie przyjemności.

Teraz ich dziecko wychowywali Kylar i Elene. To było jedyne oszustwo, którego nie żałowała. Uly będzie u nich dobrze.

Miała już dość oszustw. Była zmęczona braniem i tym, że nigdy nie dawała. Nie chciała uwieść Branta. Wiedziała, że Brant jej

pragnie, a jego żona prawdopodobnie nie żyje. Prawdopodobnie, ale nie mógł mieć pewności. Pewnie nigdy nie będzie jej miał. Nigdy. Jak długo taki człowiek jak Brant Agon będzie czekał na kobietę, którą kocha?

Wiecznie. Należał do tego rodzaju mężczyzn.

Trzydzieści parę lat temu spotkali się na przyjęciu, jej pierwszym przyjęciu w domu arystokraty. Natychmiast się zakochał, a ona pozwoliła mu zabiegać o siebie, nie mówiąc mu, co robi, kim jest. Był szarmancki, pewny siebie, zdecydowany dokonać czegoś w życiu i tak uroczo ostrożny w swoich zalotach, że minął miesiąc, nim zdołał poprosić o pocałunek.

Rozmarzyła się. Mógłby się z nią ożenić, zabrać ją od koszmarów, które tak desperacko pragnęła zostawić za sobą. Nie miała wtedy jeszcze tak wielu szlachetnie urodzonych klientów. To było możliwe, prawda?

W wieczór ich pierwszego pocałunku, jakiś arystokrata powiedział o niej, że jest najsłodszą ladacznicą, jaką kiedykolwiek miał. Brant usłyszał to, natychmiast wyzwał go na pojedynek i zabił. Gwinvere uciekła. Następnego dnia Brant dowiedział się prawdy. Zaciągnął się do armii i próbował zginąć honorowo w walkach na granicy ceurańskiej.

Jednakże Brant Agon był zbyt zdolny, żeby umrzeć. W końcu, chociaż pogardzał lizusostwem i politykierstwem, dzięki swoim zasługom zaczął awansować. Ożenił się z prostą kobietą z kupieckiej rodziny. Podobno było to szczęśliwe małżeństwo.

– Ile potrzeba czasu, żeby wszystko przygotować? – zapytała. Będzie wierzyła, że zauroczenie Branta zgasło. Pomoże mu uciec przed prawdą. Przynajmniej w tym była dobra.

– Gwin.

Spojrzała mu w oczy, chłodno, kryjąc twarz za maską.

–Tak?

Odetchnął głęboko.

– Kochałem cię przez wiele lat, nawet po...

– Mojej zdradzie?

– Nietakcie. Miałaś wtedy... ile? Szesnaście, siedemnaście lat? Najpierw oszukałaś samą siebie i myślę, że cierpiałaś z tego powodu bardziej niż ja.

Żachnęła się.

– Mimo to nie mam do ciebie żalu. Jesteś piękną kobietą, Gwin. Moja Liza nigdy nie była równie piękna. Jesteś tak bystra, że muszę pędzić, żeby dotrzymać ci kroku, gdy ledwie truchtasz. Przy Lizie było odwrotnie. Masz na mnie... nadzwyczajny wpływ.

– Ale – powiedziała.

– Owszem. Ale. Kocham Lizę, a ona kochała mnie w trudnych chwilach i zasługuje na wszystko, co mogę jej dać. Niezależnie od tego, czy żywisz dla mnie jakieś tkliwe uczucia, dopóki mam nadzieję, że moja Liza żyje, proszę... błagam... żebyś pomogła mi dochować jej wierności.

– Wybrałeś trudną drogę.

– Nie drogę, bitwę. Czasem życie jest polem bitwy. Musimy robić

to, co wiemy, że trzeba, a nie co chcemy.

Gwinvere westchnęła, ale zrobiło jej się lżej na duszy. Walka ze słabością do niego mogłaby sprawić, że zaczęłaby go unikać, a musieli ze sobą współpracować. Czy szczerość jest tak łatwa? Mogłam po prostu powiedzieć: „Durzo, kocham cię, ale boję się, że mnie zniszczysz”? Brant właśnie odsłonił się przed nią, przyznał do tego, jak na niego działa, ale jednak nie wydawał się przez to słabszy, lecz silniejszy. Jak to możliwe? Czy prawda ma aż taką moc?

Przysięgła sobie wtedy w głębi serca, że nie będzie kusić tego człowieka dla własnej próżności. Ani głosem, ani przypadkowym dotknięciem, ani strojem – zapomni o całym swoim arsenale. To postanowienie sprawiło, że poczuła się dziwnie... przyzwoita.

– Dziękuję – powiedziała. Uśmiechnęła się przyjaźnie. – Kiedy będą gotowi?

– Za trzy dni.

– A potem niech noc spłynie szkarłatem.

34

Solon upuścił dwie skórzane, piekielnie ciężkie torby i złapał Doriana, który się zatoczył. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co prorok powiedział. – O czym ty mówisz?

Dorian odepchnął ręce przyjaciela. Włożył opończę, zapiął pas od miecza i podniósł dwie pary kajdan.

– Tędy – powiedział, łapiąc jedną z toreb Solona i ruszając otwartą drogą.

Teren prowadzący do murów był kamienisty i jałowy. Na obszarze szerokim na sto pięćdziesiąt jardów wykarczowano wszystkie drzewa. Chociaż droga była dość szeroka, żeby maszerowało nią dwudziestu mężczyzn ramię w ramię, była poryta koleinami i wybojami – efekt działania wielu stóp i wozów poruszających się po gruncie na przemian błotnistym i skalistym.

– Nadchodzi Khali – powiedział Dorian, zanim Solon zdążył zapytać, co znowu się dzieje. – Odrzuciłem swój dar jasnowidzenia, na wypadek gdyby mnie pojmała.

Solon nie potrafił na to odpowiedzieć.

Dorian zatrzymał się pod dębem, który rósł na skale zwieszającej się nad drogą.

– Jest tutaj. Niecałe półtora mili stąd. – Dorian nawet nie oderwał oczu od drzewa. – To będzie musiało wystarczyć. Uważaj, żeby stawać tylko na skale. Jeśli zobaczą ślady, znajdą mnie.

Solon się nie poruszył. Dorian w końcu oszalał. Dotąd zawsze

wszystko było bardziej oczywiste: Dorian po prostu zapadał w katatonię. Teraz wydawało się, że mówi całkiem do rzeczy.

– Daj spokój, Dorianie. Wracajmy na mury. Porozmawiamy o tym rano.

– Rano muru już nie będzie. Khali uderzy w godzinie czarownic. To znaczy, że masz pięć godzin, żeby zabrać stąd ludzi. – Dorian podciągnął się na skalną półkę. – Rzuć mi torby.

– Khali? To mit. Chcesz mi powiedzieć, że bogini jest półtorej mili stąd?

– Nie bogini. Może zbuntowany anioł wygnany z nieba, któremu pozwolono chodzić po ziemi do końca dni.

– Jasne. I rozumiem, że przyprowadziła ze sobą smoka? Możemy porozmawiać o...

– Smoki unikają aniołów – odparł Dorian. Rozczarowanie wykrzywiło mu twarz. – Porzucisz mnie teraz, kiedy cię potrzebuję? Czy okłamałem cię kiedykolwiek? Curocha też uważałeś za mit, dopóki go nie odnaleźliśmy. Potrzebuję cię. Kiedy Khali przekroczy mur, stracę rozum. Widziałeś mnie, kiedy myślałem, że mogę użyć viru dla dobra. A to było jak jedna część wina w dziesięciu częściach wody; tym razem to będzie czysty alkohol. Będę stracony. Już sama jej obecność wydobywa wszystko co najgorsze. Najgorsze lęki, najgorsze wspomnienia, najgorsze grzechy. Moja pycha odezwie się. Mogę spróbować walczyć z nią i przegram. Albo moja żądza władzy złamie mnie i dołączę do Khali. Ona mnie zna. Złamie mnie.

Solon nie mógł znieść wyrazu oczu Doriana.

– A jeśli się mylisz? A jeśli to jest szaleństwo, przed którym od tak dawna nas ostrzegałeś?

– Jeśli mur będzie stał o świcie, zorientujesz się.

Solon rzucił Dorianowi torby, a potem ostrożnie wspiął się na skałę, upewniając się, że nie zostawił żadnego odcisku buta.

– Co robisz? – zapytał, gdy Dorian uśmiechnął się do niego i rozlał złoto na ziemię.

Zaraz potem Dorian pociągnął za kajdany i żelazne łańcuchy pękły jakby zrobiono je z papieru. Rzucił pierwsze kajdany na stos monet. Zanurzyły się w złocie, jakby metal był płynny. Za pierwszymi powędrowały pozostałe trzy pary kajdan. Za każdym razem stos monet się kurczył. Dorian wyciągnął kajdany – wszystkie były teraz pokryte złotem. Jedną parę zapiął sobie na nadgarstkach. Rozciągnął żelazne obręcze drugiej pary i zapiał kajdany na udach, tuż nad kolanami.

To było niesamowite. Dorian zawsze mówił, że moc jego viru pomniejszała Talent, a jednak, proszę, topił złoto i żelazo umiejętnie i bez najmniejszego wysiłku.

W następnej chwili Dorian ukształtował resztę monet w cztery wąskie szpikulce i w coś przypominającego misę. Zamarł i skupił się. Solon czuł muśnięcia czarów przepływających obok niego, zanurzających się w metalu. Po dwóch minutach Dorian przerwał pracę i szepnął coś do dębu.

– Razem z nią przybędzie oddział, Potępieńcy – powiedział. – Oddali większość tego, co czyniło ich ludźmi, żeby służyć Khali. Ale

to nie oni stanowią zagrożenie. Ona za to jak najbardziej, Solonie. Wątpię, żebyś zdołał ją pokonać. Myślę, że powinieneś zabrać stąd ludzi. Zabierz ich gdzieś, gdzie ich śmierć może się czemuś przysłużyć. Ale... jeśli Khali dotrze do Cenarii, synowie Garotha Ursuula stworzą dwa upiory. Wykorzystają je do walki z rebeliantami. Tyle widziałem.

– Nie zrobiłeś tego naprawdę, prawda? Nie zniszczyłeś swojego daru?

– Na wypadek gdybym więcej miał cię nie zobaczyć, Bóg z tobą, przyjacielu.

Przyspawał kolce do kajdan i ukląkł przy drzewie. Wsunął kolce w drewno z nienaturalną łatwością. Ręce miał teraz wysoko wyciągnięte i szeroko rozłożone. Kiedy klęczał, najwyraźniej gotowy modlić się w czasie ciężkiej próby, która go czekała, Solon poczuł zazdrość. Tym razem nie zazdrościł Dorianowi mocy, ani rodowodu, ani prostej, pokornej prawości. Zazdrościł mu pewności. Świat

Doriana był bardzo oczywisty. Dla niego Khali nie była boginią, wytworem khalidorskiej wyobraźni, czy starożytnym potworem, który oszustwem nakłonił Khalidorczyków, aby go czcili. Była aniołem, którego wygnano z nieba.

W świecie Doriana wszystko miało swoje miejsce. Istniała hierarchia. Rzeczy pasowały do siebie. Nawet człowiek o tak rozległych mocach jak Dorian mógł zachować pokorę, ponieważ wiedział, że byli tacy, którzy znajdowali się daleko ponad nim, nawet jeśli nigdy żadnego z nich nie poznał. Dorian mógł nazwać zło bez

strachu i urazy. Potrafił powiedzieć bez nienawiści, że ktoś wyrządził jakieś zło albo mu służył. Solon nie znał nikogo takiego. Może z wyjątkiem hrabiego Drake'a. Co się z nim stało? Zginął podczas zamachu stanu?

– Do czego to wszystko służy? – zapytał.

Podniósł to, co było złotą misą, a teraz wyglądało jak coś pomiędzy hełmem a maską. Idealnie pasowało na głowę Doriana i miało tylko dwie małe dziurki przy nosie do oddychania. Obrócił przedmiot. Z przodu zobaczył idealną podobiznę twarzy Doriana, płaczącą złotymi łzami.

– To sprawi, że nie zobaczę jej, nie usłyszę, nie będę mógł do niej krzyczeć, ruszyć się stąd. Dzięki temu nie ulegnę ostatniej pokusie... nie uwierzę, że mam dość sił, aby z nią walczyć. Mam nadzieję, że to także powstrzyma mnie przed posłużeniem się virem. Ale nie mogę sam się związać magicznie. Musisz to zrobić za mnie. Jak już Khali odejdzie, wzejdzie słońce i odnowię glore vyrden, będę mógł uciec, nie musisz się więc o mnie martwić. Jeśli potrzebujesz tego złota, będzie tu leżało.

– Odchodzisz, choćby nie wiem co. Dorian się uśmiechnął.

– Nie pytaj dokąd.

– Powodzenia.

Solon miał gulę w gardle, która mu przypomniała, jak dobrze było mieć towarzyszy. Nawet kłótnie z Dorianem i Feirem były lepsze niż spokój bez nich.

– Byłeś dla mnie jak brat, Solonie. Uwierz mi, spotkamy się

jeszcze, zanim to się skończy. A teraz pospiesz się.

Solon nałożył Dorianowi złoty hełm i związał go najmocniejszą magią, jaką znał, opróżniając do tego całą swoją glore vyrden. Nie rzuci żadnego więcej czaru aż do wschodu słońca. To była niepokojąca myśl. Kiedy schodził ze skalnego nawisu, mógłby przysiąc, że widział, jak kora porasta odsłonięte fragmenty rąk Doriana.

Z drogi przyjaciel był niewidoczny.

– Do widzenia bracie – powiedział Solon.

A potem odwrócił się i ruszył w stronę murów. Teraz musi tylko przekonać Lehrosa Vassa, że nie oszalał z kretesem.

35

Król-Bóg siedział na tronie z wulkanicznego szkliwa. Polecił go wyciąć ze skał w Paszczy. Dla niego twarda czerń była przypomnieniem, bodźcem i pociechą zarazem. Przed nim stał jego syn. Jego pierwszy prawdziwy syn, a nie po prostu owoc jego lędźwi. Król-Bóg hojnie rozsiewał swoje nasienie. I nigdy nie uważał przypadkowych chwastów za swoich synów. To były bękarty i nie poświęcał im żadnej myśli. Liczyli się tylko ci chłopcy, którzy mogli być Vürdmeisterami. Jednak nie wszyscy przeżywali szkolenie. Tylko garstka chłopców urodzonych jako czarownicy dożywała, żeby stać się infantami, książętami godnymi odziedziczyć tron. Każdemu wyznaczano *uurdthan,* Udrękę, żeby dowiódł, co jest wart. Jak na razie tylko Moburu przeszedł próbę. I tylko jego Garoth uznał za swojego syna. Ale nadal nie za następcę tronu.

Prawda była taka, że widok Moburu sprawiał mu ból. Garoth pamiętał jego matkę. To była jakaś wyspiarska księżniczka, pojmana jeszcze zanim cesarstwo sethyjskie raz na zawsze pohamowało zakusy Garotha na morzu. Intrygowała go i podczas gdy przez jego sypialnię przechodziła niekończąca się procesja innych kobiet, o niskim lub wysokim urodzeniu, chętnych bądź nie, ją naprawdę próbował uwieść. Była równie namiętna jak on wyrachowany, tak gorąca jak on zimny. Była egzotyczna, kusząca. Próbował z nią wszystkiego poza magią. Był pewny pewnością młodzieńca, że żadna kobieta nie może mu się oprzeć.

Po roku nadal traktowała go z wyniosłą pogardą. Odtrącała go. Pewnej nocy stracił cierpliwość i zgwałcił ją. Zamierzał ją potem udusić, ale czuł się dziwnie zawstydzony. Później Neph powiedział mu, że kobieta jest w ciąży. Nie myślał o dziecku, dopóki Neph nie powiedział mu, że chłopiec przetrwał wszystkie próby i jest gotowy do *uurdthan.* Garoth wyznaczył Moburu *uurdthan,* pewien, że zakończy się śmiercią młodzieńca. Ale on wykonał zadanie z taką samą łatwością, z jaką przeszedł wszystkie inne wyznaczone przez Garotha próby.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że domniemany dziedzic khalidorskiego tronu nie wyglądał nawet jak Khalidorczyk. Miał oczy matki, jej chrapliwy głos, jej skórę – ladeską skórę.

To była gorzka pigułka. Dlaczego Dorian sobie nie poradził? Garoth pokładał w nim wszystkie nadzieje. Wypełnił *uurdthan,* a potem zdradził Garotha. Mniejsze nadzieje wiązał z tym, który nazwał siebie Roth, ale Roth przynajmniej wyglądał jak Khalidorczyk.

Moburu nosił paradny stój oficera alitaerańskiej kawalerii z czerwono-złotego brokatu, z herbem przedstawiającym smoczą głowę. Był inteligentny, błyskotliwy, pewny siebie i w miarę przystojny mimo ladeskiej skóry (co Garoth niechętnie przyznawał). Uważano go za bezwzględnego człowieka i jednego z najlepszych jeźdźców w kawalerii. Rzecz jasna. Stał tak, jak winien syn Króla-Boga. Pokora pasowała mu tak samo jak mężczyźnie suknia.

To irytowało Garotha, ale sam był sobie winny. Tak zaplanował życie swoim potomkom, żeby ci, którzy przetrwają, byli dokładnie

tacy jak Moburu. Problem polegał na tym, że wymyślił wszystkie próby, żeby wyłonić kandydatów. Miał nadzieję, że będzie miał kilku synów. Wtedy skupiliby całą uwagę na sobie nawzajem. Brat knułby przeciwko bratu, żeby przypodobać się ojcu. Ale teraz, kiedy Dorian odszedł, Roth nie żył, a żaden z pozostałych nie wypełnił *uurdthan,* Moburu został sam. Wkrótce ambicja każe mu zwrócić się przeciwko Królowi-Bogu. O ile już do tego nie doszło.

– Jakie wieści ze Zmarzliny? – zapytał Król-Bóg.

– Wasza Świątobliwość, jest tak źle, jak się obawialiśmy. Może gorzej. Klany już rozesłały wici. Zgodziły się na rozejm, żeby przezimować wystarczająco blisko granicy i wiosną dołączyć do hordy. Tworzą zmrocze, może też żele i umory. Jeśli rzeczywiście nauczyli się tego, to będą zwiększać ich liczbę przez następne dziewięć miesięcy.

– Na Khali, jakim cudem znaleźli odpowiednie miejsce w Zmarzlinie? Na wiecznej marzłoci?! – zaklął Garoth.

– Panie mój, z łatwością możemy odpowiedzieć na tę groźbę – odpowiedział jego syn. – Pozwoliłem sobie rozkazać sprowadzić tu Khali. Nadejdzie przez Wyjące Wichry. Tak będzie szybciej.

– Co takiego? – Głos Króla-Boga stał się lodowaty i groźny.

– Zmasakruje jeden z najpotężniejszych garnizonów Cenarii i oszczędzi ci bólu głowy. Zjawi się za kilka dni. Pod zamkiem mamy idealne miejsce do tworzenia. Miejscowi nazywają je Paszczą. Mając tam Khali, możemy stworzyć armię, jakiej świat nie widział. To miejsce jest przesiąknięte cierpieniem. Jaskinie pod Khaliras

eksploatowano przez siedemset lat. Tworzone tam zmrocze, to nic w porównaniu z tym, co Viirdmeisterowie mogą stworzyć tutaj.

Król-Bóg zesztywniał, ale nie dał po sobie niczego poznać.

– Synu. Synu. Nigdy nie zrobiłeś zmrocza. Nigdy nie stworzyłeś umora, ani nie wyhodowałeś ferozi. Nie masz pojęcia, ile to kosztuje. Nie bez powodu użyłem ludzkiej armii, żeby podbić górali, klany rzeczne, Tlanglangów i Grosthów. Umocniłem naszą władzę wewnątrz i czterokrotnie poszerzyłem nasze granice, a nigdy nie posłużyłem się zmroczami. Wiesz, jak ludzie walczą, kiedy wiedzą, że jeżeli przegrają, cała ich rodzina zostanie pożarta? Walczą do ostatniego człowieka. Uzbrajają dzieci w łuki. Ich kobiety atakują kuchennymi nożami i pogrzebaczami. Widziałem to w młodości. Mój ojciec niczego w ten sposób nie zyskał.

– Twój ojciec nie miał takiego viru jak ty.

– Vir nie ma tu nic do rzeczy. Koniec rozmowy.

Moburu nigdy wcześniej nie ośmielił się zwracać do niego tym tonem. I jeszcze bez pytania rozkazał sprowadzić tu Khali!

Garoth się zdenerwował. Skłamał. Tworzył zmrocze, ferozi i nawet umory. Umór zabił jego dwóch ostatnich braci. Wtedy przysiągł sobie: nigdy więcej. Nigdy więcej żadnych potworów z wyjątkiem kilku par rozpłodowych ferozi, nad którymi pracował, żeby pewnego dnia wysłać je do Puszczy Iaosian po skarby Ezry Szalonego. Ale za te już zapłacił. Niczego więcej już od niego nie wymagały.

Jednakże Moburu mógł mieć rację. To było w tym wszystkim najgorsze. Zwykł traktować Moburu jak partnera, w sposób, w jaki

ojcowie traktują synów.

To był błąd. Okazał niezdecydowanie. Moburu z pewnością już spiskował, żeby przejąć tron. Garoth mógłby go zabić, ale Moburu był zbyt cennym narzędziem, którego nie wyrzuca się beztrosko. Niech go diabli. Dlaczego jego bracia się nie sprawdzili? Moburu potrzebował rywala.

Król-Bóg uniósł palec.

– Zmieniłem zdanie. Przedstaw mi swoje rozumowanie, przekonaj mnie do swojej racji.

Moburu wahał się chwilę, a potem nadął się jak paw, pewny siebie.

– Przyznaję, że nasze wojska pewnie zdołałyby powstrzymać dzikusów ze Zmarzliny. Nawet jeśli klany sprzymierzą się na dłużej, Vürdmeisterowie przechylą szalę zwycięstwa na naszą stronę. Ale żeby tego dokonać, musimy wysłać każdego zdatnego do działania meistera na północ. Szczerze mówiąc, to najgorsza możliwa chwila. Siostry stają się coraz bardziej podejrzliwe i przestraszone. Niektóre mówią, że powinny stanąć do walki, zanim bardziej urośniemy w siłę. Wiemy, że Ceuranie przy pierwszej sposobności przekroczą nasze granice. Chcą zdobyć Cenarię od setek lat.

– Ceuranie są podzieleni.

– Mają błyskotliwego młodego generała, Lantano Garuwashiego, który zebrał wokół siebie rzesze ludzi w północnej Ceurze. Nigdy nie przegrał w żadnym pojedynku ani bitwie. Jeśli poślemy nasze wojska i meisterów na północ, zaatakowanie nas może być tym, czego mu

trzeba, żeby zjednoczyć Ceurę. To mało prawdopodobne, ale możliwe.

– Mów dalej – powiedział Król-Bóg.

Wiedział o Lantano Garuwashim. I nie martwił się siostrami. Osobiście zaaranżował ich obecny kryzys polityczny.

– Wygląda też na to, że Sa'kagé ma o wiele bardziej ugruntowaną pozycję i sprytniejszych przywódców, niż nam się wydawało. To ewidentnie robota tego nowego Shingi, Jarla. Moim zdaniem to oznacza, że rozpoczął kolejną fazę...

– Jarl nie żyje – powiedział Garoth.

– Niemożliwe. Nie zauważyłem niczego, co...

– Jarl nie żyje od tygodnia.

– Ale nie pojawiły się żadne plotki na ten temat, a przy tym stopniu organizacji, jaki odkryliśmy... nie rozumiem.

– Nie musisz. Mów dalej.

Och, teraz Moburu wyglądał na mniej pewnego siebie. Dobrze. Chciał zapytać o coś jeszcze, ale się nie ośmielił. Zaplątał się na chwilę w słowach, aż w końcu powiedział:

– Krążą plotki, że Sho'cendi wysyła delegację, która ma zbadać, jak to nazywają, „rzekome zagrożenie khalidorskie”.

– Twoje źródła nazywają to delegacją? – zapytał Garoth, uśmiechając się blado.

Moburu spojrzał niepewnie, a potem się rozeźlił.

– T-tak, i jeśli magowie uznają, że stanowimy zagrożenie, wrócą tu na wiosnę z armią. W tym samym czasie, w którym mogą się

zmaterializować wszystkie inne zagrożenia.

– Ci delegaci to magowie bojowi. Sześciu w pełni wyszkolonych magów bojowych. Saseuranie wierzą, że odnaleźli i utracili miecz Jorsina Alkestesa, Curocha. Myślą, że może znajdować się tutaj, w Cenarii.

– Skąd to wiesz? – zapytał zdumiony Moburu. – Mój informator działa tuż przy samej Wysokiej Radzie Sa'seuranów.

– Twój brat powiedział mi – odparł Król-Bóg, zadowolony z obrotu, jaki przybrała rozmowa.

Znowu zajmował właściwe mu miejsce. Panował nad sytuacją. Żył. Kierował światem wedle swoich pragnień.

– Jest jednym z delegatów.

– Mój brat?

– Właściwie jeszcze nie jest twoim bratem. Pewnie sam zgadniesz, jaki ma *uurdthan.* Nieco trudniejsze zadanie od twojego.

Moburu przełknął tę obrazę, a Garoth widział, że ubodła go do głębi.

– Ma odzyskać Curocha? – spytał Moburu.

Garoth uśmiechnął się powściągliwie. Syn, który odzyskałby Curocha, byłby faworyzowany, miałby znaczne wpływy. Prawdę mówiąc Garoth miał z tym Curochem niezły zgryz. Gdyby któryś z synów Króla-Boga odzyskał ten miecz, mógłby nie chcieć go oddać. Curoch dałby mu wystarczającą moc, żeby rzucić wyzwanie samemu Garothowi. Moburu natychmiast o tym pomyślał. Garoth jednak obmyślił stosowne plany na taki wypadek. Wiele planów, od

najłatwiejszych – łapówki i szantaż, do najbardziej desperackich – przedśmiertny czar, który przeniesie jego świadomość w ciało mordercy. To nie był czar, który można bezpiecznie wypróbować, więc najlepiej trzymać miecz poza zasięgiem rąk synów.

– Wskazałeś jednak kilka ważnych kwestii, synu. Stałeś się dla mnie cenny. – Och, jak trudno było zwrócić się tymi słowami do tego mieszańca. Synu! – Spełnię twoje życzenie. Zbudujesz dla mnie umora.

Moburu wytrzeszczył oczy. Och, nie miał zielonego pojęcia.

– Tak, Wasza Świątobliwość.

– I wiesz co jeszcze, Moburu? – Garoth milczał, aż syn przełknął nerwowo ślinę. – Nie zawiedź mnie.

36

Chcesz, żebyśmy uciekali, i nie powiesz dlaczego? To ma zrobić na mnie wrażenie? – zapytał Lord Vass. Trzystu żołnierzy zebrało się na mrocznym dziedzińcu, pod srebrnym księżycem na nocnym niebie płonącym od gwiazd. Trzystu żołnierzy ubranych do walki i opatulonych z powodu zimna, które już zapanowało w górach, chociaż w mieście Cenaria letnie upały dopiero co złagodniały. Trzystu żołnierzy i ich dowódca – którym nie był Solon. Trzystu mężczyzn, którzy obserwowali rozmowę Solona z Lehrosem Vassem.

– Przyznaję, że to nie brzmi przekonująco – zgodził się cicho Solon. – Ale proszę tylko o jeden dzień. Odejdziemy stąd na jeden dzień, a potem wrócimy. Jeśli się mylę, to przecież nie ma tu nikogo, kto splądrowałby garnizon. Jesteśmy jedynymi ludźmi w tych zapomnianych przez boga górach, nie licząc górali, a oni nie atakowali muru od trzech lat.

– Porzucilibyśmy nasz posterunek – odpowiedział młody lord. – A przysięgliśmy go strzec.

– Nie mamy posterunku – warknął Solon. – Nie mamy króla, nie mamy pana. Mamy trzystu ludzi i kraj pod okupacją. Złożyliśmy przysięgi ludziom, którzy już nie żyją. Naszym obowiązkiem jest zachować przy życiu tych ludzi, żeby mogli walczyć, gdy nadejdzie taka szansa. To nie jest tego rodzaju wojna, gdzie w blasku chwały szarżujemy na wroga, wymachując mieczami.

Lord Vass był na tyle młody, że zaczerwienił się ze złości i

wstydu. Oczywiście jemu właśnie taka wojna się marzyła i błędem było ośmieszać te marzenia. Jak dawno temu Solon stracił wszelkie złudzenia odnośnie do wojen?

Żaden z mężczyzn nawet nie drgnął, ale wszyscy widzieli gniew na twarzy lorda Vassa, a rumieniec wydawał się jeszcze czerwieńszy w świetle pochodni.

– Skoro mamy stąd odejść, żądam podania powodu.

– Nadchodzi elitarny oddział khalidorskich żołnierzy znanych jako Potępieńcy. Wiozą khalidorską boginię Khali do Cenarii. Zaatakują mur w godzinie czarownic.

– I chcesz, żebyśmy odeszli? – Vass nie dowierzał własnym uszom. – Masz pojęcie, ile to by znaczyło, gdybyśmy przechwycili khalidorską boginię? To by ich zniszczyło. To dałoby nadzieję naszym krajanom. Bylibyśmy bohaterami. W tym miejscu możemy ich zatrzymać. Mamy mury, pułapki, ludzi. To nasza szansa. Na to właśnie czekaliśmy.

– Synu, ta bogini... – Solon zazgrzytał zębami. – Nie mówimy o przechwyceniu posągu. Myślę, że chodzi o prawdziwą boginię.

Lehros Vass patrzył na Solona początkowo z niedowierzaniem, a potem pobłażliwie.

– Jeśli musisz uciekać, proszę, śmiało. Znasz drogę. – Zaśmiał się, zachwycony własną wspaniałomyślnością. – Oczywiście nie mogę cię puścić, dopóki nie oddasz mi mojego złota.

Gdyby Solon powiedział mu, gdzie znajduje się teraz złoto, Vass natychmiast posłałby po nie ludzi. Dorian zostałby tu bezradny.

– Do diabła z tobą – zniecierpliwił się Solon. – I do diabła ze mną. Zginiemy razem.

***

Siostra Ariel Wyant siedziała pięć kroków od pierwszej magicznej granicy, która oddzielała Puszczę Iaosian od dębowego zagajnika. Przez ostatnie sześć dni obserwowała coś, co wyglądało jak tabliczka i znajdowało się dwadzieścia kroków w głąb lasu. Przedmiot nie mógł leżeć tam zbyt długo – poszycie jeszcze go nie przesłoniło.

Kiedy Ariel zaczęła badać barierę, swoje nadzieje wiązała, po pierwsze, z faktem, że Ezra stworzył ją setki lat temu. W przypadku każdego innego maga, Ariel spodziewałaby się, że sploty po takim czasie zaczną się rozpadać. Sploty zawsze się rozpadały. Ale w przypadku Ezry „zawsze" nie oznaczało zawsze. Dowód na to migotał przed nią magią, tuż poza zasięgiem zwykłego wzroku.

Po drugie, miała nadzieję, że – pamiętając o mocy Ezry i innych magów jego czasów – bariera chroniła przed przeciwnikami daleko potężniejszymi niż ktokolwiek spośród współcześnie żyjących. Siostra Ariel nie była na tyle arogancka, by uważać się za równą tym, których spodziewał się Ezra. Mogła mieć tylko nadzieję, że jej delikatne muśnięcia splotów pozostaną niezauważone. Termity są maleńkie, ale zniszczyły wiele potężnych domostw.

I tak przez sześć dni badała raz za razem sploty, które oddzielały Puszczę Iaosian od dębowego zagajnika. Były piękne jak pajęczyna

czarnej wdowy. Były tam pułapki wielkie i małe. Były tam sploty mające pęknąć przy najlżejszym dotyku i sploty, które miały pozostać nietknięte, sploty, których nie zniszczyłaby nawet dwukrotnie większa siła niż moc Ariel. I każdy zawierał pułapkę.

Ariel domyślała się, co zrobiła siostra Jessie. Prawdopodobnie próbowała ukryć Talent. Przez pierwszy dzień to wyglądało na doskonałą strategię. Zadziałałoby, gdyby Ezra był prostym magiem. Siostra Jessie była wystarczająco słaba, żeby zdusić Talent, a potem go zasłonić. Dzięki temu jej Talent stał się niewidzialny dla innych sióstr albo Braci Widzących – i tu pojawia się przedziwna myśl: ciekawe ile razy dokładnie taką samą strategią posłużyły się Utalentowane kobiety, żeby ukryć siebie albo swoje Utalentowane córki przed siostrami, które zjawiły się, by rekrutować do Oratorium? Ariel pokręciła głową. Nie czas na błądzenie myślami. Kłopot w tym, że sploty Ezry nie rejestrowały po prostu Talentu. Na ile Ariel potrafiła to określić – a musiała zgadywać z powodu zawiłości i delikatności splotów – magia Ezry wykrywała ciała magów.

Każdy wiedział, że magowie różnią się od zwykłych ludzi, ale nawet Uzdrowiciele nie rozumieli w dzisiejszych czasach, w jaki właściwie sposób magia zmieniała ciało maga. Magowie inaczej się starzeli, czasem tym wolniej, im większy mieli Talent, ale nie zawsze. W każdym razie ich ciało było odmienione w subtelny sposób przez nieustanną interakcję z magią. Siostra Ariel powinna była się tego domyślić. Pośród rozlicznych innych osiągnięć Ezra był także Sasalarem, Panem Uzdrowień. Stworzył Mrocznego Łowcę –

stworzył żywą istotę!

Och, siostro Jessie, przeszłaś prosto przez ścianę magii? Naprawdę myślałaś, że jesteś sprytniejsza od samego Ezry? Kości ilu magów walają się po tym przeklętym lesie?

Znowu pozwoliła umysłowi oderwać się od problemu, którym właśnie się zajmowała. Nadal żyła. Przeszła pierwszą barierę. Teraz musiała jakoś wykorzystać to osiągnięcie. Musiała dorwać tę przeklętą, złotą tabliczkę, która zaklinowała się dwadzieścia kroków dalej na szczycie małego pagórka. Znajdowała się tak blisko, a jednak Ariel nie miała nadziei, że do niej dotrze. Nabrała takiego przekonania po zbadaniu pułapek Ezry. Potrzebowałaby lat, żeby rozbroić jego pułapki. I to lekko licząc. Nawet gdyby miała tyle czasu, nigdy nie miałaby pewności, że czegoś nie przeoczyła. Nigdy nie wiedziałaby, ile jeszcze warstw obrony pozostało. Ezra mógł tkać tę barierę kilka dni. Może chciał, żeby pierwszą warstwę mogli przekroczyć słabi magowie. Siostra Ariel mogła spędzić całe życie na rozbrajaniu pułapek i nigdy nie odkryć prawdziwych sekretów Ezry.

Gdyby zjawiła się tutaj jako młodsza kobieta, może uznałaby, że warto temu poświęcić życie. Ale jako młodsza kobieta była o wiele bardziej idealistką. Wierzyła w Oratorium ślepą wiarą, jaką większość ludzi rezerwuje dla religii. Jeśli Ezra rzeczywiście posiadał straszliwie potężne artefakty, to czy Ariel chciała przekazać je Mówczyni? Zaufałaby Istariel i powierzyła jej coś, co pomnożyłoby jej moc dziesięciokrotnie?

Dość tego. Ariel, znowu pozwalasz myślom błądzić.

Spojrzała na tabliczkę. A potem zaczęła się śmiać. To było takie proste. Wstała i ruszyła z powrotem do wioski.

Wróciła godzinę później, z pełnym żołądkiem i liną. Pan Zoralat był na tyle uprzejmy, żeby pokazać jej, jak się robi lasso i jak się je zarzuca. Przez dwa dni zastanawiała się, jak dotrzeć do tabliczki. Przez dwa dni myślała tylko o magicznych sposobach. Głupia, głupia kretynka.

Po kolejnej godzinie okazało się, że także niezręczna kretynka. Ile razy w życiu uśmiechała się szyderczo na widok mężczyzn pracujących w stajniach Oratorium? To było jedno z ćwiczeń, które powinna przejść każda siostra – na oczach wszystkich stajennych z Oratorium.

Dzień się kończył, a ona nadal nie zaczepiła lassem o tabliczkę. Serdecznie poklęła sobie w lesie i wróciła do siebie. Następnego dnia pojawiła się z obolałą ręką i ramieniem. Potrzebowała kolejnych trzech godzin, w czasie których klęła na siebie, na linę, na Ezrę, na jej brak ruchu i po prostu klęła – ale tylko w myślach.

Kiedy w końcu lasso opadło wokół tabliczki, mogłaby przysiąc, że złoto rozbłysło na chwilę. Chciała rozszerzyć zmysły i sprawdzić, co się stało, ale tabliczka znajdowała się za daleko. Ariel uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak przyciągnąć przeklętą rzecz.

Początkowo tabliczka nie chciała drgnąć. Jakby się zaklinowała. A kiedy Ariel pociągnęła mocniej, część pagórka poruszyła się i przetoczyła, uwalniając tabliczkę. To nie był pagórek. To było ciało Jessie. Nie żyła od tygodni. Pleśń porosła jaskrawe szaty, zasłaniając

ślady krwi. Wyglądało na to, że pazur oderwał połowę jej głowy jednym straszliwym ciosem. Od chwili śmierci żadne zwierzę nie tknęło ciała. W Lesie Ezry nie było niedźwiedzi, kojotów, kruków ani żadnych innych padlinożerców, ale robaki wzięły się już do roboty.

Siostra Ariel odwróciła wzrok, pozwalając sobie na chwilę być kobietą, która widzi okaleczone ciało znajomej. Odetchnęła powoli, ciesząc się, że ciało Jessie znajduje się tak daleko. Przez tyle dni siedziała tak blisko, a nie poczuła odoru rozkładu. To kwestia wiatru czy magii?

Siostra Jessie ściskała tabliczkę w dłoniach.

Ariel ostrożnie odsunęła emocje. Później je zbada, pozwoli sobie na łzy, jeśli będą musiały popłynąć. Na razie mogło grozić jej niebezpieczeństwo. Spojrzała na tabliczkę. Leżała za daleko, żeby rozpoznać symbole na jej powierzchni, ale było w nich coś, co zmroziło Ariel do kości.

Kwadratowa plakietka miała haczyki, które zaplątały się w linę. Wyglądały tak, jakby się pojawiły, żeby pomóc przyciągnąć tabliczkę dopiero, kiedy zarzuciła lasso.

Ariel przyciągnęła tabliczkę blisko do bariery, ale zostawiła ją po drugiej stronie. Nie sposób powiedzieć, co się stanie, jeżeli przyciągnie przez barierę coś, co może być magiczne. Napis był w języku gamityckim, ale Ariel ze zdziwieniem zauważyła, że zaskakująco dobrze go pamięta.

„Jeśli to czwarty dzień, nie spiesz się. Jeśli siódmy, od razu przeciągnij to przez barierę” – głosił napis.

Runy ciągnęły się dalej, ale Ariel przerwała czytanie i skrzywiła się. W żadnym wypadku nie było to słowa, jakie zwykle wypisuje się na tabliczce. Zastanawiała się, do kogo je kierowano. Może ta tabliczka to jakaś starożytna próba? Rytuał przejścia dla magów? Jak siostra Jessie ją zinterpretowała? Dlaczego uznała, że to takie ważne?

Czytała dalej: „Chodzi o dni przy barierze, Krowo. A tak nawiasem mówiąc, beznadziejnie rzucasz”.

Ariel wypuściła linę z odrętwiałych palców. Nazywano ją Krową, kiedy była nowicjuszką. Próbowała przetłumaczyć słowa w inny sposób, ale runy gamityckie jednoznacznie wskazywały, że chodzi o imię, o konkretne przezwisko, a nie o rzeczownik pospolity.

Widząc teraz, jak tabliczka zaplątała się w linę, nagle nabrała pewności, że to było coś więcej: tabliczka złapała się liny. Jakby była istotą rozumną. Haczyki nie zostały rozmieszczone symetrycznie po obu stronach tabliczki. Przeciwnie – zupełnie jakby wyrosły w odpowiedzi na dotyk lassa.

Tabliczka rozbłysła i przerażona siostra Ariel zatoczyła się do tyłu.

To był błąd. Stopą zahaczyła o pętlę na linie i upadając, przeciągnęła tabliczkę przez barierę.

Zerwała się tak szybko, jak pozwoliły jej na to grube członki. Tabliczka już nie jaśniała. Ariel podniosła ją.

„Proroctwo” – napisano; gamityckie runy przekształciły się w zwykłe litery, kiedy dotknęła tabliczki. „Nierozumna istota”.

Przełknęła ślinę, nie bardzo wiedząc, czy w to wierzy. Litery cały

czas pojawiały się przed nią, jakby pisane niewidzialnym piórem. „Jeśli to siódmy dzień, spójrz dwa stadiony na południe”.

Stadiony? Może jednostki miary nie zostały przetłumaczone. Ile to jest dwa stadiony? Trzysta kroków? Czterysta?

Sparaliżował ją strach. Nigdy nie szukała przygód. Była naukowcem, i to piekielnie dobrym. Była jedną z potężniejszych sióstr, ale nie lubiła, kiedy wyskakiwały na nią rzeczy, których nie rozumiała. Obróciła tabliczkę.

„Bariery między drzewami” – napisała spanikowaną ręką Jessie al’Gwaydin. „Nie ufaj mu”.

Och, cudownie.

Siostra Ariel stała nieruchomo. Słowa, które napisała siostra Jessie, mogły zostać zapisane tylko magią. Z pewnością nie użyłaby magii w lesie. To byłoby samobójstwo.

Ale przecież ona nie żyje.

To mogła być pułapka. Tabliczka mogła coś uruchomić, kiedy Ariel przeciągnęła ją przez barierę. Między drzewami na południe, dokąd tabliczka próbowała ją skierować, mogła kryć się pułapka. Może powinna wrócić i spisać wszystko, zignorować pułapkę, grać według własnych reguł?

Jednak siostra Ariel nie wróciła do Zakola Torras, żeby pisać w dzienniku. Badała barierę, przesuwając się na południe. Jeśli była tam pułapka, to już ją uruchomiła.

Niekiedy nadchodził właściwy czas i miejsce na pośpiech. I najwyraźniej tak było właśnie tu i teraz.

37

No dobra, jesteś jak wrzód na tyłku. Dlaczego Kylar cię przygarnął? – zapytała Vi. Od tygodnia były w drodze, a nawet jeśli Uly nie okazała się najlepszym kompanem, przynajmniej była ciekawsza niż konie, drzewa i małe wioski, których musiały unikać. Poza tym Vi nie rozmawiała, tylko zbierała informacje. Kylar zjawi się, żeby ją zabić.

– Zrobił to, bo mnie kocha – odpowiedziała Uly jak zwykle wyzywającym tonem. – Pewnego dnia ożeni się ze mną.

Już wcześniej mówiła takie rzeczy, i to natychmiast wzbudziło podejrzenia Vi, ale kiedy zadała kilka następnych pytań, po których Uly kompletnie zgłupiała, Vi zdała sobie sprawę, że się myliła. Kylar nie był pedofilem.

– Tak, tak, wiem. Ale nie mógł cię kochać, zanim cię poznał, prawda? Powiedziałaś, że kiedy zabrał się z zamku, zobaczył cię pierwszy raz w życiu.

– W pierwszej chwili myślałam, że jest moim prawdziwym ojcem – przyznała Uly.

– Hm – mruknęła Vi, jakby nie była zainteresowana. – A kim są twoi prawdziwi rodzice?

– Mój ojciec nazywał się Durzo i już nie żyje. Kylar nie chce o nim mówić. Myślę, że moją matką jest Mama K. Zawsze śmiesznie na mnie patrzyła, kiedy mieszkaliśmy u niej.

Vi musiała się złapać siodła, żeby nie spać. Na Nysosa, wszystko

jasne! Wiedziała, że Uly wygląda znajomo. Uly była córką Durzo i Mamy K! Nic dziwnego, że ją ukrywali. I to też wyjaśnia, dlaczego Kylar się nią zajął.

Nie wiadomo dlaczego ta myśl sprawiła jej ból. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby przygarnęła któreś z bękartów Hu. Właściwie to nie wyobrażała sobie, żeby Hu którymkolwiek się przejmował. Nagle Uly stała się dwa razy cenniejsza dla Króla-Boga. Mając ją w ręku, mógł kontrolować Mamę K.

Może to wystarczy, żeby Vi uwolniła się od niego, ale nie łudziła się zbytnio. Król-Bóg dobrze wynagradzał swoje sługi. Będzie mogła spełnić każdą zachciankę aż do przesytu. Da jej złoto, szaty, niewolników – czego zapragnie. Ale nigdy nie da jej wolności. Udowodniła, że jest zbyt cenna.

Im więcej Vi dowiadywała się o Kylarze, tym bardziej pogrążała się w rozpaczy. Potrzebowała, żeby Uly mówiła, bo musiała dowiedzieć się o wrogu wszystkiego, co tylko się dało. Dostawała tylko słowa dwunastolatki, która się w nim podkochiwała, ale Vi była dobra w oddzielaniu faktów od przekonań. Mimo wszystko, z tego co słyszała, Kylar wydawał się coraz bardziej i bardziej... niech to szlag!

Nie będzie znowu o tym myśleć. To tylko psuło jej samopoczucie. Przeklęty trakt. Przeklęta niekończąca się jazda. Jeszcze jeden tydzień i będzie mogła umyć od tego ręce. Może nawet nie poczeka na nagrodę, chociaż na nią zasłużyła. Podrzuci dziewczynkę z liścikiem, w którym napisze, co zrobiła, i zniknie. Zabiła Jarla. Dostarczyła Kylara i Mamę K Królowi–Bogu. Na pewno

nie będzie marnował ludzi, żeby wysłać kogoś w pogoń za nią. A nawet jeśli, to nie będzie jej szukał z taką zaciekłością, jak gdyby go zdradziła. Mogła zniknąć. Obawiała się tylko kilku osób, a każda z nich była zbyt cenna, żeby posłać ją w ślad za Vi.

Jedną z nich był Kylar, ale on nie pożyje długo. Może i zabił Rotha Ursuula, trzydziestu górali z elitarnego oddziału i paru czarowników – Uly sporo na ten temat wiedziała – ale nie przetrwa spotkania z Królem-Bogiem.

Vi wyjechałaby do Seth albo Ladeshu, albo głęboko w góry Ceury, gdzie jej rude włosy nie będą takie niezwykłe. Nigdy więcej nie będzie rozkładała nóg dla mężczyzny, nigdy więcej nie przyjmie żadnego kontraktu. Nie miała pojęcia, jak wygląda normalne życie, ale da sobie czas, żeby się zorientować. Jak tylko załatwi tę sprawę.

Wyciągnęła liścik, który zabrała z domu Kylara, i raz jeszcze go przeczytała.

Elene, wybacz. Próbowałem. Przysięgam, że próbowałem. Niektóre rzeczy są warte więcej niż moje szczęście. Niektórych rzeczy tylko ja mogę dokonać. Odsprzedaj to panu Bourary i przeprowadź się z rodziną do lepszej części miasta. Zawsze będę Cię kochać.

– Ej, brzydula – odezwała się – o co się kłócili Elene i Kylar?

– Myślę, że o to, że łóżko nie trzeszczało.

Vi zmarszczyła brwi. Co? A potem wybuchnęła śmiechem.

– A, to całkiem normalne. Tylko o to?

– A co? Co to znaczy?

– Pieprzenie. Mężczyźni i kobiety robią to cały czas.

– A co to jest pieprzenie?

Vi wytłumaczyła jej wszystko, bez ogródek, a Uly wyglądała na coraz bardziej i bardziej przerażoną.

– To boli? – spytała.

– Czasem.

– Ohyda!

– Owszem. To coś brudnego, lepkiego, spoconego, śmierdzącego i ohydnego. Czasem nawet się przez to krwawi.

– Dlaczego dziewczyny pozwalają im na to?

– Bo mężczyźni je zmuszają. Właśnie o to się kłócą.

– Kylar by tego nie zrobił – stwierdziła Uly. – Nie skrzywdziłby Elene.

– Więc o co się kłócili?

Uly wyglądała, jakby zebrało jej się na mdłości.

– Nie zrobiłby tego – powtórzyła. – Nie zrobiłby. Zresztą nie sądzę, żeby kiedykolwiek to zrobili, bo ich łóżko nigdy nie skrzypiało, a ciotka Mea powiedziała, że byłoby słychać. Ale ona też mówiła, że to zabawne.

Łóżko nigdy nie trzeszczało?

– Nieważne. Tylko o to się kłócili? – spytała Vi.

– Chciała, żeby sprzedał miecz. Ten miecz, który dał mu Durzo. Kylar nie chciał, ale Elene powiedziała, że to dowód na to, że nadal chce być siepaczem. Ale to nieprawda. Chciał zostać z nami. Strasznie się wściekał, kiedy tak mówiła.

Więc on też chciał z tym skończyć. To miał na myśli, kiedy pisał

w liście, że próbował. Próbował to rzucić.

Nysosie! Kylar mógł nawet nie wiedzieć, że zabrała Uly. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Ale to wyjaśniało, dlaczego tamtego mglistego ranka przejechał w pędzie obok nich. Był przekonany, że Vi natychmiast wróciła do Cenarii.

Kilkaset kroków przed sobą zobaczyła, że las się zmienia. Nie, nie „zmieniał się". Przeradzał się gwałtownie, jakby ktoś rozłupał ziemię toporem. Po ich stronie las wyglądał tak samo jak ten, przez który jechały od kilku dni. Po drugiej stronie rosły olbrzymie sekwoje. Musiały znajdować się już blisko Zakola Torras. Nie miało to dla niej specjalnego znaczenia, ale pomyślała, że lepiej będzie się jechało pod tymi wielkimi drzewami. W takim starym lesie prawie nie było poszycia.

Znajdowały się ledwie pięćdziesiąt kroków od sekwoi, kiedy spomiędzy drzew przed nimi, nieco z boku, wyszła stara kobieta. Była równie zaskoczona jak Vi. Trzymała w rękach jaśniejący arkusz złota.

Jaśniejące złoto mogło oznaczać tylko magię. Ta kobieta była magiem.

– Stój! – wrzasnęła.

Vi gwałtownie odchyliła się w siodle i wyrwała wodze z rąk Uly. Wyprostowała się, uderzyła piętami boki konia i pognała, zerkając na magę. Kobieta biegła ciężko, niezgrabnie – ale nie w ich stronę. Uciekła od starego lasu i wyrzuciła jaśniejący złoty arkusz.

Co, u diabła? To było dziwne, ale nie na tyle, żeby Vi się zatrzymała. Jedyni ludzie na całym świecie, których musiała się bać,

to siepacze, czarownicy i magowie.

Szarżowały z Uly w stronę lasu; dzieciak prawie wypadł z siodła.

Maga znajdowała się teraz raptem trzydzieści kroków od nich, prawie w jednej linii z nimi. Podbiegła jeszcze kilka kroków. Vi mogłaby przysiąc, że kobieta wynurzyła się z czegoś, co wyglądało jak rozległy, niewidoczny bąbel obejmujący cały las.

Kobieta uniosła ręce i przemówiła. Coś trzasnęło i strzeliło do przodu. Vi przechyliła się, w miarę możliwości chowając się za koniem. Poczuła wstrząs gdzieś obok i Uly spadła z konia.

Vi nie zatrzymała się, żeby spojrzeć. Wyrwała z pochwy nad kostką nóż do rzucania i cisnęła nim, znowu prostując się w siodle. To był trudny rzut – dwadzieścia kroków do celu, który zobaczyła dopiero w chwili rzutu – ale służył tylko odwróceniu uwagi. Vi się odwróciła.

Uly leżała nieprzytomna na ziemi.

Vi nie wahała się ani chwili. Siepacz się nie waha. Siepacz działa, nawet jeśli to jest błędne działanie. Vi nie mogła pozostać w bezruchu, bo wtedy stawała się celem. Znowu wbiła pięty w boki wierzchowca. Koń skoczył w przód...

I natychmiast padł na ziemię, jakby obcięto mu przednie nogi.

Vi wyrwała stopy ze strzemion. Wyląduje zwinięta w kłębek, przeturla się i wyciągnie noże do rzucania – ale koń padł szybciej, niż się spodziewała. Uderzyła o ziemię i przekoziołkowała. Rąbnęła głową w twardy jak żelazo korzeń i przed oczami przepłynęły jej czarne plamki.

Wstawaj, niech cię diabli! Wstawajże! Podniosła się na czworaki i spróbowała wstać; oczy jej łzawiły, w głowie dzwoniło.

– Przepraszam, nie mogę ci na to pozwolić – powiedziała stara kobieta.

Nie, to nie może tak się skończyć.

Zwalista stara kobieta uniosła rękę i przemówiła. Vi próbowała uskoczyć w bok, ale jej się nie udało.

38

To były dwa drobne cięcia. Linia wzdłuż żeber i podobna po wewnętrznej stronie ręki. Żadna z ran nie była głęboka. Nóż rozciął skórę, ale nie naruszył mięśni. Nawet razem wzięte nie były niczym, czego czyste bandaże i świeże powietrze nie wyleczyłoby w kilka dni.

Ale na Dnie nic nie było czyste. Świeże powietrze było ledwie wspomnieniem.

Logan rozpoznał objawy, nic jednak nie mógł poradzić. Robiło mu się na przemian gorąco i zimno, dygotał i pocił się. Istniało spore prawdopodobieństwo, że nie wyjdzie z gorączki. Po czasie spędzonym na Dnie stał się cieniem dawnego Logana. Policzki mu się zapadły, oczy niezdrowo błyszczały, twarz przypominała czaszkę i została z niego sama skóra i kości.

Wiedział jednak, że jeśli przeżyje, będzie prezentował się jeszcze gorzej. Chociaż głodował, nadal nie wyglądał jak niedożywieni, wyniszczeni więźniowie, którzy siedzieli na Dnie od lat. Jego ciało czepiało się swojej siły z uporem, który zaskakiwał nawet jego. Ale gorączka niczym się nie przejmowała. W najlepszym wypadku upłynie jeszcze wiele dni, zanim Logan ją zwalczy. Wiele dni całkowitej bezbronności.

– Natassa – powiedział. – Opowiedz mi jeszcze o rebeliantach.

Młodsza córka Graesina siedziała skulona. Nie odpowiedziała. Patrzyła ponad dziurą na Piątaka, który przeżuwał ścięgna do przedłużenia liny.

– Natassa? Usiadła prosto.

– Przemieszczają się. W pewnych posiadłościach na wschodzie są mile widziani, zwłaszcza... zwłaszcza w posiadłości Gyre'ów. Nawet Lae'knaught pomógł.

– Łajdacy.

– Łajdacy, którzy są wrogami naszego wroga.

Użyła dokładnie takich samych słów jak wcześniej. Niech to diabli, przecież już to mówiła, prawda?

– I nasza liczba rośnie?

– Nasza liczba rośnie. Urządzaliśmy wypady. Małe grupy, które robiły wszystko co można, żeby dopiec Khalidorczykom. Ale moja siostra ciągle nie pozwala nam na nic większego. Hrabia Drake zorganizował dla nas informatorów w każdej wiosce we wschodniej Cenarii.

– Hrabia Drake? Chwilkę, już o to pytałem wcześniej, prawda? Nie odpowiedziała. Nadal nie spuszczała z oczu Piątaka. Zabił czterech z nowo przybyłych w ciągu ostatnich trzech dni. Trzech dni? A może to już cztery?

Hrabia Drake był wśród rebeliantów. To wspaniale. Logan nie wiedział wcześniej, czy hrabiemu udało się ujść z zamku z życiem.

– Cieszę się, że Kylar nie zabił i jego – powiedział Logan.

– O kim mówisz? – zdziwiła się Natassa.

– O hrabim Drake'u. Zdradził mnie. To przez niego tu jestem.

– Hrabia Drake cię zdradził?

– Nie, Kylar. Cały ubrany na czarno, nazywał siebie Aniołem

Nocy.

– Kylar Stern jest Aniołem Nocy?

– Od początku współpracował z Khalidorem.

– Nieprawda. Tylko dzięki Aniołowi Nocy są jeszcze jacyś rebelianci. Byłam tam. Wszystkich nas zapędzono do oranżerii, a on nas uratował. Terah zaproponowała, że da mu wszystko, co zechce, byle wyprowadził nas z zamku, ale jemu chodziło tylko o ciebie. Zostawił nas, bo próbował cię uratować.

– Ale on... on zabił księcia Aleine'a. On to wszystko zapoczątkował.

– To lady Jadwin zabiła Aleine'a Gundera. W nagrodę dostała część jego posiadłości.

To się wydawało nieprawdopodobne. Po tym, jak odebrano mu wszystko, Natassa oddała mu z powrotem najlepszego przyjaciela. Tak bardzo brakowało mu Kylara.

Zaśmiał się. Może to przez gorączkę. Może tylko wyobraził sobie słowa Natassy, bo tak bardzo pragnął je usłyszeć. Był tak chory, że bolał go cały świat. Wszystko wydawało się tak bardzo, bardzo zamglone. Pomyślał, że zaraz poryczy się jak mała dziewczynka.

– A Serah Drake? Ona też była z tobą? Bierze udział w rebelii? Kylar ją ocalił? – zapytał Logan.

Pytał już o to, prawda?

– Nie żyje.

– Czy... cierpiała? – Nie miał odwagi zapytać wcześniej. Natassa spuściła wzrok.

Serah. Do niedawna jego narzeczona. Teraz jakby należała do innego życia. Innego świata. Kiedyś tak bardzo ją kochał. Albo myślał, że ją kocha. Jak mógł ją kochać, skoro prawie o niej nie myślał, odkąd wylądował tu na dole?

Zdradziła go. Spała z jego przyjacielem, księciem Aleinem Gunderem. A z nim – z mężczyzną, którego, jak mówiła, kochała – nigdy. Czy właśnie o to chodziło? Jej zdrada zgasiła jego miłość? Czy może nigdy jej nie kochał?

A w noc poślubną już myślał, że wreszcie rozumie miłość.

Każdy zakochany uważa, że rozumie miłość, pomyślał. Ale Logan nic na to nie mógł poradzić. To, co czuł do Jenine Gunder – piętnastolatki, o której wcześniej myślał, że jest dla niego za młoda i zbyt niedojrzała – naprawdę wydawało się miłością. Może odebrano mu ją, zanim zdążył dostrzec jej wady, ale Jenine Gunder – Jenine Gyre, jego żona, chociaż tylko przez kilka tragicznych godzin – była kobietą, która prześladowała jego myśli. Śnił o niej w krótkich chwilach, nim sen ustępował twardej skale, potwornemu smrodowi, wyciu i żarowi Dna. Uśmiech jej pełnych ust, błyszczące oczy, złociste kształty w świetle świecy – widział ją taką tylko raz, przez chwilę, zanim khalidorscy żołnierze włamali się do sypialni i zanim Roth poderżnął jej gardło.

– Na bogów – powiedział, chowając twarz w dłoniach.

Nagle ogarnęła go rozpacz. Żal wykrzywił mu twarz i Logan nie mógł już powstrzymać łez. Trzymał ją – jej ciało tak drobne i bezbronne w jego ramionach – a ona się wykrwawiała. Bogowie, jak

strasznie krwawiła! Powiedział jej, że wszystko będzie dobrze. Uspokoił ją i tylko tak mógł jej bronić, ponieważ niczego innego nie był w stanie zrobić.

Ktoś go objął. To była Lilly. Na bogów. Natassa też go objęła. To tylko pogorszyło sytuację. Szlochał, nie panując nad sobą. Wszystko rozpływało się coraz bardziej i bardziej. Tak długo powstrzymywał rozpacz, ale dłużej już nie potrafił.

– Niedługo będę z tobą – powiedział do Jenine. Teraz to była prawda. Umrze tutaj. Już umierał.

Spojrzał na twarz Natassy – płakała razem z nim. Biedna dziewczyna. Uwięziono ją. Zdradził ją ktoś z rebeliantów i umieścił wśród tych potworów. Logan nie wiedział, ile z tych łez było dla niego, a ile z nich przelewała nad sobą. Nie miał do niej pretensji. Z pewnością wiedziała, że kiedy on umrze, Męty ją wezmą.

Nawet Lilly płakała. Nie pomyślałby, że jest do tego zdolna. Dlaczego płakała? Bała się, że kiedy Męty dorwą Natassę – młodszą i ładniejszą – to straci wpływy i pozycję? Że zostanie zabita?

Spojrzał w twarz Lilly i znienawidził siebie za swój cynizm. Za długo siedział tu na dole. Jej twarz nie zdradzała strachu. To była miłość. Lilly nie płakała nad sobą, ale nad nim.

Kim jestem, żeby zasługiwać na takie oddanie? Nie jestem tego wart.

– Pomóżcie mi wstać – wychrypiał.

Lilly spojrzała na Natassę i łzy przestały płynąć po jej policzkach. Skinęła głową.

– No to siup, do góry.

Teraz wszyscy na Dnie patrzyli na Logana. Niektórzy z ciekawością, inni z głodem w oczach. Piątak był szczerze rozradowany.

– No dobra, pojeby! – powiedział Logan.

Po raz pierwszy użył przekleństwa i widział, że niektórzy z nich to zauważyli. Cóż, im bardziej wierzyli, że oszalał, tym lepiej.

– Słuchajcie. Ukrywałem przed wami pewien sekrecik, ponieważ nie wiedziałem, jak wspaniałymi, szlachetnymi zbrodniarzami jesteście. Ukrywałem przed wami pewien sekrecik, który może bardzo wiele zmienić...

– Tak, tak, wiemy – wszedł mu w słowo Piątak. – Nasz mały Król myśli, że jest Loganem Gyre. Myśli, że naprawdę jest królem!

– Piątak – powiedział Logan. – Istnieją dwa dobre powody, dla których powinieneś zamknąć swoją zasraną jadaczkę. Po pierwsze, umieram. Nie mam nic do stracenia. Jak będziesz trzymał na kłódkę tę zębatą dupę, którą nazywasz twarzą, umrę, a ty nie będziesz musiał nawet kiwnąć palcem. Ale jak będziesz dalej kłapał dziobem, to cię zabiję. Może i jestem słaby, ale mam wystarczająco dużo siły, żeby zaciągnąć twoją nędzną dupinę do dziury, bo nie przeszkadza mi, że sam przy tym spadnę. Uwierz mi, jak zaczniemy walczyć, to znajdzie się tu wielu takich, którzy zadbają, żebyśmy polecieli obaj.

– A drugi powód? – syknął Piątak. Rozplatał linę i zrobił na jej końcu pętlę.

– Jeśli się nie zamkniesz, to wyrzucę to do dziury. I to będzie

twoja wina. – Logan sięgnął za pasek i wyciągnął żelazny klucz. – To klucz do kraty – wyjaśnił.

W jednej chwili we wszystkich oczach zapłonął głód.

– Dawaj to! – krzyknął ktoś.

Męty zaczęły się przysuwać, a Logan chwiejnym krokiem podszedł do dziury. Zakołysał kluczem nad mroczną przepaścią, nie do końca udając zawroty głowy.

To uciszyło wszystkie Męty.

– Naprawdę źle się czuję i naprawdę kręci mi się w głowie – powiedział Logan. – Więc jeśli chcecie, żeby ten klucz powędrował do swojego małego domku tam na górze, to słuchajcie uważnie.

– Jak mogłeś go ukrywać przez cały czas? – zapytał Dziewięciopalcy Nick. – Mogliśmy uciec kilka miesięcy temu!

– Zamknij ryj, Nick – uciszył go któryś z Mętów.

Logan rozejrzał się, próbując się zorientować, gdzie siedzi obmierzły khalidorski diuk, ale twarze rozmazywały mu się przed oczami.

– Jeżeli mamy skorzystać z klucza, musimy współpracować. Rozumiecie? Jeśli jedna osoba popełni błąd, wszyscy umrzemy. Najgorsze jest to, że musimy sobie zaufać. Potrzeba trzech osób, żeby sięgnąć do zamka.

Zaczęli pomrukiwać, niektórzy zgłaszali się na ochotnika, inni protestowali.

– Zamknąć się! – krzyknął Logan. – Albo zrobimy to po mojemu, albo wyrzucę klucz! Jeśli zrobimy to po mojemu, wydostaniemy się

wszyscy. Zrozumiano? Nawet ty, Piątak. Jak już znajdziemy się w Paszczy, mam plan, dzięki któremu przynajmniej połowa z nas wyjdzie. Może wszyscy. Prowadzono budowę na drugim końcu tego poziomu i myślę, że możemy to wykorzystać, o ile uda nam się zabić Gorkhy'ego, zanim podniesie alarm. Ale musicie robić dokładnie to, co powiem.

– Zwariował – powiedział Nick.

– To nasza jedyna szansa – odparł Dziara. – Wchodzę w to. Wszyscy spojrzeli zdziwieni na Dziarę. Pierwszy raz słyszeli, żeby wytatuowany Lodricarczyk się odezwał.

– Świetnie – powiedział Logan. – Potrzeba trzech osób, żeby zbudować piramidę i sięgnąć do kraty. Zgrzytacz będzie na dole, ja będę drugi, Lilly otworzy kratę. Potem mamy dwie możliwości. Wybór zależy od Piątaka.

Piątak spojrzał jeszcze bardziej podejrzliwie.

– Pierwsza możliwość. Wszyscy z was, którzy są wystarczająco lekcy i silni, żeby wspiąć się po naszej trójce, mogą wyjść, ale nie pozwolę wyjść Piątakowi. Wtedy ja, Zgrzytacz i Piątak umrzemy.

– Jeśli ktokolwiek ma wyjść, to ja też – odparł Piątak. – A ty nie...

– Zamknij się! – przerwał mu ktoś, kto, mając w perspektywie ucieczkę, nagle nabrał odwagi.

– Druga możliwość. Piątak daje Lilly sznur. Ona przywiązuje go na górze i wszyscy po nim wychodzimy. Piątak, to twoja lina i twój wybór. Ach... jeżeli nie wyjdę, nie zdradzę wam mojego planu ucieczki z Paszczy.

Wszyscy spojrzeli na Piątaka. Nagle Logan znowu oblał się potem. Ciało, proszę cię, wytrzymaj jeszcze trochę.

– Możesz skorzystać z liny – powiedział Piątak – ale jeśli chcesz ją dostać, muszę być częścią piramidy. Ja otworzę kratę.

– Zapomnij – odparł Logan. – Nikt ci tutaj nie ufa. Ty wyjdziesz, nas zostawisz na dole.

Więźniowie zgodnie mruknęli, słysząc te słowa, nawet kilku Mętów trzymających zwykle stronę Piątaka.

– Nie będę się wspinać po tym zębatym świrze. Jak chcesz moją linę, to mam być częścią wieży, koniec kropka.

– W porządku – zgodził się Logan.

Od początku zakładał, że tak się to skończy. Przedstawił najpierw inną propozycję, żeby Piątak miał poczucie, że coś wytargował.

– Ja będę na dole. Ty będziesz drugi. Lilly otwiera kratę. – Logan dał jej klucz. – Lilly – powiedział głośno, żeby wszyscy usłyszeli – jak tylko Piątak zacznie coś kombinować, wrzuć klucz do dziury, jasne?

– Jeśli ktokolwiek czegoś spróbuje, to wrzucę klucz do dziury – odpowiedziała. – Przysięgam na bogów piekła i bólu, i na samo Dno.

– Będziemy wychodzić pojedynczo – tłumaczył Logan. – Będę mówił, kto jest następny. – Wyciągnął nóż i podał go Natassy. –Jeśli ktokolwiek się zbliży, zanim przyjdzie jego kolej, poczęstuj go tym, w porządku? – Znowu powiedział to tak głośno, żeby wszyscy wiedzieli.

– Natassa wyjdzie jako pierwsza. Przywiąże linę i potem każdy będzie mógł wyjść. Ja i Piątak wyjdziemy ostatni, ale nikt nie

zostanie. Zapłaciliśmy już za nasze zbrodnie.

Piątak obszedł dziurę, odwijając z ciała linę ze ścięgien. Zwinął ją w duże pętle z niemal przerażającą łatwością. Twierdził, że udusił trzydziestu ludzi, zanim go złapano, nie licząc wyspiarzy i kobiet.

Po zdjęciu liny wyglądał jak każdy, kto dłużej posiedział na Dnie. Był wychudzony, cuchnący, miał skórę brunatną od brudu i usta zakrwawione od szkorbutu, na który cierpiał każdy, kto spędził trochę czasu na Dnie.

Cmoknął, podchodząc do Logana, i zassał przez zęby krew.

– Później się policzymy – powiedział.

Wziął zwiniętą w pętle linę i zawiesił ją sobie na szyi.

Logan otarł pot z czoła. Chciał od razu zabić tego człowieka. Gdyby złapał za linę i pchnął go, to może... Może. Nie warto było ryzykować. Był teraz za słaby, za wolny. Powinien był wcześniej wypróbować ten plan, ale wcześniej Piątak za żadne skarby nie podszedłby do niego tak blisko. Piątak spodziewałby się ataku w każdej innej sytuacji, a Logan za bardzo by się narażał, próbując czegoś, zanim odzyskał nóż.

Opierając się o ścianę rękami, Logan przykucnął. Piątak przysunął się do niego, szydząc i klnąc pod nosem. W końcu postawił stopę na udzie Logana, wszedł mu na plecy, a potem na ramiona, przesuwając ręce po pionowej ścianie.

Co dziwne, ciężar nie był taki potworny. Logan pomyślał, że da radę. Będzie musiał zablokować kolana, oprzeć się o ścianę i da radę. Nie ma mowy, żeby zdołał wspiąć się po linie o własnych siłach, ale

może wciągną go przyjaciele. Gdyby wychodził ostatni, obwiązałby się liną, a Lilly, Zgrzytacz i Natassa wyciągnęliby go. Żeby tylko przestał się trząść.

– Szybciej – powiedział.

– Do diabła, jesteś za wysoki – powiedziała Lilly. – Możesz przykucnąć niżej?

Pokręcił głową.

– Niech to. No dobra. Poproś Zgrzytacza, żeby mi pomógł. Tylko ciebie słucha.

– O co go poprosić?

Wiedział, że to powinno być oczywiste, ale nie myślał już jasno.

– Żeby mnie podniósł – wyjaśniła Lilly.

– Ach. Zgrzytacz. Podnieś ją. Nie, nie tak.

Wymagało to dokładniejszego instruktażu, ale w końcu Zgrzytacz zrozumiał i kucnął obok Logana, podczas gdy Lilly wspięła się po jego plecach i stanęła mu na ramionach. Potem wsunęła klucz między zęby i zaczęła wspinać się na Logana.

Logan był o wiele wyższy od Zgrzytacza, więc Lilly musiała wejść na ramię Logana, na którym już stał Piątak. Nierówno obciążony Logan zachwiał się.

– Nie ruszaj się – syknął Piątak.

Sklął Logana, którego Natassa złapała za drugie ramię, pomagając mu złapać równowagę. Loganowi zrobiło się zimno.

– Idź. Pospiesz się – powiedział.

Ciężar Lilly przeniósł się na jego lewe ramię, a potem zakołysał

się w przód i w tył, kiedy Lilly z Piątakiem próbowali złapać równowagę. Logan nie miał pojęcia, co tamci robili. Zacisnął powieki i trzymał się ściany.

– Dasz radę – szepnęła Natassa. – Dasz radę.

Ciężar przesunął się nagle mocno na prawo i wszyscy więźniowie wstrzymali oddech. Logan ugiął się pod ciężarem, ale nie poddał się i walczył; prawa noga trzęsła mu się z wysiłku.

Obciążenie nagle zmniejszyło się i na Dnie rozległy się ciche westchnienia. Logan zerknął w górę i zobaczył, że Lilly stoi na plecach Piątaka. Chwyciła się kraty jedną ręką, łapiąc równowagę i przejmując część własnego ciężaru.

Wtedy usłyszeli dźwięk, którego się obawiali. To był brzęk kolczugi i zgrzyt skóry, ciskane przekleństwa i słowa protestów, miecz uderzający o skałę. Nadchodził Gorkhy.

39

Godzina czarownic nadeszła. Lodowaty wiatr przeganiał chmury za zęby górskich szczytów. Było zimno, za zimno na śnieg. Wiatr przenikał opończe i rękawice, sprawiał, że miecze więzły w pochwach, a ludzie trzęśli się, stojąc na posterunkach. Chmury wyglądały jak widma pędząc nad przedpolem i ponad murami. Wielkie szerokie koksowniki, które płonęły wzdłuż murów, nie były w stanie przegonić mrozu. Żar unosił się i znikał, połknięty przez noc. Brody zamarzały i mięśnie sztywniały. Przekrzykując znajome wycie wichru, oficerowie powarkiwali na ludzi, żeby się ruszali. To wycie było zwykle przedmiotem nieustannie powtarzanych dowcipów i niewybrednych porównań z ostatnimi łóżkowymi podbojami, okraszanych niekiedy parodiami krzyków. Regnus Gyre nigdy nie karcił mężczyzn za te wycia na wietrze. Mówił, że to odpędzało strach. Wszędzie indziej takie zachowanie przeszkadzałoby, sprawiałoby, że mężczyźni nie słyszeliby wroga, ale w Wyjących Wichrach i tak niczego nie dało się usłyszeć.

Tej nocy nikt nie wył dla żartu. Tej nocy wycie wichru wydawało się złowieszcze. I nie dość, że niewiele dało się usłyszeć, to widzieli równie mało. Kłębiące się, pędzące chmury były wystarczająco grube, żeby przesłonić księżyc i gwiazdy tak dokładnie, że mieli szczęście, jeśli widzieli na pięćdziesiąt kroków. Zresztą, przy tym wietrze łucznicy i tak nie poradziliby sobie z większym dystansem. To było przekleństwo Regnusa. Niezależnie od tego, jak intensywnie łucznicy

ćwiczyli strzelanie na tym zmiennym wietrze, ich celność niespecjalnie się poprawiała. Jeden, może dwóch miało niesamowite wyczucie nagłych podmuchów wiatru i ci trafiali w cel wielkości człowieka z sześćdziesięciu kroków. Ale to i tak miało się nijak do przewagi, jaką miałaby obsada typowego garnizonu ostrzeliwująca przeciwnika z murów.

Solon zajął pozycję na pierwszym murze jak najdalej od Vassa, mając nadzieję, że jeśli dojdzie do najgorszego, zdoła pomóc ludziom, a młody lord mu w tym nie przeszkodzi.

Nie potrafił nienawidzić tego chłopaka. W armii było wielu takich ludzi jak Lehros Vass, a on był naprawdę przyzwoitym człowiekiem. Lepszym od większości. Był po prostu żołnierzem, który potrzebuje dowódcy, a tak się nieszczęśliwie złożyło, że sam nim został. To był okrutny żart losu, przez który Vass zostanie pewnie zapamiętany jako śmiały idiota, z winy którego wyrżnięto garnizon, a nie jako bohaterski żołnierz.

Czekanie było najgorsze. Jak każdy żołnierz, Solon nie cierpiał czekać. Dobrze było być oficerem, kiedy nadchodził ten moment. Można było wypełnić czas, zagrzewając swoich ludzi. Nie miało się czasu, żeby martwić się o siebie.

Solon dostrzegł coś za kłębiącymi się chmurami i ciemnością. Zamarł, ale tylko mu się wydawało.

– Już czas. Pamiętajcie, nie patrzcie wprost na nią – powiedział ludziom stojącym koło niego.

Wyciągnął zatyczki z pszczelego wosku, które obracał w palcach,

żeby się rozgrzały, i wcisnął jedną do ucha.

Znowu wydawało mu się, że coś zobaczył, ale to nie był zarys człowieka ani konia, tylko ogromny kwadrat... nie, przywidziało mu się. Wokół niego ludzie też się pochylali, mrużąc oczy i wpatrując się w mrok.

I wtedy zaczęła go mrowić skóra. Jak większość magów płci męskiej, Solon słabo widział magię. Zwykle potrafił dostrzec tylko własną, a cudzą najwyżej wyczuwał, zwłaszcza z bliska i zawsze, kiedy używano jej przeciwko niemu. Teraz czuł się tak, jakby wyszedł na dwór w parny dzień. Magia nie była intensywna, ale znajdowała się wszędzie. Była tak rozproszona, że gdyby Dorian nie nastraszył go wcześniej, to w ogóle by jej nie wyczuł.

– Potrafi któryś z was wiązać porządne węzły?

Żołnierze spojrzeli po sobie zdziwieni. W końcu jeden z nich odezwał się:

– Wychowałem się na kutrze rybackim. Podejrzewam, że znam prawie każdy możliwy węzeł.

Solon złapał zwój liny przywiązanej do wiadra, za pomocą którego żołnierze napełniali cysterny z wodą na szczycie muru. Odciął wiadro.

– Zwiąż mnie – powiedział.

– Tak, panie? – Żołnierz spojrzał na niego, jakby Solon oszalał. Tak właśnie patrzyłem na Doriana? Wybacz, przyjacielu. Magia gęstniała.

– Przywiąż mnie do murów. Zwiąż mnie tak, żebym nie mógł się

ruszyć. Zabierz mi broń.

– Panie, ja...

– Do diabła, jestem magiem, więc jestem bardziej podatny na to, co ona... niech to szlag! Nadchodzi! – Żołnierze odwracali się kolejno, żeby spojrzeć na niego. – Nie patrzcie na nią. Nie wierzcie w to, co zobaczycie. Do krocset diabłów, no już! A reszta niech strzela!

To był łatwiejszy do przełknięcia rozkaz. Nawet jeśli Lehros Vass ma się wściec na nich rano, to wystarczy, że pójdą po strzały na przedpole.

Były rybak fachowo obwiązał Solona. W kilka chwil mag miał ręce związane za plecami i liną umocowane do nóg. Dopiero potem otulono go płaszczem, żeby nie zamarzł. Na koniec żołnierz przywiązał go do kołowrotka, za pomocą którego wciągano wiadro.

– A teraz przepaska na oczy i druga zatyczka do ucha – polecił Solon.

Żołnierz związał go tak, że mag mógł patrzeć poza mur. Solon powinien był mu powiedzieć, żeby umieścił go tak, żeby na pewno nie mógł spojrzeć jej w twarz.

– Pospiesz się.

Ale żołnierz nie zareagował. Patrzył ponad murem w ciemność tak jak wszyscy pozostali.

– Elana? – zapytał. – Elly, to ty?

Na twarz wystąpił mu rumieniec, a jego źrenice się rozszerzyły. Zrzucił opończę. A potem skoczył z murów.

Był w połowie drogi do ziemi, kiedy zaczął rozpaczliwie młócić

rękami – nagle oprzytomniał i desperacko próbował się ratować. Ciało roztrzaskało się na skałach, a wiatr połknął przedśmiertny krzyk.

Nagle poleciał grad strzał. Żołnierze przypomnieli sobie wcześniejszy rozkaz Solona, żeby strzelać, gdy tylko zacznie dziać się coś dziwnego. Mgła się podniosła i Solon dostrzegł wielki wóz, otoczony przez khalidorskich żołnierzy i ciągnięty przez sześć turów. Serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył, jak kilkunastu Khalidorczyków pada skoszonych przez pierwszą chmurę strzał. Tury też dostały, ale w ogóle nie zareagowały.

Grad strzał powoli słabł.

Solon widział, jak żołnierze rzucają się z muru. Inni kręcili głowami, zagubieni we własnych wizjach, trzymając w odrętwiałych rękach łuki.

Nie patrz, Solonie. Nie patrz.

Nie uwierzę w to. Tylko zerknę...

Magia z rykiem śmignęła obok niego, jakby leciał z przeraźliwą szybkością.

A potem wszystko się uspokoiło.

Zamrugał. Stał w Komnacie Wiatrów. Wspaniały nefrytowy tron lśnił jak zielone wody Zatoki Hokkai. Na tronie zasiadała kobieta, którą ledwo poznał. Kaede Wariyamo miała szesnaście lat, kiedy opuścił Wyspy. Chociaż już w dzieciństwie, kiedy razem się bawili i oboje byli mali, wiedział, że będzie piękna, jej przemiana wprawiła go w zakłopotanie. Robiła mu wyrzuty za to, że jej unika, a on nie miał wyboru – wiedział, że będzie musiał odejść na zawsze. Nic jednak nie

przygotowało go na to, jak jej widok nim wstrząśnie.

W ciągu dwunastu lat nabrała wdzięku i pewności siebie. Gdyby nie znał jej tak dobrze, nigdy nie dostrzegłby odrobiny lęku w jej oczach: „Czy nadal będzie uważał, że jestem piękna?”.

Uważał. Jej oliwkowa cera promieniała, ciemne włosy spływały na ramiona kaskadą, jej oczy nadal błyszczały inteligencją, mądrością i figlarnością. Być może kiedyś były bardziej szelmowskie niż mądre. Za to jej usta nadal wyglądały, jakby miały przed sobą jeszcze trzy żywoty wypełnione uśmiechami. I jeśli wokół jej oczu i ust pojawiły się drobne zmarszczki od uśmiechu, to był to jedynie hołd dla dobrze przeżytego życia. Dla niego to był przejaw wielkości.

Obrzucił spojrzeniem jej postać odzianą w jasnoniebieską jedwabną nagikę, tak skrojoną, żeby podkreślać perfekcję każdej krągłości. Suknia, przewiązana w talii wąskim paskiem ze złota, spływała tylko z jednego ramienia. Kaede miała płaski brzuch, umięśniony, bez żadnych rozstępów. Nigdy nie urodziła dziecka. Jego wzrok zatrzymał się na odsłoniętej piersi.

Idealna. Cała Kaede była idealna.

Przerwał mu jej śmiech.

– Tak długo przebywałeś na Midcyru, że już zapomniałeś, jak wyglądają piersi, mój książę?

Solon się zarumienił. Po tylu latach patrzenia na kobiety, które traktują zwyczajne części ciała, jakby ich widok był erotyczny, a erotyczne jakby były zwykłe, miał w głowie mętlik.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość.

Przypomniał sobie i chciał uklęknąć, ale coś uniemożliwiało mu ten ruch.

Nieważne. Wszystko, co się liczyło, znajdowało się przed nim. Nie mógł od niej oderwać oczu.

– Trudno było cię odnaleźć, Solonariwanie –powiedziała Kaede.

– Teraz to... po prostu Solon.

– Cesarstwo potrzebuje cię, Solonariwanie. Nie będę stawiać żadnych żądań, oprócz jednego: abyś spłodził następcę tronu. Jeżeli potrzebujesz komnat dla kochanek, zostanie to załatwione. Cesarstwo cię potrzebuje, Solonie. Nie tylko ze względu na twój ród. Ze względu na ciebie samego. Ja cię potrzebuję. – Wydawała się straszliwie krucha, jakby wiatr mógł ją złamać. – Chcę ciebie, Solonie. Pragnę cię, jak pragnęłam cię dwanaście lat temu i jak pragnęłam cię jeszcze wcześniej, ale teraz pragnę twojej siły, twojego hartu ducha, twojego towarzystwa, twojej...

– Mojej miłości – powiedział Solon. – Masz ją, Kaede. Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Rozpromieniła się, dokładnie tak samo, jak kiedy była mała, a on jej przyniósł nadzwyczajny podarek.

– Tęskniłam.

– Ja też – przyznał i poczuł gulę w gardle. – Obawiam się, że nigdy nie miałem okazji wytłumaczyć, dlaczego musiałem odejść...

Podeszła do niego i położyła mu palec na ustach. Jej dotyk sprawił, że przeszedł go prąd. Serce tłukło się o żebra. Zalał go jej zapach. Nie wiedział, na czym zatrzymać oczy, kiedy na nią patrzył.

Każda piękna linia i krągłość, każda barwa i odcień prowadziły do następnego czarownego szczegółu.

Uśmiechając się, położyła dłoń na jego policzku.

Na bogów, już po mnie. Miała to samo niespokojne, niezdecydowane spojrzenie jak tamtego ostatniego dnia, kiedy go pocałowała, a on prawie zdarł z niej ubranie. Całowała go i cały świat zniknął, zostały tylko jej usta. Zaczęła delikatnie – poczuł na ustach ledwie muśnięcie nadzwyczajnej miękkości jej warg – a potem go rozpaliła. Nagle stała się gwałtowna, jak tamtego dnia, jakby namiętność tylko narastała przez cały czas jego nieobecności. Przylgnęła do jego torsu i Solon aż jęknął.

Oderwała się od niego, dysząc ciężko, patrząc płonącymi oczami.

– Chodź do moich komnat – powiedziała. – Tym razem przysięgam, że moja matka nam nie przeszkodzi.

Weszła na wysoki schodek i spojrzała nań ponad ramieniem, stawiając kolejne kroki i kołysząc biodrami. Uśmiechnęła się szelmowsko i zsunęła nagikę z ramienia. Chciał wspiąć się za nią, ale ześliznął się z powrotem w miejsce, w którym stał.

Kaede zdjęła złoty pasek z talii i upuściła go beztrosko. Solon walczył, żeby wejść na ten przeklęty stopień. Coś pozbawiało go oddechu.

– Idę – wychrypiał.

Zakręciła biodrami i nagika opadła na posadzkę, tworząc kałużę jedwabiu. Jej ciało to były krągłości z brązu i lśniące kaskady czarnych włosów.

Zakaszlał. Nie mógł oddychać. Już raz odrzucił tę szansę i nie zamierzał teraz łatwo się poddać. Znowu zakaszlał. I znowu. Padł na kolana.

Kaede szła korytarzem uśmiechając się, a światło migotało na jej smukłym ciele, długich nogach i szczupłych kostkach. Znowu wstał i raz jeszcze szarpnął się w więzach.

Dlaczego się uśmiechała? Kaede nie uśmiechałaby się, kiedy on się dusi.

Kaede w ogóle nie zachowałaby się w taki sposób. Jej maniery nie przypominały dziewczyny, którą kiedyś znał, ale były dokładne takie same, tylko dopasowane do starszej twarzy.

Kobieta, która od dziesięciu lat była królową, nie odsłoniłaby się tak szybko. Ta Kaede była wszystkim o czym marzył i na co miał nadzieję, ale prawdziwa byłaby na niego wściekła.

W jednej chwili wizja zniknęła i Solon znowu znajdował się na murze. Spoglądał z niego w dół i tylko sznury sprawiły, że nie spadł.

Wokół niego ludzie umierali straszliwą śmiercią. Jednemu żołądek rozdął się trzykrotnie, a on nadal sięgał rękami w puste powietrze, jakby wpychał sobie do ust jedzenie. Inny był siny i krzyczał na kogoś, kogo przy nim nie było, ale już nie artykułował słów. Z głosu zostały mu strzępy i od czasu do czasu kaszlał, plując krwią, ale nie przestawał krzyczeć. Inny wrzeszczał: „To moje! Moje!” i walił rękami w kamienny mur, jakby go atakował. Z rąk zostały mu już tylko krwawe kikuty, ale nie przestawał nawet na chwilę. Inni leżeli już martwi.

Wielu zabijało się samych, ale niektórzy zostali spaleni magią albo wybuchli. Mur poczerwieniał od zamarzającej krwi. Bramę wysadzono, kiedy Solon był w transie, i teraz ciemne postaci maszerowały ku niej, prowadząc tury, które ciągnęły ogromny wóz.

To była Khali. Solon nie miał co do tego wątpliwości.

– Dorian już oszalał? – zapytał kobiecy głos. – Wiesz, to mały prezent ode mnie.

Solon rozejrzał się, ale nie widział źródła głosu. Nie był pewien, czy nie dobywa się z jego własnej głowy.

– Przeciwnie, został wyleczony.

Zaśmiała się. To był gardłowy, chrapliwy śmiech.

– Więc żyje.

Solon chciał się zapaść pod ziemię. Myśleli, że Dorian nie żyje. A przynajmniej nie mieli pewności.

– Skończmy z tym – powiedział Solon. Zaśmiała się.

– Wmówiono ci wiele kłamstw, Solonariwanie. Okłamywano cię, gdy dorastałeś. Okłamywano cię w Sho'cendi. Okradano cię. Nie zaproponuję ci mocy, bo prawdę mówiąc, nie mogę ci jej dać. Vir nie pochodzi ode mnie. To kolejne kłamstwo. Szkoda, że tak nie jest. Prawda jest taka, że vir to coś naturalnego i daleko potężniejszego od twojego żałosnego Talentu. Prawda jest taka, że Dorian miał niewielki Talent, dopóki nie użył viru, a sam wiesz, jaki teraz jest potężny.

– To niewola. Meisterowie są jak pijacy, którzy marzą o następnym kieliszku.

– Niektórzy z nich owszem. Niektórzy ludzie nie radzą sobie z

piciem, takie są fakty. Większość wprost przeciwnie. Może ty należysz do tych, którzy sobie nie radzą, jak Dorian, ale nie założyłabym się. Prawda jest taka, że Dorian zawsze lubił chodzić w glorii, zgadza się? Lubił, kiedy patrzyłeś na niego z podziwem. Kiedy wszyscy patrzyli na niego z podziwem. Kim byłby bez swoich nadzwyczajnych mocy, bez specjalnych darów? W niczym nie dorównywałby tobie, Solonie. Bez viru nie miałby żadnych darów, a jego Talent byłby drobiną w porównaniu z twoim. Więc gdzie ty byś się znalazł, gdybyś używał viru? Nawet gdybyś użył go tylko raz, tylko po to, żeby odblokować ukryte Talenty, o posiadaniu których nie masz nawet pojęcia? Czego mógłbyś dokonać z taką siłą? Mógłbyś wrócić do Seth i wszystko uporządkować? Zająć swoje miejsce u boku Kaede i zasiąść na tronie? Zająć swoje miejsce w historii? – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Ale jesteś żałosny, magu. Nawet nie możesz korzystać ze swojej magii w ciemności. Doprawdy.

– Kłamiesz. To wszystko kłamstwa.

– Czyżby? Dobrze więc, trzymaj się swojej słabości, swojej pokory. Ale jeśli kiedyś zmienisz zdanie, Solonariwanie, wystarczy jeden krok. Moc tam jest i czeka na ciebie.

I pokazała mu. To było proste. Zamiast sięgać do źródła światła, do słońca albo ognia, zamiast sięgać po glore vyrden, musiał po prostu sięgnąć w kierunku Khali. Jedna mała zmiana i oto jest. Ocean mocy nieustannie zasilany z dziesiątek tysięcy źródeł. Solon nie był w stanie tego pojąć, ale dostrzegał ogólny zarys. Każdy Khalidorczyk modlił

się rano i wieczorem. Modlitwa nie była pustymi słowami – to był czar. Sprawiał, że każdy Khalidorczyk oddawał część glore vyrden, napełniając tym samym ocean. A potem Khali udzielała mocy tym, którym chciała, wtedy i w takiej ilości, w jakiej chciała. Sama idea była banalnie prosta: magiczny podatek.

Ponieważ wielu ludzi rodziło się z glore vyrden, ale brakowało im zdolności albo przygotowania, żeby to wykorzystać, faworyci Khali zawsze mieli mnóstwo mocy – a ludzie nawet nie wiedzieli, że są okradani z własnej witalności. To nie wyjaśniało istoty viru, ale tłumaczyło, dlaczego Khalidorczycy zawsze wykorzystywali ból i tortury w ramach praktyk religijnych. Intensywne uczucia pozwalały słabo Utalentowanym ludziom używać glore vyrden. Tortury były zwyczajnie najskuteczniejszym sposobem rozpalenia emocji o stosownej intensywności. To, czy kat, ofiara i widzowie czuli odrazę, strach, nienawiść, pożądanie czy zachwyt, nie było istotne. Khali wykorzystywała wszystkie te uczucia.

– Moi Potępieńcy zaraz cię odnajdą i zginiesz – powiedziała Khali. – Opróżniłeś już swoją glore vyrden, prawda?

– Odejdź. Zaśmiała się.

– Och, ty jesteś z tych dobrych. Chyba cię sobie zatrzymam.

A potem jej głos zniknął i Solon padł na kamienie. Khali była w Cenarii. Ursuulowie stworzą umory i rebelianci zostaną zmasakrowani. Cała jego służba zdała się na nic. Wszystko, czego się nauczył, poszło na marne. Powinien był wrócić do Seth dwanaście lat temu. Zawiódł.

Otworzył oczy i zobaczył Potępieńców odzianych w ciężkie czarne płaszcze, z twarzami ukrytymi za czarnymi, pozbawionymi wyrazu maskami. Szli murem, lawirując między martwymi. Od czasu do czasu któryś wyciągał miecz i kogoś dobijał. Potem ocierali miecze, żeby krew nie zamarzła na ostrzach wewnątrz pochew.

Szli do niego. Nie mógł nic zrobić. Był związany, a horyzont ledwo poszarzał. Bez broni. Bez magii. Vir był jego jedynym ratunkiem. Nawet jeśli to było samobójstwo, to przynajmniej zabierze ze sobą więcej niż paru Khalidorczyków.

Może zdołałby ją przechytrzyć. Gdyby chociaż przeżył – a czy to nie jest głupie dać się zabić jakiemuś przebierańcowi? – mógłby z nią walczyć. Nie była niezwyciężona. Nie była boginią. Rozmawiał z nią. Rozumiał ją. Mógł z nią walczyć. Potrzebował do tego tylko siły.

Serce łomotało mu w piersi. To była dokładnie taka pokusa, o jakiej mówił Dorian. Solon myślał, że kuszenie już się skończyło, ale dopiero to było ostatnie. Najtrudniejsze. Dorian miał rację. Miał rację we wszystkim.

O Boże... Panie, jeśli tam jesteś... Gardzę sobą za to, że modlę się do ciebie teraz, kiedy już nie mam nic do stracenia, ale, do diabła, jeśli tylko pomożesz mi to przetrwać...

Modlitwę przerwał mu ciężki trup, który na nim wylądował. Solon otworzył usta i wziął głęboki wdech. Kiedy wydychał powietrze, ciepła krew z trupa zalała mu usta. Miała metaliczny posmak i już gęstniała.

Prawie zwymiotował, kiedy krew rozlała mu się po podbródku,

spłynęła po szyi, wsiąkła w brodę, ale zamarł, bo usłyszał w pobliżu zgrzyt buta na kamieniu.

Potępieniec ściągnął z niego ciało, ale nie odszedł.

– Patrz na tego, Kaav – powiedział z wyraźnym khalidorskim akcentem.

– Ten też wrzeszczał. Uwielbiam, kiedy to robią – dodał jego kompan. – Musiał wkurzyć innych, hę? Pewnie zaczął jako jeden z pierwszych, skoro tak go związali.

Pierwszy Potępieniec podszedł bliżej i pochylił się nad Solonem. Mag słyszał świszczący oddech przez maskę na twarzy Khalidorczyka. Potępieniec wyprostował się i kopnął Solona w nerkę.

Przeszył go potworny ból, ale Solon nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Tamten kopnął jeszcze raz i jeszcze. Za trzecim razem ciało Solona zdradziło go – napiął mięśnie. Bezwładne leżenie było zbyt trudne.

– Jeszcze żyje – powiedział Khalidorczyk. – Zabij go. Solonowi serce podeszło do gardła. To koniec. Musiał złapać się viru i umrzeć.

Poczekaj. Ta myśl była tak spokojna, tak prosta i klarowna, że wydawało się, że przypłynęła spoza niego.

Solon leżał nieruchomo.

Kiedy tylko usłyszę stal, od razu... Nie wiedział, co zrobi. Złapie się viru? Wtedy Khali go dopadnie.

Drugi mężczyzna chrząknął.

– Do diabła, ostrze mi zamarzło. A przysiągłbym, że je wytarłem.

– Ach, zapomnij. Na tym mrozie i przy takim krwawieniu umrze

w pięć minut. Gdyby się wyplątał ze sznurów, zginąłby, gdy tylko Ona wjechała.

I odeszli.

40

Kiedy Vi się obudziła, mocno związana w nadgarstkach, kostkach, łokciach i kolanach, pierwsze, co zobaczyła, to kobietę w średnim wieku o rzadkich, siwiejących włosach i zwalistej sylwetce, w typie tych, co to zawsze noszą tylko praktyczne buty. Miała też okrągłą, poznaczoną zmarszczkami twarz i świdrujące oczy. Maga gapiła się na Vi. Za plecami Vi płonął ogień, a niewielkie zawiniątko obok niej to pewnie była Uly, tak samo związana.

– Offierdol fe – wykrztusiła Vi.

Była zakneblowana. I nie była to zwykła chusteczka zawiązana na ustach, tylko porządny knebel. Zupełnie jakby włożono jej do ust kamień owinięty w chusteczkę, a potem przymocowano go cienkimi rzemykami obwiązując jej twarz na wszystkie strony, żeby na pewno nie mogła mówić.

– Nim zaczniemy, Vi – powiedziała kobieta. – Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Gdyby udało ci się uciec ode mnie, a nie uda ci się, nie uciekaj do lasu. Nigdy nie słyszałaś o Mrocznym Łowcy?

Vi skrzywiła się, w stopniu, w jakim mogła z częściowo otwartymi ustami, i pokręciła głową.

– To chyba wyjaśnia, dlaczego pędziłaś na złamanie karku prosto w paszczę śmierci. Jestem siostra Ariel Wyant Sa'fastae. Mroczny Łowca został stworzony jakieś sześćset pięćdziesiąt lat temu przez maga imieniem Ezra, prawdopodobnie najbardziej Utalentowanego

maga w historii świata. Był jednym z najbardziej zaufanych generałów Jorsina Alkestesa, człowiekiem, który, wydawało się, potrafi dokonać wszystkiego, a wszystko co robił, robił *ekspedite.* Przepraszam, *ekspedite znaczy* doskonale.

– Fiem fo fo fnaczy, ifiotko – powiedziała Vi, ale kłamała.

– Co? Nieważne. Ezra stworzył istotę, która wyczuwa magię i kilka rodzajów potworów: zmrocze, ferozi, umory, blaemiry, które już wyginęły, za co możesz dziękować tym bogom, których w ramach swoich przesądów wyznajesz. Stworzył idealnego łowcę aż za dobrze i stracił nad nim panowanie. Łowca zaczął zabijać wszystkich obdarzonych Talentem, wymykając się, kiedy Ezra spał. W końcu stoczyli bitwę. Oczywiście nikt nie wie, co się stało, bo nikogo przy tym nie było. Ale Utalentowane dzieci z Zakola Torras przestały umierać i nikt więcej nie widział Mrocznego Łowcy ani Ezry. Jednak cokolwiek Ezra zrobił, nie zabił Mrocznego Łowcy. Tylko go zamknął. Tutaj. Jakieś dziesięć kroków na północ od miejsca, gdzie z żalem musiałam zabić twojego konia, znajduje się pierwsza bariera. Ta bariera zostawia znak, skazując człowieka na śmierć. Wszyscy magowie, magi i meisterowie, którzy w ciągu tych mniej więcej sześciuset lat próbowali wejść do Lasu Ezry, zginęli. Ginęli potężni magowie mający ze sobą niezwykłe artefakty, które z kolei przyciągały następnych magów i tak dalej. Cokolwiek dzieje się w lesie, nawet jeśli Mroczny Łowca to mit, cokolwiek to jest, nikt stamtąd nie wraca. – Siostra Ariel urwała, a potem odezwała się głosem wesołym i dźwięcznym: – Więc gdybyś uciekła, nie idź na

północ. – Ariel się skrzywiła. – Wybacz, jeśli nie robię tego we właściwy sposób. Nigdy wcześniej nikogo nie porwałam. W przeciwieństwie do ciebie.

Do diabła.

– Owszem, Ulyssandra bardzo chętnie opowiedziała mi o tobie, siepaczu.

Do kroćset diabłów.

– A skoro już o tym mowa. Nie jesteś siepaczem, Vi. Nie jesteś nawet siepaczką. Och, zdarzały się takie, ale ty jesteś *maga uxtra kurrukulas,* dzikim magiem...

– Szfierdalaj, offierdol fe! – Vi szarpała się w więzach. Bez skutku.

– Nie wierzysz mi? Vi, siepacz, a nawet siepaczką, może używać Talentu, nie mówiąc. Więc jeśli jesteś siepaczem, to dlaczego nie uciekniesz?

Nie było niczego, absolutnie niczego na świecie, czego Vi bardziej nie znosiła od poczucia bezradności. Już wolałaby, żeby Hu dotykał jej włosów. Wolałaby, że Król-Bóg ją zerżnął. Rzucała się na ziemi, kalecząc skórę o sznury. Próbowała krzyczeć, przez co knebel wsunął jej się głębiej do gardła. Zadławiła się, rozkaszlała i przez chwilę myślała, że umrze. A potem odzyskała oddech i opadła bezwładnie.

– Naprawdę wcale mi się to nie podoba – powiedziała Ariel i wykrzywiła usta. – Mam nadzieję, że pewnego dnia to zrozumiesz. Wyjmę ci knebel, rozumiesz? Nie możesz ode mnie uciec, nawet z

pomocą Talentu, i prędzej czy później będziesz musiała to zrozumieć, więc równie dobrze możemy to ustalić od razu i oszczędzić ci jak najwięcej bólu. Ale, nim zaczniesz ze mną walczyć, spodziewam się, że twoje pierwsze słowa to będą przekleństwa, kłamstwa albo próba użycia magii, więc zanim tego spróbujesz, chciałabym ci zadać jedno pytanie.

Vi świdrowała kobietę wzrokiem. Jędza. Niech tylko wyjmie jej knebel.

– Kim jest ów niewiarygodnie utalentowany Vürdmeister, który rzucił na ciebie ten czar?

Myśli o ucieczce wyparowały. To był blef. To musiał być blef. Ale jak?

Nysosie! Co ten łajdak mi zrobił? To było zagranie w stylu Króla-Boga – rzucić na nią jakiś pieprzony czar. Przecież miała takie dziwne wrażenie, kiedy stała w sali tronowej, prawda? A jeśli wcale jej się nie wydawało?

– Ponieważ ten czar to coś naprawdę imponującego – mówiła siostra Ariel. – Badałam go przez ostatnie sześć godzin, kiedy leżałaś nieprzytomna i nadal nie potrafię określić, jak on działa. Jedno wiem na pewno: że zawiera pułapkę. Vürdmeister zakotwiczył go w bardzo ciekawy sposób. Mówię, że to był mężczyzna, bo czar zdecydowanie ma cechy męskiej magii. Jestem uważana za potężną wśród sióstr. Jedną z najmocniejszych mag, które otrzymały barwy w ostatnich pięćdziesięciu latach. A ten czar jest dla mnie zbyt potężny, żebym go przełamała, to było jasne od pierwszej chwili. Widzisz, istnieją sploty,

które można rozplatać i sploty, które trzeba rozerwać, jak węzły fordyjskie, jeśli tak wolisz. Słyszałaś o węzłach fordyjskich? Nieważne. Ten czar zawiera oba rodzaje splotów. Pułapki można rozwikłać. Jednak kluczowy splot trzeba będzie jak najostrożniej przełamać. Nawet gdybym zdołała to zrobić, pewnie skończyłoby się to u ciebie trwałymi uszkodzeniami umysłowymi.

– Nebel.

– Co? A tak.

Siostra Ariel dalej siedziała ze skrzyżowanymi nogami i tylko coś mruknęła. Rzemyki opadły Vi z twarzy. Wypluła chusteczkę – rzeczywiście był w niej kamień, a to suka! – i odetchnęła. Nie chwyciła się Talentu. Na razie.

– A reszta? – zapytała, wskazując na sznury.

– Hm. Przykro mi.

– Trochę trudno rozmawiać, leżąc na boku.

– W porządku. *Loovaeos.*

Ciało Vi uniosło się pionowo i poleciało do tyłu pod drzewo.

– Więc to twoja przynęta? Blef na temat jakiegoś czaru, którego nie będziemy w stanie zdjąć, dopóki nie wrócimy do Oratorium, skąd akurat tak się składa, że nie da się uciec?

– Zgadza się.

Vi zacisnęła usta. Wydawało jej się czy wokół Ariel było widać delikatną poświatę?

– To całkiem niezła przynęta – przyznała.

– Lepsza niż to, co oferujemy większości dziewcząt.

– Zawsze je porywacie?

– Jak już powiedziałam, to mój pierwszy raz. Zwykle nikogo nie trzeba porywać. Siostry, które zajmują się rekrutacją, potrafią być przekonujące na wiele sposobów. Uznano, że mam za mało wyczucia do takiej roboty.

Co za niespodzianka.

– A jak wygląda typowa przynęta?

– Zapewnienie, że będzie się taką jak rekrutujące siostry, które zwykle są piękne, czarujące, szanowane i zawsze stawiają na swoim.

– A haczyk?

– Nadal trzymamy się metafory z wędkowaniem?

– Co?

– Mniejsza z tym. Haczyk to służba i nauka. To bycie w terminie, siedem do dziesięciu lat służby, zanim staniesz się prawdziwą siostrą. Potem jesteś wolna.

Vi miała już dość terminowania – wystarczyło jej tego na kolejne dziesięć żywotów. Uśmiechnęła się szyderczo. Niech sobie gada, przy okazji dowiem się co nieco.

– Powiedziałaś, że nie jestem prawdziwym siepaczem. Przecież robię wszystko to, co prawdziwy siepacz.

– Ale masz kłopot z Objęciem Ciemności, prawda?

– Z czym?

– Z niewidzialnością. Nie potrafisz tego, co? Skąd wiedziała?

– To tylko legenda. Dzięki temu podnosimy ceny. Nikt się nie staje niewidzialny.

– Widzę, że sporo czasu poświęcisz na oduczanie się rzeczy, które, jak ci się wydaje, wiesz. Prawdziwi siepacze potrafią być niewidzialni. Ale magowie nie. Talent musi znajdować się praktycznie w skórze. Niewidzialność wymaga pełnej świadomości ciała; tak głębokiej, że pozwala czuć, jak światło dotyka każdego fragmentu skóry. Ty jesteś czymś innym. Właściwie to jesteś czymś zakazanym przez traktat zawarty sto trzydzieści... hm... trzydzieści osiem lat temu. Alitaeranie byliby, można by rzec, wysoce zaniepokojeni, gdybyśmy wyszkoliły cię w ten sposób. Bo widzisz, gdybyś opanowała jeszcze kilka innych umiejętności, byłabyś magiem bojowym. Przysporzysz Mówczyni niezłego bólu głowy, i to nieraz. Już to widzę.

– Pocałuj mnie w dupę.

Siostra Ariel pochyliła się i spoliczkowała ją.

– Wyrażaj się kulturalnie.

– Odpierdol się – beznamiętnie powtórzyła Vi.

– Wobec tego ustalmy coś od razu – powiedziała siostra Ariel, wstając. – *Loovaeos uh braeos loovaeos graakos.*

Coś szarpnęło Vi, stawiając ją na nogi. Więzy opadły. Sztylet wyleciał z jej tobołka i upadł u jej stóp.

Vi nie sięgała po broń. Nie traciła na to czasu. Zamieniła Talent w potężny cios prosto w brzuch siostry.

Siła uderzenia ścięła Ariel z nóg. Siostra przeleciała nad ogniskiem i poślizgnęła się na błocie po drugiej stronie, ale Vi się nie poruszyła. Nawet nie próbowała uciec. Patrzyła na swoją bezwładnie

wiszącą rękę.

Jakby uderzyła w stal. Kości przebiły się przez skórę. Knykcie zamieniły się w krwawą masę. Miała złamany nadgarstek. Pękły obie kości w przedramieniu. Jedna z nich dociskała się do skóry od środka, grożąc, że zaraz ją przebije.

Ariel wstała i otrzepała obszerną suknię. Wzbiła się chmura kurzu. Siostra prychnęła na widok Vi, który podtrzymywała rękę.

– Powinnaś wzmocnić kości, zanim uderzysz Talentem.

– Wzmocniłam – odpowiedziała Vi.

Miała już pierwsze objawy wstrząsu. Usiadła – a może upadła.

– Więc może nie powinnaś uderzać uzbrojonej magi. – Ariel zacmokała z niesmakiem, patrząc na połamaną rękę Vi. – Wygląda na to, że masz więcej Talentu niż rozumu. Nie ma się co martwić, to dość powszechne. Wiemy, jak sobie z tym radzić. Prawda jest taka, Vi, że twoja cielesna magia jest niewyćwiczona, niezdefiniowana i nie umywa się do umiejętności jakiejkolwiek szkolonej siostry. Mogłabyś być o niebo lepsza. Wiesz chociaż, jak się leczyć?

Vi się trzęsła. Uniosła wzrok i spojrzała tępo.

– No dobrze, jeśli jeszcze kiedyś chcesz używać tej ręki, to mogę ją wyleczyć. Ale to boli, a ja pracuję wolno.

Vi bez słowa podsunęła jej rękę.

– Chwileczkę, muszę osłonić uszy Uly, bo twoje krzyki ją obudzą.

–Nie będę... nie będę krzyczeć – przysięgła Vi. Jak się okazało, kłamała.

* * *

Logan zamarł. W innej sytuacji może spróbowałby zbudować piramidę raz jeszcze, kiedy Gorkhy już sobie pójdzie, ale wiedział, że drugi raz nie zbierze w sobie dość siły.

– Co tam na dole się dzieje? – ostro zapytał Gorkhy. Co? Przecież byliśmy cicho. Jak on cokolwiek usłyszał? Przyciskając się ze wszystkich sił do ściany, Logan spojrzał do góry i zobaczył, że Piątak robi to samo, i Lilly siedząca na jego ramionach też.

Światło pochodni padało pod kątem przez kraty, kiedy Gorkhy przechodził ostatnie kilka metrów. Stanął tak, że Lilly znajdowała się raptem kilka stóp od jego butów. Ponieważ jednak ściany opadały pionowo w dół od samej kraty, pochodnia nie mogła oświetlić Lilly, dopóki Gorkhy nie podszedłby bliżej niej.

Usłyszeli, jak strażnik węszy, i światło przesunęło się, kiedy się pochylił. Zaklął.

– Zwierzęta. Śmierdzicie gorzej niż zwykle. Na bogów, wyczuł Lilly!

– Dlaczego się nie umyjecie?

To mogło potrwać dłuższą chwilę. Kiedy trafiał się zły dzień, to potrafił opróżnić na nich pęcherz. Logan zatrząsł się z wściekłości i osłabienia. Gorkhy nie kierował się rozumem. Nie dało się go zrozumieć. Niczego nie zyskiwał, dręcząc ich, ale robił to, uwielbiał to.

Odejdź. Po prostu odejdź.

– Co tam się dzieje? – dopytywał się Khalidorczyk. – Słyszałem jakiś hałas. Co robicie?

Pochodnia znowu się poruszyła i światło przesunęło się niebezpiecznie blisko Lilly. Gorkhy obchodził kratę, trzymając wysoko pochodnię i gapiąc się w głąb dziury. Szedł przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, na razie oddalając się od nich.

Więźniowie zamarli. Żaden z nich nie klął, nie walczył, nie rozmawiał, nic. To ich zdradziło. Tylko Natassa się poruszyła, odsuwając od Logana.

Światło przesunęło się po kracie i oświetliło głowę Lilly.

– IDŹ DO DIABŁA, GORKHY! – wrzasnęła Natassa. Światło gwałtownie odsunęło się od Lilly.

– Kto... a, to ty, moja mała? Prawda?

– Widzisz moją twarz, Gorkhy? – zapytała. Sprytna dziewczyna. – To ostatnia rzecz, jaką zobaczysz, bo zamierzam cię zabić.

Gorkhy się zaśmiał.

– Masz niewyparzoną gębę, co? Ale z drugiej strony już mi to pokazałaś, zanim cię tu posłaliśmy, nie? – Zaśmiał się znowu.

– Mam cię w dupie!

– Tak, to też przerabialiśmy, ha, ha. Najgorętsza sztuka od lat, jaką zaliczyłem. Dałaś już posmakować reszcie chłopaków? Tak czy inaczej ja byłem pierwszy. Nigdy mnie nie zapomnisz, co? – Znowu się zaśmiał.

Logan podziwiał odwagę Natassy. Prowokowała mężczyznę,

który ją zgwałcił, żeby dać im szansę.

– Jak Lilly to przyjmuje? Założę się, że wszyscy wolą wsadzić tobie niż tej starej kurwie. Jak ci leci, Lilly? Nagle konkurencja zrobiła się ostra? Gdzie jesteś, Lilly?

Znowu się przesunął, szukając na Dnie Lilly.

– Wrzuciłam tę sukę do dziury – powiedziała Natassa. Logan trząsł się tak mocno, że ledwo stał.

– Bez jaj? Ale z ciebie ostra sztuka, co? Założę się, że skusiłaś nawet naszego prawiczka, Króla, co? Już ją posuwałeś, Królu? Wiem, że Lilly była dla ciebie trochę za parchata, ale to jest smakowity kąsek, nie, Królu? Gdzie jesteś?

Po drugiej stronie Dna Dziara ukrył twarz w dłoniach i powiedział:

– Odpierdol się.

Zduszony głos zabrzmiał prawie jak głos Króla. Logan nagle poczuł przypływ sympatii dla Mętów. Na bogów, siedzieli w tym razem i razem stąd wyjdą.

– No dobra, było miło. – Gorkhy się zaśmiał. – Dajcie mi znać, jak zgłodniejecie. Zjadłem dziś wieczorem podwójny stek i jestem tak pełny, że chyba nie zmusiłbym się do ani jednego kęsa więcej.

Logan stracił już wszystkie siły. Chciało mu się krzyczeć, tak słabe było jego ciało. Nawet nie czuł, czy stoi. Wiedział tylko, że gdyby spróbował się poruszyć, zwaliłby się całym ciężarem. Zlał go zimny pot. Wzrok mu się zamglił.

Usłyszał rwane oddechy i chwilę potem westchnienia ulgi.

– Poszedł – powiedział ktoś.

To była Natassa. Znowu stała obok Logana, z oczami pełnymi łez i gniewu.

– Trzymaj się, Logan, już niewiele brakuje. Coś zadzwoniło głośno o kratę.

– Co robisz? – syknął Piątak. – Lilly, co u diabła...

– Nawet jej nie tknęłam! Przysięgam!

– Złaźcie! – krzyknął Logan.

Ale było już za późno. Usłyszeli, że ktoś nadbiega i chwilę potem Gorkhy stał nad kratą, oświetlając Lilly, Piątaka i Logana. Z potworną szybkością uderzył Lilly w twarz drzewcem włóczni. Wszyscy upadli.

Chociaż spadające ciała przygniotły go do spadzistej kamiennej podłogi, Logan widział, jak jego skarb – klucz, który chronił od miesięcy – wypada z dłoni Lilly. Zadzwonił, odbijając się od skały, zalśnił w świetle pochodni... i wpadł do dziury.

Wszystkie jego nadzieje, wszystkie marzenia wiązały się z tym kluczem. Kiedy klucz zniknął w dziurze, zabrał je za sobą.

Sekunda kruchego spokoju, kiedy wszyscy patrzyli, jak klucz znika, minęła. A potem jeden po drugim więźniowie chwycili się nowej rzeczywistości – która wyglądała dokładnie tak samo jak stara, zanim w ogóle dowiedzieli się o istnieniu klucza. Piątak uderzył kogoś – to musiała być Lilly, bo kiedy ukląkł, trzymał już swoją linę. A potem uderzył w twarz Logana.

Logan nie był w stanie się bronić. Piątak był za silny, a Logan wyczerpany. Upadł bezwładnie.

Nagle rozległo się nieludzkie warknięcie i zwalisty kształt uderzył w Piątaka, który poleciał i przeturlał się do samego brzegu dziury.

To był Zgrzytacz. Przykucnął nad Loganem, odsłaniając zęby.

Odpychając się rękami i piętami, Piątak uciekł od Zgrzytacza. Kiedy tamten nie ruszył za nim, Piątak powoli wstał.

Logan próbował usiąść, ale ciało nie chciało go słuchać. Nie był w stanie się ruszyć. Świat rozpływał mu się przed oczami.

– Najpierw dorwę tę nową sukę – powiedział Piątak. Bogowie niech się zlitują.

– Ty pierwszy zdechniesz, ty dupku! – krzyknęła Natassa. Trzęsła się i trzymała sztylet, jakby nie miała pojęcia, co z nim zrobić.

Męty – te pieprzone zwierzęta! – otoczyły ją z trzech stron. Cofała się do brzegu dziury, tnąc powietrze sztyletem.

Nad nimi śmiał się Gorkhy.

– Słodziutkie mięsko, chłopcy, słodziutkie mięsko!

– Nie – odezwał się Logan. – Nie, Zgrzytacz, ratuj ją. Ratuj ją, proszę.

Zgrzytacz się nie ruszył. Nadal warczał i nikt nie śmiał zbliżyć się do Logana.

Natassa widziała to. Gdyby tylko zdołała dostać się na stronę Logana, strach przed Zgrzytaczem kazałby reszcie trzymać się z daleka. Ale Piątak też to zauważył. Rozwinął linę, szykując lasso.

– Możemy to załatwić po dobroci albo pograć ostro – powiedział, oblizując zakrwawione usta.

Natassa spojrzała na niego i wbiła wzrok w lasso w jego rękach,

jakby całkiem zapomniała o sztylecie. Spojrzała ponad dziurą i napotkała spojrzenie Logana.

– Przepraszam, Logan – powiedziała. A potem wskoczyła do dziury.

Męty wrzasnęły, kiedy zniknęła im z oczu.

– Zamknąć się i słuchać! – ryknął Gorkhy. – Czasem słychać, jak uderzają o dno.

I te skurwiele, te zwierzęta i potwory, zamknęły się i nasłuchiwały, mając nadzieję usłyszeć, jak ciało uderza o skały w dole. Za późno. Zaklęli jak zwykle z powodu straty mięsa i spojrzeli na Lilly. Łzy Logana były równie gorące jak rozpalone gorączką czoło.

– No dobra, a kim jest Logan, do kurwy nędzy?! – wrzasnął Gorkhy. – Królu, mówiła do ciebie?

Logan zamknął oczy. Jakie to miało teraz znaczenie?

41

Już czas, Grubasie – powiedział Ferl Khalius. – Nie jest na tyle szalony, żeby pójść za nami tędy. Znajdowali się na wysokości tysiąca czterystu stóp na górze ezeron, najwyższej górze na ceurańskiej granicy. Jak do tej pory wspinaczka była żmudna, ale największe przepaści miały raptem po kilkanaście stóp. Stąd prowadziły na drugą stronę góry dwie drogi: przez wąską przełęcz bokiem, albo prosto ścianą. Ferl omal nie sprowokował awantury, pytając w ostatniej wiosce, którą drogę wybrałby odważny mężczyzna, jeżeli mu się spieszy.

Niektórzy z wieśniaków obstawiali, że droga ścianą nigdy nie jest dobrym pomysłem, ale o tej porze roku będzie szczególnie fatalnym. Nawet drobny opad śniegu albo marznącego deszczu zamieni ścieżkę w samobójczą drogę. Inni utrzymywali, że przejście ścianą to jedyna droga przez góry do przejścia przed pierwszym śniegiem. Ugrzęźnięcie wśród stromizn i głębin, które tworzyły diabelską przełęcz, oznaczało pewną śmierć, gdyby zaczął padać śnieg. A śnieg nadciągał.

Baron Kirof nie radził sobie najlepiej. Ze strachu przed wysokością płakał.

– Skoro... skoro musiałby oszaleć, żeby pójść za nami, to co można powiedzieć o nas?

– Że pragniemy żyć. Dorastałem w groźniejszych górach niż te. – Ferl wzruszył ramionami. – Idziesz za mną albo lecisz w dół.

– Nie możesz mnie zostawić?

Baron Kirof był naprawdę żałosny. Ferl ciągnął go za sobą, bo nie wiedział, co by się stało, gdyby baron uciekł, a wolał zachować kartę przetargową. Może popełnił błąd. Tłuścioch tylko go spowalniał.

– Chcieli cię mieć żywego. Jeśli tu zostaniesz, ten Vürdmeister po prostu mnie zestrzeli. A jeśli zostaniesz ze mną, to może tego nie zrobi.

– Może?

– Ruchy, Grubasie!

Ferl Khalius popatrzył ponuro na ciemne chmury. Jego klan, Iktana, był górskim plemieniem. Był jednym z najlepszych znanych mu wspinaczy, ale nigdy nie przepadał za wspinaczką. Walczyć – owszem, lubił. W walce człowiek czuje, że żyje. Ale we wspinaczce było coś z przypadku, a bogowie gór bywali kapryśni. Widział najbardziej pobożnego członka klanu, jak spadł w przepaść, kiedy oparł ciężar na tym samym kamieniu, na którym raptem chwilę wcześniej stanął zdecydowanie cięższy Ferl. Oczywiście w bitwie może cię zabić przypadkowa strzała, ale też możesz się ruszyć, możesz walczyć. Możliwe, że śmierć mimo to nadejdzie, ale nie zastanie cię przerażonego, wczepionego w skałę śliskimi palcami, modlącego się, żeby nie zawiał znowu wiatr.

Widział gorsze trawersy niż ten w swoim życiu. Ścieżka wznosiła się na jakieś sto stóp i na całej długości była wąska – miała najwyżej trzy stopy szerokości. Trzy stopy to diabelnie dużo. Jednakże pionowa przepaść sprawiała, że te trzy stopy robiły wrażenie ledwie drobiny.

Świadomość, że jeśli się poślizgniesz, nie masz absolutnie żadnej szansy złapać się czegoś, że upadek oznacza śmierć, wyczyniała z człowiekiem dziwne rzeczy.

Z pewnością wyczyniała je z Grubasem Kirofem.

Baron, niestety, nie miał zielonego pojęcia, dlaczego jest ważny. Ferl też nie zdołał się niczego dowiedzieć. Grubas jednak okazał się na tyle ważny, że Król-Bóg posłał za nimi Vürdmeistera.

– Idziesz pierwszy, Grubasie. Ja wezmę cały sprzęt, ale nie licz na żadne więcej zmiłowanie.

To nie była litość. To był zdrowy rozsądek. Grubas z tobołami szedłby wolniej, a gdyby spadł, Ferl straciłby przy okazji wszystkie zapasy.

– Nie dam rady – powiedział baron Kirof. – Błagam.

Pot spływał mu po okrągłej twarzy. Rude wąsiki drgały nerwowo jak u królika.

Ferl wyciągnął miecz – miecz, dla którego ochrony tyle poświęcił, miecz, który uczyni go wodzem klanu. Ta broń to wszystko, czego mógł pragnąć wódz, idealny miecz, miał nawet wytrawione w stali runy górali, które Ferl rozpoznawał, ale których nie potrafił odczytać.

Machnął mieczem i z lekkim wzruszeniem ramion powiedział:

– Pójdziesz ścieżką albo pójdziesz pod miecz.

Baron zagapił się na trawers. Mruczał coś pod nosem, za cicho, żeby Ferl go usłyszał, ale brzmiało to jak modlitwa.

Co dziwne, Grubas całkiem nieźle się uwinął. Ferl tylko raz

musiał go zdzielić płazem miecza, kiedy zamarł, i baron od razu śmignął do przodu. Nie mieli czasu na takie postoje. Jeśli nie znajdą się wystarczająco daleko od Vürdmeistera, zanim tamten wynurzy się spomiędzy drzew, będzie po Ferlu. Zdecydował się iść za Grubasem, bo tylko w ten sposób mógł pilnować, czy baron idzie, ale tym samym odsłonił się, naraził na magiczny atak Vürdmeistera. Jeśli znajdą się wystarczająco daleko, Vürdmeister będzie ryzykował, że przypadkiem zabije barona; w przeciwnym wypadku będzie po zabawie.

Przeszli połowę trawersu i widok zapierał dech w piersi. Ferlowi wydawało się, że widzi miasto Cenarię daleko na północnym zachodzie. Miało się przez to wrażenie, że prawie w ogóle się nie oddalili. Ferla jednak nie interesowała bezchmurna dal ciągnąca się na północ. Zainteresowała go zimna igiełka, którą właśnie poczuł na skórze. Śnieg.

Zadarł głowę. Czarny wał chmur zaczynał się dokładnie nad nimi.

Grubas stanął.

– Ścieżka jest coraz węższa.

– Vürdmeister wyszedł z lasu. Nie mamy wyboru.

Baron przełknął ślinę i zaczął przesuwać się przed siebie z twarzą przyciśniętą do skały i rękoma rozłożonymi na boki.

Za nimi stał Vürdmeister, podpierając się pod boki pięściami. Był wściekły.

Ferl spojrzał przed siebie. Jeszcze trzydzieści kroków i tylko jeden trudniejszy odcinek, gdzie półka zwężała się do półtorej stopy. Grubas zamarł, zasysając nerwowo rozrzedzone powietrze.

– Dasz radę – powiedział mu Ferl. – Wiem, że dasz.

To był cud, ale Grubas ruszył. Przesuwał się noga za nogą, z pewnością siebie, jakby odnalazł w sobie odwagę, o której istnieniu nawet nie wiedział.

– Idę! – ekscytował się.

I rzeczywiście przeszedł. Przeszedł najwęższy odcinek półki i Ferl ruszył za nim, zrzucając kamyki i starając się nie pójść w ich ślady.

Dalej półka się rozszerzała i Grubas zaczął raczej iść niż szurać nogami, chociaż ścieżka nadal nie miała nawet trzech stóp szerokości. Śmiał się.

Wtem obok nich przeleciała zielona smuga i półka przed nimi wybuchła.

Kiedy lodowate powiewy rozwiały dym, z chmur sypnęło śniegiem. Wielkie, grube płatki zataczały koła i unoszone przez wiatr leciały prawie poziomo. Grubas i Ferl zagapili się w wyrwę przed nimi.

Miała raptem trzy stopy szerokości, ale nie mieli miejsca, żeby wziąć rozpęd. A druga strona nie wyglądała zbyt stabilnie.

– Jeśli to przeskoczysz, już nigdy więcej nie nazwę cię Grubasem.

– Chrzań się – odpowiedział Grubas i... skoczył.

Ledwo wygramolił się po drugiej stronie, ale mu się udało.

Kolejny pocisk uderzył w skałę nad głową Ferla i deszcz odłamków skalnych pociął mu twarz. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się pyłu z oczu, stracił równowagę i w tej samej chwili ją odzyskał.

Zrobił dwa kroki i skoczył.

Półka kruszyła się pod jego stopami szybciej, niż był w stanie się na nią wgramolić. Wyciągał ręce, rozpaczliwie próbując się czegoś złapać.

Ktoś chwycił go za rękę. Baron szarpnął i go uratował.

Dysząc, Ferl zgiął się wpół, opierając ręce na udach. Po chwili zapytał:

– Uratowałeś mnie. Dlaczego ty... dlaczego? Odpowiedź barona zagłuszył kolejny wybuch skały za nimi. Ferl przyjrzał się półce skalnej. Jeszcze trzydzieści kroków, nim znowu znikną z oczu Vürdmeisterowi, chowając się za zakrętem. Od tego miejsca półka miała pięć stóp szerokości, jeśli nie więcej; była za szeroka, żeby zniszczył ją jeden pocisk, ale nadal będą odsłonięci. Ferl postanowił, że za diabła nie zostanie z tyłu. Schował miecz do pochwy i złapał barona, obracając go.

– Tylko tą drogą mamy szansę uciec – powiedział.

– W porządku – odparł baron. – Nie zawrócę, a poza tym nie mam pojęcia, jak przetrwać w tej dziczy. Idę z tobą.

Zaczęli iść tyłem. Ferl patrzył to pod nogi, to na Vürdmeistera na drugim końcu ściany. Wokół młodego mężczyzny powoli krążył świecący, zielony pocisk. Vürdmeister wiedział, że zwierzyna mu ucieka. Pocisk krążył coraz szybciej i szybciej.

Ferl zepchnął barona bliżej brzegu, grożąc, że go zrzuci.

Pocisk zwolnił i zobaczyli, że Vürdmeister porusza ustami, przeklinając. Ferl pokazał mu środkowy palec w milczącym salucie.

Chwilę potem, śmiejąc się, baron skopiował jego gest.

I wtedy kamień przesunął się pod piętą Ferla, kiedy stawiał krok do tyłu. Poślizgnął się i pociągnął na siebie barona Kirofa.

Mógł zrobić tylko jedno. Odepchnął barona z całej siły w stronę krawędzi, samemu odsuwając się zarazem w bezpieczne miejsce.

Wylądował pupą na skalnej półce. Widział palce barona wczepione w krawędź. Ferl przeturlał się do niego i zobaczył, że baron ma oczy okrągłe jak spodki.

– Ratunku! – krzyknął. Ferl się nie poruszył.

Ostatecznie Grubas był zwyczajnie za gruby. Trzymał się jeszcze chwilę, a potem jego patykowate ręce nie mogły go już dłużej utrzymać. Palce ześlizgnęły się ze skały.

Upadek trwał długo, ale Grubas ani razu nie krzyknął. Ferl i Vürdmeister razem patrzyli, jak baron szybuje ku skalistym brzegom śmierci.

Stojący po drugiej stronie stoku Vürdmeister – sądząc po jego minie – czuł, że traci grunt pod nogami i leci równie daleko, jak baron. Król-Bóg nie przyjmuje do wiadomości porażki.

Ferl odsunął się szybko od krawędzi i schował się za zakręt. Pogratulował sobie oleju w głowie, kiedy zdecydował się sam nieść zapasy.

42

Posiadłość Gyre'ów w Havermere przeszła ogromną przemianę, odkąd Kylar mijał ją z Elene i Uly w drodze do Caernarvon. Wtedy była niemalże pusta. Gdy zabrakło pana, który by ich strzegł, wielu farmerów się wyprowadziło. Zbliżające się żniwa i szczęśliwy brak w tym roku ataków ze strony Ceury i Lae'knaught to jedyne powody, dla których reszta została.

Teraz posiadłość pękała w szwach i Kylar potrzebował tylko chwili, żeby odgadnąć dlaczego. Rebelianci przenieśli swoją bazę do Havermere. Znajdowali się kilka dni szybkiej jazdy od Cenarii, więc wystarczająco blisko, żeby atakować patrole, ale dość daleko, żeby uciec, gdyby Król-Bóg wysłał przeciwko nim większe siły. Obfitość plonów i zasoby posiadłości Gyre'ów – w tym setki najlepszych wierzchowców w kraju, zasobny arsenał i mury, które dawały możliwość obrony przed każdym, kto nie posługuje się magią – czyniły to miejsce idealną bazą. Kylar zastanawiał się, czy zajęto ją siłą, czy też rządca Gyre'ów przyjął armię.

Zatrzymał się jeszcze w mroku wczesnego ranka, kiedy tylko dostrzegł pierwsze sygnały obecności towarzystwa. Gdyby chciał, pewnie mógłby przejechać niezauważony, a przynajmniej bez przeszkód. Pewnie jeszcze go nie widzieli, nie przy takim słabym świetle, chociaż nie miał pojęcia, jak dobrych mieli wartowników. W końcu uznał, że równie dobrze może dowiedzieć się, co się dzieje w Havermere. Jeśli Logan nadal żyje, a Kylar zdoła go uratować,

przyjadą właśnie tutaj. Lepiej, by Logan wiedział, co na niego tu czeka.

Mimo to, zanim pojechał dalej, przywołał maskę Durzo na twarz. To było o wiele łatwiejsze niż drugie przebranie, które skonstruował – barona Kirofa – i prawdopodobnie mniej ryzykowne. Rebelianci, którzy znali barona, mogliby chcieć go zabić. Rebelianci, którzy znali Durzo, pewnie będą udawali, że go nie znają – nikt przy zdrowych zmysłach nie przyznałby się do znajomości z siepaczem. A lepsze to niż pojawienie się we własnej osobie.

Kylar Stern, który pojawiłby się w obozie rebeliantów, byłby Kylarem Sternem, który przyłączył się do ich sprawy. Poza tym nadal nie wiedział, czy ta tożsamość jest bezpieczna. Elene powiedziała wszystko lordowi generałowi Agonowi i nie wiadomo, czy Agon nie rozgłosił tego dalej.

I dlatego właśnie, jadąc wierzchem, próbował umocować twarz Durzo na swojej. Nie było to łatwe, chociaż spędził całe dni – wręcz tygodnie – udoskonalając to przebranie. Problemy były różnorakie.

Po pierwsze, trzeba było bezbłędnie pamiętać twarz. Nawet po wielu latach patrzenia na Durzo Blinta, okazało się to trudniejsze, niż Kylar sobie wyobrażał. Potrzebował wielu tygodni, odkąd rozpoczął pracę nad tym przebraniem, zanim przypomniał sobie, jak opadały drobne linie w kącikach oczu Durzo. Pracowicie rozmieszczał blizny po ospie na policzkach, nadawał właściwy kształt brwiom, poprawiał kosmyki rzadkiej bródki. A potem, kiedy już myślał, że doprowadził maskę do perfekcji, zdał sobie sprawę, że to dopiero początek.

Statyczna twarz to żadna charakteryzacja. Musiał powiązać każdy ruchomy punkt na iluzorycznej twarzy z własną, żeby poruszała się niemalże w taki sam sposób. Niemalże. Prawda była taka, że nawet po dziesięciu latach wychowywania się pod okiem Durzo i po wielu latach podchwytywania jego drobnych manieryzmów, mimika Kylara nie przypominała specjalnie mimiki Durzo. Tak więc twarz Durzo była złowroga, gdy ściągał brwi, kpiąca, gdy się uśmiechał, i szydercza, gdy się krzywił, i jeszcze sto innych rzeczy, które Kylar dodawał w miarę, jak je sobie uprzytomniał w czasie długich godzin spędzanych na robienie min do lustra.

Nawet wtedy przebranie nie było idealne. Durzo był wysoki. Kylar ledwie średniego wzrostu. Dlatego po stworzeniu iluzji musiał przesunąć ją w górę o bite sześć cali. Kiedy ktoś patrzył Blintowi w oczy, patrzył ponad głową Kylara. Wymagało to ogromnej samodyscypliny, żeby pamiętać i patrzeć w szyję, dzięki czemu Durzo patrzył rozmówcy w oczy. To jedna rzecz, której Kylar jeszcze nie dopracował: chciał to zrobić tak, żeby mógł patrzeć, gdzie chce, a oczy Durzo podążałyby za jego spojrzeniem sześć cali wyżej. Jednak jeszcze nie odkrył, jak tego dokonać.

I oczywiście, każdy, kto spróbowałby dotknąć twarzy albo ramion, które Kylar stworzył, zniszczyłby iluzję. Kylar starał się sprawić, żeby iluzja była eteryczna i dotyk po prostu przenikał przez nią. Nic z tego nie wyszło. Siatka Talentu – czy co to właściwie było – okazała się materialna. Jeśli dotykało jej cokolwiek konkretniejszego niż deszcz, wszystko się rozpadało. Kylar spróbował więc czegoś

odwrotnego: nadać iluzji fizyczną formę, żeby pod delikatnym dotknięciem wyczuwało się fizyczny opór, jak kiedy dotyka się prawdziwej twarzy lub ramion. Jednak z tego też nic nie wyszło.

Ogólnie rzecz biorąc, było z tym cholernie dużo roboty, a w zamian otrzymywało się mierne przebranie. Teraz już Kylar rozumiał, dlaczego Durzo wolał zwykłą charakteryzację.

Szturchnął konia piętami i zjechali do Havermere.

Wartownicy nie sprawiali wrażenia zaskoczonych, widząc go nadjeżdżającego o świcie, więc może pilnowali granic posiadłości lepiej, niż zakładali.

– Co cię sprowadza? – rzucił nastolatek wyglądający na twardziela.

– Jestem Cenaryjczykiem, ale przez ostatnie kilka lat mieszkałem w Caernarvon. Usłyszałem, że sytuacja trochę się uspokoiła. Mam rodzinę w Cenarii i chcę się dowiedzieć, czy nikomu nic się nie stało.

Powiedział to szybko i za bardzo się tłumaczył, ale nerwowy kupiec pewnie zachowałby się tak samo.

– Czym handlujesz?

– Jestem kupcem zielnym i aptekarzem. Normalnie zabrałbym trochę ziół ze sobą przy tej okazji, ale ostatni ładunek zniszczyli bandyci. Łajdaki spalili mi wóz, kiedy odkryli, że nie ma żadnego złota. I powiedzcie mi, kto na tym skorzystał? W każdym razie, tak będzie szybciej.

– Uzbrojony? – zapytał młody mężczyzna, ale widać było, że się rozluźnił i uwierzył w historyjkę Kylara.

– Oczywiście, że tak. Myślicie, że całkiem zgłupiałem?

– W porządku. Proszę jechać.

Kylar wjechał do obozu, który rozłożył się przed bramami Havermere. Był dobrze zorganizowany, z wyznaczonymi równymi rzędami, z toaletami rozstawionymi w regularnych odstępach, z dala od ognisk, przy których się gotowało, z wytoczonymi dróżkami dla konnych i pieszych. Jednakże niespecjalnie przypominał wojskowy obóz. Niektóre budynki wyglądały na takie, które mogły przetrwać zimę, ale fortyfikacje były śmiechu warte. Wszystko wskazywało na to, że cała arystokracja ze strażą przyboczną zamieszkała w posiadłości Gyre'ów, podczas gdy żołnierze i cywile, którzy wybrali los u boku rebeliantów zostali tutaj, dokładając wszelkich starań, żeby jakoś zorganizować obóz.

Kylar patrzył na drewniany budynek, próbując odgadnąć jego przeznaczenie i omal nie wjechał na człowieka w binoklach, kuśtykającego o lasce. Mężczyzna podniósł wzrok i przeżył taki sam wstrząs, jak Kylar.

– Durzo? – zapytał hrabia Drakę. – Myślałem, że nie żyjesz. Kylar zamarł. Tak się ucieszył na widok żywego hrabiego Drake'a, że prawie stracił panowanie nad iluzją. Hrabia wyglądał teraz na starszego i bardziej przybitego. Kulał, odkąd Kylar go znał, ale nigdy wcześniej nie potrzebował laski.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie możemy porozmawiać, hrabio Drake? – spytał Kylar, w ostatniej chwili powstrzymując się przed dodaniem „panie”.

– Tak, tak, oczywiście. Dlaczego tak mnie nazywasz? Od lat nie mówiłeś do mnie „hrabio Drake”.

– Ehm... minęło trochę czasu. Jak się wydostałeś?

Hrabia Drakę spojrzał na niego, mrużąc oczy, a Kylar zagapił się w pierś hrabiego, mając nadzieję, że oczy Durzo patrzą w oczy Drake'a.

– Dobrze się czujesz? – zapytał go arystokrata.

Zsiadając z konia, Kylar wyciągnął rękę i złapał hrabiego za nadgarstek. Mężczyzna odpowiedział uściskiem prawdziwym, solidnym, takim, jaki hrabia zawsze miał. Był jak kotwica. Kylara obezwładniła nagła chęć wyjawienia mu wszystkiego i równie silny wstyd.

Niebezpieczeństwo w rozmowie z hrabią Drakiem polegało na tym, że wszystko stawało się jasne, kiedy słuchał. Decyzje, które wydawały się mętne, stawały się nagle całkiem proste. Kylar po części obawiał się tego. Gdyby hrabia Drake naprawdę go poznał, przestałby go kochać. Siepacz nie ma przyjaciół.

Hrabia Drake zaprowadził go do namiotu w centrum obozu. Usiadł na krześle. Widać było, że ma sztywną nogę.

– Trochę tu przeciągów, ale jeśli nadal tu będziemy, wzmocnimy konstrukcję przed zimą.

– My?

Radość zniknęła z oczu hrabiego.

– Moja żona, Ilena i ja. Serah i Magdalyn... nie udało im się. Serah była kobietą do towarzystwa dla żołnierzy. Słyszeliśmy... że

powiesiła się na pętli z prześcieradła. Z tego, co ostatnio do nas doszło, Magdalyn jest albo też kobietą do towarzystwa, albo jedną z konkubin Króla-Boga. – Odchrząknął. – Większość z nich nie wytrzymuje zbyt długo.

Więc to prawda. Kylar nie podejrzewał, że Jarl kłamał, ale po prostu nie potrafił uwierzyć w jego słowa.

– Ogromnie mi przykro – powiedział.

To określenie było absolutnie niestosowne – „kobiety do towarzystwa". Czekała je najokrutniejsza, najbardziej odczłowieczająca forma niewoli, jaką Kylar znał: wysterylizowane za pomocą magii dostawały swoje miejsce w khalidorskich koszarach, gdzie służyły żołnierzom. Służyły dziesiątki razy dziennie. Wszystko przewróciło mu się w żołądku.

– Tak. To otwarta rana – przyznał hrabia Drakę z twarzą szarą jak popiół. – Nasi khalidorscy pobratymcy oddają się najpodlejszym uciechom. Wejdź, proszę. Porozmawiajmy o wojnie, którą musimy wygrać.

Kylar wszedł do środka, ale burza w żołądku się nie uspokoiła. Przeciwnie – nasiliła się. Kiedy zobaczył Ilenę Drake, teraz czternastoletnią, najmłodszą córkę hrabiego, dopadło go poczucie winy. Boże, a co, gdyby ją też dorwali?

– Mogłabyś podgrzać nam trochę ootai? – poprosił córkę hrabia. – Pamiętasz moją córkę? – zapytał Kylara.

– Ilenę, tak?

Ilena zawsze była jego ulubienicą. Miała jasną cerę, jasne, niemal

białe włosy matki i szelmowską iskrę ojca, której lata nie przytłumiły, jak to się stało u hrabiego.

– Miło mi pana poznać – uprzejmie odpowiedziała dziewczyna. Niech to diabli, wyrastała na damę. Kiedy to się stało?

Kylar znowu spojrzał na hrabiego.

– Więc jaką masz tu teraz pozycję, jaki tytuł?

– Tytuły? Pozycje? – Hrabia Drake uśmiechnął się i zakręcił laską opartą na ziemi. – Terah Graesin frymarczyła tytułami, żeby wciągnąć rody do rebelii. Kiedy jednak trzeba dopilnować, żeby coś rzeczywiście było zrobione, chętnie korzysta z mojej pomocy.

– Żartujesz sobie.

– Obawiam się, że nie. To dlatego nadal tu jesteśmy. Ile to już? Trzy miesiące od przewrotu? Pozwoliła tylko na małe wypady na tabory i słabo bronione placówki. Boi się, że jeśli doznamy poważnych strat, rody zaczną się wycofywać i zdecydują się złożyć przysięgę Królowi-Bogu.

– W taki sposób nie wygra się wojny.

– Nikt nie wie, jak wygrać wojnę z Khalidorem. Nikomu od dziesięcioleci nie powiodło się w walce z wojskiem mającym wsparcie czarowników. Dochodzą wieści, że Khalidorczycy mają kłopoty na granicy ze Zmarzliną. Terah ma nadzieję, że większość żołnierzy zostanie odesłana do domu, zanim śnieg zablokuje przejście w Wyjących Wichrach.

– Myślałem, że utrzymaliśmy Wyjące Wichry – zdziwił się Kylar.

– Owszem. Dostałem nawet wiadomość od mojego przyjaciela,

Solona Tofusina, żeby dać im znać, kiedy będziemy gotowi ruszyć na wojnę. Tamtejszy garnizon to najlepsi cenaryjscy żołnierze w królestwie, wszyscy zahartowani w boju.

– No i?

– Wszyscy nie żyją. Popełnili samobójstwo, albo położyli się i pozwolili, żeby ktoś podciął im gardło. Moi szpiedzy mówią, że to robota bogini Khali. To tylko zwiększyło ostrożność duchessy.

– Terah Graesin wszystkie kampanie prowadzi w łóżku.

– Ileno! – Oburzył się Drakę.

– Taka jest prawda. Każdy dzień spędzam z jej dworkami – odparła Ilena, chmurząc się.

– Ileno.

– Przepraszam.

Kylar był wstrząśnięty. To niemożliwe. Bogowie to przesądy i szaleństwo. Ale jaki przesąd doprowadziłby setki weteranów do samobójstwa?

Ilena nie odrywała oczu od Kylara, odkąd tylko wszedł do namiotu. Patrzyła na niego, jakby zamierzał coś ukraść.

– Więc jaki jest plan? – zapytał, przyjmując ootai od marszczącej brwi dziewczyny.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie się napić – usta Durzo znajdowały się w niewłaściwym miejscu.

– Z tego co mi wiadomo, żaden nie powstał. Mówiła o wielkiej ofensywie, ale obawiam się, że nie wie, co robić. Próbowała wynająć siepaczy; kilka tygodni temu zjawił się tu nawet ymmurski łowca,

naprawdę przerażający typ, podejrzewam jednak, że Terah tylko tasuje karty, a nie zamierza zagrać. Zbiera wojsko, ale nie wie, co z nim zrobić. Jest stworzona do polityki, nie do walki. W jej kręgu nie ma ani jednego wojskowego.

– Wygląda na to, że to będzie najkrótsza rebelia w historii.

– Przestań mnie pocieszać. – Hrabia Drake wypił łyk ootai. – Co cię tu prowadza? Mam nadzieję, że nie praca?

– A czym się pan zajmuje? – zaciekawiła się Ilena.

– Ileno, siedź cicho albo wyjdź – zbeształ ją hrabia.

Widząc jej minę, wyrażającą jednocześnie urazę i złość, Kylar zakaszlał w dłoń i odwrócił wzrok, żeby się nie roześmiać.

Kiedy znowu spojrzał, twarz Ileny całkowicie się zmieniła. Oczy jej zabłysły i zrobiły się okrągłe jak spodki.

– To ty! – powiedziała. – Kylar!

Rzuciła mu się w ramiona, wybijając mu z rąk delikatną filiżankę z ootai i kompletnie zniszczyła iluzję, przytulając go.

Zaszokowany hrabia umilkł. Kylar spojrzał na niego z przerażeniem.

– Ty ciamajdo, obejmij mnie! – zawołała Ilena.

Kylar zaśmiał się i odpowiedział na jej objęcia. Bogowie, to było przyjemne, naprawdę przyjemne uczucie – dać się tak objąć. Ściskała go ze wszystkich sił, a on uniósł ją, mocno obejmując. Udawał, że też ściska ją z całej siły. Ona chwyciła go jeszcze mocniej, aż zaczął błagać o litość. Znowu się roześmiali – zawsze się tak obejmowali – i wreszcie Kylar postawił ją na ziemi.

– Kylar, to była sztuczka pierwsza klasa – powiedziała. – Jak ty to robisz? Nauczysz mnie? Proszę.

– Ilena, daj człowiekowi odetchnąć – sztorcował ją ojciec, ale szczerzył zęby. – Powinienem był poznać cię po głosie.

– Mój głos! O w du... w mordę!

Zmiana głosu wymagałaby albo większych umiejętności aktorskich – których mu najwyraźniej brakowało – albo więcej magii. To oznaczało godziny pracy nad jednym przebraniem. Kiedy znajdzie na to czas?

– Cóż – powiedział hrabia, odkładając binokle i zbierając kawałki rozbitej filiżanki – wygląda na to, że musimy porozmawiać. Ileno, zostaw nas samych.

– Nie każ mi wychodzić, ojcze.

– Przeciwnie – wtrącił się Kylar. – Zmykaj, smarkulo.

– Nie chcę.

Hrabia rzucił jej spojrzenie, po którym oklapła. Tupnęła i wymaszerowała. Zostali sami.

– Co się z tobą stało, synu? – łagodnie zapytał hrabia.

Kylar skubał nierówny paznokieć, gapił się na odłamki rozbitej filiżanki na ziemi – patrzył wszędzie, byle nie w oczy hrabiego.

– Wierzy pan, że człowiek może się zmienić?

– Zdecydowanie. Zdecydowanie, ale zwykle staje się jeszcze bardziej sobą. A może opowiesz mi o wszystkim?

No i Kylar opowiedział. O wszystkim – od posiadłości Jadwinów do złamania przysięgi złożonej Elene i Uly, o otwartej, piekącej ranie,

jaką to w nim zostawiło.

– Mogłem to powstrzymać – powiedział. – Mogłem zakończyć wojnę, nim się zaczęła. Tak bardzo mi przykro. Mags i Serah byłyby bezpieczne, gdybym zabił Durzo, zanim...

Hrabia pocierał skronie i łzy spływały mu po policzkach.

– Nie, synu. Przestań.

– A co pan by zrobił?

– Gdybym wiedział, że śmierć Durzo uratuje Serah i Magdalyn? Zabiłbym go, synu. Ale to nie byłoby prawe. O ile nie jesteś królem lub generałem, jedyne życie, jakie masz prawo poświęcić dla wyższego dobra to twoje własne. Dobrze postąpiłeś. A teraz porozmawiajmy o tej małej eskapadzie do Paszczy. Jesteś pewien, że plotki mówią prawdę?

– Shinga osobiście zjawił się, żeby mi to powiedzieć... i zginął z tego powodu.

– Jarl nie żyje? – spytał hrabia; Kylar zauważył, że to był cios dla Drake'a.

– Wiedział pan o Jarlu?

– Rozmawiał ze mną. Planował powstanie, żeby dać nam szansę na rozbicie sił Ursuula. Ludzie wierzyli w niego. Kochali go. Nawet mordercy i złodzieje zaczynali wierzyć, że mają szansę rozpocząć nowe życie.

– Panie, kiedy już uratuję Logana...

– Nie mów tego.

– Odszukam Mags.

Twarz Drake'a znowu pobladła, pozbawiona nadziei.

– Ratuj Logana, i to szybko. Ulane będzie żałowała, że się z tobą nie spotkała, ale musisz już jechać.

Kylar wstał i przywdział maskę Durzo. Hrabia Drakę obserwował go i jego twarz nieco ożyła.

– Znasz sztuczki, które są... no cóż, pierwsza klasa. Zaśmiali się.

– Jeszcze jedno pytanie – zaczął Kylar. – Myślałem sobie, że dobrze byłoby, gdyby rozeszły się plotki, że Logan żyje, jeszcze zanim powróci. Rozumie pan, to dodałoby ludziom nadziei i ułatwiło Loganowi odzyskanie władzy, kiedy już się pojawi. Powinienem powiedzieć Terah Graesin, że Logan żyje?

– Na to już trochę za późno – odezwał się ktoś stojący w wejściu do namiotu.

To była Terah Graesin w strojnej, zielonej sukni i płaszczu podszytym norkami. Uśmiechała się blado.

– No proszę, Durzo Blint, wieki cię nie widziałam.

43

Zwykle Garoth wzywał konkubiny do swoich komnat, ale czasem lubił je zaskakiwać. Magdalyn Drake bawiła go przez długi czas, ale jak zawsze w końcu jego zainteresowanie zaczynało słabnąć.

Tej nocy obudził się kilka godzin po północy z piekielną chętką, bólem głowy i pomysłem. Wejdzie po cichu i brutalnie obudzi Magdalyn. Uwielbiał, kiedy krzyczała. Zbije ją okrutnie i oskarży o spiskowanie.

Jeśli zacznie błagać i przysięgać, że to nieprawda, jak robiło większość przerażonych kobiet, zrzuci ją z balkonu. Jeżeli go zeklnie, zerżnie ją z brutalnością stosowną do jej krnąbrności i dziewczyna przeżyje kolejny dzień. Zanim wyjdzie, zamknie ją w czułych objęciach i będzie szeptał, że przeprasza i że ją kocha. Przyzwoite kobiety zawsze chciały widzieć w nim coś dobrego. Aż zadrżał z niecierpliwością na samą myśl o swoim planie.

Sięgnął virem przez zamknięte drzwi, mając nadzieję, że wyczuje równy oddech dziewczyny oddychającej we śnie. Zamiast tego poczuł coś innego. Nie spała.

Garoth otworzył drzwi, ale Magdalyn go nie zauważyła. Siedziała na łóżku, patrząc przez otwarte drzwi na balkon pozbawiony barierki. Była ubrana tylko w cieniutką koszulę nocną, ale nie zwracała uwagi na zimny powiew wpadający przez otwarte drzwi. Kołysała się.

Zaklął głośno. Nie zareagowała. Dotknął jej skóry. Była zimna. Dziewczyna musiała siedzieć tak od wielu godzin.

Inne konkubiny udawały szaleństwo, żeby stracił nimi zainteresowanie. Może Magdalyn Drake próbowała tego samego. Garoth uderzył ją i dziewczyna padła na łóżko. Nie krzyknęła. Złapał ją za ciemne włosy i wywlekł na balkon.

Podszedł do samego brzegu i zmusił dziewczynę do stanięcia. Złapał ją za gardło wielką dłonią i pchnął tak, że palce jej stóp znalazły się tuż przy krawędzi. Palce prawie mu się stykały na jej karku. Zadbał, żeby nie przydusić jej za bardzo, ale gdyby ją puścił, spadłaby.

W końcu spojrzała na niego przytomnie. Bliskość śmierci zwykle działa w ten sposób na ludzi.

– Dlaczego? – zapytała smutno. – Dlaczego to robisz? Zaskoczony spojrzał na nią. Odpowiedź była tak oczywista, że nie był pewien, czy dobrze zrozumiał pytanie.

– To mi sprawia przyjemność.

Co dziwne – ale Magdalyn Drake zawsze była dziwną dziewczyną, między innymi dlatego tak go pociągała – uśmiechnęła się. Przywarła do niego, ale nie jak kobieta nad przepaścią, chwytająca się jedynej szansy na przeżycie.

Pocałowała go. Jeśli grała, to była piekielnie przekonująca. Jeżeli oszalała, to jej szaleństwo przybrało nadzwyczaj intrygującą formę. Magdalyn Drake pocałowała go i Garoth mógłby przysiąc, że zrobiła to z prawdziwym pożądaniem. Ogarnęło go podniecenie jak nigdy dotąd, kiedy wspięła się na niego, obejmując go smukłymi, dziewczęcymi nogami w pasie.

Pomyślał, żeby zabrać ją z powrotem do komnaty, ale nie sposób było panować w pełni nad sobą, kiedy właśnie miał się kochać z kobietą, która mogła próbować go zabić. Całowała go, przysuwając usta do jego ucha.

– Słyszałam, jak rozmawiałeś z Nephem – powiedziała. Gorący oddech muskał jego ucho.

Zwykle nie pozwalała konkubinom mówić, kiedy je rżnął – no, chyba że go przeklinały – ale Garoth nie chciał niszczyć tego kruchego stanu niepoczytalności.

Magdalyn pocałowała go znowu i odepchnęła się. Trzymając się go tylko nogami, puściła jego szyję i odchyliła się. Złapał ją za biodra, żeby nie spadła i się nie zabiła. Wisząc do góry nogami, wymachiwała rękami nad głową, patrząc na zamek i miasto poniżej, śmiejąc się.

Garothowi krew dudniła w uszach. Nie obchodziło go, kto może ich widzieć. Nieważne, jakie rodzaju to było szaleństwo – było upajające.

Poruszyła biodrami i coś powiedziała.

– Co? – zapytał.

– Puść – powtórzyła.

Wyglądało na to, że mocno trzyma się nogami, więc puścił ją, gotów złapać ją virem, jeśli będzie trzeba. Nie zamierzał pozwolić, żeby to się skończyło, zanim nie zazna rozkoszy. Nie teraz.

Magdalyn wyszarpnęła koszulę nocną uwięzioną między ich ciałami i zdjęła ją. Zrzuciła ją z balkonu, śmiejąc się znowu, kiedy cieniutki materiał opadł na bruk w dole.

Potem wyprostowała się i jeszcze raz pocałowała Garotha, przyciskając do niego swoje dziewczęce ciało. Gwałtownym gestem ściągnęła z niego szlafrok i wtuliła się w jego tors, jęcząc, gdy jej skóra dotknęła jego ciała – ciepło przy cieple w lodowatą, zimową noc.

Musnęła jego szyję.

– Słyszałam, jak rozmawialiście o Aniele Nocy – powiedziała. – Kylarze Sternie.

– Yhm.

– Chcę, żebyś coś wiedział – szepnęła mu do ucha, aż przebiegł go dreszcz. O czym ona, do cholery, mówiła? – Kylar to mój brat. Przyjdzie po mnie, ty parszywy skurwysynu i jeśli ja cię nie zabiję, on to zrobi.

Wgryzła mu się w tętnicę szyjną z całej siły, próbując zrzucić ich oboje z balkonu.

Vir zareagował szybciej, niż zdążyłby sam Garoth, wybuchając z jego szyi. Wystrzelił z kończyn, ciskając Ursuulem do sypialni, kiedy Magdalyn Drake już spadała z balkonu.

Garoth stanął roztrzęsiony i wezwał Nepha.

Vürdmeister zastał go na balkonie, patrzącego na szczątki młodej kobiety, która roztrzaskała się na dziedzińcu w dole.

– Zajmij się nią, Neph. Powiedz Trudanie, że oczekuję dzieła najwyższej jakości – powiedział Król-Bóg głęboko poruszony. – To była dziewczyna wielkiego ducha.

– Czy mam... – Lodricarczyk zakaszlał znacząco i Garoth znowu

go znienawidził. – Czy mam przysłać inną konkubinę? – Nie spojrzał wprost na dowód nadal trwającego podniecenia u Garotha.

– Tak – odparł zwięźle Król-Bóg. Bądź przeklęta, Khali, tak.

– Proszę zostawić nas samych, hrabio Drake – powiedziała Terah Graesin. – Potrzebuję pańskiej kwatery.

Hrabia wyszedł, kuśtykając i podpierając się laską, a kilku strażników obstawiło namiot od zewnątrz.

Kylar nadal stał oszołomiony. Terah Graesin znała Durzo. To oznaczało, że on, Kylar, też powinien znać ją, a nie znał. Skoro znała Durzo, to oznaczało, że znała go z pracy. A to znaczyło, że go wynajęła.

– A więc – zaczęła – Logan żyje. To... cudownie.

Terah Graesin mówiła słodkim, niskim głosem. Uchodził za zmysłowy, ale z drugiej strony wszystko w Terah Graesin miało być niby ponętne. Kylar tego nie dostrzegał. Owszem, była ładna. Miała duże pełne usta i figurę nieosiągalną dla większości szlachetnie urodzonych kobiet, które całymi dniami nie zajmowały się niczym bardziej meczącym niż wydawaniem rozkazów służbie. Może to dlatego, że była aż za bardzo świadoma swoich walorów. Używała bardzo dużo kosmetyków – owszem, makijaż nałożono odpowiednio i subtelnie, ale było go mnóstwo – i wyskubała brwi do cieniuteńkich linii. Prawdę mówiąc, zachowywała się tak, jakby oczekiwała, że Kylar okaże zachwyt, a to go wkurzało.

Jeszcze bardziej wkurzał go fakt, że aby iluzoryczna twarz patrzyła jej w oczy w przebraniu, musiał gapić się prosto w jej –

trzeba przyznać jędrne – piersi. Niech to szlag, dlaczego piersi są takie intrygujące?

– Więc kto panu płaci za uratowanie Logana Gyre? – zapytała.

– Chyba nie spodziewasz się, że ci odpowiem.

Jedyne, co mógł wykorzystać, to fakt, że Blint zawsze mówił prosto z mostu, a jednocześnie był skryty. Jeśli go znała, musiała o tym wiedzieć.

– Panie Blint – było widać, że podjęła decyzję, ale nadal mówiła celowo zmysłowym głosem – jest pan jedyną osobą, jaką znam, która zabiła dwóch królów. Ile mam zapłacić, żeby zabił pan trzeciego?

– Co?! Mam zabić Króla-Boga?

– Nie. Po prostu chcę, żeby nie ratował pan Logana Gyre. Zapłacę dwa razy tyle, co pański zleceniodawca.

– Co? Ale dlaczego? Potrzebujesz teraz wszelkich możliwych sprzymierzeńców. Logan ściągnie tysiące pod twoje sztandary.

– Kłopot w tym, że... cóż, potrafisz dochować tajemnicy, Durzo? – Uśmiechnęła się.

– Powierzyłabyś swój sekret mordercy?

– Wiedziałam, że to powiesz! – zawołała triumfalnie, prawie chichocząc. – To samo powiedziałeś ostatnim razem, pamiętasz?

– Minęło trochę czasu – odparł Kylar przez zaciskające się gardło.

– Cóż, cieszę się, że pamiętałeś dość długo, by zabić mojego ojca. Kylar zamrugał.

– Powiedz mi, zabiłeś go przed czy po zabiciu króla Gundera?

– Płacą mi za zabijanie, a nie za gadanie. Na bogów! Własnego

ojca?

– I dlatego mogę ci zaufać. Przypomnę ci jednak, że już ci zapłaciłam za to, żebyś mnie nie zabijał... więc nie możesz zrobić ze mną tego samego, co z moim ojcem.

– Oczywiście.

Potrzebował sekundy, żeby się połapać. Musiała spotkać Durzo, kiedy przyjął zlecenie na jej ojca, diuka Gordina Graesina. Może to Gordin wynajął Durzo do zabicia króla Davina? Diuk Graesin pewnie myślał, że Regnus Gyre zostanie królem po śmierci Davina, a tym samym druga córka Gordina, Catrinna zostanie królową. Matka Logana, Catrinna Graesin, była przyrodnią siostrą Terah, straszą o prawie dwadzieścia lat.

– Więc dlaczego chcesz pozwolić, żeby Logan zginął? – zapytał.

– Bo nie oddaję łatwo tego, co do mnie należy, Durzo Blint. Sam wiesz.

– Nie uważasz, że powinnaś teraz myśleć, jak odebrać tron Khalidorczykom, a dopiero potem zawracać sobie głowę mordowaniem sprzymierzeńców?

– Nie potrzebuję lekcji postawy obywatelskiej. Wolisz dostać pieniądze za nic czy uczynić sobie ze mnie wroga? Pewnego dnia będę królową, a ty odkryjesz we mnie nieprzejednanego nieprzyjaciela.

– Siedem tysięcy koron – rzucił Kylar. – Ale skąd mam wiedzieć, że masz tyle? Jeśli Khalidorczycy was wybiją, będę stratny na tym interesie.

Uśmiechnęła się.

– Nareszcie Durzo Blint, którego pamiętam. – Zdjęła z palca wielki pierścień z jeszcze większym rubinem. – Nie zastawiaj go, proszę. Należał do mojego ojca i nie jest wart nawet połowy ośmiu tysięcy, które ci dam, kiedy przejmę tron. Dostaniesz jeszcze premię, jeśli pokażesz mi dowód śmierci Logana.

– W porządku.

– Przewiduję, że część moich sprzymierzeńców stanie się w przyszłości... kłopotliwa. Będę miała dla ciebie nowe zlecenia. O ile nie straciłeś ikry.

– A to co ma niby znaczyć?

– Kiedy nie odpowiedziałeś na moje wezwania miesiąc temu, musiałam zwrócić się do kogoś innego.

– Nigdy nie znajdziesz kogoś, kto mi dorówna. To przynajmniej był klasyczny tekst Durzo Blinta.

Terah Graesin oblizała usta, a w jej oczach pojawił się nagły głód. Kylar nie rozpoznał tego wyrazu twarzy, ale nie podobał mu się, cokolwiek znaczył. Uśmiechnęła się.

Na co ona czeka? Mam się zacząć do niej przystawiać?

Ale właściwa chwila już minęła.

– Wobec tego życzę miłego dnia – powiedziała spokojnym tonem, który nie podpowiedział Kylarowi, czy miał rację, czy też nie.

Podeszła do niego blisko i cmoknęła go w oba policzki. Przy tej okazji jego twarz znalazła się dokładnie na wysokości jej piersi, ale miał szczęście. Nie pochyliła się na tyle mocno, żeby dotknąć jego

prawdziwych ust piersiami ani iluzorycznego policzka wargami. Iluzja pozostała nienaruszona.

Kiedy tylko wyszła, uciekł. Wskoczył na konia i pojechał na północ obozu, obawiając się, że Terah kazała komuś obserwować zachodni wyjazd. Przekształcił przebranie tak, że twarz Durzo znajdowała się tam, gdzie jego własna, a nie wyżej, bo dzięki temu widział dobrze wyraz twarzy strażników. Wypuścili go jednak bez pytania i kiedy oddalił się o milę, zaczął powoli się uspokajać, tracąc czujność. Serce nadal mu waliło jak młotem, gdy rozmyślał, co to wszystko znaczy dla Logana. Nawet jeśli nadal miał przyjaciół poza Paszczą, czekała go trudna droga. Teraz przynajmniej będzie znał swoich wrogów.

Kylar wjechał w rzadki pas drzew, kiedy coś szepnęło w jego głowie: „Schyl się".

– Co? – spytał na głos. Strzała wbiła mu się w pierś.

Zakołysał się w siodle, ale koń nadal szedł stępa, niczego nieświadomy. Kylar zakaszlał krwią. Popełnił tyle błędów. Durzo nigdy nie wybaczyłby takiej nieostrożności. Osłabiona czujność, powrót na ścieżkę, chociaż martwił się, że być może kogoś za nim posłano, jazda na własnym koniu zamiast na skradzionym. Wystarczy jeden błąd, żeby dać się zabić, a on popełnił ich wiele.

Na bogów, jak paliło go w płucach.

„A nie mówiłem: »Schyl się«?".

Cień wyszedł zza drzewa i jedną ręką złapał za wodze wierzchowca Kylara; w drugiej trzymał miecz.

Siepacz pozwolił opaść cieniom – nie były nawet w przybliżeniu tak dobre jak maskowanie Durzo, już nie mówiąc o umiejętnościach Kylara. To był Wrąbie Szrama.

– Szlag by to trafił – powiedział. – Durzo Blint? Ożeż w mordę.

– Siema, Ben – odpowiedział Kylar.

Rzeczywiście, szlag by to trafił. Zachował maskę Durzo, ale gdyby też zachował jego wzrost, to Ben Wrąbie posłałby strzałę dokładnie nad ramieniem Kylara.

Coraz więcej wysiłku kosztowało go utrzymanie iluzji, a Kylar był głęboko przeświadczony, że wiele od tego zależy. Jeśli Terah pomyśli, że zabiła Durzo, Kylar nadal będzie mógł wrócić. Z tym się wiązały całkiem inne kłopoty, ale o niebo mniejsze niż z ujawnienie faktu, że był i Durzo Blintem, i Kylarem Sternem i to jeszcze w dodatku nieśmiertelnym.

– Niech to szlag, Durzo! Nawet nie wiedziałem, że to ty. Ta pyszałkowata zdzira, Graesin powiedziała tylko „specjalna robota, ale spokojnie, będzie podwójna stawka”. Dlaczego, u diabła, jechałeś ścieżką, Durzo?

– Po prostu... – Kylar zakaszlał. – Popełniłem błąd.

– Widać jeden wystarczy. A niech to, stary. Przynajmniej stanąłbym do walki.

– Wtedy bym cię zabił – odparł Kylar.

Nagle ogarnęła go panika. A jeśli to było jego ostatnie życie? Nie miał gwarancji, że powróci. Wilk niczego mu nie wyjaśnił. Na bogów, kompletnie oszalał, kiedy dał się zabić dla pieniędzy jako baron Kirof.

– Prawdopodobnie. Wrąbie Szrama znowu zaklął.

Swoje przezwisko zawdzięczał niezliczonym bliznom na twarzy. Przybył do Cenarii z Friaku jako dzieciak i przez jakiś czas był niewolnikiem. Należał do nielicznych mężczyzn, którzy zdobyli wolność w walkach na arenie. Kylar myślał, że Wrąbie sam się okaleczył, ale siepacz mówił bez żadnego akcentu. Jakiekolwiek więc rytuały praktykował, poznał je z plotek na temat Friakijczyków, a nie z obserwacji.

– Jak niby mam się tym przechwalać, Durzo? Po prostu zastrzeliłem cię pierońską strzałą. Nie tak się zabija najlepszego na świecie siepacza.

– A mnie się wydaje, że to całkiem nieźle działa. – Kylar zakaszlał.

– Niech to szlag. – Ben był zdegustowany.

– Wymyśl coś – poradził mu Kylar. Zakaszlał i z ust trysnęło mu jeszcze więcej krwi. Zapomniał już, jaka to frajda umierać.

– Nie mogę tak – odparł Wrąbie. – To znieważa umarłych. Jak to zrobisz, to potem cię straszą.

– Zajebiście mi przykro z twojego powodu. – Kylar zsuwał się już z siodła. Z hukiem upadł na ziemię i walnął w nią potylicą, ale niezależnie od wszystkiego, iluzja trwała.

Ben się skrzywił.

– Chwileczkę – mruknął, przetrawiając słowa. Nie należał do najbystrzejszych strumyków w okolicy. – Chcesz powiedzieć, że to będzie dla ciebie większy honor, jeśli ludzie pomyślą, że zginąłeś w

heroicznej walce? – Wrąbie'owi Szramie spodobał się ten pomysł. – Pozwolisz mi tak mówić i nie będziesz mnie nawiedzał? Przysięgam, że przedstawię cię od najlepszej strony.

– To zależy. – Kylarowi już robiło się biało przed oczami. – Zamierzasz odciąć cokolwiek od mojego ciała?

To byłoby całe jego szczęście – obudzić się bez głowy albo czegoś takiego. Jakby to wtedy podziałało? Umarłby naprawdę, gdyby ktoś obciął mu głowę?

– Suka chce dowodu.

– Daj jej ten pierścień. Zabierz konia, ubrania, cokolwiek potrzebujesz, ale nie ruszaj mojego ciała. Powiedz, że jesteś przesądny czy coś w tym stylu, a potem możesz opowiadać, co zechcesz. Tylko połóż moje ciało...

Kylar zgubił wątek. W głowie mu się mieszało. Miał wrażenie, że czuje, jak jego serce się męczy, podczas gdy krew zalewa klatkę piersiową.

– W porządku. Jesteś gotowy przyjacielu? – zapytał Ben.

Kylar skinął głową.

Ben Wrąbie dźgnął go prosto w serce.

44

Pracowałam nad siecią – powiedziała siostra Ariel. – Pułapki na niej ustawiono w naprawdę interesujący sposób. Przypomnij mi, kto rzucił na ciebie ten czar? – A może zrobimy tak: ja ci powiem, a ty mnie puścisz? – zaproponowała Vi.

Niezbyt jesteśmy subtelne, co, Wiedźmo? Szerokim łukiem ominęły obóz rebeliantów w Havermere i teraz skręcały z powrotem w stronę szlaku. Vi zauważyła, że siostra chciała wjechać do obozu, ale obawiała się, że Vi zyska okazję do ucieczki.

– Dlaczego jedziemy na zachód? – spytała. – Myślałam, że Oratorium znajduje się na północnym wschodzie.

– Zgadza się. Ale nadal nie wypełniłam zadania, z którym mnie wysłano – odpowiedziała Ariel.

– A co to za zadanie? – zaciekawiła się Uly.

Siedziała teraz w siodle za Vi i obie były magicznie związane. Vi ucieszyła się, że dziewczynka zapytała. Na pytania małej siostra Ariel odpowiadała. To pewnie miało coś wspólnego z powtarzającymi się próbami ucieczki Vi, po których obie z Wiedźmą były posiniaczone i poirytowane.

– Chcę zwerbować kogoś specjalnego i mam nadzieję, że znajdę odpowiednią kobietę w obozie rebeliantów. Niestety, nie mam nawet krztyny zaufania do Vi.

– To i tak dużo – stwierdziła Uly.

Vi się skrzywiła. Nie dość, że Ariel zostawiła ją ze wszystkimi

zadrapaniami po tym, jak wylądowała w jeżynach, to jeszcze potem spuściła jej lanie. Zycie w siodle to życie bolesne.

– Więc ja się nie liczę jako ktoś specjalny? Powiedziałaś już, że mam ogromny Talent. Czy coś w tym stylu. – Vi szydziła, ale była też zaciekawiona i, co dziwne, odrobinę zraniona, że nie dorasta do wymogów.

– Och, obie jesteście bardzo specjalne. Ale żadna z was nie ma tego, czego potrzebuję – odpowiedziała Ariel.

Ta jędza uwielbiała być tajemnicza.

– Co masz na myśli, mówiąc „obie”? – zapytała Vi.

– Zabieram was obie do Oratorium, ale żadna z was nie spełnia...

– Dlaczego nas obie?

Ariel spojrzała na Vi. A potem się roześmiała.

– Uly ma Talent.

– Co? – Vi nie wierzyła własnym uszom.

– Och, to prawda, że mało jest kobiet z Talentem, nie przeczę, ale nawet jeśli tylko jedna na tysiąc jest Utalentowana, to nie znaczy, że dwie naraz trafiają się tylko raz na milion. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedziała Uly. Vi też nie rozumiała.

– Ludzi z Talentem łączy pewna bliskość, którą czują, nawet jeśli żadne z nich nie wie dlaczego. Często odnajduje się ich razem, co stanowi dla nas ogromne ułatwienie... przeważnie. Być może jesteś za młoda, by usłyszeć taką prawdę, Ulyssandro, ale ta bliskość to pewnie jedyny powód, dla którego ta poza tym pozbawiona serca morderczyni nie wzięła cię jeszcze na swoje i tak przeciążone sumienie.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłaby mnie? Zabiłabyś, Vi?

Vi cieszyła się, że dziewczynka siedzi za nią, bo dzięki temu nie widziała poczucia winy malującego się na jej twarzy. Dlaczego przejmowała się, co sobie pomyśli Uly?

– Możesz spojrzeć na to od strony pozytywnej albo negatywnej, Ulyssandro – powiedziała siostra Ariel. – Negatywna: w normalnej sytuacji zabiłaby cię. Pozytywna: nie zrobiła tego, a miała wiele okazji, żeby zmienić zdanie. Można by nawet rzec, że Vi cię lubi.

– Lubisz mnie, Vi?

– Lubię ci spuszczać manto – odparła Vi.

– Nie bierz tego do siebie – powiedziała siostra Ariel. – Z racji wychowania, jakie odebrała, Vi jest, mówiąc bardzo oględnie, emocjonalną kaleką. Prawdopodobnie ledwo potrafi rozróżniać większość przeżywanych uczuć i dobrze jej jest tylko ze złością, gniewem i protekcjonalnością, bo dzięki nim czuje się silna. Powiem więcej, podejrzewam, że jej relacje z tobą mogą być pierwszymi pozytywnymi w całym jej życiu.

– Skończ z tym – przerwała jej Vi. Ariel kroiła ją na kawałeczki, z których na dodatek sobie drwiła.

– To mają być dobre relacje? – zdziwiła się Uly.

– Nie ucieka przed twoim dotykiem. Kiedy jedziesz z nią, jest rozluźniona. W przypadku każdej innej osoby miałaby się nieustannie na baczności.

– Zabiję tę smarkulę przy pierwszej okazji – warknęła Vi.

– Blaga – odparła Ariel.

– Co to znaczy? – spytała Uly.

– Bujda – wyjaśniła jej Vi.

– Więc po prostu nadal bądź dla niej miła, Uly – ciągnęła Ariel, ignorując Vi – bo pewnie nikt inny w waszej klasie nowicjuszek jej nie polubi.

– W naszej?! – wyrwała się Vi. – Posadzisz mnie razem z dzieciakami?

Siostra Ariel zdziwiła się.

– No, oczywiście. I powinnaś być miła dla Ulyssandry, bo ma więcej Talentu od ciebie. I żadnych z twoich brzydkich nawyków.

– Ty okrutna, okrutna jędzo – powiedziała Vi. – Wiem, w co sobie pogrywasz. Próbujesz mnie złamać, ale coś ci powiem. Nic mnie nie złamie. Przeszłam wszystko.

Siostra Ariel odwróciła twarz ku zachodzącemu słońcu, które obrysowywało czubki drzew zagajnika przed nimi.

– I tu się bardzo mylisz, moja droga. Już cię złamano. Złamano cię wiele lat temu i wyszłaś z tego z garbem. Teraz znowu cię złamano, a ty próbujesz wyjść z tego jeszcze bardziej skrzywiona. Nie pozwolę na to. Złamię cię jeszcze raz, jeśli będę musiała, żebyś nie była już dłużej kaleką. Ale ty sama musisz zdecydować, że chcesz wyzdrowieć. I nie obiecuję, że nie zostaną ci żadne blizny. Możesz jednak stać się lepszą kobietą niż jesteś teraz.

– Kobietą, która będzie bardzo podobna do ciebie? – zakpiła Vi.

– O, nie. Masz temperament, jakiego ja nigdy nie miałam. Obawiam się, że sama jestem po trosze uczuciową kaleką. Za dużo

głowy, jak mówią. Za dobrze mi z własnymi myślami. Nigdy nie musiałam wyjść z tego świata. Ale ja się taka urodziłam, a ciebie taką stworzono. Masz rację: nie nauczysz się ode mnie tego, czego potrzebujesz.

– Byłaś kiedyś zakochana? – zapytała Uly.

Vi zastanawiała się, skąd u licha takie pytanie, ale musiało być trafne, bo siostra Ariel wyglądała, jakby ktoś ją zdzielił łopatą przez łeb.

– Ehm. To... to bardzo dobre pytanie – powiedziała w końcu.

– Zostawił cię dla kogoś, kto nie był taki zimny i brzydki, co? – zapytała Vi nie bez satysfakcji.

Ariel przez chwilę nic nie mówiła. W końcu odezwała się cicho:

– Widzę, że jeszcze masz pazury. Chociaż nie spodziewałam się niczego innego.

Uly wbiła palce pod żebra Vi, żeby ją ukarać, ale Vi ją zignorowała.

– No dobrze, ale w końcu nie odpowiedziałaś, dlaczego jedziemy na zachód.

– Mieszka tu po drodze pewna siostra. Zajmie się wami, podczas gdy ja zrobię zwiad w obozie rebeliantów i sprawdzę, czy nie ma tam odpowiedniej kobiety.

– A czego właściwie szukasz? – zapytała Uly.

– Powinnyśmy poszukać sobie miejsce na obozowisko. Ściemnia się. Wygląda na to, że nie dojedziemy dziś wieczorem do Carissy – powiedziała siostra Ariel.

– Ojej, proszę – naciskała Uly. – Nie jest jeszcze aż tak ciemno i nie mamy o czym rozmawiać.

Siostra Ariel chwilę przetrawiała prośbę. Wzruszyła ramionami.

– Szukam niezwykle Utalentowanej kobiety, która jest ambitna, charyzmatyczna i posłuszna.

– Ambitna i posłuszna? Powodzenia – oznajmiła Vi.

– Gdyby była posłuszna Mówczyni, zapewniono by jej indywidualne nauczanie, szybko awansowałaby, zyskałaby wiele uwagi i wpływy. Ale to wszystko jest łatwe. Kłopot w tym, że musi być nowa, bo musimy być pewne jej lojalności. I musi być mężatką. Kobieta, której mąż jest Utalentowany, byłaby prawdziwą perłą.

– Więc jak znajdziesz tę mężatkę? Porwiesz ją? – spytała Vi. – Czy to nie jest trochę ryzykowne?

– Ktoś inny powiedziałby, że niemoralne, ale... cóż, porwana kobieta nie chciałaby współpracować. Najlepiej, gdybyśmy na terenie szkoły miały też jej męża. Nie wystarczy tylko wsadzić obrączkę na palec kobiety. Im bardziej małżeństwo będzie wyglądało na trwałe i stabilne, tym lepiej.

– To czemu Vi nie mogłaby tego zrobić? – zapytała Uly. – I tak nie chce wylądować w klasie razem ze mną i innymi dwunastolatkami.

Ariel pokręciła głową.

– Uwierz mi, pomyślałam o niej na początku, ale ona w ogóle nie nadaje się do tego.

– Do bycia uczennicą czy żoną? – spytała Vi.

– Do jednego i drugiego. Bez obrazy, ale znałam mężczyzn, którzy żenili się z niewłaściwą kobietą i wszyscy wiedli żałosne życie. Na pewno mogłybyśmy poszukać mężczyzny, który ożeniłby się z tobą, i z pewnością zgłosiłoby się wielu chętnych. Jesteś piękną kobietą, a przy pięknych kobietach mężczyźni mają skłonność myśleć swoimi... – spojrzała na Uly i odchrząknęła – swoją nieracjonalną częścią. Nawet gdybyśmy przekupiły właściwego głupca, a uwierz mi, Oratorium byłoby do tego gotowe, bo nikt nie ceniłby tam szczęścia jakiegoś mężczyzny wyżej od dobra szkoły... nawet wtedy nic by z tego nie było. Vi nie można ufać. Nie jest posłuszna. I nie jest wystarczająco inteligentna...

– Ale z ciebie jędza – oburzyła się Vi, ale siostra Ariel zignorowała ją.

– ...a poza tym pewnie próbowałaby uciec, przez co przestałaby być dla nas użyteczna i wszystkie nasze wysiłki poszłyby na marne. Więc, jak już powiedziałam, w ogóle się nie nadaje.

Vi spojrzała na nią z nienawiścią. Wiedziała, że cała to rozmowa to tylko podstęp, mający na celu przytrzeć jej nosa, pokazać, jak mało jest warta, ale uwaga na temat inteligencji raniła głębiej niż cała reszta. Przez całe życie nieustannie słyszała komplementy – mężczyźni ich nie żałują, gdy próbują zadrzeć kobiecie spódnicę – i niezależnie od tego, czy te komplementy były prostackie, czy poetyckie, to zawsze dotyczyły ciała. A ona była też bystra, niech to szlag.

Siostra Ariel spojrzała prosto na nią. A potem jakby spojrzała

głębiej.

– Stój! – krzyknęła. Vi się zatrzymała. – Co?

Siostra Ariel niezdarnie szturchała swojego konia i dopiero po kilku próbach zmusiła go, by szedł równolegle do wierzchowca Vi. Złapała twarz Vi w obie dłonie.

– A to sukinsyn – powiedziała Ariel. – Nie pozwól nikomu tego leczyć, rozumiesz? On jest... słowo daję, co za robota! Jeśli ktokolwiek tknie to magią, są tu sploty ognia, które zapłoną wzdłuż wszystkich głównych naczyń w twoim mózgu. To wygląda zupełnie jak... Pamiętasz może, że straciłaś panowanie nad swoim ciałem w jakimś momencie?

– Co masz na myśli? Że się zsikałam?

– Wiedziałabyś, co mam na myśli, gdyby to się wydarzyło. Będę musiała sprawdzić, czy siostra Drissa Nile wróci. Jej jednej pozwoliłabym tknąć się tego.

– Kto to taki? – spytała Uly.

– Uzdrowicielka. Najlepsza specjalistka od drobnych splotów, jaką znam. Miała małą lecznicę w Cenarii, kiedy ostatni raz o niej słyszałam.

– Nie powiesz mi nic o tym splocie, który ma mnie niby zabić? – zapytała Vi.

– Nie, dopóki nie powiesz mi, kto go stworzył. – A wsadź...

– Jeśli jeszcze raz zaklniesz, pożałujesz – przerwała jej siostra Ariel.

Ostatnia kara była wystarczająco przykra, a satysfakcja z

przekleństwa na tyle mała, że Vi przełknęła słowa.

Wjechały do zagajnika, gdzie Vi dostrzegła coś częściowo ukrytego pod liśćmi obok ścieżki, coś jak czarne włosy lśniące w gasnącym świetle słońca.

Uly spojrzała w tę samą stronę.

– Co to?

– Myślę, że ciało – odpowiedziała Vi, a kiedy zjechały ze ścieżki, by lepiej się przyjrzeć, kamień spadł jej z serca.

To rzeczywiście było ciało – śmierć, która oznaczała dla niej życie. To była wolność i nowy początek. Martwym człowiekiem był Kylar.

45

Elene była cała obolała. Jechała najszybciej, jak zdołała, przez sześć dni, ale nadal nie dotarła do Zakola Torras. Bolały ją kolana, bolały ją plecy, uda prawie odpadały, a mimo to nawet nie zbliżyła się do Uly i jej porywaczki. Wiedziała o tym, bo pytała wszystkich, z którymi się mijała na drodze, czy nie widzieli kobiety z dzieckiem spieszącej na północ. Większość ich nie widziała, ale jeśli ktoś je zauważył, to i zapamiętał. Z tego wynikało że wręcz przeciwnie – Elene zostawała coraz bardziej w tyle.

Strażnicy miejscy minęli się z nią poprzedniego dnia; wracali do Caernarvon. Zapewnili ją, że kobieta, a zwłaszcza kobieta obarczona dzieckiem, nie mogła jechać szybciej od nich. Poddali się i wracali do domu. Wystarczyło, że raz zobaczyła ich miny, a już wiedziała, że nie zdoła ich przekonać do zmiany zdania. Byli zmęczeni i prawdopodobnie mieli rozkaz unikać rycerzy Lae’knaught, którzy czasem zapuszczali się daleko na wschód. Elene pozwoliła im odjechać. Bardziej od strażników miejskich liczył się Kylar. On też pojechał tą drogą. W jakimś momencie wyprzedził porywaczkę i Uly, ponieważ ich nie szukał.

Jednakże była już blisko Zakola Torras. Tej nocy będzie spała w łóżku. Wykąpie się. A potem dowie się, czy porywaczka pojechała w stronę Cenarii, jak podejrzewała Elene. I zje gorący posiłek. Rozmarzyła się, kiedy nagle dostrzegła rycerzy Lae'knaught.

Stali po obu stronach drogi pośród największych pól pszenicy na

południe od Zakola Torras. Gdyby chciała ich ominąć, musiałaby skręcić kilka mil na wschód i zaryzykować przejście przez Las Ezry, który podobno był nawiedzony. Ale teraz j uż było na to za późno. Dostrzegli ją, a mieli w pogotowiu osiodłane konie, gotowi do pościgu.

Elene podjechała do nich. Nagle z całą wyrazistością dotarło do niej, że jest kobietą podróżującą samotnie. Było ich sześciu, wszyscy uzbrojeni, a kiedy podjechała, stanęli tak, żeby przeciąć jej drogę. Na kolczugach mieli czarne kasaki ozdobione złotym słońcem: czystym światłem rozumu, które pokonuje mroki przesądu. Nigdy nie zetknęła się osobiście z rycerzami Lae'knaught, ale wiedziała, że Kylar nie miał o nich najlepszego zdania. Twierdzili, że nie wierzą w magię, a jednocześnie nienawidzili jej. Kylar uważał, że to zwyczajne oprychy. Gdyby naprawdę tak nienawidzili Khalidorczyków, jak mówili, przyszliby Cenarii z pomocą, kiedy Król-Bóg ją najechał. A zamiast tego krążyli jak sępy, rekrutując ludzi spośród uciekających Cenaryjczyków i szabrując na cenaryjskich ziemiach.

Jeden z rycerzy wystąpił naprzód. Ostrożnie trzymał długą na dwanaście stóp jesionową lancę. Była za długa, żeby używać jej, będąc spieszonym, ale Elene wiedziała, że gdy tylko rycerz wsiądzie na konia, cała jego niezgrabność natychmiast zniknie.

– Stać w imieniu Niosących Wolność. Światła! – zawołał. Elene domyślała się, że chłopak ma nie więcej niż szesnaście lat.

Kiedy się zatrzymała, podszedł i złapał wodze. Nie bardzo wiedziała, dlaczego rycerze tak się denerwują. I nagle zrozumiała coś,

co powinno być oczywiste od pierwszej chwili. Kiedy widzieli podróżującą samotnie kobietę, widzieli bezbronność. Żadna normalna kobieta nie podróżuje samotnie, wobec tego Elene nie mogła być zwykłą kobietą. Musiała być czarownicą. Żołądek jej się zacisnął.

– Wielkie dzięki – powiedziała, wzdychając z ulgą. Prawie powiedziała „Bogu dzięki”, ale podejrzewała, że rycerze Lae'knaught nie wierzyli też w bogów. – Możecie mi pomóc?

– Co się stało? Co pani robi sama na trakcie? – zapytał jeden ze starszych.

– Widzieliście młodą kobietę, chyba rudą, podróżującą z małą dziewczynką? Ze dwa dni temu? Nie?

Elene oklapła i nagły ból na jej twarzy był prawdziwy, bo nawet zgarbienie się po tak długiej jeździe bolało.

– No tak, zważywszy kim jest, z pewnością was ominęła. Na pewno nikogo nie widzieliście? Może ktoś, próbując was ominąć, zboczył na wschód?

– O czym pani mówi, młoda damo? Co się stało? Jak możemy pomóc? – pytał rycerz.

Sądząc po zmianie tonu, już nie postrzegali jej jako zagrożenie. Odgrywanie słabej i bezbronnej podziałało.

– Jestem z Caernarvon – wyjaśniła. – Właściwie to pochodzimy z Cenarii, ale wyjechałyśmy, kiedy ci straszni ludzie najechali ze swoimi czarownikami nasz kraj. Zaczęłyśmy nowe życie, Uly i ja. Uly to moja wychowanka. Czarownicy zabili jej rodziców... Myślałyśmy, że jesteśmy bezpieczne w Caernarvon, ale ją porwano. Musiałam za

nią jechać. Strażnicy miejscy też ruszyli w pościg, ale już zawrócili. Obawiam się, że nigdy ich nie dogonię.

– To rzeczywiście w stylu tych przeklętych sióstr, porwać dziecko – wyrwał się najmłodszy. – W liście napisano...

– Marcus! – warknął starszy rycerz.

Mężczyźni popatrzyli po sobie i Elene zrozumiała, że jej półprawdy nie tylko podziałały, ale też, że mężczyźni wiedzą coś więcej. Wycofali się, zostawiając młodego Marcusa, który stał i nietaktownie gapił się na jej blizny. Kiedy zdał sobie sprawę, że mu się przygląda, zakaszlał w dłoń.

Starsi rycerze wrócili po kilku minutach. Znowu odezwał się najstarszy:

– Normalnie wolelibyśmy zabrać panią do naszego grafa, żeby sama mu pani wszystko opowiedziała, ale widzę, że czas to kluczowa kwestia w tej sprawie. Z przyjemnością pomoglibyśmy, ale nasze rozkazy zmuszają nas do pozostania na południe od Zakola Torras. Polityka. Rzecz w tym, że dziś rano przybył kurier. Przechwytujemy całą korespondencję czarownic z Oratorium. Proszę. Zrobiliśmy już kopię.

Podał jej list.

Elene – napisano w liście okrągłym, zamaszystym charakterem pisma – *Uly jest teraz bezpieczna, zabrałam ją pod swoją opiekę od kobiety, która ją porwała, ale obawiam się, że nie mogę odesłać dziewczynki do domu. Uly jest Utalentowana i jedzie właśnie do Oratorium, gdzie otrzyma najlepszą edukację na świecie i gdzie*

będzie miała warunki, o stworzeniu których nie mogłaś nawet marzyć. Rozumiem, że masz powody nie wierzyć, że to list ode mnie. Jeśli chcesz, możesz udać się do Oratorium i zobaczyć Uly na własne oczy, albo nawet zabrać ją do domu, jeśli takie będzie życzenie Was obu. Kiedy tylko dotrze bezpiecznie do Oratorium, napisze do Ciebie. Przepraszam, gdyby nie inne, palące kwestie, dostarczyłabym te wieści osobiście. Z poważaniem, siostra Ariel Wyant Safastae.

Musiała przeczytać ten list jeszcze dwa razy, zanim pojęła, o co chodzi. Ktoś porwał Uly, uwalniając ją od porywaczki? Uly miała Talent?

Ostatecznie list niczego nie zmieniał. Elene i tak musiała jechać do Zakola Torras i wypytać mieszkańców. Jeśli list mówił prawdę, Elene pojedzie na północ i do Oratorium. Jeśli nie, uda się na zachód do Cenarii. Z drugiej strony, porywaczka nie mogła wiedzieć, że Elene ruszyła w pościg. W końcu nawet się do nich nie zbliżyła.

– Przeklęte czarownice – powiedział młody rycerz. – Zawsze porywają małe dziewczynki, odwracając je od Światła i zamieniając w sobie podobne.

– Marcus!

Elene nagle ulżyło, że powiedziała prawdę tym ludziom. Gdyby jej historia nie zgadzała się z listem, sprawy potoczyłyby się inaczej.

– Nie, nic się nie stało – odparła. – Będę musiała się pośpieszyć, jeśli mam odnaleźć Uly, zanim wpadnie w ich szpony.

– Proszę na siebie uważać – powiedział starszy mężczyzna. – Nie wszyscy z tych wieśniaków kochają Światło.

– Dziękuję za pomoc – odpowiedziała, po czym ruszyła do Zakola Torras z kompletnym mętlikiem w głowie.

46

Ariel miała niezwykły dar: zawsze, gdy zobaczyła coś, co było fascynujące lub zagadkowe, potrafiła to zapisać w pamięci. Rzecz jasna to było ogromnie pomocne przy studiach, bo była w stanie zapamiętywać całe fragmenty zwojów i potem wracać do potrzebnych ustępów.

Miała teraz szczęście, że nie patrzyła na trupa. Patrzyła na Vi i Uly – i wyraz obu twarzy został zachowany w skarbnicy jej pamięci. Twarz Vi wyrażała czyste upojenie, radość, którą mogła czerpać po prostu z widoku śmierci. Ariel miała nadzieję, że chodzi o coś innego. Miała nadzieję, że to coś więcej, że Vi miała jakieś osobiste powody, żeby życzyć Kylarowi śmierci. W przeciwnym wypadku Vi może być jeszcze mniej użyteczna, niż Ariel zakładała. Na razie zlekceważyła minę Vi; odłożyła na później dociekanie jej sensu. To wyraz twarzy Uly naprawdę ją zaintrygował.

Kylar był dla niej niemalże ojcem, a Uly była dzieckiem o czułym sercu. Nie dorastała w Norach, ani w żadnym innym miejscu, gdzie widziałaby śmierć na co dzień. Widok przybranego ojca leżącego przy drodze, rozebranego do bielizny i martwego, powinien nią wstrząsnąć. Jej twarz powinna wyrażać chęć odcięcia się od tego widoku lub zaprzeczenia mu, a nie zaciekawienie. Nie rozpoznała go jeszcze? A potem na twarzy Uly pojawiło się coś, co Ariel wzięła za euforię. Euforia? To nie mogła być prawda. Z czego dziewczynka mogła się cieszyć?

Rozmyślania Ariel przerwała świadomość, że sama przeżywa różne emocje na widok martwego Kylara. Starała się jak najszybciej je nazwać, żeby je odsunąć od siebie i wrócić do zadania, jakie przed nią stało. Rozczarowanie, owszem. Zaplanowała coś sprytnego dla niego i teraz nic z tego. Trochę żalu. Kylar robił wrażenie mężczyzny, którego mogłaby polubić. Zaciekawienie myślą, jak tak sprawny człowiek dał się zabić. Smutek z powodu tego, jak to wpłynie na Uly... dość tego, tyle wystarczy. Nazwawszy własne uczucia, odepchnęła je na bok.

Uly podniosła wzrok i zobaczyła, że Ariel jej się przygląda.

– On nie jest martwy – wytłumaczyła. – Tylko ranny.

– Dziecko, widziałam mnóstwo martwych ludzi – odezwała się Vi. – On nie żyje.

– Przejdzie mu.

Wyglądało to na zaprzeczanie faktów i Vi z pewnością tak to odebrała, ale to było coć innego.

Siostra Ariel rozwinęła zwój pamięci, żeby przyjrzeć się raz jeszcze wyrazowi twarzy Uly i temu, jak się zmieniał. Od zaciekawienia do euforii. Od zaciekawienia do euforii. Uly zobaczyła, że Kylar jest martwy – z racji jego bladości było oczywiste, że leżał tu już jakiś czas, może dzień – ale nie była ani zaskoczona, ani zmartwiona. Dlaczego? Naprawdę wierzyła, że wyzdrowieje?

Siostra Ariel sięgnęła Talentem, dotknęła Kylara i nagle zalała ją fala zrozumienia – nie uderzyła w nią i nie odebrała jej tchu, niemal dławiąc. Jej magia została zassana z powietrza do ciała Kylara,

skanalizowana na setki różnych sposobów i dołączona do procesu uzdrawiania, który już trwał.

Sama magia mogłaby ją zdumieć. Magia w połączeniu z miną Uly, która zdradzała, że dziewczynka widziała to już wcześniej i cieszyła się – to wyjaśniało Ariel wszystko.

Kylar był istotą z legend. Legend, w które nie wierzyła żadna z sióstr. Aż do tej chwili.

– Masz rację, Uly – odezwała się cicho Ariel, zerkając na Vi i dając jej do zrozumienia, żeby grała razem z nią. – Może zatrzymamy się tu na noc i zajmiesz się kolacją, podczas gdy my z Vi zajmiemy się jego ranami? Obie wiemy więcej o leczeniu, a ty dopilnujesz, żeby kolacja była gotowa, kiedy on się obudzi. Ariel zsiadła z konia i pomogła zejść dziewczynce.

– Nie chcę iść. Chcę tu zostać – upierała się.

– Uly, najbardziej pomożesz, przygotowując kolację – odezwała się Vi. – Tutaj będziesz tylko przeszkadzać.

– No chodź, dziecko – upomniała ją Ariel.

Odprowadziła dziewczynkę, podczas gdy Vi zsiadła z konia i zaczęła zrzucać liście z ciała Kylara. Ariel odwróciła się i bezgłośnie powiedziała do niej „zacznij kopać”. Vi pokiwała głową.

Gdyby miała czas do namysłu, Ariel nie rozegrałaby tej partii w sposób tak ryzykowny. W grę wchodziło tysiące czynników, które pojawiały się zbyt szybko, żeby mogła rozważyć wszystkie możliwości.

Odprowadziła Uly jakieś dwadzieścia kroków w lasek, związała

ją, zakneblowała za pomocą magii i posadziła za pniem drzewa.

– Przepraszam cię, dziecko. Tak będzie najlepiej.

– Mmm! – powiedziała Uly, wytrzeszczając oczy, ale z jej ust wydobył się ledwie szept.

Ariel wyszła zza drzewa akurat, żeby zobaczyć, jak Vi wskakuje na konia i galopem wyjeżdża z zagajnika. Ariel krzyknęła i rzuciła w jej kierunku kulą światła, ale nie włożyła w pocisk żaru. Nie zamierzała podpalać lasu tylko po to, żeby nastraszyć dziewczynę. Poza tym mogłaby niechcący w nią trafić.

Po kilku chwilach tętent kopyt ucichł. Siostra Ariel pokręciła głową. Nie zamierzała jej ścigać.

To tyle, jeśli idzie o oczywistą część tej ryzykownej rozgrywki. Najtrudniejsze dopiero przed nimi.

Powodzenia, Vi. Może wrócisz do nas, gdy będziesz gotowa wyleczyć rany.

Ariel miała nadzieję, że pewnego dnia usiądzie z Vi w jej komnatach w Oratorium i uśmieją się z tego, co dzisiaj zrobiły, choć wątpiła, czy do tego dojdzie. Nie po tym, na co Ariel właśnie sobie pozwoliła. Kobiety z temperamentem zwykle nienawidziły takich kobiet jak siostra Ariel. A przynajmniej nienawidziły, gdy się nimi w wyrachowany sposób manipulowało. Jednak Ariel nie miała wyboru.

– A teraz ty – powiedziała, odwracając się. – Mój nieśmiertelny wojowniku. Jak ty właściwie działasz?

– Nie widziałem cię ostatnim razem – powiedział Kylar do Wilka. – Myślałem, że już więcej się nie spotkamy.

Wilk siedział na tronie w Przedsionku Tajemnicy, mierząc Kylara spojrzeniem pałających żółtych oczu. Mgliste duchy, które zamieszkiwały tę komnatę, pomrukiwały, ale ich głosy były poza zasięgiem słuchu Kylara. To miejsce nadal go niepokoiło.

Nie czuł podłogi pod stopami. Nie widział duchów, kiedy próbował spojrzeć na nie wprost. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy komnata w ogóle ma ściany. Przechodziły mu ciarki po skórze, ale nie był w stanie powiedzieć, czy było tam zimno, czy ciepło. Nie czuł zapachów. Poza własnym głosem nie słyszał niczego. Wyczuwał jakieś hałasy, głosy, szuranie stóp tuż poza zasięgiem słuchu, ale to było tylko przeczucie. Był bezcielesny, a mimo to jakimś cudem zachował część zmysłów – nie wszystkie jednak i żadnemu z nich nie mógł dowierzać. W tej komnacie tylko kilka rzeczy było oczywistych: Wilk i dwoje drzwi. Jedne zrobiono ze zwykłego drewna i opatrzono żelazną klamką, a drugie były złote i przez szpary sączyło się zza nich światło.

– Byłem tak wściekły, że nie mogłem znieść twojego widoku – odparł Wilk.

Kylar nie wiedział, co powiedzieć. Wściekły? Dlaczego?

– Acaelus potrzebował pięćdziesięciu lat, żeby umrzeć trzy razy. Ty dokonałeś tego w niecałe sześć miesięcy. Wziąłeś pieniądze za śmierć. Pieniądze! Cena za to bluźnierstwo nie wystarczyła? Nigdy niczego się nie nauczysz? – zapytał Wilk.

– O czym ty mówisz?

Kylar wyczuwał, że duchy – czy inne niematerialne istoty

tłoczące się w komnacie – ucichły.

– Przyprawiasz mnie o mdłości.

– Nie...

Wilk uniósł palec z bliznami po oparzeniach. Autorytet tego drobnego człowieka był tak wielki, że Kylar natychmiast zamilkł.

– Acaelus też raz przyjął pieniądze. Po śmierci swojej pierwszej żony. Myślę, że do tamtego czasu nie wierzył tak naprawdę w swoją nieśmiertelność. Dwa razy wziął pieniądze i raz zrobił coś gorszego. Potem pokazałem mu, jaka jest cena. To go powstrzymało, tak jak powinno powstrzymać ciebie. Jeśli nadal uporczywie będziesz odrzucał życie, sprawię, że pożałujesz każdego dnia swojego niekończącego się żywota.

To było jak koszmar: niezadowolony trybunał stawiał wymagania, których Kylar nie pojmował, i orzekał jego winę, wokół krążyli jacyś mgliści obserwatorzy, majaczyły drzwi sądu i groźba prawdy, której nie będzie w stanie znieść. Potrząsnąłby sobą, uszczypnąłby się, gdyby miał jakieś ciało. Gdyby nie pamiętał, że został zabity.

– Nie wiem, o czym mówisz. Co, do diabła, powinienem robić? – zapytał gorzko Kylar. – Do czego jestem?

Światło rozbłysło w surowych złotych oczach i świat zawirował. Punkt widzenia zmienił się i Kylar nagle poczuł się dziwnie. Był gruby, miał nieskoordynowane ruchy i siedział na małym krześle. Palce miał krótkie i pulchne, a jego głowę wypełniało zawodzenie. Jego głowa wydawała mu się wręcz nieznośnie ciężka. Zamachał

rękoma i zdał sobie sprawę, że to on wrzeszczy.

Znalazł się z powrotem w ciele, ale nie w swoim. Był dzieckiem. Przed nim siwy mężczyzna – teraz olbrzymi – trzymał łyżkę z kleikiem.

– OTWIERAMY BUUZIĘ! – zagruchał Wilk, wpychając łyżkę z kleikiem w usta Kylara.

Kylar zacisnął wrzeszczące usta.

Światło znowu rozbłysło i Kylar znalazł się we własnym ciele.

Mężczyzna posłał mu drapieżny uśmiech.

– Jesteś niczym więcej niż tłustym, niezgrabnym dzieciakiem w krainie olbrzymów. Zamykasz usta, zamiast jeść. Mówisz, kiedy powinieneś słuchać. Do czego jesteś? Odpowiedź, którą ci dałem, odrzuciłeś. Po co więc mam marnować czas? Jesteś równie arogancki jak twój mistrz, ale nie masz nawet cząstki jego mądrości. Dla mnie jesteś przygłupem.

– Co mam zrobić?

– Postaraj się. Bardziej.

***

Po części Ariel żałowała, że nie może spowolnić tego, co się działo z ciałem Kylara.. W tej chwili prawie już doszedł do siebie. Kiedy na niego patrzyła, strzała w jego piersi zakołysała się i zaczęła się przesuwać. Potem zadrżała i zaczęła wychodzić z ciała, jakby wypychana od środka.

Ze słyszalnym chrzęstem grot przebił się przez skórę, która nabrała już zdrowego koloru wokół drzewca. Strzała upadła na ziemię, a Ariel porwała ją i schowała w tobołku, w którym miała już złotą tabliczkę. Chciała ją później zbadać.

Skóra wokół serca Kylara, którą strzała właśnie przebiła, zasklepiała się tak szybko, że Ariel doskonale to widziała. Po kilku chwilach znowu stała się gładka i nie było na niej śladu blizny. Siostra Ariel sięgnęła magią, ale kiedy tylko dotknęła nią ciała, magia została wchłonięta. Przez ciało przebiegł dreszcz i serce zaczęło bić. Po dłużej chwili pierś uniosła się i Kylar gwałtownie zakaszlał, wypluwając z płuc na wpół zakrzepłe grudki krwi. Potem kaszel minął. Siostra Ariel starała się patrzeć bez dotykania, ale strumienie magii płynęły tak szybko, że nie mogła ich pojąć. Położyła dłoń tuż przy ciele i wyczuła, że powietrze w tym miejscu jest zimne. Trawa pod Kylarem zwiędła i zbielała.

Zupełnie jakby jego ciało zasysało energię w każdej formie i wykorzystywało do leczenia. Co by się stało, gdyby umieszczono go w zimnym, ciemnym pomieszczeniu? Czy uzdrawianie by się zatrzymało? Jak, u diabła, transformował całą tę energię w magię? Jak tego wszystkiego dokonywał więcej niż po prostu nieprzytomny?

Na bogów, badania nad takim człowiekiem mogłyby powiedzieć siostrom coś o życiu pozagrobowym. To temat, który zarzuciły dawno temu, uznając, że leży poza strefą dostępną eksperymentom. Kylar mógł wszystko zmienić.

Przelała magię w białą kulę w dłoniach i przysunęła ją do ciała,

żeby obserwować sposób, w jaki jest zasysana – jak woda wirująca w spływie.

Niesamowite.

Oto zagadka, rozwiązaniu której mogłaby poświęcić życie.

Resztki magii zniknęły z jej rąk, a Kylar zamrugał i otworzył oczy.

Siostra Ariel uniosła ręce.

– Nie jestem tu, żeby cię skrzywdzić, Kylarze. Pamiętasz mnie? Skinął głową, zerkając na wszystkie strony jak dzikie zwierzę.

– Co tu robisz? Co się stało? Co widziałaś?

– Widziałam cię martwego. A teraz znowu żyjesz. Kto cię zabił? Kylar oklapł, zbyt zmęczony, albo zbyt roztrzęsiony, żeby zaprzeczać.

– Nieważne. Siepacz. To nic osobistego.

– Siepacz taki jak Vi?

Wstał, udając sztywność w członkach. Zorientowała się, że udaje, bo widziała, że jest w idealnym stanie zdrowia.

– *Graakos* – szepnęła, tworząc wokół siebie zbroję.

– Czego chcesz, czarownico? – zapytał.

Nagle pędy magii, które wyciągnęła ku niemu, zniknęły. A właściwie nie tyle zniknęły, ile rozwiały się jak dym na silnym wietrze. To on tego dokonał – rozproszył jej magię. Oczy rozbłysły mu niebezpiecznie. Czy jej magiczna zbroja zniknie równie łatwo? Po raz pierwszy od dziesięcioleci siostrze Ariel groziło niebezpieczeństwo ze strony drugiego człowieka.

– Chcę ci pomóc, o ile walczysz w słusznej sprawie –

odpowiedziała.

– To znaczy, jeśli ci pomogę?

Wzruszyła ramionami, zmuszając się do zachowania spokoju.

– Jak daleko sięga twoja moc, młodzieńcze? Masz chociaż pojęcie o tym?

– Dlaczego miałbym ci powiedzieć?

– Ponieważ już wiem, że rzeczywiście jesteś Kylarem. Zabójcą, którego zabijano. Nieśmiertelnym śmiertelnikiem. Jak naprawdę się nazywasz? Jak zdobyłeś tę moc? Urodziłeś się z nią? Co widzisz, kiedy jesteś martwy?

– Nie powinienem był ci zdradzać mojego imienia, co? Takie przeuczone typy jak ty potrafią mnie wykończyć. Albo przynajmniej wymęczyć.

Widząc, jak ulecza się jego ciało, Ariel wiedziała, że powłoka tego mężczyzny, jego ciało, nie zmieni się, nie postarzeje przez tysiąc lat. Kylar mógł mieć setki lat, ale choćby nie wiadomo jak na niego patrzyła, widziała tylko młodego mężczyznę, spoglądającego na nią zimnymi niebieskimi oczami. Młodzieńczą brawurę i młodzieńczą niezwyciężoność. Niewątpliwie dowiódł jej też młodzieńczej głupoty, zdradzając już tak wiele.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Dwadzieścia, dwadzieścia jeden – odparł, wzruszając ramionami.

– Zatem Stowarzyszenie się myli?

– Stowarzyszenie?

Niech to! Dlaczego potrafię tak subtelnie obejść się z Vi, a przy tym chłopcu jestem taka niezdarna? Wiedziała dlaczego. Nie nawykła do radzenia sobie z mężczyznami. Za dużo czasu spędziła w zamknięciu, tylko w towarzystwie kobiet. Rozumiała kobiety. Nawet jeśli potrafiły być potwornie nielogiczne, w ciągu lat nauczyła się wyczuwać, kiedy pojawi się brak logiki. Mężczyźni to zupełnie inna sprawa. To byłoby całkiem, cóż, logiczne, gdyby naturalniej czuła się w towarzystwie mężczyzn, ale sprawy miały się inaczej. Mimo to każde słowo Kylara niosło ogromną naukę. Nie kłamał na temat swojego wieku. Słowa wydawały się prawdziwe – ale kto nie wie dokładnie ile ma lat? To dlatego że nie pamiętał jak długo żył w tym wcieleniu? Czuła, że chodzi o coś innego. Ale mimo to nie powinna była wspominać o Stowarzyszeniu. Teraz musiała mu powiedzieć więcej. Jeśli odmówi, on też nic jej nie powie.

– „Patrzajcie, noc długa mija, a on jak nowy powraca”. To jest Stowarzyszenie – odpowiedziała.

Kylar tarł oczy, jakby coś było z nimi nie tak. Wyglądał na przytłoczonego. To dobrze, bo nie chciała mu tłumaczyć, skąd wie o Stowarzyszeniu.

– Wierzą, że powracasz z umarłych i mają nadzieję dowiedzieć się w jaki sposób. Jak widać, ich przekonania są uzasadnione. Czego więcej mógłby pragnąć człowiek, jeśli nie pokonać śmierć?

– Mnóstwa rzeczy – warknął Kylar. – Jestem nieśmiertelny, ale nie niezwyciężony. To nie zawsze jest błogosławieństwem. – Nadal był zdezorientowany. Wyglądał, jakby żałował każdego

wypowiedzianego słowa. Wcale nie był taki głupi. Lekkomyślny być może, ale nie głupi. – A więc, siostrzyczko, jakie masz plany względem mojej osoby? Zakujesz mnie w łańcuchy i zabierzesz do Oratorium?

Kiedy tylko to powiedział, w głowie Ariel pojawiła się fantastyczna wizja. Jaka pokusa! Och, nigdy w życiu nie próbowałaby go związać magią. Miała jednak coś lepszego od magii. Miała Uly. Kilka kłamstw, że Uly umrze, jeśli nie zabierze jej natychmiast do Oratorium, subtelny splot, żeby Uly kilka razy się pochorowała i Kylar poszedłby za Ariel z własnej woli. Jego istnienie ukryto by przed większością sióstr; wiedziałaby tylko Istariel. Ariel badałaby go osobiście.

Och, jakie to byłoby wyzwanie! Prawdziwa intelektualna zagadka. I ta głębia magicznej złożoności! To aż upajało. Stałaby się częścią czegoś wielkiego. Kylar nie miałby najgorszego życia. Zapewniłyby mu wszystko, czego by chciał. Najlepsze jedzenie, najlepsze komnaty, trening z mistrzami miecza, wizyty Uly, wszelkie rozrywki, jakich mogłyby mu dostarczyć. Bez wątpienia interesowałoby je też spłodzenie z nim potomstwa, żeby zobaczyć, jakie moce miałyby jego dzieci. Ze względu na niego wybrałyby do tego zadania najatrakcyjniejsze siostry. Większość mężczyzn uznałoby takie obowiązki za dość przyjemne. Miałby wszystko, czego dusza zapragnie, prócz wolności. Był nieśmiertelny! Co dla niego znaczyło kilka dziesięcioleci? Jedno życie w pełnym luksusie i świadomość, że odpoczywając w dostatku, może zmienić bieg historii.

Tylko pobłażałby sobie, a i tak jego życie zyskałoby cel i sens.

Co by się mogło stać, gdyby siostry... gdyby sama Ariel rozwikłała jego sekret? Doskonałe leczenie dla każdego, i to bez blizn. Nieśmiertelność! Jak potężne stałoby się Oratorium, gdyby siostry zdecydowały komu dać tysiąc lat młodości?

Jakby to wpłynęło na świat?

Ona, Ariel Wyant, wreszcie trafiła na zagadkę godną jej uzdolnień. Nie, nie zagadkę. Tajemnicę. Zyskałaby miejsce w historii jako kobieta, która ofiarowała ludzkości wieczne życie. Ta wizja zapierała dech i – jak zdała sobie sprawę po zdecydowanie zbyt długim czasie – przerażała.

Zaśmiała się cicho.

– Teraz już widzę, dlaczego Stowarzyszenie donikąd z tobą nie zaszło. Pokusy są zwyczajnie zbyt wielkie, prawda?

Młody człowiek nie odpowiedział. Uznał widocznie, że nie powie jej już nic więcej. A jednocześnie miała wrażenie, że jego zdaniem ona wie coś, czego on też chciałby się dowiedzieć.

– Powiedziałeś w Zakolu Torras, że byłeś cenaryjskim żołnierzem – powiedziała – ale nie wygląda na to, żebyś był z rebeliantami. Sądząc po tym, jak długo twoje ciało tu leżało, zgaduję, że nawet nie zatrzymałeś się w obozie, by odebrać rozkazy. Zatem umowa jest taka: powiesz mi, co naprawdę robisz, a ja ci pomogę. Tak się składa, że jesteś sam w lesie, w samej bieliźnie, na zimnie, bez konia, bez pieniędzy i bez broni. Jestem pewna, że brak broni nie stanowi problemu, ale reszta wręcz przeciwnie.

– Ach, więc teraz jesteśmy przyjaciółmi? – Kylar uniósł brew. – Dla mnie pytanie brzmi: dlaczego miałbym cię nie zabić, żeby Oratorium nie dowiedziało się o mnie?

– Jesteś nieśmiertelny, ale nie niezwyciężony – odparła z krzywym uśmieszkiem Ariel. – Gdybym musiała, zabiłabym cię kilkanaście razy, wlokąc cię do Oratorium. Żadne z nas nie wie, czy zabicie cię za pomocą magii może zaburzyć chwiejną równowagę, która przywraca cię do życia, więc oboje ryzykujemy, prawda? Oczywiście, zabiwszy cię raz samą magią, potem mogłabym cię zabijać własnymi rękami. I oczywiście ty też możesz mnie zabić. Więc ja też mam zagadkę. Mogę skończyć z kupą mięsa w nagrodę za wszystkie wysiłki. Możesz umrzeć. Na zawsze.

– Jeśli powiesz w Oratorium o moim istnieniu, będę miał na karku siostry z całego świata. Przez resztę bardzo długiego życia. Może dla mnie lepiej zaryzykować raz, z jedną siostrą, niż być zmuszonym do radzenia sobie z każdą świeżo upieczoną jędzą, która zapragnie zapisać się w historii.

– Więc zabiłbyś mnie z zimną krwią?

– Nazwij to samoobroną wyprzedzającą.

Podeszła do niego i spojrzała w zimne niebieskie oczy. Tak, był zabójcą. Tak, był siepaczem. Ale czy był mordercą? Najsmutniejsze w tym wszystkim, co powiedział, było to, że miał rację. Jeśli pragnął wolności, jeśli cenił swoją tajemnicę tak samo jak jego poprzednik lub poprzednicy, to powinien ją zabić. Jeżeli Oratorium dowie się o jego istnieniu, siostry nie spoczną, dopóki go nie schwytają. Jak nikt inny

miał wszystkie umiejętności potrzebne, żeby im się wymykać, ale kto chciałby żyć jak ścigany? Można uciekać przez pięć lat albo pięćdziesiąt, ale nie przez wieczność. A Oratorium nigdy by się nie poddało. Nigdy. Stałby się największą ambicją każdej ambitnej siostry, najtrudniejszą próbą i największą nagrodą.

Ariel wyobraziła sobie Istariel przesłuchującą tego mężczyznę. Poraziło ją, jak paskudnie wyglądała ta scena. Istariel chciałaby nieśmiertelności – nie dla Oratorium, ale dla siebie. Nie wybrałaby powolnej, przemyślanej metody badawczej. Istariel nienawidziła starości, nie mogła znieść utraty urody, sztywniejących stawów i zapachu starości. Dla Istariel Kylar byłby przeszkodą, opierając się jej, skazując ją na śmierć odmową zdradzenia swoich sekretów.

A co gdyby wyciągnęły od niego jego tajemnice? Jakimi zarządcami nieśmiertelności byłyby siostry?

Odpowiedź brzmiała zniechęcająco. Kto był wystarczająco czysty i mądry, żeby wiedzieć, komu udzielić wiecznego życia? Komu można było zaufać, że, otrzymawszy taki dar, nie nadużyje go?

– Musisz być dobrym człowiekiem, Kylarze – powiedziała cicho. – Nie pozwól, żeby twój dar cię zniszczył. Nie zdradzę twojego sekretu Oratorium. A przynajmniej do chwili, kiedy będę mogła ponownie z tobą porozmawiać. Wiem, że nie masz powodu mi ufać, więc, proszę. – Wyciągnęła nóż zza paska i podała mu go. – Jeśli musisz mnie zabić, to zrób to.

Odwróciła się plecami.

Nic się nie stało.

Po dłuższej chwili obróciła się.

– Pozwolisz, żebym ci pomogła? Wyglądał na znużonego.

– Logan Gyre żyje – powiedział. – Znajduje się w najgłębszej jamie w Paszczy, którą nazywa się Dnem Piekła.

– Myślisz, że nadal żyje?

– Żył miesiąc temu. Jeśli przetrzymał pierwsze dwa miesiące, to znaczy, że przetrwał najgorszy okres. Podejrzewam, że nadal się trzyma.

– I zamierzasz go wyciągnąć?

– To mój przyjaciel.

Ariel odetchnęła głęboko, żeby zapanować nad sobą. Chciała zgromić tego chłopaka za jego głupotę. Jak śmie narażać ka'kari dla zwykłego króla?

– Wiesz, co to będzie oznaczać, jeśli Garoth Ursuul dorwie w swoje ręce twoje ka'kari? Co to będzie znaczyło dla świata? – zapytała go.

To mogłoby być straszne, gdyby Oratorium rozgryzło sekret Kylara, ale gdyby zrobili to Khalidorczycy, to byłby koniec świata.

– Logan jest moim przyjacielem.

Ariel ugryzła się w język – dosłownie. Gdyby Istariel kiedykolwiek dowiedziała się, co Ariel właśnie zamierzała zrobić, wydalenie z Oratorium byłoby najłagodniejszą z kar.

– Wobec tego, cóż, w porządku. – Odetchnęła. – Pomogę ci. Myślę, że mogę zrobić coś naprawdę specjalnego. Tak podejrzewam. Nie proś o to żadnej innej siostry. To będzie możliwe tylko dzięki

temu, że dużo już się o tobie dowiedziałam. Ale chwileczkę. Musisz przekazać komuś list ode mnie.

– Co robisz? – zapytał Kylar, kiedy Ariel, znalazłszy kawałek pergaminu, nabazgrała coś na nim, a potem magicznie go zapieczętowała.

– Albo mi ufasz, albo nie. Jeśli mi nie ufasz, zabij mnie. Skoro już zdecydowałeś się mnie nie zabijać, to równie dobrze możesz zachować się konsekwentnie i zaufać mi.

Zamrugał, słysząc ten potok słów, ale ona mówiła dalej:

– Mogę sprawić, że znajdziesz się w mieście jutro wieczorem, może nawet po południu.

– To trzy dni jazdy...

– Ale musisz mi obiecać dwie rzeczy. Obiecaj mi, że najpierw dostarczysz list, i obiecaj mi, że potem uratujesz Logana. Przysięgnij.

– Co jest w liście?

– To list do uzdrowicielki, która nazywa się Drissa Nile. Nie dotyczy ciebie. Wydarzenia, które wprawisz w ruch, będą wymagały zmian w pozycji Oratorium. Nasi ludzie muszą wiedzieć, jak zareagować, jeśli uratujesz Logana Gyre, rozumiesz? – Rzecz jasna, to nie była cała prawda, ale nie zamierzała mu mówić, że list traktuje głównie na temat jej sprytnego planu odnośnie do Vi, co dotyczy również Kylara. – Kiedy dotrzesz do miasta, najedz się do syta i pośpij tak długo, jak będzie potrzebowało tego twoje ciało. I tak będziesz miał dzień albo dwa przewagi.

– Chwileczkę, chwileczkę. Nie chcę, żeby Logan gnił w Paszczy

dłużej niż to konieczne, ale dlaczego ci zależy, żebym zaoszczędził dzień albo dwa?

Ach, rzeczywiście. Narwany, ale nie tępy.

– Vi jest przed tobą. Jedzie do Cenarii.

– Ta suka! Na pewno jedzie zgłosić zaliczony cel. Chwileczkę, skąd wiesz, dokąd jedzie?

– Podróżowała razem ze mną. – Siostra Ariel się skrzywiła.

– Co?!

– Musisz to zrozumieć, Kylarze. Ona jest ogromnie Utalentowana. Chciałam ją zabrać do Oratorium. Uciekła mi zaraz po tym, jak znalazłyśmy twoje ciało. Myśli, że nie żyjesz. – A teraz najtrudniejsza część rozgrywki. – To Jarl powiedział ci o tym, że Logan żyje?

– Tak, a co?

– Czy ona... torturowała Jarla, zanim go zabiła?

– Nie. W ogóle z nim nie rozmawiała.

A teraz haczyk – niech kłamstwo pływa sobie w wodzie, jakby w ogóle cię nie interesowało, nie ubarwiaj go zbytnio, żeby nie wyglądało za dobrze:

– Więc nie wiem, skąd wie, ale powiedziała coś o królu na dnie. Myślę, że wie o Loganie.

Kylar pobladł. Kupił to. Teraz natychmiast weźmie się za ratowanie Logana, zamiast próbować zabić Vi.

Łatwizna! Siostra Ariel myślała, że uwielbiała studia. Zawsze dobrze się czuła, żyjąc w odosobnieniu. Teraz zrozumiała, dlaczego

siostry opuszczały Oratorium, żeby pracować w Świecie. Tak właśnie o nim mówiły – Świat – bo Oratorium to całkiem inna rzeczywistość. Ariel myślała, że nie obchodzi jej, co się stanie ze Światem. Uważała, że książki są bardziej fascynujące od błahych królestw i ich błahej polityki. Ale teraz czuła się żywa jak nigdy. Proszę, oto ona, kobieta po sześćdziesiątce, kalkuluje błyskawicznie, stawia na szali przyszłość – i jest tym zachwycona!

– Ma tylko kilka minut przewagi. Mogę ją dorwać i od razu zabić! Daj mi swojego konia!

– Jest ciemno, nigdy...

Głupia! Myślała jak siostra, a nie jak zabójca. Dała mu jeszcze jeden powód do zabicia Vi.

– Widzę w ciemności! Daj mi konia! – Nie!

Kylar widzi w ciemności?

Zaszła w nim błyskawiczna zmiana. W jednej chwili był wściekłym młodzieńcem, tak pełnym pasji, że nawet stojąc na zimnie w bieliźnie, przerażał. W drugiej chwili całe jego ciało rozbłysło, opalizując. Migotanie przesunęło się poza widzialne widmo w zakres magiczny, a oczy Ariel zaczęły łzawić. Zamrugała i w tym czasie Kylar całkowicie się zmienił.

Na jego miejscu stała zjawa, demon. Każda wypukłość i płaszczyzna jego ciała była odlana w czarnym metalu, jego twarz stała się maską furii; jego mięśnie były przerysowane, ale nie jego moc. Ariel zdała sobie sprawę, że widzi Anioła Nocy w całym jego gniewie. Odmawiała awatarowi Sędziego szansy wymierzenia

sprawiedliwości.

Nie było przemilczeń ani sprytnego oszustwa w jej strachu. Cofnęła się i, potykając się, położyła dłoń na koniu – żeby nie stracić równowagi i żeby przerażone zwierzę nie uciekło.

– Daj. Mi. Konia.

Ariel zrobiła jedyne, co jej pozostało. Sięgnęła po okruch magii i zabiła konia. Zabiłam dla Vi już dwa niewinne stworzenia.

Kylar odskoczył na nieludzką odległość między drzewa, kiedy tylko Ariel dotknęła swojej magii. Kiedy koń padł na ziemię, odrzuciła magię i uniosła ręce.

Nie dostrzegła żadnego ruchu, ale sekundę później Kylar stał przed nią, a czubek jej noża znajdował się o cal od jej oka. Łatwizna! Myślała, że dobrze się bawi? Stawianie na szali przyszłości wygląda inaczej, gdy chodzi o twoją własną przyszłość.

– Dlaczego chronisz morderczynię? – zapytał oblany czernią demon.

– Staram się o odkupienie dla Vi. Nie pozwolę ci jej zabić, dopóki nie spróbuję.

– Ona nie zasługuje na drugą szansę.

– A kim ty jesteś, żeby to mówić, nieśmiertelny? Dostajesz tyle drugich szans, ile zechcesz.

– To nie to samo.

– Proszę tylko, żebyś najpierw uratował Logana. Jeżeli nie przyjmiesz mojej pomocy, będziesz miał szczęście, docierając do Cenarii jeszcze w tym tygodniu.

Gniewna maska zatopiła się w skórze i zniknęła, ale Kylar nadal był wściekły.

– Co mam zrobić?

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że Kylar nie widzi, jak trzęsą jej się kolana.

– Trzymaj się portek – odparła.

47

Kaldrosa Wyn nałożyła jeszcze trochę czernidła wokół oczu i przyjrzała się sobie w lustrze. Dam radę. To za Tommana. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego, ale chciała dzisiejszego wieczoru wyglądać idealnie. Może dlatego, że to będzie jej ostatni wieczór. Jej ostatnia noc kurwienia się. Albo po prostu ostatnia noc. Oczywiście jej kostium to był czysty wymysł. Sethyjka nigdy nie włożyłaby czegoś takiego na statku, ale na dzisiejszy wieczór nadawał się idealnie. Spodnie były tak obcisłe, że nie mogła ich nawet wciągnąć, dopóki Daydra ze śmiechem nie powiedziała jej, że nie można nosić pod nimi bielizny. („Ale one są całkiem prześwitujące!”. „I co z tego wynika...?”. „Ach”.) Z jakiegoś powodu odsłaniały nie tylko jej kostki, ale nawet łydki – potworność! Bluzka była równie obcisła i prześwitująca, z koronkowymi falbankami przy nadgarstkach – idiotyzm! – i z głębokim dekoltem, który sięgał aż do pępka. Guziki przy koszuli sugerowały, że można by ją zapiąć, ale nawet gdyby Kaldrosie udało się naciągnąć ten kawałątek materiału na swojej smukłej sylwetce – czego spróbowała – nie było dziurek.

Mama K była bardzo zadowolona z pracy pana Piccuna. Upierała się, że skąpe odzienie kusi bardziej niż nagość. Dzisiejszego wieczoru Kaldrosa nie miała nic przeciwko. Jeśli zostanie zmuszona do ucieczki, trudniej będzie ją złapać w tym kostiumie niż w sukience.

Wyszła do przedpokoju i wkrótce z innych pokojów wyszły pozostałe dziewczyny. Dzisiaj pracowały wszystkie z wyjątkiem Bev,

która za bardzo się bała. Udawała, że jest chora, i została na cały wieczór w swoim pokoju. Kaldrosa prawie spanikowała, gdy zobaczyła dziewczyny. Wszystkie wyglądały fantastycznie. Każda poświęciła więcej czasu niż zwykle na dopracowanie makijażu i stroju. Na włócznię Porusa. Khalidorczycy to zauważą. Muszą.

Jej współlokatorka – Daydra – która nie raz uratowała ją, wzywając mięśniaków, bo usłyszała, jak Kaldrosa wykrzykuje umówione hasło, uśmiechnęła się do niej.

– Raz kozie śmierć, co? – rzuciła.

Wyglądała jak nowa kobieta. Chociaż miała zaledwie siedemnaście lat, jeszcze przed najazdem odnosiła sukcesy jako prostytutka i dziś po raz kolejny Kaldrosa zobaczyła, dlaczego dziewczynie tak się powodziło. Daydra dosłownie promieniała. Nie obchodziło jej, czy umrze.

– Gotowa? – zapytała ją Kaldrosa, wiedząc, że to głupie pytanie. Ich piętro otworzy się dla klientów już za kilka minut.

– Tak gotowa, że powiedziałam wszystkim przyjaciółkom w pozostałych burdelach.

Kaldrosa zamarła.

– Oszalałaś? Przez ciebie nas zabiją!

– Nie słyszałaś? – spytała ją cicho Daydra.

– O czym?

– Bladawcy zabili Jarla.

Kaldrosie zaparło dech w piersi. Jeśli trzymała się jeszcze jakiejś nadziei na przyszłość, to tylko z powodu Jarla. Jarla i jego promiennej

twarzy, jego słów o wyrzuceniu Khalidorczyków i rozpoczęciu legalnej działalności, o budowie setki mostów przez Plith i zniesieniu wszystkich praw, które wiązały z zachodnią częścią miasta wszystkich urodzonych w Norach i w niewoli, byłych niewolników i ubogich. Jarl mówił o nowym ładzie, a kiedy mówił, wydawało się, że to jest możliwe. Czuła się silna jak nigdy wcześniej. Zyskała nadzieję.

A teraz Jarl nie żyje?

– Nie płacz – upomniała ją Daydra. – Rozmażesz sobie makijaż. I wszystkie zaczniemy płakać.

– Jesteś pewna?

– Całe miasto o tym mówi – wtrąciła się Shel.

– Widziałam twarz Mamy K. To prawda – odpowiedziała Daydra. – Więc naprawdę myślisz, że któraś z panienek doniesie na nas bladawcom? Po tym, jak zabili Jarla?

Ostatnie drzwi w korytarzyku otworzyły się i z pokoju wyszła Bev w stroju tancerki byków, z końskimi kucykami usztywnionymi drutami, żeby wyglądały jak rogi, odsłoniętym brzuchem, w krótkich spodniach. Nóż tancerki przy pasie nie wyglądał jak jej zwykłe, stępione ostrze. Bev była blada, ale zdecydowana.

– Jarl zawsze był dla mnie miły. Nie zamierzam więcej wysłuchiwać tej ich przeklętej modlitwy.

– Dla mnie też był dobry – odezwała się inna dziewczyna, przełykając łzy.

– Nie zaczynaj – ostrzegła ją Daydra. – Żadnych łez! Zrobimy to.

– Za Jarla – powiedziała inna.

– Za Jarla – powtórzyły pozostałe.

Odezwał się dzwonek, oznajmiając dziewczynom, że nadchodzą goście.

– Ja też powiedziałam paru dziewczynom – przyznała Shel. – Mam nadzieję, że to nie szkodzi. Jeśli idzie o mnie, to biorę Tłusty Tyłek. Zabił moją pierwszą współlokatorkę.

– Ja biorę Kherricka – odezwała się Jilean. Pod makijażem jej prawe oko nadal było napuchnięte i żółte.

– Mały Fiutek jest mój.

– A mój Neddard.

– Mnie jest obojętne, kogo dostanę – powiedziała Kaldrosa. Zacisnęła zęby tak mocno, że zabolała ją szczęka. – Ale biorę dwóch. Pierwszy za Tommana. Drugi za Jarla.

Pozostałe spojrzały na nią.

– Dwóch? – zapytała Daydra. – Jak zamierzasz załatwić dwóch?

– Zrobię co będzie trzeba. Biorę dwóch.

– Chrzanić to, ja też biorę dwóch, ale najpierw Tłusty Tyłek – oznajmiła Shel. – Na wszelki wypadek.

– Ja też – przyłączyła się Jilean. – A teraz zamknąć się. Zaczynamy.

Pierwszym mężczyzną, który wszedł na górę, był kapitan Burl Laghar. Serce Kaldrosy zamarło. Nie widziała go, odkąd przeniosła się do Tchórzliwego Smoka, żeby przed nim uciec. Stała jak zmrożona, dopóki się przed nią nie zatrzymał.

– No proszę, czy to nie moja mała piratka?

Nie była w stanie się poruszyć. Język stanął jej kołkiem. Burl dostrzegł jej strach i wypiął pierś.

– Widzisz? Wiedziałem, że jesteś dziwką, zanim sama zdałaś sobie z tego sprawę. Zauważyłem, że ci się podobało, kiedy cię rżnąłem na oczach męża. I proszę, gdzie cię znajduję. – Uśmiechnął się, żałując, że nie ma z nim jego pochlebców, żeby zaśmiali się mu do wtóru. – No więc, cieszysz się, że mnie widzisz?

W niewytłumaczalny sposób strach zniknął. Po prostu. Kaldrosa uśmiechnęła się szelmowsko.

– Czy się cieszę? – powiedziała, łapiąc go za przód spodni. – Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

I zaprowadziła go do swojego pokoju. Za Tommana. Za Jarla.

***

Tej nocy siwy kaleka wspiął się na dach rezydencji, która przez krótki czas należała do Rotha Ursuula, ale teraz roiło się w niej od setek Królików. Balansował o kuli w świetle księżyca i krzyczał w noc:

– Jarl, przybądź! Przybądź i patrz! Przybądź i słuchaj!

Kiedy Króliki zebrały się, żeby popatrzeć na szaleńca, znad Plith zerwał się wiatr. Łzy lśniące w jego oczach były jak gwiazdy. Generał zaczął recytować dytyramb o nienawiści i stracie. Śpiewał tren dla Jarla, lament za nadzieją na lepsze życie. Słowa wirowały na wietrze i niejeden Królik poczuł, że nie tylko wichry, ale i duchy

pomordowanych przybywały na dźwięk głosu generała, głosu wnoszącego się tonami zemsty.

Poniżony generał krzyczał i potrząsał kulą, wygrażając niebiosom, jakby były symbolem bezradności i rozpaczy każdego Królika. Wrzasnął dokładnie w chwili, gdy wichry ucichły.

Nory odpowiedziały. Podniósł się krzyk. Wrzask mężczyzny.

Jakby uwolniony tym dźwiękiem, ryknął wiatr. Błyskawica rozbłysła nad zamkiem wznoszącym się na północy i w świetle sylwetka generała zarysowała się czernią na tle nieba. Czarne chmury zakryły księżyc i lunął deszcz.

Króliki słyszały, jak generał się śmieje, płacze, prowokuje gromy i wymachuje kulą, jakby dyrygował dzikim chórem furii.

***

Wrzaski jak nigdy dotąd niosły się tej nocy z Tchórzliwego Smoka. Kobiety, które wcześniej nie chciały krzyczeć dla klientów, teraz wrzeszczały tak głośno, że nadrobiły swoje wcześniejsze milczenie. Te krzyki zagłuszały pomruki, jęki i ciche okrzyki umierających mężczyzn. Czterdziestu Khalidorczyków zginęło w samym Tchórzliwym Smoku.

Plan Mamy K dotyczył jednego burdelu; potem zamierzała przeszmuglować dziewczyny z miasta. Dzięki temu Khalidorczycy mieli się dwa razy zastanowić, zanim znowu pobiją jakąś pracującą dziewczynę. Jednakże plan pod wpływem wieści o śmierci Jarla

rozprzestrzenił się niczym pożar. Jeden z właścicieli burdeli wymyślił święto, żeby mieć pretekst do podawania mnóstwa piwa za grosze i spicia gości jak tylko się da. Nazwał je Nocta Hemata. Noc Namiętności, jak twierdził, uśmiechając się szeroko do swoich gości. Inny właściciel burdelu, który pracował z Jarlem od lat, potwierdził, że to stara cenaryjska tradycja. Noc Zatracenia, jak powiedział.

W całym mieście burdele zasilane nafaszerowanym narkotykami jedzeniem i nadmiarem alkoholu świętowały, urządzając orgie, jakich tu jeszcze nie widziano. Powietrze wypełniło się krzykami, wrzaskami i dzikim zawodzeniem. Okrzykami przerażenia, okrzykami zemsty, oszalałymi krzykami krwawej żądzy i spłacanych krwawych długów. Mężczyźni i kobiety, i nawet mali mężczyźni i małe kobiety w ciałach dzieci, które były szczurami gildyjnymi, zabijali z okrucieństwem zbyt wielkim, żeby je z czymś porównać. Osieroceni mężczyźni, kobiety i dzieci stali nad zakrwawionymi trupami Khalidorczyków i wzywali duchy swoich zmarłych ukochanych, żeby zobaczyli, jak ich pomścili, wzywali Jarla, żeby zobaczył, jaką karę wymierzyli wrogowi. Psy wyły, a konie panikowały od zapachu krwi, potu, strachu i bólu. Na ulice wylały się tłumy ludzi biegnących we wszystkie strony. Było za dużo krwi, żeby zmyły je nawet potoki deszczu. Rynsztoki spłynęły szkarłatem.

Kiedy zjawili się żołnierze, zobaczyli drzwi burdeli ozdobione dziesiątkami małych trofeów, po jednym od każdego gwałciciela. Ale nie licząc ciał, wszystkie burdele były puste. Wczesnym rankiem gangi pokrzywdzonych mężów i kochanków rozszarpały na strzępy

otumanionych Khalidorczyków, którzy uciekli z burdeli i błąkali się, szukając drogi wyjścia z Nor. Nawet posłane na zwiad w pełni uzbrojone i trzeźwe oddziały wpadały w zasadzki. Z dachów spadały lawiny kamieni, łucznicy wybijali żołnierzy, nie dopuszczając do walki wręcz. Za każdym razem, gdy któryś z Khalidorczyków szarżował, Króliki, które miesiącami uczyły się znikać, powtarzały tę sztuczkę. Zupełnie jakby walczyli z duchami. A każdy wąski, kręty zaułek stanowił doskonałe miejsce na zasadzkę. Khalidorczycy, którzy weszli do Nor, nigdy z nich nie wyszli.

Tej nocy Król-Bóg stracił sześciuset dwudziestu jeden żołnierzy, siedemdziesięciu czterech oficerów, trzech właścicieli burdeli, którzy byli jego informatorami, i dwóch czarowników. Króliki nie straciły nawet jeden duszy.

Od tamtego czasu już zawsze obie strony nazywały tę noc Nocta Hemata. Noc Krwi.

***

Logan się obudził. Nie poruszył się. Pozwolił po prostu docierać temu faktowi do świadomości, by nabrać przekonania, że to prawda. Żył. Jakimś cudem przetrwał okres, kiedy był nieprzytomny i w delirium. Tutaj.

Pamiętał strzępy ryków stojącego nad nim Zgrzytacza. I Lilly, kładącą mu na czole wilgotną szmatę. Pomiędzy tymi urywkami, niczym ropa w gnijącej ranie, wzbierały koszmary, jaskrawe potwory

z utraconego życia, umarłe kobiety i chełpliwe, upiorne twarze Khalidorczyków.

Kiedy się poruszył, zorientował się, że jeszcze nie doszedł do siebie. Był słaby jak kocię. Otworzył oczy i spróbował usiąść. Na Dnie rozległy się pomruki. Wyglądało na to, że pozostali byli równie zaskoczeni, jak on. Ludzie, którzy chorowali tu na dole, nigdy nie przeżywali.

Mocna dłoń złapała go i pociągnęła do pozycji siedzącej. To był Zgrzytacz, szczerzący zęby w uśmiechu idioty. Chwilę potem klęczał i tulił Logana, wyciskając mu dech z piersi.

– Spokojnie, Zgrzytacz – powiedziała Lilly. – Puść go.

Logan zdziwił się, kiedy Zgrzytacz rzeczywiście natychmiast go puścił. Zgrzytacz nie słuchał nikogo poza Loganem. Lilly uśmiechnęła się do niego.

– Dobrze wiedzieć, że do nas wróciłeś.

– Widzę, że znalazłaś sobie nowego przyjaciela – odpowiedział, czując zazdrość, i ogarnęło go z tego powodu poczucie winy.

– Szkoda, że go nie widziałeś, Królu. – Lilly zniżyła głos. – Był rewelacyjny. – Posłała mu szczerbaty uśmiech i pogłaskała Zgrzytacza po poobijanym łbie. Zamknął oczy, odsłaniając spiłowane ostro zęby w szerokim uśmiechu. – Dobrze się sprawiłeś, co, Zgrzytacz?

– Tttak – odpowiedział, głosem dziwnie wznoszącym się w połowie słowa.

Logan omal nie upadł. Po raz pierwszy usłyszał, jak Zgrzytacz mówi.

– Potrafisz mówić? Zgrzytacz się uśmiechnął.

– Ej, kurwo! – zawołał z drugiego końca Dna Piątak. Rozwinął większość liny ze ścięgien i właśnie dodawał do niej świeżo upleciony kawałek. Logan zauważył, że zostało tylko siedem Mętów. – Czas, żebyś wróciła do roboty.

– Poczekasz, aż będę gotowa i chętna – odpowiedziała Lilly. – Nie dałam żadnemu, odkąd zachorowałeś – wytłumaczyła Loganowi.

– Co to za dźwięk? – zapytał Logan.

W pierwszej chwili go nie zauważył, bo trwał bez przerw, ale było słychać coś, co przypominało odgłosy ciosania, i niski pomruk, rozlegające się echem na Dnie i dobiegające z głębi Paszczy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Logan wyczuł zmianę w powietrzu. Męty popatrzyły po sobie, ale ich twarze pozostały bez wyrazu. Coś się zmieniło, ale nikt nie wiedział co.

Logan poczuł się słabszy i bardziej chory. Powietrze wydawało się gęstsze niż wcześniej, przytłaczające. Znowu uświadomił sobie smród i ohydę Dna – poczuł to po raz pierwszy od miesięcy. Miał wrażenie, jakby pierwszy raz dostrzegł szlam pokrywający powierzchnię życia. Sam był unurzany w brudzie i nie miał drogi ucieczki. Każdy oddech wypełniał go trucizną, każdy ruch jeszcze bardziej brukał jego ciało, wcierał szlam głębiej w pory skóry. Już sam fakt istnienia oznaczał pozwolenie na to, żeby brud wciskał się w niego, żeby ciemność wbijała się w jego ciało tak głęboko, że pokrywała go jak tatuaż, sprawiając, że ohyda stawała się na zawsze częścią jego osoby i każdy, kto go zobaczy, dostrzeże każde zło, które

kiedykolwiek popełnił, każdą niegodną myśl, którą się zabawiał.

Ledwo zauważył stukot rozlegający się w Paszczy. Więźniowie krzyczeli, błagając o litość. Wrzaski rozprzestrzeniały się i wznosiły, coraz więcej było w nich desperacji, w miarę jak więźniowie coraz bliżej i bliżej Dna dołączali się do krzyków. Wśród piskliwych jęków Logan usłyszał znowu ten stukot, jakby na skale obracały się ze zgrzytem żelazne koła.

Na Dnie zatwardziali mordercy zwijali się w pozycji płodowej, zakrywając uszy rękami i przyciskając się do ściany. Tylko Tenser i Piątak się nie kryli. Piątak wyglądał na zachwyconego; lina leżała na jego kolanach, a on uniósł głowę. Tenser zauważył, że Logan na niego patrzy.

– Khali przybyła – powiedział.

– Co to jest? – zapytał Logan.

Ledwo mógł się ruszyć. Chciał się rzucić w przepaść, żeby skończyć z przerażeniem i rozpaczą.

– To bogini. Skała tutaj jest przesiąknięta tysiącem lat bólu, nienawiści i rozpaczy. Cała Paszcza jest niczym klejnot zła i tu właśnie Khali stworzy sobie dom, w najczarniejszych głębinach mroku. – A potem zaczął nucić w kółko: – *Khali vas, Khalivos ras en me, Khali mevirtu rapt, recu virtum defite.*

Siedzący obok Tensera Dziara chwycił go.

– Co ty mówisz?! Przestań!

Złapał Khalidorczyka za gardło i zaciągnął do skraju dziury.

Natychmiast czarne sieci wyskoczyły z rąk Tensera i Dziara

wybałuszył oczy. Dławił się. Poruszał ustami i z jego gardła dobywało się ciche charczenie. Zatoczył się, puszczając Tensera, i padł na kolana. Miał czerwoną twarz, żyły wystąpiły mu na szyi i czole i walczył o oddech.

A potem padł na ziemię, łapiąc powietrze haustami.

Tenser się uśmiechnął.

– Ty wytatuowana wielka dupo, nikt nie będzie tykał cesarskiego księcia.

– Co? – Dziewięciopalcy Nick zapytał w imieniu wszystkich.

– Jestem Ursuul i mój czas wśród was się skończył. Khali przybyła i obawiam się, że będzie potrzebowała was wszystkich. To jest nasza modlitwa: *Khali vas, Khalivos ras en me, Khali mevirtu rapt, recu virtum defite.* „Khali przyjdź. Khali zamieszkaj we mnie. Khali przyjmij moją ofiarę, oto siła tych, którzy ci się sprzeciwiają.” Dzisiaj odpowiedziała na tę modlitwę. Khali zamieszkała na Dnie. Będziecie żyć w jej świętej obecności. To wielki zaszczyt, chociaż muszę przyznać, że nikt o niego nie zabiega.

Z góry dobiegł Logana dźwięk, który mógł tylko oznaczać, że koła wozu dotarły na trzeci poziom Paszczy.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał Nick.

– To nie twoje zmartwienie, ale to dzięki mnie nadal się tu znajdujemy.

Tenser się uśmiechał, jakby to była najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przydarzyła.

– Co? – zapytał Nick.

– Ty łajdaku – odezwała się Lilly. – To ty sprawiłeś, że klucz nie pasował do zamka. To ty wytrąciłeś go z mojej dłoni. Ty wezwałeś Gorkhy'ego, ty skurwysynu!

– Tak, tak, tak! – Tenser się zaśmiał.

Uniósł rękę i buchnęło z niej czerwone światło. Męty zrobiły krok w tył, kuląc się i mrugając, bo nie widzieli światła od miesięcy. Czerwone światło popłynęło przez pręty wysoko ku górze.

W korytarzu ktoś krzyknął, widząc światło.

Za plecami Tensera Piątak podniósł zwój liny.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział Khalidorczyk. Wyszczerzył upiornie zęby. – Poza tym, obecność Khali nie oznacza śmierci dla was wszystkich. Ty, Piątak, możesz doskonale się sprawdzić u niej na służbie. Reszta najlepiej zrobi, biorąc z niego przykład.

Stary człowiek, szurając nogami, podszedł do Dna i pojawił się nad prętami. Krata otworzyła się i Logan rozpoznał Nepha Dadę. Zanim Vürdmeister go zobaczył, Logan skrył się w swojej maleńkiej niszy.

Tenser poszybował delikatnie w powietrze, gdy uniosła go magia Vürdmeistera. Przez całą drogą się śmiał.

Krata zamknęła się z hukiem i Logan wyjrzał z niszy. Oślepiło go czerwone światło, przyszpilając w miejscu.

– Och, i nie myśl, że zapomniałem o tobie, Królu – powiedział Tenser Ursuul. – Nie mogę się doczekać, kiedy powiem ojcu, że znalazłem Logana Gyre kryjącego się w najczarniejszych głębinach jego własnych lochów. Będzie zachwycony.

48

Garoth Ursuul nie ucieszył się na widok infanta. Nie wezwał Tensera. A mimo wszelkich środków ostrożności, jakie przedsięwziął Neph Dada – sprowadził Tensera do prywatnych komnat Garotha i wyrwał za pomocą magii języki wszystkim służącym, których minęli, żeby nie mogli opowiadać, co widzieli – w tym zamku nadal było za dużo ciekawskich oczu. To było zbyt prawdopodobne, że ktoś zobaczył idącego Tensera. I z pewnością więźniowie z Paszczy widzieli, jak wychodził.

Według oceny Garotha istniało nawet ryzyko, że Tenser w ogóle przestał już być użyteczny. Garoth nie lubił, gdy jego potomkowie pozwalali sobie na zbyt wiele. Nikt nie podejmował decyzji za Króla-Boga.

Tenser dostrzegł niezadowolenie na twarzy Garotha i pospiesznie dokończył historię.

– My-myślałem, że Logan byłby idealną ofiarą dla Khali, święć się jej imię, kiedy zajmie swój nowy dom – powiedział Tenser drżącym głosem. – I uznałem, że do tej pory barona Kirofa na pewno już schwytano...

– Uznałeś, tak? – zapytał Garoth.

– A nie schwytano go?

– Baron Kirof spadł w górską przepaść, kiedy próbował uciekać – odpowiedział Neph. – Jego ciała nie da się odzyskać.

Tenser poruszał ustami jak ryba, próbując przełknąć tę wieść.

– Wyrok orzekający twoją winę będzie musiał zostać – oznajmił Garoth. – Ale to nieistotne. Ci Cenaryjczycy i tak nie docenili mojego miłosierdzia. Będą lekcją przed przyszłymi podbojami. Twoja użyteczność, chłopcze, dobiega kresu. Cenaryjczycy nie zostali spacyfikowani. Nie wypełniłeś *uurdthan.*

– Wasza Świątobliwość – powiedział Tenser, padając na kolana. – Proszę. Zrobię wszystko. Użyj mnie, jak zechcesz. Będę ci służył całym sercem. Przysięgam. Zrobię wszystko.

– Tak – powiedział Garoth. – Zrobisz.

Tenser nie był nikim specjalnym. Po prostu przetrwał szkolenie, i to z trudem. Niestety, nie miał ducha swojego ojca. Nigdy nie będzie miał. I nigdy nie będzie jego dziedzicem. Tenser tego nie wiedział. Co ważniejsze, Moburu też nie.

– Neph, gdzie jest dziewicza królowa?

– Wasza Świątobliwość – powiedział pomarszczony Vürdmeister – oczekuje zaszczytu twojej obecności w wieży północnej.

– A, tak.

Garoth wcale nie zapomniał, ale nie chciał, żeby Neph się zorientował, jak bardzo ta dziewczyna go zaintrygowała.

– Mogę natychmiast po nią posłać, jeśli złożenie z niej ofiary sprawi ci radość, panie – zaproponował Neph.

– Taka para byłaby stosowną ofiarą dla Khali, kiedy zajmie swój nowy *ras,* prawda? – zapytał Garoth.

Ale nie oddałby Jenine i potrzebował Tensera, żeby odciągnął uwagę Moburu.

– Mój potomku, mam... wielkie nadzieje co do ciebie – powiedział. – Śmierć barona Kirofa to nie twoja wina, więc z przyjemnością dam ci drugą szansę. Idź i doprowadź się do porządku, żebyś wyglądał jak mój syn, a potem przyprowadź tego Logana Gyre. Nie dam mu znowu uciec mi sprzed nosa. Niebawem wyznaczę ci nowe *uurdthan.*

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Tenserem, Garoth odwrócił się do Vürdmeistera Dady.

– Zabierz go do Paszczy i niech zacznie budować umora obok umora brata. Pomóż mu i chwal jego pracę przy Moburu. Zrób go w takim stopniu sam, w jakim będziesz musiał. Teraz wpuść Hu Szubienicznika.

***

– Nie jestem pewna, jak to zadziała – powiedziała siostra Ariel. W zagajniku panowała już całkowita ciemność, nie licząc światła jej magii. – Jeśli dobrze widziałam, taką formę magii powinieneś wchłonąć ze szczególną łatwością. Po prostu weź, ile dasz radę.

– A potem co?

– Potem biegniesz.

– Biegnę? To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. – „Mówisz, kiedy powinieneś słuchać”, rozległ się głos Wilka w jego głowie. Zazgrzytał zębami.– Przepraszam. Powiedz mi więcej.

– Nie zmęczysz się... jak sądzę. Za swoją magię zapłacisz normalnie, ale to, co weźmiesz ode mnie, będzie cię kosztowało znacznie mniej – tłumaczyła siostra Ariel. – Jestem gotowa, a ty?

Kylar wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, czuł się więcej niż gotowy. Oczy go mrowiły w taki sposób, jak za pierwszym razem, kiedy związał ka'kari. Znowu je potarł.

Staję się coraz potężniejszy. Ta myśl była jak objawienie. Uczył się lepiej panować nad Talentem w czasie treningu na dachach, ale to było coś innego. A on już to kiedyś czuł.

Czuł to za każdym razem, gdy umierał. Za każdym razem, gdy umierał, Talent się rozszerzał i coś zmieniało się też w jego wzroku. Ta myśl powinna być upajająca. Zamiast tego jednak poczuł zimne palce przerażenia muskające jego nagie plecy.

Musi być cena. Musi. Oczywiście, już zapłacił, tracąc Elene. Ta myśl na nowo ożywiła ból. Może ceną byli właśnie ludzie.

Wilk mówił o tym, że Durzo popełnił jeszcze gorsze bluźnierstwo niż wzięcie pieniędzy za śmierć. Popełnił samobójstwo? Tak.

Kylar był tego pewien. Zrobił to z ciekawości? Z pragnienia mocy? A może czuł się w pułapce? Samobójstwo było niemożliwe.

Dla człowieka tak nieszczęśliwego, tak samotnego, tak wyizolowanego jak Durzo przykucie do życia z pewnością było wstrętne. Och, mistrzu, tak mi przykro. Nie rozumiałem.

I tak po prostu krwawiąca rana, którą była śmierć Durzo, znowu się otworzyła. Czas niewiele pomógł Kylarowi w leczeniu ran. Nawet świadomość, że uwolnił Durzo od życia, którego tamten nie chciał, nie

stanowiła pociechy. Kylar zamordował legendę, zamordował człowieka, który dał mu wszystko, i w dodatku zrobił to z nienawiścią w sercu. Nawet jeśli Durzo myślał o tym jak o ofierze, Kylar nie zabił go z litości. Zabił go z czystej zemsty. Pamiętał słodką żółć gniewu i nienawiści za każdą próbę, na którą Durzo go wystawił; przesiąknął tą żółcią, dzięki niej pozostał silny, kiedy mimo ran trzymał się sufitu w tamtym tunelu przy kominach.

Teraz Durzo naprawdę nie żył, uwolniony z więzienia własnego ciała. Ale pozostały samotność, ból i poczucie niesprawiedliwości. Nagrodą Durzo za siedemset lat izolacji i służby, oddania dla sprawy, której nie rozumiał, nie powinna być śmierć. To powinno być ujawnienie sensu sprawy. To powinno być połączenie i zjednoczenie współmierne do siedmiuset lat izolacji. Kylar dopiero zaczynał rozumieć mistrza i teraz chciał wszystko naprawić; już nie było Durzo, któremu można by cokolwiek wynagrodzić. Wycięto go z gobelinu życia Kylara, pozostawiając brzydką dziurę, której nic nie może wypełnić.

– Nie dam rady długo utrzymać całego swojego Talentu, Kylarze – powiedziała siostra Ariel. Na czoło wystąpiły jej krople potu.

– Och, oczywiście.

Krąg skoncentrowanego światła płonął w dłoniach siostry Ariel. Kylar zanurzył w nim ręce, siłą woli kierując moc ku sobie. Nic się nie stało.

Przywołał ka'kari na skórę dłoni. Nadal nic się nie działo. Własna nieudolność wprawiła go w zażenowanie.

– Po prostu pozwól, żeby to się stało – podpowiadała siostra.

„Pozwól, żeby się stało”. Te słowa go wkurzyły. Zwykłe chrzanienie, mające mądrze brzmieć, powtarzane przez nauczycieli. Twoje ciało wie, co robić. Za dużo myślisz. Jasne.

– Odwrócisz na chwilę wzrok? – poprosił.

– W żadnym razie.

Robił już to wcześniej, nosząc ka'kari jak drugą skórę. Wiedział, że to się da zrobić.

– Nie wytrzymam już długo – ostrzegła go siostra Ariel.

Kylar ukształtował ka'kari w kulę na ręce i obrócił dłoń nad kręgiem magii w rękach siostry; pomyślał, że zrobił to wystarczająco szybko, żeby niczego nie zauważyła. No już, proszę, zadziałaj!

„Skoro tak ładnie prosisz...”.

Kylar zamrugał zaskoczony. A potem zebrana magia zgasła jak świeca na wietrze. Kylar miał tylko chwilę, żeby się zaniepokoić, bo to uczucie prawie natychmiast zostało wymazane. W miejscu, gdzie metaliczna kula dotykała jego dłoni, Kylar poczuł, jakby trzymał błyskawicę. Stracił panowanie nad ciałem, gdy skrzenie przebiegło przezeń, zmuszając go do zamarcia w bezruchu, ignorując jego pragnienie odsunięcia się – odsuń się, odsuń się! – zanim się upiecze.

Siostra Ariel cofała się, ale ka'kari rozciągnęło się między nimi, zasysając magię jak pijawka ssąca krew.

Kylar czuł, jak się napełnia, jaśnieje magią, mocą, światłem i życiem. Widział żyły w swojej dłoni, żyłki w nielicznych liściach nad głową. Widział życie wijące się i wiercące wszędzie w lesie. Poprzez

trawy zaglądał do lisiej jamy, poprzez korę jodły zaglądał do gniazda dzięcioła. Czuł pocałunki gwiazd na skórze. Wyczuwał zapach setki różnych ludzi z obozu rebeliantów, mówiący mu, co jedli, ile pracowali, kto z nich jest zdrowy, a kto chory. Słyszał tyle, że to aż przytłaczało, ledwo był w stanie rozdzielać różne pasma. Wiatr sprawiał, że liście dzwoniły o siebie jak cymbały i rozlegał się ryk oddechów dwóch – nie, trzech – dużych zwierząt: jego, siostry Ariel i jeszcze kogoś. Same liście oddychały. Słyszał bicie serca sowy i grzmot... kolana uderzającego o ziemię.

– Przestań! Przestań! – krzyczała siostra Ariel.

Padła na ziemię, a magia nadal z niej wypływała.

Kylar szarpnął ka'kari do siebie i wciągnął je w ciało.

Siostra Ariel upadła, ale on nawet jej nie zauważył. Światło – magia – życie – promieniało, krwawiło, wybuchało każdym porem jego ciała. Było go za dużo. Aż bolało. Każdy skurcz serca jeszcze bardziej napełniał jego tętnice mocą. Jego ciało było za małe.

– IIIIDŹ – powiedziała siostra Ariel.

Mówiła śmiesznie wolno. Czekał, podczas gdy jej usta poruszały się i szept rozbrzmiewał gromem.

– RAAAT...

Ratuj? Co? Dlaczego po prostu nie powie? Dlaczego wszystko jest takie powolne, bez końca, nieznośnie rozwlekłe? Ledwo był w stanie utrzymać bezruch. W głowie mu dudniło. Druga komora serca zacisnęła mu się, gdy czekał i czekał.

– TUUJ...

Ratuj króla, dokończył zniecierpliwiony. Musiał ratować króla. Musiał ratować Logana.

Zanim siostra Ariel odezwała się znowu, Kylar już biegł.

Biegł? Nie, bieg to zbyt powolne określenie. Poruszał się dwa razy szybciej niż najszybszy człowiek. Trzy razy.

To była czysta radość. Czysty moment, bo nie istniało nic poza chwilą. Uskakiwał i robił uniki, patrzył przed siebie tak daleko, jak pozwalały mu jaśniejące oczy.

Poruszał się tak szybko, że powietrze zaczynało stawiać mu opór. Stopy nie miały wystarczającego tarcia, żeby mógł szybciej się odpychać. Groziło mu, że oderwie się od ziemi.

Zobaczył przed sobą obozowisko, dokładnie pośrodku ścieżki. Skoczył i przeleciał sto kroków. Dwieście.

Leciał prosto na drzewo.

Rzucił ka'kari przed siebie i szarpnął się, kiedy przebił się przez szeroki na trzy stopy pień. Drzewo wybuchło, sypiąc drzazgami we wszystkich strony, ale on biegł dalej. Słyszał za sobą trzask drzewa, które się przewracało, ale znajdował się już za daleko, żeby usłyszeć, jak uderza o ziemię.

Zatem biegł. Wysunął ka'kari przed siebie, żeby cięło powietrze, i za siebie, żeby dociskało mu stopy do ziemi, tym samym pozwalając mu biec jeszcze szybciej.

Noc zbladła, a on biegł. Słońce wstało, a on nadal biegł – żarłok pożerający mile.

***

Siostra Ariel doczołgała się do drzewa, gdzie związała Uly. Zabrało jej to dłuższą chwilę, ale musiała. Nie była pewna, czy, jeśli zaśnie, w ogóle się obudzi. W końcu dotarła do Uly. Dziewczynka nie spała, oczy miała czerwone, a policzki mokre od łez. Zatem wiedziała, że Kylar się przebudził, że siostra Ariel ukryła ją i zdradziła.

Ariel nie miała nic do powiedzenia. Zresztą żadna z nich już nic nie mogła zrobić. Siostra Ariel wypuściła Vi i Kylara jak bliźniaczą parę sokołów myśliwskich. Teraz już nic ich nie zawróci. Jeśli Uly nadal tu będzie, kiedy Ariel się obudzi, zabierze dziewczynkę do Oratorium. To będzie długa podróż i może Ariel będzie miała czas przemyśleć to, co właśnie przeżyła.

Na wszystkich bogów, ten chłopiec wyssał ją do sucha i miał miejsce na więcej! Ją! Jedną z najpotężniejszych kobiet w Oratorium! Był taki młody, taki beztroski i przerażający.

Potrzebowała całej siły woli, żeby uwolnić Uly. Dotykanie magii teraz było jak picie alkoholu na kacu. Ale po chwili, gdy tylko zrobiła swoje, padła.

49

Z jakiegoś powodu Logan wierzył, że jest w nim coś specjalnego. Odebrano mu wszystko. Odebrano mu przyjaciół, odebrano żonę, odebrano nadzieję, odebrano wolność, odebrano godność osobistą, odebrano naiwność. Ale oszczędzono mu życie.

Teraz i to mu odbiorą. Król-Bóg nie zostawi go tu na dole. Logan już raz umarł i został wskrzeszony. Tym razem Garoth Ursuul będzie chciał widzieć na własne oczy, jak Logan umiera. Bez wątpienia wcześniej będą tortury, ale Logan się tym nie przejmował.

Gdyby był silniejszy, spróbowałby jeszcze jednego, ostatniego, desperackiego planu, ale gorączka sprawiła, że została z niego tylko skorupa. Mógł przynajmniej zaryzykować własne życie, żeby zabić Piątaka. Mógł to zrobić – przed gorączką. Nie chciał się jednak poświęcać, dopóki istniała nadzieja. Zawsze chciał ocalić życie, a teraz je stracił i niczego nie zyskał. Nawet dla swoich przyjaciół.

Logan rozmyślał w ciemnościach. Na szczęście, czymkolwiek była Khali, odsunęła się i dławiące wrażenie, które teraz przesycało Paszczę, było tylko tępym naciskiem. Wszystko, co wydawało się takie nieznośne na Dnie – smród, upał, wycie – znowu było znajome, jeśli nie wręcz bliskie.

– Suko, chodź no tutaj – powiedział Piątak.

Lilly wstała i poklepała Logana po ramieniu. Szepnęła coś do Zgrzytacza, pewnie powiedziała mu, żeby pilnował Króla, a potem poszła.

Oczywiście, że poszła. Nawet nie miał do niej pretensji, chociaż przez to poczuł się jeszcze bardziej pusty i samotny. Lilly musiała być praktyczna. Sentymentalność ze wszystkich książek, które kiedyś Logan uwielbiał, umarła w nim, gdy zbliżył się do Dna na odległość smrodu. Lilly była z tych, co przetrwali. Logan umrze w ciągu godziny lub dwóch. Życie nadal będzie trwało. Serce Logana mogło ją winić, ale umysł nie. W każdych innych okolicznościach potępiłby siebie za jedzenie ludzkiego mięsa.

A potem Zgrzytacz wstał i odszedł.

Aż tak bardzo cuchnę śmiercią? To nie było w porządku winić Zgrzytacza, nie winiąc Lilly, ale Logan właśnie tak czuł. Nagle znienawidził tego prostego, kalekiego człowieka. Jak mógł odejść? Po tym, jak wszystko stracił, Logan chciał przynajmniej wierzyć, że zyskał przyjaciela albo dwoje.

Zgrzytacz pewnie nawet nie wiedział, że Logan umrze. Poszedł po prostu pobawić się końcem liny Piątaka – Piątak był zbyt zajęty posuwaniem Lilly, żeby zwrócić na niego uwagę. Logan spojrzał na Zgrzytacza i spróbował popatrzeć na niego z litością. Z pewnością znalazł się tu z mniej ważnych powodów niż Logan. Nie zdradził Logana, po prostu zobaczył okazję, żeby pobawić się czymś nowym. Piątak nigdy nie dawał nikomu tknąć liny.

Logan uśmiechnął się, widząc, że Zgrzytacz siada i łapie linę w obie dłonie, ściskając ją najmocniej, jak potrafił, z maksymalnym skupieniem, jakby mogła mu uciec. Ten człowiek naprawdę żył w innym świecie.

Logan zauważył, że pozostałe Męty gapią się na niego. Wiedział, co sobie myślą. Król. Nazwał siebie Królem w ramach ponurego żartu, gdy tu wskoczył – głupiego, szalonego żartu, ale też żartu mężczyzny, który właśnie patrzył, jak jego żona wykrwawiła się na śmierć. Potrzebowali trochę czasu, żeby dotarło do nich, że to prawda.

Dziara wstał i po chwili przykucnął obok Logana. Pod brudem, który pokrywał jego skórę, ciemne tatuaże wyglądały jak vir. Oblizał dziąsła i splunął krwią. Szkorbut dopadł i jego.

– Podobałoby mi się to – powiedział Dziara. Logan dopiero trzeci raz usłyszał, jak Lodricarczyk mówił. – Gdybyś był królem. Masz jaja jak żaden monarcha, o którym słyszałem.

– Jaja! – Piątak przestał kopulować, oparł się na rękach i zaśmiał. Wyglądał makabrycznie, spocony i brudny, z zakrwawionymi ustami, z liną ze ścięgien częściowo rozwiniętą, a częściowo nadal owiniętą wokół jego nagiego ciała. – Już niedługo ktoś inny będzie miał jego jaja.

Logan odwrócił wzrok, nadal zakłopotany widokiem Lilly robiącej to, co musiała, żeby przetrwać, więc prawie wszystko przegapił. Lilly pchnęła, a Piątak krzyknął i Logan zobaczył go na skraju dziury, desperacko łapiącego równowagę, wyciągającego ręce.

I wtedy Lilly kopnęła, go w krocze z całej siły. Piątak wpadł do dziury.

Lilly rzuciła się w bok, odsuwając od zwojów liny, które gwałtownie napięły się pod nią. Przywiązane do Piątaka kolejne zwoje sznura znikały w przepaści.

Sznur szarpnął Zgrzytaczem, który całym ciężarem poleciał do przodu. Lina ze ścięgien szarpała nim raz za razem, w miarę jak na przemian zatrzymywała Piątaka i odwijała się z jego ciała, aż wreszcie pod wpływem grawitacji zaczęła się rozwijać z ogromną szybkością.

Wreszcie ciało Piątaka musiało uderzyć o dno, bo lina zwiotczała.

Lilly krzyknęła, objęła Zgrzytacza i ucałowała go.

– Spisałeś się znakomicie! Po prostu doskonale! – Odwróciła się do Logana. – Ty z kolei mogłeś być trochę bardziej pomocny.

Logan oniemiał. Próbował wymyślić, jak zabić Piątaka od... cóż, odkąd tylko znalazł się w tym piekle. A teraz zniknął. Zniknął, a Logan nawet nie kiwnął palcem.

– Teraz posłuchajcie mnie – powiedziała Lilly. – Wy wszyscy. Jesteśmy udupieni. Zawsze byliśmy. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy i żadne z nas nie jest godne zaufania. Ale Król nie jest jednym z nas. Możemy mu zaufać. Mamy raptem pół szansy i żeby mieć choćby tyle, potrzebni jesteśmy my wszyscy.

– O co właściwie prosisz? – zapytał Dziewięciopalcy Nick.

– Mieliśmy klucz. Teraz mamy linę Piątaka. Ale nie mamy czasu. Mówię: opuśćmy Króla i Zgrzytacza do dziury. Króla, ponieważ możemy mu zaufać i widział, gdzie upadł klucz, a Zgrzytacza, bo tylko on jest wystarczająco silny, żeby wspiąć się z powrotem po linie, jeśli będzie musiał. Zejdą na dół, rozejrzą się, sprawdzą, czy znajdą stamtąd drogę wyjścia albo klucz. Tak czy inaczej, może zyskamy szansę na ucieczkę stąd, zanim wrócą bladawcy.

– Dlaczego nie zejdziemy na dół wszyscy? – zapytał Nick.

– Bo wszyscy musimy trzymać linę, ćwoku. Nie ma tu jej gdzie przywiązać.

– Moglibyśmy przywiązać ją do kraty – zasugerował Nick.

– Do drugiego końca nadal przywiązane jest ciało Piątaka. Musielibyśmy zbudować wieżę z trzech osób, a potem unieść ciężar Piątaka. To niemożliwe. Kiedy Król zejdzie i odwiąże Piątaka, będziemy mogli to zrobić. I wtedy wszyscy będziemy mogli się wydostać. Albo jeśli nie ma wyjścia dołem, to może znajdzie się klucz i damy radę wymknąć się górą.

– Będziemy musieli przejść obok tego... czegoś – powiedział ze strachem Nick.

– Nikt nie mówił, że mamy duże szanse – odpowiedziała Lilly. – Jeśli wolisz zostać, to na pewno umrzesz.

Dziara pokiwał głową. On w to wchodził.

– Nadal mówię, żeby spuścić kogoś innego – upierał się Nick.

– Ja zdobyłam linę – odpowiedziała Lilly. – Zrobimy to po mojemu albo w ogóle.

– Daj spokój, Lilly...

– Zaufałbyś nam, że utrzymamy linę z tobą, Nick? Puścimy ją i zgarniemy twój przydział jedzenia.

To zamknęło usta Nickowi.

– Możesz nam zaufać, Królu? – zapytał Dziara.

– Ufam wam.

Nie mam już nic do stracenia.

Potrzebowali kilku minut, żeby wyjaśnić plan Zgrzytaczowi, i

nawet potem Logan nie był pewien, czy mężczyzna zrozumiał. Ustawili resztę Mętów przy linie. Lilly stała pierwsza. Powiedziała Mętom, że nawet jeśli oni puszczą, ona będzie trzymać. Jeśli nie chcą stracić jej usług seksualnych, to lepiej niech nie puszczają.

– Zawdzięczam ci wszystko – powiedział jej Logan.

O Lilly można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest piękną kobietą, jednak w tej chwili wyglądała promiennie. Po raz pierwszy, odkąd Logan ją zobaczył, była z siebie dumna.

– Nie, to ja jestem twoją dłużniczką, Królu. Kiedy zszedłeś tu na dół, powiedziałam ci, żebyś chwycił się czegoś dobrego, ale to ty mi pokazałeś, jak to zrobić. Jestem czymś więcej niż to, niezależnie od tego, co zrobiłam. Jeśli teraz umrę, to nie ma znaczenia. Nie jestem dobra, ale ty tak, a ja tobie pomagam. Nikt mi tego nie odbierze. Obiecaj mi tylko, Królu, że kiedy już wszystko odzyskasz i będziesz chodził na swoje eleganckie przyjęcia, to nie zapomnisz. Jesteś też naszym królem, przestępców.

– Nie zapomnę. – Podszedł do krawędzi dziury. – Lilly, jak się naprawdę nazywasz?

Zawahała się, jakby zapomniała, a potem odpowiedziała nieśmiało:

– Lilene. Lilene Rauzana. Wyprostował się i oznajmił:

– Z mocy powierzonej naszej osobie i naszemu królewskiemu urzędowi, ogłaszamy, że Lilene Rauzana jest oczyszczona ze wszystkich przestępstw, jakie popełniła do tej pory, i że wobec tego wszystkie kary zostają złagodzone. Lilene Rauzana jest niewinna w

naszych oczach. Niech zapis jej przewin zostanie zabrany tak daleko, jak daleko leży wschód od zachodu. Niech tak zostanie zapisane i niech się tak stanie.

To były idiotyczne słowa w ustach mężczyzny w szmatach, który przemawiał do prostytutki. Jednakże z jakiegoś powodu wydawały się na miejscu. Logan nigdy wcześniej nie miał większej mocy niż w tej chwili – miał moc uleczania. Nawet Męty nie wykpiły tego.

Oczy Lilly wypełniły się łzami.

– Nie wiesz, co zrobiłam.

– Nie muszę.

– Chcę to wynagrodzić. Nie chcę być taka, jaka byłam...

– Więc nie bądź. Od tej chwili jesteś niewinna. I to powiedziawszy, Logan zszedł do przepaści.

50

Okazało się, że siostra Ariel Wyant Safastae zatrzymała się w Zakolu Torras na kilka tygodni i wieśniacy bardzo dobrze ją znali. Niewielu dobrze się czuło w jej towarzystwie, uważali ją jednak za uczoną, roztargnioną i miłą. Ten opis sprawił Elene ogromną ulgę. Oznaczał, że w liście prawdopodobnie napisano prawdę.

Teraz został jej problem: jechać na północ w stronę Oratorium, za Uly, czy na zachód, za Kylarem?

Zdecydowała, że musi jechać za Uly. Cenaria nie była dla niej bezpiecznym miejscem. Nie mogła pomóc Kylarowi, a jej obecność mogłaby wręcz utrudnić mu wykonanie pracy. Oratorium było bezpieczne, nawet jeśli onieśmielające, a Elene mogła się przynajmniej upewnić, że Uly nic nie grozi. O ile nie zabierze jej po prostu do domu.

Zatem następnego ranka pojechała dalej na północ. Poza tym, że niemal całkowicie pozbawiła ją skromnych oszczędności, noc w łóżku tylko przypomniała jej ciału o wszystkich bólach. Dlatego Elene nie jechała zbyt szybko. Prędzej dojechałaby do Oratorium, gdyby zmusiła konia do szybszego kroku niż stępa, ale na samą myśl o galopie, Elene wyrywał się jęk. Klacz zastrzygła uszami, jakby się zastanawiała, co Elene mówi.

Nagle Elene zobaczyła jeźdźca, czterdzieści kroków przed sobą. Nosił czarną zbroję, ale bez hełmu, nie miał też ani miecza, ani tarczy. Garbił się w siodle małego konika o długiej sierści. Rękę dociskał do

boku, zakrywając ranę, a bladą twarz miał spryskaną krwią.

Kiedy Elene zatrzymała gwałtownie klacz, podniósł wzrok i spojrzał na nią. Poruszył ustami, ale nie padło żadne słowo. Spróbował raz jeszcze.

– Pomocy. Proszę – wyszeptał chrapliwie.

Strzeliła wodzami i podjechała do niego. Mimo bólu na bladej twarz, był przystojnym, młodym człowiekiem, niewiele starszym od niej.

– Wody – błagał.

Elene złapał bukłak i zawahała się. Pełen bukłak zwieszał się u siodła młodego wojownika. A jego bladość nie wynikała z utraty krwi – był Khalidorczykiem.

Triumf zapłonął mu w oczach, w tej samej chwili, gdy ona wbiła pięty w boki klaczy. Złapał jej wodze. Klacz Elene zatańczyła w kółko, a drobniejszy koń nie odstąpił jej na krok. Elene próbowała wyskoczyć z siodła, ale noga jej ugrzęzła między końskimi bokami.

I wtedy błysnęła jego dłoń w kolczej rękawicy. Uderzył ją tuż nad uchem. Upadła.

***

To było zejście do Piekieł. Logan nadal był za słaby, żeby wykonać chociaż połowę roboty przy opuszczaniu się, ale Zgrzytacz z radością pracował za dwóch, opuszczając ich obu dłoń za dłonią. Logan tylko patrzył.

Pierwsze dwadzieścia stóp to były pionowe powierzchnie z czarnego szkliwa wulkanicznego, które tworzyło ściany Dna, idealnie gładkie i pozbawione jakichkolwiek cech. A potem dziura się rozszerzała, tworząc ogromną komnatę.

Opalizujące zielone glony porastały odległe ściany i dawały dość światła, żeby było coś niecoś widać. Zupełnie jakby zanurkowali do obcego świata. Smród zgniłych jajek był tu ostrzejszy. Płynęły ku nim kłęby gęstego dymu, przesłaniając Loganowi widok na tysiące stalagmitów sterczących z niewidocznej podłogi jaskini. Wycie ucichło i Logan modlił się, żeby tak zostało. W ciągu ostatnich miesięcy stracił przekonanie, że ten dźwięk to tylko wiatr dmący między skałami.

Zgrzytacz zaczął ciężko dyszeć, ale zachował stałe tempo, schodząc dłoń za dłonią. Wszędzie wokół nich, z wyjątkiem miejsca dokładnie pod dziurą, stalagmity błyszczały jak lodowe noże i mimo szumu wiatru było słychać, jak woda kapie z ich czubków. Wicher ledwie pojękiwał, wznosząc się z głębin.

Schodzili przez dwie minuty, zanim Logan zobaczył pierwszego trupa. Był wysuszony przez suche, gorące wiatry, ale to musiał być więzień, który spadł, albo został zepchnięty, albo sam skoczył, dziesiątki, może setki lat temu. Ciało leżało nadziane na stalagmit od tak dawna, że skała urosła wyżej nad nim, powoli grzebiąc człowieka.

A potem pojawili się inni. Zgrzytacz musiał kilka razy zwolnić, żeby odepchnąć się od stalagmitów, i za każdym razem widzieli więźniów, którzy nie mieli liny. Niektórzy byli starsi niż ten pierwszy

– ich ciała zostały zmasakrowane od zderzeń ze stalagmitami w drodze na dół. Niektórym brakowało kawałków ciała – oderwały się przy uderzeniu o skałę albo odpadły z biegiem lat. Gładkie skały stalagmitów uniemożliwiały szczurom zbliżenie się do trupów, a suchy wiatr uchronił je od gnicia. Jedynymi nierozpoznawalnymi ciałami pozostawały te nieliczne, które wylądowały w bardziej wilgotnych miejscach pod ścianą będącą domem dla glonów. Te ciała jaśniały zielenią jak duchy, które próbują wyrwać się ze ściany.

W końcu zaczęli się zbliżać do półek skalnych; większość znajdowała się za daleko, żeby Logan i Zgrzytacz mogli ich sięgnąć, ale na jednej Logan dostrzegł siedzącego pod ścianą trupa. Jego wysuszone kości były w nienaruszonym stanie. Dziwnym trafem ten człowiek przeżył upadek – może posługiwał się liną, a może po prostu zleciał i ocalił go cud. A potem umarł na półce. Jego puste oczodoły gapiły się pytająco na Logana: „Wykażesz się lepiej?”.

Nagle lina ze ścięgien zadrżała. Logan spojrzał w górę, ale zobaczył tylko czerń. Widok przesłaniał mu Zgrzytacz.

– Pospieszmy się, stary.

Wielki mężczyzna zaprotestował bez słów.

– Wiem, świetnie sobie radzisz. Radzisz sobie fantastycznie, ale nie wiem, jak długo Lilly utrzyma linę. Nie chcemy skończyć jak ci goście, co?

Zgrzytacz przyspieszył.

Minęli kolejną półkę i Logan zobaczył, że powierzchnia wokół podstawy stalagmitu nie była z nagiej skały, ale pokrywała ją gruba

warstwa ziemi. Ziemi? Tutaj?

Nie, to nie ziemia. To ludzkie odchody. Pokolenia przestępców zrzucały swoje odchody do dziury. Pośród skalnych iglic nie wszystkie wyschły, więc cały obszar śmierdział jak otwarte ścieki z dodatkiem zgniłych jaj.

Logan już się odwracał, kiedy dostrzegł jakiś błysk, gdy mijali kolejną półkę. Spojrzał raz jeszcze, ale niczego nie dostrzegł.

– Zgrzytacz, zatrzymaj się na chwilę.

Logan sięgnął ręką do sześciocalowej warstwy gówna i zaczął macać. Nic. Zanurzył rękę po łokieć, ignorując śluz, który pokrył mu całą skórę. Jest.

Wyciągnął jakąś grudkę i otarł ją o drugą rękę. To był klucz.

– Niesamowite – powiedział. – Cud. Jednak nie zginiemy tutaj, Zgrzytacz. A teraz zejdźmy na dno, odwiążmy ciało Piątaka, a potem spróbujemy wspiąć się z powrotem. Może nawet dadzą radę nas wyciągnąć.

Jak się okazało, znajdowali się już blisko dna, a przynajmniej następnej półki. W pobliżu znajdował się wylot pary, z którego bił gryzący dym. Przesłaniał wszystko poniżej i zabijał blask glonów, więc Logan nie potrafił powiedzieć, gdzie się znajdują. O ile takie pytanie w ogóle miało sens w piekle.

Zgrzytacz zatrzymał się i mruknął. Odsunął się od liny, rozcapierzając obolałe palce. Logan postawił stopy na niemal twardym gruncie – warstwa nieczystości miała tutaj tylko kilka cali głębokości – z westchnieniem ulgi. Nie musiał dźwigać nawet w

przybliżeniu takiego ciężaru jak Zgrzytacz, ale mimo to był wyczerpany.

I wtedy zobaczył linę. Kołysała się luźno.

– Zgrzytacz? – zawołał z zaciskającym się gardłem. – Od jak dawna lina wisi luźno?

Zgrzytacz zamrugał. To pytanie nie miało sensu dla prostego umysłu.

– Zgrzytacz, Piątak żyje! Może być... AUU! Coś ostrego dźgnęło go w plecy i Logan upadł.

Piątak bardziej padł niż skoczył na niego. Poruszał się, jakby miał wybite biodro, krwawił z głowy, ust, obu ramion i jednej nogi. W prawej ręce trzymał odłamany, zakrwawiony czubek stalagmitu. Kiedy upadł na Logana, zaczął ciąć. Był poraniony i żałośnie słaby, ale Logan był jeszcze słabszy.

Ostra skała raniła Logana w pierś, rozcięła mu przedramię, gdy próbował blokować cios, i rozorała głowę od czoła aż za ucho. Logan próbował zrzucił Piątaka z półki, ale zabrakło mu sił.

Rozległ się dziki ryk, głośniejszy niż ryk nagłego wybuchu w kominie pod nimi. Gorąca para i ciężkie krople wrzątku przeleciały obok nich tuż przed atakiem Zgrzytacza.

Zrzucił Piątaka z Logana i ugryzł go w nos, unosząc się chwilę potem z krwawym strzępem w spiłowanych zębach. Piątak wrzasnął, dławiąc się krwią. Zanim zdążył wrzasnąć drugi raz, Zgrzytacz złapał go za wywichniętą nogę i odciągnął od Logana.

Ranny mężczyzna wrzasnął znowu, głośniej i wyżej. Wyciągał

ręce, żeby złapać się czegoś i wyrwać się Zgrzytaczowi. I wtedy zaklinował się między dwoma stalagmitami. Zgrzytacz albo tego nie zauważył, albo go to nie obchodziło. Postanowił odciągnąć Piątaka od Logana i zamierzał to dokończyć. Logan widział, jak ramiona zdeformowanego mężczyzny napinają się, jak zarysowują się potężne węzły mięśni. Zgrzytacz zaparł się i ryknął, a Piątak wrzasnął. Rozległ się trzask, kiedy wywichnięty staw puścił. Zgrzytacz potknął się i upadł, odrywając Piątakowi nogę i wyrzucając ją w przepaść.

Piątak spojrzał Loganowi w oczy z nienawiścią. Życiodajna krew buchała z rozdartego biodra. Twarz miał widmowo białą.

– Do zobaczenia... w piekle, Królu – powiedział.

– Ja już swoje tam odsiedziałem – odparł Logan. Uniósł klucz. – Wychodzę.

Oczy Piątaka wypełniły się zawiścią i niedowierzaniem, ale nie miał już siły mówić. Nienawiść powoli opuściła jego otwarte oczy. Nie żył.

– Zgrzytacz, jesteś niesamowity. Dziękuję.

Zgrzytacz się uśmiechnął. Ze względu na spiłowane i zakrwawione zęby był to makabryczny widok, ale chciał dobrze.

Logan zadrżał. Sam dość poważnie krwawił. Nie wiedział, czy przeżyje, nawet gdyby, wychodząc z Dna i potem z Paszczy, nie napotkali już żadnych problemów. Nie było jednak powodu, żeby Zgrzytacz też umierał. I Lilly. A Zgrzytacz nie wspiąłby się po linie bez niego, Logan to wiedział.

– W porządku, Zgrzytacz, jesteś silny. Masz dość sił, żeby stąd

wyjść?

Zgrzytacz pokiwał głową i naprężył muskuły. Lubił, gdy nazywano go silnym.

– Więc wynośmy się z tego piekła – powiedział Logan, ale kiedy złapał za linę, poczuł, że nic jej nie trzyma. Chwilę potem cały zwój liny ze ścięgien opadł wokół nich. Nie będzie wychodzenia na górę. Nie wykorzystają cennego klucza. Nie będzie ucieczki. Męty puściły linę.

***

– Gdzie, u diabła, oni są? – dopytywał się Tenser Ursuul. Męty ledwo go poznały we wspaniałej tunice, ogolonego i z umytymi włosami.

– A jak myślisz? Uciekli – odpowiedziała Lilly.

– Uciekli? Niemożliwe!

– Bez jaj – odgryzła się Lilly.

Tenser zarumienił się, zawstydzony na oczach Nepha Dady i towarzyszących mu strażników.

Magiczne światło rozkwitło na Dnie, oświetlając wszystkich. Sięgnęło nawet do niszy, w której tak często chował się Logan. Nikogo tam nie było.

– Logan, Piątak i Zgrzytacz – powiedział Tenser, wymieniając brakujących. – Logan i Piątak nienawidzili się. Co się stało?

– Król chciał... – zaczęła mówić Lilly, ale *coś* uderzyło ją w twarz

i kobieta wyciągnęła się jak długa.

– Zamknij się, suko – przerwał jej Tenser. – Nie ufam ci. Dziara, co się stało?

– Logan chciał zbudować jeszcze jedną piramidę. Zamierzał sprowokować Gorkhy'ego i sprawdzić, czy nie uda mu się złapać go za nogę i zabrać mu klucza. Piątak nie chciał się zgodzić. Walczyli. Piątak wrzucił Logana do dziury, ale Zgrzytacz rzucił się na niego i polecieli wszyscy trzej.

Tenser zaklął.

– Dlaczego ich nie powstrzymałeś?

– Żebym sam zleciał? Każdy, kto zadziera z Piątakiem, Loganem albo Zgrzytaczem, ginie, koleś... Wasza Świątobliwość. Byłeś tu na dole wystarczająco długo, żeby to wiedzieć.

– Mogli przeżyć upadek? – zapytał lodowatym głosem Neph Dada.

Jeden z nowych więźniów zaskomlał i wszyscy spojrzeli na niego.

– Nie – krzyczał. – Proszę!

Jedna jasna kula magicznego światła przywarła do jego piersi, druga do pleców. Uniosły go nad dziurę. A potem więzień spadł.

Wszyscy stłoczyli się wokół dziury, patrząc na światło ginące w ciemności.

– Pięć... sześć... siedem – liczył Neph.

Światło zgasło przed „osiem”. Neph spojrzał na Tensera.

– Nie mogli. Cóż, nie powiem, że twój ojciec się ucieszy. Tenser

zaklął.

– Zabierz ich, Neph. Zabij ich. Zrób, co zwykle robisz, tylko niech to będzie bolesne.

51

Hu Szubienicznik przykucnął na dachu magazynu głęboko w Norach. W lepszych czasach to był sklep bławatny. Potem używali go przemytnicy. Teraz to była sypiąca się rudera, w której pomieszkiwały szczury z gildii Płonącego Człowieka.

Żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia dla Hu, poza zawracaniem głowy, jakim było zabicie dziesięcioletniego chłopaka, który stał na straży. A może to była dziewczynka? Trudno powiedzieć. Jedyne, co liczyło się dla Hu, to kamienna płyta w podłodze pod sypiącą się ścianą. No oko kamień ważył z tysiąc funtów; był równie zniszczony jak reszta podłogi, ale odchylał się na zawiasach, o których istnieniu nie wiedziały nawet szczury. To było drugie wyjście do jednej z największych kryjówek w mieście.

O ile informator Hu nie mylił się, w tej chwili w kryjówce znajdowało się około trzystu dziwek oraz tyle jedzenia i wody, żeby mogły tam przetrwać miesiąc, a także prawdziwe perły: Mama K i jej przyboczny – Agon Brant. Hu nie spodziewał się naprawdę zastać tamtych dwoje, ale nadzieja zawsze była.

Duże zlecenia zawsze sprawiały mu kłopot. Wymagały równowagi. Przyjemność, jaką czerpał z widoku krwi, zagrażała jego profesjonalizmowi. Tak łatwo dać się porwać czystej radości pracy – patrzeniu na krew lejącą się, ciurkającą albo tryskającą, krew we wszystkich jej cudownych odcieniach – czerwoniutką świeżą krew z płuc, czarną z wątroby i we wszystkich odcieniach pomiędzy.

Chciał wykrwawić do sucha każde ciało, by zadowolić Nysosa, ale przy dużych zleceniach nie miał zwykle tyle czasu. Przez to odnosił wrażenie, że robi wszystko po łebkach.

I w dodatku potem zawsze był przygnębiony. Po zabiciu i wykrwawieniu trzydziestu czy trzydziestu dwóch osób w posiadłości Gyre'ów, nie był sobą przez kilka tygodni. Nawet morderstwa w czasie przewrotu nie zadowoliły go. Wszystko było rozczarowaniem. Posiadłość Gyre'ów była najlepsza. Nadal tam był, kiedy zjawił się diuk. Patrzył, jak Regnus Gyre biegnie od pokoju do pokoju, oszalały z rozpaczy, ślizga się w kałużach dla Nysosa, które Hu zostawił w każdym korytarzu. Był tak podniecony patrzeniem, że nie potrafił nawet zabić diuka, chociaż wiedział, że Król-Bóg życzył sobie tego.

Oczywiście dokończył robotę następnej nocy, ale to już nie było to. Nawet się nie umywało.

Ta robota nie będzie specjalnie trudna. Na początku nastąpi kilka krytycznych chwil. Po pierwsze, musi dostać się do środka. Zabiłby dzieciaki, gdyby musiał, ale szczury z gildii to śliska sprawa – znają wszystkie dziury w Norach, nawet te wielkości orzecha, potrafią się tam upchnąć i jeszcze zostanie miejsce. Lepiej nie dać im okazji, żeby kogokolwiek ostrzegły.

Jak już wejdzie, przy tylnym wyjściu będzie strażnik albo dwóch. Tego wyjścia nigdy nie używano, a jak długo człowiek może się gapić w ścianę, zanim nie znudzi się albo nie zmęczy? Możliwe więc, że straże będą spały.

Potem Hu musi zabić straże przy frontowym wejściu, nie

podnosząc przy tym alarmu. Później zablokuje albo zniszczy to wyjście. Od tego momentu nie będzie już miało znaczenia, czy dziwki dowiedzą się o jego obecności. Zajmie się nimi.

A potem... cóż, Król-Bóg powiedział mu, że ma dwadzieścia cztery godziny i może zrobić, co zechce. „Hu” – powiedział Król-Bóg – „urządź dla mnie kataklizm”.

Król-Bóg planował otworzyć później to miejsce i przegonić przez nie każdego arystokratę w mieście. Kiedy ciała zaczną śmierdzieć, przegoni przez kryjówkę resztę miasta. Mieszkańcy Nor będą ostatni. Potem Król-Bóg urządzi publiczną ceremonię. Ludzie wybrani losowo spośród Królików, rzemieślników i arystokratów zostaną wysłani na miejsce masakry. Kiedy znajdą się w środku, czarownicy Króla-Boga zamkną to miejsce.

Garoth Ursuul spodziewał się, że to będzie skuteczny środek odstraszający dla przyszłych rebeliantów.

Hu jednak się niepokoił. Był zawodowcem. Był najlepszym siepaczem w mieście, najlepszym na świecie, najlepszym w historii. Cenił sobie tę pozycję i tylko jedno mogło mu zagrozić – on sam. Głupio ryzykował w posiadłości Gyre'ów. Jak idiota. Ostatecznie powiodło mu się, ale prawda była taka, że stracił kontrolę.

Było tam za dużo krwi. Za dużo podniecenia. Szedł niczym bóg przez orgię śmierci. Czuł się niezniszczalny, kiedy zarzynał Gyre'ów i ich służących. Poświęcił sporo czasu na układanie ciał. Kilka osób powiesił za nogi i podciął im gardła, żeby je wykrwawić i stworzyć cudowne jezioro krwi w ostatnim korytarzu.

Jego praca to zabijanie, a on zapuścił się dalej, niebezpiecznie daleko. Durzo był zabójcą. Odbierał życie z bezosobową precyzją krawca. Durzo Blint nigdy nie naraziłby się na ryzyko. To dlatego niektórzy ludzie uważali go za równie dobrego jak Hu. Hu nienawidził tego. Jego się bano, a Blinta szanowano. Powracała do niego uporczywa, niepokojąca myśl, że ta ocena była zasłużona.

To dlatego te trzysta to może być jego zguba. Siedząca w nim bestia wyjdzie. Trzysta to może być za dużo.

Nie. Był Hu Szubienicznikiem. Nie ma zbyt dużej liczby dla Hu Szubienicznika. Był najlepszym siepaczem na świecie. Pod względem taktycznym ta robota nie była nawet po części takim wyzwaniem jak niektóre poprzednie, ale kiedy ludzie będą szeptali jego imię, właśnie to zlecenie będą wspominali. To będzie jego dziedzictwo. Ludzie na całym świecie będą o tym pamiętali.

Szczury z gildii spały, zbite w kupki z powodu zimna. Hu już miał zeskoczyć przez dziurę w dachu, kiedy coś zobaczył.

W pierwszej chwili myślał, że mu się przywidziało. Zaczęło się od szeptu wiatru, podmuchu kurzu unoszącego się w świetle księżyca.

Kurz jednak nie opadł, a noc była bezwietrzna. Kurz nadal wirował w miejscu, zbierając się w plamie światła w magazynie niedaleko dzieci.

Jeden z maluchów obudził się i krzyknął cicho, i w jednej chwili wszystkie dzieci z gildii nie spały.

Wir powietrza zamienił się w maleńkie tornado. Chociaż nadal nie było wiatru, coś o wysokości sześciu stóp nabierało kształtu –

czarne punkty wirujące w szaleńczym tempie. Tornado jaśniało opalizującym migoczącym błękitem. Iskry strzelały i tańczyły na podłodze, a dzieciaki krzyczały.

Wewnątrz tornada kształtu nabierał człowiek, albo coś do niego podobnego. Postać rozbłysnęła na niebiesko, tryskając światłem we wszystkie strony i nawet Hu nie był dość szybki, żeby zasłonić oczy.

Kiedy spojrzał znowu, pośród kulących się i wytrzeszczających oczy dzieci stała postać, niepodobna do niczego, co kiedykolwiek widział. Mężczyzna wyglądał jak wyrzeźbiony z połyskliwego czarnego marmuru albo ukształtowany z płynnego metalu. Jego ubranie bardziej przypominało drugą skórę, ale wydawało się też, że jest obuty i nie ma płci. Całe ciało było bez wyjątku czarne, a jego kontury wyraźnie podkreślone. Mężczyzna był szczupły; każdy jego mięsień doskonale się rysował, od ramion i szerokiej piersi do brzucha i nóg. Jednakże było coś zabawnego w wyglądzie skóry. Początkowo człowiek, demon czy posąg z ciała odbijał światło jak wypolerowana stal. Teraz lśniły tylko fragmenty: półksiężyc bicepsów, poziome płaty mięśni brzucha. Reszta z lśniącej czerni przeszła w matową.

Najbardziej przerażająca była twarz demona. Wyglądała najmniej ludzko. Usta jak wąskie rozcięcie; wysokie kości policzkowe; włosy w potarganych kolcach; wyraziste i pełne dezaprobaty brwi nad przesadnie wielkimi oczami jak z koszmaru. Oczy miały kolor najbledszego błękitu najbardziej lodowatego zimowego świtu. Wyrażały osąd bez litości, karę bez żalu. Kiedy postać przyglądała się dzieciom, Hu nabierał coraz większej pewności, że te oczy jaśnieją.

Unosiły się z nich smużki dymu – strużki z jakiegoś piekielnego ognia płonącego w demonicznej postaci.

– Dzieci – powiedziała postać – nie obawiajcie się.

Mimo tych słów szczury przełykały nerwowo ślinę i wyglądały, jakby w każdej chwili były gotowe rzucić się do ucieczki.

– Nie skrzywdzę was – powiedział demon. – Ale nie jesteście tu bezpieczne. Musicie pójść do Gwinvere Kireny, którą znacie jako Mamę K. Idźcie i zostańcie z nią. Powiedzcie jej, że Anioł Nocy wrócił.

Kilka dzieciaków skinęło głową, wytrzeszczając oczy, ale wszystkie jakby skamieniały.

– No już! – krzyknął Anioł Nocy.

Zrobił krok, wchodząc w cień, który rozcinał plamę światła na podłodze magazynu i stała się rzecz upiorna. Tam, gdzie cień padł na Anioła Nocy, demon zniknął. Ręka, ukośne cięcia mięśni brzucha, głowa – zniknęły, poza dwoma jaśniejącymi punktami zawieszonymi w przestrzeni, w miejscu gdzie powinny znajdować się oczy.

– Biegiem! – wrzasnął Anioł Nocy.

Dzieciaki zerwały się, jak to potrafią tylko szczury z gildii.

Hu wiedział, że powinien zabić tego Anioła Nocy. Król-Bóg z pewnością go za to nagrodzi. Poza tym demon blokował mu dojście do zlecenia. Anioł Nocy stanął pomiędzy nim i ponad trzystoma soczystymi ofiarami.

Jednakże Hu trudno było złapać oddech. Nie bał się. Po prostu nie pracował za darmo. Zabije tego anioła, ale później. Najpierw zmusi

Króla-Boga, żeby mu za niego zapłacił. Jeśli Anioł Nocy wie o podziemnej komnacie, już jest za późno. Jeśli nie wie, to jutro kurwy nadal tam będą. Pójdzie dziś po kontrakt na Anioła Nocy, wróci jutro i zabije wszystkie dziwki, i Anioła Nocy też. To było logiczne. Strach nie miał tu nic do rzeczy.

Anioł Nocy uniósł głowę i kiedy spojrzał Hu Szubienicznikowi prosto w twarz, kolor jego oczu z tlącego się błękitu przeszedł we wściekle płonącą czerwień. W następnej chwili Anioł Nocy zniknął i zostały tylko czerwone, płonące punkty światła.

– Azaliż pragniesz sądu tej nocy, Hubercie Marion? – zapytał Anioł Nocy.

Zimny strach sparaliżował Hu. Hubert Marion. Nikt go tak nie nazywał od piętnastu lat.

Anioł Nocy szedł w jego stronę. Hu już miał uciec, kiedy Anioł się potknął. Hu zatrzymał się zaintrygowany.

Rubinowe oczy przygasły, zamigotały. Anioł Nocy słabł.

Hu zeskoczył na podłogę i wyciągnął miecz. Anioł Nocy wyprostował się raz jeszcze, jakby wkładał w to całą siłę woli, ale Hu dostrzegł wyczerpanie. Zaatakował.

Ich miecze zadzwoniły wśród nocy, a potem kopniak Hu przebił się przez blokadę i trafił Anioła Nocy w pierś. Istota poleciała do tyłu, gubiąc miecz. Zwaliła się na podłogę i zamigotała.

W jednej chwili Anioł Nocy zniknął. W miejscu, gdzie upadł, leżał mężczyzna, nagi, ledwo przytomny.

To był Kylar Stern, uczeń Durzo. Hu sklął go, a jego strach

zamienił się w odwagę. To wszystko tylko sztuczki? Iluzje?

Hu rzucił się w przód i ciął Kylara w odsłoniętą szyję. Ale ostrze przeszło przez głowę mężczyzny bez najmniejszego oporu – niszcząc tylko iluzję. Hu z trudem wyhamował zamach, kiedy poczuł, że lina zaciska mu się wokół kostek i szarpnięciem zwala go z nóg.

Palce wbiły się w jego prawy łokieć, uderzając w czuły punkt i osłabiając całą rękę. Dłoń chwyciła za włosy i uderzyła kilka razy jego twarzą o podłogę, już za pierwszym razem łamiąc mu nos. Za trzecim twarz Hu trafiła w kamień, który wbił mu się w oko. Potem Hu się turlał i turlał...

Uderzał całym swoim Talentem i w nic nie trafiał. Ktoś wykręcił mu ręce za plecy i jednym szybkim szarpnięciem wywichnął obie w stawach barkowych. Hu krzyknął. Kiedy znowu pomyślał o ataku, odkrył, że ma związane ręce i nogi.

Ocalałym okiem dostrzegł Kylara Sterna. Chwiał się i ewidentnie był wyczerpany, ale mimo to ciągnął Hu po podłodze za opończę. Hu znowu zaatakował, chciał w coś kopnąć – w cokolwiek – i spróbować wstać. Kylar rzucił go na plecy i Hu znowu krzyknął, bo obciążył związane, wywichnięte ręce. Kylar stanął nad nim.

Czymkolwiek była czarna skóra – iluzją czy czymś innym – Kylar nie miał już mocy, żeby ją utrzymać. Stał nagi, ale jego twarz nadal przypominała maskę. Hu zebrał Talent, znowu próbując kopnąć.

Stopa Kylara pierwsza uderzyła z góry, łamiąc Hu piszczel. Siepacz wrzasnął, gdy eksplodująca czerń bólu zagroziła mu utratą przytomności, a kiedy znowu spojrzał, Kylar kopnął płytę w podłodze.

Otwarła się na niewidocznych zawiasach. W środku obracało się ukryte koło wodne, napędzane przez płynące wody Plith. Hu zdał sobie sprawę, że to musi być mechanizm, który otwierał ogromne drzwi do kryjówki; potężne, w tej chwili rozłączone koła zębate obracały się powoli.

– Nysos to bóg wód, zgadza się? – zapytał Kylar.

– Co robisz?! – wykrzyknął histerycznie Hu.

– Módl się – powiedział Kylar bez litości. – Może cię ocali.

Kylar zrobił coś z opończą siepacza. Przez chwilę nic się nie działo. A potem materiał zacisnął się wokół szyi Hu. Opończa ciągnęła go przez podłogę.

– Nysosie! – krzyczał Hu, walcząc z uciskiem na szyi. – Nysosie!

Opończa wciągnęła go do wody i na długą, błogosławioną chwilę ucisk wokół szyi zniknął. Hu kopnął zdrową nogą i zorientował się, gdzie jest powierzchnia. I wtedy peleryna napięła się i wciągnęła go na swobodnie obracające się koło zębate. Koło wyciągnęło go z wody za gardło, potem Hu przeleciał na druga stronę i znów został wciągnięty pod wodę. Nie mógł oddychać. Koło znowu go wypluło, przerzuciło i przytopiło.

Tym razem kopnął, kiedy wynurzył się z wody. Dzięki temu uzyskał dość luzu, żeby złapać głęboki wdech, a potem znowu przeleciał przez koło i wpadł pod wodę. Hu szarpał się w więzach, ale każde napięcie rąk było czystą agonią. Przedramiona miał związane tak mocno, że nie mógł nastawić wywichniętych ramion, a zdrową nogą nie miał się o co zaprzeć – wszędzie była tylko woda.

Znowu wrzasnął, gdy się wynurzył, ale koło dalej się obracało. W górę, w dół, w górę, w dół.

***

Kylar patrzył, jak Hu Szubienicznik jest wyciągany z wody, a potem znowu wciągany pod nią, i tak w kółko. Czasem siepacz błagał, czasem kaszlał brudną rzeczną wodą. Kylar go nie żałował. Szubienicznik na to zasłużył. Niezależnie od tego, skąd to wiedział, tego jednego był pewien. I może to było wystarczającym argumentem.

Chwiejąc się, Kylar poszukał włącznika, który otwierał kryjówkę. Nie udawał wyczerpania. Miał szczęście, że zostało mu dość Talentu, żeby przechytrzyć Hu. W uczciwej walce Hu by go załatwił. Kylar nie miał co do tego złudzeń. Ale Durzo nauczył go, że nie ma czegoś takiego jak uczciwa walka. Hu dał się złapać przez zaskoczenie, bo myślał, że jest najlepszy. Durzo nigdy nie uważał się za najlepszego. Po prostu zakładał, że wszyscy inni są gorsi od niego. Może się wydawać, że to na jedno wychodzi, ale to nieprawda.

W końcu Kylar znalazł to, czego szukał. Złapał za deskę obok kamiennej płyty i pociągnął ją.

Kręcące się koło przesunęło się w bok, aż napotkało zęby drugiego. Koła zazgrzytały, a potem zazębiły się i obróciły razem. Hu został w sposób nieubłagany wyciągnięty z wody raz jeszcze. Wrzasnął. Jego głowa wylądowała między wielkimi zębami kół i krzyk nagle stał się bardziej przenikliwy. Przekładnia zatrzymała się,

zaklinowana.

A potem głowa Hu pękła jak krwawy pryszcz. Jego nogi szarpnęły się spazmatycznie i całe ciało wygięło się w łuk, wynurzając się z wody. Potem przeleciało na drugą stronę i zębate koła obróciły się, a krew zbrukała wodę.

Ogromny kamień uniósł się, odsłaniając tunel w ziemi. W głębinach rozbrzmiał dzwonek alarmowy.

Po kilku chwilach dwóch strażników wbiegło z hukiem po schodach. Mieli w rękach włócznie.

– Musicie... się ewakuować – powiedział Kylar. Zachwiał się, ale żaden z mężczyzn nie ruszył się, żeby mu pomóc. – Król-Bóg wie, że tu jesteście. Powiedzcie Mamie K.

I zemdlał.

52

Feir Cousat kulił się za drzewem, próbując schować się jak najlepiej mimo potężnej sylwetki. Do świtu zostały jeszcze dwie godziny, a postać leżąca przy ognisku nie poruszała się od kilku godzin. Za kilka chwil Feir będzie wiedział, czy podjęte ryzyko się opłaciło.

Poszukiwanie Curocha doprowadziło go do Cenarii i przez obozy khalidorskich górali w góry na ceurańskiej granicy. Cała desperacja i wszystkie jego nadzieje, które żywił od tygodni, wynikały z faktu, że nie usłyszał ani słowa o nadzwyczajnym mieczu. To mogło oznaczać, że – o ile Feir znajdował się na właściwym tropie – Curoch trafił do rąk człowieka, który nie miał pojęcia, co to za broń. Ten scenariusz był o niebo lepszy niż perspektywa odbierania miecza Vürdmeisterowi. Każdy Vürdmeister zdolny posłużyć się Curochem był też zdolny zabić Feira na sto sposobów.

Jednakże bardziej prawdopodobne było to, że ruszył niewłaściwym tropem. Wiele razy zawężając listę możliwości, zgadywał. Najpierw zdobył khalidorski mundur, przyszył do niego insygnia posłańca i przesiedział wiele wieczorów przy ogniskach. Kiedy byli w szkole, Dorian nauczył go khalidorskiego, zatem nawet kiedy rozmowa przechodziła na rodzimy język – wszyscy młodzi Khalidorczycy mówili w dwóch językach; Król-Bóg uważał, że będą lepiej rządzić, wiedząc, co spiskują podbici – Feir wiedział, o czym jest mowa.

Ponieważ Curocha nie znaleziono od razu – a Feir uznał, że gdyby znaleziono, rozeszłyby się na ten temat plotki – pomyślał, że ktoś musiał zabrać miecz. Odnalazł żołnierzy, którym przydzielono uprzątanie mostu. Większość pochodziła z jednostek niemal całkowicie wybitych w czasie walk. Później sklecono z nich nową jednostkę i odesłano do domu jako strażników wozów, na których zawieziono łupy do Khalidoru. Właśnie za tym taborem ruszyli z Dorianem i Solonem.

Ponieważ Dorian odesłał go na południe, Feir wiedział, że miecz nie pojechał razem z łupami. Zaczął więc wypytywać o wszystkich ze służby na moście, tych, którzy nie pojechali do domu, i znalazł jednego.

Zupełnie inną sprawą okazało się odnalezienie samego Ferla Khaliusa. Właściwie to Feir wcale go nie znalazł. Zamiast tego ruszył za Vürdmeisterem, którego wysłano na południe. Czarownik tropił Ferla Khaliusa, a Feir czarownika. Feir widział, jak Vürdmeister ciska pociskami w Ferla Khaliusa i porwanego lorda. Czarownik stracił zainteresowanie sprawą, gdy tylko lord spadł w przepaść z góry Hezeron.

Podczas gdy Vürdmeister za pomocą kija sygnałowego powiadamiał Króla-Boga o porażce, Feir podpełzł bliżej. Padający śnieg i skupienie, jakiego wymagała magia, pomogły mu się podkraść. Kiedy tylko Vürdmeister skończył, Feir zabił go.

A potem zrobił coś, czego nie zrobi nigdy więcej. Przeszedł po strzaskanej półce skalnej. W śniegu. Przeskoczył nad długą na pięć

stóp dziurą, odbijając się od śliskiego śniegu i na śliskim śniegu lądując. Na ścieżce były miejsca tak strome, że stopy ześlizgiwały mu się do tyłu. W końcu zaczął korzystać z magii i topić lód, żeby postawić kilka kolejnych kroków. Udało mu się, ale niewiele brakowało.

Curoch był tego wart.

Wyciągnął miecz i podszedł, przyjmując zmodyfikowaną wersję postawy *zshel posto,* żeby utrzymać równowagę i zachować zwinność na śliskim gruncie. Kilka szybkich kroków i już stał nad śpiącym.

Jego miecz wbił się w pierś Khalidorczyka... w pierś ze śniegu zawiniętego w pelerynę.

Feir zaklął i błyskawicznie się obrócił, kiedy prawdziwy Ferl Khalius wypadł z lasu z wysoko uniesionym Curochem w dłoni. Feir ledwo zdążył się ruszyć. Gdyby nie rzucił się w bok, góral przeciąłby go na pół. A tak Curoch wytrącił tylko Feirowi broń z ręki.

– Mało to honorowe, dźgać śpiącego człowieka – powiedział Ferl z okropnym, khalidorskim akcentem.

– Stawka jest za wysoka, żeby dbać o honor – odpowiedział Feir. Myślał, że Khalidorczyk nie ma pojęcia, że ktoś go śledzi. – Oddaj mi miecz – dodał – a daruję ci życie.

To zrozumiałe, że Ferl spojrzał na niego jak na wariata. On był uzbrojony, a Feir nie.

– Mam ci go oddać? To miecz wodza.

– Wodza? Ten miecz jest wart więcej niż cały twój klan i każdy inny klan w promieniu stu mil. Razem wzięte.

Ferl albo mu nie uwierzył, albo miał to gdzieś.

– Jest mój.

Trzy punkciki białego światła, każdy mniejszy od paznokcia kciuka Feira, pojawiły się przed nim i śmignęły do Ferla Khaliusa. Góral był naprawdę dobry.

Dwa pociski, które Ferl zablokował mieczem, wybuchły wśród nocy. Trzeci przeleciał dokładnie pod ręką górala i uderzył go prosto w brzuch. Feir z pewnym wysiłkiem sięgnął przed siebie – magia na odległość nigdy nie była jego mocną stroną – i szarpnął pociskiem w górę. Pocisk wypalił sobie drogę do serca Ferla.

Góral spojrzał Feirowi w oczy i przewrócił się na bok.

Feir podniósł Curocha bez radości. Miał rację. Wszystkie jego zgadywanki i podjęte ryzyko się opłaciły. Jeśli ktokolwiek usłyszy tę historię, bardowie stworzą z tego legendę. Właśnie odzyskał jeden z najpotężniejszych przedmiotów magicznych, jakie kiedykolwiek stworzono.

Dlaczego więc czuł się taki pusty?

Tym razem poszło tak łatwo. Powoli, ale łatwo. Może Ferl miał rację? To nie była honorowa potyczka, ale kiedy jedna osoba trzyma Curocha, walka nigdy nie jest uczciwa.

Ale nie, nie o to chodziło. Odzyskiwał ten przeklęty miecz trzy razy. Trzy razy! Mógłby zostać uznany za Oficjalnego Odnajdywacza Sakramenckiego Miecza. Miał go, ale nigdy nie będzie mógł go użyć. Był mierny i popełnił ten błąd, że zaprzyjaźnił się z wielkimi.

Solonariwan Tofusin Sa'fasti był księciem Cesarstwa

Sethyjskiego. Jego Talent stawiał go w pierwszym szeregu wszystkich żyjących magów. Dorian też był księciem, Vürdmeisterem i nie tylko. Tacy magowie jak on zdarzają się raz na pokolenie. Feir był synem szewca, miał przeciętny Talent i dryg do miecza. Był uczniem u kowala, kiedy odkryto jego Talent. Później uczęszczał do szkoły Tworzycieli i został zatrudniony jako kowal i instruktor walki w Sho'cendi, gdzie poznał Solona i Doriana.

Dorian wyparł się swojego pochodzenia i ani on, ani Solon nie mieli oficjalnie żadnych przywilejów. Feir jednak wiedział, że to nie oznacza, że nie czerpali pewnych korzyści ze szlachetnego urodzenia. Niezależnie od tego, co przydarzyłoby się Dorianowi czy Solonowi, wiedzieli, że są kimś specjalnym. Wiedzieli, że się liczą. Feir nigdy tego nie miał. Zawsze stał na drugim miejscu, o ile nie na trzecim.

Kij sygnałowy rozbłysnął, więc Feir go wyjął. Młody Vürdmeister, którego zabił, miał przy sobie klucz do szyfru – najwyraźniej po raz pierwszy powierzono mu kij sygnałowy. Dzięki temu Feir potrafił przetłumaczyć rozbłyski światła na litery, ale informacja nadal była zakodowana, i to w języku khalidorskim. Złamanie kodu okazało się proste. Pierwsza litera odpowiadała właściwej literze przesuniętej o jedno miejsce w alfabecie, druga o dwa miejsca, i tak dalej. Niestety, sygnał podawano szybko, Feir nie miał nic do pisania, a jego znajomość khalidorskiego była raczej ograniczona.

Król-Bóg posługiwał się kijami dokładnie tak, jak zrobiłby to Feir. Koordynował ruchy odległych oddziałów i meisterów. To było

proste, ale dawało ogromną przewagę. Jego rozkazy docierały natychmiast, podczas gdy przeciwnicy czekali godzinami albo dniami na posłańców. A w ciągu godzin lub dni zmieniała się sytuacja i zmieniały się plany.

Nic dziwnego, że rozgromił każdą armię, która stanęła przeciwko niemu.

„Zbierz... na północ... od...” – rozbłyskiwał kij sygnałowy. Zgasł i potem błękit przeszedł w czerwień. Co to, u diabla, znaczyło? Feir odczytał litery i na wyczucie przełożył je na język wspólny. „G.A.J. P.A.V.V.I.L.A”. Gaj Pawila. Kij znowu rozbłysnął na niebiesko, za szybko, żeby Feir coś wychwycił, ale jeden fragment powtórzył się dwa razy. „Dwa dni. Dwa dni”. A potem kij zgasł.

Feir odetchnął głęboko. Przeszedł przez Gaj Pawila w drodze na południe. To było miasteczko zajmujące się wyrębem, skąd pochodziła jedyna w Cenarii dębina. Na północ od niego znajdowała się równina nadająca się na pole bitwy. Najwyraźniej Król-Bóg planował rozgromić na niej wojsko rebeliantów.

Feir mógłby tam dotrzeć w dwa dni. Ale do świtu zostały jeszcze dwie godziny. Czy Khalidorczycy liczą dni od świtu, czy od północy? Czy dwa dni oznaczały dwa, czy tak naprawdę trzy dni?

Feir zaklął. Był w stanie złamać nieznany szyfr w obcym języku, ale nie potrafił policzyć do trzech. Cudownie.

Kij sygnałowy zrobił się żółty – wcześniej tego nie robił.

„Vürdmeisterze Lorus, zgłoś się...”.

O, nie.

Kij rozbłysnął: „Dlaczego... zmierzasz... na południe?”.

Feir pobladł. Zatem kije sygnałowe nie tylko służyły do porozumiewania się, ale też przekazywały informacje o położeniu. Niedobrze.

„O karze... po powrocie”, O karze Król-Bóg zdecyduje, gdy wrócę? „Plotki... Lantano... w pobliżu. Coś zauważyłeś?”.

Feir miał ochotę chwycić własną ignorancję za kark i potrząsnąć nią tak, żeby wyzionęła ducha. Co według plotek miało znajdować się w pobliżu niego?

„Vürdmeisterze? Lorus? Brak odpowiedzi zostanie...”.

Feir cisnął kijkiem i odbiegł. Nic się nie stało. Minęła minuta. Nadal nic się nie działo. Już zaczął się czuć jak głupek, kiedy kij sygnałowy wybuchł z taką mocą, że strząsnął śnieg z drzew w promieniu stu kroków.

Cóż, to pewnie obudziło sąsiadów.

Sąsiedzi. To nie była miła myśl. I Lantano? Brzmiało znajomo.

Feir wspiął się na pobliskie skaliste wzgórze, żeby mieć lepszy widok na okolicę. I od razu tego pożałował. Czterysta kroków na południe stacjonowało wojsko, może z sześć tysięcy ludzi. I do tego jeszcze ze cztery tysiące typowych kompanów obozów wojskowych: żony, masztalerze, kowale i prostytutki, kucharze i służący.

Na sztandarach wojskowych widniał nagi czarny miecz ustawiony pionowo na białym polu: herb Lantano Garuwashiego. To o niego chodziło, Feir sobie przypomniał: generał, którego nigdy nie pokonano, chłopak z gminu, który wygrał sześćdziesiąt pojedynków.

Jeśli wierzyć opowieściom, czasem walczył drewnianym mieczem treningowym z przeciwnikiem uzbrojonym w stal, żeby ubarwić nieco walkę.

Sąsiedzi z pewnością usłyszeli hałas i grupa dziesięciu jeźdźców jechała właśnie w stronę Feira. A za nimi ruszyła co najmniej setka.

53

Kylar otworzył oczy w obcym pokoju. Ostatnio zdecydowanie za często mu się to przydarzało. Tym razem pomieszczenie było małe, brudne i ciasne. Łóżko śmierdziało tak, jakby słomy nie zmieniano od dwudziestu lat. Serce biło mu gwałtownie, gdy przygotowywał się na to, co zaraz może się wydarzyć.

– Uspokój się – powiedziała Mama K, wchodząc i stając obok łóżka.

Bez wątpienia to była kryjówka – na północnym krańcu Nor, sądząc po zapachu.

– Jak długo? – wychrypiał. – Jak długo spałem?

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała Mama K, ale się uśmiechnęła.

– Półtora dnia – rozległ się męski głos.

Kylar usiadł. Głos należał do lorda generała Agona. Co za niespodzianka.

– Proszę, wygląda na to, że wysokie, nowe mury wokół miasta to nie jedyna zmiana w ostatnich czasach.

– Niesamowite, do czego ci łajdacy są zdolni, kiedy próbują być konstruktywni, co? – odparł Agon.

Chodził o kuli i poruszał się, jakby bolało go kolano.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała Mama K. – Już zaczęły krążyć plotki o tym, że Anioł Nocy zabił Hu Szubienicznika, ale jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, że tak naprawdę to byłeś ty, są moi

strażnicy. Pracują u mnie od bardzo dawna. Nie puszczą pary z ust.

A więc jego tożsamość była bezpieczna, Kylar jednak nie zamierzał zawracać sobie głowy drobiazgami. Przebył zbyt daleką drogę, zbyt szybko, oddał zbyt wiele z myślą tylko o jednym.

– Co wiecie o Loganie?

Mama K i Agon spojrzeli po sobie.

– Nie żyje – powiedziała Mama K.

– Nieprawda – zaprzeczył Kylar.

– Najdokładniejsze informacje, jakie mamy...

– On żyje. Jarl przyjechał, by mi o tym powiedzieć. Dotarł aż do Caernarvon.

– Kylar, wczoraj Khalidorczycy dowiedzieli się, kim jest Logan – wyjaśniła mu Mama K. – Z tego, co się orientujemy, albo został zabity przez współwięźnia z tego powodu, albo sam skoczył do dziury na Dnie, żeby uciec przed tym, co szykował mu Król-Bóg.

– Nie wierzę.

Wczoraj? Kiedy spałem? Byłem tak blisko?

– Przykro mi – powiedziała Mama K.

Kylar wstał i znalazł nowy szary strój siepacza leżący u stóp łóżka. Zaczął się ubierać.

– Kylar – zaczęła Mama K. Zignorował ją.

– Synu – odezwał się Agon – czas, żebyś otworzył oczy. Nikomu się nie podoba to, że Logan nie żyje. Był dla mnie jak syn. Nie możesz go już uratować, ale możesz dokonać tego, czego nie dokona nikt inny.

Kylar naciągnął tunikę.

– Niech zgadnę – rzucił z goryczą. – Wy dwoje już wymyśliliście sobie, jak chcielibyście wykorzystać moje talenty?

– Za kilka dni wojsko Terah Graesin spotka się z armią Króla-Boga na północ od Gaju Pawila. Terah dotrze tam pierwsza i będzie miała przewagę w terenie i w ludziach – powiedziała Mama K.

– To w czym kłopot?

– Król-Bóg się nie wycofuje. Po Nocta Hemata powinien być dwa razy bardziej ostrożny, a on idzie bez wahania. To, do czego dotarli nasi szpiedzy, to tylko aluzje, ale jestem pewna, że to pułapka. Terah Graesin nie chce słuchać. Nie chciała walczyć, dopóki Król-Bóg nie sprezentuje jej szansy na pewną wygraną. Teraz dostała to, czego chciała, i nic jej nie powstrzyma. Wiemy tylko, że Garoth planuje wykorzystać magię, i to na wielką skalę.

– Nie mów nic więcej – powiedział Kylar.

– Chcemy cię wynająć – powiedziała Mama K. – To robota warta Anioła Nocy. Chcemy, żebyś zabił Króla-Boga.

– Zwariowaliście.

– Będziesz legendą – odezwał się Agon.

– Wolę żyć.

To było upiorne. Dokładnie tego samego chcieli od niego, kiedy opuszczał miasto. Dokładnie o to tak bardzo chciał poprosić Jarl. Żeby zabił Króla-Boga. Odkupił wszystkie szkody i cały ból swojego szkolenia na siepacza. Jedna śmierć i mógłby odwiesić miecz z zadowoleniem, bo zrobił więcej, niż mu przypadło. Jedno zabójstwo,

które ocaliłoby tysiące. Zupełnie jakby to było jego przeznaczenie.

– Nawet jeśli Logan nadal żyje, nie będzie żadnego pożytku z ratowania mu życia, jeśli pozwolisz, by zniszczono jego jedyną szansę na odzyskanie królestwa – powiedział Agon. – Jeśli przetrwał tak długo, wytrzyma jeszcze dzień albo dwa. Zabij Króla-Boga i ocal królestwo, a potem idź szukać naszego króla.

Kylar wybrał broń spośród szerokiego zestawu, jaki Mama K przygotowała dla niego, i bez słowa poukrywał ją w zakamarkach ubrania.

– Zniszczysz nas wszystkich – powiedział Agon. – Masz moc, dla której oddałbym życie, i nie użyjesz jej, żeby nam pomóc. Niech cię diabli!

Odwrócił się na pięcie i wykuśtykał z pokoju.

Kylar spojrzał na Mamę K. Nie wyszła, ale też go nie rozumiała.

– Dobrze znowu cię widzieć, Mamo – powiedział Kylar. Wziął głęboki wdech. – Zostawiłem Uly z Elene. Nic im nie będzie. Zostawiłem im tyle pieniędzy, że powinno wystarczyć im do końca życia. A Elene będzie ją kochać. Zrobiłem co w mojej mocy... Jarl... – Nagle do oczu napłynęły mu gorące łzy.

Mama K położyła rękę na jego ramieniu, a on spuścił wzrok.

– Wiem, że to nie ma sensu, ale przysiągłem skończyć z tym. Złamałem tę przysięgę dla Logana. Zapłaciłem za to miłością Elene i zaufaniem Uly. Nie porzuciłem ich, żeby odebrać kolejne życie, ale żeby uratować życie. Rozumiesz?

– Wiesz, kogo mi przypominasz? – zapytała Mama K. – Durzo.

Kiedy był młodszy, zanim zgubił drogę. Byłby z ciebie dumny, Kylarze. Ja... ja też jestem z ciebie dumna. Chciałabym wierzyć, że przeznaczenie nie będzie na tyle okrutne, żeby kazać ci poświęcić wszystko i odkryć, że Logan nie żyje, ale nie ma we mnie takiej wiary. Powiem ci jednak, w co wierzę. Wierzę w ciebie. – Uściskała go.

– Zmieniłaś się.

– To twoja wina. Niedługo całkiem zdziecinnieję.

– Mnie się ta zmiana podoba – powiedział.

Położyła dłonie na jego policzkach i pocałowała go w czoło.

– Idź, Kylarze. Idź i wróć, proszę.

***

Logan już dwa razy zasnął, za każdym razem spodziewając się, że już się nie obudzi. Przestał jeść – nie tknąłby ciała Piątaka. Przestał czuć smród gęstego, żrącego powietrza. Przestał zauważać drobne grymasy troski u Zgrzytacza. Przestał też krwawić, ale było już za późno. Stracił siły.

Kiedy Zgrzytacz pomógł mu usiąść, opierając go o stalagmit, Logan zobaczył kolejne połamane ciało leżące w mroku niecałe dziesięć stóp dalej. To była Natassa Graesin. Teraz już wrzaski wyjców jej nie przerażały. Kończyny miała splątane, ale twarz spokojną. W jej oczach nie było oskarżenia. Nie było w nich nic.

Najżarliwsze uczucie, jakie Logan był w stanie w sobie

wskrzesić, to zwykły żal. Żałował Natassy, która nigdy nawet nie powiedziała mu, jak to się stało, że skończyła na Dnie. Żałował wszystkiego, czego sam już nigdy więcej nie zrobi. Nigdy tak naprawdę nie pragnął tronu. Zawsze podejrzewał, że bycie królem jest o wiele trudniejsze, niż to wygląda. Na Dnie żałował czasem, że nie zostanie zapamiętany jako ktoś, kto się liczył.

Teraz, kiedy siedział oparty plecami o stalagmit, który kiedyś obrośnie jego ciało i pogrzebie go na wieki, żałował prostszych rzeczy. Brakowało mu światła słonecznego. Brakowało mu zapachu trawy, ziemi po deszczu, kobiety. Brakowało mu Serah Drake i jej wszystkich błahostek. Brakowało mu żony. Jenine była taka młoda, taka mądra i taka ładna. Była odnalezioną i zaraz straconą na zawsze perłą. Brakowało mu Kylara, najlepszego przyjaciela. Kolejna perła odebrana mu, odnaleziona i znowu utracona.

Logan pragnął miłości, dzieci i chciał zajmować się swoimi posiadłościami. Prowadzić proste życie, mieć wielką rodzinę, kilku najbliższych przyjaciół. To była cała nieśmiertelność, jakiej potrzebował.

Przez chwilę modlił się do starych bogów. Nie miał nic innego do roboty, a ze Zgrzytaczem nie dało się za dużo porozmawiać. Jednakże starzy bogowie nie mieli nic do powiedzenia. Modlił się nawet do Boga Jedynego hrabiego Drake'a. Nie był pewien, jak należy się modlić do boga wszelkich rzeczy. Dlaczego On miałby się przejmować? I Logan przestał się modlić.

Przede wszystkim starał się ignorować ból.

Już miał zamknąć oczy i spróbować znowu umrzeć – czy też zasnąć, jak zwał tak zwał – kiedy Zgrzytacz zaczął wyć. To był wysoki, przenikliwy i denerwujący dźwięk nieprzypominający niczego, co Logan do tej pory słyszał.

Komin skalny beknął żrącym dymem i postać, którą Logan dostrzegł na chwilę, została pożarta przez gęstą chmurę i ciemność. A potem, kiedy chmura się rozpłynęła, wyszedł z niej demon.

Po raz pierwszy Logan zobaczył, że Zgrzytacz się boi. Wycofał się do boku Logana i przykucnął, skomląc, ale dalej już uciekać nie chciał. Lojalność tego prostego człowieka nie znała granic.

Demon podszedł powoli, a spojrzenie jego jaśniejących niebieskich oczu skupiło się na Loganie. Czy to był wyjec? A może wreszcie Śmierć przyszła po niego? Logan się nie bał.

– Niech to szlag, stary – odezwała się Śmierć znajomym głosem. – A już myślałem, że będę musiał wspiąć się po ciebie na samą górę.

– Czym jesteś? – wychrypiał Logan.

Twarz demona zamigotała i roztopiła się, ukazując rysy Kylara. Logan nie był pewien, czy w końcu nie zwariował.

– Przepraszam, zapomniałem o twarzy– powiedział Kylar. Posłał Loganowi swój typowy krzywy uśmiech, żeby ukryć troskę. – Wyglądasz jak, ech... koński zad. – To był jeden ze starych żartów Logana – bogowie! – jeszcze z czasów, kiedy ledwo znał dziesiątą część przekleństw, których nauczył się na Dnie. Kylar znowu uśmiechnął się krzywo. – Czy, ehm, temu wielkiemu gościowi nic nie będzie?

Zgrzytacz cały się trząsł i nawet Logan nie potrafił stwierdzić, czy ze złości, czy ze strachu.

– Zgrzytacz – powiedział Logan – to przyjaciel. Przyszedł pomóc. – Zgrzytacz nadal miał taką samą minę, ale nie rzucił się do ataku. – To naprawdę ty, prawda?

– Przybyłem z odsieczą – odpowiedział Kylar.

Kiedy Logan nie odpowiedział, Kylar podszedł i obejrzał ciało przyjaciela. Miał przy tym ponurą minę.

–To jeszcze jeden cud, co? Nadal dychasz – mruknął.

Logan poczuł, że odpływa, kiedy przyjaciel pomagał mu stanąć na nogi. Kylar coś mówił i jakaś część Logana zdawała sobie sprawę, że przyjaciel robi to po to, żeby on nie stracił przytomności. Ze wszystkich sił starał się słuchać i ignorować wzywające go głosy bólu i śmierci.

– ...bo teraz to praktycznie niemożliwe dostać się do przeklętej Paszczy. Nie jak za starych czasów... mówią, że ktoś albo coś tu zamieszkało. Serio, „zamieszkało”, jakby Paszcza to był pałac albo coś takiego.

– Khali – szepnął Logan.

Kylar prowadził ich głębiej w przepaść. Logan znowu się potknął, a kiedy otworzył oczy, odkrył, że jest uwiązany do pleców Kylara. To niemożliwe. Nawet biorąc pod uwagę, jak Logan schudł, Kylar nie mógł go nieść z taką łatwością. Ale Logan czuł to wyraźnie. Kylar schodził coraz niżej. Tu, na dole, nie było ścieżki ani świecących porostów, ale Kylar poruszał się pewnie i cały czas mówił, już samym

głosem chroniąc Logana przed przerażającą ciemnością.

– ...byłem raz w Kominach i przypomniałem sobie, że rury schodziły w dół jakby do samego środka Ziemi. Pomyślałem, że korytarze Paszczy schodzą w dół i rury schodzą w dół, i obie rzeczy znajdują się tuż koło siebie. Uznałem, że jeśli zejdę dostatecznie nisko, tunele mogą się połączyć. Widziałeś kiedyś wnętrze tych rur w Kominach, Loganie? Gładki metal, schodzący pionowo w dół całą wieczność. Wielkie wiatraki, wirujące, kiedy podnosi się powietrze. Pomyślałem sobie, że mogę zejść powoli albo szybko. Znasz mnie, możesz się domyślić, którą metodę wybrałem. Wziąłem tarczę, zrobiłem sobie sanki z ręcznymi hamulcami, żeby dało się trochę sterować... mówię ci, ale była jazda. I udało mi się zjechać prawie na sam dół. Dobrze, że wytraciłem większość prędkości przed ostatnim wiatrakiem. Byłem pewien, że szybciej się kręci. Współczuję tym skurkowańcom, którzy będą musieli zejść, żeby go naprawić.

Kylar się zatrzymał. Odetchnął głęboko.

– Nie zamierzam cię okłamywać. To będzie nieciekawy kawałek. Musimy przepłynąć pod wodą. To jest granica, Loganie. Właśnie ten odcinek oddziela Dno od Kominów. Woda jest gorąca, przejście ciasne i będziesz miał wrażenie, że pochowano cię żywcem. Obiecuję ci, że jeśli przetrwasz tę śmierć, zacznie się dla ciebie nowe życie. Musisz tylko wstrzymać oddech, a ja zajmę się resztą.

– Zgrzytacz – powiedział Logan.

– Zgrzytacz? A, ten duży? Hm, nie wygląda mi na takiego, co przepada za wodą.

Logan nie widział Zgrzytacza. Tu, na dole, nie było zwyczajnie ciemno – tutaj panowała ciemność doskonała. Nie było miejsc, gdzie mrok był bardziej rozproszony, wszędzie panowała jednolita, wszechogarniająca ciemność. Gorąca, wilgotna, ciężka, przytłaczająca ciemność, która sączyła się do płuc. Logan nie miał pojęcia, jak Kylar cokolwiek widzi, ale nie mógł zostawić tu Zgrzytacza.

– Czy... wrócisz tu po niego? – zapytał Logan. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Tak, mój królu – odpowiedział w końcu Kylar.

– Jestem... jestem gotowy.

– Tylko licz. Przepłynąłem w jakąś minutę, nam dwóm może to zająć trochę więcej.

Minutę?

– Zanim popłyniemy... przepraszam, Loganie. Przepraszam za to wszystko i za to, ile w tym mojej winy. Przepraszam, że nie powiedziałem ci, kim jestem. Przepraszam, że nie zabiłem Tensera, kiedy miałem szansę. Naprawdę... przepraszam.

Logan nic nie powiedział. Nie potrafił odnaleźć słów i sił, aby dać Kylarowi to, na co zasłużył.

Kylar nie czekał. Zaczął brać głębokie wdechy i Logan poszedł za jego przykładem. Chwilę potem razem zanurkowali. Logan przywarł do Kylara, starając się nie ograniczać mu swobody ruchu rękami i starając się, żeby jego własne ciało było jak najbardziej opływowe.

Woda była gorąca, aż paląca, i Kylar nie zamierzał płynąć powoli. Logan poczuł, że obracają się do góry nogami, a potem Kylar musiał

łapać się skał, żeby ściągnąć ich w dół, bo poruszali się naprawdę szybko. Właściwie to płynęli szybciej, niż Logan myślał, że da się pod wodą. Wiedział, że Kylar jest silny – nieraz się z nim siłował i walczył dla zabawy – ale szybkość, z jaką się poruszali, nie powinna być możliwa, zważywszy na ciężar, jaki Kylar musiał ciągnąć pod wodą.

Dziesięć. Jedenaście. Woda naciskała ze wszystkich stron, ograniczając ruchy. Jakaś część Logana dziwiła się, że Kylar już raz to zrobił, sam, nie mając pewności, czy tunele się łączą, i nie wiedząc, ile będzie musiał płynąć. Już przy czternastej sekundzie Logana paliło w płucach.

Trzymał się, starając się nie chwytać się zbyt kurczowo i próbując oszczędzać siły. Ból to nic takiego, mówił sobie.

Minęło dwadzieścia sekund, zanim poczuł, że płyną w poziomie. Ocierał się plecami o skałę. Coś się zmieniło, ale nie potrafił powiedzieć, którym zmysłem odebrał zmianę. Pomyślał, że wpłynęli do tunelu, i sądząc po sposobie, w jaki Kylar się poruszał, był to wąski tunel.

Czterdzieści. Czterdzieści jeden. Teraz bólu nie dało się zignorować. Powietrze przepychało się do gardła, błagało, żeby je wypuścić. Dobijało się od środka: wypuść mnie, tylko trochę, troszeczkę.

Przy pięćdziesięciu ugrzęźli. Nagle ruch naprzód ustał. Szok, jaki to wywołało, sprawił, że Logan otworzył oczy. Gorąca, kwaśna woda zaatakowała jego oczy i Logan zakaszlał. Ogromny bąbel życiodajnego powietrza uciekł z jego płuc.

Kylar ciągnął i ciągnął. Logan poczuł, że coś się rwie, ale nie wiedział, czy to była jego obszarpana tunika czy skóra – w każdym razie znowu się poruszali.

Została mu mniej niż połowa zapasu powietrza w płucach. Kylar znowu poruszał się z nieprawdopodobną prędkością, ale nadal nie kierowali się w górę.

Wreszcie Logan poczuł, że Kylar zakręca, ale nie popłynął w górę. Zamiast tego z szaleńczą szybkością, w błękitnej, magicznej poświacie wyciągnął miecz zza pasa. Loganem rzucało to w tę, to we w tę, kiedy Kylar ciął i dźgał coś, co rozbłyskało w wodzie jak srebrna błyskawica.

Nie było mowy, żeby Logan zdołał to znieść choćby chwilę dłużej. Kylar zaczął płynąć w górę, ale Logan nie mógł wytrzymać kolejnych dwudziestu sekund. Nie mógł trzymać się tak długo.

Przy sześćdziesiątej siódmej sekundzie wypuścił resztę powietrza.

Płynęli tak szybko, że czuł na twarzy muśnięcia wypuszczonego bąbla powietrza, gdy mknęli w górę. Wkrótce go wyprzedzili.

Płuca mu płonęły. Poddał się i wziął wdech.

Gorąca woda wlała mu się do płuc. A zaraz za nią powietrze. Logan kaszlał i kaszlał. Wrzący kwas buchnął mu z nosa i ust. Poparzył sobie zatoki, ale zaraz potem wodę zastąpiło słodkie, chłodne powietrze.

Kylar odwiązał go i delikatnie położył na ziemi. Logan leżał na plecach, po prostu oddychając. Nadal panowała ciemność, ale wysoko nad głową, w oddali, u szczytu metalowych rur, na końcu kominów,

zobaczył mrugające pochodnie. Po czarnych wodach ten widok był niczym ocean światła.

– Królu mój – powiedział Kylar. – W wodzie coś żyje. Jakaś ogromna, potworna jaszczurka. Jeśli popłynę z powrotem, nie wiem, czy wrócę. Nie masz dość sił, żeby wyjść stąd samemu. Beze mnie umrzesz tutaj. Nadal chcesz, żebym popłynął po prostaczka?

Logan chciał powiedzieć, że nie. Był ważniejszy dla królestwa niż Zgrzytacz. I bał się zostać sam. Zycie nagle było tak blisko i nie chciał umierać.

– Nie mogę go zostawić, Kylarze. Wybacz mi.

– Potrzebowałbyś wybaczenia tylko wtedy, gdybyś powiedział mi, żeby go zostawić – odpowiedział Kylar i skoczył do wody.

Zniknął na pięć potwornie bolesnych minut. Kiedy przebił powierzchnię wody, płynął z taką prędkością, że wyskoczył w powietrze. Wylądował na nogach. Zrobił uprząż z liny i ciągnął Zgrzytacza za sobą. Teraz złapał sznur i gwałtownie go pociągnął.

Zgrzytacz też niemal wyskoczył z wody. Wziął głęboki wdech i uśmiechnął się do Logana.

– Ja dobrze trzymał oddech!

Kylar złapał Logana na ręce, kiedy coś ogromnego wyskoczyło za nimi z wody. Uderzyło w Kylara i cała trójka wyciągnęła się jak długa.

Komora rozświetliła się opalizującym niebieskim światłem, które biło od Kylara. Śmigał, odbijał się od stalagmitów, wykorzystując je do nieoczekiwanych zmian kierunku. Strach chwycił Logana za

gardło. Z czymkolwiek walczył Kylar, było to ogromne. Gigantyczne łapy z błoną pławną łamały stalagmity, jakby to były gałązki. Odłamki skały sypały się zewsząd. Logan zwinął się w kłębek. Potężne podmuchy powietrza buchały z paszczy widocznej tylko wtedy, gdy zęby i oczy odbijały niebieski ogień Kylara. Srebrzysto-zielone światło rozbłyskiwało i gasło.

Najbardziej przerażające było to, że niczego nie widział. Walka rozgrywała się raptem kilka kroków dalej, a Logan nie mógł nic zrobić, nawet obserwować. Słyszał brzęk i zgadywał, że to miecz Kylara odbija się od skóry potwora, ale nie miał pewności. Nie miał pojęcia, jak Kylar walczy w nieprzeniknionych ciemnościach, i sam nie miał najmniejszej nadziei stanąć do walki. Nawet nie wiedział, jak wielki jest stwór ani jak wygląda.

Stracił z oczu Kylara – albo może Kylar zniknął, bo nawet potwór zatrzymał się i zaczął węszyć, poruszając łbem na boki.

Nagle rzucił się w stronę Logana i Zgrzytacza. Logan zasłonił się rękami i poczuł pod palcami przesuwającą się oślizgłą skórę. Wokół przewracały się stalagmity. A potem stwór cofnął się i obrócił łeb. Światło srebrzyste i zimne – jak księżycowe – błysnęło z zielonkawych oczu i wielki, węszący łeb znowu się obrócił.

Obślizgły pysk przesunął się obok policzka Logana, kiedy potwór obrócił łeb. Węszył i węszył. Palce Logana musnęły odłamany kawał stalagmitu. Złapały go. Ruch przyciągnął uwagę potwora, który natychmiast się cofnął. Światło z jego ślepi oświetliło Logana jak pochodnia. Spojrzenie wielkich kocich oczu powędrowało w stronę

Logana i skupiło się na nim.

Logan zatopił ostry odłamek w wielkim oku i uderzył kilka razy, miażdżąc tkankę. Jasne zielono-srebrne światło zalało Logana razem z krwią stworzenia. Oko zgasło jak zdmuchnięta świeca i pomieszczenie wypełnił skowyt, odbijając się echem od ścian. Chwilę potem ciemna postać śmignęła obok Logana i zaatakowała ślepe oko.

Stworzenie znowu wrzasnęło i rzuciło się do tyłu. Rozległ się głośny plusk i zapadła cisza.

– Logan – powiedział Kylar głosem jeszcze drżącym od adrenaliny. – Czy to była... to była Khali?

– Nie. Khali jest... inna. Gorsza. – Logan zaśmiał się niepewnie. – To był tylko smok. – Zaśmiał się znowu jak człowiek, który postradał rozum.

I wtedy całe światło zgasło.

Kiedy się obudził, wszyscy trzej znajdowali się w uprzęży, a Kylar wciągał ich za pomocą liny, która musiała być umocowana do bloczka w górze. Wznosili się centralnym szybem Kominów. To była ogromna metalowa rura, o średnicy trzydziestu kroków, a wszystkie potężne wiatraki zatrzymano. Jak Kylar tego dokonał?

Wznosili się jeszcze kilka minut. Przez cały czas Logan był świadom, że ręka go pali i mrowi w miejscu, gdzie wylała się na nią krew z oka potwora. Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

– Mamy tu swojego człowieka, który mi pomógł – powiedział Kylar. – Sa'kagé jest teraz jednym z twoich najpotężniejszych sprzymierzeńców, mój królu. Być może jedynym.

Kilka minut później dotarli do odcinka, gdzie wszystkie rury biegły poziomo. Z wielką ostrożnością Kylar odwiązał Logana, a potem Zgrzytacza. Rozciął sznury i zrzucił je do przepaści. W ślad za nimi poleciał bloczek. Poprowadził ich zwężającym się, poziomym odcinkiem, aż doszli do drzwi. Kylar zapukał trzy razy.

Drzwi się otworzyły i Logan stanął twarzą w twarz z Gorkhym.

– Logan, poznaj naszą wtyczkę – powiedział Kylar. – Gorkhy, twoje pieniądze są...

– Ty! – powiedział Gorkhy. Na jego twarzy malował się taki sam wstręt, jaki czuł Logan.

– Zabij go – wychrypiał Logan.

Gorkhy wybałuszył oczy. Złapał gwizdek, który nosił na sznurku na szyi. Jednakże, zanim gwizdek dotarł do ust, głowa odpadła od ciała. Trup padł bez najmniejszego dźwięku.

To poszło tak szybko, tak łatwo. Kylar odciągnął ciało tunelem, zrzucił je do szybu i wrócił minutę później. Logan właśnie zlecił pierwsze morderstwo.

Kylar nie prosił o wyjaśnienia. To była upiorna, cudowna i straszna chwila. To była władza. Logan poczuł się niepokojąco... wspaniale.

– Wasza Wysokość? – odezwał się Kylar, otwierając drzwi prowadzące z szybu, z koszmaru. – Królestwo czeka.

54

Kiedy Kaldrosa Wyn i dziesięć innych dziewczyn z Tchórzliwego Smoka wyszły z kryjówki Mamy K, Nory były odmienione. W powietrzu czuło się nerwowe podniecenie. Nocta Hemata okazała się triumfem, ale będzie miała swoje konsekwencje. Każdy o tym wiedział. Mama K powiedziała dziewczynom, że muszą opuścić podziemną kryjówkę, bo tajemnica jej istnienia przeciekła do niewłaściwych uszu. Jakimś cudem Anioł Nocy uratował je przed rzezią z ręki Hu Szubienicznika.

Kaldrosa słyszała już wcześniej plotki o Aniele Nocy, zaraz po najeździe, ale nie wierzyła w nie. Teraz wszyscy wiedzieli, że Anioł naprawdę istnieje. Widzieli ciało Hu Szubienicznika.

Mama K powiedziała im, że przemyci je z miasta tak szybko, jak to możliwe, jednak wywiezienie trzystu kobiet musiało potrwać. Sakage miało swoje sposoby, żeby obejść albo przejść pod nowymi murami Króla-Boga, ale nie było to łatwe. Grupa Kaldrosy Wyn miała wyjechać tej nocy. Mama K powiedziała im, że jeśli chcą zostać w mieście, jeżeli mają mężów, ukochanych albo rodziny, do których mogą wrócić, to wystarczy, że nie zjawią się w umówionym miejscu tej nocy.

W Norach panowała cisza i nastrój wyczekiwania, kiedy kobiety szły w stronę kryjówki. Oczywiście rzucały się w oczy, bo nadal wszystkie miały na sobie bogate stroje dziwek. Projekty pana Piccuna w świetle dnia, na zwykłej ulicy, wydawały się wyjątkowo

nieobyczajne. Co gorsza, kostiumy niektórych dziewcząt miały brązowo-czarne plamy od zaschniętej krwi.

Nie musiały jednak mijać żadnych strażników i wkrótce stało się jasne, że Khalidorczycy już nie zapuszczają się do Nor. Mieszkańcy dziwnie na nie patrzyli. Jeden z zaułków, którym próbowały przejść, był zablokowany przez budynek, który musiał się zawalić w czasie Nocta Hemata. Wobec tego Kaldrosa Wyn i reszta musiały przejść przez targ Durdun.

Na targowisku panował ruch, ale kiedy pojawiły na nim byłe dziwki, zapadła cisza. Wszyscy na nie patrzyli. Dziewczyny zacisnęły zęby, gotowe na drwiny, jakie z pewnością wzbudzą ich stroje, ale nic się nie stało.

Korpulentna handlarka rybami pochyliła się nad kramem i powiedziała:

– Dziewczęta, jesteśmy z was dumni.

To je kompletnie zaskoczyło. Pochwała spadła jak grom z jasnego nieba. Wszędzie było to samo. Ludzie na każdym kroku kiwali głowami, witając je i chwaląc, nawet kobiety, które jeszcze tydzień temu szydziłyby z dziewczyn do towarzystwa, chociaż zazdrościły im urody i łatwego życia. Mimo że Króliki czekały, aż Król-Bóg przyjdzie je zniszczyć, i dobrze wiedziały, że ta chwila nadejdzie, prześladowania zrodziły poczucie solidarności. Króliki zadziwiły same siebie własną odwagą tamtej nocy, a dziwki jakimś cudem stały się dla nich jednoczącym symbolem.

***

Cudownie samotna dwudniowa jazda do Cenarii wiązała się tylko z jednym problemem. Nie było irytującego dzieciaka. Ani rządzącej się staruchy. Żadnych potyczek na słowa. Ani upokorzeń. Jednakże Vi wreszcie miała czas na przemyślenia i dostrzegła, jak niewydarzone są jej plany.

Według pierwszego scenariusza miała pójść do Króla-Boga. To się wydawało wspaniałym pomysłem przez jakieś pięć minut.

Powiedziałaby mu, że Kylar nie żyje. Powiedziałaby, że Jarl nie żyje. Poprosiłaby o swoje złoto i odeszłaby.

Jasne. Uwagi siostry Ariel na temat czaru rzuconego na Vi były zdecydowanie zbyt konkretne jak na zgadywanki. I zdecydowanie zbyt prawdopodobne. Vi będzie albo na krótkiej smyczy, albo na długiej, ale zawsze na smyczy. Garoth Ursuul obiecał, że ją złamie. O takiej obietnicy się nie zapomina.

Prawdę mówiąc, Vi już się czuła złamana. Traciła ikrę. Jedna rzecz, to czuć się źle z powodu śmierci Jarla. Trzymał ją przy życiu. Był przyjacielem i kimś, kto nigdy nie domagałby się, żeby skorzystać z jej ciała. Nie stanowił zagrożenia, ani pod względem fizycznym, ani seksualnym.

Kylar to zupełnie inna historia, a jednak nawet teraz, kiedy powoli jechała ulicami Cenarii, z kapturem szczelnie zasłaniającym twarz, Vi nie potrafiła przestać o nim myśleć. Naprawdę żałowała, że Kylar nie żyje. Może nawet było jej smutno.

Kylar był diabelnie dobrym siepaczem. Jednym z najlepszych. To wstyd, że zabito go strzałą, prawdopodobnie z ukrycia. Nawet siepacz nie mógł temu zapobiec.

– Właśnie – powiedziała na głos. – To się mogło przydarzyć każdemu. To uświadamia mi moją własną śmiertelność. Żal chłopaka.

To nie był tylko żal. Nie to czuła i dobrze o tym wiedziała. Kylar był w pewnym sensie słodki. Jeśli można myśleć „w pewnym sensie słodki" w szyderczy sposób. W pewnym sensie uroczy. No, może nie aż tak uroczy. Ale starał się.

Tak naprawdę to wina Uly. Cały czas gadała i gadała, jaki był wspaniały. Niech to szlag.

No dobrze, może i bawiła się przelotną myślą, że Kylar mógłby być mężczyzną, który by ją zrozumiał. Był siepaczem, a jednak rzucił to i stał się porządnym człowiekiem. Jeśli on mógł, to ona też mogła.

Tak, był siepaczem, ale nigdy nie był dziwką. Myślisz, że to też by zrozumiał? Wybaczył? Jasne. Śmiało, zadurz się w nim, Vi.

Wypłakuj sobie oczy jak mała dziewczynka. Śmiało, udawaj, że mogłabyś być Elene, mieć przytulny domek, wieść przytulne życie. Na pewno to byłaby cudna zabawa karmić piersią bachory i robić na szydełku beciki.

Prawda jest taka, że nie miałaś nawet odwagi przyznać, że podkochiwałaś się w Kylarze, dopóki nie dowiedziałaś się, że nie żyje i jesteś bezpieczna.

Wszystko, czego Vi zawsze nienawidziła w kobietach, nagle ujawniło się w niej samej. Na miłość Nysosa, nawet tęskniła za Uly.

Jak jakaś pieprzona mamuśka.

No, to było śliczne. Chlip, chlip. Już lepiej się czujesz? Bo nadal mamy problem.

Siedziała na koniu przed lecznicą Drissy Nile. Wiedźma powiedziała, że sploty są niebezpieczne, ale Drissa może zdoła uwolnić Vi od czaru Króla-Boga. Patrząc na skromną lecznicę, Vi pomyślała, że stawia raczej na Króla-Boga.

Garoth zrobiłby z niej niewolnicę. Drissa Nile albo ją uwolni, albo zabije.

Vi weszła do środka. Musiała poczekać pół godziny, podczas gdy dwoje drobniutkich okularników – państwo Nile – zajmowało się chłopcem, który rąbał drewno na opał i wbił sobie siekierę w stopę. Kiedy rodzice zabrali go do domu, Vi powiedziała, że przysłała ją siostra Ariel. Nile'owie natychmiast zamknęli lecznicę.

Drissa posadziła Vi w jednym z pokojów przyjęć, a Tevor odciągnął część dachu, żeby wpuścić światło słoneczne. Wyglądali tak samo w workowatych ubraniach, oboje niscy i niekształtni, z siwiejącymi, brązowymi i prostymi jak snopki pszenicy włosami, w okularach i każde z pojedynczym kółkiem w uchu. Poruszali się z wprawą i swobodą świadczącą o długoletniej współpracy, ale Tevor Nile ewidentnie zdawał się na żonę. Oboje wyglądali na ludzi po czterdziestce, ale o ile uczony Tevor robił wrażenie wiecznie zamroczonego, o tyle Drissa bez wątpienia w każdej chwili nad wszystkim panowała.

Usiedli po obu stronach Vi, trzymając się za ręce za jej plecami.

Drissa wolną dłoń położyła na szyi Vi, a Tevor oparł palce na jej przedramieniu. Vi poczuła zimne mrowienia na skórze.

– A więc... jak poznałaś Ariel? – zapytała Drissa.

Tevor robił wrażenie, jakby kompletnie odpłynął w głąb siebie.

– Zabiła mojego konia, żebym nie wjechała do Lasu Ezry. Drissa odchrząknęła.

– Rozumiem...

– Aaaach! – wrzasnął Tevor.

Szarpnął się do tyłu i spadł ze stołka, uderzając potylicą o kamienny kominek.

– Niczego nie dotykaj!

Równie szybko jak upadł, zerwał się na nogi.

Vi i Drissa spojrzały na niego skonsternowane. Potarł tył głowy.

– Na setkę, omal nas wszystkich nie spaliłem. – Usiadł. – Drissa, spójrz na to.

– Och, Ariel mówiła, że pułapkę umieszczono w bardzo ciekawy sposób – wyjaśniła Vi.

– Teraz mi to mówisz?! – zawołał Tevor. – Ciekawy? Ona to nazywa „ciekawy”?!

– Powiedziała, że jesteście najlepsi w drobnych splotach.

– Tak? – Zachowanie Tevora zmieniło się w jednej chwili.

– W każdym razie, że Drissa jest.

Uniósł ręce.

– Oczywiście, że Drissa. Przeklęte siostry, nie mogą przyznać, że mężczyzna może być w czymś dobry, przez gardło im to nie przejdzie.

– Tevor – upomniała go Drissa. Natychmiast się uspokoił.

– Tak, kochanie?

– Nie widzę tego. Możesz to unieść... Natychmiast wypuściła powietrze.

– O, rety. O, rety. Tak, nie podnoś tego.

Tevor nic nie powiedział. Vi obróciła się, żeby zobaczyć jego minę.

– Dziecko, nie ruszaj się, proszę – powiedziała Drissa.

Przez dziesięć minut pracowali w milczeniu. A przynajmniej Vi myślała, że pracują. Nie czuła nic poza muśnięciami na kręgosłupie.

Wreszcie Tevor chrząknął.

– Skończyliśmy? – spytała Vi.

– Skończyliśmy? – powtórzył. – Nawet nie zaczęliśmy. Badałem uszkodzenia. Ciekawy sposób? Z pewnością ciekawy. Są tu trzy dodatkowe czary chroniące główne zaklęcie. Mogę się do nich dobrać. Przełamanie ostatniego będzie bolało. I to bardzo. Dobra nowina jest taka, że na całe szczęście przyszłaś do nas. Zła, że dotykając splotu, przerwałem go. Jeśli nie rozwikłam go w jakąś godzinę, wysadzi ci głowę. Mogłaś powiedzieć, że to Vürdmeister rzucił na ciebie czar. Kryjesz jeszcze jakieś niespodzianki?

– Jakie jest to główne zaklęcie? – zapytała Drissę Vi. – To przymus. Zaczynaj, Tevorze.

Mężczyzna westchnął i znowu odpłynął w głąb siebie. Najwyraźniej nie był w stanie rozmawiać podczas pracy. Drissa zaś wprost przeciwnie. Vi zauważyła, że ręce uzdrowicielki zaczynają

delikatnie jaśnieć, w miarę jak mówiła:

– Niedługo zacznie boleć, Vi, i to nie tylko fizycznie. Nie możemy cię znieczulić, ponieważ Vürdmeister założył pułapkę w tym obszarze mózgu. Normalnie uzdrowiciel zacząłby od znieczulenia, więc Vürdmeister zadbał, aby to cię zabiło. Nie ruszaj się teraz.

Świat stał się biały i taki pozostał. Vi oślepła.

– Słuchaj tylko mojego głosu – powiedziała Drissa. – Rozluźnij się.

Vi oddychała szybko i płytko. Nagle świat powrócił. Znowu widziała.

– Jeszcze cztery razy i rozwikłamy pierwszy czar – powiedziała Drissa. – Będzie ci łatwiej, jeśli zamkniesz oczy.

Vi natychmiast zacisnęła powieki.

– Więc – odchrząknęła – przymus.

– Tak. Magia przymusu ma wiele ograniczeń. Żeby zaklęcie działało, rzucający je musi mieć nad tobą władzę. Musisz czuć, że jesteś mu winna posłuszeństwo. Najgorzej byłoby z rodzicem, mentorem albo generałem, gdybyś była w wojsku.

Albo królem. Albo bogiem. Niech to diabli.

– Niemniej dobra nowina jest taka – ciągnęła Drissa – że możesz odrzucić przymus, jeśli zdołasz odrzucić władzę, jaką ta osoba ma nad tobą.

– Genialne – powiedział Tevor. – Niech to szlag, genialne. Chore, szalone, ale i genialne. Widziałaś, jak zakotwiczył pułapki w jej własnej glore vyrden? Sprawił, że sama podtrzymywała jego czar.

Potwornie mało wydajne, ale...

– Tevor.

– Jasne. Do roboty.

Żołądek Vi zacisnął się konwulsyjnie, jakby wymiotowała. Kiedy to minęło, zapytała:

– Odrzucić, ale jak?

– Ach, przymus? Powinniśmy dać radę go przełamać dziś po południu. Ale to nie będzie łatwe. Próbując rozwiązać splot w niewłaściwym kierunku, można go zacisnąć. Ale nie będziesz miała z tym żadnych kłopotów.

– Dlaczego... – Zaciskający się żołądek uciął resztę pytania Vi.

– Jako magi nie możemy używać przymusu, ale uczymy się, jak się przed nim bronić. Nie mając nas, do odrzucenia przymusu potrzebowałabyś zewnętrznej oznaki wewnętrznej przemiany, symbolu pokazującego, że jesteś lojalna wobec kogoś innego. To też będziesz miała załatwione, gdy tylko włożysz białą suknię i wisiorek.

Vi spojrzała na nią tępo.

– Kiedy wstąpisz do Oratorium – wyjaśniła Drissa. – Zamierzasz wstąpić do Oratorium, prawda?

– Chyba tak – powiedziała Vi. Nie zastanawiała się tak naprawdę nad przyszłością, ale w Oratorium będzie bezpieczna przed Królem-Bogiem.

– Drugi. Ha! – triumfował Tevor. – Opowiedz jej o Pullecie Vikrasin.

– Lubisz tę historię, bo przedstawia Oratorium w złym świetle.

– Och, jasne, od razu zepsuj puentę. Drissa przewróciła oczami.

– Opowiadając w wielkim skrócie: dwieście lat temu głowa jednego z zakonów stosowała przymus wobec swoich podwładnych i nikt o niczym nie wiedział, dopóki pewna maga, Pulleta Vikrasin nie wyszła za mąż. Za maga. Ponieważ winna była wtedy lojalność mężowi, przełamało to czar przymusu i doprowadziło do tego, że kilka sióstr niezwykle surowo ukarano.

– Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś gorzej opowiedział tę historię – oznajmił Tevor. Spojrzał na Vi. – Ten ślub nie tylko prawdopodobnie uratował Oratorium, ale w pokręconych umysłach tych starych panien potwierdził także, że mężatka nigdy nie będzie w pełni lojalna wobec Oratorium. Nie mogę się doczekać, kiedy Inwentarz się zbierze i...

– Tevor. Ostatni czar? – przerwała mu Drissa. Drobny mężczyzna znowu zabrał się do pracy.

– Przepraszam, niedługo aż nadto nasłuchasz się o polityce Oratorium. Tevor jest nadal rozgoryczony z powodu tego, jak potraktowały mnie po wyjściu za mąż. – Pociągnęła się za kółko w uchu.

– Więc o to chodzi z tymi kolczykami? – zrozumiała Vi.

Nic dziwnego, że w Waeddrynie widziała tyle kolczyków. To były kolczyki ślubne.

– Poza tym, że odchudzają ci sakiewkę o parę tysięcy królowych, to owszem, to właśnie znaczą. Kołozłotnicy mówią kobietom, że kolczyki sprawią, że ich mężowie będą bardziej potulni, a

mężczyznom mówią, że kolczyki sprawią, że ich żony będą bardziej, powiedzmy, namiętne? Mówi się, że w dawnych czasach męża z kolczykiem nie mogła podniecić żadna kobieta oprócz żony. Możesz sobie wyobrazić, jak dobrze się sprzedawały. To wszystko kłamstwa. Może kiedyś to była prawda, ale teraz w kółkach jest ledwie tyle magii, żeby zamykały się bez śladu i nie przestawały błyszczeć.

Och, Nysosie. Nagle list Kylara do Elene nabrał o niebo większego sensu. Vi nie ukradła po prostu drogiej biżuterii; ukradła jego zapewnienie o wiecznej miłości. Znowu zrobiło jej się niedobrze, ale tym razem podejrzewała, że to nie ma nic wspólnego z magią Tevora.

– Jesteś gotowa, Vi? Tym razem będzie naprawdę boleć, i to nie tylko na ciele. Zdejmowanie przymusu sprawi, że przeżyjesz raz jeszcze wszystkie znaczące doświadczenia z autorytetami. Domyślam się, że to nie będzie dla ciebie przyjemne.

Dobrze myślisz.

***

Drissa Nile była jedyną osobą, która mogła teraz pomóc. Logan był w fatalnym stanie. Wydostanie go z wyspy Vos było względnie proste, ale zajęło sporo czasu i Kylar nie miał pewności, ile go jeszcze zostało przyjacielowi.

Logana dźgnięto w plecy i poza tym miał mnóstwo innych ran, w tym cięcia przez żebra i na ręce, które były czerwone, rozpalone i

zaropiałe.

Niewielu magów znalazło sobie dom w Cenarii w ciągu ostatnich dziesięcioleci, ale Kylar zaczynał wierzyć, że Oratorium nigdy nie porzucało żadnego zakątka świata. Wiedział, że w mieście działa kobieta, która cieszy się znakomitą reputacją jako uzdrowicielka i jeśli ktokolwiek w tym mieście był magiem, to z pewnością ona. Lepiej, żeby to była prawda, bo Logan zdecydowanie potrzebował leczniczej magii. Zwłaszcza jeśli idzie o rękę.

Kylar nie był nawet pewien, co to jest, ale najwyraźniej przeżarło się do żywego ciała. Najdziwniejsze było to, że nie rozlało się na rękę Logana w przypadkowy sposób, jakby można się spodziewać po tryskającej krwi, ale ułożyło się we wzór. Kylar nie wiedział nawet, czy powinien to polać wodą, opatrzyć, czy co zrobić. Wszystko mogło pogorszyć stan ręki.

I czym u diabła był tamten stwór? W odpłacie za liczne rany, jakie zadało mu to stworzenie, Kylar zabrał mu ząb jadowy. Musiał jednak przyznać, że przeżył w równej mierze dzięki szczęściu, co umiejętnościom. Gdyby w jaskini nie było tylu stalagmitów, szybkość stworzenia przewyższyłaby wszelkie możliwości Kylara. Skóra potwora była nie do przebicia, nawet przy całej sile Talentu Kylara. Podejrzewał, że oczy można było zranić, ale potwór trzy razy zrobił unik, zanim Logan i Zgrzytacz odwrócili jego uwagę. I jak ta bestia pływała – spotkanie w wodzie to był prawdziwy koszmar. Pewnie będzie się śniła Kylarowi przez resztę jego życia.

Mimo to uratowanie Logana było czymś najlepszym, czego

dokonał w życiu. Logan potrzebował pomocy i zasługiwał na ratunek, a Kylar był jedyną osobą, która mogła go ocalić. To był cel Kylara. To rekompensowało wszystko, co poświęcił. To dlatego został Aniołem Nocy.

Wszedł do Nor ze swoim dziwacznym ładunkiem i załadował go na kryty wóz. A potem podjechał do lecznicy Drissy Nile.

Lecznica znajdowała się w najbogatszej części Nor, tuż przy moście Vanden i była całkiem spora, opatrzona szyldem „Nile i Nile, medykusi" z rysunkiem różdżki uzdrowicielskiej dla niepiśmiennych. Jak wcześniej Durzo, Kylar unikał tego miejsca, obawiając się, że mag mógłby rozpoznać, czym Kylar jest. Teraz nie miał wyjścia. Podjechał na tyły, podniósł Logana z wozu i zaniósł go do tylnych drzwi. Zgrzytacz poszedł za nim.

Drzwi były zamknięte.

Muśnięcie Talentem załatwiło tę kwestię. Zasuwka wybuchła i drewno posypało się na boki. Kylar wniósł Logana do środka.

W lecznicy było kilka pokojów odchodzących od znajdującej się pośrodku poczekalni. Odgłos wybuchu zasuwki we framudze przywołał mężczyznę. Wyszedł z jednego z pokojów przyjęć. Kylar dostrzegł dwie rozmawiające kobiety, zanim medykus zamknął za sobą drzwi. Jedno spojrzenie potwierdziło, że frontowe drzwi też są zaryglowane.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał medykus. – Nie możesz się tu włamywać.

– Do diabła, jaki medykus rygluje drzwi w biały dzień? – zapytał

Kylar.

Kiedy spojrzał mężczyźnie w oczy, zorientował się, że nie jest przestępcą. I dostrzegł coś jeszcze – ciepłe, zielone światło jak w lesie po burzy, kiedy wyjdzie słońce.

– Jesteś magiem – powiedział Kylar.

Myślał, że ten mężczyzna robił po prostu za przykrywkę, był medykusem, którego Drissa Nile wykorzystywała, żeby odwrócić uwagę od swoich „zbyt-cudownych" uzdrowień. Mylił się.

Mężczyzna zesztywniał. Nosił okulary z prawym szkłem o wiele mocniejszym od lewego, przez co oczy, które nagle wytrzeszczył, sprawiały wrażenie niepokojąco asymetrycznych.

– Nie wiem, o czym mówisz... – zaczął.

Kylar poczuł, że coś go musnęło, próbowało wysondować, ale ka'kari na to nie pozwoliło. Mag nie dokończył zdania.

– Jesteś dla mnie niewidzialny. Jakbyś... jakbyś był martwy. Niech to szlag.

– Jesteś uzdrowicielem czy nie? Mój przyjaciel umiera – powiedział Kylar.

Po raz pierwszy mężczyzna spojrzał na Logana. Kylar narzucił na niego koc, żeby chronić przed ciekawskim wzrokiem.

– Tak – powiedział mężczyzna. – Tevor Nile do usług. Proszę położyć go tam, na stole.

Weszli do pustego pokoju. Tevor odrzucił koc i zacmokał z troską. Kylar położył Logana na stole twarzą do dołu. Medykus rozciął przesiąkniętą krwią, brudem i potem szmatę udającą tunikę i

spojrzał na ranę na plecach. Pokręcił głową.

– Za dużo tego – powiedział. – Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Jesteś magiem, zacznij od magii. – Nie jestem...

– Jeśli jeszcze raz mnie okłamiesz, przysięgam, że cię zabiję – powiedział Kylar. – Po co to palenisko tych rozmiarów w tak małym pokoju? Po co odsuwana część dachu? Bo potrzebujesz ognia albo światła słonecznego do magii. Nikomu nie powiem. Musisz wyleczyć tego człowieka. Popatrz na niego. Wiesz, kto to jest?

Kylar obrócił Logana, odrzucają obszarpaną tunikę.

Tevora Nile'a aż zatkało, ale nie patrzył na twarz Logana. Patrzył na jaśniejący wzór na jego ręce.

– Drissa! – krzyknął.

Kylar słyszał dobiegające z drugiego pokoju głosy dwóch rozmawiających kobiet.

– ...myślisz? Jak to myślisz? Jest już po wszystkim, czy nie?

– Jesteśmy pewni, że to już wszystko – odpowiedziała druga kobieta.

– DRISSA! – ryknął Tevor.

Gdzieś otworzyły się drzwi, zamknęły i zaraz otworzyły się drzwi do ich pokoju. Pojawiła się w nich poirytowana twarz Drissy Nile. Była pomarszczona jak twarz jej męża, chociaż kobieta nie miała chyba jeszcze pięćdziesiątki. Oboje byli drobni i wyglądali na uczonych z powodu okularów i workowatego ubrania. Jak w przypadku męża, Kylar nie dostrzegł w niej śladu zła, ale z pewnością dostrzegł coś dodatkowego, co uznał za przejaw magii.

Dwoje magów, którzy się pobrali. W Cenarii. Osobliwa rzecz, niewątpliwie, zwłaszcza tutaj. Kylar uznał, że to najszczęśliwsza osobliwość, na jaką mógł trafić. Jeśli dwoje magów-uzdrowicieli nie zdoła uratować Logana, to nikt nie potrafi.

Irytacja Drissy zniknęła, gdy tylko zobaczyła Logana. Wytrzeszczyła oczy. Podeszła bliżej i patrzyła w zadziwieniu to na jego twarz, to na rękę.

– Skąd to ma? – zapytała.

– Możesz mu pomóc? – odpowiedział pytaniem Kylar. Drissa spojrzała na Tevora. Pokręcił głową.

– Nie po tym, co właśnie zrobiłem. Nie sądzę, żebym miał w sobie dość mocy. Nie na coś takiego.

– Spróbujemy – odpowiedziała Drissa.

Tevor posłusznie pokiwał głową, a Kylar po raz pierwszy zauważył kółka w ich uszach. Złote, oba, do pary. Byli Waeddryriczykami.

W innych okolicznościach zapytałby ich, czy te przeklęte kółka rzeczywiście są magiczne.

Tevor odciągnął część dachu, żeby wpuścić do środka światło pochmurnego poranka. Drissa dotknęła drewna ułożonego w palenisku. Od razu zapłonęło. Małżonkowie zajęli pozycje po obu stronach Logana i powietrze nad nimi zadrżało.

Kylar przesunął ka'kari wewnątrz siebie do oczu. To było zupełnie jakby założyć okulary niemal ślepemu człowiekowi. Sploty nad Loganem, które były ledwo widoczne, teraz stały się wyraźne.

– Znasz się na ziołach? – zapytała Kylara Drissa. Skinął głową, więc poleciła:

– Z naszej zielarni przynieś liście Tuntun, balsam grubelowy, srebrnoliść, ziele ambrozji i biały kataplazm z górnej półki.

Kylar wrócił minutę później, z wymienionymi składnikami i paroma innymi, które uznał, że mogą być pomocne. Tevor spojrzał na nie i skinął głową, ale najwyraźniej nie był w stanie mówić.

– Dobrze, świetnie – powiedziała Drissa.

Kylar zaczął nakładać zioła i kataplazmy, podczas gdy Drissa i Tevor pracowali nad magicznymi splotami. Widział, jak raz za razem zanurzają w Loganie splot gruby jak w gobelinie, dopasowują go do ciała, podnoszą z powrotem, naprawiają i ponownie zanurzają. Jednakże tym, co go zaskoczyło, była reakcja ziół.

Nigdy nie brał pod uwagę tego, że normalne rośliny mogą reagować na magię, ale najwyraźniej tak właśnie się działo. Srebrnoliść, który upchnął do kłutej rany na plecach Logana, w kilka sekund poczerniał. Pierwszy raz Kylar coś takiego widział.

Proces leczenia przypominał mu taniec. Tevor i Drissa pracowali w absolutnej harmonii, ale mężczyzna był coraz bardziej zmęczony. Po pięciu minutach zaczął tracić siły. Jego część splotów stawała się drżąca i cienka. Twarz miał bladą i spoconą. Cały czas mrugał i poprawiał na długim nosie zsuwające się okulary. Kylar widział wycieńczenie maga, ale nic nie mógł na to poradzić. Co innego widzieć słabość tancerza, a co innego potrafić wyjść na parkiet i zrobić coś lepiej za niego. Żałował, że nie może tego dokonać. Nie

bardzo wiedział, skąd to wie, ale wydawało mu się, że za każdym razem Drissa stara się wprowadzać coraz mniejsze zmiany w ciele Logana, który jednak nadal był w potwornie ciężkim stanie. Kiedy Kylar patrzył na przyjaciela poprzez uzdrawiający splot, całe jego ciało miało niezdrowy kolor. Kylar dotknął go i poczuł żar.

Czuł się bezradny. Miał Talent. Nadal miał moc; po tym wszystkim, nadal ją miał. Zmusił ka'kari do cofnięcia się, zmusił się do odsłonięcia, próbował przelać całą magię w Logana. Nic się nie stało.

Niech cię szlag, weź to. Zdrowiej!

Logan się nie poruszył. Kylar nie potrafił wykorzystać magii, nie miał pojęcia, jak stworzyć jakikolwiek splot, już nie mówiąc o tak skomplikowanych jak te, które tworzyli Nile'owie.

Tevor spojrzał na Kylara przepraszająco. Poklepał go po dłoni.

Kiedy tylko go dotknął, światło zapłonęło w całym pokoju. Buzowało, wychodząc poza spektrum magiczne, aż stało się widzialne i sprawiło, że na ściany padły cienie obecnych. Sploty nad Loganem, które jeszcze chwilę temu słabły, gasły i rozpływały się, teraz zapłonęły jasno. Żar buchnął z dłoni Kylara.

Tevor łapał powietrze jak ryba.

– Tevor! – krzyknęła Drissa. – Wykorzystaj to!

Kylar poczuł, że Talent wycieka z niego, poczuł, jak jego magia przepływa przez Tevora i przelewa się do ciała Logana. Nie panował nad tym. Tevor całkowicie kierował Talentem Kylara. Kylar zdał sobie sprawę, że Tevor mógłby wykorzystać tę magię i zabić go;

poddając mu się w ten sposób, nie zdołałby go powstrzymać.

Twarz Drissy spłynęła potem. Kylar czuł, że magowie pracują gorączkowo. Przeczesywali ciało Logana magią jak grzebieniem splątane włosy. Dotknęli jaśniejącej blizny na jego ręce – po tylu godzinach nadal jaśniała – ale choć to dziwne, nie działo się tam nic złego. To było coś, czego nie mogli naprawić. Lecznicza magia po prostu przez to przeszła.

Wreszcie Drissa odetchnęła i pozwoliła splotowi się rozproszyć. Logan będzie żył, nawet więcej – pewnie będzie zdrowszy, niż kiedy trafił do Paszczy.

Tevor jednak nie wypuścił Kylara. Odwrócił się i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tevor – rzuciła ostrzegawczo Drissa.

– Czym jesteś? Vürdmeisterem? – zapytał mag.

Kylar próbował przywołać ka'kari, żeby zerwało połączenie, ale nie mógł. Próbował przygotować mięśnie, korzystając z siły Talentu, ale nie był w stanie.

– Tevor – powtórzyła Drissa.

– Widziałaś? Widzisz to? Nigdy...

– Tevor, wypuść go.

– Skarbie, mógłby spalić nas oboje takim Talentem. On...

– Więc wykorzystasz przeciwko niemu jego własną magię, po tym, jak ci się poddał? Co by powiedzieli na to bracia? Takiego człowieka poślubiłam?

Tevor spuścił głowę i jednocześnie wypuścił Talent Kylara.

– Przepraszam.

Kylar zadrżał, wycieńczony, pusty, słaby. Odzyskanie panowania nad Talentem było równie niepokojące, jak wcześniejsza utrata go. Czuł się, jakby nie spał od dwóch dni. Ledwo miał siłę, żeby się ucieszyć, że Logan przeżyje.

– Myślę, że powinniśmy zająć się teraz tobą i twoim nierozgarniętym przyjacielem. Do waszych ran wystarczą bardziej przyziemne metody – powiedziała Drissa. Zniżyła głos. – A... ehm... król powinien odzyskać przytomność dziś wieczorem. Może przejdziesz ze mną do drugiego pokoju?

Otworzyła drzwi i Kylar wyszedł do poczekalni. Zgrzytacz zwinął się w kącie i zasnął. A dokładnie przed Kylarem stała piękna, kształtna kobieta o długich, rudych włosach. Vi. Patrzyła na niego ponad wyciągniętym nagim mieczem. Koniec ostrza dotykał jego gardła.

Kylar sięgnął po Talent, ale prześlizgnął mu się przez palce. Był zbyt zmęczony.

To koniec. Nie mógł jej w żaden sposób powstrzymać.

Patrzyła na niego ponad ostrzem przez chwilę, która coraz bardziej się przeciągała. Nie potrafił niczego odczytać z jej zielonych oczu, ale było w nich coś dzikiego.

Vi odsunęła się, stawiając trzy odmierzone, wyważone kroki – *Valdé Docci,* Odwrót Fechmistrza. Uklękła pośrodku pokoju, pochyliła głowę i odsunęła na bok włosy, kładąc obnażony miecz na dłoniach. Uniosła ręce, oddając broń.

– Moje życie należy do ciebie, Kylarze. Poddaję się twojemu sądowi.

55

Siedem z jedenastu dziewczyn do towarzystwa opuściło kryjówkę, żeby sprawdzić, czy mają rodziny, do których mogą wrócić. Sześć wróciło z płaczem. Niektóre były teraz wdowami. Inne zostały zwyczajnie odepchnięte przez ojców, kochanków albo mężów, którzy widzieli tylko kurwy i hańbę.

Kaldrosie zabrakło odwagi. W ogóle nie wyszła z kryjówki. Z jakiegoś powodu była w stanie stawić czoło śmierci. Pozbawiła męskości Burla Laghara i patrzyła, jak wykrwawia się na śmierć przywiązany do łóżka, wrzeszcząc w knebel. Potem przeniosła ciało, położyła świeżą pościel na łóżku i powitała następnego khalidorskiego żołnierza. To był młody człowiek, który nieodmiennie najpierw uprawiał seks, a potem bez przekonania zabierał się do bicia i inwokacji. Zawsze robił wrażenie zdegustowanego samym sobą.

– Dlaczego to robisz? – zapytała go. – Nie lubisz mnie krzywdzić. Wiem, że nie lubisz.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Nie wiesz, jak to jest. Wszędzie mają szpiegów. Twoja własna rodzina zwróci się przeciwko tobie, jeśli pozwolisz sobie na niewłaściwy żart. On wie.

– Ale po co bić dziwki?

– Nie chodzi tylko o dziwki. Chodzi o wszystkich. Potrzebujemy cierpienia. Dla Obcych.

– Co masz na myśli? Jakich obcych?

Nic więcej nie powiedział. Chwilę potem zagapił się na prześcieradła. Krew z materaca zaczynała przesączać się przed świeże posłanie. Kaldrosa dźgnęła go w oko. W żadnym momencie, nawet kiedy rzucił się na nią zakrwawiony i wściekły, nie bała się.

Ale stawić czoło Tommanowi – to ją przerosło. Okropnie się pokłócili, zanim odeszła do Mamy K. Zatrzymałby ją siłą, gdyby nie był tak pobity, że nie mógł się podnieść z łóżka. Tomman zawsze był zazdrosny. Nie, Kaldrosa nie mogła stawić mu czoła. Odejdzie razem z pozostałymi i uda się do obozu rebeliantów. Nie wiedziała, co tam zrobi. Obóz znajdował się w głębi lądu i nawet nie w pobliżu rzeki, więc nie znajdzie tam za wiele roboty dla kapitana. Prawdę mówiąc, jeśli nie zdobędzie chociaż trochę bardziej przyzwoitego ubrania, to w ogóle nie dostanie żadnej uczciwej roboty. Z drugiej strony, po Khalidorczykach nawet bycie dziewczyną do towarzystwa dla Cenaryjczyków nie byłoby najgorsze.

Ktoś zapukał do drzwi i wszystkie dziewczyny zamarły. To nie był umówiony sygnał. Żadna się nie poruszyła. Daydra wyjęła pogrzebacz z kominka.

Znowu rozległo się pukanie.

– Proszę – rozległ się męski głos. – Nie mam złych zamiarów. Jestem nieuzbrojony. Proszę, wpuście mnie.

Kaldrosie serce podeszło do gardła. Z zamętem w głowie podeszła do drzwi.

– Co robisz? – szepnęła Daydra.

Kaldrosa otworzyła judasz i tak, to był on. Tomman zobaczył ją i

się rozpromienił.

– Żyjesz! Och, na bogów, Kaldroso, bałem się, że nie żyjesz. Co się dzieje? Wpuść mnie.

Zasuwka jakby sama się odsunęła. Kaldrosa była bezsilna. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Tomman porwał ją w ramiona.

– Och, Kally – mówił, nadal nieprzytomny z radości. Tomman nigdy nie był przesadnie bystry. – Nie wiedziałem, czy...

Dopiero teraz zauważył pozostałe kobiety zebrane w pokoju; na ich twarzy malowała się radość albo zazdrość. Chociaż obejmował ją i nie mogła widzieć jego twarzy, Kaldrosa wiedziała, że zamrugał na widok tylu pięknych, egzotycznych kobiet zebranych w jednym miejscu i ubranych niezwykle skąpo. Nawet dziewicza suknia Daydry tchnęła zmysłowością. Objęcia Tommana powoli sztywniały, a Kaldrosa wisiała w nich bezwładnie.

Tomman odsunął się na krok i spojrzał na nią. Jego dłonie odskoczyły od jej ramion, jak ryby rzucające się spazmatycznie na pokładzie.

To był naprawdę piękny kostium. Kaldrosa zawsze nienawidziła swojej chudej figury. Uważała, że wygląda jak chłopak. W tym ubraniu nie czuła się ani chuda, ani chłopięca, ale zadbana i ponętna. Rozpięta koszula nie tylko zdradzała, że Kaldrosa jest opalona, ale też podkreślała odsłonięte do połowy piersi. Nieprzyzwoite spodnie pasowały jak rękawiczka.

Jednym słowem miała strój, który Tomman chciałby oglądać na niej w ich domu – w tym krótkim czasie między chwilą, w której

zaskoczyłaby go swoim wyglądem, a momentem, w którym już by ją złapał po radosnej gonitwie po domu.

Ale to nie był ich dom, a te ubrania nie były dla Tommana. Jego oczy napełniły się rozpaczą. Odwrócił wzrok.

Zrobiło się bardzo cicho.

Po boleśnie długiej chwili powiedział:

– Jesteś piękna.

Głos mu się załamał i po twarzy popłynęły mu łzy.

– Tomman...

Ona też płakała, próbując zasłonić się rękami. Co za gorzka ironia. Próbowała zasłonić się przed spojrzeniem męża, a obnosiła się z tym strojem przed obcymi, którymi gardziła.

– Z iloma byłaś? – spytał łamiącym się głosem.

– Zabiliby cię...

– Więc teraz już nie jestem prawdziwym mężczyzną? – warknął.

Przestał płakać. Zawsze był odważny i gwałtowny. To w nim kochała. Zginąłby, żeby ją uchronić przed tym losem. Tylko nie zdawał sobie sprawy, że, gdyby zginął, i tak musiałaby zrobić to, co zrobiła.

– Biją mnie – powiedziała.

– Ilu? – pytał ostro, szorstko.

– Nie wiem.

Po części rozumiała, że Tomman jest teraz jak pies ogłupiały z bólu, który warczy na własnego pana. Ale odraza na jego twarzy to było więcej niż mogła znieść. Więc była odrażająca. Poddała się

rozpaczy i martwocie.

– Mnóstwo. Dziewięciu albo dziesięciu dziennie. Wykrzywił twarz i ruszył do drzwi.

– Tomman, nie zostawiaj mnie. Proszę. Przystanął, ale się nie odwrócił. A potem wyszedł.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim delikatnie, zaczęła lamentować. Dziewczyny podeszły do niej, z sercami na nowo złamanymi, bo, jej cierpienie odzwierciedlało ich własne. Chociaż wiedziały, że nic jej nie pocieszy, podeszły, bo nie miała nikogo, kto by się o nią zatroszczył. One też nie miały już nikogo.

56

Mama K weszła do lecznicy medykusów akurat, kiedy Kylar porwał miecz w ręce, ale nie zdążyła go powstrzymać. Vi się nie poruszyła. Klęczała w bezruchu. Lśniące, rude włosy odsunęła, żeby nie zasłaniały szyi przed mieczem. Ostrze opadło... i odbiło się. Uderzenie sprawiło, że miecz zadźwięczał jak dzwon i wypadł z pozbawionej czucia dłoni Kylara.

– Nie będziesz mordował w mojej lecznicy – powiedziała Drissa Nile.

W jej głosie była taka moc, a w oczach taki ogień, że jej drobna postać równie dobrze mogłaby należeć do olbrzyma. Chociaż Kylar musiał zerknąć w dół, żeby spojrzeć jej w oczy, był pod wrażeniem.

– Dokonaliśmy niezwykłej sztuki, lecząc tę kobietę i nie pozwolę ci tego zepsuć – dodała Drissa.

– Wyleczyliście ją? – zapytał Kylar.

Vi nadal się nie poruszyła. Wbiła wzrok w podłogę.

– Z zaklęcia przymusu – powiedziała Mama K. – Mam rację?

– Skąd wiesz? – zdziwił się Tevor.

– Wiem, jeśli coś takiego dzieje się w moim mieście – odpowiedziała Mama K. Zwróciła się do Kylara: – Król-Bóg związał ją czarem, który zmuszał ją do wypełniania jego bezpośrednich rozkazów.

– Jakie to wygodne. – Kylar wykrzywił się, dławiąc łzy, które już wzbierały. – Nie obchodzi mnie to. Zabiła Jarla. Sam zmyłem jego

krew. Sam go pochowałem.

Mama K dotknęła jego ramienia.

– Kylar, Vi i Jarl razem dorastali. Jarl chronił ją. Byli przyjaciółmi. Takimi przyjaciółmi, jakich nigdy się nie zapomina. Nie wierzę, żeby do skrzywdzenia go zmusiło ją cokolwiek słabszego od magii. Mam rację, Vi?

Mama K ujęła Vi pod brodę i uniosła jej twarz.

Po policzkach dziewczyny płynęły łzy w niemym świadectwie.

– Czego uczył cię Durzo? – spytała Kylara Mama K. – Siepacz to nóż. Winny jest nóż czy ręka?

– Jedno i drugie, i niech diabli wezmą Durzo za jego kłamstwa. Miał za pasem nóż, ale już sprawdził ostrze. Jak przewidział, siostra Drissa je stępiła. Nie wiedziała jednak o ostrzach, które miał schowane w rękawach. Ani nie mogła powstrzymać broni, jaką były jego ręce.

Vi dostrzegła to w jego oczach. Była siepaczem. Wiedziała. Mógł wyciągnąć nóż i podciąć jej gardło, a Drissa nie zdążyłaby nawet mrugnąć. Niech uzdrowicielka spróbuje wyleczyć ją ze śmierci. Oczy Vi były czarne od winy, mieszaniny mrocznych obrazów, których nie pojmował. Dostrzegł krótki pochód czarnych postaci. To jej ofiary?

„Zamordowała mniej ludzi niż ty”.

Ta myśl uderzyła go jak cios w splot słoneczny. To dopiero wina. To dopiero sędzia.

A na jej zalanej łzami twarzy malowała się gotowość. Nie było w niej użalania się nad sobą, unikania odpowiedzialności. Oczy Vi

przemawiały w jej imieniu: „Zabiłam Jarla. Zasłużyłam na śmierć. Jeśli mnie zabijesz, nie będę cię winić”.

– Zanim podejmiesz decyzję, musisz wiedzieć o czymś jeszcze – powiedziała Vi. – Byłeś drugim celem. Po... po Jarlu, nie mogłam tego zrobić...

– To godne pochwały – wtrąciła Mama K.

– ...więc porwałam Uly, żebyś na pewno pojechał za mną.

– Co takiego?! – wykrzyknął Kylar.

– Pomyślałam, że będziesz ścigał mnie aż do Cenarii. Król-Bóg chce cię żywego. Ale siostra Ariel złapała mnie i Uly. Kiedy cię znalazłyśmy, uwierzyłam, że nie żyjesz. Myślałam, że jestem wolna, więc uciekłam od siostry Ariel i przyjechałam tutaj.

– Gdzie jest Uly?

– W drodze do Oratorium. Jest Utalentowana. Będzie maga. To było straszne, ale i wspaniałe.

Uly zostanie siostrą. Zadbają o nią, zapewnią jej wykształcenie. Obarczył Elene opieką nad Uly. A przecież sama Elene nie zdecydowałaby się na córkę, która z racji wieku mogła być raczej jej młodszą siostrą. To nie było w porządku z jego strony – prosić Elene, żeby wzięła na siebie taki ciężar. A teraz, mając fortunę, którą jej zostawił, Elene będzie mogła znowu żyć własnym życiem. Wszystko układało się w logiczną całość.

Męczyła go pewna wątpliwość; czuł, że nie myśli w sposób, w jaki rozumowałaby Elene, nic jednak nie mógł na to poradzić. Kiedy się dowiedział, że zminimalizowano szkody – bo czyż nie? – ulżyło

mu.

W oczach Mamy K zapłonął ogień, na wieść, że jej córkę zabrano do Oratorium, ale Kylar nie wiedział, czy zdenerwowała się, bo zabrano jej córkę, czy też ucieszyła się, że dziewczynka stanie się kimś ważnym. Tak czy inaczej, Mama K szybko stłumiła ten płomień. Nie zamierzała zdradzić się przed obcymi, że Uly to jej córka.

Jeśli to przeżyje, Kylar zamierzał pojechać do Oratorium i zobaczyć się z Uly. Nie był zły, że odebrano ją Vi. Raczej był wdzięczny. Dla dziewczynki, która miała Talent, pójście do Oratorium nie było kwestią wyboru. Podobno to niebezpieczne dla dziewczynki uczyć się samej. Jeżeli jednak Uly nie będzie chciała tam zostać, a siostry spróbują ją zatrzymać, Kylar rozniesie Białego Serafina w drobny mak.

Kiedy jednak pomyślał o Uly, pomyślał też o Elene, i ta myśl wywołała burzę emocji, więc zapytał tylko:

– Dlaczego tak bardzo chcesz ocalić Vi?

Mama K zawsze planowała na kilku poziomach jednocześnie. – Ponieważ jeśli zamierzasz zabić Króla-Boga, będziesz potrzebował jej pomocy.

***

Jedno trzeba przyznać Curochowi – magowie się mylą. Tej formy – formy miecza – nie wybrano tylko z czysto symbolicznych powodów. Ten sukinsyn ciął jak się patrzy.

I bardzo dobrze. Sa'ceurai byli nieprzejednani. Nie bez powodu właśnie tak ich nazywano: sa'ceurai, czyli po starojaerańsku „panowie miecza”.

Jednakże Feir był Arcyszermierzem drugiego stopnia. Po pierwszej potyczce trzech ceurańskich wojowników padło martwych, a Feir zyskał niskiego, mocnego kuca.

Wkrótce wzrost i waga Feira znowu okazały się kłopotem. Kuc zmęczył się i zwolnił. W ciemnościach Feir wypuścił go. Niestety, małego bojowego konika wyszkolono aż za dobrze. Zatrzymał się i czekał na jeźdźca, gdy tylko go wypuszczono. Feir rozwiązał ten problem, mocując mały splot magiczny pod siodłem, żeby od czasu do czasu drażnił grzbiet kuca. To wystarczy, żeby zwierzę biegło przez kilka godzin. Przy odrobinie szczęścia sa'ceurai zgubią ślad Feira i ruszą za koniem.

Miał szczęście. Zyskał kilka godzin – ale był pieszo. Zdołał dotrzeć na grzbiet górski. Ściął młode drzewko, zanim wyszedł ponad linię lasu, i teraz obrabiał drzewo Curochem. Miecz był niewiarygodnie ostry, nie był to jednak strug czy dłuto. A w tej chwili przydałoby mu się jedno i drugie. I jeszcze parę innych narzędzi.

Dorian opowiedział mu kiedyś o sporcie, jaki uprawiały klany o najbardziej samobójczych skłonnościach. Nazywali to *schluss.* Polegało to na przymocowaniu do stóp małych saneczek i zjechaniu po stoku z nieprawdopodobną prędkością. Na stojąco. Dorian twierdził, że potrafią nimi sterować, ale Feir nie zorientował się w jaki sposób. Wiedział tylko, że musi poruszać się szybciej niż ceurański

pościg, a nie było mowy, żeby zdążył zbudować prawdziwe sanki.

Czego nie mógł zdziałać mieczem, dokonał magią: w końcu był Tworzycielem. Gdy wstawało słońce, wokół Feira leciały wióry.

Niestety, jak ostatni głupiec odsłonił się, stając na samym grzbiecie góry. Był doskonale widoczny z odległości kilku mil. Sa'ceurai zobaczyli go, zanim on dostrzegł ich. Zsiedli z koni i szli po śniegu w szerokich, plecionych z bambusa rakietach śnieżnych przymocowanych do stóp. Krok, jakim musieli iść, żeby się w nich nie potykać, był komiczny – dopóki Feir nie zdał sobie sprawy, jak szybko dzięki nim się poruszają. W kilka minut przejdą odcinek, który Feir przebrnął w pół godziny.

Zaczął szybciej pracować. Omal nie zapomniał zawinąć do góry przednich końców obu długich, wąskich płóz. Pokręcił głową. Ten błąd wyłapał, a co przegapił? Nie miał czasu na zrobienie porządnych mocowań, więc oplótł siecią magii buty i stopy, wiążąc je bezpośrednio z drewnem. Wstał...

...i natychmiast się przewrócił, bo poślizgnął się na krawędzi.

Niech to diabli, dlaczego zrobiłem je kanciaste w przekroju? Powinien zostawić je zaokrąglone jak kadłub łodzi.

Stanie okazało się żenująco trudne. Feir zaklął – Ceuranie zbliżali się. Był Arcyszermierzem drugiego stopnia, a okazał się aż tak niezdarny? To szaleństwo. Trzeba było po prostu zbiec zboczem.

Przeturlał się, usiadł i wreszcie wykorzystał długość desek, żeby przykucnąć. Wstał i spróbował zrobić kilka kroków. Schlussy, które wygładził i wypolerował, zachowywały się dokładnie tak jak

powinny: ślizgały się w przód i w tył, a Feir stał w miejscu.

Zerknął przez ramię. Saceurai znajdowali się raptem sto kroków od niego. Jeśli dojdzie do walki, schlussy przesądzą jego los. Potknął się, znowu stanął na krawędzi płozy, wyrzucił nogę w bok, żeby złapać równowagę, zatoczył się i... ześlizgnął w przód.

Radość była równie wielka, jak kiedy został uznany za Tworzyciela w bractwie. Ustawił schlussy pod kątem, noskami na zewnątrz, i odepchnął się.

Działało, dopóki nie zaczął się zsuwać szybciej, niż był w stanie stawiać kroki. Każdy schluss pojechał tak, jak Feir je ustawił – na zewnątrz. Nogi mu się rozjechały i Feir poleciał na twarz.

Góra była stroma, a śnieg na szczęście głęboki. Kiedy Feir turlał się po białym puchu, jak przez mgłę dotarło do niego, że musi ustawić schlussy w dół stoku. Udało mu się to po sześciu albo siedmiu koziołkach.

Nagle wyskoczył z zaspy. Chociaż była głęboka na trzy stopy, on znalazł się na jej powierzchni.

Serce waliło mu jak młotem. Pędził w dół stoku z niewiarygodną prędkością. Po kilku chwilach sunął szybciej od najbardziej rączego wierzchowca i ciągle przyspieszał. Panowanie nad każdym schlussem z osobna było niemożliwe, więc szybko powiązał je magicznie z przodu i z tyłu, zostawiając im jednak pewną swobodę ruchu.

Jeszcze parę razy gruchnął i czasem śnieg był mniej litościwy. W końcu Feir nauczył się sterować. Objechał zabójczą skałę i po raz pierwszy spojrzał w dół stoku, mrużąc oczy przed rażącą bielą.

Zamrugał. Ej, co to za linia na śniegu?

I wtedy śmignął nad przepaścią. Przez dwie sekundy nie słychać było, jak sanki szusują na śniegu. Świat ucichł i Feir słyszał tylko ryk wiatru w uszach.

A potem wylądował. Uderzył w świat z białego puchu, koziołkując z kończynami wyciągniętymi we wszystkie strony. A potem znowu stał się cud i Feir wyskoczył ze śniegu, żeby jeszcze raz poszybować w dół stoku. Serce mu waliło jak szalone. Roześmiał się.

Miał Curocha. Był bezpieczny. Ceuranie nie ruszą za nim w dół stoku, bo wtedy znaleźliby się w Cenarii. Uciekł!

***

– Niewiarygodne – powiedział Lantano Garuwashi.

Był potężnym mężczyzną jak na Ceuranina. Miał gęste i długie rude włosy, w które wplótł dziesiątki wąskich pasm włosów innego koloru. W Ceurze mówiło się, że z włosów mężczyzny można wyczytać jego życie. W czasie inicjacji klanowej chłopcu golono głowę z wyjątkiem części grzywki. Kiedy pasmo odrastało na długość trzech palców, spinano je drobnym pierścieniem i chłopiec był uznawany za mężczyznę. Po zabiciu pierwszego wojownika lok znowu spinano przy samej skórze i mężczyznę uznawano za sa'ceurai. Im krótsza była przerwa między tymi dwoma pierścieniami, tym lepiej. Od tej chwili, kiedy sa'ceurai zabijał wroga, lok znad czoła zabitego wplatał we własne włosy.

Początkowo paru wojowników pomyślało, że Lantano ma tylko jeden pierścień, bo pierwsze dwa znajdowały się jeden na drugim. Zabił pierwszego przeciwnika w wieku lat trzynastu. W ciągu następnych siedemnastu lat dodał pięćdziesiąt dziewięć loków do własnych włosów. Gdyby nie jego poślednie pochodzenie, cała Ceura poszłaby za jego przywództwem. Jednakże duszą sa'ceurai jest jego miecz, a nic nie mogło zmienić faktu, że Lantano urodził się z żelaznym mieczem. Chłopskim mieczem. Lantano został wodzem, bo ceurańska tradycja pozwalała każdemu znamienitemu wojownikowi dowodzić armią, ale w przypadku Lantano okazało się to pułapką. Koniec walki oznaczał utratę władzy. Początkowo walczył dla regenta Ceury, Hideo Watanabe, a kiedy regent rozkazał mu rozformować oddziały, został najemnikiem. Zdesperowani mężczyźni ciągnęli pod jego sztandar z jednego powodu: nigdy nie przegrał.

Olbrzym stał się punktem w oddali.

– Panie Wojny, życzysz sobie, żebyśmy go ścigali? – zapytał krępy mężczyzna z dwudziestoma lokami wplecionymi we własne, rzednące już włosy.

– Pójdziemy przez jaskinie – odparł Lantano.

– Do Cenarii?

– Tylko setka sa'ceurai. Szykuje się mroźna zima, a zabicie tego olbrzyma dostarczy opowieści, które będą nas rozgrzewać.

57

Mama K chciała, żeby Agon ze swoim wojskiem zabrał Logana do obozu rebeliantów. Jeżeli miał być królem, potrzebował armii. Kylar nie zgodził się opuścić przyjaciela, dopóki Logan nie odzyska przytomności. Kiedy Kylar zemdlał, Agon zapytał Mamę K, czy mają załadować Logana na wóz. Mama K klęła i pomstowała, ale powiedziała, że nie.

Nie pytali Vi o zdanie. Cieszyła się z tego. Chciała odpokutować swoje uczynki, ale nie chciała myśleć.

Nawet kiedy siedziała z Kylarem, Mamą K i Agonem, jakaś jej część chciała ich zabić. Król-Bóg wynagradzał tych, którzy dobrze mu służyli. W jednej chwili mogłaby usunąć wszystkie najpoważniejsze zagrożenia dla rządów Króla-Boga.

Nie posłuchała tej myśli. Uznano ją za niewinną. Została całkowicie oczyszczona.

Prawie. Dopiero później zdała sobie sprawę, że zapewne najgorsza krzywda, którą wyrządziła Kylarowi, w pierwszej chwili wydawała się trywialna – drobny gest pogardy. Schowała do kieszeni list i parę kolczyków, które Kylar zostawił Elene.

Dopiero dziś dowiedziała się, że to kolczyki ślubne. Drissa i Tevor dokładnie objaśnili jej ten zwyczaj. Zabierając je razem z listem, zostawiła Elene z niczym.

Nie miała dość odwagi, żeby powiedzieć o tym Kylarowi, prawda?

Za dużo już byłoby tej szczerości. Mogła zaakceptować to, że Kylar ją zabije, ale nie wiedziała, co zrobić, jeśli zacznie nią gardzić. Gdyby ją znał, na pewno pogardzałby nią. Nie ma mowy, żeby miłość przezwyciężyła tak wiele.

Miłość? Co ja sobie wyobrażam? Ogranicz się do walki i rżnięcia, Vi. W tym jesteś dobra.

Drzwi do pokoju przyjęć otworzyły się i do środka wszedł Kylar. Drugimi drzwiami wszedł Logan.

Po raz pierwszy Vi zobaczyła uśmiech Kylara. Działo się z nią coś dziwnego, gdy widziała, jak się tak uśmiecha. A nawet na nią nie patrzył. Skłonił się nisko.

– Wasza Wysokość – powiedział.

– Przyjacielu – odpowiedział Logan.

Był przeraźliwie chudy i kości prawie przebijały mu skórę. Mimo to otaczała go charakterystyczna aura ozdrowieńca. Znowu ubrany w bogate szaty wyglądał przystojnie mimo ciężkich przejść. Podszedł szybkim krokiem i objął Kylara.

– Przepraszam – powiedział siepacz. – Za późno zjawiłem się tamtej nocy. Znalazłem ślady krwi i pomyślałem... tak bardzo mi przykro.

Logan ściskał go w milczeniu, biorąc głębokie wdechy, dopóki nie zapanował nad emocjami. Wreszcie odsunął się, nadal trzymając Kylara za ramiona.

– Dobrze się spisałeś, mój przyjacielu. To ja przepraszam. Przepraszam, że kiedykolwiek w ciebie zwątpiłem. Niedługo

porozmawiamy o wszystkim. Dokonałeś... dokonałeś pewnych rzeczy tam na dole, które... – Logan rozejrzał się i zdał sobie sprawę z obecności innych. – Które naprawdę mnie zaciekawiły. I mam trochę luk w pamięci, na przykład, nie wiem, skąd to się wzięło.

Podciągnął rękaw. Vi i Mamę K aż zatkało. W jego rękę wgryzło się coś przypominającego srebrzysto-zielony tatuaż. Nie pokazał całości, ale Vi linie wydawały się co prawda abstrakcyjne i wystylizowane, ale z pewnością nie przypadkowe.

– Wasza Wysokość – odezwała się Drissa Nile – radziłabym zachować... wielką ostrożność, pokazując to komukolwiek.

– Przepraszam, że naciskam – wtrąciła się Mama K – ale musimy podjąć pewne decyzje.

– Chcesz powiedzieć, że ja muszę podjąć pewne decyzje – rzucił niefrasobliwie Logan.

– Tak, Wasza Wysokość, proszę o wybaczenie.

– Służyłeś nam lepiej, niż moglibyśmy oczekiwać, czy mieć nadzieję – zwrócił się najpierw do Kylara. – Nie chcemy ci rozkazywać, ale mniemamy, że najstosowniejsze byłoby... – Zapatrzył się w dal i nie dokończył zdania.

– Panie? – zapytał Kylar. Logan się otrząsnął.

– Dziwne. Od miesięcy przeklinałem z najgorszymi Mętami, a teraz wróciłem do „mniemania” i osądzania, co jest „najstosowniejsze”. – Pokręcił głową i uśmiechnął się z żalem. – Kylarze, rzecz w tym, że jeśli zdołasz zabić Króla-Boga, zanim nasze armie spotkają się w bitwie, to może w ogóle nie dojdzie do walki.

Proszę cię o to, ale nie rozkażę ci tego. Już zdobyłeś się na ogromne poświęcenie, ratując mnie. Wiem, że nie ufasz tej kobiecie, jeżeli jednak może ci pomóc, skorzystaj z tego. Poddała się, kiedy mogła nas zabić, co dla mnie jest dowodem jej dobrych intencji. Vi jest bronią tak samo jak ty, a ja nie mogę pozwolić, aby jakakolwiek broń z mojego skromnego arsenału leżała bezużytecznie.

– Uważasz, że tak należy postąpić? – zapytał Kylar. Logan spojrzał na niego i odpowiedział stanowczo: – Tak.

– Załatwione. Co zamierzasz zrobić?

– Poproszę Terah Graesin o zwrot mojej armii. Potem odbiorę nasz kraj.

– To nie będzie takie proste – odezwała się Mama K. Logan uśmiechnął się słabo.

– Nigdy nie jest.

58

Elene obudziła się z potwornym bólem głowy. Nie mogła ruszyć ani rękami, ani nogami. Kiedy spróbowała, poczuła mrowienie w stopach i dłoniach. Otworzyła oczy i zobaczyła trójkę innych jeńców ze spętanymi, jak ona, rękami i nogami. Druga lina wiązała ich razem. Leżeli w ciemnościach, oświetleni tylko migotliwym blaskiem ogniska. Elene leżała najbliżej sześciu Khalidorczyków, którzy śmiali się i pili, przechodząc płynnie od słów, które Elene rozumiała, do słów, które – jak się domyślała – były khalidorskie.

Nie śmiała się poruszyć i zwrócić ich uwagi, więc widziała tylko młodego człowieka, który ją złapał. Z rozmowy wychwyciła, że nazywa się Ghorran. Pozostali drwili z niego, bo dał się zranić kobiecie.

Przez chwilę powaga sytuacji nieomal przytłoczyła Elene. Kylar nie wiedział, że się tu znalazła. Nikt nie wiedział. Nikt nie zjawi się jej na ratunek. Ci mężczyźni mogą z nią zrobić wszystko, co zechcą, a ona nie zdoła ich powstrzymać. Pierś zacisnęła jej się ze strachu i Elene nie mogła myśleć ani oddychać.

A potem zaczęła się modlić, przypominając sobie, że Bóg wie, że ona tu jest. Dla Boga to drobiazg – uratować ją. W końcu się uspokoiła. Do tego czasu część żołnierzy zawinęła się w koce i poszła spać, zostawiając Ghorrana i kogoś jeszcze, kogo nie widziała, rozmawiających przyciszonymi głosami.

– Nie sądzę, żeby Vürdmeister Dada choćby wspomniał Jego

Świątobliwości, co tu robimy – powiedział Ghorran. – Nie bez powodu Czarne Wzgórze to zakazana ziemia. Co z nami będzie, jeśli Jego Świątobliwość się dowie?

– Neph Dada to wielki człowiek, najbardziej żarliwy w służbie Khali. Jeśli on jej służy, a Jego Świątobliwość nie, to po której stronie wolisz stanąć? – zapytał drugi.

– Słyszałem, że chce obudzić Tytana, o tym mówisz? Drugi mężczyzna zaśmiał się cicho.

– Vürdmeister chce dokonać setek czynów. Oczywiście, że chce Tytana, ale nie do tego potrzebuje nietkniętych młodych kobiet, prawda?

– *Khaliwos, ras en me* – powiedział z nabożną trwogą Ghorran. – Khali, przybądź i zamieszkaj we mnie.

– W rzeczy samej.

– Czy to możliwe?

– Vürdmeister tak uważa. Ghorran zaklął pod nosem.

– Więc co z chłopakiem? Do czego on?

– Hm, on nie jest specjalnie ważny. Zabiją go, żeby zobaczyć, co mogą uzyskać z jego ciała. Meisterowie potrzebują tylko świeżego trupa.

Elene słyszała o Czarnym Wzgórzu. To było starożytne, martwe pole bitwy. Mówiło się, że po dziś dzień nic na nim nie rośnie. Ale nic więcej nie zrozumiała, poza tym, że Vürdmeister Neph Dada zaplanował dla niej coś gorszego niż niewola. Opuściła z powrotem głowę i zobaczyła, że jeniec obok niej nie śpi. To był młody chłopak. I

był przerażony.

59

Mama K uratowała dziś Loganowi życie. Jej mała armia składająca się z lorda generała i Psów Agona wjeżdżała do obozu rebeliantów witana wiwatami. Wyglądałoby to inaczej, gdyby Mama K nie rozsiała plotek, że Logan powraca po tym, jak zatriumfował nad najgorszymi koszmarami Paszczy. Gdyby nie poprzedziły ich te wieści, grupę powitano by jak obce wojsko, a Terah Graesin mogłaby zabić Logana. Bez wątpienia potem wylano by wiele łez z powodu tej tragicznej pomyłki.

Dawny, naiwny Logan nie uwierzyłby, że Terah Graesin zrobiłaby coś takiego. Ale Logan z Dna wiedział swoje. Był odmienionym człowiekiem, cichszym, trzeźwiejszym. Wiedział aż za dobrze, do czego są zdolni ludzie w obliczu zagrożenia.

A Terah Graesin musiała widzieć w nim zagrożenie. Walczyła o wsparcie przez ostatnie trzy miesiące. Przetrwała próbę zamachu i straciła rodzinę. Zebrała wojsko i właśnie zbliżał się dzień bitwy. A wszystko to, żeby zostać królową.

Powrót Logana groził zniszczeniem wszystkich jej ambicji, i to w przededniu triumfu. Jego prawa do tronu nie ulegały wątpliwości – pochodził z wiodącego rodu cenaryjskiego, został ogłoszony następcą Gundera i wszedł do rodziny Gunderów. Wiele rodów złożyło przysięgę Terah Graesin tylko dlatego, że myślało, że są wolni od wcześniejszej przysięgi złożonej Gyre'om.

W innej sytuacji Logan pojechałby do Havermere, rozesłał listy

do wszystkich rodów w królestwie, także do Graesinów. Pozwoliłby Terah zobaczyć, jak rozpada się jej koalicja, a potem zaproponowałby jej stosowną pozycję.

Sytuacja jednak była taka, a nie inna. Wojska rebelianckie zebrały się niecałą milę od armii Króla-Boga. Cenaryjczycy przewyższali liczebnie siły khalidorskie dwa do jednego. Khalidorczycy mieli meisterów i Vürdmeisterów, ale nadal wyglądało to na pewne zwycięstwo.

Dla Logana, Agona i Mamy K wyglądało to jak nadciągająca masakra na Cenaryjczykach. Dlatego zjawił się tutaj i wjechał na czele maleńkiej armii – setki ludzi – do serca obozu rebeliantów.

Miał szczęście, że dzień był pochmurny, bo po trzech miesiącach na Dnie jego oczy nie znosiły mocnego światła dziennego. Mrużenie oczu nie licowało z królewskim majestatem.

Zbliżali się do grupy pawilonów dla arystokratów, kiedy kilkunastu jeźdźców wyjechało im na spotkanie. Dowodził nimi oficer z alitaerańskim długim łukiem – bez napiętej cięciwy, więc łęczysko wyglądało jak kostur. Logan i jego żołnierze się zatrzymali.

– Kim jesteście?! – zawołał sierżant Gamble.

– Oto – powiedział Agon, tak głośno, żeby usłyszał go oficer i gapie wokół – król Logan Gyre, zgodnie z prawem i tradycją następca tronu i obecnie władca naszej wspaniałej ojczyzny. Król nie żyje, niech żyje król.

To było wypowiedzenie wojny i wieść o tym obiegnie obóz w kilka minut. Mama K wysłała wcześniej wiadomość rządcy Logana i

rycerze Gyre'ów już ustawili się najbliżej pawilonów arystokracji. Zaczęli wiwatować.

– Królowa spotka się z panem – odpowiedział sierżant Gamble. Logan zsiadł z konia przed pawilonem Terah Graesin. Kiedy

Mama K i Agon Brant ruszyli za nim, straże ich zatrzymały.

– Tylko pan, lordzie – powiedział jeden z żołnierzy.

Logan spojrzał na niego. Nic nie powiedział. Pozwolił, żeby bestia w nim zaczęła się budzić. Nie po to przeżył piekło, żeby teraz zatrzymał go byle strażnik. Determinacja przerodziła się we wściekłość. Poczuł mrowienie w przedramieniu. Strażnik odsunął się i przełknął ślinę.

– Mój panie – tłumaczył się słabo – tylko arystokraci mogą... Logan patrzył na niego. Po chwili Mama K i Agon weszli za nim do środka.

***

Pawilon był ogromny. Stoły, mapy i arystokraci stali rozproszeni po całym pomieszczeniu. Niektórzy mężczyźni wyglądali naprawdę komicznie z tłustymi cielskami wciśniętymi w zbroje, których nie przywdziewali od dwudziestu lat. Czarne i białe tafelki leżały w dwóch misach na jednym ze stołów. Na bogów, głosują nad planem bitwy! Stojący obok Mamy K Brant Agon parsknął oburzony.

Mama K rozejrzała się błyskawicznie po pomieszczeniu, licząc sojuszników, potencjalnych sprzymierzeńców i pewnych wrogów.

Wiedziała, że mogłaby dać Loganowi koronę, gdyby zapewnił jej dwa tygodnie, żeby mogła przeforsować swoją szczególną wersję prawdy. Ponieważ jednak mieli tylko jeden dzień do bitwy przeciwko jedynemu wrogowi, którego wszyscy nienawidzili, sytuacja drastycznie się zmieniała. Mama K mogła mieć tylko nadzieję, że ktoś nieistotny pierwszy zaatakuje ją, Logana albo Branta Agona. Wtedy go zniszczy, a uczynienie z niego nieprzejednanego wroga nie zaszkodzi specjalnie Loganowi.

– Ależ, Loganie Gyre, jak nisko upadli możni – powiedziała Terah Graesin, wychodząc zza kilku wyższych lordów i sunąc rozkołysanym krokiem po kosztownych dywanach. – Kto by się spodziewał, że pojawisz się w towarzystwie dziwek i ludzi skończonych? Czy raczej kalek i kurew?

Arystokraci zachichotali.

– A co, chcesz wkręcić się do interesu? – zapytała Mama K. Zapadła cisza, w której dałoby się słyszeć upadające piórko. Mama K miała w nosie fakt, że wszystkich zaszokowała. Terah Graesin powitała Logana z wyciągniętymi pazurami. To nie oznaczało nic dobrego.

Młody człowiek przepchnął się przez tłum.

– Jeszcze jedno takie słowo, a osobiście cię zabiję – powiedział Luc Graesin.

To był brat Terah, siedemnastoletni, przystojny skończony głupiec.

Och, Luc, nawet nie masz pojęcia. Znam twój sekret. Mogłabym

cię zniszczyć w jednej chwili. Ale nie mogła. Teraz, tutaj, nikt nie uwierzyłby w szokującą prawdę przedstawioną bez stosownego wstępu. Terah Graesin po prostu by się wyparła.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała Mama K. – Tytuły ostatnio tak szybko zmieniają właścicieli, że zapomniałam, że rozmawiam z duchessą.

– Królową! – wykrzyknął Luc. – Twoją królową!

Mama K uniosła brwi. To było drobne przypomnienie dla wszystkich jak bardzo i jak szybko Terah Graesin próbowała się wywyższyć.

– Ale przecież tu stoi prawowity król – odpowiedziała Mama K. – Następca wyznaczony przez króla Gundera IX i przyjęty przez aklamację. Człowiek, któremu już złożyliście przysięgę.

Wiedziała jednak, że już przegrała. Widziała to w pogardzie, w krańcowej nienawiści na twarzy Terah Graesin.

– Wystarczy, Gwinvere – powiedział Logan.

Uśmiechnęła się ulegle. Cofnęła się ze spuszczoną głową, natychmiast spotulniała.

– Czy mogę przypomnieć wszystkim – odezwał się ktoś znad map – że jutro mamy stawić czoło Królowi-Bogu i jego czarownikom?

To był hrabia Drake, i jak zwykle wystąpił w roli rozjemcy.

– Nie potrzebujemy przypomnień – odparła Terah Graesin. – Mamy nasze wojsko, nasze pole bitwy, mamy przewagę i za kilka chwil będziemy mieli plan walki.

– Nie – powiedział Agon.

– Słucham? – zapytała oburzona Terah.

– To wojsko Jego Wysokości – powiedział Agon. – Moi lordowie, wielu z was było obecnych na uczcie przed przewrotem. Garrecie Urwerze, twój ojciec zginął u mojego boku w północnej wieży. Tak samo jak twój wuj, Branie Braetonie. Zginęli, próbując ratować naszego króla, Logana Gyre. Byliście tam...

– Dość tego! – krzyknęła Terah Graesin. – Wszyscy wiemy, co powiedział szalony król.

Zatem król był szalony, kiedy wyznaczył Logana na następcę. To nie była idealna linia ataku, ale wystarczająco dobra. Mając trochę czasu, Mama K przypomniałaby wszystkim, kiedy doszło do przewrotu, wspomniałaby o braku związku między poczytalnością króla a zgodnością z prawem jego dekretów i o ślubie Logana z Jenine. Mając tę trochę czasu, Mama K zorganizowałaby wszystko tak, że w końcu Terah musiałby zrezygnować ze swoich pretensji. Teraz to wszystko było bez znaczenia. Mama K musiała po prostu poczekać na nieuniknione.

– Pani moja – odezwał się diuk Havrin Wesseros – oni mówią tylko to, o czym i tak mówiłoby się na salonach i w ciemnych kątach w całym królestwie, gdyby znalazł się na to czas. Wydaje mi się, że teraz wszyscy mamy wiele decyzji do podjęcia, a niewiele czasu.

– Nie będę słuchać ich kłamstw – syknęła Terah.

– Nie rozumiesz? – tłumaczył diuk Wesseros. – Jeśli nie wysłuchasz ich, Logan odjedzie, i to nie sam. Zabierze ze sobą połowę naszych wojsk, jeśli nie więcej. Czy ktokolwiek ma ochotę stanąć

przeciwko Khalidorczykom z połową armii?

Tak już lepiej. Ale martwisz się odejściem niewłaściwej osoby.

– Jak powiedziałaś, król był szalony, kiedy umierał. Sa'kagé otruło go w czasie uczty – odezwał się Agon.

– Otruło? Ty go zamordowałeś, Brant! – wykrzyknął Garret Urwer.

– Tak, zabiłem go – przyznał Agon. – Nie będę teraz usprawiedliwiał tego postępku. Istotnym pozostaje fakt, że Khalidor chciał wybić królewski ród po to, żeby doprowadzić właśnie do takiej sytuacji jak obecna. Chcieli rozbić wszelki opór, zanim w ogóle zaistnieje. Król Gunder widział, co się szykuje, i dlatego właśnie, nie w wieczór zamachu, kiedy go otruto, ale wcześniej tego dnia, wydał córkę Jenine za Logana. Wielu z was złożyło przysięgę lady Graesin. Ale już wcześniej winni byliście posłuszeństwo Loganowi Gyre. To was zwalnia z przysięgi złożonej duchessie.

– Nie zwalniam żadnego z was! – wrzasnęła przeraźliwie Terah Graesin.

Rozpętało się pandemonium. Arystokraci krzyczeli na siebie nawzajem, zbierali się w grupki, żeby porozmawiać z doradcami i najbliższymi im lordami. Niektórzy naciskali na poparcie Terah Graesin, inni Logana. Logan obserwował to wszystko beznamiętnie. On rozumiał.

– Chwileczkę! – zawołał diuk Wesseros.

Bardzo przypominał swoją siostrę, Nalię, ostatnią królową. Przebywał poza miastem, na ziemiach we wschodniej Cenarii,

zagarniętych przez Lae'knaught, kiedy doszło do zamachu stanu. Uniósł ręce i stopniowo arystokraci ucichli.

– Godzina jest już późna, a wojsko czeka na nas – powiedział diuk Wesseros. – Stańcie po stronie mężczyzny lub kobiety, osoby, której rządów chcecie.

– Może lepiej zagłosować za pomocą kamieni, żeby każdy mógł oddać głos na tego, kogo naprawdę chce mieć za przywódcę? – odparła Mama K.

Powinna była pozwolić, żeby zaproponował to któryś z lordów, ale Wesseros wyskoczył z głosowaniem tak nagle, że Mama K nie mogła czekać. Cała gadanina pójdzie na nic, jeśli nie będzie tajnego głosowania.

– Jutro musimy stanąć na polu bitwy. Myślę, że dziś mamy dość odwagi, żeby stanąć w namiocie – odparła Terah Graesin.

Sprytna suka.

Zapadła cisza i ludzie zaczęli się ustawiać. Ocena Mamy K, kto opowie się po której stronie, okazała się przygnębiająco precyzyjna. Większość drobnych lordów sprawiało wrażenie, że woleliby opowiedzieć się za Loganem, ale nie śmieli przeciwstawić się swoim lordom – dlatego właśnie Mama K chciała tajnego głosowania. Łapówki Terah popłynęły przede wszystkim do najpotężniejszych.

A tak wyłoniły się trzy grupy. Zwolennicy Logana, Terah i niezdecydowani.

– Jak się spodziewałem – powiedział diuk Wesseros. On przewodził obozowi niezdecydowanych. – Retoryka nic nie dała. Po

wymordowaniu Gunderów w kraju zostały tylko trzy wielkie rody i oto tu stoimy. Mam wrażenie, że istnieje złoty środek. Loganie Gyre, Terah Graesin, kiedy w grę wchodzi los wszystkich Cenaryjczyków, czy odłożycie na bok swoje samolubne ambicje?

Bufon. Idiota. Francowaty gaduła. Myślał, że jest taki sprytny. Gdyby nie stworzył trzeciego obozu, Logan miałby przynajmniej większość. Nadal mieliby szansę.

– O czym mówisz? – zapytała Terah.

Logan już wiedział. Mama K widziała to w jego kamiennej twarzy.

– Tej nocy, w przededniu bitwy, która zdecyduje o przyszłości naszej ziemi, podzielicie nasze siły czy połączycie? Loganie, Terah, czy pobierzecie się tej nocy?

Terah rozejrzała się szybko po pokoju, sprawdzając, kto na nią zagłosował. Poparcie słabło. Spojrzała na tych, którzy stali wyzywająco po stronie Logana i którzy biernie stanęli za diukiem Wesserosem. A potem spojrzała na Logana. Nie tak patrzy kobieta na swojego zalotnika. Szukała w nim słabości.

– Dla kraju, który kocham, tak – powiedziała.

– Loganie?

– Tak – odparł drewnianym głosem. Niech bogowie mają go w swojej opiece.

60

Wzniesiono platformę, żeby cała armia widziała zaślubiny. Żołnierze już zgromadzili się, odrywając się od ognisk, a wraz ze wschodem księżyca oficerowie zaczęli ustawiać ich w szeregach. Poza wojskiem kilka tysięcy pospólstwa i innych mieszkańców obozu tłoczyło się wokół platformy.

– Loganie – powiedział hrabia Drake, opuszczając za sobą połę małego namiotu, w którym młody Gyre przygotowywał się do ceremonii. – Nie możesz tego zrobić.

Przez dłuższą chwilę Logan nie odpowiadał. A kiedy wreszcie się odezwał, głos miał cichy i poważny.

– Co innego mogę zrobić?

– Tylko Bóg Jedyny może nas uratować przed wszelką pokusą.

– Nie wierzę w twojego boga, Drake.

– Prawda nie zależy od tego, czy w nią wierzysz.

Logan powoli pokręcił głową, jak wychudzony niedźwiedź wychodzący z gawry po kilku miesiącach snu.

– Poślubienie Terah to żadna pokusa. Mój ojciec poślubił piękną, jadowitą kobietę i widziałem, ile go to kosztowało.

– I lepiej, żebyś przemyślał tę lekcję. Różnica polega na tym, że twoja matka nie była nawet w części zdolna do takiego zniszczenia jak Terah.

Oczy Logana rozbłysły; niedźwiedź powoli podnosił się, górując nad resztą.

– Jeśli istnieje inne rozwiązanie, które nas nie zniszczy, zdradź mi je! Nie chcę się żenić...

– Nie powiedziałem, że małżeństwo to pokusa.

– Więc co nią jest?

– Władza – odpowiedział hrabia Drakę, postukując laską.

– Niech to diabli, człowieku! Albo się z nią ożenię, albo to nasz koniec. Myślisz, że nie wiem, jak zdobyć większość tych ludzi i sprawić, żeby za mną poszli? Oczywiście, że wiem! Mógłbym zabrać ze dwie trzecie i odejść. To by skazało pozostałą jedną trzecią na śmierć. Chcesz, żebym poprosił tysiące, by zginęły, bo wtedy uniknąłbym złego małżeństwa?

– Nie, Loganie. – Hrabia Drakę oparł się na lasce. – Moje pytanie brzmi, czy możesz być królem, jakim potrzebujesz być, mając u swojego boku taką królową? Terah Graesin dała się dziś zaskoczyć. Złapałeś ją w chwili słabości. To się więcej nie powtórzy.

– Dziękuję bardzo za odmalowanie mojej ponurej przyszłości – odpowiedział Logan. – Skoro jednak nie potrafisz mi pomóc uciec przed nią, to pomóż mi się ubrać.

– Królu mój – odpowiedział hrabia Drakę – czasem wyjściem z przepaści nie jest wspinanie się na górę.

– Wyjdź.

Hrabia Drake skłonił się i wyszedł zasmucony.

Logan wziął diadem i założył go. Mama K zadbała, by wyglądał jak król. Ogolono go, przycięto mu włosy, jego ciało namaszczono olejkami i okryto futrami. Odziano go we wspaniałą, grafitową tunikę

i płaszcz obszyty białym brokatem. Osiągnął pełnoletność tuż przed przewrotem, ale zapomniał wybrać własny herb. Teraz zobaczył, że Mama K wybrała herb za niego. Przedstawiał białozora Gyre'ów na czarnym polu, ale sokół miał na nogach zerwane łańcuchy, a czarne pole wyglądało jak czarny krąg Dna. Sokół rozpościerał szeroko skrzydła. To była wspaniała pieczęć. Ojciec byłby dumny.

Co ty byś zrobił, ojcze? Jako młody człowiek Regnus ożenił się, żeby ratować rodzinę. Mogąc ocenić tę decyzję z perspektywy czasu, czy zrobiłby to znowu?

Poła nad wejściem do namiotu uniosła się i do środka weszła Mama K. Spojrzała na Logana z niekłamanym, chociaż niezbyt głębokim współczuciem. Nie mogła go zrozumieć. Nigdy nie kochała tak, jak on kochał. Dla niej ta decyzja musiała być oczywista. Ożenić się z Terah, a problemami zająć się później. Na jego miejscu Mama K knułaby i manipulowała, a gdyby trzeba było, kazałaby zabić Terah.

– Już czas – powiedziała.

– Herb jest idealny. Dziękuję.

– Wasza Wysokość zwrócił uwagę na skrzydła? Czubki wystają poza krąg. Białozór na zawsze pozostanie wolny.

Razem weszli na platformę. To był krąg niemal tej samej wielkości co Dno. Koło miało symbolizować idealną, wieczną, nienaruszalną naturę małżeństwa. Kiedy Logan wszedł, aby na oczach tysięcy zająć miejsce na samym środku – gdzie na Dnie znajdowała się śmiercionośna przepaść – zamarło mu serce. Zrobiło mu się niedobrze, dusił się. Przypomniał sobie, jak wyciągał się z całych sił

nad dziurą. I po co? Po obszczany chleb, którego nie dałby nawet zwierzęciu.

Rozbrzmiała muzyka i jego obsikany chleb wyszedł z gracją na podwyższenie.

Jakaś część Logana umierała z głodu na myśl o niej, tak jak umierał z głodu na Dnie. Przez ostatnie trzy miesiące był tak słaby, tak wygłodzony, tak zajęty walką o przeżycie, że prawie wcale nie myślał o seksie. Zanim wylądował na Dnie, miał wrażenie, że ledwo co myślał o czymkolwiek innym. Teraz, kiedy powrócił i odzyskiwał siły, stary Logan zaczął ożywać. Terah Graesin była wysoka i gibka, o kształtach niemal chłopięcych, ale o jak najbardziej kobiecym uśmiechu. Poruszała się jak kobieta, która wie, co mężczyźni lubią, i która to coś ma. Wygłodniała, chciwa część Logana chciała ją zerżnąć.

A obszczany chleb zawsze wyglądał tak smakowicie, dopóki się go nie spróbowało. Ale przynajmniej zapychał brzuch, niezależnie od tego, jak się po nim człowiek czuł. Przynajmniej będzie uprawiał seks. Na bogów – miał dwadzieścia jeden lat i nadal był prawiczkiem!

Ironia tej myśli sprawiła, że uśmiechnął się ponuro. Terah zauważyła uśmiech i odpowiedziała tym samym. Naprawdę wyglądała fantastycznie. Włosy miała upięte w... w coś szykownego. Logan zastanawiał się, ilu krawców obrzucało się wzajem przekleństwami przez ostatnie dwie godziny, próbując przerobić jedną z jej sukien na suknię ślubną. Była w kolorze tradycyjnej zieleni symbolizującej płodność i nowe życie, dopasowana do szczupłej figury Terah i z

ozdobnym wiązaniem z tyłu. Odsłaniała też hojnie długie nogi panny młodej, co może nie było zgodne z tradycją, ale za to mile widziane. Do kompletu dodano welon symbolizujący czystość, który idealnie pasował do sukni, chociaż zdecydowanie mniej do noszącej go kobiety.

Cóż, będę miał tyle seksu, ile zechcę, jeśli naprawdę zapracowała na swoją reputację. Ta myśl sprawiła, że wszystko przewróciło mu się w żołądku, jakby przełknął ciepłe szczyny. Nie, lepiej nie myśleć o jej reputacji.

Niezależnie od tego, co czuł, Terah Graesin zdołała dokonać czegoś, co uważał za niemożliwe. Wyglądała jednocześnie ponętnie i dostojnie. Dla niej to wszystko sprowadzało się do władzy, niezależnie od tego, czy płynęła ze statusu, osobowości czy ciała. To wszystko były narzędzia, służące narzucaniu własnej woli.

Władza. Hrabia powiedział, że pokusą jest władza.

Terah stanęła obok niego i nieśmiało wzięła go za rękę. Ludzie zareagowali wiwatami. Zupełnie jak wtedy, kiedy Jenine Gunder wzięła go za rękę, po tym jak jej ojciec ogłosił ich ślub. Logan przełknął narastające mdłości. W przypadku Jenine to był spontaniczny odruch. Terah była na tej kolacji. Widziała, co Jenine zrobiła, i jak spodobało się to ludziom. Świadomie ją naśladowała.

– Rozluźnij się – powiedziała. – Za pięć minut będziesz miał wszystko, czego zawsze pragnąłeś.

Jesteś głupia, jeśli w to wierzysz, Terah. Logan wykrzywił usta w uśmiechu i zmusił ciało do rozluźnienia. Nie, nie wybrałby dla siebie

takiego losu, ale będzie mógł wszystko zmienić. Mógłby pokonać króla Ursuula. Wykorzenić Sa'kagé. Znieść prawa dyskryminujące ubogich. Mógłby...

To było to. O tym mówił hrabia Drake. To właśnie była pokusa władzy. Przyjrzał się w myślach swoim ambicjom. To nie dla mnie, powiedział sobie, to dla ludzi. Ale to nie był jedyny powód, prawda? Spodobało mu się, kiedy kazał zabić Gorkhy'ego. Spodobało mu się, kiedy odprawił hrabiego. Logan mówił i słowa obracały się w czyn. Ludzie go słuchali. Przez tak długi czas na Dnie był bezsilny, że myśl, że już nigdy więcej nie będzie niczyim poddanym, wydała mu się słodka jak miód.

Dobrze, hrabio Drake, rozumiem. A teraz powiedz, jakie mam wyjście?

Było już za późno. Po jednej stronie stał hekatonarcha w bogatej szacie – sto kolorów dla stu bogów. Po drugiej stał mężczyzna w prostych brązowych szatach, pater Boga Jedynego. Diuk Wesseros zajął miejsce pośrodku. Terah zadbała, żeby ich małżeństwo zawarto potrójnie. Wiwaty osiągnęły apogeum; piętnaście tysięcy ludzi zdzierało sobie gardła dla pary, która – jak myśleli – ich uratuje.

– Mogę przemówić do zebranych? – zapytał Logan.

– W żadnym razie – zaprotestowała Terah. – Co to za sztuczka?

– To nie sztuczka. Chcę tylko przemówić do tych, którzy przeleją za nas krew i zginą. Nie miałem dotychczas okazji.

– Nie będziesz nastawiał ich przeciwko mnie.

– A może – wtrącił się diuk Wesseros – Logan przysięgnie, że nie

powie na twój temat niczego złego? A jeśli spróbuje, wkroczę i go powstrzymam? Czy to warunki do przyjęcia, mój panie?

– Tak.

– Moja pani? – zapytał diuk Wesseros. – On jest ich królem.

– Ale krótko.

– Loganie, masz pięć minut – powiedział diuk Wesseros. Podszedł bliżej i dodał ściszonym głosem: – I niech natchnie cię duch Timaeusa Rinddera.

To była warunkowa deklaracja poparcia. Timaeus Rindder był tak znakomitym mówcą, że zamienił przegraną w wyścigach rydwanów w zamach stanu, chociaż nałożono na niego dokładnie takie same ograniczenia, jakie diuk Wesseros narzucił Loganowi. Ustalając takie a nie inne zasady, diuk Wesseros mówił: „Jeśli przeciągniesz ludzi na swoją stronę, ja też cię poprę”.

– Moi przyjaciele, jutro staniemy razem pośród szczęku broni i wrzawy bitewnej.

Ledwo wypowiedział pierwsze zdanie, a jego słowa rozbrzmiały z podwojoną i jeszcze raz zwielokrotnioną głośnością. Urwał i zauważył pana Nile'a stojącego w pierwszym rzędzie. Uśmiechał się. Logan udał, że to nic istotnego, i po chwili wszyscy poszli za jego przykładem.

– Jutro stawimy czoło wrogowi, którego twarz już znamy. Widzieliście ją, gdy stanął w waszych progach. Widzieliście jego buty, wdeptujące błoto w wasze podłogi. Widzieliście jego pochodnie, którymi podpalał wasze pola. Poczuliście jego pięści, baty i pogardę,

ale nie ugięliście się przed nim!

Podenerwowanie Logana i samokrytycyzm – Mogłem lepiej to powiedzieć? Głos mi nie drży? Dlaczego tak trudno wziąć głęboki wdech? – przygasły, kiedy spojrzał na uniesione głowy ludzi, jego ludzi. Jeszcze kilka miesięcy temu nie miał pojęcia, kim są Cenaryjczycy. Znał i kochał poddanych Gyre'ów, ale podzielał modne wśród arystokratów lekceważenie dla brudnych mas. Jak łatwo poprosić bezimienny, anonimowy tłum, aby poświęcił życie.

– Przyjaciele, spędziłem ostatnie trzy miesiące w głębinach na Dnie Piekła. Siedziałem uwięziony wśród gówna i smrodu ludzkości. Przez cały czas bałem się śmierci i rzeczy gorszych od śmierci. Odebrali mi ubranie. Odebrali mi godność. Widziałem dobro, które cierpiało z ręki zła. Widziałem kobietę, którą zgwałcono i która zabiła się, żeby nie zgwałcono jej po raz kolejny. Widziałem dobrych ludzi i złych, którzy układali się z ciemnością. I ja też się z nią układałem. Żeby przetrwać. Przyjaciele, uwięziono mnie pod ziemią. Was uwięziono nad nią. Znacie te same lęki, co ja.

Widzieliście koszmary takie same, co ja. I gorsze. Naszych przyjaciół zabito. Wiedzieliśmy, że opór oznacza śmierć... i, przyjaciele moi, ludu mój, ocenialiśmy nasze szanse i nie widzieliśmy żadnej nadziei. Uciekaliśmy. Kryliśmy się... Logan urwał, a ludzie stali w milczeniu.

– Byliście tam ze mną? Czuliście tę wściekłość? Czuliście się bezradni? Patrzyliście na zło i nie zrobiliście niczego, by mu zapobiec? Wstydziliście się?

Mężczyźni i kobiety nie rozglądali się, obawiając się, że ludzie stojący obok dostrzegą łzy w ich oczach. Kiwali głowami. Tak, tak.

– Ja się wstydziłem – powiedział Logan. – Pozwólcie, że wam powiem, czego nauczyłem się na Dnie. Nauczyłem się, że w cierpieniu odnajdujemy prawdziwą miarę naszej siły. Nauczyłem się, że człowiek może być tchórzem jednego dnia, a bohaterem drugiego. Zrozumiałem, że nie jestem tak dobry, jak myślałem. Ale najważniejsze jest to: nauczyłem się, że chociaż cena jest ogromna, mogę się zmienić. Nauczyłem się, że to, co złamano, można naprawić. Wiecie, kto mnie tego nauczył? Prostytutka. W zgorzkniałej kobiecie, która żyła we wstydzie, odnalazłem honor, odwagę i lojalność. Była dla mnie inspiracją i ocaliła mnie. Są tu dzisiaj wśród nas kobiety, które udzieliły wam tej samej lekcji. Wielu z was wstydzi się matek, żon i córek, które zgwałcono, które zabrano na zamek, aby tam je zniewolić, które sprzedały się do burdeli, żeby przetrwać. Stronicie od nich, odrzucacie je. Ale powiadam, wasze żony, matki i córki pokazały nam jak walczyć. Dały nam Nocta Hemata. Dały nam odwagę. Pokazały nam drogę od wstydu do honoru. Pozwólcie wszystkim kobietom, które walczyły tamtej nocy, wystąpić naprzód!

Kilka kobiet od razu wystąpiło. Ich odwaga dodała otuchy pozostałym, które wyszły po nich. Mężczyźni w milczeniu zrobili im miejsce. Po kilku chwilach tłum trzystu kobiet zebrał się przed platformą. Niektóre pozwoliły sobie na łzy, ale stały prosto, z wysoko uniesionymi głowami. Za to mężczyźni w szeregach otwarcie szlochali. Nie tylko ci, którzy musieli znać tę grupkę, ale też

przybysze z prowincji, mężczyźni, którzy wiedzieli o hańbie swoich kobiet i którzy sami teraz czuli wstyd.

– Dzisiaj – mówił Logan – ogłaszam was, panie, pierwszymi kawalerami Orderu Podwiązki. Podwiązki, ponieważ własną hańbę przekułyście na poczucie godności. Noście ją z dumą i opowiadajcie swoim wnukom o waszej odwadze. Nigdy żaden mężczyzna nie dostąpi takiego zaszczytu, chyba że wykaże się heroizmem najwyższego stopnia.

Ludzie wiwatowali. To była najlepsze, co Logan kiedykolwiek zrobił.

– Obawiam się – powiedział Logan, uciszając tłum – że wasze podwiązki nie są jeszcze gotowe. Nie mamy teraz pod ręką stosownych materiałów. Bo widzicie... zamierzamy zrobić je z khalidorskich chorągwi.

Ludzie zakrzyknęli.

– Co powiecie, panowie? Myślicie, że możemy w tym pomóc? Zakrzyknęli jeszcze głośniej.

– A teraz, bracia, powitajcie, proszę, wasze ukochane. Potrzebują was. A wy, siostry, powitajcie tych zawstydzonych, złamanych mężczyzn. Potrzebują was.

Po chwili dodał:

– Mam jeszcze tylko kilka słów do powiedzenia.

Logan wziął głęboki wdech. Mówił już dłużej, niż zamierzał. Nie ustanowił Orderu Podwiązki, żeby zdobyć poparcie. To było po prostu coś, co musiał załatwić. Ale jakimś cudem, gdziekolwiek nie spojrzał,

widział twarze pełne nadziei.

– Kilka miesięcy temu nie chciałem być królem, ale na Dnie coś się we mnie zmieniło. Wcześniej widziałem w was tylko motłoch. Teraz widzę braci i siostry. Mogę prosić was, żebyście przelali ze mną własną krew, żebyście zginęli ze mną. I oto proszę. Wielu jutro rzeczywiście przeleje własną krew, niektórzy zginą. – Spojrzał pod nogi, na Dno, na którym stał, na przepaść w nim. To jest twoja droga wyjścia, hrabio Drake? Och, ojcze, czy byłbyś ze mnie dumny? – Mogę was prosić, abyście przelali własną krew, abyście zrzucili łańcuchy, ale nie mogę was prosić, żebyście zrobili to dla mojej ambicji. Tłum ucichł.

– Na Dnie nauczyłem się, że można mieć władzę nad życiem i śmiercią, ale nie można rządzić miłością. Przyjaciele, kocham was i ten kraj, i wolność, którą zdobędziemy. Ale nie kocham tej kobiety. Nie poślubię Terah Graesin ani dziś, ani nigdy.

– Co?! – wrzasnęła Terah Graesin. Wyszła naprzód. – Havrin, powstrzymaj go!

Diuk Wesseros przytrzymał ją, a pan Nile nie wzmocnił jej głosu.

– Terah – ostrzegł ją diuk – jeśli spróbujesz go teraz powstrzymać, wybuchnie tu wojna domowa.

Ryk poniósł się nad tłumem. Mężczyźni zerkali po sąsiadach, wyciągali broń i próbowali ocenić, kto opowie się po tej samej stronie co oni.

– Przestańcie! – krzyknął Logan, a jego głos zagrzmiał nad zgromadzonymi. Uniósł ręce. – Nie pozwolę, żeby choć jeden

człowiek zginął, by uczynić mnie królem, a już nie wspomnę o tysiącach. – Odwrócił się. – Lady Graesin, czy złożysz mi przysięgę jako swojemu królowi?

Oczy jej rozbłysły i tym razem pan Nile wzmocnił jej głos:

– Nie, nawet za cenę tysiąca tysięcy istnień. Logan uniósł ręce, żeby uprzedzić poruszenie.

– Przyjaciele, nie ma nadziei na pokonanie Khalidoru, jeżeli nie będziemy zjednoczeni. Wobec tego – odwrócił się do Terah Graesin, która nie wyglądała już pięknie z czerwonymi plamami na twarzy – zagwarantuj mi, że ustanowisz Order Podwiązki i że darujesz moim zwolennikom wszystkie winy aż do dzisiejszego dnia... zagwarantuj mi to, a złożę przysięgę lenniczą tobie.

Terah Graesin wahała się tylko chwilę. Wytrzeszczyła oczy z niedowierzania, ale otrząsnęła się, zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć.

– Załatwione – powiedziała. – Złóż przysięgę.

Logan ukląkł i wyciągnął ręce w stronę środka platformy, gdzie stała Terah. Zupełnie odwrotnie niż białozór, który rozpościerał skrzydła poza czarnym kręgiem uległości i zniewolenia, skierował ręce do wnętrza koła. To wszystko zmieniało.

Czasem jedyną drogą wyjścia z przepaści nie jest wspinaczka w górę. Dotknął stóp Terah, składając przysięgę poddańczą.

– W uznaniu dla twojego męstwa – powiedziała królowa Graesin głosem ociekającym jadem – otrzymujesz zaszczyt poprowadzenia pierwszej szarży. Twoje gładkie słówka bez wątpienia zrobią wrażenie na Vürdmeisterach.

61

Kaldrosa Wyn stała z setkami kobiet przed resztą tłumu. Wszystkie były w różnym stopniu zaszokowane i zapłakane. Zbyt wiele emocji przeżywały, żeby utrzymać je w sobie. Zwykle Kaldrosa Wyn nienawidziła płaczu. Teraz łzy przyniosły jej ulgę.

Miała wrażenie jakby serce zrobiło jej się trzy razy większe. Diuk Gyre zadziwił ją. Oto człowiek, który w imię miłości odłożył na bok największą ambicję na świecie. Strzaskał twardą skorupę zgorzknienia, którą hodowała wokół serca. Zamienił dziwki w bohaterki. Był świętym, a ta suka zamierzała go posłać na śmierć.

A potem wokół niej i pozostałych kobiet zrobiło się tłoczno; mężczyźni przepychali się do nich, szukając odtrąconych ukochanych. Obok Kaldrosy szlochała Daydra. Wielki jak niedźwiedź mężczyzna przeciskał się do niej przez tłum. Kiedy dziewczyna go zobaczyła, zapłakała jeszcze głośniej. To był starszy człowiek, jej ojciec. Łzy płynęły mu z oczu strumieniami, z nosa sączyło mu się na wielkie, krzaczaste wąsy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Daydra zemdlała. Złapał ją, nim upadła i wziął na ręce z łatwością, jakby podnosił małe dziecko. Po drugiej stronie Kaldrosy obejmowała się para; ściskała się tylko i ściskała.

Kaldrosa starała się nie znienawidzić tych kobiet za ich radość. Naprawdę czuła się inaczej, jak nowo narodzona, kiedy lawina wstydu zsunęła się z jej ramion. Ale Tomman z pewnością został w Cenarii. Czy wybaczyłby jej tak łatwo? Czy jeszcze kiedyś będą się kochać,

czy będzie leżała w jego ramionach? Czy zazna tej chwili, w której wszystko zaczyna się na nowo?

Tłum zaczynał rzednąć i kobiety, które nie odnalazły utraconych bliskich, zbiły się w grupkę. Popatrzyły po sobie i czuły, że się znają, nawet jeśli niektóre widziały się po raz pierwszy w życiu. Były siostrami. I nawet wtedy nie zostały same. Szanowane kobiety, które słuchały przemowy, stojąc z tyłu, i wiedziały, że część dziewczyn zostanie, przepchnęły się w końcu między szeregami mężczyzn i – chociaż były sobie obce – teraz wszystkie obejmowały się i razem płakały.

Kaldrosa Wyn zobaczyła Mamę K – stała z boku i patrzyła. Nie było łez w oczach tej wspaniałej kobiety, ale chociaż stała prosta jak świeca, wyglądała, jakby żałowała, że nie ma mężczyzny, który przecisnąłby się do niej przez tłum. Kaldrosa już ruszyła w jej stronę, dziwiąc się własnej odwadze – szła pocieszyć Mamę K! – kiedy go dostrzegła.

Miał na sobie mundur jednego z łowców czarowników generała Agona. W ręce trzymał dziwny krótki łuk, na plecach miał kołczan i był odziany w pancerz z gotowanej w oleju skóry, nałożony na ciemnozieloną tunikę z żółtymi wypustkami. Ale kiedy rozglądał się w tłumie, jej zacięty, porywczy Tomman wyglądał na przestraszonego. I wtedy ich spojrzenia się spotkały.

Jak marionetka, której obcięto sznurki, Tomman padł na kolana. Łuk upadł zapomniany w błoto. Tomman wykrzywił twarz. Wyciągnął ręce przed siebie, a do oczu napłynęły mu łzy. Było w tym

geście tyle skruchy, ile nie byłby w stanie oddać w słowach.

Kaldrosa pobiegła do niego.

***

– Czuję się tak, jakbym spędził tu więcej czasu niż niektórzy ludzie, którzy tu mieszkają – powiedział Kylar.

– Cicho – upomniała go Vi.

Kiedy zjawił się po Logana, zabrał małą łódkę, która ledwie pomieściła ich oboje. Chociaż malutka, była niesamowicie szybka i Kylar zdołał ominąć pojedynczą łódź, która patrolowała Vos. Teraz aż trzy łodzie były na patrolu, więc musieli dostać się na wyspę w taki sam sposób, jak kiedy Kylar ratował Elene.

Za przykładem Vi Kylar zahaczył nogą o linę i zaczął przesuwać się ręka za ręką po sznurze wiszącym pod mostem. Vi strzeliła idealnie, więc udało im się o wiele mocniej napiąć linę niż Kylarowi poprzednim razem. Kiedy mijała resztki jego bełtu wbite w drewno, pamiątkę po fatalnym strzale cztery miesiące temu, zatrzymała się.

– Legenda, aha, jak z koziej dupy trąba – wymamrotała.

Co sprawiło, że Kylar przyjrzał się jej pośladkom. Znowu. Chociaż „legendarna” to nie było pierwsze słowo, jakie przychodziło mu na myśl na ten widok, pupa Vi była naprawdę jędrna. Ładnie zaokrąglona. Warta obcisłych, opinających spodni, które Vi włożyła. W przeciwieństwie do wielu wysportowanych kobiet Vi miała krągłości. Ładne biodra i budzące podziw piersi.

Dlaczego myślę o piersiach Vi?

Kylar kontynuował wspinaczkę, krzywiąc się. Nie potrzebował niczego, co by rozpraszało jego uwagę. Znowu spojrzał na pośladki Vi. Pokręcił głową. I znów spojrzał. Dlaczego jej tyłek tak mnie pociąga? Czy to nie jest dziwne? Dlaczego właściwie facetom podobają się tyłki?

Vi dotarła do murów zamkowych i puściła linę. Szepnęła coś i przesłoniły ją cienie. To nie było nic wielkiego, nie umywało się do umiejętności Durzo, już nie wspominając o sztuczkach Kylara. Jej cienie były zwyczajnie czarne i przesłaniały dający się rozpoznać zarys ludzkiej sylwetki. Z drugiej strony, o wiele mniej rzucała się w oczy niż na wpół naga lafirynda, której całe ciało krzyczało „Spójrz na mnie!”.

Kylar błyskawicznie ześlizgnął się z liny tuż za nią. Przycupnęli w cieniu skały, kiedy mijała ich łódź patrolowa.

– No więc... nic nie powiedziałeś o moim stroju siepacza.

Kylar uniósł brew.

– Co? Chcesz, żeby powiedział, czy w tych spodniach twój tyłek wygląda na duży? Owszem. Zadowolona?

– Więc oglądałeś mój tyłek. A co myślisz o reszcie?

– Naprawdę rozmawiamy na ten temat? Teraz?!

Kylar zerknął na jej piersi – znowu – i dał się na tym przyłapać.

– Wyniosła pogarda będzie ci lepiej wychodzić, jak się przestaniesz rumienić – odparła Vi.

– Są świetne – powiedział Kylar. Odkaszlnął. – Znaczy się twoje

ciuchy siepacza. Nie piersi. To znaczy ten styl świetnie do ciebie pasuje. Tuż za granicą oddzielającą strój kuszący od zwyczajnie nieprzyzwoitego.

Nie wzięła tego do siebie.

– Najpierw ściągnij uwagę, potem zabij.

– Zmarzniesz w tym.

Tym razem nie spojrzał na jej piersi. Z trudem. Mimo drobnych wypukłości, które stały na baczność na znacznie większych wypukłościach.

– Jestem kobietą. Nie mogę wybierać ubrań z myślą o wygodzie.

– Nie mogę uwierzyć, że tak długo gadam o ciuchach.

– Ty to nazywasz długą rozmową o ubiorze? – zakpiła Vi. – Nie miałeś zbyt wielu dziewczyn, co?

– Tylko jedną. I to niezbyt długo, dzięki tobie – odgryzł się Kylar.

To zamknie jej usta. Bogu niech będą dzięki.

Wstał i zaczął się skradać. Musieli chować się za każdym razem, kiedy przepływała łódź patrolowa – Vi, żeby jej nie zobaczyli, a Kylar, żeby Vi nie wiedziała, że potrafi stać się niewidzialny. Kylar również miał na sobie dość obcisłe ubranie – stary strój, który załatwiła dla niego Mama K. Im więcej inni będą wiedzieli o jego mocach, tym mniej będzie bezpieczny.

***

Dotarli do zatopionej bramy do Paszczy godzinę po północy. Nikt

jej nie strzegł.

Kylar sprawdził zasuwę. Nie była zamknięta. Spojrzał na Vi. Najwyraźniej jej też to się nie podobało. Ale z drugiej strony, skąd Król-Bóg wiedziałby, że mają się zjawić? Już chciał otworzyć drzwi, kiedy Vi dotknęła jego ręki. Wskazała na zardzewiałe zawiasy i dała znać, żeby zaczekał.

Dotknęła po kolei każdego z zawiasów, mrucząc pod nosem, a potem skinęła głową.

Delikatnie pchnął zardzewiałe drzwi. Otworzyły się cicho.

– A niech mnie licho – powiedziała Vi. – Więc to działa nie tylko na małe dziewczynki.

Kylar ostrożnie zamknął drzwi i spojrzał na dziewczynę.

– Dlaczego nie wypróbujesz tego na sobie?

– Już to zrobiłam. Mój głos nie niesie się dalej niż pięć stóp.

– Nie to miałem na myśli. A tak w ogóle to skąd masz pewność, że to działa?

– Nie słyszałeś, jak cię przed chwilą nazwałam. – A jak?

– Zgodnie z prawdą, ale nie dość dowcipnie, żeby to powtarzać. Zawahał się.

– Vi, zanim wejdziemy, muszę cię o coś zapytać.

– Strzelaj.

– Zająłem się mokrą robotą z powodu dzieciaka, który nazywał się Szczur. Był synem Garotha Ursuula i właśnie żeby zadowolić ojca, ten Szczur okaleczył Elene, zgwałcił Jarla i próbował zgwałcić mnie.

– Nie wiedziałam. Przykro mi.

– Mniejsza z tym – odparł szorstko. – Wywinąłem się.

– A ja nie – przyznała cicho Vi. Skuliła się, powracając myślami do tamtych koszmarnych lat. – W moim wypadku to byli kochankowie matki. Wiedziała, co robią, ale nigdy ich nie powstrzymała. Nienawidziła mnie za to, ile ją kosztowałam. Jakbym to ja pieprzyła się z jakimś nieznajomym i zaszła w ciążę, przez co ona musiała uciec z domu. Nie wiem, czy na początku chciała mnie mieć, czy po prostu za bardzo się bała, żeby zażyć sporysz albo wypić herbatkę z wrotycza.

Vi wiedziała, że to uzasadniony strach. Odpowiednia doza, żeby doprowadzić do poronienia, była raptem o włos mniejsza od dawki śmiertelnej. Hu twierdził, że co roku tysiące dziewczyn, „które nagle zachorowały i zmarły", tak naprawdę wypiły za dużo trucizny. Inne brały za mało i rodziły okaleczone dzieci.

– Po ucieczce z domu moja matka nie miała z czego żyć. Poza urodą. Była zbyt dumna, żeby otwarcie zarabiać jako dziwka, więc wiązała się z kolejnymi łajdakami. Nigdy nie potrafiła zrobić tego co należy.

– I tym się od niej różnisz?

– Tak – odpowiedziała cicho. Po chwili się otrząsnęła. Dlaczego tyle mówi? Nigdy nie opowiadała nikomu o tym szambie. Nigdy nie spotkała nikogo, kogo by to obchodziło. – Przepraszam, nie musiałeś tego słuchać. Chciałeś o coś zapytać?

Kylar nie odpowiedział. Patrzył na nią tak, jak jeszcze nikt na nią spojrzał. To było spojrzenie matki, której dziecko przewróciło się i

rozbiło sobie kolana. To było współczucie, które przeszyło ją na wylot, przebijając się przez jej sarkazm i brawurę. Jak nóż przebiło lód i martwe ciało, o których myślała, że stanowią całe jej wnętrze, i odnalazło coś małego i żywego, i skąpało to w ciepłym świetle. Widział całą gnijącą ohydę, którą Vi ukryła w sobie, ale nie odsunął się z obrzydzeniem, jak powinien.

– Hu Szubienicznik kazał ci ją zabić, prawda?

Spuściła wzrok, niezdolna przyjąć więcej otwartej serdeczności. Nie ufała swojemu głosowi.

– Druga robota? Najpierw był jeden z jej facetów? Pokiwała głową.

To było idiotyczne. Rozmawiali o tym tuż przed Paszczą?

– O co chciałeś zapytać?

– Kiedy rzuciłem mokrą robotę, nie potrafiłem naprawdę przestać i dopiero teraz, wiem dlaczego. Kiedy Jarl stanął w progu, po części mi ulżyło. Miałem to, czego chciałem od życia, ale nadal nie byłem szczęśliwy. Zdarzyło ci się kiedykolwiek, że ktoś spojrzał na ciebie i rozumiał cię, akceptował do końca? A ty z jakiegoś powodu nie mogłaś zaakceptować tej akceptacji?

Vi przełknęła ślinę. Jej serce wypełniło się tęsknotą.

– Tym właśnie była dla mnie Elene. To znaczy jest. Obiecałem jej, że nigdy więcej nie zabiję, tyle że nie będę szczęśliwy, dopóki tego nie skończę. Kiedy odszedłem, zostawiłem jej parę kolczyków ślubnych, żeby wiedziała, że nadal ją kocham i chcę z nią być na zawsze, ale jestem pewien, że wściekła się na mnie.

Ciężar w kieszeni zaczął parzyć Vi. Kazała językowi się poruszyć, powiedzieć Kylarowi, ale stanął jej kołkiem w ustach.

– Gdyby to był jakikolwiek inny cel, nigdy by mi nie wybaczyła. Jeśli to zrobię, Khalidorczycy przegrają, Logan zostanie królem, Nory na zawsze się zmienią, a Jarl nie zginął na darmo. Jeżeli istnieje ten Bóg Jedyny, jak zawsze twierdzi Elene, to właśnie po to mnie stworzył.

Jarl? Jak może tak spokojnie mówić do mnie o Jarlu?

– Więc jak brzmi twoje pytanie? – Wypadło to trochę wojowniczo, nawet w jej własnej ocenie. Jarl! Na bogów! Do tego stopnia nie panowała nad emocjami, że nawet nie potrafiła ich zidentyfikować. Kylar jednak odpowiedział łagodnie:

– Musiałem wiedzieć, czy wchodzisz w to ze mną. Czy zostaniesz do końca, aż do Króla-Boga. Aż do śmierci, jeśli tak będzie trzeba. Ale myślę, że już mi odpowiedziałaś.

– Jestem z tobą – powiedziała. I przysięgała to całym sercem.

– Wiem. Ufam ci.

Patrząc mu w oczy, wiedziała, że mówi prawdę. Ale jego słowa nie miały sensu. Zaufanie? Po tym, co zrobiła? Odwrócił się do drzwi.

– Kylar – odezwała się. Serce jej waliło. Powie mu najpierw o Jarlu, a potem o liście i kolczykach, wszystko mu powie. Padnie mu do stóp i rzuci mu wyzwanie: niech spróbuje to wszystko zaakceptować. – Przepraszam. Za Jarla. Nigdy nie chciałam...

– Wiem – przerwał jej. – Nie widzę w tobie tego morderstwa. – Co?

– Vi... – powiedział cicho.

Przeszył ją dreszcz, gdy położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na jego wargi. Przysunął się, a ona uniosła głowę, nie myśląc, co robi, rozchyliła lekko usta. Był tak blisko, że odbierała jego obecność jak pieszczotę na odsłoniętej skórze. Zamknęła oczy, a jego usta dotknęły jej... czoła.

Vi zamrugała zaskoczona.

Kylar zabrał rękę, jakby jej ramię paliło żywym ogniem. Coś czarnego ukazało się na moment w jego oczach.

– Co to, u diabła, było? – zapytała ostrym tonem.

– Przepraszam. Prawie... Masz na myśli oczy? Sprawdzałem, czy używałaś wdzięku. To znaczy, przepraszam. Ja tylko... ehm, załatwmy, co mamy do zrobienia, dobra?

Teraz kompletnie zgłupiała. Myślał, że posłużyła się magicznym wdziękiem? Czy to oznaczało, że chciał... że prawie co zrobił?... nie, na pewno nie...

Co ty sobie wyobrażasz, Vi? „Kylar, przepraszam, że zabiłam twojego najlepszego przyjaciela; chcesz się pieprzyć?”.

Kylar otworzył drzwi i Vi zobaczyła rozdziawioną paszczę, od której wzięła się nazwa więzienia. Paszcza wyglądała jak otwarty pysk smoka, który chciał go połknąć. Oczy z czerwonego szkła podświetlone pochodniami jaśniały złowieszczo. Wszystko poza tym wyrzeźbiono w czarnym szkliwie: czarny ozór, po którym szli, czarne kły wiszące w górze. Kiedy wkroczyli do Paszczy, nie było już światła.

– Coś tu jest nie tak – powiedział Kylar i zatrzymał się. – Wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Kiedy ratował Elene i Uly, rampa prowadząca w głąb Paszczy schodziła krótkim tunelem, a potem się rozwidlała. Cele dla arystokratów były po prawej stronie, a pozostałe po lewej. Wszędzie strop znajdował się jakieś siedem stóp od ziemi, przez co w Paszczy było naprawdę klaustrofobicznie.

– Myślałam, że byłeś tu parę miesięcy temu – powiedziała Vi.

– Wygląda na to, że czarownicy nie tracili czasu.

Weszli do rozległej podziemnej komnaty. Rampa, która wcześniej opadała trzydzieści stóp, teraz obniżała się ponad sto. Cele dla arystokratów oraz cele dla pospólstwa z pierwszego i drugiego poziomu Paszczy zniknęły. Rampa, którą poszerzono tak, żeby przeszła nią czwórka koni obok siebie, schodziła spiralą wokół wielkiej centralnej jamy. Na samym dole Kylar i Vi zobaczyli złoty ołtarz, na którym leżał związany mężczyzna; wokół stali meisterowie.

– Niech to szlag – westchnęła Vi. – Musimy tam zejść.

Kylar spojrzał w tę samą stronę. Nie patrzyła na mężczyznę na złotym stole. Patrzyła na południowy kraniec jamy, skąd odchodził wąski tunel prowadzący w stronę zamku.

W tym miejscu było coś złego. Nie chodziło o ołtarz albo ciemność. Tutaj smród z Dna gęstniał. Siarkowy dym pełzał nad ziemią. Kylarowi przypomniała się walka z Durzo.

Zalatywało tutaj nie tylko dymem. Czuć było odór starej krwi i przesłodzony smród rozkładającego się ciała. W ciemności, wśród

dziwacznych zaśpiewów czarowników i piskliwych, agonalnych wrzasków w głębi tunelu – na szczęście w tym prowadzącym w stronę Dna, a nie w tym, którym mieli pójść z Vi – było coś jeszcze.

Ciężar. Ucisk. Dla Kylara noc od zbyt dawna była domem, żeby się bał ciemności – a przynajmniej tak myślał. Jednakże tu, w powietrzu, którym oddychał, znajdowało się coś głębszego, ciemniejszego, starszego i potworniejszego, niż potrafił to sobie wyobrazić. Już sam ten smród przywoływał wspomnienia morderstw. Powróciła do niego haniebna satysfakcja, jaką poczuł, gdy pętla zacisnęła się wokół kostki Szczura. Przypomniał sobie, jak wsypał truciznę do gulaszu rymarza, a tamten nie był głodny i zostawił cały posiłek synowi. Doskonale pamiętał, jaki odcień fioletu przybrała twarz chłopca, kiedy spuchło mu gardło i zaczął się dusić. Przypomniał sobie setki uczynków, których się wstydził, i setki innych rzeczy, których nie zrobił, chociaż powinien. Stał jak sparaliżowany, wdychając cuchnące powietrze.

– Chodź – powiedziała Vi. Oczy miała tak wielkie, jakby zobaczyła ducha, ale nadal się poruszała. – Oddychaj przez usta. Nie myśl, po prostu rób.

Kylar zamrugał ogłupiały, otrząsnął się i ruszył za Vi. Obecność Khali. Tak jak ostrzegał Logan.

Ruszyli w dół do jaskini. Kylar szedł blisko brzegu, patrząc w dół. Podchodząc bliżej, zorientował się, że meisterowie nie składają mężczyzny w ofierze, a przynajmniej nie w konwencjonalnym tego słowa rozumieniu. Ofiarą był Lodricarczyk z tatuażami na całym

ciele. Jego skóra wisiała luźno na wielkiej, wychudzonej sylwetce. Leżał twarzą w dół na złotym stole, przywiązany grubymi łańcuchami i rozebrany do pasa.

Sześciu meisterów siedziało w sześciu wierzchołkach złotej lodricarskiej gwiazdy inkrustowanej na skale. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami, nucąc. Dwóch innych stało po obu stronach ołtarza. Jeden trzymał młotek, a drugi...

Kylar nie mógł uwierzyć własnym oczom, dopóki nie doszedł do ostatniego zakrętu spirali i poziomu podłogi. Pierwszy meister trzymał młot ciesielski i złote gwoździe, a drugi miał w dłoniach koński kręgosłup, którego jeden koniec przytrzymywał na wysokości kości ogonowej wytatuowanego mężczyzny.

Meister ułożył kręgosłup we właściwym miejscu, a drugi zaciskając zęby, przyłożył do kości długi na sześć cali złoty gwóźdź. Uderzył młotem. Wytatuowany mężczyzna wrzasnął i wierzgnął. Po kolejnych dwóch solidnych zamachach gwóźdź wszedł do końca. Potem obaj meisterowie cofnęli się i Kylar po raz pierwszy dobrze przyjrzał się ich ofierze.

Coś było nie tak ze skórą Lodricarczyka. Początkowo, z powodu tatuaży Kylar nie potrafił powiedzieć, co, ale teraz widział, że między rysunkami ciało jest zaczerwienione. Żyły wybrzuszały się przez skórę, jakby mężczyzna dźwigał ogromny ciężar. To byłoby zrozumiałe, zważywszy, co właśnie przechodził, ale naczynia znajdowały się w niewłaściwych miejscach. Grube żyły i tętnice, błękitne i czerwone nabrzmiewały pod skórą dosłownie wszędzie.

A sama skóra wydawała się dziwnie nierówna, jakby cała była pokryta bliznami po ospie.

Meisterowie cofnęli się i wykrzyknęli rozkaz. Przyprowadzono więźnia z północnego tunelu, gdzie Kylar dostrzegł celę z tuzinem ludzi. Mężczyzna miał kajdany na rękach i nogach, a wokół szyi zawiązano mu sznur. Młoda, ładna meister wzięła sznur. Odsuwała się, rozwijając go i pilnując, żeby żadną częścią ciała nie przeciąć magicznego kręgu. Stanęła naprzeciwko więźnia po drugiej stronie kręgu. Mężczyzna skomlał ze strachu. Zimny pot oblał mu twarz, a po nogach spływał mocz. Nie odrywał oczu od człowieka na ołtarzu.

Meister zaczęła ciągnąć za sznur, wciągając więźnia do kręgu. Zrobił jeden niepewny krok, nim zaczął opierać się, ale było już za późno. Stracił równowagę i zatoczył się do przodu, żeby nie upaść. Kiedy zorientował się, że leci prosto na wytatuowanego mężczyznę, rzucił się w bok.

Mając ręce związane za plecami, nie mógł zablokować upadku. Uderzył twarzą prosto w posadzkę z wulkanicznego szkliwa.

Meisterowie, którzy nie siedzieli i nie nucili, zaklęli. Kobieta stanęła w innym miejscu, przerzucając linę nad ołtarzem. Dołączył do niej drugi meister i razem zaczęli ciągnąć półprzytomnego mężczyznę w stronę ołtarza.

Dlaczego po prostu nie użyją magii? – zastanawiał się Kylar. Jednakże, gdy spojrzał poprzez ka'kari, zrozumiał powód.

Magia wypełniała całą komorę. Buchała z meisterów jak siarkowy dym buchający z Dna. Sączyła się nad ziemią. Powietrze

było od niej aż gęste. Znajdowała się wszędzie – poza ołtarzem. Tam powietrze było martwe. Meisterowie tworzyli coś, co opierało się magii, nawet ich magii. Kiedy jednak Kylar przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że mężczyzna nie pozostał całkiem poza wpływem ich zaklęć. Wszyscy meisterowie, którzy śpiewali, tkali wspólnie w powietrzu nad ołtarzem coś, co przesączało się w mężczyznę w dwóch miejscach. W jego karku po obu stronach kręgosłupa znajdowały się dwa wbite diamenty wielkości ludzkiego kciuka. W widzialnym spektrum pozostawały niewidoczne, przykryte krwią, brudem i włosami mężczyzny. W magicznym spektrum płonęły. Tylko poprzez nie meisterowie mogli dotykać ciała ofiary.

Meisterowie w końcu przyciągnęli do ołtarza dławiącego się i krztuszącego więźnia. Kylar poczuł, że Vi szarpie go za tunikę, nerwowo dając znać, że trzeba wynosić się stąd w te pędy, ale ją zignorował. Więzień zatoczył się do przodu i padł na ołtarz w poprzek wytatuowanego mężczyzny.

Padł pod kątem i powinien się sturlać, ale jakby utknął w miejscu. Meisterowie puścili linę i szybko się cofnęli – właściwie uciekli. Śpiew w jamie narastał. Więzień krzyknął, ale Kylar nie widział dlaczego. Mięśnie wytatuowanego mężczyzny napięły się, a skóra jeszcze bardziej się zaczerwieniła... a potem krew spłynęła po jego plecach.

Jakaś siła szarpnęła więźniem, jakby został przyssany do pleców Lodricarczyka. Potem tunika więźnia pękła i Kylar zobaczył skręcającą się, wytatuowaną skórę. Każde z tysiąca zagłębień

podobnych do blizn po ospie, otworzyło się jak mała zębata paszcza. Cała wytatuowana skóra wgryzała się w więźnia.

Podczas gdy więzień był pożerany wprost przez wytatuowane plecy, Lodricarczyk na ołtarzu wrzeszczał z bólu nie mniejszego niż cierpienie jego ofiary. Przez ka'kari Kylar widział żebra odrywane więźniowi, wciągane przez falujące plecy i mocowane do nowego kręgosłupa. Skóra pęczniała i obrastała przedłużony kręgosłup. Meisterowie śpiewali i Kylar zorientował się, że kierowali rozrostem. Czymkolwiek był ten wytatuowany potwór, nie tworzyli go. On już istniał. Teraz tylko nadawali mu kształt stosowny do walki.

W ciągu następnych dziesięciu sekund więzień zniknął. W pewnym sensie. Częściowo został włączony do nowej istoty. Ohyda na ołtarzu zyskała mniej więcej połowę jego masy. Jego kręgosłup wzmocnił kręgosłup potwora. Żebra posłużyły wydłużeniu torsu. Skóra rozciągnęła się na rozrośniętym szkielecie i na niej też pojawiły się otwory małych paszcz. Kości więźnia zostały zmielone i podwoiły grubość czaszki.

Meister kierujący procesem warknął coś, co brzmiało jak pochwała, a potem machnął ręką, dając znać, żeby przyprowadzono następnego więźnia.

Vi znowu szarpnęła Kylara za rękaw. Odwrócił się i spojrzał w mrok, gdzie powinny być jej oczy.

– Idź pierwsza – szepnął. – Dogonię cię.

– Zamierzasz zrobić coś głupiego, co?

Kylar uśmiechnął się ponuro, a Vi pokręciła głową.

Lantano Garuwashi wyprowadził swoich umazanych krwią, rozradowanych ludzi z jaskiń, którymi przeszli pod górami. Dwustu śpiących Khalidorczyków stłoczyło się w ostatniej grocie. Czterech czarowników spało najgłębiej w jaskini. Pewnie myśleli, że tam jest najbezpieczniej. Zginęli, zanim ktokolwiek zdążył podnieść alarm. Reszta Khalidorczyków, całkiem zdezorientowana, zdołała zabić tylu swoich, co ludzie Garuwashiego.

W świetle przedświtu sa'ceurai wynurzyli się na południowy wschód od Gaju Pawila. Dwie armie obozowały na dwóch końcach równiny. Garuwashi zdziwił się, że to Khalidorczycy siedzieli w jaskiniach. Ponieważ Cenaryjczycy walczyli na swoim terytorium, to oni powinni zająć tak dobrą kryjówkę. Poza tym, sądząc po tamtej jaskini, Król-Bóg spokojnie mógł ukrywać drugie pięć tysięcy ludzi, których dałoby się w dziesięć minut posłać do walki.

Z tego powodu Garuwashi omal nie zawrócił. O ile Cenaryjczycy nie mieli żadnego asa w rękawie, wyglądało na to, że Khalidor na stałe zostanie północnym sąsiadem Ceury.

Z drugiej strony, to będzie ostatnia bitwa w tym sezonie. Jeśli Garuwashi zobaczy wynik, dowie się, czy rebelianci zdołają się przegrupować, czy też zostaną wybici co do nogi. A znajomość taktyki Khalidorczyków może mu kiedyś ocalić życie.

– Każ ludziom się rozproszyć – powiedział łysiejącemu kapitanowi, Otaru Tomaki. Podszedł do wyjścia jaskini, wplatając

cztery czarne pasma włosów, które sam ściął, z wprawą zdradzającą wieloletnią praktykę.

– Panie Wojny, nie uwierzysz w nasze szczęście – powiedział Tomaki.

Garuwashi uniósł brew.

– Panie, on tu jest.

Raptem trzysta kroków dalej, za drzewami, Garuwashi zobaczył olbrzyma wbiegającego na wzgórze. Skierował się na pole bitwy i do obozu cenaryjskiego. Obejrzał się przez ramię. Przez chwilę, z powodu drzew Garuwashi nie zorientował się dlaczego. A potem czterech khalidorskich konnych wypadło spomiędzy drzew na stoku wzgórza.

Olbrzym zorientował się, że dogonią go, zanim dotrze na szczyt. Zatrzymał się i wyciągnął miecz.

– Bogowie dostarczyli go w moje ręce – powiedział Garuwashi. – Kiedy zabije jeźdźców, sprawdzimy, czy to przeciwnik godny Lantano Garuwashiego.

***

– Zabezpiecz tunel prowadzący do zamku – szepnął Kylar. – Kiedy rzuci się za mną, będziemy musieli błyskawicznie się zwijać.

– Co zamierzasz? – zapytała szeptem Vi.

Prowadzili następnego więźnia. Dreptał pokornie jak owieczka.

– Po prostu idź – szepnął Kylar.

– Nie jest twoim pieprzonym sługusem – odpowiedziała Vi, niebezpiecznie podnosząc głos.

– Wobec tego rób, co uważasz za konieczne. Vi spiorunowała go wzrokiem... i poszła.

Kylar czekał, podczas gdy meisterowie kłócili się chwilę, a potem rozcięli ubranie więźnia, żeby łatwiej go było strawić. Kylar miał plan, ale najpierw wszystko musiało znaleźć się na swoim miejscu. To oznaczało, że wpierw Vi ma zabezpieczyć tunel. I oznaczało, że Kylar pozwoli, by więzień zginął.

Nienawidził się za to, ale czekał. Niech to szlag, człowieku, walcz. Wtedy dostanę wszystko, czego mi trzeba. Jednakże nagi więzień nic nie zrobił. Patrzył z przerażeniem na skręcającą się masę na złotym ołtarzu.

Dlaczego nie walczysz? W najgorszym wypadku cię zabiją.

W ostatniej chwili mężczyźnie wyrwał się zduszony szloch; spróbował stanąć, ale zawiązany wokół szyi sznur szarpnął nim do przodu. Przywarł do potwora i wrzasnął. Śpiew znowu rozbrzmiał głośniej, a meisterowie, którzy nie śpiewali w wierzchołkach lodricarskiej gwiazdy, patrzyli szeroko otwartymi oczami na pożeranego więźnia. Tym razem trwało to jeszcze krócej niż poprzednio.

Kylar spowił się cieniem; ka'kari pokryło jego ciało jak dopasowana tunika. Pobiegł do ołtarza, śmigając tuż obok śpiewającego meistera.

Kiedy wszedł do kręgu opisanego na gwieździe, skóra zapiekła go

od mocy magii unoszącej się w powietrzu. Przeszył go głos Khali – głos rozpaczy, wstydu, zepsucia, pragnienia własnej śmierci.

Jeszcze jeden krok i skoczył, robiąc salto machowe nad ołtarzem i istotą przykutą do niego łańcuchem. Zupełnie jakby skoczył przez błyskawicę. Na całej skórze poczuł wbijające się igły, wstrzykujące moc w każdą żyłę. Kiedy przelatywał nad zniekształconym szarym łbem potwora, złapał diamenty.

Wyszły z ciała potwora jak z masła. Kylar wylądował po drugiej stronie ołtarza i odrzucił diamenty jak rozżarzone węgle. W następnej sekundzie już był poza gwiazdą i skoczył na ścianę pokrytą runami i wzorami wyciętymi tak głęboko, że mógł się ich chwycić. Cokolwiek stanie się za chwilę, cieszył się, że wyniósł się z gwiazdy w diabły i patrzył, pozostając niewidzialnym.

Oczy wszystkich zgromadzonych wokół gwiazdy się otworzyły. Potwór nadal pożerał więźnia, ale magia meisterów wisiała w powietrzu bezwładnie jak czułki meduzy. Nie miała dokąd płynąć.

Meisterowie przerwali śpiew jeden po drugim. Wszyscy spojrzeli w stronę Kylara i gapili się nań z rozdziawionymi ustami.

Widzą mnie! Kylar przywarł do ściany jak pająk, patrząc za siebie, z dłońmi i stopami wciśniętymi w szczeliny, i czekał na pierwszy atak.

Ciszę przerwał brzęk pękającego łańcucha i gardłowy, niemalże ludzki ryk. Istota, mająca teraz długi grzbiet niczym ogromna gąsienica, otrząsnęła się i reszta łańcuchów pękła jak zapałka. Natychmiast zapomniano o Kylarze.

Stając na sześciu ludzkich rękach, stworzenie popędziło ku meisterowi i stratowało go. Sześć dłoni rozerwało go na strzępy i przytwierdziło jego kończyny do ciała. Małe paszcze działały lepiej niż jakikolwiek klej. Ognisty pocisk odbił się od skóry potwora. Po prostu zmienił kierunek lotu, nie tracąc nic z pędu, nie czyniąc żadnej szkody.

Zaraz potem poleciały trzy następne ogniste pociski, każdy odbił się i wybuchł, uderzając w ściany lub posadzkę. Meisterowie wrzasnęli. Jedna kobieta popędziła w górę schodami, które spiralą prowadziły z głębin więzienia. Potwór rzucił się za nią, ale zamiast wspiąć się po schodach, przebiegł przez okrągłą salę. Próbował złapać kobietę. Przywarła do ściany jak najdalej od wyciągniętej ręki.

Odsunęła się wystarczająco daleko. Z tej wysokości potwór nie mógł jej dosięgnąć. Kobieta zaczęła uciekać w górę na czworakach. Kylar już myślał, że jej się uda, ale wtedy potwór oklapł. Opuścił ręce-nogi. Pod powierzchnią skóry długie kości ręki przesuwały się jedna za drugą do kończyny, która sięgała po kobietę. Dłoń oderwała się i przesunęła w przód. Każda część kończyny doklejała się z chorobliwym odgłosem zasysania, gdy kolejne stawy rozłączały się i ponownie się łączyły. W kilka chwil ręka wydłużyła się o cztery długości. Potwór chwycił kobietę i wciągnął ją na siebie. Jej krzyki zamieniły się w zduszony bełkot.

Potwór zagonił pod ścianę i zmiażdżył trzech kolejnych meisterów. Zatrzymał się, podczas gdy małe paszcze przeżuwały ich ubrania i ciała. Czwarty czarownik złapał pożeraną kobietę za rękę,

próbując ją odciągnąć. Zaparł się nogą o potwora, ale chociaż stwór chyba niczego nie zauważył, najwyraźniej sama jego skóra była obdarzona inteligencją albo po prostu czuła nienasycony głód. Meister siłował się najwyżej dwie sekundy. Potem wybałuszył oczy; rzucił się w tył, ale jego noga już przywarła do skóry potwora. Padł na plecy, wrzeszcząc. Przez sekundę wydawało się, że się oderwie, chociaż kosztem ciała na stopie.

Bok potwora zadrżał, jak drżą czasem boki konia, który wzdryga się z powodu much. Zębata skóra zafalowała i owinęła się wokół stopy meistera, sięgając aż do kostki. Kolejne wzdrygnięcie i sięgnęła łydki. Po następnym ruchu potwór trawił już czterech meisterów.

Tylko tyle czasu potrzebował Kylar. Oderwał się od ściany i pobiegł do południowego tunelu, który łączył się z zamkiem. Minął czterech zakrwawionych meisterów, załatwionych po drodze przez Vi. Zastał ją grzebiącą w sakiewce martwego strażnika przed ogromnymi dębowymi drzwiami. Kylar uśmiechnął się jak narwaniec. Spojrzała na niego, wytrzeszczając oczy.

– Niech to, Kylar, ty promieniejesz.

– Byłem naprawdę niesamowity – powiedział, zapominając, że powinien być niewidzialny.

– Nie, mówię serio, niech to szlag, Kylar, ty świecisz. Spojrzał po sobie. Wyglądał, jakby się palił; świecił wszystkimi odcieniami fioletu i zieleni w spektrum magicznym i przytłumioną czerwienią żaru w kuźni w widzialnym. Nic dziwnego, że meisterowie się gapili. Skoczył przez sam środek ich magii i tego było za dużo dla ka'kari.

Nie pożarło wszystkiego i teraz broczyło nadmiarem pod postacią światła.

Nie namyślając się, spróbował zassać ka'kari do środka. Zupełnie jakby wciągnął cały żołądek gorącego ołowiu w glore vyrden.

– Auć! Auć!

– Zabiłeś to? – spytała Vi.

Kylar spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Nie widziałaś co to... to coś zrobiło?

– Nie. Słuchałam rozkazów i zabezpieczyłam tunel.

Kylar zdał sobie sprawę, że czasem Vi zachowuje się jak smarkula.

– To i tak nam jakoś specjalnie nie pomogło, bo nie ma klucza. Musieli bać się tego... tego czegoś – zmałpowała sposób mówienia Kylara. – Teraz będziemy musieli wrócić. Doradzałabym skradanie się, ale ty wyglądasz, jakbyś się palił.

Kylar przepchnął się obok Vi i położył dłonie na brzegu dębowych drzwi, jedną nad drugą.

– Co robisz? – zapytała.

Na bogów, drzwi były naprawdę grube. Ale z drugiej strony, skoro nie mógł wciągnąć nadmiaru magii, to czemu nie skanalizować jej na zewnątrz? Poczuł, jak część magii go opuszcza. Spojrzał w dół i zobaczył tunele dokładnie w kształcie jego dłoni, przebijające szeroką na stopę dębinę i żelazne zawiasy.

Przełykając ślinę – do diabła jak ja to zrobiłem? – Kylar pchnął drzwi. Nie drgnęły, dopóki nie użył siły wzmocnionej Talentem, a

potem uchyliły się, obróciły na zamkach i upadły na podłogę.

Kylar przeszedł nad nimi. Odwrócił się, kiedy Vi nie ruszyła za nim. Na jej twarzy zdumienie i konsternacja malowały się tak wymownie, że dokładnie wiedział, co zaraz powie.

– Czym ty, u diabła, jesteś? – spytała. – Hu nigdy nie uczył mnie niczego podobnego. Hu nie umie niczego podobnego.

– Jestem zwyczajnym siepaczem.

– Nie, Kylarze. Nie wiem, czym jesteś, ale to na pewno nie jest nic zwyczajnego.

63

Dlaczego odmawiasz mi mojej królewskiej garderoby? – dopytywała się księżniczka. Była odziana w burą sukienkę, kilka rozmiarów za dużą, i miała włosy związane w kucyk. Król-Bóg odmówił jej nawet grzebienia.

– Wierzysz w zło, Jenine?

Garoth siedział na brzegu jej łóżka, w północnej wieży. Zbliżał się początek dnia, w którym wreszcie zniszczy cały opór cenaryjski. To będzie dobry dzień. Garoth był w doskonałym nastroju.

– Jak mogłabym siedzieć w twojej obecności i nie wierzyć? – warknęła. – Gdzie są moje rzeczy?

– Piękna kobieta działa na mężczyznę, młoda damo. Gwałt nie wyszedłby ci na zdrowie. Przykro byłoby mi widzieć, że złamano cię tak szybko.

– Nie panujesz nad swoimi ludźmi? Ale z ciebie bóg. Ale król.

– Nie mówię o moich ludziach – odparł cicho Garoth. Zamrugała zaskoczona.

– Poruszasz mnie. Masz coś, co nazywamy *yushai.* To wigor, ogień, stal i radość życia. Gasiłem to już wcześniej w moich żonach. To dlatego odizolowałem cię i zabroniłem noszenia powabnych szat. To dlatego zaspokoiłem się jedną z twoich dam dworu. Żeby cię chronić. Będziesz moją królową i będziesz dzielić ze mną łoże, ale jeszcze nie teraz.

– Nigdy! – Widzisz? *Yushai.*

– Idź do diabła.

– Jesteś kobietą przeklętą, nieprawdaż? Mój ród jest trzecią rodziną królewską, do której należysz. Pierwszym dwóm nie ułożyło się najlepiej, co? Twój mąż pożył... ile? Godzinę?

– Na Jedynego i Setkę, niech twa dusza zostanie strącona w otchłań. Niech każdy owoc w zasięgu twojej dłoni zjedzą robaki i niech zgnije. Niech twoje dzieci zdradzą cię...

Spoliczkował ją. Przez chwilę poruszała szczęką i mrugała, żeby pozbyć się łez w oczach. A potem zaczęła znowu:

– Niech...

Uderzył ją znowu, mocniej, i poczuł niebezpieczne, przyjemne łaskotanie w lędźwiach. Przeklęta Khali.

Jenine już miała splunąć na niego, kiedy zakneblował ją virem.

– Nigdy nie kuś mężczyzny bardziej, niż może to znieść. Rozumiesz? – zapytał.

Pokiwała głową, wytrzeszczając oczy na czarny vir na jego skórze.

Vir ją puścił. Garoth Ursuul westchnął z rozczarowaniem, opierając się Obcym. Jenine wyglądała na przerażoną.

Dobrze. Może to nauczy ją ostrożności. Kiedy Neph ofiarował księżniczkę w ramach przeprosin za chaos, który zapanował w Cenarii, Garoth natychmiast stracił głowę. Najpierw odesłał księżniczkę Gunder do Khaliras razem z taborem wywożącym najwspanialsze trofea, ale nie mógł przestać o niej myśleć. Rozkazał sprowadzić ją z powrotem. To było szaleńcze ryzyko. Gdyby

Cenaryjczycy dowiedzieli się, że Jenine żyje, i uratowali ją, mieliby prawowitego władcę. A przy odrobinie szczęścia ta dziewczyna mogłaby rządzić, gdyby dać jej szansę. Była nieulękła.

– A wracając do mojego pytania. Wierzysz w zło? – zapytał Król-Bóg. Najlepiej zająć czymś myśli, żeby ta rozmowa nie skończyła się dla niej łzami, a dla niego zaspokojeniem i niesmakiem. – Niektórzy ludzie uważają, że to złe, kiedy moi żołnierze pukają do drzwi nocą, pytają człowieka, gdzie jest jego brat, a on przerażony im mówi. Albo kiedy kobieta widzi na drodze pełną sakiewkę i ją zabiera. Nie pytam cię, czy wierzysz w słabość albo ignorancję, która krzywdzi innych. Pytam, czy wierzysz w zło, które lubuje się w zniszczeniu i zepsuciu. W zło, które spojrzałoby dobru w oczy i splunęło mu w twarz. Widzisz, kiedy zabijam jedno z mojego z potomstwa, to nie jest zło. Wiem, że kiedy wyrywam bijące serce z piersi młodego chłopca, to nie tylko go zabijam. Budzę w pozostałych taki strach, że czyni mnie to kimś więcej niż człowiekiem. Czyni mnie niekwestionowanym, niezgłębionym... Bogiem. To umacnia moje rządy, moje królestwo. A kiedy chcę zająć miasto, to pędzę przed swoim wojskiem mieszkańców okolicznych wiosek. Jeśli miasto będzie chciało użyć swoich machin bojowych przeciwko moim ludziom, najpierw będą musieli zabić swoich przyjaciół i sąsiadów. Brutalne, owszem. Ale czy złe? Ktoś mógłby powiedzieć, że dzięki temu oszczędza się wiele istnień, bo miasta zwykle się poddają. Albo poddają się, kiedy zaczynam ostrzeliwać miasto żywymi ludźmi miotanymi z katapulty. Zdziwiłabyś się, widząc, jaki wpływ na żołnierzy ma zwykły odgłos

coraz głośniejszego krzyku, który kończy się głuchym uderzeniem, jeśli powtarzać to co trzynaście minut. Wbrew sobie czekają i wbrew sobie zastanawiają się: czy ja nie znam tego głosu? Ale nie zgadzam się. Widzisz, żadnej z tych rzeczy nie nazwałbym złem. Nasze społeczeństwo opiera się na fundamencie władzy Króla-Boga. Jeśli Król-Bóg nie ma władzy absolutnej, wszystko się sypie. Potem nadchodzą chaos, wojna, głód i zarazy, które nie odróżniają niewinnych od winnych. Wszystko, co robię, odsuwa te niebezpieczeństwa. Odrobina okrucieństwa ratuje nas jak nóż chirurga, który ocala życie. Moje pytanie brzmi: czy wierzysz w czyste zło? Czy też każde działanie ma w sobie coś z dobra?

– Dlaczego mnie pytasz? – zdziwiła się Jenine. Chorobliwie pobladła. Wyglądałaby jak Khalidorka, gdyby nie zielonkawy odcień cery.

– Zawsze rozmawiam ze swoimi żonami – odpowiedział Król-Bóg. – Po pierwsze, dlatego że tylko wariat regularnie rozmawia sam ze sobą. Po drugie, zawsze istnieje niewielka szansa, że kobieta zdobędzie się na przenikliwość.

Podpuszczał ją i został nagrodzony – Jenine odzyskała część swojego *yushai.* Przypominała mu matkę Doriana. I matkę Moburu.

– Myślę, że zło ma swoich agentów – odpowiedziała Jenine. – Myślę, że pozwalamy złu wykorzystywać nas. Zła nie obchodzi, czy wiemy, że to, co robimy, jest złe, czy nie. Kiedy już wypełnimy jego wolę, jeśli czujemy się winni, może wykorzystać to, by potępić nas w naszych własnych oczach. Jeśli czujemy się dobrze, może natychmiast

wykorzystać nas do następnego celu.

– Jesteś intrygującym dzieckiem – powiedział Garoth. – Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. – Nie podobała mu się ta koncepcja. Umniejszała go. Czyniła go raptem narzędziem, świadomym lub nie, ale zawsze współwinnym. – Wiesz, prawie porzuciłem ten tron. Prawie odrzuciłem wszystko, co pozwalało mi wejść do rodu bogów.

– Naprawdę?

– Tak. Dwa razy. Za pierwszym, kiedy byłem infantem, a potem kiedy zostałem ojcem. Siła przywiodła mnie tu z powrotem, za każdym razem. *Non takuulam.* „Nie będę służyć”. Widzisz, miałem syna, który nazywał się Dorian. Przypominał mi mnie. Widziałem, jak schodzi z drogi prowadzącej do boskości, czego o mało sam nie uczyniłem. – Zamilkł na chwilę. – Stałaś kiedyś wysoko i myślałaś „mogłabym skoczyć”?

– Tak – odpowiedziała Jenine.

– Każdy tak myśli – powiedział Garoth. – Stałaś kiedyś z kimś i pomyślałaś „mogłabym go zepchnąć”?

Z przerażeniem pokręciła głową.

– Nie wierzę ci. Niemniej tak właśnie było z Dorianem. Pomyślałem, że mógłbym go zepchnąć. I tak zrobiłem. Nie dlatego, że to mi pomogło, ale dlatego, że mogłem. Obdarzyłem go zaufaniem, a on prawie mnie zawrócił z drogi do boskości... więc zdradziłem go w najbardziej dogłębny sposób, jaki potrafiłem sobie wyobrazić. To był najbliższy czystemu złu uczynek, do jakiego byłem zdolny.

Widzisz, w moich oczach świat ma tylko dwie tajemnice. Zło jest

pierwszym, a miłość drugim. Widziałem miłość wykorzystaną, wyolbrzymioną aż stała się kpiną z samej siebie, wypaczoną, udawaną i zdradzoną. Miłość to coś kruchego i przekupnego. A jednak widziałem, że potrafi przejawiać ciekawą siłę. To przekracza moje pojmowanie. Miłość to słabość, która raz od wielkiego dzwonu triumfuje nad siłą. Zaskakujące. Co o tym myślisz, Jenine? Twarz miała jak z kamienia.

– Nie wiem nic o miłości.

– Nie miej do siebie żalu – prychnął. – Jedna interesująca myśl to więcej niż dostaję od większości swoich żon. Władza to dziwka. Gdy już ją zdobędziesz, zdajesz sobie sprawę, że zaleca się do wszystkich mężczyzn w zasięgu wzroku.

– Jaki jest cel twojej władzy? – zapytała Jenine. Zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałabym, że w tym właśnie tkwi twój problem.

– Teraz mówisz z taką przenikliwością, jakiej spodziewałbym się po kobiecie. Czyli z żadną.

– Dziękuję za wyjaśnienie.

Ach, więc była tak mądra, jak mówiono. Zastanawiał się nad tym, kiedy usłyszał, że prosiła o książki. Lepiej nie pozwalać kobietom czytać.

– Proszę bardzo. No dobrze, przy czym to ja byłem? Odpowiedziała, ale nie usłyszał jej. Właśnie coś się stało z umorem Tensera. Czuł to poprzez sieci magii, które rozpiął w całym zamku. Cokolwiek właśnie dokonało ataku, było potężniejsze niż się

spodziewał.

– Widzę, że jesteś tu nieszczęśliwa, więc odsyłam cię do Khaliras – powiedział, podchodząc do drzwi. – Jeśli wyślesz jakąkolwiek wiadomość albo spróbujesz uciekać, zgarnę wszystkich twoich przyjaciół oraz setkę niewinnych ludzi i zabiję ich.

Przeszedł przez pokój i pocałował ją gwałtownie. Jej usta były zimne i nie zareagowały.

– Do widzenia, moja księżniczko.

Stał za drzwiami, dopóki nie usłyszał, jak wybucha płaczem, jak szeleści pościel, gdy rzuciła się na łóżko, i jak powiedziała coś, co zabrzmiało jak imię Logana. Będzie musiał wydać rozkazy odnośnie do tego. Gdyby Jenine dowiedziała się, że Logan żyje, nigdy nie poddałaby się woli Garotha. Szarpnięcie w sieci ponaglało go, ale nadal stał. Zwykle płacz kobiety nic dla niego nie znaczył, ale dziś... Oglądał to uczucie jak dziwny, barwny kamień. Czy to były wyrzuty sumienia? Żal? Dlaczego nagle zapragnął ją przeprosić?

Ciekawe. Będzie musiał zastanowić się nad tym później. Kiedy Jenine znajdzie się w bezpiecznej odległości.

Rozkazał sześciu ogromnym góralom z królewskiej gwardii natychmiast zabrać ją do Khalidoru, a potem zszedł po schodach.

64

Feir przeszukiwał cenaryjskie wojska o świcie, szukając Solona lub Doriana. Żadnego nie mógł znaleźć. Kiedy zapytał, dlaczego nie ma tu garnizonu z Wyjących Wichrów, hrabia, który nazywał się Rimbold Drake, powiedział mu o masakrze i podzielił się obawą: skoro Khali wymordowała weteranów, co będzie, jeśli sprowadzili ją tutaj?

Zdesperowany Feir pojechał dalej. Niósł jedyny ratunek dla tej niczego nieświadomej armii. Co gorsza, nie był Widzącym, a przynajmniej nie w stopniu użytecznym. Widział sploty magii, które były tak blisko jakby je oglądał przez ladeskie szkło powiększające, ale gdyby pięćdziesiąt kroków od niego postawić człowieka nawet z takim Talentem jak Solon, Feir nie dostrzegłby nawet iskierki.

Po gorączkowym wypytywaniu znalazł dwoje magów: małżeństwo. Żadne z dwójki nie było specjalnie Utalentowane, ale oboje byli uzdrowicielami. Powiedzieli, że nie zauważyli żadnych wielkich Talentów w całej armii. Potem Tevor Nile rozejrzał się bezradnie... i zatrzymał się.

– Drissa – powiedział.

Podeszła i wzięła go za rękę. Oboje skupili uwagę na pagórku kilkaset kroków od wojska.

– Użycz nam swojej mocy, a my użyczymy ci naszego wzroku – powiedziała do Feira Drissa.

Zrobił to, czując się niezbyt pewnie, bo zawierzał się komuś,

mając Curocha, ale wtedy pagórek zapłonął jasnym światłem.

Mężczyźni znajdowali się za daleko, żeby Feir rozpoznał twarze, a też pilnowali się, żeby nie stawać na widoku, jednak Talenty wszystkich jaśniały, każdy z nich równie niepowtarzalny jak wzorzec tęczówki. Feir znał tych ludzi, zetknął się już z nimi, starł się z nimi w walce. To było sześciu najpotężniejszych magów z Sho'cendi. Feir wiedział, po co przyszli.

Bez wątpienia ci łajdacy wierzyli, że Curoch do nich należy. I oni mogli dzierżyć ten miecz, a on nie. Jeśli zaniesie im Curocha i przysięgnie oddać go pod jednym warunkiem, każdy z nich będzie mógł sam spalić całą armię khalidorską. Feir nie był tak gładki w obejściu jak Solon, ale dopóki miał Curocha w ręku, jego toporne maniery mogły wystarczyć.

Popędził więc prosto przed siebie, do braci, na koniu pożyczonym od Nile'ów, modląc się, żeby dotarł do nich, zanim wojska zewrą szyki. Jeśli dotrze do nich na czas, Cenaria może zwyciężyć, nie tracąc ani jednego człowieka.

Ścieżka wyprowadziła go do wąwozu, a tam zaraz napatoczył się na khalidorski patrol konny. Jego konia zabił łucznik, a potem zaatakowali go lansjerzy, rezygnując ze strzał na rzecz zabawy przy zabijaniu pieszego.

Teraz trzech z nich już nie żyło, a Feir miał poważniejszy kłopot. Za Khalidorczykami – to niewiarygodne – nadchodzili saceurai.

Kiedy więc zabił ostatniego jeźdźca, próbował stanąć na widoku, żeby magowie go dostrzegli. Na bogów! Znajdowali się raptem sto

kroków dalej. Gdyby zobaczyli Feira, nawet tysiąc sa'ceurai nie mogłoby stanąć między tamtą szóstką i Curochem.

Sa'ceurai nie pozwolą Feirowi złamać ich szyku. Byli zbyt zdyscyplinowani. Z pewnością ocenią go po sposobie walki, a sa'ceurai mieli bardzo konkretne przekonania na temat tego, jak należy walczyć.

Droga Miecza wiązała się z dość osobliwymi poglądami na walkę. Kazała zakładać za każdym razem, gdy stawało się do bitwy, że można zginąć, i lekceważyć śmierć, pod warunkiem, że zginie się honorowo. Najdoskonalszym uderzeniem był cios zadany wrogowi w ułamek sekundy przed tym, jak on zada śmiertelne pchnięcie.

Według Feira to było doskonałe i praktyczne podejście, kiedy szanse są wyrównane, jak to bywa między najlepszymi wojownikami. Jeśli za bardzo przejmujesz się tym, że możesz oberwać, nigdy nie zdobędziesz się na odwagę, by zadać taki cios, jaki jest potrzebny do pokonania najlepszego. Jeśli się zawahasz, zginiesz albo gorzej – patrząc z punktu widzenia Ceuranina – przegrasz.

Zabicie trzech jeźdźców to nie lada wyczyn. Zaprawiony w bojach jeździec jest wart dziesięciu piechurów. Jednakże spieszony mag to nie był zwykły piechur, a Feir bez skrupułów skorzystał z magii, zabijając pierwszych trzech. Wiedział, że mógłby zabić ostatniego Khalidorczyka, rzucając się na niego, ale nie bardzo wiedział, jak właściwie się do tego zabrać. Jakie wrażenie chciał zrobić na mistrzach miecza? Dla Ceuran walka to forma porozumiewania się. Człowiek mógł zwodzić słowami, ale jego ciało

mówiło prawdę.

Feir schował do pochwy Curocha – to był kolejny kłopot, o którym pomyśli później – i podbiegł do jeźdźca od strony ręki, w której trzymał lancę. W bitwie Khalidorczykowi wystarczyłoby, żeby przeciwnika stratował górski kuc, ale Feir był pewien, że w tej potyczce spróbuje zabić go osobiście. I... proszę!

Jeździec przechylił się i opuścił dziesięciostopową jesionową lancę. Feir skoczył w powietrze. To nie był wspaniały skok, ale Khalidorczyk jechał na górskim kucu wysokim na dwanaście dłoni, a nie na potężnym, alitaerańskim rumaku wysokim na osiemnaście dłoni. Feir w locie wymierzył boczne kopnięcie ponad lancą i trafił stopą w twarz Khalidorczyka.

W chwili uderzenia Feir zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, ceurańscy wieśniacy, którzy wymyślili takie kopnięcie do zrzucania jeźdźców z siodła, prawdopodobnie nie próbowali tej sztuczki, kiedy koń galopuje. Po drugie, coś trzasnęło i nie był to kark Khalidorczyka.

Feir upadł na ziemię. Kiedy wstał, kostkę przeszył potworny ból, a przed oczami zrobiło mu się czarno. Nie mógł jednak okazać słabości, nie na oczach sa'ceurai. Kiedy wstawał, oni już go otoczyli. Jeden podszedł do Khalidorczyka z wyciągniętym nożem, gotów go dobić, ale tamten już nie żył.

Feir stał w wyniosłym milczeniu, ze skrzyżowanymi na piersi umięśnionymi łapskami, ale z sercem jak kawałek lodu. Tylko jeden zakręt z litej skały oddzielał go od magów na wzgórzu. Gdyby mógł

przesunąć się dziesięć kroków i sięgnąć po Talent, dostrzegliby go mimo drzew. Ale nie mógł zrobić tych dziesięciu kroków. Nie mógł przesunąć się nawet o pięć.

Poza kręgiem z wyciągniętych mieczy i założonych na cięciwy strzał, mężczyzna sprawdzał wszystkie trupy. We włosy miał mnóstwo wplecionych pukli pokonanych przeciwników. Większość była związana na obu końcach – włosy sa'ceurai, których zabił – ale inne były spięte tylko z jego włosami – loki obcięte obcym. Kręg żelaza otworzył się i Lantano Garuwashi spojrzał na Feira.

– Stoisz dumnie i walczysz jak nefilim, a nawet nie splamiłeś krwią tych psów swojego miecza. Kim jesteś, olbrzymie? – zapytał Lantano Garuwashi.

Nefilim? Feir szukał w pamięci wszystkiego, co wiedział o Ceurze. Bogom dzięki, było tego całkiem sporo. Większość mistrzów miecza posiadała wiedzę na temat Ceury, zwłaszcza że wielu ich trenerów było Ceuranami, którzy skończyli na wygnaniu, bo służyli po niewłaściwej stronie w czasie jednej z ich bezustannie toczonych wojen. Ale nefilim? Droga Miecza. Pierwszych ludzi stworzono... z żelaza? Duszą mężczyzny jest jego miecz...

Nie mogę walczyć! Kuleję! Lantano Garuwashi widział, jak walczę, i teraz będzie chciał udowodnić, że jest większy od „olbrzyma”.

Ach, o to chodziło! „To byli bohaterowie i wielcy ludzie dawnych czasów”. Nefilimowie byli dziećmi narodzonymi ze śmiertelniczek i synów bogów. A może Boga? Ach, do diabła, nie pamiętał, czy

Ceuranie są politeistami. Cóż, w kwestiach religijnych nie wolno mu wdawać się w szczegóły.

– Nie obawiaj się – powiedział.

Zobaczył konsternację na twarzach jak z żelaza. Kto miał powiedzieć Lantano Garuwashiemu, żeby się nie bał? Feir uznał, że jeśli ma blefować, to równie dobrze może iść na całość.

A skoro mowa o pójściu na całość... nadszedł chyba czas, żeby Curoch zrobił swoją sztuczkę. Część uśpionej w Curochu magii pozwalała mu przybrać kształt dowolnego miecza, zgodnie z życzeniem właściciela. Nie wszystko w nim ulegało zmianie, ale to i tak powinno wystarczyć, żeby Feir mógł odegrać wymyśloną na poczekaniu rolę Boskiego Posłańca. Czytał opis ceurańskiego miecza, który powinien świetnie się nadać, więc siłą woli kazał Curochowi przybrać właściwy kształt... To wystarczy? Tylko tyle muszę zrobić?

Powoli wyciągnął miecz nie spuszczając oczu z Lantano Garuwashiego, dopóki tamten nie spojrzał na broń. Stojący w kręgu mężczyźni wytrzeszczyli oczy, wszyscy wstrzymali oddech, rozdziawili usta. I to kto?! Najlepsi ludzie Lantano Garuwashiego!

Feir spojrzał tam, gdzie oni. Curoch nie tylko zrozumiał, jakiego typu miecz Feir chce naśladować – on doskonale znał to konkretne ostrze. Feir wyobrażał sobie, że miecz „z płomieniami niebios wzdłuż ostrza” oznacza albo wzór z niespotykanej stali, albo grawerunek w kształcie płomieni. Inne tłumaczenie brzmiało „z płomieniem niebios w ostrzu”. Curoch wybrał tę drugą wersję.

Bliźniacze smoki – Feir nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że to

będą bliźnięta subtelnie się od siebie różniące – wygrawerowano po obu stronach ostrza w pobliżu rękojeści. Każdy ział ogniem w stronę czubka ostrza. Ale płomień nie był wytrawiony w stali. To naprawdę był ogień, wewnątrz miecza. W miejscu, gdzie płonął, i na długości kilku cali, ostrze miecza stało się przezroczyste jak szkło. Zupełnie jakby Feir trzymał sztabę ognia. Miecz nie zmieniał długości, ale płomienie w nim rosły i kurczyły się zależnie od... Feir nie wiedział w zależności od czego, ale w tej właśnie chwili smoki zionęły ogniem aż po czubek miecza – na trzy i pół stopy od rękojeści. Potem płomień przygasł.

Feir chciał tylko zrobić wrażenie, ale sa'ceurai patrzyli wręcz z nabożeństwem. Ledwo zdołał ukryć własne zdumienie, zanim spojrzenia zaczęły się kierować z powrotem na niego.

Lantano Garuwashi wyglądał jakby właśnie po raz pierwszy w życiu poczuł strach. Zaraz potem lęk zniknął i tylko on spośród wszystkich mężczyzn wyglądał na wściekłego.

– Dlaczego nefilim dzierży Ceur'caelestosa? – zapytał.

Ostrze Niebios. Feir nabrał nagle podejrzeń. Curoch za łatwo przybrał kształt właśnie tego ostrza. Zupełnie jakby wiedział, jak powinien wyglądać. A jeśli wcale nie udaje, że jest Ceur'caelestosem? A jeśli naprawdę nim jest?

Nie pokazałem ostrza, które może zaimponować. Pokazałem najświętszy przedmiot, jaki ci ludzie znają. Jak mam teraz sobie odkuśtykać? To nie miało znaczenia, było już za późno.

– Jestem jedynie sługą. Mam dla ciebie wiadomość, Lantano

Garuwashi, o ile jesteś prawdziwym sa'ceurai, gotowym jej wysłuchać. – Feir przeplótł swój głos z magią, zmienił go, dodał pogłos i głębię stosowne dla posłańca z niebios. – Ta ścieżka leży przed tobą. Walcz z Khalidorem i stań się wielkim królem.

Nie najwspanialsza wiadomość jak na boga, ale wystarczająco krótka, żeby brak elokwencji u Feira nie rzucał się w oczy. Uznał, że dzięki dodanym tonom i głośności, wzbudzi wystarczająco wielką trwogę.

Mimo to, Garuwashi nie był pod wrażeniem. Powoli wyciągnął miecz. Zwieszał się w jego dłoni bezwładny, matowy. Feir za późno dostrzegł swój błąd. Dlaczego zaproponował właśnie taką nagrodę? Powiedział Garuwashiemu, że zostanie królem, a to było niemożliwe. Miecz Garuwashiego był ze zwykłego żelaza – zniszczona, żałosna broń, którą trzymał z żarliwą dumą, ponieważ była dla niego powodem tak palącego wstydu.

Żelazny miecz nigdy nie będzie władał. Nie można było zmienić miecza. Duszą sa'ceurai był jego miecz. Dla Ceuran to nie był abstrakcyjny koncept. To był fakt.

Ten ostry, smutny kawał żelaza brutalnie obnażył kłamstwo Feira. Garuwashi mocniej zacisnął dłoń na swojej duszy i czubek ostrza uniósł się wyzywająco. Sa'ceurai w kręgu nadal trzymali broń, łuki jednak nie były już napięte, a o mieczach zapomniano. Ta chwila na zawsze zapisała się w ich pamięci. Ich Pan Wojny, największy saceurai wszech czasów, stanął naprzeciwko nefilima dzierżącego legendarny miecz... i nie okazał strachu.

– Czy jestem prawdziwym sa'ceurai? – spytał Lantano Garuwashi. – Prędzej umrę, niż zgodzę się na kpinę, nawet z ust bogów. Jestem wystarczająco sa'ceurai, żeby zabić posłańca bogów.

A potem zaatakował z szybkością, która uczyniła Lantano Garuwashiego żywą legendą.

Feir nie mógł walczyć. Walka z tym człowiekiem z jedną zdrową nogą to było samobójstwo. Zablokował pierwszy atak Garuwashiego, a potem sięgnął po magię i pociągnął go szarpnięciem ku sobie.

Ceuranin poleciał ku niemu, a pozostali mężczyźni stłoczyli się ze skrzyżowanymi mieczami, z twarzami ledwie cal od siebie. Curoch – albo Ceur'caelestos, czymkolwiek tak naprawdę był – zapłonął, ożywając. Smoki zionęły ogniem aż po czubek ostrza.

Feir myślał tylko o tym, że jego ręce muszą być silniejsze niż ręce Garuwashiego. Gdyby ten Ceuranin zachował odległość, zamordowałby Feira. Jednakże kiedy znalazł się w zasięgu potężnych rąk Feira, mag zyskał szansę. Nagle, nim którykolwiek z nich zdążył cokolwiek zrobić, światło zaczęło bić z drugiego ostrza między nimi. To musiało trwać raptem sekundę, ale na tę sekundę obaj mężczyźni zapomnieli o swoim szkoleniu w sztuce walki. Stali tylko, prężąc mięśnie, próbując wybić przeciwnika z równowagi i starając się ignorować to, na co każdy rozpaczliwie chciał spojrzeć. To nie była sprawka Feira – może to Curoch reagował na magię, której Feir użył, żeby przyciągnąć Garuwashiego. Miecz Ceuranina rozżarzył się na czerwono, a potem rozpalił do białości. Płonął jaśniej niż Curoch, a potem kiedy obaj mężczyźni się przepychali, miecz Garuwashiego

eksplodował.

Wybuch był niegroźny, ale nie został niczym złagodzony. Żaden z płonących fragmentów miecza nie przeszył ciała Feira, ale też nic nie powstrzymało siły odrzutu. Feir przekoziołkował do tyłu i wylądował twarzą do ziemi bite piętnaście stóp dalej. Próbował się podnieść, jednak ból w kostce zaatakował z taką siłą, że gdyby Feir wstał, zemdlałby z bólu. Został więc na kolanach. Spojrzał na wzgórze i zagarnął tyle mocy, ile był w stanie utrzymać.

Popatrz w tę stronę, niech cię diabli, Lucius! Spójrz! Nadal zasłaniały go drzewa, ale gdyby któryś z Braci Widzących po prostu spojrzał, od razu by go dostrzegł.

Trzydzieści stóp dalej Lantano Garuwashi wstał. To niemożliwe, ale trzymał swój miecz – nie, nie swój miecz. Jego miecz zniknął, przepadł. Nie zostały nawet tlące się resztki. Z wyrazem absolutnego zdumienia w oczach, wzniósł Ceur'caelestosa i ostrze prezentowało się idealnie, jakby Lantano Garuwashi urodził się dla tego miecza, a miecz stworzono tysiąc lat temu z myślą o Lantano Garuwashim.

O ile sa'ceurai wcześniej byli zdziwieni, to teraz całkiem oniemieli. Padli na kolana tak samo jak Feir. Jeden z nich powiedział:

– Bogowie dali Lantano Garuwashiemu nowy miecz.

Miał na myśli to, że bogowie dali mu nową duszę, duszę legendy, duszę króla. W każdym oku Feir widział zgodę. Wiedzieli o tym już wcześniej. Służyli Lantano Garuwashiemu, zanim jeszcze stał się „Tym Lantano Garuwashim”, królem Lantano, zanim pokonał i upokorzył nefilima.

Teraz Feir klęczał i nie mógł wstać. W oczach Lantano Garuwashiego zapłonęło przeznaczenie, kiedy spojrzał z góry na olbrzyma.

– W rzeczy samej, stało się jak przewidzieli bogowie. Ceur'caelestos jest twój – powiedział Feir.

Co innego mógł powiedzieć?

Lantano Garuwashi dotknął ostrzem podbródka Feira.

– Nefilimie, posłańcu i sługo bogów, masz twarz Alitaeranina, ale walczysz i mówisz, jak tylko sa'ceurai potrafi. Przyjmę cię na służbę.

A wyraz jego oczu dodał: „albo umrzesz”.

Feir nie potrzebował nefilima od bogów, żeby przepowiedział mu przyszłość. Spojrzał na wzgórze, skąd nie nadeszła żadna pomoc. Nie zdziwił się. Już był tym, kim pozostanie na zawsze: Małym Człowiekiem, który Służył Wielkim. Na zawsze pozostanie Człowiekiem, Który Stracił Curocha. Pokonany spuścił głowę.

– Będę... ci służył.

65

Czterysta kroków dalej Agon usłyszał wybuch i natychmiast obejrzał się przez ramię, próbując się zorientować, gdzie nastąpił. Wojska khalidorskie stacjonowały na zachód, ale żaden z żołnierzy w oddali nie zareagował, jakby wybuch nastąpił u nich. Agon spojrzał na kapitana.

– Poślę gońca do lorda Graesina – powiedział kapitan.

Królowa przekazała młodszemu bratu Lucowi dowództwo nad zwiadowcami, najwyraźniej myśląc, że musi powierzyć młodemu kretynowi jakieś odpowiedzialne zadanie i że to będzie coś, czego nie zdoła spieprzyć. Siedemnastolatek postanowił, że wszyscy zwiadowcy będę składali raporty tylko jemu. Dopiero po złożeniu raportu – czyli odczekawszy godzinę lub więcej w kolejce za innymi zwiadowcami – mogli pójść do lordów, którzy rzeczywiście potrzebowali informacji.

W zestawieniu z całokształtem sytuacji, pomysł ten zaowocował strugami potoczystych przekleństw z ust oficerów Agona. Żaden z nich nie wypowiedział na głos swoich obaw. Nie było takiej potrzeby. Każdy weteran wiedział, że prowadzą do walki kompletnie niedoświadczone wojsko. Właściwie to już mówienie o wojsku było znaczną przesadą. Oddziały nie ćwiczyły razem wystarczająco długo, żeby spójnie działać. Różni lordowie stosowali różne sygnały, a w zgiełku bitewnym głosów zwykle nie da się rozróżnić. Jeden oficer nie będzie w stanie dać sygnału dłonią następnemu oficerowi w linii i przekazać rozkazu generała, czy chociażby zareagować na nową

sytuację. To, w połączeniu z faktem, że królowa rozmieściła oddziały, kierując się polityką, sprawiało, że weterani tylko zgrzytali zębami.

Agon miał szczęście, że dostał chociaż ten tysiąc ludzi, który przyprowadził. I dostał go tylko dzięki temu, że diuk Logan Gyre wykorzystał cały swój kapitał polityczny, prosząc o to... i dlatego, że ludzie, który wcześniej służyli pod Agonem, zagrozili buntem, jeśli nie on będzie nimi dowodził.

I tak Agon dowodził jedną dziesiątą cenaryjskiej armii. Królowa przydzieliła mu środek linii, chociaż udawała, że zaszczyt ten przypadł lordowi stacjonującemu obok Agona.

– Zapomnij – warknął. – Bitwa się skończy, zanim otrzymamy jakieś wieści od zwiadowcy. Jak się mają ludzie?

– Gotowi lordzie ge... mój panie – odpowiedział kapitan.

Agon spojrzał na jaśniejące niebo. Zapowiadał się dzień, jaki powinno się przesiedzieć przy ognisku z filiżanką ootai... albo z brandy. Ciemne chmury przesłoniły wschodzące słońce, przeciągając mrok na pierwsze godziny dnia i odwlekając nieuniknioną bitwę. Płaskie pole, które tak naprawdę było ziemiami kilkunastu farm, było puste. Pszenicę zebrano, a owce przegnano na zimowe pastwiska. Niskie kamienne ogrodzenia dla owiec krzyżowały się na polu bitwy.

To będzie śliskie, niewygodne i nieprzyjemne miejsce do walki. Błogosławieństwo dla Cenarii, ale nie do końca. Z powodu murków i błota, ciężka jazda khalidorska będzie ostrożna i powolna. Kazać ciężko opancerzonemu koniowi, który niesie ciężko opancerzonego człowieka, przeskakiwać ogrodzenie na śliskim gruncie to dobry

sposób, żeby zabić i konia, i jeźdźca. Z drugiej strony ogrodzenia spowolnią też ludzi Agona, a to oznaczało, że khalidorscy czarownicy będą mieli więcej czasu na rzucanie ogniem i błyskawicami.

Agon zatrzymał konia przed swoją piechotą i łucznikami. Nie miał żadnych konnych oprócz gwardii Sa'kagé i łowców czarowników.

Po wczorajszej przemowie Logana Agon wiedział, że gdyby młody Gyre był tu teraz, sprawiłby, że ci ludzie poczuliby się częścią czegoś ogromnego i dobrego. Logan dałby każdemu z nich serce bohatera. Pod dowództwem Logana ci ludzie nie zawahaliby się ani sekundy, poświęcając własne życie. Ci, którzy by przeżyli, nawet okaleczeni, uważaliby się za szczęściarzy, bo stanęli do walki z takim człowiekiem u boku. Agon nie był taki jak on.

– Jestem prostym człowiekiem – powiedział żołnierzom w szeregach, którzy mieli stawić czoło horrorowi magii i śmierci. – I mogę wam zaoferować tylko proste słowa. Większość z was walczyła już pod moim dowództwem... – Bogowie, czy to łzy? Zamrugał, żeby się ich pozbyć. – I to dla mnie zaszczyt, że chcecie, żebym znowu wami dowodził. To nie będzie łatwa walka. Sami wiecie. Ale walczymy ze złem, któremu nie można pozwolić na zwycięstwo. To zależy od nas, czy je powstrzymamy i dziś mamy jedyną szansę. Słuchajcie, jeśli wygramy, dowództwo zostanie mi odebrane, więc jeśli zrobicie to, o co zaraz was poproszę, być może zostaniecie ukarani... ale i tak was o to poproszę. Diukowi Gyre przypadł... zaszczyt poprowadzenia pierwszej szarży. – Wśród żołnierzy rozległy

się gniewne pomruki. Agon uniósł dłoń. – Jeśli przeżyje pierwszą szarżę, proszę, żebyście strzegli go za cenę własnego życia.

Agon nie śmiał powiedzieć nic więcej. Jeśli wygrają, królowa bez wątpienia usłyszy o wszystkim, co powiedział.

Zostawił żołnierzy poważnych i skupionych – gotowych do walki. Żałował, że nie był dowódcą, który zostawiłby ich wiwatujących i z płonącymi oczami, ale w przypadku tych ludzi tyle wystarczy.

Podjechał do naradzających się lordów po ostatnie instrukcje, chociaż nie zamierzał ich wypełniać. Agon długo i intensywnie zastanawiał się, jak zaatakować wojsko, które ma wsparcie czarowników, i uznał, że obmyślił lepszą strategię, niż potrafiłby którykolwiek z tych napuszonych pawi. Ale dzięki temu miał ostatnią okazję zbliżyć się do Logana.

– Mój panie – powiedział Agon.

Logan się uśmiechnął.

– Generale.

Wyglądał oszałamiająco w rodowej zbroi, chociaż trochę ją przerobił, żeby nie wisiała luźno na jego wychudzonej sylwetce. Agon szukał właściwych słów.

– Panie, zawsze będziesz moim królem.

Logan położył dłoń na ramieniu generała i spojrzał mu w oczy. Nic nie powiedział, ale jego twarz mówiła Agonowi wszystko.

I wtedy nadjechała konno Sethyjka. Agon nie poznał jej. Nosiła zbroję, miecz i miała lancę.

– Mój panie – zwróciła się do Logana. – Kapitan Kaldrosa Wyn.

Meldujemy się.

– O czym pani mówi? – zdziwił się Logan.

Uniosła rękę i szeregi mężczyzn rozstąpiły się. Między nimi szło trzydzieści kobiet w takich samych zbrojach jak Kaldrosy. Każda prowadziła konia. Nie wszystkie były piękne, nie wszystkie były młode, ale wszystkie były kawalerami Orderu Podwiązki.

– Co wy sobie wyobrażacie? Że niby co będziecie robić? – spytał Logan.

– Będziemy walczyć. Wszystkie chciały, ale wybrałyśmy tylko te, które mają doświadczenie w walce. Są wśród nas piratki, strażniczki karawan kupieckich, weteranki walk na arenie i łuczniczki. Do usług. Dałeś nam nowe życie, panie. Nie pozwolimy jej zmarnotrawić twojego.

– Skąd macie broń?

– Pomogły nam kobiety, które nie mogą walczyć – odpowiedziała kapitan Wyn.

– A trzydzieści koni?

– Mama K – zgadł Agon, krzywiąc się.

– Tak – rozbrzmiał głos Mamy K za ich plecami. Bogom dzięki, przynajmniej ona nie była uzbrojona. – Diuku Gyre, pański zarządca znalazł kilka wspaniałych rumaków, które rewidenci królowej jakoś... przeoczyli. Przekona się pan, że każda z tych dam ochoczo wypełni wszelkie rozkazy na polu bitwy.

– Te kobiety nie są... – Logan urwał. Nie chciał ich obrażać. Zniżył głos. – Wszystkie zginą.

– Mama K nie prosiła nas o to – powiedziała Kaldrosa Wyn. – Powiedziała, że jesteśmy głupie. Ale nie zmienimy zdania. Panie, wczoraj zabrałeś nasz wstyd. Dałeś nam honor. Nie odbieraj nam tego.

– Co tu się dzieje? Co te dziwki robią przed moim wojskiem?! – wrzasnęła Terah Graesin, gwałtownie zatrzymując konia obok Agona.

– One walczą dla ciebie – wyjaśnił generał. – I nic na to nie poradzisz.

– Nie? Czyżby?

– Nie. A to dlatego. – Agon wskazał ręką.

W pierwszym mglistym świetle poranka khalidorskie wojsko ruszyło.

***

W miarę jak Kylar i Vi wspinali się z Paszczy do Zamku Cenaria, gorący odór w powietrzu słabł i nawet obecność Khali jakby mniej ciążyła. Kylar szedł tymi korytarzami raptem cztery miesiące temu, przemykał się niektórymi z tych przejść, żeby zabić Rotha Ursuula. Tym razem jednak wykorzystał inną strategię.

Do tego czasu Khalidorczycy poznali już wszystkie sekrety zamku: tylne przejścia, fałszywe ściany, ukryte wizjery i sekretne drzwi. Tym razem Kylar nie pójdzie tunelami prosto do sali tronowej. Ale dopóki znajdowali się daleko od sali tronowej i królewskich komnat, tajne przejścia były bezpieczniejsze dla Vi, która nie mogła stać się niewidzialna. Dlatego godzinę przed świtem weszli do

przejścia i cicho przekradali się nad głowami i za plecami dziesiątek żołnierzy.

Kylar nie sądził, żeby się go spodziewano, miał więc nadzieję, że obecność żołnierzy znaczy tylko, że w dniu bitwy Garoth Ursuul chciał po prostu wzmocnić ochronę zamku. A jednak martwiła go już sama liczna straży. W przededniu bitwy normalny dowódca zostawiłby na zamku tylko minimalna obsadę.

Komnaty królewskie znajdowały się w zachodnim skrzydle. Kylar i Vi wyszli z tuneli do pustego pokoju dla służby u podnóża ostatniego ciągu schodów przed apartamentami króla. Kylar wyjrzał na korytarz.

Drzwi do królewskiej sypialni znajdowały się na końcu długiego, szerokiego korytarza. Dwóch górali z włóczniami strzegło drzwi. Nie licząc licznych drzwi do pokojów służby, w korytarzu nie było żadnych zakamarków. Kylar znowu pomyślał, że dla niego to żaden problem, ale dla Vi wręcz przeciwnie. Może nie trzeba było jej zabierać ze sobą? Mama K uważała, że może potrzebować Vi, ale zaczynało wyglądać na to, że tylko go spowalnia. Będzie musiał sam zdjąć obu strażników. To było do zrobienia, tyle że każdy z nich miał sznur do dzwonka alarmowego. Kylar nie wątpił, że może obu zabić, ale czy zdoła ich zabić i jednocześnie obu utrzymać z dala od sznurów?

Cofając się do pokoju, powiedział:

– Może poczekasz tutaj, aż...

Vi stała rozebrana do pasa i rozkładała sukienkę, którą wyjęła z

plecaka. Kylar rozdziawił usta i zamarł. Kiedy w końcu oderwał wzrok, Vi miała najzwyczajniejszą minę pod słońcem. Odwrócił głowę i zarumienił się. Plecak uderzył go w brzuch.

– Wyjmij stanik sukienki, dobrze? – powiedziała Vi.

Wyciągnął stanik i podał go Vi, która właśnie wciągała na siebie obcisłą sukienkę służącej. Pochyliła się i podciągnęła nogawki spodni, żeby nie wystawały spod rąbka, odsłaniając przy okazji widoki przed Kylarem. Zakaszlał.

Vi wyrwała gorset z rąk podenerwowanego Kylara.

– Kylar, mówię serio, przestań się zachowywać jak prawiczek... Prawiczek! Jak on serdecznie nienawidził tego słowa!

– Na pewno nie pierwszy raz zobaczyłeś nagą kobietę. Właściwie to był pierwszy raz, ale Kylar prędzej by umarł – jak najdosłowniej – niż przyznałby się do tego Vi. Elene nigdy nie pozwoliła mu zobaczyć jej piersi, chociaż nie zawsze powstrzymywała jego ręce przed zabłąkaniem się w tę cudowną okolicę. Chciała zachować wszystko, co się da, na czas, kiedy już będą małżeństwem. I chociaż Kylarowi udało się nieco naruszyć te granice – ale z niego łajdak! – to każdy kroczek wydawał się ogromnym, bezcennym darem. Wtedy to było potwornie frustrujące. Jednakże z Vi, błyskawicznie sznurującą stanik sukienki i poprawiającą dekolt, sytuacja była całkiem inna. Dla niej pokazanie piersi nic nie znaczyło. Nawet się nie odwróciła, kiedy złapała każdą z piersi w staniku i przesunęła to w tę, to we w tę, żeby najlepiej wykorzystać swoje atuty. Kylar zawsze myślał, że piersi Elene są najpiękniejsze, ale piersi Vi były pełniejsze, większe. Nie

można było spojrzeć na nią i nie zauważyć jej piersi. Już one same sprawiały, że wyglądała ponętnie, a jednak... jednak dla niej to były po prostu cycki. Narzędzia.

Elene nie była tak otwarcie zmysłowa, może w ogóle była mniej zmysłowa i tyle. Ale w seksualności Vi było coś tandetnego, co mówiło Kylarowi, że nie znajdowała w niej radości. To jej odebrano; odebrali jej to lubieżni kochankowie matki, Hu Szubienicznik, klienci Mamy K i przelotne przygody. Podniecenie Kylara zmieniło się nagle w smutek.

Vi podniosła wiklinowy kosz z bielizną i wepchnęła do niego ubrania, dorzucając też swoją tunikę. Pod pierwszą warstwą schowała sztylet.

– Jak wyglądam?

Sukienka wyglądała dziwnie znajomo. Tamtego dnia Vi zdecydowanie mniej afiszowała się dekoltem, dopasowując strój do skromności rezydencji Drake'ów, ale to była dokładnie ta sama sukienka, którą miała na sobie, kiedy próbowała go zabić.

– Ożeż w mordę – powiedział.

Zachichotała i obróciła się, pokazując mu się ze wszystkich stron.

– Nie mam w niej za dużego tyłka?

– Zabieraj swój wielki tyłek do korytarza.

Zaśmiała się i oparła kosz na biodrze. Była prowokacyjna, zachwycająca, kusząca i czy teraz musiała do tej mieszanki dodać jeszcze „zabawna”? Niech to szlag, przy bramie omal jej nie pocałował! Niewątpliwie zarobiłby nóż w plecy, gdyby to zrobił, ale

przez sekundę miał wrażenie, że ona też chciała tego pocałunku. Rozkołysanym krokiem ruszyła korytarzem, a Khalidorczycy wbili w nią wzrok. Jeden zaklął pod nosem.

– Witam – powiedziała Vi, stając przed strażnikiem po lewej. – Jestem tu nowa i zastanawiałam się, czy...

Podcięła mu gardło nożem tak głęboko, że prawie ścięła mu głowę.

Kylar złamał kark drugiemu zdecydowanym szarpnięciem i z głośnym trzaskiem.

Vi zerknęła tam, gdzie stał... a może nie stał, bo nie było go widać.

– To się, kurwa, w pale nie mieści – mruknęła z niedowierzaniem. – Dobra, wchodź po dziesięciu sekundach, albo jak tylko usłyszysz mój głos. Jeśli Król-Bóg się obudzi, odwrócę jego uwagę, a ty go zabijesz. Jeżeli się nie obudzi, sama go zdejmę.

Powoli i cicho otworzyła drzwi i weszła do środka. Kilka chwil później wyszła. Twarz miała zieloną.

– Nie ma go tam.

– Co się stało? – Kylar chciał ją wyminąć, ale zablokowała mu przejście.

– Nie chcesz tam wchodzić. Przepchnął się mimo to.

Komnata była wypełniona kobietami. Stały zamarłe jak posągi w różnych pozach. Jedna na czworakach, naga, miała na plecach taflę szkła, tworząc w ten sposób stolik. Inna, wysoka arystokratka, którą Kylar rozpoznał, ale nie pamiętał jej imienia, stała na palcach,

przeciągając się uwodzicielsko. Jedną ręką i jedną nogą oplatała kolumnę podpierającą baldachim nad ogromnym łożem Króla-Boga. Chellene lo-Gyre siedziała ze skrzyżowanymi nogami w koszulce w wysokim fotelu. Kylar nic o niej nie wiedział, poza tym, że miała reputację kobiety o wyjątkowo wybuchowym temperamencie. Wyraz jej twarzy, potargane włosy i napięcie w smukłych mięśniach potwierdzały to. Większość kobiet była naga, reszta tylko skąpo odziana. Dwie, klęcząc, podpierały umywalkę. Dwie inne trzymały lustro. Jedną przykuto do ściany; miała apaszkę wokół szyi. Kylar wstrzymał oddech.

To była Serah Drake. Jak wszystkie pozostałe nie była tylko nieruchoma jak posąg – naprawdę była posągiem. Z cichym okrzykiem Kylar dotknął jej twarzy, dotknął ust, które kiedyś pocałował. Były miękkie jak żywe ciało, ale zimne, a w otwartych, błyszczących oczach nie brakowało życia. Jej ciało – ciała wszystkich kobiet – zamrożono za pomocą magii i ustawiono tutaj. Jak dzieła sztuki.

Pod apaszką Kylar zobaczył siniaki wokół szyi Serah. Odwrócił wzrok. Wieszając się, można umrzeć dwojako: jeśli spadnie się z odpowiedniej wysokości, kark łamie się i śmierć nadchodzi szybko, a w przeciwnym wypadku następuje powolne duszenie. Serah umarła powolną, gorszą śmiercią.

Odsunął się, ale wszędzie, gdzie spojrzał, dostrzegał makabryczne szczegóły. Bransolety noszone przez kobiety ukrywały rozcięte nadgarstki. Koszulki skrywały przebite serca; bogatsze stroje

ukrywały fakt, że ciała kobiet wypchano w sposób niedoskonały – to te, które rzuciły się z balkonów i teraz miały wypukłości w miejscach, w których mieć ich nie powinny.

Kylar zatoczył się jak pijany. Potrzebował powietrza. Zaraz zwymiotuje. Wypadł na szeroki balkon Króla-Boga.

Siedziała na kamiennej poręczy ze stopą zahaczoną o kolumienkę dla zachowania równowagi. Odchylała się do tyłu, naga, z koszulą nocną w dłoni, łopoczącą na wietrze jak flaga. Mags.

Kylar krzyknął. Talent wyciekł przez jego furię i krzyk rozbrzmiał w całym zamku, odbijając się echem od dziedzińca daleko w dole. Całe życie na zamku zamarło. Kylar nie dostrzegł tego, ani nie zauważył, że ka'kari rozlało się mu po skórze, a maska oblicza Sprawiedliwości ukryła jego cierpienie.

Uderzył dłonią w kamienną poręcz i zmiażdżył ją po jednej stronie Mags, a potem uderzył po drugiej stronie. Wziął Mags na ręce i zaniósł do komnaty. Dotyk jej skóry – zupełnie jak żywej – był potworny; ale jej kończyny zamrożono w jednej pozycji. Położył ją na łóżku, a potem wyrwał śruby trzymające Serah Drake przy ścianie. Położył ją obok siostry. Kiedy je przykrywał, zauważył, że lewe stopy obu dziewcząt okraszono zamaszystym podpisem, jakby ich ciała były dziełem sztuki – Trudana Jadwin.

Vi patrzyła oczami okrągłymi jak spodki to na niego, to na grubą na sześć cali kamienną poręcz.

– Ożeż kurwa – szepnęła. – Kylar, to ty?

Sztywno skinął głową. Chciał pozbyć się oblicza Sprawiedliwości

z twarzy, ale nie mógł. Potrzebował go teraz.

– Sprawdziłam pokoje konkubin. Nic. Musi być już w sali tronowej.

Kylarowi zacisnął się żołądek. Wzdrygnął się odruchowo.

– Co? – spytała Vi.

– Złe wspomnienia. Pieprzyć to. Idziemy.

Nadchodził świt. Zabijając dwóch strażników, przyspieszyli przepływ piasku w swojej klepsydrze. Niedługo ktoś sprawdzi, czy strażnicy są na posterunku, pewnie o wschodzie słońca. Gorzej, że wojsku cenaryjskiemu też kończył się czas. Niedługo rozpocznie się bitwa, a potem zaczną się przykre niespodzianki. Jeśli Logan ma mieć szansę zostać królem, Kylar musi wręczyć mu zwycięstwo. Śmierć Garotha Ursuula odbierze Khalidorczykom ducha.

Ruszyli bezczelnie korytarzami – Vi w stroju służącej, a Kylar w niewidzialności. Na wszelki wypadek przemykał się od drzwi do drzwi, bo a nuż jacyś meisterowie kręcili się po zamku. Kiedy doszli do ostatniego korytarza, minęli sześciu potężnych górali – Kylar w życiu nie widział większych. Kylar uskoczył za posąg, gdy zobaczył, że góralom towarzyszy dwóch Vürdmeisterów. Najciekawsze w tym wszystkim było to, że cała ta ochrona najwyraźniej została przeznaczona dla jednej kobiety – pewnie jednej z konkubin lub żon Króla-Boga. Szła spowita w szaty i zasłony, żeby nie było widać nawet skrawka jej skóry.

Kiedy Kylar wyciągnął noże, żeby ich zabić, Vi położyła rękę na jego ramieniu. Odwrócił się do niej, pokazując oblicze

Sprawiedliwości, i Vi się wzdrygnęła. Ale miała rację – walka tutaj mogłaby zagrozić powodzeniu ich prawdziwej misji, a nic nie mogło przeszkodzić Kylarowi w zabiciu Garotha Ursuula.

Żołądek mu się burzył. Nie uspokoił się, nawet kiedy grupa skręciła za róg i zniknęła. W tym samym korytarzu stał z Elene i Uly, zanim poszedł na swoją pierwszą śmierć.

Uspokoił się. Garoth Ursuul był o wiele potężniejszy od Rotha Ursuula, ale Kylar też stał się potężniejszy. I pewniejszy siebie. Wtedy był chłopcem, który próbował udowodnić, że jest mężczyzną, a teraz był mężczyzną dokonującym wyboru i świadomym potencjalnej ceny.

Uśmiechnął się z szaleńczą brawurą.

– No więc, Vi, jesteś gotowa zabić boga?

66

Mężczyźni przysiedli na grani wzgórza na południe od pola bitwy – sześciu najpotężniejszych magów spośród Saseuranów. Ich ubrania nie zdradzały tego. Każdy miał na sobie proste szaty kupca ze swojej ojczyzny: czterech Alitaeran, Waeddryńczyk i Modaińczyk. Ich mocne konie niosły nawet przyzwoitą ilość towarów i nawet jeśli wierzchowce były trochę lepsze niż konie większości kupców, nie prezentowały się tak wspaniale, żeby zwracać na siebie uwagę. A jednak o ile wygląd nie zdradzał tych mężczyzn, z pewnością czyniła to ich postawa. Kroczyli z pewnością siebie godną bogów.

– To nie będzie ładny widok – powiedział Modaińczyk.

Antoninus Wervel był niskim i szerokim jak maselnica mężczyzną o kartoflowatym, czerwonym nosie i z pożyczką z ciemnych włosów zaczesaną na lśniącą łysinę. Zgodnie z modaińską modą miał oczy obmalowane czernidłem oraz przyciemnione i wydłużone brwi. Wyglądał przez to złowrogo.

– Ilu meisterów się doliczyłeś? – zapytał jednego z alitaerańskich bliźniaków, Caedana.

Tykowaty młodzieniec drgnął. Był jednym z dwóch Widzących w grupie i powinien był wypatrywać Utalentowanych.

– Przepraszam, przepraszam. Ja tylko... czy cała straż przyboczna tego człowieka to kobiety?

– Na pewno nie.

– Ależ tak – powiedział lord Lucius. On był dowódcą misji i

drugim Bratem Widzącym. Bardziej jednak interesowała go druga strona pola. – Khalidorczycy mają co najmniej dziesięciu meisterów, prawdopodobnie dwudziestu. Stoją blisko siebie.

– Lordzie Luciusie – odezwał się nieśmiało Caedan. – Myślę, że mają tam sześciu Vürdmeisterów, bardziej z tyłu, pośrodku. Zupełnie jakby zebrali się wokół czegoś, ale nie widzę, co to takiego.

Konus odchrząknął.

– Ilu Dotkniętych walczy dla Cenarii? – Powiedział to specjalnie, żeby zdenerwować Alitaeran. W języku modaińskim „dotknięty" znaczy Utalentowany, a nie „szalony" jak po alitaerańsku.

Caedan nie zwrócił na to uwagi.

– Widzę mężczyznę i kobietę w szeregach cenaryjskich, oboje są wyszkoleni, stoją razem. I jeszcze kilka osób bez przygotowania.

– A wśród ceurańskich wojowników?

– Nie widziałem Ceuran, odkąd zniknęli za zakrętem.

Drugi młody Alitaeranin – Jaedan – miał nieszczęśliwą minę. Był bratem bliźniakiem Caedana, miał te same ładne rysy, takie same opadające na czoło czarne włosy i zupełnie inne dary.

– Dlaczego są tacy głupi? Wszyscy widzieliśmy nadchodzące z południa wojska Lae'knaught. Pięć tysięcy lansjerów, którzy niczego tak nie nienawidzą jak Khalidorczyków. Dlaczego Cenaryjczycy nie zaczekają na nich?

– Mogą nie wiedzieć, że Lae'knaught nadchodzi – odpowiedział lord Lucius.

– Albo rycerze Lae'knaught wcale nie nadejdą. Może tylko

czekają, żeby wybić zwycięzców. Albo Terah Graesin chce zgarnąć całą chwałę dla siebie – zasugerował Wervel.

Jaedan nie mógł w to uwierzyć.

– Nie będziemy tak tu siedzieć, prawda? Na Światło! Cenaryjczycy zostaną zniszczeni. Dwudziestu meisterów. Możemy ich załatwić. Dam sobie radę z trzema, może czterema, a wiem, że wy jesteście równie dobrzy jak ja, jeśli nie lepsi.

– Zapominasz o naszej misji, kawalerze Jaedan – upomniał go lord Lucius. – Nie wysłano nas, żebyśmy walczyli w czyjeś wojnie. Khalidorczycy nie są dla nas zagrożeniem...

– Khalidorczycy są zagrożeniem dla wszystkich! – zaprotestował Jaedan.

– CISZA!

Jaedan urwał, ale nieposłuszeństwo nadal malowało się na jego twarzy. Cenaryjskie wojsko ruszyło powolnym truchtem, jak ogromna, powoli rozpędzająca się bestia.

Caedan drgnął.

– Po... poczuliście to? – spytał.

– Co takiego? – zdziwił się Wervel.

– Nie wiem. Po prostu... nie wiem. Coś jak wybuch? Mogę pójść zobaczyć, co robią Ceuranie, lordzie Luciusie?

– Potrzebujemy wszystkich oczu do obserwacji bitwy. Patrz i ucz się, kawalerze. Mamy rzadką okazję zobaczyć, jak walczą Khalidorczycy. Ty też, Jaedanie.

Wojsko khalidorskie ustawiło się w luźnych szeregach – obok

każdego wojownika zostało miejsce dla łucznika. Łucznicy właśnie się przygotowywali; każdy kładł strzały na ziemi, skąd mógł je szybko podnieść. Przed szeregami stały dwuosobowe drużyny meisterów konno. Dla Widzących dosłownie świecili.

– Co zrobią, Caedanie? – zapytał lord Lucius.

– Najpierw ogień, panie? Potem błyskawice? – I dlaczego?

– Bo wtedy Cenaryjczycy posikają się ze strachu? To znaczy... bo to wpłynie na ich morale, panie – odpowiedział Caedan.

Wojsko cenaryjskie nadal truchtało przed siebie. Znajdowało się teraz czterysta kroków dalej. Grupa pod dowództwem generała Agona wysforowała się i rozproszyła. Żołnierze jednak nie rozproszyli się na dwie czy trzy grupy. Nieliczni jeźdźcy Agona i piechota stworzyli przerywaną linię długą jak cały cenaryjski front.

– Co on u diabła robi? – zdziwił się jeden z Alitaeran.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Generał nie mógł mieć nadziei, że przełamie formację Khalidoru, kiedy jego własna linia była tak rwana. Poza tym jego manewr sprawił też, że w środku cenaryjskiego szyku pojawiła się dziura. Ale kiedy magowie patrzyli, inny cenaryjski generał, diuk Wesseros, rozkazał przejść swoim ludziom i zapełnić lukę.

– To genialne! Minimalizuje straty – zachwycił się Wervel. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Magowie nie cierpieli, kiedy czegoś nie rozumieli, ale jeszcze gorzej znosili sytuację, gdy nadal nie rozumieli, chociaż ktoś inny zrozumiał i dał im wskazówkę.

– Co? – spytał w końcu Jaedan.

– Pomyśl jak meister, kawalerze. Masz dość viru na ile? Pięć, dziesięć ognistych pocisków, zanim skończą ci się zasoby? Zwykle zabijasz dwóch do pięciu ludzi każdym pociskiem. Kiedy szyk jest tak przerzedzony, zabijesz jednego. A możesz w ogóle nie trafić. Agon wie, że ryzykuje. Jeśli główne uderzenie ruszy za późno, żeby go wesprzeć, Khalidorczycy wyrżną pierwszą linię, ale jeśli nadejdzie w ciągu pięciu, dziesięciu sekund, to udało mu się uratować setki i zapobiec... ehm, osłabnięciu morale. Wygląda na to, że znaleźliśmy generała, który wie, jak walczyć z meisterami. Być może jednak jest nadzieja dla Cenarii.

Zostało jeszcze dwieście kroków; szeregi przyspieszyły.

Łucznicy po khalidorskiej stronie wypuścili pierwszą salwę i stado dwóch tysięcy czarnopiórych strzał poderwało się do lotu. Na długą sekundę zaciemniły i bez tego ponure niebo, rzucając cień śmierci na świt. Kiedy zanurkowały, wbiły dzioby z zadziorami w ziemię, zbroje, ciała ludzi i koni.

I znowu rozproszenie szeregów uratowało setki istnień, ale wszędzie po cenaryjskiej stronie ludzie przewracali się na rżysku, przechodząc w jednej chwili od pełnego pędu do kompletnego śmiertelnego znieruchomienia. Inni padali ranni, z przebitymi nogami albo rękami i chwilę potem byli tratowani przez swoich przyjaciół i rodaków. Konie traciły jeźdźców i szarżowały dalej tylko dlatego, że konie po ich obu stronach nadal galopowały. Jeźdźcy tracili wierzchowce i natychmiast padali na ziemię; czasem po prostu wylatywali z siodeł i zrywali się do biegu z towarzyszami z piechoty,

a czasem plątali się w siodle albo leżeli przywaleni ciężarem konia.

Khalidorscy żołnierze walczyli, jak to potrafią tylko weterani. W ciągu kilku sekund łucznicy wystrzelili tyle strzał, ile zdołali, a kiedy podniosła się flaga, zebrali pozostałe strzały i się wycofali. Szeregi idealnie trzymały linię, zostawiając każdemu łucznikowi miejsce za żołnierzem z włócznią albo mieczem, który będzie go chronił w bezpośredniej walce. Kiedy się wycofali, niepotrzebny był nawet osobny rozkaz, żeby tylne szeregi wypełniły luki po łucznikach. Sam manewr nie był specjalnie imponujący, ale szybkość, z jaką żołnierze go wykonali, i to w obliczu pędzących na nich tysięcy, robiła wrażenie.

Meisterowie zaczęli strzelać. Ponieważ ich plan całkiem się posypał, niektórzy cisnęli kulami ognia w szarżujące konie, podczas gdy inni, nadal mając nadzieję, że przerażą wroga burzą płomieni, omietli potokami ognia rżysko. To, co początkowo mogło złamać szyk i zdezorientować przeciwnika w kluczowych sekundach przed uderzeniem, teraz nawet nie spowolniło Cenaryjczyków.

Magowie wyraźnie usłyszeli łomot, gdy cenaryjskie szeregi uderzyły we wroga, mimo że znajdowali się dosyć daleko. Ludzie i konie nabijali się na włócznie, a pęd sprawiał, że wpadali na szeregi Khalidorczyków. Inni całą siłą uderzali w tarcze khalidorskie, przewracając wroga. Jednak Cenaryjczycy w pierwszych szeregach musieli być weteranami. Zwykle niezależnie od tego, co powiedzieli dowódcy, większość żołnierzy zwalniała tuż przed natarciem. Myśl o uderzeniu całym pędem w linię jeżącą się mieczami i włóczniami po

prostu paraliżowała większość ludzi. Ci żołnierze nie mieli wątpliwości. Wpadli na szeregi Khalidorczyków z całą mocą. To był budzący grozę i imponujący widok.

Ale przeciwnik omal ich nie pochłonął, zanim pierwsze szeregi głównego uderzenia cenaryjskiego zaatakowały Khalidor. Szok uderzenia przeniósł się falą przez całą linię Khalidorczyków, których odepchnięto o dobre dziesięć stóp.

Meisterowie na koniach walili we wszystkie strony ogniem i błyskawicami, ale daleko za liniami Cenarii konni łucznicy polowali na nich, podjeżdżając i błyskawicznie wycofując się, zatrzymując się, strzelając z krótkich łuków i ruszając znowu. Te strzały wydawały się niemożliwe – zabić z krótkiego łuku na odległość dwustu albo trzystu kroków? Caedan przyjrzał się raz jeszcze łucznikom, ale nie byli Utalentowani, był tego pewien. Dla niego to było jak oglądanie zdmuchiwanych jedna po drugiej świeczek, kiedy meisterowie wypadali z siodeł.

Front przesuwał się to w tył, to w przód, aż rozsypał się na tysiące indywidualnych potyczek. Konie wierzgały, tratowały, kopały i gryzły. Meisterowie wypalali w ludziach dziury, innych podpalali, wywijali pałkami i mieczami z czystej magii, a czasem padali martwi przebici strzałami.

W pięć minut siedemnastu z dwudziestu meisterów padło podziurawionych strzałami, a szeregi Khalidoru zaczęły ustępować i rozciągać się pośrodku. Ogromny Cenaryjczyk, który poprowadził pierwszą szarżę, był jak latarnia morska posyłająca sygnał nadziei.

Gdziekolwiek się pojawił, Cenaryjczycy parli za nim. A teraz naciskał, żeby przebić się przez linię khalidorską.

Caedan zaklął pod nosem.

– A ci skąd się wzięli?

Magowie spojrzeli tam, gdzie on patrzył. Szereg za szeregiem khalidorscy górale ustawiali się po obu stronach pola bitwy.

– Z jaskiń – odpowiedział Wervel. – Co oni robią?

Górale rozproszyli się i pobiegli ku flankom i na tyły bitwy. Było ich co najmniej pięciuset, ale nie rzucili się do walki. Nie wyglądało na to, żeby przejmowali się tym, że tracą przewagę płynącą z zaskoczenia. Rozciągali szyk coraz bardziej, jakby chcieli objąć całe pole bitwy.

– Panie – odezwał się Caedan – myślałem, że można próbować otoczyć wroga tylko wtedy, kiedy ma się przewagę liczebną.

Lord Lucius wyglądał na zaniepokojonego. Patrzył na khalidorskie tyły, gdzie zebrali się Vürdmeisterowie.

– Co tam jest na łańcuchu między Vürdmeisterami?

– Czy to nie... – zaczął jeden z magów.

– Z pewnością nie. To tylko legenda i stary przesąd.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Wervel. – Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Nie – powiedziała Vi. – Nie mogę. Kylar odwrócił się, pokazując jej oblicze Sprawiedliwości. – Nie... nie wiesz, jaki on jest. Nigdy nie spojrzałeś mu w oczy. Kiedy zobaczysz się w jego oczach, dostrzegasz całą swoją nędzę. Kylar, proszę.

Zazgrzytał zębami. Odwrócił wzrok. Wymagało to sporego świadomego wysiłku, ale powoli straszna maska roztopiła się i odsłoniła jego twarz. Jego oczy nadal były zimne jak lód.

– Wiesz, mój mistrz mylił się co do ciebie. Był tam, kiedy Hu Szubienicznik przedstawił się Sa'kagé. Opowiedział mi, jak załatwiłaś pozostałych siepaczy. Powiedział mi, że jeśli nie będę uważał, zostaniesz najlepszym siepaczem naszego pokolenia. Powiedział, że masz prawdziwy dar. Że w królestwie nie znajdzie się pięciu mężczyzn, którzy by cię pokonali. Ale nie są potrzebni. Sama siebie pokonałaś. Durzo się mylił. Nie jesteś nawet w tej samej lidze co ja.

– Odpieprz się! Nie wiesz...

– Vi, tylko to się liczy. Jeśli nie jesteś teraz ze mną, to reszta jest zwykłym pieprzeniem.

Kiedy wwiercał się w nią w wzrokiem, poczuła, że coś się w niej zmienia. Była zła na siebie, na niego i jeszcze raz na siebie. Nie mogła go zawieść. Wcześniej nigdy nie pozwoliła, żeby cokolwiek było ważniejsze niż ona. Teraz w zaślepieniu zauroczenia ważniejsze było, żeby zyskać szacunek tego mężczyzny niż żyć.

Najgorsze było to, że naprawdę wolałaby umrzeć niż stracić jego

szacunek. Jej słabość do Kylara popychała ją przeciwko temu, kogo naprawdę się bała, i dodawała jej sił – na Nysosa! Można było się w tym pogubić.

– Dobra! – warknęła. – Odwróć się!

– A masz sztylet? – zapytał Kylar, odwracając się.

– Zamknij się, ty przemądrzały sukinkocie.

Och, cudownie, Vi. Zdałaś sobie sprawę, że ci się podoba, więc go obrażasz. I to za to, że pomógł ci wziąć się w garść. Ściągnęła sukienkę i włożyła tunikę siepacza. Zachowywała się jak typowa kobieta. AAACHCHCH! W trzy sekundy przewaliło się przez nią osiem różnych emocji.

– Dobrze – powiedziała. – Możesz się już odwrócić. Przepraszam... za wcześniej. Miałam nadzieję... – Na co miała nadzieję? Że mu zaimponuje? Skusi? Zobaczy płomień żądzy w jego zimnych oczach? – ...że cię zaszokuję.

– To ci się udało.

– Wiem. – Nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Nie jesteś jak mężczyźni, których znam. Masz w sobie taką... niewinność.

Skrzywił się.

– Gdybyś przeszedł to, co ja, wiedziałbyś, że to jest naprawdę... słodkie. To znaczy nie wiedziałam, że mężczyźni mogą być tacy jak ty.

Skąd nagle ten słowotok?

– Prawie mnie nie znasz – powiedział Kylar.

– Ja... do diabła, to nie tak, że mam listę faktów, które stanowią

dowód, że jesteś inny niż reszta. Po prostu ma się takie wrażenie. Zaczynała się denerwować. Specjalnie udawał tępego?

– A, chrzanić to. Myślisz, że mielibyśmy szansę? – wypaliła.

– Co?! – Już sam ton jego głosu powinien zamknąć jej usta.

– No wiesz. Ty i ja. Razem.

Niedowierzanie wypłynęło na jego twarz i jego mina potwierdzała każdą przeklętą myśl, jaką miała na swój temat.

– Nie – odpowiedział. – Nie sądzę.

„Nie, Vi, ty jesteś wybrakowanym towarem" – wiedziała, że to miał na myśli. Oklapła.

– Racja – powiedziała. Byłaś kurwą, będziesz kurwą. – Racja. Dobra, mamy robotę do wykonania. Mam plan.

Kylar już chciał coś powiedzieć. Kompletnie go zaskoczyła. Niech to, czego się spodziewała?

Na Nysosa, więc popatrzył na twoje cycki. No i jest miły dla ciebie. Ale nadal jesteś tą, która zabiła jego najlepszego przyjaciela, porwała mu córkę i rozbiła rodzinę. Do diabła, Vi, coś ty sobie myślała?

– W porządku – powiedziała, zanim zdążył się odezwać. – Jeśli wejdziemy tym bocznym wejściem, będą wiedzieli, że to atak. Nie mamy pojęcia, jaką siłą dysponują ani ilu ich jest. Ale jeśli ja wejdę złożyć raport na temat twojej, no cóż, śmierci, niczego nie będą podejrzewać. Ty wejdziesz bocznymi drzwiami i będziesz mógł zdecydować, kiedy uderzyć. Gdy tylko zobaczę, że bladawcy padają, najlepiej zaczynając od króla, też zacznę walczyć, w porządku?

– Brzmi to tak sobie – stwierdził Kylar. – Ale też lepiej niż wszystko, co ja mam. Tylko jedna rzecz... – Urwał.

– Co takiego?

Teraz rwała się, żeby już iść.

– Jeśli mnie zabije, Vi... Wyciągnij stamtąd moje ciało. Nie możesz mu pozwolić, żeby je miał.

– A co to za różnica?

– Po prostu zrób to.

– Po co?!

Teraz wyładowywała na nim swoją frustrację. Cudownie.

– Bo wrócę. Nie zostanę martwy.

– Oszalałeś.

Pokazał jej czarną, lśniącą kulę. Roztopiła się i otuliła jego dłoń jak rękawiczka. Dłoń zniknęła. Chwilę potem znowu pojawiła się kula.

– Jeśli Ursuul zdobędzie to, przejmie moje moce. Wszystkie. Skrzywiła się.

– Jeśli to przeżyjemy, będziesz musiał odpowiedzieć mi na mnóstwo pytań.

– W porządku. – Zawahał się. – Vi? Miło się z tobą pracowało. Nie czekając na jej odpowiedź, ścisnął kulę i zniknął.

Vi skręciła w korytarz i zaczęła iść. Jak na ironię, nie napatoczyła się na żaden patrol, dopóki nie doszła do czterech żołnierzy strzegących głównego wejścia do sali tronowej. Mężczyźni obrzucili ją pełnym niedowierzania spojrzeniem. Zapomnieli o broni, kiedy ich

wzrok zatrzymał się tam, gdzie powinien.

– Powiedzcie Królowi-Bogu, że Vi Sovari przyszła po nagrodę.

– Królowi-Bogu nie wolno przeszkadzać, chyba że to sprawa...

– To właśnie taka sprawa – syknęła Vi, najpierw się pochylając, aż strażnik wbił wzrok w jej dekolt, a wtedy odchyliła mu brodę nożem, który nagle zmaterializował się w jej dłoni. Strażnik przełknął ślinę.

– Tak jest, proszę pani.

Otworzył ogromne, podwójne drzwi.

– Boże nasz, Boże Niebieskich Krain, Wasza Świątobliwość, Vi Sovari błaga o posłuchanie.

Strażnik odsunął się i wskazał jej przejście.

– Powodzenia – szepnął, uśmiechając się przepraszająco. Łajdak. Jak śmiał być człowiekiem?

***

Stojąc w ostatnim korytarzu, Kylar przysunął ka'kari do oczu. Nie dostrzegł żadnych magicznych alarmów. Niewidzialny podszedł do drzwi. Zawiasy dobrze naoliwiono.

– Wejdź, wejdź, Viridiano. – Usłyszał głos Króla-Boga. – Dawno cię nie widziałem. Już się bałem, że sam będę musiał cieszyć się widokiem śmierci dziesięciu tysięcy rebeliantów.

Kylar uchylił drzwi, kiedy Król-Bóg mówił. A gdy Garoth podziwiał rzeczywiście imponujący widok, jaki przedstawiała sobą Vi

w autorskiej wersji stroju siepacza, Kylar zakradł się do sali tronowej.

Schował się za jednym z ogromnych filarów podpierających sklepienie. Przejście dla służby, z którego korzystał, znajdowało się w pobliżu podstawy czternastu stopni prowadzących na podest. Ursuul siedział na szczycie schodów na tronie z czarnego szkliwa.

Pośrodku ogromnej sali rozciągała się równina u podnóża gór. Na obu końcach równiny znajdowały się maleńkie figurki, które poruszały się jak w tańcu. Kylar zdał sobie sprawę, że to były miniaturowe armie, ustawiające się w szyku w blasku świtu. Nie był to obraz ani haft przedstawiający bitwę – to naprawdę była bitwa. Piętnaście tysięcy maleńkich, maluteńkich figurek poruszało się na równinie. Kylar mógł nawet dostrzec chorągwie poszczególnych rodów. Szeregi Cenaryjczyków ruszyły za... Loganem? Logan dowodził szarżą? To szaleństwo! Jak Agon mógł pozwolić królowi prowadzić szarżę?

Ogromne drzwi zamknęły się za Vi, kiedy Król-Bóg machnął na nią, żeby weszła. Kylar nigdy dobrze nie przyjrzał się temu człowiekowi, a nawet nie słyszał, jak go opisywano. Spodziewał się kogoś starego i niedołężnego, opuchniętego albo uginającego od życia pełnego zła, ale Garoth Ursuul był człowiekiem doskonałego zdrowia. Miał może z pięćdziesiąt lat, a wyglądał na co najmniej dziesięć lat mniej. Miał potężną sylwetkę i bladą skórę khalidorskiego górala, ręce wojownika, szczupłą twarz, natłuszczoną czarną brodę i lśniącą, ogoloną na łyso głowę. Wyglądał na mężczyznę, który, gdyby ścisnął podaną dłoń, poczułoby się odciski i pewny chwyt.

– Nie przejmuj się bitwą – powiedział Król-Bóg. – Możesz przez nią przejść. To nie zaszkodzi magii, ale przechodź szybko. Rebelianci zaraz zaszarżują. To mój ulubiony kawałek.

A jednak przez ka'kari Garoth Ursuul wyglądał jak miazmat. Powykręcane, krzyczące twarze wylewały się zza niego jak chmura. Morderstwo oblepiło go tak grubą warstwą, że zamazało jego rysy. Zdrady, gwałty i zwykłe tortury oplatały jego kończyny. Poprzez to wszystko przeplatał się jak trujący, zielony gaz vir. W jakiś sposób vir żywił się tą ciemnością i zależał od niej, a był tak potężny, że wypełniał niemal całą salę.

Stojąc za filarem, Kylar zauważył grupkę maleńkich ludzi walczących trzy stopy od niego. Kawałek od właściwego pola bitwy potężny mężczyzna miał być zaraz stratowany przez czterech khalidorskich lansjerów.

Tyle że nie został stratowany. W ciągu kilku sekund zabił trzech lansjerów. Kylar skądś go znał. Feir Cousat!

Kylar wiedział, że powinien wymyślić, jak się przesunąć, pozostając niezauważonym, ale niczym urzeczony patrzył na bezgłośny, rozgrywający się raptem kilka cali od niego dramat. Ceuranie się rozstąpili i naprzód wyszedł przywódca. Feir wyciągnął miecz, który wyglądał jak ostrze z płomienia. Ceuranie oniemiali. Feir i przywódca walczyli jakieś pół sekundy: kiedy tylko skrzyżowali ostrza, rozbłysło światło. Ceuranin wyszedł z pojedynku z nowym mieczem.

– Co to było? – zdziwił się Król-Bóg.

– Co? – spytała Vi.

– Odsuń się, dziewczyno.

Kiedy Feir ukląkł przed Ceuraninem (ukląkł? Feir?!), obraz bitwy obrócił się nagle i szeregi Khalidorczyków znalazły się u stóp schodów, a Cenaryjczyków przy wielkich odrzwiach.

Garoth mruknął.

– To tylko jacyś jeźdźcy...

Kylar przekierował część ka'kari do czubków palców i wyostrzył je jak szpony. Wypróbował je na kolumnie. Palce weszły w nią jak w masło. Zmniejszył nieco ilość magii, spróbował raz jeszcze, aż w końcu był w stanie zatopić palce i zacisnąć je w pewnym chwycie. Zapowiadała się niezła zabawa.

Pokręcił głową. Wyglądało na to, że ka'kari nie zna żadnych ograniczeń, przez co Kylar bardziej uświadomił sobie własne.

Posłał część ka'kari do stóp i wspiął się po filarze. Przy każdym kroku rozlegał się cichuteńki syk i unosiła się smużka dymu, ale poza tym wspinaczka była równie prosta jak wchodzenie po drabinie. Kylar w kilka sekund dotarł do wznoszącego się na pięćdziesiąt stóp sklepienia.

Potrzebował kilku sekund, żeby dopasować szpony do nowego zadania, a potem przywarł do wysokiego, sklepionego sufitu jak pająk. Serce podeszło mu do gardła. Skradał się sklepieniem, aż znalazł się dokładnie nad tronem. Całe jego ciało zasłaniał jeden z łuków i tylko jego niewidzialna głowa była narażona na atak.

Król-Bóg na żywo komentował bitwę dla Vi.

– Nie – tłumaczył. – Nie wiem dlaczego Cenaryjczycy zdecydowali się na taką formację. Moim zdaniem są okropnie odsłonięci.

Kylar patrzył, wisząc do góry nogami, jak szeregi cenaryjskie uderzają w Khalidorczyków. Pierwsza linia była bardzo wątła – zastanawiał się, czy tylu ludzi zginęło pod ostrzałem łuczników – ale kilka sekund później uderzył następny szereg.

Król-Bóg zaklął.

– Niech ich szlag, genialne. Genialne.

– O co chodzi? – dopytywała się Vi.

– Wiesz, po co zrobiłem to wszystko?

Z bijącym sercem Kylar puścił się sufitu rękami i powoli wyprostował się, zwisając głową w dół. Wyciągnął sztylety, wisząc u sufitu jak nietoperz. Garoth Ursuul stanął dokładnie pod nim.

Nie było strachu, jedynie spokojna pewność. Kylar odpadł od sufitu.

Jedna z ciemnych twarzy skręcających się w miazmatach wokół Króla-Boga krzyknęła. Zielono-czarne szrapnele viru strzeliły we wszystkie strony od Króla-Boga. Kylar uderzył w jeden i wszystkie wybuchły.

Wstrząs zmienił kierunek lotu Kylara, który poleciał w bok, zamiast wylądować jak planował, i sturlał się ze schodów. Przekoziołkował przez podest i stoczył się następnym ciągiem stopni. Kiedy się zatrzymał u podnóża schodów, w głowie mu dzwoniło. Spróbował wstać, ale zaraz upadł.

– Zrobiłem to, bo bóg powinien czasem się zabawić. Nie uważasz, Kylar? – Garoth uśmiechnął się jak drapieżnik. Nie był zaskoczony. – A więc, Vi, zrobiłaś to, co obiecałaś. Zabiłaś Jarla i przyprowadziłaś do mnie Kylara.

Kylar zaufał jej. Jak mógł być tak głupi? Drugi raz wpadł w pułapkę w tej sali. Mimo to, nie wiadomo dlaczego był spokojny. Czuł, że jest śmiertelnie niebezpieczny. Nie zaszedł tak daleko, żeby zawieść. To zabójstwo jest jego przeznaczeniem.

– Nie zdradziłam cię, Kylar – powiedziała słabym głosem zdesperowana Vi.

– Och, rzucił na ciebie czar, który cię do tego zmusił? Dałem ci szansę, Vi. Mogłaś być kimś innym.

– Nie zdradziła cię – powiedział Król-Bóg. – Sam się zdradziłeś. – Wyciągnął dwa diamenty, każdy wielkości kciuka. To one utrzymały w całości potwora na dole. – Kto inny byłby tak sprawny, żeby je wyrwać, jeśli nie siepacz, i kto inny przeżyłby taką magię, jeśli nie dzierżyciel czarnego ka'kari? Od godziny wiedziałem, że tu jesteś.

– Więc dlaczego zamierzasz ją wynagrodzić?

– A co, chcesz, żeby ją też zabił? Kylar się skrzywił.

– Chciałem, dopóki tego nie powiedziałeś. Król-Bóg również się skrzywił.

– Jesteś sierotą, prawda, Kylarze?

– Nie.

Wstał. W głowie powoli mu się przejaśniało i mógłby przysiąc, że

czuje, jak jego ciało się goi i znikają wszystkie siniaki.

– Och, racja, Drake'owie. Magdalyn powiedziała mi o tym. Myślała, że ją uratujesz. Kiedy zabiłeś Hu Szubienicznika, naprawdę mnie zdenerwowałeś, więc ją zabiłem.

– Kłamca.

– Hu nie żyje? – zdziwiła się Vi. Stała jak rażona gromem.

– Zastanawiałeś się kiedyś, kim jest twój prawdziwy ojciec, Kylarze?

– Nie.

Spróbował się ruszyć i odkrył grube, magiczne więzy wokół ciała. Zbadał je. Były proste, jednolite. Ka'kari pożarłoby je z łatwością. No dalej, uśmiechaj się, ty diable wcielony.

Garoth się uśmiechnął.

– Nie bez powodu wiedziałem, że nadchodzisz, i nie przypadkiem jesteś tak nadzwyczaj utalentowany. Jestem twoim ojcem.

– CO?!

– Żartowałem. – Garoth Ursuul się zaśmiał. – Kiepski ze mnie gospodarz, prawda? Przyszedłeś tu przygotowany do wielkiej bitwy, co?

– Chyba tak.

Garoth był w doskonałym nastroju.

– I mnie przydałaby się mała rozgrzewka. Co powiesz, Kylar? Chcesz walczyć z umorem?

– Chyba nie mam wyboru?

– Nie.

– Wobec tego: o jejku, z przyjemnością powalczyłbym z umorem, Gare.

– Gare – powtórzył Król-Bóg. – Nie słyszałem tego od trzydziestu lat. Zanim zaczniemy... – Odwrócił się. – Vi, czas na decyzję. Jeśli będziesz mi służyć z własnej woli, wynagrodzę cię. Chciałbym tego. Ale i tak będziesz mi służyć. Jesteś do mnie przykuta. Przymus nie pozwoli ci mnie zranić. Nie pozwoli ci też, żeby ktokolwiek inny mnie zranił, dopóki ty żyjesz.

– Nigdy nie będę ci służyć!

– Jak wolisz, ale lepiej, żebyś najostrzejszą część walki zostawiła chłopcom.

– Pocałuj mnie dupę.

– Mało to prawdopodobne, dzieciaku.

Garoth machnął ręką i drzwi za jego plecami otworzyły się.

– Dziara, pozwól tu.

Umór wszedł, powłócząc nogami. Miał teraz kształt ogromnego człowieka; tatuaże nadal były widoczne na jego guzowatej skórze. Mimo wzrostu – co najmniej dziewięciu stóp – i grubości kończyn, Kylar zauważył, że umór nie jest tak wielki jak jeszcze godzinę temu. Twarz potwora była aż zbyt ludzka i wydawała się zawstydzona.

– Za chwilę poczujesz się lepiej, obiecuję – powiedział Król-Bóg.

Wbił diamenty w kręgosłup umora. Potwór wrzasnął nieludzkim głosem, a potem znieruchomiał. Garoth natychmiast przestał zwracać na niego uwagę.

– Wiesz, dlaczego nigdy nie słyszałeś o umorach? Są drogie. Po

pierwsze, potrzebne są diamenty, bo inaczej nie zapanujesz nad nimi. Ale w tym już sam się zorientowałeś, prawda? Po drugie, trzeba człowieka torturować tak długo, aż zostanie sama wściekłość. Zwykle trzeba setek prób, zanim znajdziesz właściwą osobę. To nie wszystko. Stworzenie ich wymaga magii, która przekracza możliwości nawet Króla-Boga. Potrzebna jest bezpośrednia interwencja Khali. A to ma swoją cenę.

– Nie rozumiem – powiedział Kylar.

Przyglądał się umorowi. Miał ogromną masę. Potrafił bardzo szybko zmieniać kształt. Pamiętanie o tych cechach mogło okazać się kluczowe.

– Tak jak nie rozumieli Moburu i Tenser. Ale teraz już rozumieją. Tym razem oni musieli zapłacić swoją cenę. Widzisz, Khali żywi się cierpieniem, więc dedukujemy jej każde okrucieństwo, jakie potrafimy wymyślić. W zamian za to daje nam vir. Ale za większą moc Khali żąda czegoś więcej. Kiedy walczyłem z braćmi, zaoferowała mi pomoc w stworzeniu umora, pod warunkiem, że przyjmę Obcego. Nie zetknąłeś się z tym pojęciem? Mój pierwszy nazywał się Duma. Niewielka cena za boskość. Niestety, Khali nie powiedziała mi, że umór pożre sam siebie, jeśli nie dostanie niczego innego. Następnego stworzyłem dopiero, kiedy mój syn Dorian mnie zdradził; odkryłem wtedy, że Żądza jest o wiele wstrętniejszym towarzyszem. Jak niedługo przekona się Vi, moje pragnienia stają się coraz bardziej ekscentryczne. Chwileczkę, ta linia nie radzi sobie za dobrze, co?

Na widmowym polu bitwy Logan napierał, a szereg Khalidorczyków wyginał się coraz bardziej w łuk.

– Hm – mruknął Król-Bóg. – O wiele szybciej niż się spodziewałem.

Wyciągnął kij, który rozbłysnął w jego rękach. Z obrzeży pola bitwy kolejne tysiące khalidorskich żołnierzy zaczęły napierać na obie flanki Cenaryjczyków. Inne szeregi ruszyły, żeby wzmocnić uginającą się linię.

Garoth nie próbował wygrać bitwy. Chciał tylko otoczyć Cenaryjczyków, żeby wypuścić na nich umora Moburu. Kylarowi zrobiło się niedobrze. Czego ten potwór dokona, mając nieograniczoną liczbę ofiar?

– To potrwa kilka minut, zanim zajmą właściwe pozycje – powiedział Garoth. – O czym to ja mówiłem?

– Myślę, że byliśmy przy „walce na śmierć i życie" – podsunął mu Kylar.

– Och, nie, skąd. Widzisz... – Garoth wszedł po stopniach i zasiadł na rzeźbionym w czarnym szkle tronie. Kylar widział, jak wznosi wokół siebie magiczne zapory. – Zostawiony sam sobie umór jest niemalże bezrozumny, ale, i to jest piękne, można go przejąć. Sam powiedz, czy to nie przezabawne?

– O wiele zabawniej jest, gdy mogę się ruszać – powiedział Kylar.

– Wiesz, dlaczego zadałem sobie tyle trudu, żeby cię tu sprowadzić?

– Ze względu na mój nadzwyczajny dowcip?

– Twój Pożeracz ma jeszcze drugie imię. Nazywa się go też Pokrzepiaczem. Leczy wszystko prócz śmierci, prawda?

– Nie pomoże ci.

– Ależ przeciwnie. Wiem, jak złamać wiązanie. W moim mózgu powstała nienaturalna narośl. Zabija mnie, a ty dostarczyłeś mi jedyną rzecz, która może mnie ocalić.

– Ach. Guz może uleczyć – przyznał Kylar – ale twoja arogancja jest nieuleczalna.

Oczy Króla-Boga zabłysły.

– Prześmieszne. Chodź. Czas zakończyć te zabawę w Anioła Nocy.

– Zakończyć? Ja się dopiero rozgrzewam.

Więzy opadły i Vi zaczęła walczyć. Cały czas klęła pod nosem, żeby korzystać z Talentu, ale nie była wściekła. Zawsze uważała, że jest zimną, pozbawioną serca suką. Utożsamiła się z tym wizerunkiem. Dzięki temu była silna mimo mrocznej pustki, bankructwa duchowego, które nosiła w sobie, odkąd pamiętała. Po deklaracji, że nigdy nie będzie służyć Królowi-Bogu – melodramatycznej czy nie – poczuła, że właśnie złożyła swój pierwszy w życiu depozyt w banku.

Teraz walczyła o coś. Nie – dla kogoś. I była to pierwsza nieegoistyczna rzecz, jaką zrobiła.

Umór zgarbił się, a jego kości przesuwały się błyskawicznie pod skórą. W czasie, w którym Vi zdążyła przywołać sobie zbroję, umór przekształcił się w stworzenie podobne do centaura, z tym że zamiast ciała konia miał ciało kuguara. Był niższy, bardziej mobilny na czterech nogach, ale nadal miał ludzki tors i ręce. Złapał włócznię i rzucił się za Kylarem, który schował się za filarem.

Vi wbiegła po schodach, przeskakując po trzy na raz, żeby zaatakować Króla-Boga. Zaraz się przekona, jak bardzo się mylił w kwestii przymusu. Niech Kylar walczy z potworem, ona odetnie umora od źródła.

Właśnie wyciągała miecz, kiedy uderzyła w barierę rozciągającą się niczym bańka w promieniu dziesięciu stóp od Króla-Boga. Zupełnie jakby wbiegła na ścianę. Nagle znalazła się wyciągnięta na

schodach – musiała sturlać się kawałek w dół, nawet nie wiedząc kiedy. Z nosa leciała jej krew, a w głowie dzwoniło. Zamrugała, patrząc na Kylara.

Walczył jak wirtuoz. Gdy umór szarżował na niego z przygotowaną włócznią, Kylar poczekał aż do ostatniej chwili i wtedy rzucił się w przód. Noże rozbłysły, gdy przeleciał nad bestią, a włócznia śmignęła bez szkód kilka cali pod nim. Ale Kylar jeszcze nie skończył. Wyciągnął rękę i jakimś cudem zaczepił się o marmurowy filar, wycinając w nim dymiące żłobienia. Kiedy umór się obrócił, żeby go złapać, Kylar wynurzył się zza filaru z drugiej strony i przeskoczył nad grzbietem potwora. I znowu błysnęły ostrza.

Kylar wylądował w przysiadzie, z jedną ręką na ziemi, a drugą na mieczu w pochwie. Umór zatrzymał się, obficie krwawiąc. Zębatą skórę miał rozciętą na grzbiecie jednej dłoni, na ramieniu i na zadzie kuguara. Krew była czerwona, aż zbyt ludzka, ale na oczach Vi rozcięcia zamknęły się, tworząc blizny. Umór cisnął włócznią. Kylar odbił ją dłonią, ale potwór już ruszył ku niemu.

Kiedy Kylar skoczył w stronę ściany, umór uderzył jedną ręką i w mgnieniu oka, w czasie jakiego potrzebował do wzięcia zamachu, ręka się wydłużyła, kości wskoczyły na nowe miejsca i ogromny, podobny do kosy szpon przeciął powietrze. Kylar odbił się od ściany i wpadł prosto na szpon. Uderzenie cisnęło Kylarem o posadzkę.

Vi była pewna, że Kylar już nie żyje, ale kiedy uderzył o posadzkę, szpon pękł i podskakując, przeleciał po podłodze. Kylar jakimś cudem zdołał wyciągnąć miecz i zablokować cięcie szponem.

Umór z lewą ręką zwieszającą się bezładnie, pozbawioną kości, wyglądał na oniemiałego. Zapadł się w sobie i stał się ogromnym kotem.

Zanim potwór ponownie zaatakował, Vi wreszcie otrząsnęła się i rzuciła się na niego z krzykiem. Potwór błyskawicznie się obrócił. Tańczyła tuż poza zasięgiem jego szponów. Kylar wstał, ale zataczał się, lekko zamroczony. Umór uciekł od Vi i dotknął brzuchem ziemi, gdzie leżał martwy szpon.

W ciągu kilku sekund szpon znowu stał się częścią umora. Kości przemieściły się i umór wstał jako wysoki mężczyzna z kościanymi mieczami zamiast rąk. Wyglądało na to, że lepiej się czuje w tym wcieleniu, potężnie umięśniony i szybszy od każdego człowieka, z połaciami skóry wzmocnionymi kościanymi płytami.

Vi i Kylar walczyli razem. Kylar dokonywał powietrznych akrobacji, których Vi nawet nie pojmowała, odbijając się od ścian i filarów, zawsze lądując miękko jak kot, zawsze zostawiając po sobie krwawe bruzdy, ślady po stalowych szponach. Vi miała mniej siły, nawet z Talentem, ale była szybka. Umór zmieniał kształt raz za razem. Stał się drobnym człowiekiem z żywym łańcuchem, którym wymachiwał nad głową i który owijał wokół filarów, mając nadzieję, że któreś z pokrytych paszczami ogniw złapie jedno z nich. Jedno z ogniw zaczepiło o rękaw Kylara, kiedy przelatywał. To go wytrąciło z równowagi i chłopak walnął o podłogę. Umór już przyciągał łańcuch, kiedy miecz Vi przeszedł przez cal między rękawem a skórą Kylara i uwolnił go. Kylar nie zatrzymał się nawet na chwilę. Natychmiast

skoczył i podjął walkę.

Później umór stał się olbrzymem z młotem bojowym. Marmur eksplodował, kiedy potwór wymachiwał na wszystkie strony ogromną bronią. Kylar i Vi stanęli pośród iluzorycznej bitwy na posadzce w sali tronowej i walczyli równie desperacko, jak tamci ludzie.

W miarę upływu czasu Kylar i Vi walczyli już nie tyle zgodnie, ile jak jedna osoba. Vi zaczęła się orientować w silnych stronach Kylara i poruszając się, mogła liczyć, że on stosownie zareaguje. Byli wojownikami, byli siepaczami i się rozumieli. Dla Vi, której słowa zawsze sprawiały kłopot, walka była prawdą.

Walczyła razem z Kylarem – skakali, spotykali się w locie i odpychali się, żeby polecieć w innym kierunku, zanim umór miał szansę zareagować. Osłaniali się wzajemnie, ratowali sobie życie. Kylar odciął koniec kościanej macki, przed którą Vi nie zdołałaby uskoczyć. Vi powiedziała *graakos* i szczęki, które zamknęły się na ręce Kylara, natychmiast odskoczyły.

Dla niej to była święta chwila. Nigdy nie zjednoczyła się z nikim tak do końca, nigdy nie zaufała nikomu tak bezgranicznie jak teraz Kylarowi. Poprzez to i w tym właśnie zrozumiała go tak, jak nie pomogłoby jej w tym tysiąc tysięcy słów. Odnaleźli pełną harmonię i – to był prawdziwy cud – wydawało się to takie naturalne.

Jednocześnie jednak rosła w niej rozpacz. Ranili umora setkę razy. Dwieście. Atakowali go w oczy, w usta. Odcinali mu fragmenty ciała. Umór krwawił, jego łączna masa zmniejszyła się o kilka funtów, ale to wszystko. Oni cięli, a rany się goiły. Nie mogli jednak popełnić

żadnego błędu. Jeżeli raz dotknie ich swoją skórą, umrą.

***

„Ja też potrafię ciąć”.

Kylar przysiadł na filarze i zamarł. Runy jaśniały wytrawione błękitem na czarnym ka kari wzdłuż jego ręki. Zagapił się na nie.

– Co takiego? – zapytał.

– Nic nie mówiłam – odpowiedziała Vi.

Nie spuszczała oczu z ogromnego pająka przed sobą stukającego odnóżami o posadzkę.

– Idiota! Aż taki ze mnie ciemniak?! – zżymał się Kylar, opadając na podłogę.

„To było pytanie retoryczne?”.

Ka'kari przelało się z jego ręki na miecz. Zaraz potem stwardniało, tworząc cienkie ostrze. Kylar ciął na lewo i prawo i nogi pająka odlatywały. I nie czuł, żeby rąbał kość – odrywał je jak kawałki masła.

Uskoczył do tyłu i pająk pozbierał nogi, ale tym razem kikuty nie przestały krwawić. Dymiły i nie mogły z nich wyrosnąć nowe kończyny. Umór przekształcił się z powrotem w mężczyznę z mieczami zamiast rąk i teraz miał rany na piersi; nadal krwawiły i dymiły. Potwór ryknął i zaatakował Kylara.

Kylar ciął w lewo, w prawo i ręce-miecze potoczyły się po posadzce. Wbił ka'kari w pierś umora. Ostrym szarpnięciem pociągnął

ostrze aż do krocza potwora. Dym buchnął i trysnęła krew. Kylar szarpnął mieczem w górę, zostawiając kolejne głębokie cięcie.

Zorientował się za późno. Skóra umora odsunęła się od miecza, jak zapada się powierzchnia wody, gdy wrzuci się w nią kamień, tylko po to, żeby po chwili buchnąć w górę. Skóra śmignęła w górę miecza.

Połknęła dłoń Kylara.

Rzucił się w tył, ale umór, teraz okulały, poleciał ku niemu, przyczepiony do jego ręki. Kylar szarpał mieczem i dym buchał z dźganego umora, jednak skóra nie osłabiła chwytu.

Kylar sięgnął po sztylet – niestety, wszystkie wykorzystał już w walce.

– Vi! – krzyknął. – Odetnij ją! Zawahała się.

– Odetnij mi rękę! Nie mogła tego zrobić.

Skóra znowu zafalowała i połknęła mu przedramię.

Kylar wrzasnął, wijąc się. Czarne ka'kari zebrało się wzdłuż brzegu jego lewej dłoni i Kylar obciął sobie prawą rękę. Uwolniony od ciągnącego, umierającego umora, upadł do tyłu.

Przytrzymał krwawiący kikut lewą ręką. Chwilę potem czarny metal zamigotał we wszystkich odsłoniętych naczyniach i krwawienie ustało. Czarna nasadka objęła kikut. Osłupiały Kylar spojrzał na Vi.

Dziesięć stóp od nich umór rozpływał się. Zaczynał się rozpadać, sploty magii pruły się. Zębata skóra zafalowała i wyparowała. Jedynym, co pozostało, były śmierdzące sznury mięsa, ścięgien i kości.

– To był naprawdę imponujący pokaz, Kylarze – powiedział

Król-Bóg. – Pokazałeś mi, czego może dokonać ka'kari, rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Niezwykle pouczające. A ty, Vi, będziesz mi wspaniale służyła, nie tylko w łóżku.

***

W Vi coś pękło. W ciągu ostatnich dwóch dni wszystko zmieniła. Nowa Vi walczyła o życie, chciała się narodzić, a ten tu Król-Bóg mówił, że nic się nie zmieniło. Że nowa Vi urodzi się martwa. Znowu będzie kurwą. Znowu będzie tą samą zimną, twardą suką.

Myślała, że tylko takie życie jest dla niej możliwe, więc znosiła to co nieznośne. Zobaczyła jednak, jak to jest być kobietą, której nie musiałaby nienawidzić, i teraz nie potrafiła zawrócić.

– Pojmij to wreszcie tym swoim kapuścianym łbem, Gare – powiedziała, chociaż właśnie poczuła, jak magiczne więzy znowu oplatają ją i Kylara – że nie będę ci służyć.

Garoth uśmiechnął się jak dobrotliwy bóg.

– Takie zadziorne najbardziej mnie kręcą.

– Kylar, otrząśnij się. Musisz mi pomóc zabić tego zwyrodniałego dewianta.

Król-Bóg zaśmiał się.

– Przymus nie działa na wszystkich, Vi. Magia Nile'ów uwolniłaby większość ludzi. Jakieś dziewiętnaście lat temu żyła sobie pewna ceurańska lafirynda, którą uwiodłem w czasie podróży dyplomatycznej. Wysłałem po nią ludzi, kiedy się dowiedziałem, że

zaszła w ciążę, ale uciekła, zanim dotarli na miejsce. Kiedy już urodziła dziewczynkę, zapomniałem o sprawie. Zwykle każę topić córki, to dobre ćwiczenie dla moich chłopców, czyni ich twardszymi, ale nie było sensu się wysilać. Przymus działa tylko w obrębie rodziny i czasem nie działa na chłopców. Ty...

– Nie jesteś moim ojcem – powiedziała Vi. – Jesteś tylko chorym popaprańcem, który zaraz umrze. Kylar!

– No dobrze, Vi, bez ckliwych kawałków – powiedział Garoth Ursuul. – Jesteś dla mnie tylko pięcioma minutami przyjemności i łyżką nasienia. Nie, to nieprawda. Widzisz, Vi, jesteś też siepaczem, któremu mogę zaufać. Nigdy mi się nie sprzeciwisz, nigdy mnie nie zdradzisz.

Vi ogarnęło przerażenie, pętając ją ciaśniej niż magiczne więzy trzymające jej ciało. Wszystkie możliwości po kolei umierały.

Kylar drgnął. Jego wzrok znowu odzyskał ostrość. Poruszył brwiami, patrząc na Vi, siląc się na bycie zabawnym. I był w tym tak skandalicznie słodki, że przełamało to jej wewnętrzny paraliż. Spojrzenie jego jasnobłękitnych oczu pytało: „Jesteś ze mną?”.

Odpowiedziała mu żarliwą, rozpaczliwą radością, która nie wymagała tłumaczenia.

– Ty przykuj jego uwagę, a ja zajmę się jego śmiercią – mruknął pod nosem.

Uśmiechnął się i reszta strachu Vi wyparowała. To był prawdziwy uśmiech, bez cienia desperacji. W oczach Kylara nie było wątpliwości. Każda dodatkowa przeszkoda – czy to magiczne więzy,

czy utrata ręki – tylko osłodzą jego zwycięstwo. Zabicie Króla-Boga było jego przeznaczeniem.

– Nie pozostawiasz mi wyboru – powiedział Garoth Ursuul. Zacisnął usta. – Córko, zabij Kylara.

Ka'kari otworzyło się i pożarło więzy wokół Vi i Kylara. Vi już ruszyła, zaczynając popisowy, efektowny manewr.

A potem... wszystko się zatrzymało.

Jej wola nagle się wyłączyła. Oczami wyobraźni Vi widziała, jak wyskakuje w powietrze, leci w stronę Króla-Boga, jej ostrze opada, jego twarz wykrzywia się w spazmie strachu, bo właśnie zdał sobie sprawę, że magiczna zasłona zniknęła, bo zrozumiał, że Vi pokonała przymus...

To jednak była tylko jej wyobraźnia.

Wstrząs wywołany uderzeniem przebiegł po jej ręce. Nadgarstek zgiął się, jakby właśnie zakończyła poziome cięcie w serce, ale niczego nie widziała, nic do niej nie docierało, oprócz tego, że pojawiła się jakaś luka w jej woli.

Kiedy luka zniknęła, Vi znowu była wszystkiego świadoma. Jej palce nadal zaciskały się na dobrze znanej rękojeści ulubionego noża. Kylar – tak powoli, tak boleśnie powoli – upadał. Szybował ku posadzce z głową odchyloną do tyłu w zwolnionym szarpnięciu, po tym jak wbiła mu nóż w plecy. Jego ciemne włosy falowały od siły ciosu. Dopiero kiedy uderzył o podłogę, Vi zdała sobie sprawę, że Kylar nie żyje. Zabiła go.

– Oto właśnie, moja droga córko – powiedział Garoth Ursuul –

jest przymus.

69

Kylar pośpiesznie przedzierał się przez mgłę. Po chwili, która wydawała się dziwnie zwichnięta, jakby czas nie działał tu w normalny sposób, znalazł się znowu w zamazanej komnacie. Ponownie patrzył na siwiejącego mężczyznę o wilczej twarzy, ze śnieżnobiałymi włosami na skroniach.

– Dwa dni nie załatwią sprawy – powiedział Kylar. – Muszę wrócić natychmiast.

– Ostatnim razem impertynencja, tym razem żądania – odparł mężczyzna.

Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał, i Kylar znowu zdał sobie sprawę z obecności innych. Byli niewidzialni, kiedy Kylar patrzył wprost, ale bez wątpienia znajdowali się tutaj. Czy tym razem widział ich trochę wyraźniej?

– Tak, tak – odpowiedział Wilk głosowi, którego Kylar nie słyszał.

– Kim oni są?

– Nieśmiertelność to samotność. Ale szaleństwo niekoniecznie.

– Szaleństwo?

– Przywitaj się z zacnym towarzystwem wytworów mojej wyobraźni, pokłosiem wybitnych dusz, które poznałem na przestrzeni lat. Obawiam się, że to nie duchy, a jedynie kopie.

Wilk skinął głową do jednej z postaci i zaśmiał się.

– Skoro nie są prawdziwe, to dlaczego rozmawiasz z nimi, a nie

ze mną? – spytał Kylar.

Nadal był zły i tym razem nie zamierzał pozwolić, żeby tamten go beształ albo mydlił mu oczy tajemnicami.

– Potrzebuję twojej pomocy. Teraz.

– W miarę upływu wieków odkryjesz, że trudno upierać się przy takim pośpiechu...

– Naprawdę trudno będzie, gdy Garoth Ursuul zdobędzie moją nieśmiertelność.

Wilk złożył palce dłoni w piramidkę.

– Biedny Garoth. Wierzy, że jest bogiem. To będzie jego zguba, tak jak była moją.

– I jeszcze jedno. Chcę odzyskać rękę.

– Zauważyłem, że udało ci się ją stracić. Naprawdę wyciągnąłeś ka'kari z każdej komórki utraconej ręki. Zrobiłeś to specjalnie?

– Nie chciałem, żeby umór je zdobył. Komórki?

– Mądra myśl, kiepski wybór. Pamiętasz, jak nazywają twoje ka'kari?

– Pożeracz. I co z tego? Wilk zacisnął usta. Poczekał.

– Żartujesz sobie – powiedział w końcu Kylar. Zrobiło mu się niedobrze.

– Obawiam się, że nie. Nie musiałeś walczyć. To, czego dokonało ka'kari, pokrywając twój miecz, mogło zrobić, pokrywając twoje ciało. Mogłeś po prostu przejść przez umora.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Ponieważ zamiast tego obciąłeś rękę, a najpierw

wyciągnąłeś z niej całe ka'kari, twoja ręka nie odrośnie. Mam szczerą nadzieję, że potrafisz walczyć lewą.

– Do diabła z tobą! Odeślij mnie, bo Ursuul wygra. Mężczyzna wyszczerzył do niego zęby, jakby to było przezabawne.

– Odesłanie cię dwa dni wcześniej będzie mnie kosztowało – jego oczy rozbłysły – trzy lata i dwadzieścia siedem dni mojego życia. To trochę jakby bogaty okradał biednego, nie uważasz, nieśmiertelny? – Uniósł pobliźnioną dłoń, zanim obrzucił go inwektywami. – Odeślę cię, jeśli coś przysięgniesz. Jest pewien miecz. Nazywa się Curoch i skłamałbym, mówiąc, że nie jest to obiekt pożądania wielu potężnych frakcji. Znasz miasteczko Zakole Torrasa?

– Zakole Torras?

– To właśnie. Zdobądź miecz i zanieś go tam. Wejdź do lasu, miń dębowy zagajnik, zatrzymaj się około czterdziestu, pięćdziesięciu kroków od skraju starego lasu i wrzuć tam Curocha.

– Tam właśnie mieszkasz?

– Och, nie. Ale mieszka tam coś innego. Coś, co będzie strzegło Curocha przed światem ludzi. Odeślę cię teraz z powrotem, jeśli obiecasz to zrobić, a kiedy dostarczysz miecz, sprawię, że odrośnie ci ręka.

– Kim jesteś?

– Jednym z tych dobrych. Przynajmniej o tyle, o ile to możliwe w moim przypadku. – W jego złotych oczach zatańczyły iskierki. – Ale chcę, żebyś zrozumiał coś, czego Acaelus nigdy nie pojął: nie jestem człowiekiem – urwał, szczerząc zęby, i Kylar rzeczywiście zaczął się

zastanawiać, ile z człowieka kryło się za tymi wilczymi ślepiami – z którym można zadzierać.

– Zorientowałem się.

– Wchodzisz w to?

***

– To dziwne – powiedział Król-Bóg, stając nad trupem Kylara. – Gdzie jest ka'kari? Wyczuwam... jest w jego ciele?

– Tak – odpowiedziała Vi, nie mogąc się powstrzymać.

– Fascynujące. Jak przypuszczam, nie wiesz wszystkiego o jego działaniu?

Ku własnemu przerażeniu zaczęła odpowiadać. Nie było to wprost zadane pytanie, więc kręciła, jak tylko mogła.

– Nie wiem. Wiem, że daje mu niewidzialność.

Próbowała powiedzieć „dawało”, ale nie mogła zmusić się do użycia czasu przeszłego. Miała nadzieję, że Król-Bóg tego nie zauważył.

– No cóż, mimo wszystko twój ukochany będzie musiał poczekać. Mam masakrę do załatwienia.

Vi krzyknęła i złapała miecz Kylara. Garoth obserwował ją z zaciekawieniem. Miecz zakreślił łuk... i zatrzymał się. Vi sama się powstrzymała. Nie mogła tego zrobić.

– Niesamowite, co? – powiedział. – Najzabawniejsze jest to, że nauczyłem się przymusu, studiując jeden z waszych południowych

rytuałów godowych, zakładanie kolczyków ślubnych. Wy tu w ogóle nie pojęliście jego prawdziwej mocy. No dobrze, a teraz możesz sobie pooglądać bitwę. I przestań stękać, moja droga. To nieeleganckie.

Nagle jego oczy stały się puste. Vi próbowała poruszyć mieczem, ale nie była w stanie. Przymusu nie dało się przełamać.

Kiedy czarownicy uwolnili umora, Vi usiadła na stopniach pod tronem i patrzyła. Jednakże nie mogła skupić się nawet na tym strasznym widowisku.

Powinna była poddać się dawno temu. Cała jej walka okazała się farsą. Zrobiła wszystko, czego Król-Bóg od niej chciał. Zabiła Jarla i zabiła Kylara. W nadchodzących latach bez wątpienia zabije jeszcze wielu. Tysiące. To nie miało znaczenia. Nikt inny nie będzie dla niej znaczył tyle, co Jarl i Kylar. Jarl, jej jedyny przyjaciel, zginął z jej ręki. Kylar, mężczyzna, który jakimś cudem wzniecił... co? Namiętność? Może po prostu ciepło w jej zimnym, martwym sercu. Mężczyzna, który mógłby być... kimś więcej.

Nienawidziła wszystkich mężczyzn, których znała. W naturze mężczyzny leżało zabijanie, niszczenie i burzenie. Kobieta była dawczynią życia, tą, która pielęgnuje. A jednak... Kylar.

Stanął w poprzek jej przesądów niczym kolos.

Kylar, legendarny siepacz, który powinien być samą kwintesencją zniszczenia, ocalił małą dziewczynkę, adoptował ją, ocalił kobietę, ocalił arystokratów, którzy nawet na to nie zasługiwali, próbował rzucić ten gorzki fach.

I rzuciłby, gdyby nie ja.

Gdyby nie Vi, Kylar byłby w Caernarvon, prowadził normalne życie, którego Vi nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. I o co chodziło z tą Elene? Kylar mógł mieć każdą kobietę, jakiej by zapragnął, a wybrał dziewczynę z bliznami. Z doświadczenia Vi wynikało, że faceci lecą na każdą zdzirę, w jaką mogą wsadzić fiuta. Jeśli suka była naprawdę niezła, to już im nie przeszkadzało, że to suka. Kylar był inny.

Vi nagle olśniło i nie było to miłe. Zobaczyła Elene – kobietę, której nigdy nie poznała – jako swoją bliźniaczkę i zarazem kompletne przeciwieństwo. Elene nosiła blizny głębokie na cal, ale pod nimi była samym pięknem, gracją i miłością. Vi była czystą ohydą pod cieniutkim woalem skóry. Miłość Kylara nie była już tajemnicą. Mężczyzna, który potrafił sięgnąć wzrokiem poza morderstwo Jarla, z łatwością potrafił dostrzec to, co kryje się pod bliznami. Oczywiście, że kocha Elene. A przynajmniej kochał, dopóki Vi go nie zabiła.

Kylar powiedział, że wróci. Ale nie wrócił. Król-Bóg wygrał.

Vi wyciągnęła nóż z pleców Kylara i obróciła go. Jego oczy były otwarte, puste i martwe. Zamknęła te oskarżycielskie oczy, położyła sobie jego głowę na kolanach i odwróciła się, żeby obejrzeć masakrę, jakiej dokona Król-Bóg na ostatniej nadziei Cenarii.

Wszelkie pozory naukowego dystansu zniknęły. Początkowo magowie musieli się wysilać, żeby dostrzec umora. Wkroczył na pole bitwy właściwie niezauważony. Po minucie jeden z magów powiedział:

– McHalkin miał rację. A uważałem, że to zmyślił.

– Wszyscy tak uważaliśmy. Co to oznacza dla wszystkich innych stworzeń wymienionych w jego pismach?

– Na bogów, jest dokładnie tak, jak pisał. Przejęto go, został opętany.

Na polu bitwy zaczęto dostrzegać pojawienie się potwora. Stał się ogromnym bykiem, orzącym szeregi Cenaryjczyków. Wszelkie rany, jakie zdołali mu zadać żołnierze, szybko się goiły, a potwór rósł.

Zgiełk bitwy, okrzyki wściekłości i bólu, brzęk stali niosły się w stronę wzgórza od początku bitwy. Teraz dołączył nowy dźwięk: wrzaski przerażenia.

Ogromny byk wytoczył się spomiędzy szeregów Khalidorczyków. Pół tuzina ludzi – niektórzy z nich nadal żyli – przywarło do potwora. Zatrzymał się, żeby ich strawić, i zaczął się przekształcać. Zwinął się w kłębek i na powierzchnię jego skóry wyskoczyły metalowe płyty. Wyprostował się i wstał.

Umór miał teraz kształt trolla. Był trzy razy wyższy od człowieka, a na jego skórę składały się zbroje, kolczugi i rozdziawione małe paszcze. Umór wciągnął w siebie nawet miecze i włócznie martwych

przeciwników, które teraz jeżyły się na jego bokach i plecach.

Pierwsza reakcja Cenaryjczyków była zaskakująco heroiczna. Zaszarżowali na potwora.

To był daremny trud. Potwór przebił się przez szeregi, ale nigdy nie poruszał się zbyt szybko, więc Khalidorczycy mogli się trzymać tuż za nim. Gdziekolwiek poszedł, zabijając, pamiętał, żeby podnieść każdego zabitego lub okaleczonego jedną z czterech rąk i przykleić go sobie do skóry albo nabić na jedną z włóczni na plecach. Gdy pożarł jednego, sięgał po następnego, i następnego, i następnego.

Magowie nie potrafili nawet powiedzieć, czy żołnierze w ogóle zranili potwora. Umór, nie zwalniając nawet na chwilę, przedzierał się przez kolejne szeregi.

W obliczu nieubłaganej śmierci generał Agon uderzył wszystkimi siłami w jeden z odcinków khalidorskiego szyku, próbując uciec. Szczęśliwym trafem – lub dzięki doskonałemu dowodzeniu – dołączyły do niego setki mężczyzn i wszyscy z desperacją zaatakowali jedno miejsce. Szeregi wrogów ugięły się i niemal pękły, ale kawaleria khalidorskiego księcia Moburu zaraz wzmocniła nadwątloną linię, dopóki umór nie przebrnął przez szeregi i nie dotarł na miejsce. Szarżę natychmiast przerwano, a cenaryjscy generałowie próbowali zebrać ludzi do ataku w nowym miejscu. Jednak w zgiełku bitwy, w zamieszaniu płynącym z faktu, że zostali okrążeni i z powodu grozy na widok ciągle rozrastającego się potwora, to zadanie przerosło żołnierzy.

Cenaryjczycy walczyli gorączkowo i desperacko. Tylko chwile

dzieliły ich od paniki.

– Musimy im pomóc – powiedział Jaedan. Magowie spojrzeli na niego, jakby oszalał.

– Co? Jesteśmy najpotężniejszymi magami na świecie! Jeśli im nie pomożemy, zginą. Jeśli nie przeciwstawimy się teraz Khalidorowi, będzie za późno.

– Jaedanie – odezwał się cicho Wervel – umór jest odporny na magię. To dotyczyło nawet magii starożytnych. Już jest za późno.

Lord Lucius nie był w nastroju, żeby ugłaskiwać młodzika.

– Wysłano nas, żebyśmy odnaleźli potężny miecz, albo przynajmniej jakieś wieści na jego temat. Jeśli Curoch tu jest, uwierz mi Jaedanie, dowiemy się o tym. Jeśli Cenaryjczycy go mają, zaraz go użyją. Rada...

– Rady tu nie ma! – przerwał mu Jaedan. – Myślę...

– To, co myślisz, nie ma tu nic do rzeczy! Nie będziemy walczyć. Koniec kropka. Rozumiesz?

Jaedan zacisnął zęby, żeby powstrzymać słowa, których mógłby pożałować. Znowu spojrzał na ludzi umierających z powodu obojętności lorda Luciusa.

– Rozumiem, panie.

***

Jedna z rzeczy, o której nigdy nie wspominają historie o bitwach – historie, które Logan tak uwielbiał, kiedy był chłopcem – to zapach.

Myślał, że po pobycie na Dnie nic już więcej go nie zaszokuje, ale się mylił. Stracił rachubę ludzi, których śmierć widział na Dnie, ale niezależnie od tego, ilu ich było – dwunastu? piętnastu? – to było nic w porównaniu z liczbą ofiar w samej pierwszej szarży. Wokół pachniało podnieceniem, strachem, deszczem, błotem – niewiele znaczące zapachy w porównaniu z widokiem rozbłyskującej stali i dumnych rumaków, zaciętych twarzy kobiet, które ich dosiadały.

Khalidorczycy ich otoczyli. Bez flag i umówionych sygnałów Cenaryjczycy nie mogli się porozumieć z dowódcami i nie mieli jak uciec. Jeśli za mało żołnierzy zbierze się do szarży, niczego nie wskórają. Jeżeli zbyt wielu, wróg zmasakruje ich tyły. Armia cenaryjska była sparaliżowana, a coraz więcej i więcej Khalidorczyków pojawiało się... skąd właściwie? Dlaczego, u diabła, nie wiedzieli, że tu są? Luc Graesin zawalił swoje zadanie czy zdradził? Teraz to nie miało znaczenia, liczyło się tylko to, jak uniknąć masakry, i odór, który wypełniał mu nozdrza.

To był smród ciasno upakowanych ludzi, gorąco ich ciał, ich pot i strach wymieszane z przerażeniem spanikowanych koni. To były nieczystości, gdy martwi i przerażeni tracili panowanie nad ciałem. To były soki trawienne z rozciętych żołądków, pocięte wnętrzności, umierające zwierzęta, kopiące ziemię i kwiczące. To była krew tak gęsta, że zbierała się w kałuże razem z deszczem. To był słodszy zapach kobiecego potu, których szeregi rzedły, ale które pozostawały nieulękłe, dopóki nieulękły był Logan.

Gdziekolwiek się pojawił, Cenaryjczycy się mobilizowali. To nie

tylko jego obecność tak działała. To te wspaniałe kobiety, zbryzgane krwią i klnące jak piraci. Już sam ich widok zdumiewał Khalidorczyków.

Gdyby nie one, Logan zginąłby już w pierwszej szarży. Walczyły u jego boku z niemal samobójczym zapałem i zapłaciły za to wysoką cenę. Z trzydziestu kobiet, które wyjechały razem z nim, zostało tylko dziesięć. Mając tak skromną straż przyboczną, Logan z pewnością zostałby pokonany, gdyby nie setka mężczyzn, która dołączyła do nich kilka minut po pierwszej szarży – Psy Agona. On dał im słowa, a teraz oni oddawali mu swoje życie.

Logan nie potrafił powiedzieć, ile czasu trwała walka, kiedy wśród szeregów pojawił się nowy zapach. To był odór zgnilizny – co nie miało sensu. Tego wieczoru, po walce na polu bitwy zostanie mnóstwo mięsa, które zgnije, ale do tej pory jeszcze nic nie mogło zdążyć się zepsuć. Usłyszał i wyczuł reakcję Cenaryjczyków na długo przed tym, jak zobaczył przyczynę ich nowego strachu. Nagle z wysokości końskiego grzbietu dostrzegł coś, co wyglądało jak byk wzrostu bojowego rumaka – sunął przez szeregi poza pole bitwy, ciągnąc za sobą ludzi.

Do walki powróciło już inne stworzenie. Troll z czterema rękami, czworgiem oczu, guzowatą, szarawą skórą i ostrzami wystającymi mu z grzbietu. Logan wiedział, że powinien się bać, i dziwił się, że nie czuje strachu. Tego uczucia po prostu w nim nie było.

Walka stała się prosta, gdy pojął jeden fakt: ten potwór zabijał jego ludzi. Musiał go powstrzymać.

Generał Agon poprowadził kolejną szarżę. Jego ludzie uderzyli w kawalerię jak młotek z balsy w kowadło. Niczego więcej nie zdziałał, próbując przebić szyk tego przeklętego dowódcy kawalerii o skórze Ladyjczyka, ale w alitaerańskim stroju i na alitaerańskim koniu.

Logan zaatakował potwora, który teraz wydawał się jeszcze większy. Jedna z jego rąk zamieniła się w ostrze kosy i troll ciął nią trzy stopy nad polem bitwy, zbierając krwawe żniwo. Nie było jak się uchylić. Niektórzy podskakiwali, inni rzucali się na ziemię, ale większość została przecięta na pół. Troll szedł przed siebie, pozostałymi rękami podnosząc martwych i wbijając ich na lance i miecze, które wyrastały mu ze skóry.

Logan wjechał w lukę, która powstała, gdy Cenaryjczycy zaczęli się cofać przed trollem najdalej, jak się dało. Jego biały rumak tańczył niespokojnie.

Troll przystanął i przyjrzał się Loganowi. Wydał z siebie nieokreślony ryk, przez który Logan niemal stracił panowanie nad koniem, a potem się zatrząsł. Ludzka głowa wychynęła z brzucha trolla.

– Loganie – powiedziała głowa doskonale ludzkim głosem, z ledwie wyczuwalnym khalidorskim akcentem, i wysunęła się z brzucha trolla w stronę Logana.

– Ursuul – warknął Logan.

– Jest coś, co powinieneś wiedzieć na temat Jenine.

Loganowi brakowało sił, kiedy zaczęła się bitwa. Po miesiącach nędzy był wychudzony i słaby. Przetrwał dzisiaj tylko dzięki

szczęściu i zaciekłości kawalerów Orderu Podwiązki i Psów Agona, nie dzięki własnej sile czy umiejętnościom. Jednakże, słysząc imię Jenine w nikczemnych ustach potwora, Logan poczuł przypływ słusznego gniewu.

– Twoja śliczna, prześliczna żona nadal ży... Miecz Logana rozbłysnął i ściął głowę. Rozprysła się na ziemi w strzępy gnijącego ciała.

Na chwilę potwór zamarł. Nie poruszył ani jednym mięśniem. Chwila przeciągała się i Cenaryjczycy zaczęli wiwatować, myśląc, że jakimś cudem Logan zabił bestię.

A potem troll uniósł ręce do nieba i wydał się z siebie ryk, od którego zadrżała ziemia. Wpatrując się w Logana dwojgiem oczu, troll wziął zamach ogromną kosą.

71

Vi delikatnie odgarnęła włosy z czoła Kylara. Na wprost nich umór przekształcił się w trolla i brodził wśród cenaryjskich szeregów. Ledwie to zauważała. Gapiła się na martwą twarz Kylara. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak młodo wyglądał. Był taki spokojny, pogodny. Vi zamordowała go. Dostarczyła nieśmiertelność Królowi-Bogu.

Coś chlapnęło na jego policzek. Vi zamrugała zdziwiona. Co, u diabła? Kropla spłynęła z jego policzka ku uchu. Vi znowu zamrugała, gwałtowniej, nie chcąc uwierzyć, że płacze. Co powiedziała siostra Ariel? Coś o emocjonalnej kalece? Vi spojrzała na łzę lśniącą na uchu Kylara i starła ją. Ta jędza powiedziała, że jestem głupia.

Bo była. Jej palce zamarły.

Zrozumienie uderzyło w nią jak koń bojowy w pełnym pędzie. Wcale nie uciekła siostrze Ariel.

Nagle Vi poczuła, że nie może zaczerpnąć tchu. Teraz widziała pułapkę zastawioną przez siostrę. Ariel budowała ją każdym swoim słowem. Vi dostrzegła przynętę i konsekwencje. To nie była ucieczka – ale przynajmniej ucieknie przed Królem-Bogiem.

Wymagało to jednak od niej zrobienia Kylarowi czegoś gorszego niż wszystko, co kiedykolwiek zrobił jej Hu Szubienicznik. Wsunęła drżącą rękę do sakiewki i odnalazła pudełeczko. Otworzyła je i spojrzała na waeddryńskie kolczyki ślubne.

Jeśli to zrobi, to będzie jak gwałt, a Vi wiedziała co to gwałt.

A jednak to był jedyny sposób. Siostra Ariel zadbała, żeby Nile'owie udzielili Vi wszelkich potrzebnych informacji. Powiedzieli jej, że potrzebuje „zewnętrznej oznaki wewnętrznej przemiany”, żeby złamać przymus, symbolu zmiany lojalności. Opowiadali o potężnej magii zamkniętej w niektórych starych kółkach; mówili, że zawierały swego rodzaju zaklęcie przymusu. Sama Wiedźma też pomachała jej marchewką przed nosem: szybki awans, prywatne nauczanie, wysoka pozycja.

Vi miała to gdzieś. Nie zrobi tego dla siebie. Zrobi to, bo w przeciwnym razie Król-Bóg stanie się nieśmiertelny. Vi stałaby się jego udomowionym siepaczem, zmorą w kobiecej skórze, mordującą wszystkich, którzy ośmieliliby się mu przeciwstawić. Zrobi to dla tych biednych łajdaków, pożeranych właśnie żywcem na polu bitwy. Zrobi to, bo w przeciwnym wypadku Kylar umrze – naprawdę umrze.

Ale on jej tego nigdy nie wybaczy.

Przeczesała włosy Kylara palcami. Jego twarz była zimna, nieruchoma i oskarżycielska. Ona ucieknie, zmieni się, ale cenę za to zapłacą Kylar i Elene.

Kolczyk przebił jej ucho i koło natychmiast stopiło się bez śladu po miejscu złączenia. Ból sprawił, że jej oczy zaszły łzami. Łzy spływały po jej policzkach, kiedy drugim kolczykiem przebiła ucho Kylara.

Fala ciepła zalała ją od czubka głowy do stóp. Poczuła, jak przymus obumiera i się rozpada. To było nic w porównaniu z nagłą tęsknotą, którą poczuła. Aż zaparło jej dech. Na własnej skórze, w

żołądku, w kręgosłupie – wszędzie czuła Kylara. Jego ciało powracało do zdrowia, ale był tak poważnie ranny, że ona również z tego powodu cierpiała. Palce, którymi dotykała jego twarzy, mrowiły ją. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Chciała, żeby ją poznał. Chciała wyznać mu prawdę, pragnęła jego przebaczenia i chciała, żeby odwzajemnił jej miłość. Chciała, żeby ją tulił. Dotknął jej policzka, wsunął palce w jej włosy i...

Ta myśl eksplodowała w zetknięciu ze wszystkim, co do tej pory znała. Vi zepchnęła gwałtownie głowę Kylara z kolan i wstała, zataczając się. Gorączka uczuć była zbyt intensywna, zbyt rozległa, żeby Vi mogła ją pojąć, a jednak wcale nie wydawała się obca. Nie wydawała się fałszywa. Vi miała wrażenie, że jej miłość została oczyszczona, rozżarzony węgielek rozdmuchano tak, że zapłonął. Nie mogła złapać tchu. Ledwie była w stanie spojrzeć na Kylara. Ale była wolna. Przymus zniknął.

Wolna! Wolna od Króla-Boga. Na podłodze samotny jeździec stał przed potężnym trollem. Vi wyjęła sztylet i chwiejnym krokiem podeszła do ojca. Złapała go i zmusiła jego ciało, by stanęło. Potrząsnęła nim.

– Ojcze! Ojcze!! – wrzeszczał ktoś.

Kto, u diabła, wykrzykuje tak na polu bitwy? Chwilę potem Garoth zdał sobie sprawę, co to musi być, i sprowadził z powrotem swoją tożsamość do sali tronowej. Logan mógł poczekać kilka sekund. Do diabła z nim, skoro nie chciał wiedzieć, że Jenine żyje.

– Ojcze... – zaczęła Vi – możesz mi powiedzieć jedną rzecz?

Najwyraźniej pogodziła się już z przymusem, bo go dotykała.

– „Ojcze”? Wybacz, ale właśnie jestem bardzo zajęty.

– Zmusiłeś mnie do zabicia Jarla? To był przymus? Uśmiechnął się. Kłamstwo z łatwością wypłynęło mu na usta.

– Nie, *moulina,* sama to zrobiłaś.

– Och. – Ta pojedyncza sylaba wyskoczyła z jej ust jak banieczka.

Garoth wyszczerzył zęby i wsunął się z powrotem w umora. Ryknął w niebiosa i wziął zamach ręką-kosą. Logan jechał prosto na niego, dopóki jego koń się nie spłoszył. Diuk Gyre kopał i szarpał wodzami, ale wierzchowiec nie chciał go słuchać. Zakręcił się rozpaczliwie w miejscu i potknął się o czyjeś ciało. Kiedy Garoth ciął ogromną kosą na takiej wysokości, że przeciąłby Logana na pół, jeden z konnych łowców czarowników wparował na pusty kawałek pola i wyskoczył z siodła, łapiąc w locie Logana. Kosa przecięła szyje wierzchowców, które padły na ziemię w podwójnej powodzi krwi.

Logan przeturlał się i zerwał na nogi. Obok niego łucznik już napinał łuk. Posłał strzałę w jedno oko Garotha, a potem w drugie. Garoth zamrugał i zaraz nowe oczy wypchnęły stare. To nie miało znaczenia. Logan stał arogancki, ale bezbronny. Jednym cięciem Garoth przetnie tego małego człowieczka na pół...

Coś gorącego wbiło się w jego plecy. Raz, drugi, trzeci. Dźgało go raz za razem. Pomacał się rękami umora po grzbiecie, zastanawiając się, co przecięłoby jego grubą skórę i dlaczego jego pozostałe oczy nie dostrzegły ataku, ale nie znalazł na plecach ani

strzał, ani włóczni.

Umór słabł, a kiedy Logan zaatakował i wbił mu miecz w brzuch, Garoth zdał sobie sprawę, że to nie umór się wykrwawiał.

Tylko on sam.

Usłyszał szloch i znalazł się z powrotem w sali tronowej.

Vi tuliła go do piersi, dźgając raz za razem, przyciskając go do siebie, jakby chciała, żeby sztylet przeszył go na wylot i wbił się w jej własne serce.

Garoth kazał swoim kończynom poruszyć się, ale zamieniły się w bezwładne kawałki mięsa. Jego ciało umierało – umierało! – a przed oczami robiło mu się ciemno, ciemno...

Rzucił przedśmiertny czar. To było potwornie ryzykowne – spróbować przerzucić własną świadomość do innego ciała. Jeśli Khali pozwoli mu na to, zażąda straszliwej ceny, ale nie miał już nic do stracenia.

Vir wyrwał się z jego rąk i pochłonął Vi niczym las czarnych palców. Przyciągał ją bliżej.

Był tak blisko! To działało! Czuł to!

I nagle każdy palec viru został odcięty przez opalizuje ostrze, które przeszło między Garothem i Vi. Odcięty od źródła vir zamarzł, popękał i wyparował, zostawiając po sobie tylko czarny dym. Garoth odwrócił się i zobaczył coś niemożliwego.

Kylar żył. Stał z wyrokiem wypisanym na twarzy i z ostrzem czarnego ka'kari w dłoni. Zrozumienie ogarnęło Garotha jak fala przypływu.

Pożeracz pożerał samo życie. Pokrzepiacz pokrzepiał i podtrzymywał samo życie. Nie tylko przedłużał życie albo leczył. To była najprawdziwsza nieśmiertelność. Garoth miał szansę na prawdziwą boskość i pozwolił, żeby wyślizgnęła mu się z rąk. Ogarnęła go bezsilna wściekłość.

A potem ostrze ka'kari opadło raz jeszcze ku jego głowie.

***

Logan wbił miecz w brzuch trolla i stwór zatoczył się do tyłu. Padł na kolana, jakby nagle całkiem stracił koordynację. Logan odskoczył do tyłu, o włos unikając zmiażdżenia. Nie bardzo wiedział, co się właśnie stało, ale miał wrażenie, że reakcja trolla jest dziwna. Logan widział, jak troll zebrał gorsze rany i nawet się nie wzdrygnął.

Obie armie patrzyły na Logana i potwora. Logan dźgnął go znowu. I jeszcze raz. Ale rany zamykały się, gdy tylko wyciągnął miecz.

Kiedy troll nadal klęczał, płyty pokrywające większość jego brzucha odsunęły się na boki z bulgotaniem i zgrzytem, jakby komuś łamano nos, ale powtórzonym po stokroć. Z przerwy między płytami coś zaczęło się przeciskać przez skórę, wybrzuszając ją od środka. W ciągu następnej sekundy na brzuchu trolla zarysowała się postać, niczym żywa płaskorzeźba kobiety. Jej twarz poruszyła się kilka razy i pojawiły się usta.

– Nie mogę z tym walczyć, Królu. Głód. Zupełnie jak na Dnie.

Nie mogę przestać, Królu. Patrz, co ze mnie zrobili. To nie da mi umrzeć, Królu. Głód. Pamiętasz chleb? Ten głód!

– Lilly? Myślałem, że to Garoth.

– Jego już nie ma. Nie żyje. Powiedz mi, co robić, Królu. Nie mogę się powstrzymać. Jestem taka głodna, że pożeram samą siebie.

Logan zdał sobie sprawę, że od chwili, kiedy pojawiła się twarz Garotha Ursuula, troll zmalał. Pożerał siebie. Logan musiał szybko coś zrobić. Nie mogli go zabić. Potwór leczył rany, nie potrzebując do tego świadomej myśli, a postać Lilly już znikała.

– Lilly – powiedział. – Lilly, posłuchaj mnie. Pojawiła się znowu, chociaż teraz już nie miała ust.

– Lilly, zjedz Khalidorczyków. Zjedz ich wszystkich, a potem uciekaj w góry. Dobrze?

Ale ona już zniknęła. Płyty zatrzasnęły się z powrotem i troll ciężko się podniósł. Kiedy wbił wzrok w Logana i uniósł kosę, nie było już śladu po Lilly.

Logan podszedł prosto do potwora.

– Chciałaś wszystko naprawić, prawda, Lilly? Pamiętasz to, Lilly? – zapytał, mając nadzieję, że na dźwięk imienia znowu się pojawi. – Chcesz zapracować na swoje ułaskawienie? Jestem twoim królem czy nie?

Umór zamrugał i się zawahał. Głos Logana rozbrzmiał z siłą, o jaką sam się nie podejrzewał, gdy, wskazując na Khalidorczyków, ryknął:

– IDŹ! ZABIJ ICH! ROZKAZUJĘ CI!

Umór zamrugał raz i drugi. A potem gwałtownym zamachem – szybciej, niż kiedy kierował nim Garoth – ciął ramieniem przez szeregi Khalidorczyków za sobą. Logan odwrócił się i zobaczył tysiące oczu wpatrujących się w niego z niedowierzaniem.

Logan Gyre, człowiek, który rozkazał umorowi zatrzymać się, a on posłuchał.

Bitwa utknęła w martwym punkcie. Khalidorczycy i Cenaryjczycy stali od siebie na wyciągnięcie broni, ale nie walczyli. Umór, który miał teraz jakieś trzydzieści stóp wzrostu, skupił na sobie całą uwagę. Nie obrócił się. Na chwilę zrobił się galeretowaty i nagle to, co było jego tyłem, stało się przodem i stał teraz przed Khalidorczykami.

Ognisty pocisk meistera nadleciał po łuku i odbił się od skóry, nie czyniąc trollowi najmniejszej krzywdy. Zaraz po nim nadleciało dziesięć kolejnych, ale żaden nic nie zdziałał. Błyskawica uderzyła chwilę potem i zaledwie zostawiła ciemniejszy ślad na skórze trolla. Umór przykucnął i napiął wszystkie mięśnie. Zbroje i broń, które Garoth włączył do ciała potwora, eksplodowały we wszystkie strony; puklerze, kolczugi, włócznie, miecze, młoty bojowe, sztylety i setki strzał uderzyły z chrzęstem o ziemię, układając się w wielkie koło.

Lśniący biały homunkulus śmignął z szeregów khalidorskich i przylgnął do umora. Przestrzeń między Vürdmeisterem i homunkulusem deformowała się jak w krzywym zwierciadle. Powietrze wybrzuszyło się w kierunku umora.

Dziesięć kroków od umora zniekształcenie pękło i buchnęło

czerwonym ogniem. Poczwarzec zaatakował, ale jego minogowata paszcza zamknęła się na pustce. Umór był niewiarygodnie szybki. Poczwarzec skręcał się, płomienna, czarno-czerwona skóra zanurzała się coraz głębiej w rzeczywistość – czterdzieści stóp, sześćdziesiąt i nadal żadnego znaku, żeby ciało zaczynało się zwężać.

Logan usłyszał, jak broń pada ze szczękiem na ziemię, wypuszczona przez dygocące ręce na widok pojedynku tytanów.

Walka trwała do pierwszego ciosu. Poczwarzec znowu nie trafił, a umór przeciwnie. Ogromna pięść zmiażdżyła łeb poczwarca i smagnęła jego ciałem jak batem szeregi Khalidorczyków w dole. Cielsko rozpadło się bezkrwawo. Czarne i czerwone grudki skwierczały na ziemi jak krople wody na patelni. Z sykiem zamieniały się w zielony dym i znikały.

Umór odwrócił się do Khalidorczyków i z jego cielska wyrósł tuzin rąk. Zaczął chwytać żołnierzy jak łapczywy dzieciak grasujący wśród przysmaków.

I wtedy ludzie po obu stronach przypomnieli sobie o walce. Cenaryjczycy przypomnieli sobie o broni, a Khalidorczycy przypomnieli sobie o nogach. Odrzucali broń i tarcze, żeby szybciej uciekać.

Rozległ się krzyk, kiedy szeregi Khalidorczyków wokół umora się załamały. Logan nie mógł w to uwierzyć. Nieprawdopodobieństwo tej sytuacji było zbyt wielkie.

– Kto ma za nimi ruszyć? – zapytał generał Agon. On i zlany krwią diuk Wesseros pojawili się znikąd.

– Nikt – odpowiedział Logan. – Ona nie odróżnia przyjaciela od wroga. Nasza walka się skończyła.

– Ona? – zdziwił się diuk Wesseros.

– Nie pytaj.

Agon odjechał wykrzykując rozkazy, a Logan odwrócił się do człowieka, który ściągnął go z konia. Nie poznawał go.

– Uratowałeś mi życie. Kim jesteś? – spytał.

Sethyjska kobieta, walcząca u boku Logana przez całą bitwę, podeszła do nich.

– Mój panie, to mój mąż, Tomman – odpowiedziała z nieskrywaną dumą.

– Jesteś odważnym człowiekiem, Tommanie, i groźnym strzelcem. Jakiej nagrody pragniesz?

Tomman uniósł głowę i oczy mu zalśniły.

– Już dostałem więcej niż sobie zasłużyłem. Zwróciłeś mi, panie, moją miłość. Co może być cenniejszego? – Wyciągnął rękę, a żona ją przyjęła.

Cenaryjskie szeregi zbiły się w najciaśniejsze kwadraty, w jakie zdołali ustawić je generałowie. Żołnierze tylko patrzyli na masakrę Khalidorczyków. Nie było ucieczki. To był pogrom. Pierścień wokół pola pękł i ludzie uciekali we wszystkie strony. Umór przedzierał się przez armię. Stał się wężem i pełzł przez szeregi, a żołnierze przywierali z wrzaskiem do jego ciała. Potem zamienił się w smoka. Za każdym razem miał tuzin rąk. Zawsze był szybki i straszny. Żałosne krzyki dobiegały ze wszystkich stron, ludzie szarpali się

nawzajem w panice. Niektórzy kucali za ogrodzeniami dla owiec, inni kulili się za głazami, albo wspinali na drzewa na obrzeżach pola bitwy, ale potwór był skrupulatny. Zbierał wszystkich po kolei – żywych i martwych, rannych i udających nieżywych, walczących i chowających się – i pożerał ich.

Nie wszyscy Khalidorczycy uciekali. Niektórzy odwrócili się i walczyli. Gromadzili towarzyszy i atakowali z niewiarygodną odwagą, może nawet z większą niż ta, którą wykazali się Cenaryjczycy. Jednakże w obliczu takiej grozy odwaga nie miała znaczenia. Odważni i tchórze, szlachetnie urodzeni i plebejusze, dobrzy i źli – wszyscy umierali tak samo. A Cenaryjczycy patrzyli z rozdziawionymi ustami, nie zapominając, że w tej masakrze mogli zginąć oni. Raz czy drugi ktoś wyrwał się z okrzykiem, ale nikt nie podjął wiwatów. Umór szedł to w jedną stronę, to w drugą, wyłapując większość Khalidorczyków i zawsze – zawsze! – omijając szerokim łukiem szeregi Cenaryjczyków, jakby się bał pokusy, jaka go ogarnie, gdy podejdzie zbyt blisko.

W końcu, kiedy pożarł ostatnia grupę na tyle dużą, żeby była warta zachodu, umór pognał w stronę gór. Może bogowie pobłogosławili Cenarii, może to był szczęśliwy traf, a może Lilly panowała nad umorem bardziej niż Logan się spodziewał, bo potwór pobiegł tam, gdzie w promieniu setki mil nie było żadnej wioski.

Nagle ktoś zakrzyknął w ciszy. Przez chwilę okrzyk dźwięczał samotnie w powietrzu. Loganowi przyprowadzono nowego konia. Wsiadł na niego, rozejrzał się i znowu zdał sobie sprawę z tysiąca

oczu spoglądających na niego. Dlaczego wszyscy patrzyli właśnie na niego?

Wtedy znowu ktoś krzyknął i jakaś myśl powoli wykluła się w umyśle Logana: wygrali. Jakimś cudem, wbrew wszystkiemu, wygrali.

Po raz pierwszy od miesięcy Logan poczuł, że usta rozciągają mu się w szerokim uśmiechu. To wyzwoliło prawdziwą lawinę i nagle już nikt nie potrafił przestać się uśmiechać, krzyczeć, poklepywać towarzyszy po plecach. Kto pod sztandarem którego rodu walczył – to nagle przestało się liczyć. Psy Agona obejmowały się z zawodowym wojskiem miasta Cenarii – dawni złodzieje i dawni strażnicy stali razem jak przyjaciele. Arystokraci stali ramię w ramię z wieśniakami i razem wiwatowali. Strzaskane ogniwa łączące kraj w całość odnawiały się, kiedy Logan patrzył na stojących w ścisku ludzi. Wygrali. Cena była straszliwa, ale stawili czoło potędze potwora i magii boga, i zwyciężyli.

Okrzyk zaczynał wybijać się ponad szczękiem mieczy i włóczni uderzających rytmicznie w tarcze.

– Co oni mówią?! – krzyknął do Agona Logan, ale zanim skończył, zrozumiał słowa wykrzykiwane w rytm uderzeń mieczy o tarcze:

– KRÓL GYRE! KRÓL GYRE! KRÓL GYRE!

To było zuchwałe, to zakrawało na zdradę. To było piękne. Logan rozejrzał się w tłumie za Terah Graesin. Nigdzie jej nie było. Uśmiechnął się.

Martwy bóg ciążył jej jak wór pszenicy. Vi drżała, ale vir, który owinął się wcześniej wokół niej, chyba nie zrobił jej krzywdy. Kylar gapił się z niedowierzaniem na trupa Garotha Ursuula.

Przeznaczenie Kylara leżało martwe na posadzce, i to nie Kylar je zabił.

Wilk dotrzymał swojej części umowy: Kylar żył. Ale czuł się jakoś inaczej. Vi gapiła się na niego, nadal drżąc z emocji; po jej policzkach toczyły się gorące łzy. Spojrzał na nią i wyczytał wstrząs i strach w każdym calu jej ciała... z odrobiną nadziei?

Co, u diabła? Od kiedy potrafię dostrzec, co czuje kobieta?

Vi stała zbryzgana krwią Króla-Boga. Plamy na tle ciemnoszarego stroju siepacza pozostały niewidoczne, ale widok szkarłatnych kropli na jej dekolcie był potworny.

Kiedy Kylar patrzył na nią, była tak zrozpaczona, że aż chciał ją przytulić. Potrzebowała jego miłości, potrzebowała, żeby wyprowadził ją z doliny śmierci, którą była droga cienia. Teraz już znał wyjście. To była miłość. Odnajdą Uly i razem z Vi ruszą wspólną ścieżką...

Ja i Vi?!

Jej czy były okrągłe ze strachu i skruchy. Płakała. Przez ułamek sekundy chciał zrozumieć, ale wtedy powoli podniósł rękę do ucha. Miał w nim kolczyk, idealne kółko bez śladu złączenia, które opływało magią tak potężną, że wyczuwał ją przez palce.

– Tak strasznie cię przepraszam – powiedziała, cofając się. – Ogromnie przepraszam. To był jedyny sposób.

Odwróciła się i zobaczył, że jego ostatni podarunek dla Elene, jego przysięga miłości, dla której zaprzedał dziedzictwo, błyszczy w uchu Vi.

– Coś ty zrobiła? – ryknął i zorientował się, że kolczyk wzmocnił jego gniew.

Kiedy gniew uderzył w nią, Kylar wyczuł jej skruchę, przerażenie, pomieszanie, rozpacz, nienawiść do samej siebie i... do diabła, jej miłość? Miłość! Jak śmiała go kochać?

Vi uciekła.

Nie pobiegł za nią. Co by zrobił, gdyby ją dogonił?

Wypadła przez główne drzwi do sali tronowej, a strażnicy tylko popatrzyli za nią oniemiali.

A potem odwrócili się i zobaczyli Kylara stojącego nad ciałem Króla-Boga.

Rozległy się gwizdki, alarmy, tupot biegnących górali i śpiew czarowników. Kylar cieszył się z zapomnienia, jakie przyniesie walka. Przesłaniała przyszłość, w której nigdy nie obejmie Elene. Wymagała całej jego uwagi. Zabijanie jedną ręką było rzeczywiście wyzwaniem.

***

Lantano Garuwashi cały czas dotykał Ostrza Niebios, chociaż oczywiście trzymał je w pochwie. Kiedy sa'ceurai wyciągał miecz, nie

chował go, dopóki ostrze nie zakosztowało krwi. Gdy nadeszła noc, jego ludzie zasłonili wyjście z jaskini, żeby świętujący Cenaryjczycy nie dostrzegli ognia. Po naradzie ze szpiegiem, który przybył z cenaryjskiego obozu, Garuwashi wstał i stanął na skalnej półce.

W świetle z ogniska oczy jego ludzi błyszczały przeznaczeniem. Widzieli cuda, których widoku odmówiono ich ojcom i dziadom. Ostrze Niebios powróciło.

Garuwashi zaczął bez wstępów, jak to miał w zwyczaju:

– Cenaryjczycy nie wygrali tej bitwy. Ten stwór wygrał ją dla nich. Dziś wieczorem piją. Jutro będą polowali na khalidorskie niedobitki. Chcecie usłyszeć, co my będziemy robić, kiedy ci błaźni będą ganiali za muchami?

Mężczyźni kiwnęli głowami. Mieli Ostrze Niebios. Szli za Garuwashim. Byli niezwyciężeni.

– Dziś wieczorem zbierzemy mundury martwych Khalidorczyków. O świcie zaatakujemy i zadamy dość strat, żeby rozwścieczyć Cenaryjczyków. Odciągniemy wojsko na wschód, ciągle im się wymykając. Za trzy dni dotrze tu reszta naszych wojsk. Za pięć zajmiemy niebronioną stolicę. Za miesiąc ten kraj będzie nasz. Wiosną wrócimy do Ceury i damy jej nowego króla. Co powiecie?

Wiwatowali wszyscy oprócz jednego mężczyzny. Feir Cousat siedział w milczeniu. Jego twarz była jak wyrzeźbiona z marmuru.

EPILOG

Końskie kopyta zastukały za Dorianem, kiedy pokonał ostatnie wzniesienie na pogórzu i zobaczył Khaliras. Zszedł na bok i czekał cierpliwie, oczarowany widokiem. Do miasta zostały jeszcze dwa dni drogi, ale między górami Faltier i Górą Niewoli rozciągały się szerokie i płaskie równiny. Miasto i zamek wznosiły się wraz z górą, jedynym, samotnym szczytem pośród oceanu zielonych pastwisk. Kiedyś to był dom.

Drużyna mijała Doriana. Jeźdźcy mieli wspaniałe konie. Dorian uklęknął, składając hołd jako wieśniak. To nie była zwykła drużyna zwiadowcza. Ani zwyczajni żołnierze, chociaż wskazywały na to ich zbroje. Zdradzały ich broń i wierzchowce. Sześciu ogromnych żołnierzy należało do gwardii Króla-Boga. A sądząc po zapachu, mimo krótkich peleryn, towarzyszący im meisterowie byli tak naprawdę Vürdmeisterami. Mogli jechać tylko z Cenarii i prawdopodobnie przewozili skarby w kilku skrzyniach.

Zerkając ukradkiem, Dorian nagle dostrzegł prawdziwy skarb. Między meisterami jechała kobieta w grubych szatach i z zasłoniętą twarzą. Było coś dziwnie znajomego w sposobie, w jaki się nosiła. I wtedy zobaczył jej oczy.

To była kobieta, którą znał z wizji. Jego przyszła żona. Przeszył go dreszcz i przypomniał sobie kawałki i urywki swoich starych proroctw – wypalenie daru jasnowidzenia w jakiś sposób zablokowało wspomnienia.

Kiedy doszedł do siebie, nadal klęczał. Mięśnie mu zdrętwiały, a słońce wisiało nisko nad horyzontem. Drużyna oddaliła się już o całe mile i jechała przez łąki. Stracił przytomność na pół dnia.

Solonie, gdzie jesteś? Potrzebuję cię tutaj. Jednakże Dorian znał odpowiedź. Jeśli Solon przeżył w Wyjących Wichrach, to pewnie już żeglował do Seth, żeby stawić czoło utraconej miłości. Ta kobieta, obecnie cesarzowa Kaede Wariyamo, będzie wściekła. Z powodu przepowiedni Doriana Solon porzucił ojczyznę w godzinie próby. Dorian mógł mieć tylko nadzieję, że podróż Solona nie jest tak samotna jak jego własna.

Ponieważ nawet bez proroctw Dorian wiedział, że jakąkolwiek drogą podąży, będzie szedł w ciemności, samotnie, cierpiąc tak bardzo, że odrzucenie jasnowidzenia wydawało się dobrym pomysłem.

Wstał przerażony i drżący. Spojrzał na ścieżkę przed sobą i ścieżkę za sobą, na drogę do Khaliras i jego przyszłej żony – Jenine, tak się nazywała! – i na drogę z powrotem, do przyjaciół. Śmierć i miłość albo życie i samotność. Bóg wydawał się równie odległy jak lato na Zmarzlinie.

Z zaciśniętymi zębami, wyprostowanymi plecami, Dorian ruszył do Khaliras.

***

Ghorran zawsze obserwował Elene; jego spojrzenie było mroczne

i skupione. Pierwszego dnia to nie był żaden problem, bo nie musiała iść za potrzebą. Drugiego już owszem. Elene poszła za nim kawałek w las, a potem schowała się za krzakiem, żeby mieć odrobinę prywatności. Poczekał, aż przykucnie i uniesie spódnice, a potem poszedł za nią tylko po to, żeby ją zawstydzić. Oczywiście nie potrafiła się przy nim załatwić.

Tego wieczoru, tak jak to robili każdego ranka i wieczoru, Khali–dorczycy pomodlili się: *„Khali vas, Khalivos ras en me, Khali mevirtu rapt, recu virtum defite”.* Ghorran rzucił Elene na ziemię i usiadł na niej okrakiem. Modląc się, wbił palce w czułe punkty za jej uszami. Krzyknęła i poczuła ciepłą wilgoć wsiąkającą w sukienkę, kiedy straciła kontrolę nad pęcherzem.

– Kiedy modlitwa się skończyła, Ghorran wstał, uderzył ją w ucho i powiedział:

– Cuchniesz, obrzydła szmato.

Nie pozwolili jej się umyć, kiedy przechodzili przez mały górski strumień. Kiedy tego wieczoru Ghorran zabrał ją na bok, podciągnęła spódnice i załatwiła się, chociaż patrzył. Patrzenie nie sprawiło mu szczególnej przyjemności, dopóki nie zarumieniła się i nie odwróciła wzroku.

– Jutro – powiedział – zadbam, żebyś miała twarz w gównie. Własnym albo cudzym. Twój wybór.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Elene. – Nie ma w tobie żadnej przyzwoitości?

Następnego ranka obudzono ich wcześniej. Natychmiast ruszyli w

drogę. Pojmani szli gęsiego, związani razem, za Khalidorczykami. Elene była ostatnia w szóstce jeńców, a przed nią szedł młody chłopak, Herrald. Ponieważ bili jeńców za rozmowy, potrzebowała dłuższej chwili, zanim się zorientowała, dlaczego Khalidorczycy się denerwują.

Tego ranka było tylko pięciu Khalidorczyków.

Wieczorem Ghorran najwyraźniej zapomniał o swojej groźbie. Kiedy zabrał Elene, żeby załatwiła swoje potrzeby, cały czas miał obóz w zasięgu wzroku. Elene przykucnęła wśród modrzewi, które gubiły złote igły z początkiem jesieni, i udawała, że jego obecność jej nie przeszkadza.

– Meisterowie pewnie dołączą do nas jutro – powiedział Ghorran, nie spuszczając oka z obozu. – Przekażemy im was wszystkich. Ten łajdak Haavin pewnie zwiał. Cykor.

Elene wstała i raptem, dziesięć kroków od niczego nieświadomego Ghorrana zobaczyła mężczyznę opierającego się o drzewo. Nieznajomy miał na sobie przeróżne peleryny, kamizelki, koszule z kieszeniami i sakiewki wszelkich rozmiarów, wszystkie z końskiej skóry, wszystkie w tym samym ciemnobrązowym odcieniu, znoszone od długiego używania. Z tyłu za pasem nosił bliźniacze, wygięte kukri, przez plecy miał przewieszone misternie rzeźbione w kości etui na łuk, a wszędzie między warstwami ubrań było widać rękojeści różnych rozmiarów. Miał życzliwą twarz, kpiące bursztynowe oczy w kształcie migdałów, rozpuszczone proste czarne włosy. Ymmurski łowca. Położył palec na ustach.

– Skończyłaś? – zapytał Ghorran, zerkając w jej stronę.

– Tak – odpowiedziała.

Spojrzała z powrotem na łowcę, ale on już zniknął.

Było tylko czterech żołnierzy, kiedy tamtego wieczoru rozbili obozowisko w lesie, pod osłoną drzew. Khalidorczycy kłócili się, czy powinni iść dalej mimo ciemności, czy też Haavin i drugi zaginiony mężczyzna rzeczywiście uciekli. Noc była krótka, a Ghorran obudził Elene w ciemnościach, tuż nad ranem.

Zabrał ją do lasu. Podciągnęła spódnice, jakby wcale jej nie przeszkadzał.

– Skąd masz ranę na piersi? – spytała.

– Ta oszalała suka dźgnęła mnie widłami, po tym jak zabiłem jej męża i wypatroszyłem bachory. – Wzruszył ramionami, jakby fakt, że pozwolił jej się dźgnąć, był żenujący, ale niezbyt ważny, ot, chwila nieuwagi.

Dla Ghorrana wypatroszone dzieci nie miały specjalnego znaczenia. Skrzywdził Elene i zawstydził; to mogła mu wybaczyć. Ale owe lekceważące wzruszenie ramionami rozdmuchało maleńką iskierkę gniewu w jej sercu. Po raz pierwszy w życiu od czasów Szczura Elene nienawidziła.

Ghorran zabrał ze sobą łuk i teraz go napinał.

– Dzisiaj dotrzemy do obozu – powiedział. – Neph Dada zrobi z tobą straszne rzeczy. – Ghorran oblizał wysuszone wargi. – Mogę cię uratować.

– Uratować?

– Tego, co on robi, nie powinno się robić. To lodricarska ohyda. Jeśli zaczniesz teraz uciekać, strzelę ci w plecy i oszczędzę cię.

Jego miłosierdzie było tak dziwne, że nienawiść Elene zniknęła.

W obozie, pięćdziesiąt kroków za nimi, wybuchło światło i na drzewa padły cienie. Zaraz potem rozległ się krzyk. A później tętent galopujących koni.

Elene odwróciła się i zobaczyła tuzin nieznanych jej khalidorskich jeźdźców, pędzących do obozu od północy. Zjawili się wcześniej po niewolników.

– Uciekaj! – rozległ się ryk, głośniejszy niż krzyk zwykłego człowieka.

Między drzewami Elene dostrzegła Ymmurczyka walczącego z Khalidorczykami. Jednym ruchem przeciął dwóch. Ogień skoczył z dłoni jednego z jeźdźców, ale łowca zdążył zrobić unik.

Ghorran umieścił strzałę na cięciwie i napiął łuk, ale było za dużo drzew, a poza tym między nim a Ymmurczykiem stali Khalidorczycy. I wtedy, raptem parę kroków od nich,, z zarośli wypadł chłopiec, Herrald. Uciekał.

Ghorran odwrócił się i wycelował w nową ofiarę.

Wszystko w Elene krzyczało „nie!”.

Wyrwała sztylet zza pasa Ghorrana, wycelowała nad jego ręką i wbiła mu ostrze w szyję. Zadrżał spazmatycznie; strzała wyleciała z łuku i świsnęła niegroźnie ponad głową Herralda.

Łuk wypadł z palców Ghorrana, który spojrzał na Elene. Ona odpowiedziała mu tym samym i ujrzała jego wielkie ze zdumienia

oczy. Sztylet wbił się w sam środek szyi, a szerokie ostrze zablokowało tchawicę. Ghorran wypuścił z piersi powietrze, które uszło z niego ze świstem. Położył rękę na gardle i wymacał ostrze, nadal nie dowierzając.

Próbował wziąć wdech. Przepona pracowała mu jak miech, ale nie mógł złapać tchu. Padł na kolana. Elene nie mogła się ruszyć.

Ghorran wyrwał sztylet z gardła i wziął łapczywy wdech, który jednak zamienił się w bulgotanie. Zakaszlał, obryzgując krwią Elene.

Cały czas walczył o oddech, podczas gdy jego płuca napełniały się krwią. Po kilku chwilach padł na podszycie.

Mimo krwi na twarzy, sukience i dłoniach, mimo budzącego litość wyrazu twarzy Ghorrana i grozy, jaką napełnił ją widok umierającego człowieka, Elene nie żałowała. Jeszcze minutę temu nienawidziła go, ale nie zabiła go z nienawiści. Po prostu trzeba było go powstrzymać. Gdyby mogła cofnąć tę chwilę, zrobiłaby to samo. I wtedy zrozumiała.

– Mój Boże, ależ byłam głupia – powiedziała. – Wybacz mi, Kylar.

Magia wybuchła w lesie za jej plecami, podpalając drzewa. Elene puściła się biegiem.

***

Po północnej stronie wyspy Vos, w mroku jesiennego, deszczowego dnia Kylar stał i patrzył się na nieoznaczony kopiec,

który sam usypał. Grób Durzo.

Kylar był zbryzgany krwią, a jego szary strój siepacza nadpalony magią. W furii walczył godzinami, zabijając każdego khalidorskiego żołnierza i meistera, jakiego zobaczył. Powoli słabnący czar na posadzce w sali tronowej pozwolił mu jeszcze zobaczyć, jak Logan stoi, a umór się odwraca. Ujrzał upadek khalidorskiej armii. Widział, jak ludzie patrzyli na Logana. Chociaż postacie były maleńkie, uczucia były wypisane w każdej linii ich sylwetek.

Logan pomaszeruje z wojskiem do domu i za dwa dni, kiedy tu się zjawi, zastanie zamek oczyszczony ze śladów obecności Khalidorczyków – z wyjątkiem Khali, ale to było jedyne stworzenie, od którego Kylar zamierzał trzymać się z daleka. Niech król Gyre zaprosi jakichś magów, żeby sami się tym zajęli.

– No to chyba wygraliśmy – powiedział, spoglądając na grób Durzo Blinta.

Kylar wiedział, że nie ma sensu pomstować na swój los. Był Aniołem Nocy i nie jemu było pisane świętować. Jak powiedział mu Durzo dawno temu, zawsze będzie sam, na uboczu.

„Ach, jak ciężko być nieśmiertelnym” – powiedziało ka'kari.

Kylar był za bardzo zmęczony, żeby się zdziwić albo poczuć się urażonym. Ka'kari przemówiło już wcześniej, teraz to sobie przypominał – próbowało ocalić mu życie.

– Więc potrafisz mówić – powiedział.

Ka'kari przelało mu się do dłoni i przybrało kształt stylizowanej twarzy. Uśmiechnęło się do niego i puściło oko. Kylar westchnął i

wciągnął je z powrotem w skórę.

Zagapił się na kikut ręki. Stracił ją na darmo. I na darmo złożył przysięgę Wilkowi. Wszystko, czego się nauczył, wszystko, co wycierpiał, służyło jednemu celowi – zabicie Garotha Ursuula było jego przeznaczeniem. Garoth był źródłem zła, z którego wypływało całe cierpienie Kylara, Jarla i Elene. To miało sens, żeby człowiek, który sprawił, że Kylar został siepaczem, był jego ostatnim truposzem. Bez Garotha nie byłoby Rotha, Elene nie miałaby blizn, Jarl byłby cały i zdrów, a Kylar byłby... czym? W każdym razie nie siepaczem.

Hrabia Drakę powiedział raz Kylarowi: „Boska dłoń tworzy piękno z naszego zgrubnie wyciosanego życia”. To było kłamstwo, tak samo jak przeznaczenie Kylara okazało się kłamstwem. Może dlatego to było takie trudne: już zaczął wierzyć w boską ekonomię Elene. Nie dość, że stracił Elene, która od początku była częścią jego samego, która sprawiła, że zaczął wierzyć w dobro w sobie; teraz stracił również przeznaczenie. Gdyby miał przeznaczenie, miałby cel – perłę, która narosła wokół zła doświadczonego i wyrządzonego. Gdyby został stworzony dla celu, to może istniałby też jakiś Stwórca. A jeśli istniałby jakiś Stwórca, to może nazywałby się Bóg Jedyny. I może ten Bóg Jedyny byłby mostem nad przepaścią dzielącą zabójcę od świętego, Kylara od Elene. Ale nie było mostu, Boga, Stwórcy, celu, przeznaczenia, piękna. Nie było powrotu. Oszukano go, za jednym zamachem odbierając mu sprawiedliwość, zemstę, miłość i cel.

Myślał, że może się zmienić, że może kupić spokój za cenę

starego miecza. Ale Sędzia był tylko narzędziem sprawiedliwości. To Kylar pragnął ją wymierzać. Zabił dzisiaj wielu ludzi i nie potrafił tego żałować. Na tym właśnie polegało bycie Aniołem Nocy. Być może lepszy człowiek potrafiłby odłożyć miecz. Kylar nie potrafił – nawet za cenę utraty Elene.

Za każdym razem, kiedy o niej myślał, jej twarz zamieniała się w twarz Vi. Za każdym razem, kiedy myślał o Vi, wizje wymierzenia kary zamieniały się w zupełnie inne fantazje.

– Mistrzu – powiedział znowu, spoglądając na grób – nie wiem, co robić.

„Dokończ robotę”. Doskonale wiedział, jakim tonem Durzo wypowiedziałby te słowa – z irytacją, ale stanowczo.

Prawda. Wilk wypełnił swoją część umowy: Kylar natychmiast powrócił do życia. Okazało się, że to był kiepski interes, ale umowa to umowa, więc Kylar wykradnie Curocha, pojedzie do Zakola Torras i odzyska rękę. Wyglądało to całkiem prosto. W końcu kradzież nie była taka trudna, kiedy można stać się niewidzialnym. Poza tym, nie mógł się doczekać, żeby odzyskać rękę. Kikut bolał i Kylar dziwił się, do jakiego stopnia utrata ręki wytrąciła go z równowagi.

Nie jesteś tutaj dlatego, że nie wiesz co robić, chłopcze. Zawsze wiesz, co robić.

To też była prawda. Kylar wykona robotę, a potem odnajdzie Vi i ją zabije.

„Nie zabijesz jej” – powiedziało ka kari.

– Ale się nagle zrobiliśmy rozmowni, co? – rzucił Kylar. Ka’kari

nie odpowiedziało. Ale miało rację. Kylar nie szukał tu wskazówek. Nie całkiem. Po prostu brakowało mu mistrza. Od śmierci Durzo był na jego grobie po raz pierwszy.

Łzy zaczęły płynąć, a Kylar wiedział tylko, że to były łzy straty. Stracił mistrza, stracił dziewczynę, dla uratowania której zdradził mistrza; stracił córkę mistrza. Stracił swoją szansę na spokojne życie. Łagodny zielarz! To było słodkie złudzenie, możliwe, ale mimo wszystko słodkie. Kylar był samotny i miał już dość samotności.

Jakiś gryzoń wykopał norę u stóp grobu Durzo. Durzo wściekłby się, gdyby musiał spędzić wieczność z gryzoniami łażącymi po jego ciele. Poirytowany Kylar zajrzał do nory. Była wystarczająco głęboka, żeby niczego w niej nie dostrzec, Kylar jednak zauważył wyraźny metaliczny błysk na dnie.

Padł na kolana i oparł się na kikucie – auć! – przeniósł ciężar na łokieć – tak lepiej – i sięgnął. Wstał z małym zapieczętowanym metalowym pudełkiem w dłoni. Wytrawiono na nim jedno słowo: „Merkuriusz". Przeszedł go dreszcz. Ilu ludzi znało to imię? Kylar niezręcznie uchylił pudełko z pomocą kikuta i jednej dłoni. W środku był list.

Cześć – napisano wąskim charakterem pisma Durzo Blinta. *Ja też myślałem, że to moje ostatnie. Powiedział, że mam jeszcze jedno przez wzgląd na stare czasy...* Kylarowi zamglił się wzrok. Nie mógł w to uwierzyć. Jego spojrzenie przyciągnęły ostatnie słowa: NIE *ZAWIERAJ ŻADNYCH UMÓW Z WILKIEM.* List był datowany miesiąc po tym, jak Kylar zabił mistrza. Durzo żył.